

Sandra Brown

NA WYŁĄCZNOŚĆ

Rozdział pierwszy

- Wspaniale pani wygląda, pani Merritt.

- Wyglądam strasznie.

Vanessa Merritt rzeczywiście wyglądała okropnie, i Barrie zawstydzila się, że przyłapano ją na wygłaszaniu niezasłużonego komplementu. Próbowala to naprawić, mówiąc:

- Po tym wszystkim, co pani przeszła, ma pani prawo do złego samopoczucia. Zapewniam panią, że większość kobiet, a zwłaszcza ja, zadowolilyby się znacznie gorszym wyglądem.

- Dziękuję - odparła kobieta i zamieszała z roztargnieniem kawę. Gdyby nerwy wydawały dźwięk, to nerwy Vanessy Merritt brzęczałyby jak łyżeczka, którą drżącą dłonią odłożyła na spodeczek. - Dobry Boże. Dałabym sobie wyrwać obcęgami wszystkie paznokcie za papierosa.

Nigdy nie widziano jej palącej w towarzystwie, dlatego Barrie ze zdumieniem przyjęła do wiadomości fakt, że Vanessa jest nałogową palaczką. Być może właśnie uzależnienie od nikotyny było powodem jej zdenerwowania.

Jej dłonie ani przez chwilę nie odpoczywały. Przesuwały naszyjnik z pereł, bawiły się eleganckimi brylantowymi kolczykami i wciąż poprawiały okulary przeciwsłoneczne nie całkiem zasłaniające ciemne kręgi pod oczami.

Urodę zawdzięczała swoim niezwykłym oczom. Aż do dziś. Dzisiaj w tych olbrzymich błękitnych oczach pojawiło się rozczarowanie i ból. Przypominały oczy anioła, który na jedną przerażającą chwilę zajrzał do piekła.

- Nie mam obcęgów przy sobie - odpowiedziała Barrie. - Ale wzięłam to... - Ze skórzanego plecaka wyciągnęła paczkę papierosów i przesunęła ją na drugą stronę stołu.

Nie ulegało wątpliwości, że pani Merritt odczuwała silną pokusę. Przeżalone oczy nerwowo rozejrzały się po opustoszałym tarasie restauracji. Kilku mężczyzn zajmowało jeden stolik, a niedaleko stał kelner zgięty w służalczym ukłonie. Mimo to kobieta zrezygnowała z palenia.

- Lepiej nie. Ale proszę się nie krępować.

- Nie palę. Mam papierosy przy sobie na wszelki wypadek. Gdy chcę, aby mój rozmówca się rozluźnił.

- Przed zadaniem śmiertelnego ciosu?

Barrie roześmiała się głośno.

- Chciałabym być aż tak niebezpieczna.

- Jest pani doskonała w reportażach o ludzkich sprawach.

Barrie sprawiła przyjemność wiadomości, że pani Merritt w ogóle wie coś o jej pracy.

- Dziękuję.

- Niektóre z pani reportaży były zupełnie wyjątkowe. Na przykład ten o chorym na AIDS. A także ten o samotnej matce z czworgiem dzieci.

- Dostał nominację do nagrody branżowej. - Barrie nie miała zamiaru zdradzać, że sama zgłosiła swój reportaż do konkursu.

- Popłakałam się - wyznała pani Merritt.

- Ja też.

- Jest pani taka dobra w swoim zawodzie, że często się zastanawiałam, dlaczego nie pracuje pani dla jakiejś dużej sieci.

- Miałam parę wpadek.

Na gładkim czole Vanessy Merritt pojawiły się zmarszczki.

- Czy to nie chodziło wówczas o sędziego Greena, który...

- Tak, chodziło właśnie o to - przerwała jej Barrie. Nie chciała, by wyciągano wszystkie jej niepowodzenia. - Dlaczego skontaktowała się pani ze mną, pani Merritt? Jestem zachwycona, ale i zdziwiona.

Uśmiech Vanessy Merritt zgasł. Odparła poważnym tonem:

- Chyba już to wyjaśniłam, prawda? Nie udzielam pani wywiadu.

- Rozumiem - odparła Barrie.

Ale nie rozumiała. Nie miała zielonego pojęcia, dlaczego pani Merritt zupełnie nieoczekiwanie zadzwoniła do niej i zaprosiła ją na kawę. Przez ostatnich kilka lat kiwały sobie przy spotkaniu głowami, jednak z pewnością nie były przyjaciółkami.

Nawet miejsce spotkania wybrała dość dziwne. Była to jedna z kilkunastu stojących nad brzegiem kanału łączącego Potomac z Tidal Basin restauracji. Po zmroku kluby i bary wzdłuż Water Street wypełniali goście, głównie turyści. Niektóre restauracje sporo zarabiały w porze lunchu, ale późnym popołudniem w dzień roboczy panowały tu pustki.

Może wybrała to miejsce właśnie ze względu na odosobnienie?

Barrie wrzuciła kostkę cukru do cappuccino i od niechcenia mieszała kawę, wyglądając przez kute żelazne ogrodzenie tarasu.

Był ponury, pochmurny dzień. W kanale burzyły się fale. Barki i motorówki przycumowane przy nabrzeżu podskakiwały na szarej wodzie. Parasol nad stolikiem trzeszczał i jęczał w porywach wiatru, niosącego ze sobą zapach deszczu i ryb. Dlaczego siedziały na zewnątrz w tak nieprzyjemny dzień?

Pani Merritt zamieszała łyżeczką w mlecznej pianie i w końcu upiła łyk.

- Już wystygła - stwierdziła.

- Może napije się pani świeżej? - spytała Barrie. - Poproszę kelnera.

- Nie, dziękuję. Tak naprawdę wcale tej kawy nie chciałam. To był tylko, wie pani... - Wzruszyła ramionami, które kiedyś były smukłe, a teraz zwyczajnie kościste.

-...pretekst? - podsunęła Barrie.

Vanessa Merritt uniosła głowę. W oczach ukrytych za okularami przeciwsłonecznymi Barrie dostrzegła posępną szczerość.

- Musiałam z kimś porozmawiać.

- I pomyślała pani o mnie?

- Tak.

- Dlatego, że płakała pani, oglądając moje reportaże?

- Tak, a także dlatego, że było w nich współczucie. Wzruszyły mnie głęboko.

- Cieszę się, że przyniosły pani pociechę.

- Ja... nie mam wielu bliskich przyjaciół. Pani i ja jesteśmy w tym samym wieku. Pomyślałam, że mnie pani wysłucha. - Vanessa opuściła głowę. Grzywa kasztanowatych włosów spadła na jej twarz, częściowo zakrywając kości policzkowe i arystokratyczny podbródek.

Barrie odezwała się łagodnym tonem:

- Całe moje współczucie nie wystarczy, aby wyrazić, jak ogromnie mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Ale wystarczyło. Dziękuję. - Vanessa Merritt wyciągnęła z torebki chusteczkę i wsunęła ją pod okulary, żeby otrzeć oczy. - Zupełnie nie wiem, skąd się biorą - powiedziała, gdy łzy zmoczyły chusteczkę. - Powinno już ich zabraknąć.

- Czy właśnie o tym chce pani ze mną porozmawiać? - spytała cicho Barrie. - O dziecku?

- O Robertcie Rushtonie Merrittcie - wybuchnęła Vanessa. - Dlaczego wszyscy unikają mówienia o nim po imieniu? Miał imię, na miłość boską. Przez trzy miesiące był osobą i miał imię.

- Sądzę, że...

Pani Merritt nie dała Barrie skończyć zdania.

- Rushton to panieńskie nazwisko mojej matki - wyjaśniła. - Spodobałby się jej pomysł nazwania pierwszego wnuka nazwiskiem jej rodziny.

Wpatrując się w burzliwe wody kanału, mówiła dalej nieobecny głosem:

- Zawsze lubiłam imię Robert. Takie proste, bez gównianych ozdobników.

Jej wulgarność zaskoczyła Barrie. Nie pasowała do wizerunku damy z Południa. Jeszcze nigdy Barrie nie czuła takiego zamętu w głowie. Co mogła powiedzieć kobiecie, która niedawno pochowała dziecko? Że pogrzeb był ładny?

Nagle Vanessa Merritt zapytała:

- Co pani wie?

Barrie znowu została zaskoczona. Czyżby rzucono jej wyzwanie? „Co ty możesz wiedzieć o utracie dziecka? Co ty w ogóle wiesz?”

- Czy chodzi pani o... Czy chodzi pani o śmierć dziecka... to znaczy o śmierć Roberta?

- Tak. Co pani wie?

- Nikt tak naprawdę nie wie wszystkiego o SIDS* - odparła Barrie, próbując pojąć znaczenie tego pytania.

* SIDS - Sudden Infant Death Syndrom - zespół nagiej śmierci niemowląt (przyp. tłum.).

Zmieniając widocznie zdanie co do palenia, pani Merritt nerwowo rozdarła opakowanie papierosów. Jej urywane i bezładne ruchy przypominały ruchy lalki. Palce unoszące papierosa do warg drżały. Barrie szybko wyłowiła z plecaka zapalniczkę. Vanessa Merritt nie odezwała się ani słowem, dopóki się kilkakrotnie głęboko nie zaciągnęła. Ale papieros jej nie uspokoił. Wydawała się coraz bardziej poruszona.

- Robert spał, na boczku, podłożyłam mu jedną z takich małych poduszeczek... To stało się tak szybko! Jak mogłam... - głos się jej załamał.

- Pani wini siebie? Proszę posłuchać. - Barrie wyciągnęła rękę przez stół, wyjęła papierosa z palców pani Merritt i zgasiła w popielniczce. Potem ujęła zimne palce kobiety. - Robert zmarł nagle. Utrata dziecka w wyniku SIDS dotyka co roku tysiące matek i ojców. Każdy z nich zastanawia się, czy nie popełnił błędu. Przypisywanie sobie winy leży w ludzkiej naturze, dlatego wszyscy to robią. Niech pani nie wpadnie w tę pułapkę. Jeśli zacznie pani myśleć, że ponosi pani odpowiedzialność za śmierć swojego dziecka, może się pani nigdy z tego nie podźwignąć.

Vanessa Merritt energicznie pokręciła głową.

- Pani nie rozumie. To naprawdę była moja wina. - Ukryte za okularami oczy rzucały nerwowe spojrzenia. Wysunęła rękę z uścisku Barrie i dotknęła policzka, obrusa, ubrania, łyżeczki i szyi w niespokojnym poszukiwaniu ukojenia. - Ostatnie miesiące ciąży były nie do zniesienia.

Zasłoniła usta ręką, jakby nie potrafiła nawet tego opowiedzieć.

- Potem urodził się Robert. Jednak zamiast się poprawić, zrobiło się jeszcze gorzej. Nie mogłam...

- Nie mogła pani czego? Dać sobie rady? Wszystkie młode matki bardzo przeżywają poród - zapewniła ją Barrie.

Vanessa Merritt ugniatała czoło opuszkami palców.

- Pani nie rozumie - powtórzyła zduszonym szeptem. - Nikt nie rozumie. Nikomu nie mogę tego powiedzieć. Nawet ojcu. Och, Boże, nie wiem, co robić!

Jej zdenerwowanie stało się tak wyraźne, że mężczyźni siedzący przy pobliskim stoliku odwrócili się i zaczęli im przyglądać. Kelner, patrząc na nie z obawą, podszedł bliżej.

Barrie odezwała się cicho:

- Vanesso, proszę, niech się pani weźmie w garść. Wszyscy się na nas gapią.

Czy to dlatego, że Barrie zwróciła się do niej po imieniu, czy z jakichś innych przyczyn, załamanie nerwowe natychmiast minęło. Znieruchomiały niespokojne dłonie. Łzy wyschły. Niemal jednym haustem wypila zimne cappuccino, którego, jak stwierdziła kilka minut wcześniej, wcale nie chciała. Osuszyła bezbarwne wargi serwetką. Barrie ze zdumieniem przyglądała się tej gwałtownej przemianie.

Całkowicie odzyskawszy równowagę, Vanessa Merritt powiedziała zimnym, opanowanym głosem:

- Ta rozmowa była poufna, prawda?

- Oczywiście - odparła Barrie. - Dała mi to pani jasno do zrozumienia, kiedy dzwoniła do mnie.

- Cóż... widzę teraz wyraźnie, że spotkanie z panią było błędem. Od śmierci Roberta nie jestem sobą. Myślałam, że muszę z kimś o tym porozmawiać, ale myliłam się. Rozmowa jeszcze bardziej mnie rozstraja.

- Straciła pani dziecko. Ma pani prawo do rozpacz. - Barrie położyła rękę na ramieniu Vanessy. - Niech pani będzie dla siebie wyrozumiała. To się po prostu zdarza.

Kobieta zdjęła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała Barrie prosto w oczy.

- Czyżby?

Potem Vanessa Armbruster Merritt, Pierwsza Dama Stanów Zjednoczonych, założyła okulary, poprawiła na ramieniu pasek torby i wstała. Agenci Tajnej Służby siedzący przy pobliskim stoliku z pośpiechem zerwali się na równe nogi. Dołączyli do nich trzej pozostali, którzy, niewidoczni do tej pory, zajmowali stanowiska wzdłuż żelaznej poręczy.

Zwarli szyki wokół Pierwszej Damy i odprowadzili ją z tarasu restauracji do czekającej limuzyny.

Rozdział drugi

Barrie pogrzebała w plecaku, szukając monet do automatu z napojami.

- Czy ktoś ma dwie dwudziestki do pożyczenia?

- Nie dla ciebie, słodziutka - odparł przechodzący obok montażysta. - Wisisz już u mnie na siedemdziesiąt pięć centów.

- Zwrócę ci jutro. Przysięgam.

- Daj spokój, rybeńko.

- Czy słyszałeś kiedyś o molestowaniu seksualnym w pracy? - zawołała za nim.

- Jasne. Głosowałem za tym! - odkrzyknął przez ramię.

Barrie zrezygnowała z szukania monet na dnie plecaka, dochodząc do wniosku, że napój dietetyczny niewart jest takiego wysiłku.

Przemierzyła salę redakcji wiadomości, minęła labirynt boksów i doszła do swojego. Jeden rzut oka na jej miejsce pracy skłoniłby do samobójstwa osobę lubiącą porządek. Cisnęła plecak na blat zaśmieconego biurka, zrzucając przy tym trzy czasopisma.

- Czy ty w ogóle je czytasz?

Barrie jęknęła w duchu. Howie Fripp był sekretarzem redakcji wiadomości, jej bezpośrednim przełożonym i prawdziwym utrapieniem.

- Oczywiście, że czytam - skłamała. - Od deski do deski.

Zaprenumerowała sporą liczbę czasopism. Magazyny docierały regularnie, tworząc całe stosy na biurku, dopóki nie była zmuszona ich wyrzucić, na ogół ich nie czytając. Ale skrupulatnie czytała horoskop w Cosmopolitan. Właściwie był to cały czas, jaki poświęcała na przeglądanie czasopism, jednak dla zasady nie chciała zrezygnować z prenumeraty. Wszyscy dobrzy radiowi czy telewizyjni dziennikarze mieli obsesję na punkcie informacji i czytali wszystko, co im wpadło w ręce.

A ona była przecież dobrą dziennikarką.

Była.

- Czy nie ciąży ci na sumieniu świadomość, że tyle drzew oddaje życie, żeby dostarczyć ci materiałów, których i tak nie czytasz?

- Howie, zawracasz mi głowę. Poza tym nie masz prawa wygłaszać mi kazań o ochronie środowiska, gdy sam zatruwasz atmosferę dymem z wypalanych codziennie przez siebie czterech paczek papierosów.

- Nie wspominając już nic o moich pierdnięciach.

Nie cierpiała jego złośliwego uśmiechu prawie tak samo, jak nienawidziła prostaków rządzących WVUE - niezależną stacją telewizyjną o niskim budżecie i równie niskim standardzie, walczącą o przetrwanie wśród olbrzymów informacyjnych w Waszyngtonie. Musiała zebrać o pieniądze na swoje reportaże, które zyskały takie uznanie Pierwszej Damy. Miała pomysły na następne. Jednak kierownictwo stacji, w tym Howie, było innego zdania. Jej plany blokowali ludzie bez wyobraźni, talentu i energii. Nie tu było jej miejsce.

- Dzięki ci, Howie, że nie wspomniałeś o swoich pierdnięciach - burknęła.

Opadła na krzesło przy biurku i przeczesała palcami włosy, odsuwając je od twarzy. Nie miała powodu chwalić się fryzurą, bo wilgotny wiatr na tarasie restauracji nieźle ją potargał.

Dziwny wybór miejsca spotkania.

Jeszcze dziwniejsze było samo spotkanie.

Jaki miało cel?

W drodze powrotnej przypominała sobie każde słowo wypowiedziane w czasie rozmowy. Przeanalizowała każde drganie głosu Vanessy Merritt, oceniła każdy gest. Rozważała niepokojące ostatnie pytanie, które zastąpiło pożegnanie, jednak nadal nie potrafiła się domyślić, co właściwie się stało. Lub co się nie stało.

- Sprawdziłaś pocztę elektroniczną? - spytał Howie, przerywając jej zadumę.

- Jeszcze nie.

- Pamiętasz tego tygrysa, który uciekł z objazdowego wesołego miasteczka? Znaleźli go. W ogóle nie uciekał. Ergo, nie ma reportażu.

- Och, nieeee! - zawołała dramatycznym tonem. - A tak się cieszyłam, że o tym napiszę.

- Tak, to mogła być niezła wiadomość. Gdyby pożarł jakiegoś dzieciaka czy coś w tym rodzaju... - Howie wydawał się naprawdę zmartwiony straconą okazją.

- Dlaczego zawsze mi dajesz jakieś nędzne zlecenia? Czy dlatego, że mnie nie lubisz, bo jestem kobietą?

- Kurczę, tylko nie te feministyczne bzdury. Masz okres czy co?

Westchnęła.

- Howie, jesteś beznadziejny.

Beznadziejny. Właśnie. Vanessa Merritt przypominała kogoś pozbawionego wszelkiej nadziei.

Barrie chciała się nad tym spokojnie zastanowić.

- Posłuchaj, Howie, jeśli nie przyszedłeś do mnie z czymś bardzo ważnym, to pa, pa. Sam widzisz, że mam tu mnóstwo roboty.

Howie oparł się o ściankę działową jej zagrody - jak Barrie nazywała w myślach swój zagracony boks. Bez względu na porę roku nosił białe koszule z krótkim rękawem. Zawsze. I zawsze do czarnych spodni, które zawsze były wyświecone. Krawaty zawsze ze spinką. Dzisiejszy egzemplarz był wyjątkowo ohydny i miał plamę na wystrzępionym końcu. Sięgał zaledwie połowy beczułkowatej klatki piersiowej, która nie pasowała do niemal nie istniejącego tyłka i patykowatych, krzywych nóg.

Jej szef skrzyżował ramiona i kostki.

- Byłoby miło wreszcie coś zobaczyć, Barrie. Reportaż. Wiesz, reportaż. To, za co ci płacą. Masz coś do dziennika wieczornego?

- Pracowałam nad czymś, ale nie wypaliło - wymruczała, włączając komputer.

- Co to było?

- Skoro nie wypaliło, czy dyskusja na ten temat ma jakiś sens?

Vanessa Merritt powiedziała, że ostatnie miesiące przed urodzeniem dziecka były nie do zniesienia. Jej zachowanie dawało jasno do zrozumienia, że bardzo dużo przeszła. Jednak po urodzeniu dziecka to „nie do zniesienia” jeszcze się pogorszyło. Co było nie do zniesienia? Dlaczego właśnie mnie chciała o tym opowiedzieć? - zastanawiała się Barrie.

Howie gadał dalej, nie zwracając uwagi, że dziewczyna słucha go tylko jednym uchem.

- Nie proszę o reportaż na żywo o kimś, kto odstrzeliwuje sobie głowę. Albo o ekstremistach islamskich przetrzymujących w Watykanie papieża jako zakładnika. Ani nawet o pierwszych krokach człowieka na Marsie. Wystarczyłaby miła, prosta historyjka. Coś. Cokolwiek. Sześćdziesiąt sekund między drugą a trzecią przerwą na reklamy. To wszystko, o co proszę.

- Nie wysilaj się, Howie - burknęła Barrie. - Jeśli to twoje najlepsze przemówienie mobilizujące do pracy, to nic dziwnego, że twoi podwładni osiągają tak mało zadowalające wyniki.

Przestał krzyżować kończyny i wyciągnął się na całą wysokość metra i sześćdziesięciu siedmiu centymetrów, którą zawdzięczał wysokim obcasom w zdartych trzewikach.

- Wiesz, na czym polega twój problem? Jesteś marzycielką. Uważasz, że jesteś Diane Sayer. Ale nie jesteś Dianę Sayer i nigdy nią nie będziesz. Nigdy nie wyjdiesz za mąż za sławnego reżysera filmowego ani nie będziesz miała własnego programu informacyjnego, ponieważ partaczysz i wszyscy w branży o tym wiedzą. Dlatego przestań czekać na wielką bombę i zajmij się czymś, z czym dzięki niewielkiemu talencikowi dasz sobie radę. Czymś, co będę mógł puścić na antenę. Dobrze?

Barrie przestała go słuchać zaraz po jego stwierdzeniu, że „jest marzycielką”. Pierwszy raz wysłuchała tej przemowy w dniu, w którym ją przyjął, z dobroci serca, jak stwierdził. Poza tym, dodał, kierownictwo piliło go, aby zatrudnił „jeszcze jedną spódnicę”, a ona „nieźle się prezentuje”. Od tamtej pory niemal codziennie wysłuchiwała tej samej przemowy. Już trzy lata.

W poczcie elektronicznej czekało na nią kilka przesyłek, ale nie było tam nic, czego nie mogłaby odłożyć na później. Wyłączyła komputer i wstała.

- Już za późno na przygotowanie jakiegoś materiału na dziś wieczór, Howie. Będę miała coś dla ciebie jutro. Obiecuję. - Złapała plecak i zarzuciła go na ramię.

- Dokąd idziesz?! - krzyknął, gdy przemknęła obok.

- Do biblioteki.

- Po co?

- Po materiał, Howie.

Przechodząc obok automatu z napojami walnęła go pięścią. Z otworu wypadła puszka dietetycznej coli.

Uznała to za dobry znak.

Żonglując plecakiem, ze stosem książek pod pachą otworzyła tylne drzwi do domu i potykając się weszła do środka. W chwili gdy minęła próg, została obdarowana gorącymi pocałunkami prosto w usta.

- Dzięki, Cronkite. - Otarła ślinę z twarzy. - Ja też cię kocham.

Przeznaczeniem Cronkite'a i pozostałych szczeniaków z jego miotu była szybka śmierć w stawie, ale Barrie doszła do wniosku, że przydałby się jej czworonożny towarzysz, gdy dwunożny oświadczył, że potrzebuje więcej wolnej przestrzeni i opuścił jej życie na dobre.

Z trudem podjęła decyzję, którego szczeniaka ocalić, nigdy jednak nie żałowała swojego wyboru. Cronkite był dużym, długowłosym psem z wyraźnymi cechami złotego retrievera. Wielkie brązowe oczy spoglądały na nią z uwielbieniem, a ogon wybijał radosny rytm na łydce.

- Idź się wysuszać - powiedziała, wskazując głową w stronę miniaturowego ogródka. - Przez psie drzewczki. - Zaskomlał. Barrie westchnęła. - Dobrze, poczekam. Ale pośpiesz się. Te książki są okropnie ciężkie.

Z zadowoleniem oblał kilka krzaków i wbiegł do środka przed swoją panią.

- Zobaczymy, czy jest coś ciekawego w poczcie - powiedziała do siebie. Na korytarzu przy otworze w drzwiach frontowych leżał stos korespondencji. - Rachunek, rachunek, ponaglenie... Zaproszenie na przyjęcie w Białym Domu. - Zerknęła na psa, który przechylił pytająco głowę. - Tylko sprawdzam, czy zwróciłeś na to uwagę - powiedziała.

Cronkite poczłapał za nią po schodach do sypialni, gdzie zmieniła sukienkę i buty na wysokich obcasach na sięgającą kolan bluzę Redskinów i parę długich skarpet. Przeciągnęła szczotką po włosach i związała je w koński ogon. Oceniając swoje odbicie w lustrze, mruknęła „zachwycająca” i zaraz potem przestała myśleć o swoim wyglądzie. Skupiła się na pracy.

Bardzo dbała o różne kontakty - kolekcjonowała urzędników, sekretarki, kochanków, sprzątaczkę, gliny i osoby na kluczowych stanowiskach, dzięki którym od czasu do czasu otrzymywała godne zaufania informacje i cenne wskazówki. Jednym z takich źródeł wiedzy była Anna Chen, pracująca w administracji waszyngtońskiego Szpitala Miejskiego. Soczyste ploteczki zebrane przez urzędniczkę na szpitalnych korytarzach często prowadziły do dobrych programów. Była jednym z najbardziej niezawodnych informatorów.

Barrie miała nadzieję, że jeszcze nie jest za późno, aby złapać Annę w biurze. Poszukała numeru w notesie i wystukała go na aparacie. Telefonistka szpitalna natychmiast ją połączyła.

- Cześć, Anno. Tu Barrie Travis. Cieszę się, że cię złapałam.

- Właśnie wychodziłam. O co chodzi?

- Jakie mam szansę na otrzymanie kopii raportu z sekcji zwłok dziecka Merrittów?

- Żartujesz sobie?

- To takie trudne?

- Prawie niemożliwe, Barrie. Przykro mi.

- Tak myślałam, ale nigdy nie zaszkodzi zapytać.

- Dlaczego chcesz to mieć?

Barrie wykonała parę skomplikowanych ewolucji, które miały uspokoić źródło nieformalnych informacji i wyjaśnić powody zainteresowania tą właśnie sprawą.

- W każdym razie dziękuję, Anno - zakończyła i rozczarowana odłożyła słuchawkę.

Wyniki sekcji mogły być dobrym punktem wyjścia, chociaż właściwie nadal nie wiedziała, czego szuka.

- Co chcesz na obiad, Cronkite? - spytała, schodząc na dół do kuchni. Otworzyła lodówkę i wyrecytowała specjalności menu: - Dzisiaj polecamy „Smakołyki Kibbies”, kurczaka z wątróbką Alpo lub „Smakowite kielbaski”. - Pies zaskomlał z rozczarowaniem. Litując się nad nim, zapytała: - Luigi? - i wtedy pojawił się długi, różowy język. Cronkite zaczął się ślinić.

Powinna przygotować dla siebie dietetyczną kolację, ale o co w ogóle do diabła chodzi? Jeśli spędzasz wieczory w domu w bluzie od dresu i długich skarpetach, prowadząc rozmowy z kundlem i mając w perspektywie tylko godziny żmudnego szperania w papierach, to jaką różnicę sprawi kilka dodatkowych gramów tłuszczu?

Kiedy zamawiała przez telefon dwie pizze, Cronkite zaczął skomleć. Znowu chciał wyjść na dwór. Zasłoniła dłonią słuchawkę.

- Jeśli to takie pilne, skorzystaj z drzwi dla psów - mruknęła do swego ulubieńca.

Cronkite zerknął z pogardą na ruchomą klapkę w tylnych drzwiach. Była dość duża, żeby się w niej zmieścił, ale nie tak wielka, by jego pani martwiła się o włamywaczy. Powtarzając zamówienie, Barrie palcem wskazała psu drzwi. Cronkite niechętnie precisnął się przez klapkę. Gdy skończyła rozmawiać, był już gotów wracać, więc otworzyła dla niego tylne drzwi.

- Zapewnili, że dostarczą pizzę w dwadzieścia pięć minut albo dostaniemy ją za darmo - powiedziała do psa.

Czekając na zrealizowanie zamówienia, nalala sobie kieliszek czerwonego wytrawnego wina i zaniósła je na drugie piętro, które kiedyś zamieniła na pracownię. Aby kupić dom w mieście, w modnej dzielnicy Dupont Circle, podjęła gotówkę z funduszu powierniczego. Budynek był oryginalny i wyróżniał się wśród innych.

Początkowo wynajmowała ostatnie piętro, które było samodzielny mieszkanie. Jednak gdy jej lokator przeniósł się do Europy na sześć miesięcy przed wygaśnięciem umowy najmu, wykorzystała dodatkowe pieniądze na przekształcenie trzech zagraconych pokoiów w jeden duży gabinet.

Jedna ściana stała się magazynem taśm wideo. Barrie kazała zawiesić na niej półki. Przechowywała tam własne reportaże, wiadomości o historycznym znaczeniu i wszystkie magazyny informacyjne. Kasety były poukładane w porządku alfabetycznym i tematycznym. Poszukała nagrania, które chciała obejrzeć. Włożyła kasetę do magnetowidu i popijając wino zaczęła oglądać.

Śmierć i pogrzeb Roberta Rushtona Merritta szczegółowo udokumentowano. Tragedia ta wydawała się wyjątkową niesprawiedliwością, ponieważ zdarzyła się Merrittom, których małżeństwo uważano za wzorowe.

Prezydent David Malcomb Merritt mógł być przykładem dla każdego młodego Amerykanina, który pragnął zdobyć to stanowisko. Przystojny, atletycznie zbudowany, charyzmatyczny przywódca, budzący sympatię zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Vanessa Merritt była idealnym uzupełnieniem męża. Była wspaniała. Legenda Południa przesłaniała wszelkie jej wady. Nie uważano jej za geniusza, ale nikomu na tym specjalnie nie zależało. Społeczeństwo chciało mieć taką Pierwszą Damę, którą mogłoby adorować, a Vanessa Armbruster Merritt w pełni zaspokajała tę potrzebę.

Rodzice Davida już od dawna nie żyli. Nie miał żadnych żyjących krewnych. Ale ojciec Vanessy z nadwyżką rekompensował ten brak. Cletus Armbruster był senatorem z Missisipi dłużej, niż ktokolwiek pamiętał. Przeżył prezydentów, którzy dla większości Amerykanów byli od dawna historią.

Razem tworzyli fotogeniczny triumwirat, znany jak królewskie rodziny. Nigdy jeszcze od czasów Kennedy'ego amerykański prezydent, jego żona i ich życie osobiste nie przyciągało tak bardzo publicznej uwagi w całym kraju i na świecie. Cokolwiek robili, dokądkolwiek się udawali, razem czy osobno, wywoływało poruszenie.

W konsekwencji cała Ameryka oszalała, gdy ogłoszono, że Pierwsza Dama spodziewa się dziecka. Dziecko mogło uczynić doskonałość jeszcze doskonalszą.

Narodziny dziecka wywołały więcej zainteresowania niż „Pustynna Burza” czy czystki etniczne w Bośni. Barrie przypomniała sobie, jak oglądała w redakcji reportaż z przyjazdu dziecka Merrittów do Białego Domu. Howie spytał wtedy kwaśno:

- Może powinniśmy poszukać gwiazdy na Wschodzie?

Jedynym wydarzeniem, które równie szczegółowo opisywano i filmowano, była śmierć tego samego dziecka w trzy miesiące później.

Nikt nie chciał w to uwierzyć. Nikt nie mógł w to uwierzyć. Ameryka pograżyła się w żałobie.

Barrie wypła wino, przewinęła taśmę po raz trzeci i ponownie obejrzała smutne sceny pogrzebu.

Vanessa Merritt, blada i tragicznie piękna w żałobnym stroju, chwiała się i nie mogła ustać bez pomocy. Nikt nie miał wątpliwości, że ma złamane serce. Kilka lat upłynęło, nim udało się jej zajść w ciążę. Ten intymny szczegół życia rodziny Merrittów również szczegółowo roztrząsano w mediach. Utrata dziecka, które z takim trudem zostało poczęte, czyniła z matki prawdziwie tragiczną postać.

Prezydent zachowywał spokój, ale łzy płynęły mu po policzkach. Tego dnia na Davida Merritta patrzono przede wszystkim jak na męża i ojca, nie jak na człowieka sprawującego najwyższy urząd w państwie.

Senator Armbruster bezwstydnie płakał w białą chusteczkę. Wśród białych róż i drobnych kwiatków umieścił na trumience wnuka maleńką flagę stanu Missisipi.

Gdyby Barrie znalazła się w podobnej sytuacji, wolałaby oplakiwać dziecko w samotności. Wiedziała, że jej koledzy jedynie wypełniali swoje obowiązki - sama również tam była - ale pogrzeb stał się publicznym spektaklem, w którym, dzięki satelitom, wziął udział cały świat. Jak Vanessa Merritt tak

dobrze to zniosła?

U drzwi rozległ się dzwonek.

Barrie zerknęła na zegar.

- Cholera! Dwadzieścia cztery minuty i trzydzieści dziewięć sekund. Wiesz, Cronkite - powiedziała, gdy schodzili razem po schodach - myślę, że oni robią to specjalnie.

Luigi osobiście dostarczył pizzę. Był niskim, krągłym Włochem o różowej, spoconej twarzy, mięsistych wargach i grzywie kręconych czarnych włosów na piersi. Głowę miał zupełnie łysą.

- Panno Travis - powiedział, krzywiąc się na widok jej stroju - sądziłem, że dodatkowa pizza jest przeznaczona dla kochanka.

- Nic z tego. Ta z mięsem to dla Cronkite'a. Mam nadzieję, że nie ma tam zbyt dużo czosnku. Od czosnku puszcza bąki. Ile?

- Dopiszę do rachunku.

- Dziękuję. - Wyciągnęła rękę po pudełko. Unoszący się wokół nich zapach sprawił, że Cronkite rozpoczął entuzjastyczny taniec przy jej nogach. Cronkite, wino i głód spowodowały, że Barrie zakreśliło się w głowie.

Ale Luigi nie miał zamiaru oddać pizzy i zrezygnować z lekcji, która stała się zwyczajowym uzupełnieniem zamówienia.

- Pani jest gwiazdą filmową...

- Pracuję w telewizji.

- To prawie to samo - stwierdził. - Mówię do swojej żony: „Panna Travis to dobra klientka. Dwa, trzy razy w tygodniu dzwoni do nas wieczorem. Dobrze dla nas, ale źle dla niej. Jest za często sama”. A moja kobieta mówi...

- Może panna Travis woli być sama?

- Nie. Żona mówi, że może pani nikogo nie spotyka, żadnego mężczyzny, bo cały czas pracuje.

- Spotykam się z mężczyznami, Luigi. Jednak wszyscy dobrzy mężczyźni są już zajęci. Spotykam tylko żonatych, gejów, wariatów lub facetów z jakiegoś innego powodu niewartych uwagi. Ale doceniam pańską troskę. - Raz jeszcze wyciągnęła rękę po pizzę i znów jej nie dostała.

- Jest pani bardzo ładna, panno Travis.

- Nie powoduję korków na ulicy.

- Ma pani ładne włosy. Ładny rudy kolor. I dobrą cerę. I śliczne zielone oczy.

- Bardzo zwyczajne brązowe. - W niczym nie przypominały przejrzystych, szafirowych oczu Vanessy Merritt.

- Trochę mało tutaj... - Spojrzenie Włocha powędrowało ku jej piersiom.

Barrie wiedziała, że jeśli tylko na to pozwoli, Luigi zacznie szczegółową ocenę jej figury.

- Ale nie za mało - zapewnił ją z pośpiechem. - Jest pani po prostu szczupła.

- Z każdą chwilą coraz szczuplejsza. - Pochwyciła pudełka z pizzą. - Dziękuję, Luigi. Proszę dodać solidny napiwek do mojego rachunku i przekazać pozdrowienia żonie. - Zamknęła drzwi, zanim znów zaczął lamentować nad brakiem miłości w jej życiu.

Cronkite już nie mógł znieść oczekiwania, więc dała mu pizzę wraz z pudełkiem. Potem usiadła przy kuchennym stole ze swoim daniem, następnym kieliszkiem wina i książkami, które po południu wzięła z biblioteki. Pizza była pyszna. Drugi kieliszek wina spłynął nawet szybciej niż pierwszy. Materiały o SIDS okazały się fascynującą lekturą.

Jak zwykle nie dokończyła pizzy i wina. Musiała dowiedzieć się jeszcze więcej.

Rozdział trzeci

Marszcząc sceptycznie brwi, Howie Fripp wbił w ucho ostry koniec kluczyka samochodowego.

- Sam nie wiem...

Barrie poczuła prymitywną chęć skoczenia przez biurko i rozszarpania mu zębami gardła. Nikt inny nie wyzwalał w niej takich pragnień. Jedynie Howie. Nie tylko jego ohydne nawyki i rażący męski szowinizm wywoływały w niej dziką agresję, lecz także żalosne tchórzostwo i brak wyobraźni.

- Co ci się w tym nie podoba?

- Przygnębiający temat - odparł. - Niemowlęta umierające w łódeczkach. Kto będzie chciał to oglądać?

- Młodzi rodzice. Przyszli rodzice. Rodzice, którym się to przytrafiło. Każdy, kto chce być dobrze poinformowany i oświecony, co - jak mam nadzieję - dotyczy przynajmniej części naszej widowni.

- Żyjesz w świecie złudzeń, Barrie. Oglądają nas, bo po wiadomościach są powtórki seriali.

Barrie próbowała stłumić niecierpliwość w swoim głosie. Gdyby się domyślił, że wyprowadza ją z równowagi, stałby się jeszcze bardziej nieznośny.

- Ze względu na temat programy nie będą radosne. Ale nie muszą być smutne. Skontaktowałam się z małżeństwem, które utraciło dziecko dwa lata temu. Mają już następne i są gotowi opowiedzieć przed kamerą, jak się wspierali w ciężkich chwilach.

Wstała.

- Celem jest ukazanie światła na końcu tunelu. Zwycięstwa nad przeciwnościami losu. To powinno bardzo podnosić na duchu.

- Już się umówiłaś na wywiad?

- Oczywiście uzależniłam to od twojej zgody - odparła z promiennym uśmiechem. - Chciałam wszystko dokładnie ustawić, zanim do ciebie przyjdę, Howie. Szukałam materiałów przez cały tydzień, rozmawiałam z pediatrami i psychologami. To temat bardzo na czasie, zwłaszcza z powodu śmierci dziecka Merrittów.

- Wszyscy mają już dość SIDS.

- Ale ja przedstawiam ten problem pod różnymi kątami.

Wiedziała, co mówi. Im więcej dowiadywała się o SIDS, tym bardziej fascynowały ją pojawiające się w związku z tym dodatkowe tematy, równie ciekawe i warte zainteresowania jak temat główny. W trakcie pracy uświadomiła sobie, że zwykły dziewięćdziesięciosekundowy materiał ich nie obejmie.

Na jej drodze stał tylko Howie.

- Sam nie wiem... - powtórzył. Kluczyk krążył jak wirówka w jego drugim uchu, gdy jeszcze raz czytał konspekt Barrie. Był szczegółowy, ale krótki. Z pewnością nawet ktoś o bardzo ograniczonych możliwościach umysłowych mógł go pojąć.

Prosiła o pozwolenie zrealizowania trzech części do nadania w kolejne wieczory w trakcie dwóch programów informacyjnych. Każda część byłaby poświęcona innemu aspektowi tego zjawiska. Zapropnowała też, aby program reklamowano.

Być może - oczywiście nie napisała tego w konspekcie - wydawca programów informacyjnych dużej sieci obejrzy jej program, doceni go i zaproponuje pracę z dala od tej kolonii trędowatych dziennikarstwa, znanej jako redakcja wiadomości WVUE.

Howie czknął. Na końcu kluczyka pojawiła się grudka brązowego wosku, którą wytarł w górną kartkę jej konspektu.

- Nie jestem przekonany...
- Przeprowadzę wywiad z panią Merritt.

Upuścił zabrudzony klucz.

- Co?

Oczywiście było to kłamstwo. Jednak w rozpaczliwej sytuacji...

- Niedawno razem wypiliśmy kawę.

- Ty i Pierwsza Dama?

- Właśnie. Na jej zaproszenie. W trakcie rozmowy wspomniałam o przygotowywaniu tego materiału.

Poparła mój pomysł i zgodziła się podzielić swoimi przeżyciami.

- Przed kamerą?

Barrie znów zobaczyła przed sobą Vanessę Merritt, rozpaczliwie próbującą ukryć się za okularami przeciwsłonecznymi, trzymającą zakazanego papierosa w drżących palcach - obraz emocjonalnej degrengolady.

- Oczywiście, że przed kamerą - odparła, przewracając oczami.

- Nic nie piszesz w konspekcie o Pierwszej Damie.

- To miała być niespodzianka.

- Rzeczywiście nie spodziewałem się tego - stwierdził sucho.

Nigdy nie umiała zbyt dobrze kłamać, ale Howie nie należał do znawców ludzkich charakterów, sądziła więc, że nic jej nie grozi.

Pochylił się nad biurkiem.

- Jeśli pani Merritt wyrazi zgodę na wywiad...

- Wyrazi.

- Poza tym musisz codziennie dostarczać zwykły materiał - powiedział, odchylił się do tyłu i podrapał w kroku.

Zastanowiła się nad postawionym warunkiem i pokręciła głową.

- Ten program wymaga mojej wyłącznej uwagi, Howie. Chciałabym poświęcić mu cały czas.

- A ja chciałabym przelecieć Sharon Stone. Ale nie zawsze dostajemy to, czego chcemy, prawda?

Barrie jeszcze raz się zastanowiła.

- W porządku. Przyjęłam twoje warunki.

- Dzwoniła Barrie Travis.

- Kto?

Pierwsza Dama przed powtórzeniem nazwiska odchrząknęła.

- Barrie Travis. Reporterka z WVUE.

- Och, tak. Ma taki lekko chrypliwy głos? - David Merritt, prezydent Stanów Zjednoczonych, założył spinki do mankietów z prezydencką pieczęcią. - Natknąłem się na nią na niedawnej konferencji prasowej. Jej materiały o Białym Domu są na ogół przychylnie, prawda?

- Owszem.

- O co jej chodziło?

Vanessa już ubrana siedziała na kanapie. Wypiła łyk białego wina.

- Przygotowuje kilkuczęściowy program o SIDS i chce do tego włączyć wywiad ze mną.

Prezydent włożył smoking i sprawdził swój wygląd w lustrze. Kiedy wybrano go na to stanowisko, zrezygnował z osobistego służącego. Sam najlepiej wiedział, jak wykorzystać swoje warunki zewnętrzne. Krój marynarki podkreślał szerokie ramiona i szczupłą talię. Merritt dbał o dobre ostrzyżenie włosów, ale nigdy ich nie lakierował, choć nie zdradzał się z tym, że bardziej podobały mu się zawadiacko rozwiane. Stroje wizytowe nosił z elegancją i wdziękiem, a w dzinsach stawał się zwyczajnym amerykańskim chłopakiem.

Spodobało mu się własne odbicie. Odwrócił się do żony.

- Co dalej?

- Będzie dziś wieczorem na przyjęciu. Dalton obiecał, że da jej odpowiedź.

Dalton Neely był rzecznikiem prasowym Białego Domu. Merritt i jego najbliższy doradca, Spencer Martin, wybrali go i specjalnie przeszkolili.

- Właściwie formalna prośba przyszła do biura Daltona. - Vanessa wytrząsnęła na dłoń tabletkę valium z buteleczki wyjętej z wyszywanej koralikami wieczorowej torebki. - Ale Barrie Travis od kilku dni dzwoni do mojego biura. Nie odbierałam, choć była bardzo uparta.

- Reporterzy żyją z tego, że są uparci.

- Jej upór postawił mnie w trudnej sytuacji. Dalton skontaktował się ze mną dziś po południu w tej kwestii. Oboje chcą, żebym dała odpowiedź dziś wieczorem.

Prezydent podszedł szybko do żony, chwycił ją za rękę i wyjął z jej dłoni małą żółtą tabletkę. Wyłowił buteleczkę z wieczorowej torebki, wrzucił do niej z powrotem lek i schował do kieszeni.

- Potrzebuję tego, Davidzie.

- Nie. Nie potrzebujesz. Tego też już nie. - Zabrał jej kieliszek z winem i odstawił na bok. - Neutralizuje działanie twoich leków.

- To dopiero drugi kieliszek.

- Trzeci. Okłamujesz mnie, Vanesso.

- W porządku, straciłam rachubę. Wielka rzecz. Ja...

- Nie chodzi o wino. O reporterkę. Nie postawiła cię w trudnej sytuacji, sama to zrobiłaś. Nie wydzwaniała do twojego biura, dopóki się z nią nie spotkałaś dwa tygodnie temu, prawda?

Powiadomiono go o spotkaniu w dniu, w którym miało miejsce, więc nie zdziwiła go prośba Barrie Travis o wywiad. Zaniepokoiło go tylko, że Vanessa zorganizowała spotkanie z przedstawicielem mediów bez jego wiedzy. Vanessa i reporterka, zwłaszcza ta reporterka o wątpliwej reputacji, to bardzo niebezpieczne połączenie.

- Kazałeś mnie śledzić? - zapytała z pretensją w głosie.

- Dlaczego się z nią umówiłaś, Vanesso?

- Musiałam z kimś porozmawiać. Czy to zbrodnia?

- Zdecydowałaś się zwierzyć dziennikarce?

- Napisała do mnie wzruszającą kartkę. Pomyślałam, że byłoby dobrze z nią porozmawiać.

- Następnym razem spróbuj pogadać z księdzem.

- Naprawdę robisz z igły widły, Davidzie.

- Jeśli nie było to nic ważnego, czemu mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie było ważne, dopóki nie poprosiła o wywiad przed kamerą. Obiecała mi, że wszystko, co powiem tamtego popołudnia, zostanie między nami. Musiałam z kimś porozmawiać. Z kobietą...

- O czym?

- A jak myślisz? - krzyknęła.

Zeskoczyła z kanapy, chwyciła kieliszek i jednym haustem wypła wino.

Merritt z trudem opanował gniew.

- Nie jesteś sobą, Vanesso.

- Masz rację, do cholery. Nie jestem. Lepiej będzie, jeśli dziś wieczorem pójdziesz beze mnie.

Przyjęcie wydane na cześć delegacji dobrej woli z krajów skandynawskich miało być pierwszym oficjalnym spotkaniem od tragicznej śmierci ich syna. Niewielkie, formalne zgromadzenie wydawało się właściwym przygotowaniem do ponownego włączenia Vanessy w życie publiczne, z którego usunęła się po śmierci dziecka. Trzy miesiące to dość czasu. Wyborcy powinni ją zobaczyć z powrotem w akcji.

- Idziemy razem - powiedział stanowczo prezydent. - Będziesz królową balu. Zawsze nią jesteś.

- Ale...

- Żadnych „ale”. Zmęczyło mnie już szukanie dla ciebie wymówek. Musimy przez to jakoś przejść, Vanesso. Upłynęło ponad dwanaście tygodni.

- Czyżby istniał określony termin żałoby?

Zignorował jej kąśliwy ton.

- Dziś wieczorem będziesz się zachowywała jak trzeba. Wystarczy, że będziesz się czarująco uśmiechać, a wszystko pójdzie dobrze.

- Nienawidzę tych wszystkich ludzi patrzących na mnie z litością i pogardą. Nigdy nie wiedzą, co powiedzieć. A jak się już ktoś odezwie, to mówi takie banały, że mam ochotę krzyknąć.

- Po prostu podziękuj im za kondolencje i skończ na tym.
- Boże! - zawołała załamującym się głosem. - Jak ty możesz tak po prostu zająć się...
- Bo muszę, do cholery! Tak samo jak ty.

Wpatrywał się w nią z takim gniewem, że aż opadła na kanapę. Spojrzała na niego, ogarnięta przerażeniem.

Odwrócił się, a kiedy znowu się odezwał, był już opanowany.

- Podoba mi się twoja suknia. Nowa?

Skuliła ramiona i opuściła głowę. Przyglądał się jej odbiciu w lustrze.

- Schudłam - wymamrotała. - Nic już na mnie nie pasuje.

Rozległo się pukanie do drzwi. Prezydent przeszedł przez pokój i otworzył.

- Cześć, Spence. Czekają na nas? - zapytał.

Spencer Martin zerknął przez ramię Davida i zlustrował pokój. Dostrzegłszy Vanessę i pusty kieliszek na bocznym stoliku, odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Jesteście gotowi?

Merritt zbagatelizował troskę doradcy.

- Vanessa przeszła lekki atak tremy, ale, jak dobrze wiesz, zawsze doskonale daje sobie radę.
- Może niepotrzebnie ją zmuszamy. Jeśli nie czuje się na siłach...
- Bzdura. Już czas. - Prezydent odwrócił się do żony i wyciągnął rękę. - Gotowa, kochanie?

Wstała i powoli podeszła, nie patrząc na żadnego z nich.

Jedną z cech osobowości Davida Merritta było ignorowanie rzeczy, o których nie chciał wiedzieć. Należała do nich niechęć między jego żoną a doradcą. Aby wypełnić niezręczną ciszę, powiedział:

- Czyż ona nie wygląda dzisiaj pięknie, Spence?

- Rzeczywiście, panie prezydencie.

- Dziękuję - odparła sztywno Vanessa. Gdy weszli do holu, wzięła męża pod ramię i spytała: - Co Dalton powinien odpowiedzieć Barrie Travis?

- Tej reporterce z WVUE? - spytał Spence. - Odpowiedzieć na co? - Spojrzał zdziwiony na prezydenta.

- Poprosiła Daltona o wywiad z Vanessą.

- Na jakiś szczególny temat?

- SIDS - odparł prezydent.

Barrie kręciło się w głowie. Słowa płynęły z niej niczym woda z rozbitego hydrantu.

- Przesuwałam się wraz z kolejnymi gośćmi. Byłam z moim przyjacielem. Nie podniecaj się. To znajomy gej, który nadal się ukrywa. Wyświadczyliśmy sobie nawzajem przysługę, jeśli można tak powiedzieć. On miał zaproszenie na przyjęcie i była mu potrzebna towarzyszką, a ja miałam okazję bezpośredniej rozmowy z prezydentem i Pierwszą Damą. W każdym razie przesuwałam się w kolejce do powitania ze zblazowaną miną, a kiedy dotarłam do prezydenta, pochwycił moją dłoń w obie ręce i,

przysięgam na Boga, powiedział: „Panno Travis, bardzo pani dziękuję za przybycie. Goszczenie pani w Białym Domu to prawdziwa przyjemność. Wygląda pani dziś olśniewająco”. Właściwie to nie pamiętam, co dokładnie powiedział, ale wystarczy stwierdzić, że nie zostałam potraktowana jak obca osoba, przelotna znajomość czy nawet zwykła reporterka. Barbara Walters nie mogłaby zostać ciepłej powitana.

Cronkite ziewnął i wygodnie ułożył się na środku łóżka.

- Nudzę cię? - spytała Barrie, przerywając na chwilę opowieść. - Widzę, że nie uświadamiasz sobie wagi wydarzenia. To ja przeprowadzę z panią Merritt pierwszy wywiad od śmierci dziecka. Sam prezydent wspomniał o tym, zanim się odezwałam. Powiedział, że żona poinformowała go o moim projekcie programów o SIDS. Uważa, że to doskonały pomysł, i nakłonił Pierwszą Damę do wzięcia w nim udziału. Pochwalił mnie za zwrócenie publicznej uwagi na to smutne zjawisko. Potem dodał, że on i pani Merritt zapewnią mi pełną współpracę.

Położyła się obok Cronkite'a, który zajmował dwie trzecie łóżka i nie zamierzał się posunąć ani odrobinę. Balansując na skraju materaca, dodała:

- Żałuję, że Howie nie mógł tego zobaczyć.

Rozdział czwarty

Gray wiedział, że telewizor jest włączony, ale był to jedynie szum gdzieś w tle, dopóki nie usłyszał znajomego głosu. Ten głos zmusił go do uniesienia głowy znad umywalki w łazience, gdzie opłukiwał twarz zimną wodą. Chwycił ręcznik i wszedł do sypialni.

- „...co niestety przeżywają państwo Merritt wraz z tysiącami innych małżeństw” - usłyszał.

Nie rozpoznał dziennikarki. Miała około trzydziestki, może trochę więcej. Kasztanowate włosy do ramion. Wielkie oczy i namiętne usta, obiecujące niezłą zabawę, lecz teraz ani w jej oczach, ani na ustach nie było uśmiechu. Zwracający uwagę lekko schrypnięty głos, rzadko spotykany u dziennikarzy telewizyjnych - większość z nich mówiła tak, jakby skończyła tę samą szkołę bezpłciowej dykcji. W dole ekranu pojawiło się jej nazwisko. Barrie Travis. Z niczym mu się nie kojarzyło.

- „Prezydent i ja ze zdumieniem dowiedzieliśmy się, jak wiele rodzin doświadcza tej tragedii - mówiła Vanessa Merritt. - Pięć tysięcy rocznie tylko w naszym kraju”.

Tę twarz i głos Gray Bondurant natychmiast rozpoznał. Zrozumiał, że pouczono ją, jak ma się zachowywać podczas wywiadu. Dłonie złożyła skromnie na kolanach, nie pozwolono jej na żadne gesty. Starannie przećwiczone wyraz twarzy.

Prowadząca wywiad reporterka zwróciła się do doktora George’a Allana, osobistego lekarza Merrittów, na którego barki spadło nieprzyjemne zadanie stwierdzenia śmierci Roberta Rushtona Merritta. Doktor Allan wyjaśnił, że medycyna wciąż próbuje poznać przyczyny i opracować środki zapobiegawcze przeciw SIDS.

Wtedy wywiad przybrał bardziej osobisty ton.

- „Pani Merritt, wszyscy byliśmy świadkami rozpaczony pani i prezydenta Merritta na pogrzebie syna. - Pokazano sceny z pogrzebu. - Uplęły trzy miesiące. Rana z pewnością jeszcze bardzo boli, ale jestem przekonana, że nasi widzowie pragnęliby usłyszeć refleksje, jakimi pani zechciałaby się z nimi podzielić”.

Vanessa przez chwilę się zastanawiała.

- „Mój ojciec często powtarza takie powiedzenie: »Przeciwności losu to okazja do walki«. Jak zwykle, tata ma rację - powiedziała z uśmiechem. - David i ja czujemy, że staliśmy się silniejsi, jako małżeństwo i jako jednostki, ponieważ poddano nas próbie aż po kres wytrzymałości i przetrwaliśmy”.

- Gówno prawda. - Gray zmiął ręcznik w kulę i rzucił przez całą sypialnię, potem wziął do ręki pilota, chcąc wyłączyć telewizor.

Ale jeszcze zaczekał. Vanessa mówiła właśnie:

- „Prezydent i ja mamy nadzieję, że innym, którzy doświadczą podobnej tragedii, nasz przykład przyniesie odwagę i pocieszenie. Przetrwaliśmy. Życie naprawdę płynie dalej”.

Przeklinając głośno, Bondurant wcisnął wyłącznik.

Z góry ustalone odpowiedzi, podpisane, zaklejone i dostarczone Vanessie, żeby nauczyła się ich na pamięć jak papuga. Cały tekst ułożył pewnie Dalton Neely. Albo jej ojciec. Clete Armbruster, czy nawet prezydent, a ostatecznie zatwierdził go Spencer Martin.

Bez względu na to, jak długo je ćwiczono przed przeprowadzeniem wywiadu, nie były to słowa Vanessy. Wymawiała je, ale nie robiła tego spontanicznie i z głębi serca. Gray wątpił, czy dziennikarka z seksownym głosem uświadamiała sobie, że ją oszukano. Vanesę zaprogramowano jak mówiącą lalkę z elektronicznym mózgiem w głowie. Ujawnienie jej rzeczywistych uczuć było niemożliwe.

Gray poczuł się nagle tak, jakby sypialnia zaczęła się zmniejszać. Pomaszerował do kuchni po piwo i wyszedł na ganek, który miał trzy metry głębokości i był ocieniony dachem. Ciągnął się przez całą szerokość domu. Gray usiadł z rozmachem na wiklinowym bujanym fotelu i przytknął puszkę do warg. Mięśnie jego opalonej szyi poruszały się rytmicznie, gdy jednym długim haustem wypił połowę zawartości puszki.

Wyglądał jak model z reklamy piwa. Jego zdjęcia z obnażoną piersią w tym wiejskim otoczeniu podniosłyby sprzedaż każdej nowej marki o miliony puszek, ale on sobie tego nie uświadamiał ani o to nie dbał. Wiedział, że wywiera na ludzi pewien wpływ, ale nigdy nie zadał sobie trudu, żeby zanalizować dlaczego. Próżność nie leżała w jego naturze, z pewnością nie przez ostatni rok, kiedy tygodnie mijały, a on nie widział żywej duszy. Gdyby pojechał do Jackson Hole, to może by się ogolił. A może nie.

Był taki, jaki był. Bierz lub zostaw. Takie było zawsze jego podejście, które bez słów przekazywał każdemu, kogo spotkał. Była to jedna z przyczyn, dla której nie pasował do waszyngtońskiej elity. Cieszył się, że ma to już za sobą. Od zaufanych współpracowników prezydenta wymagano pewnej dozy konformizmu, a Gray Bondurant był nonkonformistą.

Spojrzenie jego niebieskich oczu było twarde i zimne jak lodowiec, gdy patrzył na poszarpane, ośnieżone szczyty Gór Skalistych. Wznosiły się o wiele mil stąd, ale wyglądały tak, jakby mógł ich dotknąć. Majestat gór. Tuż przy jego ganku. Tylko to sobie wyobraź.

Zgniół pustą puszkę. Żałował, że nie może cofnąć czasu o ostatnie dziesięć minut. Dlaczego nie został trochę dłużej poza domem, zanim wszedł się umyć? Co za kaprys losu sprawił, że włączył telewizor nastawiony na ten właśnie kanał o tej właśnie porze?

Żałował, że w ogóle obejrzał ten wywiad. „Bardzo ci dziękuję, Barrie Travis, kimkolwiek jesteś”. Przez nadchodzące tygodnie będą go prześladowały myśli o Davidzie, Vanessie i o dziecku, które umarło w pokoju dzieciennym w Białym Domu.

Najbardziej złościło go, że wywiad może ponownie wzbudzić publiczne zainteresowanie jego osobą. Ludzie znowu zaczną domyślać się, zastanawiać, podejrzewać, kombinować. I znowu gównem będzie fruwało w powietrzu.

David Merritt krążył przed biurkiem w Gabinetcie Owalnym. Rękawy koszuli podwinął do łokci, ręce wcisnął w kieszenie. Pod spadającym na czoło lokiem pojawiły się zmarszczki.

- Nigdy o tym nie słyszałem. Co to jest, do diabła?

- To zespół Münchhausena - powiedział doktor. - Münchhausen to nazwisko niemieckiego barona, który podniecał się zadawaniem sobie bólu.

- Myślałem, że to masochizm - wtrącił Spencer Martin.

Doktor George Allan wzruszył ramionami i nalał sobie następną porcję szkockiej z osobistych zapasów prezydenta.

- To nie jest moja dziedzina i nie studiowałem tego zagadnienia zbyt dokładnie.

- Zrobiła to Barrie Travis. - W ustach prezydenta zabrzmiało to jak nagana i tak to George Allan potraktował.

Ze speszoną miną powiedział:

- Osoba cierpiąca na to odczuwa przyjemność, gdy zadaje ból komuś innemu, zwłaszcza dziecku.

- Co to ma wspólnego z SIDS? - spytał Merritt.

Doktor Allan wypił łyk szkockiej.

- Ponieważ dorośli, cierpiący na to zaburzenie, czasami ranią swoje dzieci albo nawet je zabijają, próbując zwrócić na siebie uwagę otoczenia. Obecnie ponownie prowadzi się dochodzenie w sprawach niektórych tajemniczych wypadków śmierci niemowląt, które wcześniej przypisano SIDS.

Tłumiąc przekleństwo, prezydent usiadł za biurkiem.

- Dlaczego ta Travis nie może się trzymać tematu bez wyciągania takich potworności? Nalej mi coś.

Doktor zrobił, co mu kazano.

- Dzięki. - Merritt przez kilka chwil popijał szkocką, a potem spojrzął na Spence'a, pogrążonego w rozmyślaniach.

- Może nie powinienem był zachęcać Vanessy, żeby udzieliła tego wywiadu? - powiedział prezydent.

- Dlaczego? Czy stało się coś złego? - spytał doktor.

- Na miłość boską, George, przecież ty to powinieneś wiedzieć najlepiej - odparł zniecierpliwiony Merritt. - Te cholerne programy telewizyjne sprawiły, że Vanessa znowu chodzi po ścianach.

- Wszyscy to widzą - oświadczył spokojnie Spence. Merritt rzucił mu ostre spojrzenie, żądające nazwisk. - Pracownicy, panie prezydencie - wyjaśnił doradca. - Ludzie zauważyli raptowne zmiany nastroju Pierwszej Damy i martwią się o nią.

Merritt ponownie zwrócił się do lekarza.

- Nie będę w stanie zapanować nad jej zmianami nastroju, jeśli tyle będzie piła - powiedział doktor Allan.

Prezydent zasłonił oczy dłońmi zwiniętymi w pięści.

- Clete wciąż mi obrabia tyłek z tego powodu, a ja mu przypominam, że straciła dziecko. Chyba nie może oczekiwać, że w połączeniu z jej chorobą nie spowoduje to u niej zachwiania równowagi.

- Każdy inaczej reaguje na tragedię - stwierdził doktor. - Niektórzy poświęcają się pracy z nadzieją, że tak ich zmęczy, że nie będą mieli dość energii, aby o tym myśleć. Inni zwracają się do Boga, palą świeczki i modlą się. Jeszcze inni...

- Rozumiem - uciął Merritt. - Ale do mojego teścia nic nie dociera.

- Porozmawiam z nim, jeśli chcesz - zaproponował Spence.

Prezydent zaśmiał się niewesoło.

- Clete cię nie lubi, Spence. Jesteś ostatnią osobą, od której wysłucha komentarzy na temat stanu zdrowia psychicznego Vanessy. Ona też za tobą nie szaleje. - Zwrócił się ponownie do lekarza. - Ale ty, George... może gdybyś z nim porozmawiał, wyjaśnił...

- Zadzwoń do niego jutro i powiem, że opowiedziałeś mi o jego obawach. Zapewnię go, że jest otoczona troskliwą opieką.

- Dziękuję. - Merritt uśmiechnął się, jakby sprawa została już załatwiona.

- Nie o Clete'a powinniśmy się martwić - powiedział Spence. - W przyszłym roku są wybory. Administracja potrzebuje Pierwszej Damy. Potrzebujemy Vanessy i potrzebujemy jej w dobrym nastroju i gotowej do kampanii. - Zwrócił się do doktora: - Zapewnisz nam to?

- Oczywiście. Nie ma wyboru.

- Zawsze jest jakiś wybór.

Odpowiedź Spence'a zmroziła ich jak podmuch lodowatego wiatru.

- Jezu, Spence! - zawołał Merritt. - Jesteś wesoły jak klepsydra. Zapomnij o tym ponuraku, George - powiedział do lekarza i wstał, aby uścisnąć mu dłoń. - Vanessa jest w twoich doświadczonych rękach, więc nie będę się martwić. Dziękuję za wyjaśnienia o tym Miinchausenie, chociaż nie miało to żadnego związku ze śmiercią Roberta. - Patrząc prosto w oczy lekarzowi dodał: - Dziecko przestało oddychać w czasie snu. Z przyczyn nieznanych. Takie było twoje oficjalne orzeczenie i trzymasz się go. Prawda?

- Oczywiście. SIDS. - Doktor Allan dopił szkocką i pożegnał się ze wszystkimi.

- Lepiej, żeby sobie z tym poradził - mruknął Spence, kiedy został sam z prezydentem.

- Nie bój się. Poradzi sobie.

- A Vanessa?

- Zawsze do tej pory sobie radziła, prawda?

- Przedtem tak. Ale teraz nie jestem pewien, czy weźmie się w garść.

Tylko Spencer Martin mógł tak szczerze rozmawiać z prezydentem o Pierwszej Damie.

Merritt doceniał zaniepokojenie swego doradcy, choć uważał, że przecenia wagę problemu.

- Podtrzymuję swoją decyzję. Ludzie musieli zobaczyć Vanessę i usłyszeć ten wywiad. Świetnie wyglądała. Mówiła doskonale.

Spence wciąż marszczył brwi.

- Więc dlaczego żałuję, że wyraziliśmy na to zgodę? Mam złe przeczucia. Niepokoi mnie, że to ona nawiązała kontakt z tą dziennikarką, a nie odwrotnie.

- W pierwszej chwili też mnie to zaniepokoiło - przyznał Merritt. - Ale wszystko obróciło się na dobre. Była to dobra reklama dla niej i dla nas. Jak powiedział George, nic złego się nie stało.

- Zobaczymy - odparł Spence ponuro.

- Kto to jest?

- Kto? - Barrie nawet nie podniosła głowy. Na kolanach miała stos kartek z informacjami telefonicznymi, pocztówek, listów od widzów dotyczących cyklu programów o SIDS. W najbardziej optymistycznych snach nie marzyła o takiej reakcji.

- Czemu go przed nami ukrywasz?

W końcu Barrie podniosła głowę.

- Och, mój Boże!

Recepcjonistkę zasłaniała ogromna kompozycja z kwiatów, którą wniosła do boksu Barrie.

- Gdzie mam to postawić?

Jak zwykle blat biurka zawałał stos papierów.

- Chyba na podłodze...

Po odstawieniu bukietu recepcjonistka powiedziała:

- Kimkolwiek jest, nawet jeśli wygląda jak ropucha, musi mieć na ciebie oko, skoro wywalił tyle forsy na kwiaty.

Barrie rozerwała kopertę dołączoną do bukietu i uśmiechnęła się.

- Też bym tak pomyślała, ale jest żonaty.

- Wszyscy dobrzy są żonaci.

Barrie pokazała recepcjonistce kartonik. Dziewczyna wybałuszyła oczy przeczytawszy znajome nazwisko pod napisanymi ręcznie pozdrowieniami. Jej okrzyk przyciągnął do boksu kilka osób z redakcji.

Barrie powachlowała się kopertą.

- To tylko niewielki dowód, że prezydent docenia mój talent i dociekliwość, chwali jakość programów i dziękuje za wypełniony przeze mnie patriotyczny obowiązek.

- Jeszcze jedno słowo i się porzygam - burknął Howie, który właśnie dołączył do zebranych.

Barrie roześmiała się głośno i włożyła kartkę z powrotem do koperty. Będzie mogła ją pokazywać wnukom.

- Jesteś po prostu zazdrosny, ponieważ nie należysz do osobistych przyjaciół państwa Merritt - oświadczyła.

Howie i koledzy z redakcji powoli opuścili jej boks. Paru zawistników komentowało szczęście niektórych osób.

Kiedy Barrie została sama, wystukała numer telefonu.

- Jesteś wolny dziś wieczorem? - spytała cicho.

- Mówisz poważnie?
- Co masz w lodówce?
- Dwa steki.
- Przyniosę wino. - Zerknęła na bukiet. - I kwiaty. Będę za pół godziny.

Rozdział piąty

- Ty to nazywasz „pół godziny”?

- Przestań gderać i pomóż mi. - Barrie, trzymając bukiet od prezydenta, dwie butelki wina i torbę z zakupami, przeciskała się przez drzwi frontowe domu Daily’ego Welsha.

- Obrobiłaś świeży grób czy co? - zapytał.

- Przeczytaj kartkę, ważniaku.

Oderwał bilecik od bukietu i gwizdnął przeciągle.

- Robi wrażenie.

Uśmiechnęła się radośnie.

- Normalka.

- Co chcesz zrobić na początek?

- Kiedy indziej wzięłabym zjadliwy odwet za twoje komentarze oblewające zimną wodą wszystko, co dobre, ale jestem zmęczona, więc dam sobie spokój i otworzę wino.

- Też jestem za tym.

Weszli razem do kuchni, która była najsympatyczniejszym pomieszczeniem w tym szczególnie brzydkim domu. Daily z trudem wyszarpnął szufladę w szafce, żeby wyjąć korkociąg.

- Jak się czujesz? - spytała z troską Barrie.

- Jeszcze nie umarłem.

Ted Welsh - dla przyjaciół Daily - wyglądał tak, jakby następny chrapliwy oddech miał być jego ostatnim. Cierpiał na rozedmę płuc od wypalania nieskończonej liczby papierosów w ciągu wielu lat, kiedy ciężko pracował, dostarczając społeczeństwu najnowsze wiadomości.

Zaraz po średniej szkole zaczął pracować jako goniec w dzienniku. Stąd wzięło się jego przezwisko - Daily. Wspinał się powoli po szczeblach kariery dziennikarskiej w różnych mediach, aż został szefem redakcji wiadomości w stacji telewizyjnej dużej sieci w Richmond, skąd odszedł na rentę ze względu na szybki postęp choroby. Nie osiągnąwszy właściwego wieku, aby otrzymywać emeryturę państwową - prawdopodobnie nie miał go nigdy osiągnąć - żył ze swojej skromnej renty.

„Steki” rozmrażające się na blacie w kuchni okazały się mielonymi kotletami. Spodiewając się czegoś takiego, Barrie oprócz wina kupiła dwa porządne kawałki wołowiny. Gdy przygotowywała posiłek, Daily popijał wino dobrego rocznika z hrabstwa Sonoma.

Przyciągnął przenośny aparat tlenowy bliżej własnego krzesła i powiedział:

- Cronkite się podnieci, gdy poczuje ten zapach.

- Mało prawdopodobne. Został wysterylizowany.

- Och, zapomniałem. Nawet jego wykastrowałaś.

Z hukiem odstawiła na blat słoik marynaty i odwróciła się do niego.

- Nie zaczynaj!

- Kiedy to prawda. Pozbawiasz jaj każdego faceta, który stanie ci na drodze. To twój sposób na odrzucenie mężczyzny, zanim on sam zechce cię odrzucić.

- Ciebie nie odrzuciłam.

- Ja się nie liczę - odparł, śmiejąc się skrzekliwie. - Jestem za stary i zbyt chory. Nie stanowią żadnego zagrożenia. A w ogóle to nie powinnaś marnować wieczorów, żeby przychodzić do mnie. Jeśli jestem najlepszym facetem, jaki ci się trafił do towarzystwa, twoje życie jest żałosne.

- Ależ ja cię kocham, Daily. - Podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

- Daj spokój. - Odepchnął ją od siebie. - Nie przesmaż tych steków. Mój ma być krwisty.

Barrie nie oszukała szorstkością głosu Daily'ego. Odwzajemniał jej uczucie. Ich przyjaźń zaczęła się burzliwie, ale teraz nic nie mogło jej zagrozić. Osiągnęli ten wygodny poziom, na którym obelgi były niemal równe czułościom.

- Dałbym dwadzieścia lat życia za papierosa - powiedział, gdy nasyceni pili kawę w saloniku.

- Już to zrobiłeś.

- Och, racja. - Siedział na wytartym fotelu, obok stał aparat tlenowy. Plastikowe rurki dostarczające tlen ze zbiornika biegły bezpośrednio do nosa Daily'ego.

Barrie odpoczywała na sofie po drugiej stronie pokoju. Ułożyła nogi wyżej i przytuliła do piersi poduszkę.

- Niedawno widziałam się z kimś, kto miał atak głodu nikotynowego. Ktoś, kogo byś o to nigdy nie posądzał.

- Kto to taki?

- To poufna informacja.

- Komu miałbym o tym opowiedzieć? Oprócz ciebie nikt tu nie przychodzi.

- Gdybyś tylko zechciał, zjawiliby się tu inni twoi przyjaciele. Nikogo nie zapraszasz.

- Nie potrafię znieść ich współczucia.

- Powinieneś poszukać grupy wsparcia.

- A kto chciałby spędzać czas w towarzystwie ledwie dyszących cherlaków?

- Prowadziliśmy już podobną rozmowę wcześniej - odparła znużonym głosem - więc nie powtarzajmy jej dzisiaj.

- Mnie taki stan rzeczy odpowiada - warknął. - Kim jest ten tajemniczy palacz?

Zawahała się.

- Nasza Pierwsza Dama.

Uniósł brwi z zaciekawieniem.

- Nie bujasz? Drzączka przed wywiadem?

- Nie. To było w dniu, gdy spotkałyśmy się na kawie.

- Czy teraz, kiedy przeprowadziłaś z nią wywiad, nadal uważasz, że to głupia geś?

- Nigdy tak nie uważałam.

Spojrzał na nią badawczo.

- Z dziesięć razy tak mówiłaś o niej, siedząc w tym samym miejscu co teraz. Ślicznotka z Missisipi. Czyż nie tak ją przeżywałaś? Twierdziłaś, że należy do kobiet, które nigdy nie miały żadnej własnej myśli ani nawet nie udawały, że mają. Ze wszystkie jej opinie formułują mężczyźni. Mężczyźni, od których jest zależna, dokładnie rzecz biorąc ojciec i mąż. I że jest próżna i mdła. Czy coś opuściłem?

- Nie, chyba to wszystko. - Barrie, wzdychając, z roztargnieniem przesuwiała opuszkę palca po krawędzi filiżanki. - Nie zmieniłam opinii, ale teraz jest mi jej żal. Straciła dziecko. Boże...

- I co dalej?

Barrie nie zauważyła, że zamilkła, dopóki pytanie Daily'ego nie wyrwało jej z zamyślenia.

- Dalej? Nie rozumiem.

- Gryziesz policzek od środka, a to nieomylny znak, że coś cię trapi. Może mi się zwierzysz?

Potrafiła ukryć swoje uczucia przed każdym, nawet przed samą sobą, ale nigdy przed Dailym. Kiedy była zdezorientowana, zmartwiona czy przygnębiona, natychmiast wyczuwał to swoim wewnętrznym radarem, który kiedyś uczynił z niego doskonałego dziennikarza.

- Nie wiem, co to jest - odparła uczciwie. - To jakby...

- Swędzenie w czubkach palców?

- Coś w tym rodzaju.

- Prawdopodobnie na coś natrafiłaś, ale nie wiesz na co.

Daily pochylił się do przodu, jego oczy zaśniły jak oczy starego strażaka, który słyszy pierwsze dźwięki syren. Policzki się zaróżowiły, sprawiając, że wyglądał zdrowiej niż przez kilka ostatnich tygodni. Odmłodziła go woń świeżego tropu.

Jego zainteresowanie sprawiło, że Barrie poczuła się winna. Po co w ogóle poruszyła ten temat? Czekало go wielkie rozczarowanie. Prawdopodobnie nie było żadnego śladu. Ale czy mogło zaszkodzić mu podzielenie się z nim domysłami? Może właśnie on znajdzie w tym sens. Albo powie, że jej domysły są absurdalne.

- Cykl o SIDS wywołał ogromny odzew - zaczęła. - Czy mówiłam ci, że puścili to przez satelitę?

- To z pewnością prawdziwy awans - stwierdził Daily. - Właśnie tego chciałaś, prawda? Zatem w czym problem?

Barrie wpatrywała się w kawę, która wystygła i nie nadawała się już do picia.

- Kiedy spotkałam Vanesę po raz pierwszy, dręczyły ją wyrzuty sumienia, więc powiedziałam jej, że nikogo nie można winić za śmierć dziecka z powodu SIDS... to się po prostu zdarza. Ale ona spytała wtedy: „Czyżby?” Właśnie to pytanie i sposób, w jaki je zadała, zmusiły mnie do zainteresowania się SIDS. Potem w trakcie moich poszukiwań natknęłam się na historię kobiety, której czworo dzieci umarło z tego powodu, ale później udowodniono, że tak nie było.

- Cierpiała na ten... ten...

- Zespół Münchhausena - podsunęła Barrie. - Niektóre przypadki śmierci zdrowych niemowląt okazały się podejrzone. Oskarża się matki o zabicie własnych dzieci, bo chciały zwrócić na siebie uwagę otoczenia. Tak... - wzięła głęboki oddech, uniosła głowę i posłała Daily'emu znaczące spojrzenie.

Wytrzymał jej wzrok przez dłuższy czas, a potem powiedział:

- Może powinienem sprawdzić poziom tlenu. Albo nie dostaję dość, albo za dużo. Przez chwilę wydawało mi się, że sugerujesz, jakoby Pierwsza Dama Stanów Zjednoczonych zabiła własne dziecko?

Barrie odstawiła filiżankę na stolik i wstała.

- Nic podobnego.

- Na to wyglądało.

- Nic takiego nie sugeruję, Daily. Przysięgam.

- To skąd to gryzienie policzka?

- Nie wiem! Coś tu jest nie w porządku! - Barrie opadła z powrotem na sofę i oparła głowę na rękach. - W ciągu ostatnich kilku tygodni dwukrotnie spotkałam się z Vanessą Merritt. Za pierwszym razem była spięta jak narkoman po jednym dniu odtruwania... wyraźnie na skraju załamania nerwowego. W dniu wywiadu była zupełnie kimś innym. Opanowana. Chłodna. Wyniosła. Nienaganna. Tyle było w niej człowieka, co w tym stoliku.

- To był dobry wywiad.

- Był zupełnie beznamiętny, Daily - odparowała. Jego mina przekonała ją, że się z nią zgadza. - Powinien być uwieńczeniem całego cyklu, a okazał się jego najsłabszym punktem. Pani Merritt była taka sztuczna. Gdyby podobnie zachowywała się podczas pierwszego spotkania, pewnie nie zwróciłabym na to uwagi. Ale kontrast między pierwszą Vanessą Merritt a drugą był zbyt wyraźny.

- Pewnie połknęła kilka pastylek valium przed wejściem do studia - mruknął Daily, wzruszając ramionami.

- Jestem pewna, że tamtego wieczoru przed przyjęciem albo podali jej jakieś leki, albo była pijana. Wspaniała jak zwykle, ale jakaś niewyraźna. Prawie... nie wiem... jakby się bała. Prezydent zagadywał... Ale to zupełnie inna sprawa - stwierdziła, przerywając samej sobie. - Przywitał mnie, jakbyśmy byli starymi kumplami. Naturalnie pochlebilo mi jego zainteresowanie, ale pomyślałam, że to dość dziwne zachowanie. Z entuzjazmem wypowiadał się o moim programie. Zresztą wystarczy spojrzeć na te kwiaty. Za te pieniądze można by załatać dziurę w budżecie krajowym.

- Czy to nie rozwała w drobny mak twojej teorii? Nie zachowywałby się w ten sposób, gdyby twój program rzucał niekorzystne światło na jego żonę.

- Cóż... po prostu zaskoczyło mnie takie serdeczne traktowanie. Od dłuższego czasu komentuję działania Białego Domu. Dlaczego tak zniechęca Merritt się ze mną zaprzyjaźnił?

- Barrie, jesteś dziennikarką. A on w przyszłym roku ponownie staje do wyborów. Musi obłaskawić wszystkich dziennikarzy. Obłaskawisz prasę, wygrasz wybory.

Musiała uznać trafność tej uwagi. David Merritt od czasów pierwszej kadencji w Kongresie wiedział, jak przypodobać się mediom. Jego miłość do żony przetrwała całą kampanię prezydencką. Później złoto zaczęło się trochę przecierać, ale komentarze wciąż pozostawały przychylnie. Jednak Barrie Travis była reporterką małej stacji telewizyjnej o zerowym wpływie. Dlaczego Merritt miałby ją oblaskawiać?

Od pierwszego spotkania z żoną prezydenta Barrie goniła myślami od jednej zagadki do następnej.

- Mogłabym wzruszyć ramionami i zlekceważyć wszystkie te sprzeczności, gdyby nie jedna sprawa - powiedziała Daily'emu. - I uważam, że to jest naprawdę coś niesamowitego. Kiedy skończyliśmy wywiad, pani Merritt uściskała mnie. Mnie.

Daily nadal grał rolę adwokata diabła.

- Doskonale propagandowe posunięcie.

- Nie, to był pretekst.

- Do czego?

- Żeby się do mnie zbliżyć i szepnąć mi coś do ucha. Powiedziała: „Barrie, proszę, pomóż mi. Czy nie rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?”

- Cholera!

- Właśnie. Po raz pierwszy Vanessa pokazała wtedy szczere emocje. Była zrozpaczona. Jak sądzisz, o co jej chodziło?

- Skąd do diabła mam wiedzieć? Mogło to oznaczać: pomóż mi, aby mojego męża ponownie wybrano. Albo: pomóż mi zwrócić uwagę społeczeństwa na SIDS. Albo: pomóż mi zapomnieć o mojej żałobie. Mogło znaczyć wszystko i nic.

- Jeśli nic, to rzeczywiście nic - mruknęła Barrie. - Ale jeśli coś w tym jest, to nic z tego nie rozumiem.

Daily pokręcił głową.

- Nadal nie jestem przekonany o jej winie. Dlaczego miałyby zabijać własne dziecko, skoro tak bardzo chciała je mieć?

- Myślałam, że już to ustaliliśmy. Zespół Münchhausena.

- Nie pasuje do opisu tego przypadku - powiedział. - Kobiety cierpiące na to szukają współczucia i uwagi otoczenia. Vanessa Merritt pokonała księżniczkę Dianę w liczbie wzmianek w prasie. Ma skupioną na sobie uwagę całego świata.

- Ale czy zwracają na nią uwagę ludzie, którzy naprawdę się dla niej liczą?

- Prezydent? Myślisz, że jest zaniedbywaną żoną i zrobiła to, żeby potrząsnąć swoją złotą klatką?

- To możliwe.

- Mało prawdopodobne.

- Ale możliwe - powtórzyła z naciskiem Barrie. - Pamiętasz współczucie, jakie ludzie okazywali Jackie Kennedy, kiedy umarł mały Patrick? Stała się świętością.

- Z wielu innych powodów, nie tylko dlatego, że straciła dziecko.

- Jednak ta tragedia bardzo przyczyniła się do legendy, jaką się stała. Może pani Merritt chce wywołać podobne zainteresowanie swoją osobą?

- To tylko jeszcze jedna teoria - skwitował Daily z lekceważącym gestem.

- A HIV? Może jedno z nich jest nosicielem wirusa? Dziecko prawdopodobnie miałooby dodatni wynik. Pani Merritt nie mogła ryzykować upokorzenia wobec świata, gdyby poznano seksualną przeszłość jej lub jej męża.

- Jeszcze jedna bardzo wątpliwa możliwość - mruknął Daily. - Jeśli któreś z nich było nosicielem HIV, wyszłoby to na jaw dużo wcześniej... wówczas, gdy Vanessa Merritt zaszła w ciążę. Prezydent poddaje się rutynowym badaniom lekarskim. Taki sekret bardzo krótko byłby sekretem.

- Chyba masz rację. - Zastanawiała się przez chwilę. - Może nie dostrzegamy czegoś oczywistego. A jeśli jej motyw wynikał z gniewu? Odniosłam wrażenie, że jest kobietą przyzwyczajoną do tego, aby wszystko szło po jej myśli, kobietą, która nie zniosłaby odrzucenia.

- O co ci chodzi?

- Może zabiła syna, aby ukarać prezydenta za jego romanse?

- To tylko plotki.

- Daj spokój, Daily. Wszyscy wiedzą, że Merritt to kobieciarz. Tylko po prostu nikt go jeszcze nie złapał w łóżku z kobietą.

- Dlatego dopóki go nie złapią, a zespół programu *60 minut* nie znajdzie się na miejscu, żeby to sfilmować, i Mike Wallace nie zdobędzie jego przyznania się do winy przed kamerą, eskapady prezydenta pozostaną tylko plotkami.

- Pani Merritt musi o nich wiedzieć.

- Oczywiście, że wie. Ale będzie się uśmiechała i udawała, że nie wie, tak jak każda żona każdego jurnego urzędnika państwowego.

- Jednak nadal uważam, że odrzucona kobieta może być zdolna do wszystkiego.

Daily w zamyśleniu skubał palcami dolną wargę.

- Barrie, swoim cyklem zwróciłaś na siebie uwagę środowiska. Tym razem pozytywną.

- Moja chwila w świetle reflektorów nie ma tu nic do rzeczy.

- Jesteś pewna? Ten cykl był tak dobry, że przesłonił wpadkę z sędzią Greenem i dowiódł, że twoi krytycy nie mieli racji. Zasłużyłaś na pochwały, ale strzeż się, żebyś nie stała się zachłanna. Czy nie traktujesz tego całego zamieszania wokół swojej osoby jako możliwości wydobycia się z zawodowego niebytu?

Barrie już miała kategorycznie zaprzeczyć, lecz zawahała się. Musiała się zastanowić. Może interpretowała fakty tak, aby odpowiadały jej celom? Może pozwalała, by ambicja miała wpływ na jej obiektywizm? Albo, co gorsza, wróciła do starego nawyku ubarwiania rzeczywistości, aby nadać całej historii bardziej dramatyczny wydźwięk?

- Uczciwie mówię: nie - oświadczyła po chwili. - Spojrzałam na to obiektywnie i pod różnymi kątami. Ta kobieta straciła dziecko. Zyskała z tego powodu moje serdeczne współczucie. Być może jednak nie jest ofiarą okrutnego losu, lecz ofiarą potwornego zła, które doprowadziło ją do popełnienia najgorszej zbrodni, jaką można sobie wyobrazić. Właśnie to pytanie mnie dręczy. Od samego początku wszystko wydawało się takie podejrzane. Dlaczego zadzwoniła i zaprosiła mnie na spotkanie? Nigdy przedtem tego nie robiła... nie spotkała się z nikim, kogo znam. Kiedy rozmawialiśmy, zachowywała się, jakby chciała mi coś powiedzieć, nie mówiąc tego wprost. A jeśli miało to być wyznanie winy? Gdyby nie była Pierwszą Damą, nie czekałabym tak długo ze sprawdzeniem wszystkich szczegółów. Muszę pokopać głębiej. Wiem, że zabrzmiało to okropnie banalnie, ale uważam, że jestem to winna naszemu narodowi.

- W porządku - powiedział Daily. - Ale pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie...

- Strzelaj.

- Co ty do diabła jeszcze tu robisz?

Rozdział szósty

Po tygodniu nieprzerwanego podążania śladami, które prowadziły donikąd, zapal Barrie zaczął powoli stygnąć.

Sprawdziła każdy punkt, jaki ustalili z Dailym, jednak nic z tego nie wyszło. Znalazła się w zakętym kręgu. Przygotowanie reportażu wymagało szczegółowego dochodzenia, przeprowadzonego przez fachowców, ale nie można było tego zrobić bez rozgłoszenia całej sprawy.

Co gorsza, prostata Howiego znowu dała mu się we znaki - oczywiście opisał jej wszystkie odpychające szczegóły - i zrzędził bardziej niż zwykle. Zazdrosny o sukces cyklu Barrie, zlecał jej tematy, których nie chcieli realizować inni reporterzy, takie z samego końca listy. Przygotowywała materiały bez skargi, najszybciej jak to możliwe, aby móc poświęcić więcej czasu na sprawę śmierci Roberta Rushtona Merritta.

Nawet sama myśl o tym, że Pierwsza Dama zadusiła własnego synka, była zbrodnią stanu. Jaką karę wymierzają za zbrodnię stanu? Publiczne powieszenie? Pluton egzekucyjny?

Barrie zaczęła się obawiać, że to ona, a nie Vanessa Merritt, cierpi na jakieś zaburzenia umysłowe. Słyszała załamania głosu tam, gdzie ich nie było, doszukiwała się ukrytych znaczeń w banalnych uwagach. Powinna zapomnieć o tym i skoncentrować się na tematach, które jej przydzielał Howie, a nie ryzykować całej swojej przyszłości dla gwiazdy, która prawdopodobnie wybuchnie, utworzy wielką czarną dziurę wokół niej i zniszczy nadzieję na karierę.

Ale nie potrafiła zrezygnować. Co by było, gdyby Bernstein i Woodward zlekceważyli informację o Watergate?

Kiedy siedziała u siebie w boksie przeglądając notatki, jej rozmyślania przerwał reżyser dziennika wieczornego.

- Cześć, Barrie. Robiłaś wstęp do reportażu na dziś wieczór?

- Tak. A co się stało?

- W mikrofonie szumiało. Howie mówi, że powinnaś jeszcze raz zrobić ten wstęp bezpośrednio ze studia.

Zerknęła na zegar stojący na biurku. Zostało jej osiem minut do wejścia na antenę.

- Na wypadek, gdybyś tego nie zauważył, chciałabym cię poinformować, że po południu po zdjęciach całkiem przemokłam. Jeszcze mam mokre włosy.

- Ale twój makijaż jest cały... - Gesty dłonią przy twarzy Barrie były zniechęcające. - Albo to zrobisz, albo skreślą ci materiał. Howie twierdzi, że to twoja wielka szansa na zostanie gwiazdą.

- Czemu mnie to nie dziwi? - westchnęła. - Oczywiście, zrobię ten wstęp. - Sięgnęła po plecak. - Gdyby mnie ktoś szukał, jestem w damskiej toalecie.

- Stanę przed drzwiami i będę się modlił o cud! - zawołał za nią reżyser.

Po programie Barrie wróciła do biurka i sprawdziła zostawione wiadomości. Jedna była od wariata, który dzwonił do niej od lat i twierdził, że producenci popularnego środka przeczyszczającego rzucili na niego urok, powodujący u niego chroniczne zatwardzenie. Następna od wariatki podającej się za Charlene, która twierdziła, że Barrie jest tępa i zwyczajnie głupia. Ostatnia wiadomość pochodziła od Anny Chen, informatora ze Szpitala Miejskiego.

- Anna?

- Cześć.

Głos Anny Chen był przytłumiony. Barrie zauważyła, że nie zwróciła się do niej po imieniu, chociaż bez wątpienia ją rozpoznała. Sięgnęła po notes i ołówek.

- Chodzi o sprawę, o której rozmawialiśmy kilka dni temu? - zapytała urzędniczka szpitalna.

- Tak.

- Nie ma żadnego raportu.

- Rozumiem. - Barrie czekała, wyczuwając, że kobieta ma jej coś jeszcze do powiedzenia.

- Nigdy nie przeprowadzono badań.

Barrie z trudem przełknęła ślinę.

- Nie przeprowadzono? Czy to... czy można pominąć tę procedurę? Czy w tych niezwykłych okolicznościach nie była obowiązkowa?

- Zazwyczaj tak. Jednak w tym przypadku lekarz prowadzący stwierdził, że nie jest konieczna. Zarządził, aby odstąpiono od procedury, i tak się stało.

Doktor George Allan, osobisty lekarz prezydenta, kazał koronerowi nie przeprowadzać sekcji zwłok? Barrie tak mocno przycisnęła ołówek do kartki, że złamała grafit.

- Jesteś pewna?

- Muszę już kończyć.

- Mogę ci zadać jeszcze kilka pytań?

- Przykro mi, ale nie.

Anna Chen odłożyła słuchawkę. Barrie wepchnęła notatki do plecaka, złapała płaszcz i parasolkę, po czym wybiegła z redakcji.

Właściwie nie spodziewała się, że Anna Chen będzie na nią czekała w swoim biurze w szpitalu, ale była rozczarowana, gdy stwierdziła, że w pokoju jest ciemno. Wróciła do samochodu i złapała za telefon komórkowy.

- Czy masz książkę telefoniczną? - spytała natychmiast, gdy tylko Daily się odezwał.

- Dobry wieczór.

- Nie czas na uprzejmości.

Usłyszał niecierpliwość w jej głosie i spytał:

- Miasto?
- Chyba tak. Szukaj adresu Anny Chen. C-h-e-n - przeliterowała.
- Kto to jest?
- Nie mogę powiedzieć.
- Och, naturalnie. Informator. O co chodzi?
- Za długo, żeby o tym rozmawiać przez telefon.
- Widziałem cię dzisiaj w wieczornym dzienniku - powiedział. Barrie słyszała szelest przerzucanych kartek.

- Jak wyglądałam?
- Widziałem brzydsze.
- Tak źle...? Jak ci idzie z Chenami?
- Nie ma Anny, ale jest A. Chen.
- Podaj mi numer telefonu i adres.

Urzędniczka mieszkała w niedawno przebudowanym domu w modnej dzielnicy Adams Morgan, w sąsiedztwie różnych grup etnicznych. Remont budynku nie objął windy, więc Barrie zadyszała się, nim weszła na trzecie piętro. Nie chcąc stworzyć Annie Chen możliwości uniknięcia rozmowy, nie uprzedziła jej telefonicznie. Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała przez drzwi włączony telewizor.

Zadzwoiła. Natychmiast wyłączono głos w telewizorze. Wyczuła, że ktoś jej się przygląda przez wizjer.

- Proszę, Anno, muszę z tobą porozmawiać - powiedziała.

Po dłuższej chwili odsunięto zasuwę, potem otwarto drzwi na łańcuch, lecz tylko odrobinę. Przez szparę Barrie zobaczyła jedynie połowę ładnej twarzy Anny Chen.

- Co tu robisz? Nie powinnaś tu przychodzić.
- Ale skoro już przyszłam, czy mogę wejść?
- Czego chcesz?
- Czego chcę? Czy to nie oczywiste? Chcę zapytać, dlaczego nie przeprowadzono sekcji zwłok...
- Nie zamierzam na ten temat z tobą rozmawiać. I proszę, żebyś mnie więcej nie niepokoiła.

- Anno! - Barrie wsunęła stopę w drzwi. - Nie rozumiem. Nie możesz ot tak sobie zadzwonić, poczęstować mnie czymś takim, a potem nie...

- Nie wiem, o czym mówisz.

Barrie nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Anno, co się dzieje? Nie rozumiem.

Nagle zrozumiała. Z pięknych migdałowych oczu wyzierał strach.

Ścisząc głos do szeptu spytała:

- Czy ktoś ci zakazał ze mną rozmawiać?
- Proszę, odejdz...

- Czy ktoś cię ostrzegwał, żebyś ze mną nie rozmawiała? Czy ktoś ci groził? Kto, Anno? Twoi przełożeni w szpitalu? Ktoś z biura koronera? Doktor Allan? - indagowała Barrie ściszym głosem. - Nie będziesz wymieniona z nazwiska jako mój informator. przysięgam. Tylko kiwnij głową, czy mam rację. Doktor George Allan polecił urzędnikom biura koronera nie przeprowadzać sekcji zwłok. Czy to polecenie samego prezydenta?

Przerażona kobieta raz jeszcze próbowała zamknąć drzwi, które ścisnęły stopę Barrie jak imadło.

- Anno, proszę, powiedz mi, co wiesz.

- Odejdź. Zostaw mnie w spokoju.

Kobieta całym swoim ciężarem pchnęła drzwi. Barrie rozsądnie usunęła stopę. Została sama na korytarzu, wpatrując się w mosiężne cyfry na drzwiach wskazujące mieszkanie 3C i zastanawiając się, kto do diabła zmusił Annę Chen do milczenia. I dlaczego.

Vanessa Merritt włączyła telewizor w swoim prywatnym apartamencie. Przelatywała kanały, aż przypadkiem złapała Barrie Travis w studiu wiadomości WVUE. Jak ta dziewczyna może być taka głupia? Dlaczego nie pojęła aluzji? Mimo to Vanessa odczuła ulgę.

Nie chciała, aby jej tajemnica wyszła na jaw, ale nie wiedziała, jak długo uda jej się zatrzymać ją dla siebie. Bała się, że ją to zabije.

Nalała sobie jeszcze jeden kieliszek zakazanego wina. Do diabła z reprimendami lekarza, ojca, męża. Skąd mogli wiedzieć, czego potrzebuje, a czego nie? Nie byli w stanie zrozumieć, jak cierpi. Wszyscy byli przeciw niej. Oni...

Myśl odpłynęła, zanim Vanessie udało się ją dokończyć. Często się to zdarzało. Wyglądało na to, że nie może utrzymać myśli w głowie dłużej niż kilka sekund, potem zaraz jej uciekała.

O czym myślała przed chwilą?

O dziecku, tak. Jak zawsze. Ale było coś jeszcze.

Kiedy powiodła spojrzeniem po odbiorniku, przypomniała sobie. Barrie Travis. Głupia suka. Czy naprawdę trzeba ją walnąć młotkiem w głowę, żeby coś pojęła? Dlaczego nic do niej nie dotarło? Była głupia czy tchórzliwa? Na jedno wychodzi. Z tej strony nie należało się spodziewać żadnej pomocy.

Vanessa uważała, że postąpiła bardzo sprytnie, wykorzystując Barrie Travis jako konfesjonał. Pomysł ten przyszedł jej do głowy, kiedy zobaczyła reporterkę na konferencji prasowej w ogrodach Białego Domu. Czy to nie ona przekazała wtedy informację o „śmierci” Greena, sędziego Sądu Najwyższego? Czy to nie ona zadała niewiarygodnie głupie pytanie, które wywołało wybuch śmiechu?

Zła opinia o Barrie Travis czyniła z niej doskonałe narzędzie dla celów Vanessy. Należało rzucić kilka aluzji komuś nieodpowiedzialnemu, komuś, kto by wywołał lawinę, komuś, kto zacząłby zadawać pytania, które w pierwszej chwili wydawałyby się dziwaczne, ale na które poważni gracze poszukaliby potem odpowiedzi. Gdyby Vanessa porozmawiała z jakimś dziennikarzem z ekstraklasy telewizyjnej, narażałaby się na zdemaskowanie. A w ten sposób wszystko wyjdzie na jaw, ale nie bezpośrednio od niej.

Przynajmniej taką miała nadzieję. Jednak Barrie Travis okazała się kiepskim wyborem. Była nie tylko lekkomyślna, ale i głupia.

Gdzie jeszcze mogła się zwrócić?

Sięgnęła po telefon.

- Cześć, tato.

- Witaj! - odpowiedział senator. - Właśnie miałem do ciebie zadzwonić. Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Cichy wieczór w domowych pieleszach?

- David wygłasza przemówienie na konferencji jakichś związków zawodowych. Zapomniałam gdzie.

- Chcesz, żebym przyjechał i dotrzymał ci towarzystwa?

- Nie, ale dziękuję za propozycję. - Kiedy był z nią ojciec, nie mogła pić tyle, ile chciała.

- Nie powinnaś być sama, kochanie.

- David wraca wieczorem. Będzie późno, ale obiecał, że mnie obudzi.

Po krótkiej przerwie, podczas której z łatwością wyobraziła sobie zmarszczone czoło ojca, powiedział:

- Może powinnaś zwrócić się do ginekologa? Czy nie mógłby ci dać jakichś hormonów lub czegoś w tym rodzaju? - Wszystkie kobiece dolegliwości kojarzył z zaburzeniami hormonalnymi.

- To by zraniło uczucia George'a.

- Pieprzę George'a i jego uczucia! - zagrział senator. - Mówimy o twoim zdrowiu. George to miły facet i zakładam, że jest kompetentnym lekarzem, ale ty potrzebujesz specjalisty. Potrzebny ci psychiatra.

- Nie, tatusiu. Nie, nie potrzebuję. Wszystko jest pod kontrolą.

- Utrata małego Roberta wytrąciła cię z równowagi.

Vanessa upiła łyk wina, żeby stłumić poczucie winy, wywołane jego słowami.

- David by tego nie pochwalał. Pierwsza Dama nie może leczyć się u psychiatry.

- Można to załatwić w tajemnicy. Zresztą nikt o tobie źle nie pomyśli, jeśli poprosisz o pomoc, której tak bardzo potrzebujesz. Porozmawiam o tym z Davidem.

- Nie!

- Dziecinko...

- Proszę, tatusiu, nie martw go. Przejdzie mi. Po prostu zabierze mi to trochę więcej czasu.

Uczyła się na kolanach senatora Cletusa Armbrustera, jak prowadzić rozmowy. Zanim powiedzieli sobie dobranoc, uzyskała od niego obietnicę, że nie będzie dyskutował z Davidem o jej zdrowiu.

Aby się uspokoić, popiła następne valium winem, powędrowała do łazienki i przebrała się w koszulę nocną i szlafrok. Usiadła w łóżku opierając się o poduszki i próbowała zająć się osobistą korespondencją, ale nie panowała nad piórem. Próbowala czytać najnowszy bestseller, o którym wszyscy mówili, ale stwierdziła, że z trudem skupia wzrok i rozumie tylko poszczególne słowa. Już miała zrezygnować i wyłączyć lampę, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Wstała z łóżka i przeszła przez pokój.

- Vanessa?

Otworzyła drzwi.

- Witaj, Spence.

- Spalaś?

- Czytałam. - Spence zawsze wytrącał ją z równowagi. Przeczesała palcami włosy. - O co chodzi?

- Prezydent prosił mnie, żebym zajrzał do ciebie.

- Doprawdy? - zapytała z sarkazmem w głosie.

- Było mu przykro, że musi cię zostawić samą dziś w nocy.

- Dlaczego dziś w nocy miało być inaczej?

Spencer Martin nawet nie mrugnął. Żeby go sprowokować, trzeba było czegoś więcej niż impertynencja. Nawet jeśli udało się go sprowokować, to nigdy tego nie okazywał. Tak go wyszkolono.

- Czy ci coś przynieść? - spytał z powściągliwą uprzejmością.

- Na przykład co?

- Cokolwiek.

- Nie trudź się.

- To żaden kłopot. Jak się czujesz?

- Rewelacyjnie, do kurwy nędzy. A jak ty się czujesz?

- Jesteś przygnębiona. Pozwól, że zadzwonię do doktora Allana, żeby do ciebie przyjechał.

- Nie potrzebuję go! - krzyknęła. - Potrzebuję... - przerwała, żeby zebrać odwagę. - Potrzebuję, żeby ktoś zrozumiał, że miałam syna, który teraz nie żyje.

- Wszyscy to zrozumieli, Vanesso. Po co to rozpamiętywać? Jaki sens ma rozważanie faktu, że twój syn...

- Użyj jego imienia, draniu! - Skoczyła naprzód i chwyciła klapy marynarki Spencera. - Tak trudno wam obu z Davidem nazywać go po imieniu? Sumienie wam nie pozwala! - krzyczała.

Do pokoju wbiegł agent Tajnej Służby.

- Czy coś się stało, panie Martin?

- Pierwsza Dama źle się czuje - odparł. - Proszę wezwać doktora Allana. Ma natychmiast przyjechać.

Pchnął Vanessę do wnętrza pokoju i zamknął drzwi.

- Chcesz mnie zamknąć w sypialni, Spence?

- W żadnym razie. Jeśli chcesz robić z siebie przedstawienie na oczach służby, to proszę bardzo - odparł spokojnie.

Vanessa umilkła, ale z przekory naląła sobie kolejny kieliszek wina. Zanim przyjechał lekarz, wypła go i naląła następny.

- Upiła się, George - oznajmił Spence.

Kiedy lekarz próbował ją zbadać, opierała się.

- Vanesso, bierzesz leki, których nie wolno łączyć z alkoholem - powiedział.

Spence kazał mu dać jej coś, żeby się uspokoiła.

- Doprawdy nie powinienem... Musiałbym zwiększyć dawkę, żeby lekarstwo zadziało.

- Nic mnie nie obchodzi, co musiałbyś - odparł Spence.

Vanessa odsłoniła ramię.

- Daj mi ten cholerny zastrzyk! Tylko w czasie snu zaznaję spokoju.

Gdy środek zaczął działać, do pokoju wkroczył David. Był wściekły.

Cholernie niedobrze, panie prezydencie, pomyślała Vanessa.

W nogach jej łóżka prezydent, Spence i doktor Allan przyciszonymi głosami prowadzili rozmowę. Pod jej koniec usłyszała, jak Spence stwierdza:

- Nie możemy pozwolić, by to dłużej trwało.

Co to właściwie miało znaczyć? Przedtem pragnęła pograżenia się w zapomnieniu, ale teraz próbowała się z niego wydobyć.

Spała głęboko, gdy tuż przed świtem przyszli po nią.

Rozdział siódmy

Prezydent Merritt skończył rozmowę telefoniczną z Barrie Travis i zwrócił się do swego doradcy.

- Co o tym sądzisz?

Spencer Martin słyszał każde słowo przez głośnik.

- Dobrze sobie z nią poradziłeś - odparł. - Odmówiłeś jej prośbie, ale zrobiłeś to z wdziękiem. Czy łączyła się przez Daltona?

- Tak. Zagrała zgodnie z przepisami.

- Zatem osobista odmowa była jeszcze większą uprzejmością z twojej strony. Podejrzewam, że chciała poprosić o wywiad w kwestii strategii twojej kampanii wyborczej. Wywiad na wyłączność. Jest w dobrych stosunkach z Vanessa, a ty posłałeś jej kwiaty, więc zaczęło jej się wydawać, że ma własne wejście do Gabinetu Ovalnego.

David Merritt wyglądał przez okno wychodzące na starannie przystrzyżone trawniki wokół Białego Domu. Zwiedzający stali w kolejce wzdłuż żelaznego ogrodzenia, czekając na oprowadzenie. Będą mogli pogapić się na sztuce należące do poprzednich prezydentów.

Pogardzał amerykańskim społeczeństwem, ale uwielbiał bycie amerykańskim prezydentem. Nigdy nie brał pod uwagę, że może nie być drugiej kadencji. Powtórny wybór był sprawą przesądzoną. Właśnie taki program sobie założył w przyczepie w Biloxi. Nic nie miało prawa zniszczyć przyszłości, jaką sobie wyznaczył David Malcomb Merritt. Nic.

Jakby czytając w jego myślach, Spence powiedział:

- Ciekawe, dlaczego pytała o Vanesę.

- Wszystkich teraz obchodzi stan zdrowia mojej żony. Byłoby podejrzane, gdyby o niej w ogóle nie wspomniała.

- Być może - mruknął Spence.

Brak przekonania w jego głosie sprawił, że Merritt odwrócił się do niego z pytającym spojrzeniem.

Spence wzruszył ramionami.

- Barrie Travis wyłoniła się z niebytu zaledwie kilka tygodni temu. Teraz, gdzie się nie obrócimy, wszędzie jej pełno. - Zaklął po cichu. - Co też Vanessie przyszło do głowy? Ta reporterka jest nienasycona. Rozumiem jej węszenie wokół szpitala przed cyklem o SIDS, ale dlaczego węszyła potem?

- Mnie to też zaniepokoiło - przyznał Merritt. - Jej informatorce uświadomiono, że popełnia błąd. Pannie Travis będzie bardzo trudno znaleźć inny kontakt w tym szpitalu.

Barrie Travis mogła uważać, że nikt nie wie o jej informatorach, lecz bardziej tajemnicze były kontakty Spence'a. Prezydent nie zapytał, kto ani w jaki sposób wyjaśnił Annie Chen, że popełnia błąd przekazując poufne informacje dziennikarzom. Spence go zapewnił, że sprawę załatwiono, a jeśli Spence tak powiedział, można mu było wierzyć.

Martin był dobry w takich sprawach. Jeśli pojawiał się problem, zajmował się nim. Nie wymagał wyjaśnień ani uzasadnienia. Nie zawracał sobie tym głowy. W przeciwieństwie do ich przyjaciela Graya Bonduranta, który upierał się, żeby mu powiedziano „dlaczego” i „po co” przy każdej cholernej prośbie.

Kiedy sytuacja wymagała działania, David Merritt żądał działania bez tłumaczenia powodów. Wymagał posłuszeństwa i nic go nie obchodziła moralna strona czynu. Gray natomiast tak. Moralność miała dla Graya ogromne znaczenie.

- Uważam, że Barrie Travis jest po prostu nadgorliwa. Miała swoje pięć minut i teraz chce je przedłużyć. Niestety staje się niewygodna. - Prezydent zachichotał. - Jest do niczego i wszyscy o tym wiedzą. Nie jest dość sprytna, żeby narobić szkody.

- Nie wiem, Davidzie - odparł Spence z troską. - Uważam, że jest bystrzejsza, niż się powszechnie sądzi. Gdyby nie ta nagłośniona w prasie gafa, mogłaby stać się w mediach osobistością, z którą trzeba by było się liczyć. Jej nieustępliwość sporo mówi o jej charakterze.

- Lub o jej lekkomyślności i przeroście ambicji.

- Ale jeśli dalej będzie się tak zachowywała, to może nam zaszkodzić.

Merritt zerknął na swego doradcę. Między nimi słowa nie były potrzebne. Jak partyzanci walczący w dżungli otoczonej przez wroga, potrafili się porozumiewać bez słów, oczami ostrzegając się nawzajem przed grożącym niebezpieczeństwem. Tym razem też tak było.

- Jeśli będziesz się dzięki temu lepiej czuł, Spence, załatw to.

- Będę się lepiej czuł.

Barrie wpatrywała się z zamyśleniem w zapis rozmowy telefonicznej z prezydentem Merrittem. Nie potrafiła znaleźć błędu w niczym, co mówił ani jak mówił. Była to przyjacielska pogawędka. Stanowczo, choć uprzejmie odmówił jej prośbie o wywiad na wyłączność, ale jej to nie rozczarowało ani nawet nie zaskoczyło. Prośba o wywiad była jedynie pretekstem. Prawdziwym celem rozmowy była chęć pytania o Pierwszą Damę.

Od tamtego wietrznego, pochmurnego dnia, kiedy spotkała się z Vanessą Merritt na kawie, szukała dramatu pod każdą cegłą w Waszyngtonie. Jednak nic się nie udało znaleźć. Informatorzy zamilkli. Pager, który miała przy sobie przez dwadzieścia cztery godziny, a którego numer znali tylko informatorzy i Daily, nie zapiszczał ani razu, więc złamała zasady i zaczęła sama do nich dzwonić. Nikt nic nie wiedział. Była już gotowa przyznać, że znowu poniosła ją wyobraźnia, i wtedy wydarzył się ten tajemniczy incydent z Anną Chen. Następnego ranka Dalton Neely zwołał konferencję prasową. Ogłosił, że pani Merritt usuwa się w domowe zacisze na czas nieokreślony, po czym odczytał krótkie oświadczenie prezydenta:

„Senator Armbruster i ja uważamy, że obowiązki Vanessy jako Pierwszej Damy nie pozwoliły jej na pełne odzyskanie sił po tragicznym odejściu naszego syna. Odzyskanie sił fizycznych i psychicznych to powinność pani Merritt wobec rodziny i kraju, zanim ponownie podejmie wyczerpujące obowiązki. Z

tych powodów obecnie potrzebny jest jej dłuższy odpoczynek”.

Pytania z sali łatwo było przewidzieć. Pani Merritt będzie odpoczywać pod kontrolą doktora George’a Allana, odpowiedział Neely jednemu z dziennikarzy. Stanowczo zaprzeczył, jakoby chodziło o nadużywanie alkoholu czy innego środka odurzającego. Kiedy Barrie przekrzywała kolegów pytając o datę powrotu Pierwszej Damy do normalnych zajęć, usłyszała, że jest jeszcze zbyt wcześnie na tego rodzaju pytania.

Od tamtej pory Neely regularnie przekazywał dane o stanie zdrowia pani Merritt spragnionym wieści dziennikarzom. Według doktora Allana odpoczynek przynosił pomyślne rezultaty. Tego ranka, kiedy Barrie rozmawiała z prezydentem, podziękował za pytanie o żonę i obiecał przekazać pozdrowienia. Powiedział, że jej zdrowie bardzo szybko się poprawia.

Kłamał.

- Cholera - mruknęła Barrie. Znowu poczuła swędzenie w czubkach palców. Coś tu nie grało. Sięgnęła po telefon.

- Szpital Miejski. Z kim chce pani rozmawiać?

- Z Anną Chen.

- Pani Chen już tu nie pracuje.

- Co takiego?

- Pani Chen już tu nie pracuje. Czy mam połączyć z kimś innym?

- Ach, nie. Dziękuję.

Barrie odłożyła szybko słuchawkę i wystukała numer domowy Anny Chen. Uprzejmy, nagrany komputerowo głos powiedział jej, że ten numer został odłączony. Po pięciu minutach Barrie siedziała już w samochodzie i pędziła do domu Anny Chen. Biegiem pokonała schody na trzecie piętro i nacisnęła dzwonek przy drzwiach oznaczonych 3C. Po kilku dzwonekach zrozumiała, że mieszkanie jest puste.

Zniechęcona zadzwoniła do drzwi po drugiej stronie korytarza. Kiedy przycisnęła ucho do drewna, usłyszała w środku prowadzoną szeptem rozmowę.

- Halo? - zawołała. - Szukam pani Chen.

Sąsiad był młodym typkiem z włosami gładko zebranymi w kucyk. Miał na sobie koszulę z wyhaftowanym monogramem, rozpiętą aż do pasa. Spodnie musiał zapinać w pośpiechu, bo róg koszuli wystawał z rozporoka. Barrie zerknęła mu przez ramię i zobaczyła, że zabawiał młodą kobietę. Jedli obiad na podłodze w salonie.

- Przepraszam, że przeszkadzam...

- Anna Chen już tu nie mieszka. Wyprowadziła się - odparł, wyraźnie chcąc jak najszybciej wrócić do obiadu. Lub czegoś innego.

- Kiedy?

- W zeszłym tygodniu. W piątek, może we czwartek. W każdym razie przed końcem tygodnia, bo w sobotę właściciel przysłał ekipę do sprzątnięcia. Cały dzień kręcili się tutaj.

- Czy może pan wie...
- Dokąd się przeprowadziła? Nie. Wiem, że pracuje w Szpitalu Miejskim.
- Już nie.
- Aha. To nic więcej nie wiem.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Daily. - Barrie weszła do domu przez kuchenne drzwi. W kuchni unosił się zapach jedzenia.

- Jak mogłem odrzucić takie serdeczne zaproszenie? „Bądź o siódmej. Zaczynj szykować kolację”.

Daily stał przy kuchni, mieszając w rondlu sos do spaghetti. W pasie zawiązał fartuch z Mikołajami. Barrie przypomniała sobie, że kilka lat temu dostała ten fartuch w prezencie, ale nie widziała go od tamtej pory. Zastanawiała się, gdzie Daily go znalazł.

- Pysznie pachnie. - Poklepała Cronkite'a, szalejącego z radości na jej widok. - Nakarmiłeś go?
- Surowym mielonym mięsem. - Daily odłożył łyżkę i odwrócił się do Barrie. - Dlaczego musiałem pójść za róg, pospacerować alejką i wejść przez drzwi kuchenne? Bawimy się w szpiegów?
- Wyjaśnię ci po kolacji.

Dopilnował, by dotrzymała obietnicy. Gdy tylko sprzątnęli talerze, usiedli wygodnie w saloniku. Przynajmniej Daily usiadł wygodnie w głębokim fotelu z głową Cronkite'a na kolanach. Barrie krążyła niespokojnie po pokoju. Dwa razy sprawdziła, czy zamknęła zasuwę w drzwiach frontowych. Zamknęła też okiennice, by nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do środka.

- Co się do diabła dzieje? - spytał zdziwiony Daily.

Położyła palce na ustach i włączyła telewizor. Nastawiła głośność tak, że pękały bębunki, a potem przysunęła swoje krzesło do fotela Daily'ego.

- Pewnie pomyślisz, że dramatyzuję - zaczęła - ale wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi. Dziś po południu zrezygnowałam z telefonu komórkowego. Nie chcę, żeby ktoś miał możliwość nagrania rozmowy. Musimy bardzo uważać, co mówimy, zwłaszcza o Vanessie Merritt.

Pokazał głową w kierunku ryczącego telewizora.

- Wydaje ci się, że w domu założono podsłuch?
- Wcale by mnie to nie zdziwiło. - Opowiedziała mu o zniknięciu Anny Chen i dodała: - Rozmawiałam z dozorczynią. Anna nikogo nie uprzedziła, tylko poprosiła o zwrot kaucji, spakowała się i rozplynęła w powietrzu.
- Mogła mieć tysiąc powodów do wyprowadzki. Inna praca, inne mieszkanie.
- Nie zostawiła adresu do przekazywania korespondencji ani w szpitalu, ani u dozorczyńni. To dość dziwne zachowanie jak na kogoś, kto się po prostu przeprowadza.
- Może próbowała pozbyć się byłego narzeczonego o kiepskich manierach?
- Była przerażona, ale chyba nie przeraził jej natarczywy były narzeczoney. Bała się, że ktoś zobaczy, jak rozmawia ze mną. Ktoś wiedział, że przekazała mi informację, więc ją postraszył, żeby się zamknęła.

Daily pociągnął palcami dolną wargę, ale nic nie powiedział.

- Dlaczego nie przeprowadzono sekcji zwłok dziecka? - mówiła Barrie. - Doktor Allan nie był obecny przy jego śmierci. W przypadku nieznannej przyczyny śmierci prawo wymaga autopsji.

- Mówimy o prezydencie i Pierwszej Damie Stanów Zjednoczonych, Barrie. Prawo można ominąć.

- Gdyby twoje dziecko nagle zmarło bez żadnego wyraźnego powodu, nie chciałbyś wiedzieć dlaczego? Czemu Merrittowie mieliby nie zgodzić się na sekcję, jeśli nic nie mają do ukrycia?

- Wiele osób sprzeciwia się sekcjom - Daily machnął ręką. - Następny argument.

- Wciąż zastanawiam się nad tamtymi dziwnymi słowami Vanessy. Czy mogło to być ukryte wyznanie?

- Jeśli zamordowała swoje dziecko, dlaczego miałyby się do tego przyznawać?

- Bo w głębi duszy pragnie, aby jej zbrodnia wyszła na jaw. Chce zostać ukarana.

- Im więcej o tym mówisz, tym bardziej pani Merritt wydaje mi się chora.

- Gdzie jest teraz? - spytała niecierpliwie Barrie, pamiętając jednak o ściszeniu głosu. - W Highpoint? - Prywatny letni dom Merrittów znajdował się nad rzeką Shenandoah, dwie godziny jazdy na południowy zachód od Waszyngtonu.

- Brzmi to prawdopodobnie - odparł Daily - chociaż oficjalnie podano, że odpoczywa „w pewnym miejscu”.

- Jeśli tylko odpoczywa, a poza tym jest zdrowa, czemu otaczają to taką tajemnicą?

- Gdyby jego córka była poważnie chora, Cletus Armbruster z pewnością by się tym zajął - stwierdził Daily. - Zabrałby ją do najlepszej kliniki w kraju i zmusił lekarzy do przeprowadzenia wszystkich możliwych badań. Czy rozmawiałaś z kimś z jego biura?

- Próbowałam. Powtarzają oświadczenia Neely’ego.

- Gdyby jej zdrowiu coś groziło, senator nie zadowoliliby się przedłużonym odpoczynkiem. Zapewniłby Vanessie najlepszą opiekę.

- Również gdyby wiedział, że popełniła morderstwo, próbowałby je zatuszować i ochronić córkę.

- Gówno - powiedział Daily. - Właśnie w nie wlażłem.

- Wciąż rzucasz mi kłody pod nogi - burknęła nadąsana Barrie. - Nie chcesz, żebym miała rację.

- Nie chcę, żebyś nie miała racji. Nie chcę, żeby ci znowu odgryźli głowę, jak to było ze sprawą sędziego Greena. I innymi.

- Ta historia w niczym tamtych nie przypomina.

- Nie chcę, żeby przypominała. Po tylu niepowodzeniach nareszcie odzyskałaś odrobinę wiarygodności. Czy możesz sobie wyobrazić ten potop gówna, jaki twoje teorie spowodują, jeśli ktoś się o nich dowie?

- Czy możesz sobie wyobrazić, jak wysoko wyląduję, jeśli moje teorie okażą się słuszne?

- Zanim zaczniesz marzyć o własnym programie informacyjnym, lepiej zajmij się tym, co masz. A masz tylko przecucie, Barrie. To wszystko. Przecucie w dziennikarstwie równa się zeru.

- Nie - sprzeciwiła się Barrie. - Jeśli akurat nie znajdziesz się dokładnie w miejscu, gdzie ktoś się rzuca z okna albo gdzie rozbija się samolot, albo przy zabójcy stojącym z dymiącym rewolwerem nad ciałem ofiary, to każda dobra historia zaczyna się od przecucia podpowiadającego ci, że w jakiejś sytuacji kryje się coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Pewnie w to nie uwierzysz, Daily, ale moje pobudki nie są wyłącznie egoistyczne. Martwię się o Vanesę. Była napięta jak struna, w życiu nie widziałam nikogo tak napiętego. Powiedzmy, że się mylę i dziecko rzeczywiście zmarło na SIDS, jak ogłoszono. Może rozpacz doprowadziła ją do obłądzenia. Jeśli zaczęła sprawiać kłopoty Białemu Domowi, czy nie jest prawdopodobne, że gdzieś ją upchnęli, by usunąć z oczu opinii publicznej?

- Uważasz, że prezydent gdzieś ją przetrzymuje wbrew jej woli?

Jej hipoteza, przedstawiona w ten sposób, zabrzmiała śmiesznie.

- Byłoby to niemożliwe, prawda?

- Nie bardziej niemożliwe niż wszystko, co odrzuciliśmy wcześniej. - Zamyślił się na chwilę. - Władza wywołuje określone skutki psychiczne. Historia dowiodła, że dla niektórych prezydentów wszystkie cele uświęcały środki. Podejrzewam, że objęłoby to również zamknięcie w odosobnieniu nieźrównoważonej emocjonalnie Pierwszej Damy, która mogłaby zaszkodzić w ponownym wyborze.

Barrie zadrżała.

- Boże, nasze teorie stają się coraz okropniejsze.

- To tylko teorie, Barrie.

- Przestań mi o tym przypominać - mruknęła.

- To moja praca.

- Już nie jesteś moim szefem.

- Ale jestem twoim przyjacielem. Posłuchaj, Barrie... - przerwał, by kilka razy chrapliwie odetchnąć. - Zdobyłaś już akceptację świata. Tym razem spróbuj się powstrzymać.

Nie spodobał się jej ten ton.

- Czas na psychologię, Daily? Czas otworzyć moją głowę i sprawdzić, co tam tyka?

- Doskonale wiem, co tam tyka. I ty też wiesz.

- To po co o tym gadać? - ucięła ze złością.

- Czy możesz mi spojrzeć prosto w oczy i przyznać, że twoje pobudki nie mają nic wspólnego z chęcią zdobycia akceptacji dwóch osób, które...

- Tak, mogę spojrzeć ci w oczy i to przyznać. Poza tym, bez względu na moje pobudki, jest to historia, którą trzeba opowiedzieć.

- Jeśli rzeczywiście jest jakaś historia - mruknął urażony.

- W porządku, więc przestań wyciągać moje ponure dzieciństwo i mi pomóż.

- Jak?

- Kto ze mną zechce porozmawiać? Senator Armbruster? Daily pokręcił przecząco głową.

- Bez względu na to, w co wierzy w głębi serca, przyjmie linię partii i będzie jej bronił do ostatniego tchu. To polityk do szpiku kości. Nie zaszkodzi nikomu, kogo jego partia upchnęła w Białym Domu, nawet gdyby to był sam Kuba Rozpruwacz. A już z pewnością nie swemu zięciowi. Przecież to on sam doprowadził do wyboru Davida Merritta.

- Kto jeszcze zna Merrittów osobiście? Ktoś bardzo blisko z nimi związany, kto musiał odejść. Lub ktoś, kto... - Nagle pewna myśl przyszła jej do głowy. - Tamten... tamten... żołnierz, który uratował zakładników.

- Bondurant?

- Bondurant! Tak! Gary Bondurant.

- Gray.

- Właśnie. Gray. Był z Merrittami bardzo blisko. Może on ze mną porozmawia. Daily roześmiał się.

- Będziesz miała więcej szczęścia próbując przeprowadzić wywiad z którąś z głów wykutych w Mount Rushmore. Są o wiele sympatyczniejsze i bardziej gadatliwe od Bonduranta.

- Co o nim wiadomo? Skąd pochodzi?

Daily wzruszył ramionami.

- Można tylko zgadywać.

- Przecież nie pojawił się znikąd, gdy Merritt powołał go jako swego doradcę - zauważyła zniechęcona Barrie.

- Jednak właśnie tak to wygląda - stwierdził Daily. - Spencer Martin to równie zagadkowa postać. Informacje o nich sprzed czasów prezydentury Merritta zmieściłyby się w naparstku.

- Co robił Bondurant przed akcją ratunkową?

- Wszyscy trzej - Martin, Bondurant i Merritt - przeszli szkolenie zwiadowcze w piechocie morskiej. Z tej trójki prezydent jest najbardziej obyty, to urodzony polityk. Spencer Martin to przebiegła, podstępna zmija. Doskonale spełnia swoją rolę w tej administracji. A Bondurant... Ma z tego trio najbardziej skomplikowany charakter. Chcesz coś wiedzieć? Na widok tego faceta robiłem w portki ze strachu. Sądzę, że prezydent też.

- Wydawało mi się, że Merritt go wyrzucił, bo za bardzo się przywiązał do Vanessy.

Daily jęknął.

- Jak to możliwe, że już wszystko zapomniałaś? Gdzie byłaś, kiedy to się działo? Przecież nie wydarzyło się tak dawno temu.

- Howie był z jakiegoś powodu na mnie wściekły i kazał mi wtedy przygotować materiał o rzekomych wykroczeniach w zawodowych zapasach. Ominął mnie powrót Bonduranta i jego usunięcie z Waszyngtonu.

- Właściwie to niewiele cię ominęło. Bondurant doprowadzał do rozpaczki wszystkich reporterów w Waszyngtonie. Odwracał się od kamer i nie udzielał wywiadów. Brukowe drukowały zwykle przy takich okazjach kawałki, ale oczywiście nie podawały prawdziwej historii.

- Jaka była prawdziwa historia?

- Nie wiem. Jednak jeśli Merritt sądził, że Bondurant robi słodkie oczy do Pierwszej Damy, to dlaczego wybrał go do dowodzenia akcją uwalniania zakładników? Zrobił z niego bohatera. To nie wygląda na postępowanie zazdrosnego męża, prawda?

Daily pogroził Barrie palcem.

- W jeszcze jednej kwestii się mylisz. Prezydent go nie wyrzucił. Po zakończeniu misji poprosił Bonduranta o ponowne podjęcie obowiązków w Białym Domu. Bondurant odpowiedział: „Piękne dzięki, ale nie skorzystam”.

- Skąd o tym wiesz?

- Nie jesteś moim jedynym informatorem, panienko. Być może stoję już jedną nogą w grobie, ale ta druga wciąż jest serdecznie witana gdzieś w Waszyngtonie.

- Jeśli tak dużo wiesz, to gdzie jest teraz Bondurant?

- Wyniósł się gdzieś na zachód. Do jednego z tych kwadratowych stanów.

Rozdział ósmy

Posunęła się tak daleko, że zaprosiła Howiego na lunch. Poszli do jego ulubionego baru. Nawet pozwoliła mu zjeść, zanim wyłuszczyła swoją prośbę.

- Proszę, daj mi zielone światło. Kilka dni wystarczy.

Ostatnim kęsem chleba wytarł sos z talerza i wepchnął chleb do ust. Odpowiedział jeszcze żując:

- Podróże są kosztowne, jak wiesz. Nie mamy na to środków w budżecie.

- Jeśli pojedę, to sama zapłacę. Zachowam rachunki. Zwróćcie mi później. Jeśli uda mi się nakręcić reportaż.

Miała nadzieję, że jej poświęcenie go przekona. Pragnęła przeprowadzić wywiad, który by zelektryzował cały kraj. Wierzyła, że znalazła się w przededniu takiego nagrania. Tylko taki materiał mógł ją zmusić do przełamania się chlebem z Howiem Frippem.

Przeżuwał przez chwilę - surową cebulę i jej prośbę.

- Dokąd jedziesz?

- Nie mogę powiedzieć.

- Spodziewasz się, że dam ci zgodę na wyjazd, kiedy nie chcesz mi powiedzieć, dokąd jedziesz ani o co chodzi?

- To prawdziwa bomba. Utrzymanie jej w tajemnicy to klucz do sukcesu. - Barrie ściszyła głos do szeptu i pochyliła się, chociaż opary czosnku i cebuli wydobywające się z ust Howiego sprawiły, że jej oczy zaczęły łzawić. - Gdyby się rozeszło, że nad tym pracuję, byłoby to bardzo niebezpieczne dla każdego, kto by coś wiedział.

- Daj spokój - jęknął. - Dlaczego nie próbujesz sprzedać tego gówna NBC? Jakiś palant stamtąd pewnie by to kupił.

- Dziękuję, Howie. Miałam nadzieję, że to powiesz. - Barrie sięgnęła po plecak.

Howie przymrużył oczy z przebiegłą miną.

- Nie jesteś wściekła?

- Nie, bo teraz mogę iść z czystym sumieniem do Jenkinsa. Nie chciałam przeszkakiwać szczebli, dlatego ciebie spytałam najpierw. Odrzuciłeś moją prośbę, więc mogę pójść do dyrektora naczelnego.

Sama wzmianka o dyrektorzce naczelnym WVUE sprawiła, że Howie poczuł lód w sercu.

- Jenkins poprze moją decyzję - stwierdził, udając pewność siebie. - Aż go brzuch rozboli ze śmiechu, że miałaś czelność prosić o pieniądze na podróż.

- Nie sądzę - zaprzeczyła Barrie. - Nie mówiłam ci o liście, jaki od niego dostałam?

Howie znowu przymrużył oczy.

- Była to pochwalna recenzja mojego cyklu o SIDS - oświadczyła. - Chce, żebym robiła więcej specjalnych materiałów tego typu. Twierdzi, że mój talent rozmienia się na drobne. Chciałby również, żebym zrobiła jakiś program o sprawach publicznych. Może też jakieś wystąpienia, wykłady i tak dalej. - Zmarszczyła brwi. - Myślałam, że już ci o tym wspominał. Nie? Chyba jest bardzo zajęty.

Wymyśliła to, ale Howie wszystko przyjmował na wiarę.

- Pomyślę o tym - powiedział zrzędlwym tonem.

- Nie ma potrzeby. Naprawdę. Załatwię to z Jenkinsem.

- Czekaj! Stój! Daj mi minutkę, na miłość boską. Zrzuciłaś na mnie tę sprawę bez żadnego ostrzeżenia. -

Zamyślił się, skubiąc koperek. - Mówisz, że to naprawdę bombowy materiał?

- Naprawdę. Fantastyczny.

Przyjrzał się pożądlwie młodej kobiecie przebiegającej w sportowym stroju za oknem, wziął sobie jeszcze kawałek pikla, podrapał się pod pachą.

- Dobrze, możesz wziąć kilka dni. Mam nadzieję, że mnie nie wpuszczasz w kanał.

- Witajcie w Ponderosie - powiedziała Barrie do siebie, wjeżdżając przez otwartą bramę na zwirową drogę prowadzącą do domu Bonduranta.

Podróżowała pod przybranym nazwiskiem, posługiwała się fałszywym prawem jazdy podrobionym przez byłego oszusta - dawnego informatora Daily'ego - i płaciła za wszystko gotówką, żeby nie zostawiać za sobą żadnego śladu. Dotarła do miejsca przeznaczenia późnym popołudniem. Miała nadzieję, że wymyślone przez nią środki ostrożności okażą się niepotrzebne, ale nie chciała ryzykować.

Nawet jak na warunki północno- zachodniego Wyoming posiadłość Bonduranta znajdowała się daleko od utartych szlaków. Jednopiętrowy dom stał otoczony klonami, które właśnie przybrały malownicze jesienne barwy. Żeby tam się dostać, musiała przejechać przez strumień, w którym krystalicznie czysta woda burzyła się nad kamienistym dnem.

Dom zbudowano z drewnianych bali i kamieni. Wzdłuż frontowej ściany ciągnął się osłonięty dachem ganek. Na ogrodzonej łące pasły się trzy konie. Z tyłu stała stodoła, chyba starsza od domu, i osobny garaż z otwartymi drzwiami, przez które widać było skuter śnieżny. Przy zewnętrznej ścianie garażu ułożono kilka sągów drewna na opał. Poza koźmi nie było śladu życia.

Otoczenie sprawiało surowe i odpychające wrażenie. Barrie ogarnęła trema. Widok górskich szczytów spowodował, że poczuła się mała i nieważna. Bez wątpienia Gray Bondurant tak właśnie ją potraktuje. Wysiadła z wypożyczonego samochodu, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę. Niewiele o Bondurancie słyszała, ale była pewna, że nie przywita jej z otwartymi ramionami.

Okazało się jednak, że nie ma go w domu. Uświadomiła to sobie po kilku minutach dzwonienia i stukania do drzwi. Cholera. Samo przygotowywanie się do spotkania z byłym żołnierzem piechoty morskiej całkowicie wykończyło ją psychicznie. Za dużo zadała sobie trudu i wydała zbyt wiele własnych pieniędzy, żeby tak szybko się wycofać. Jazda z powrotem do Jackson Hole wcale jej nie pociągała.

Postanowiła poczekać na powrót gospodarza. Usiadła na ganku w bujanym fotelu. Widok Gór Skalistych zapierał dech w piersi. Siedziała, bujała się w fotelu i podziwiała naturę. Niestety już wkrótce przypomniała sobie o innym zjawisku natury. Musiała iść do łazienki.

Zostawiła plecak na fotelu i podeszła do frontowych drzwi. Skoro garaż był otwarty, to może nie zamknięto również drzwi do domu? Nie zamknięto.

Drzwi prowadziły prosto do saloniku. Wysoki sufit podierały belki. Większą część kamiennej ściany po przeciwnej stronie pokoju zajmowało ogromne palenisko. Surowe ozdoby. Masywne meble obite ciemnozieloną skórą. Drewnianą podłogę z desek przykrywały wełniane chodniki przypominające wielkie derki pod siodło. Panowała całkowita cisza, nie tykał nawet zegar. W pokoju unosiła się słaba woń dymu... i mężczyzny.

Obecność mężczyzny wydawała się Barrie tak wyraźna, tak oczywista, że odwróciła szybko głowę, niemal spodziewając się, że Bondurant nagle się zmaterializuje.

Zbesztala się za głupie zachowanie, przeszła szybko przez salon i znalazła dużą sypialnię. Tutaj również panowała prostota, ale ład zakłócało nie posłane łóżko. Weszła do przylegającej do sypialni łazienki.

Nad umywalką stał kubek ze szczotką do zębów, na półce leżały złożone ręczniki. Na mosiężnym wieszaku na drzwiach wisiała koszula. Barrie dotknęła materiału. Bawełna. Nie krochmalona.

W łazience panowała czystość, chociaż zauważyła kurz na zakrętce butelki wody kolońskiej. Widać dawno jej nie używano. Barrie ogarnęła pokusa otwarcia szafeczki z lustrem i zerknięcia do środka, ale doszła do wniosku, że byłoby to poważne pogwałcenie prywatności gospodarza.

Skorzystała z toalety, umyła ręce i wytarła w ręcznik zwisający z chromowanego kółka na ścianie. Ręcznik był wilgotny. Ktoś niedawno wycierał twarz lub ręce. Stwierdziła, że coś dziwnego dzieje się w jej brzuchu. Znowu bardzo mocno wyczuła obecność właściciela domu.

Doszła do wniosku, że to spokój i odosobnienie tak na nią podziały.

Wróciła po własnych śladach przez sypialnię, obiecując nieobecnemu gospodarzowi, że jeszcze tylko napije się wody i wyjdzie.

Bez trudu znalazła kuchnię. W lodówce stało sześć puszek piwa. Żadnej wody mineralnej. Żadnych napojów bezalkoholowych. Zdecydowała się na wodę z kranu z dodatkiem kilku kostek lodu z zamrażalnika wypełnionego głównie wołowiną.

Dotrzymując obietnicy, wróciła na ganek i czekała dalej. Bondurant pewno przyjdzie przed zmrokiem. Nie zostawiłby otwartych drzwi, gdyby planował dłuższą wycieczkę.

Pomarańczowy zachód słońca zamienił się w purpurowy zmierzch. Pojawiły się gwiazdy. Tylu gwiazd nie widziała nigdy w mieście. Tuż nad jej głową białą chmurą przecinała niebo Droga Mleczna.

Z zapadnięciem ciemności spadła temperatura. Barrie skuliła ramiona. Mimo zimna zapadała w drzemkę, uderzając brodą w mostek za każdym razem, gdy opadła jej głowa. Jej zegar biologiczny był przesunięty o dwie godziny, a budzik zadzwonił o piątej rano.

- To kompletne szaleństwo - stwierdziła szcękając zębami, ponownie weszła do domu i wyciągnęła się na długiej skórzanej kanapie. W sekundę po ułożeniu głowy na poduszce już spała.

Rozdział dziewiąty

Stuknęły bilardowe bile. Howie Fripp wydał z siebie głośne parsknięcie, gdy jego strzał okazał się celny.

- Mój stół. Który to już?

- Trzeci.

- Hura! Piętnaście dolicz. Chyba że chcesz jeszcze zagrać.

- Nie, dziękuję. Ograłeś mnie na czysto.

Howie wyciągnął rękę po trzy pięciodolarowe banknoty podane mu przez przeciwnika. Wepchnął pieniądze do kieszeni i już miał wygłosić jakąś arogancką uwagę, ale wyraz oczu tamtego ostrzegł go, że tym razem powinien się powstrzymać.

- Przynajmniej możesz kupić mi coś do picia. - Przegrany mężczyzna uśmiechnął się blado.

- Coś do picia? Pewnie, pewnie - odparł Howie. - Co chcesz?

Tamten poprosił o wódkę z lodem. Howie podszedł do baru i złożył zamówienie. Przyniósł wódkę i piwo dla siebie do stolika.

- Nie mogę zostać zbyt długo - powiedział Howie. Facet zamówił markową wódkę. Dwie kolejki tego trunku załatwiłyby wygraną Howiego. - Muszę być wcześniej w pracy.

Mężczyzna upił łyk.

- A w jakiej branży pracujesz?

- Dziennikarstwo - pochwalił się Howie, dosypując do piwa soli. - WVUE.

- Pracujesz w telewizji?

- Nie babrzę się w tym gównie na antenie. To robota dla idiotów. Nie. Zlecam tematy reporterom.

- Zatem odpowiadasz za to, co pokażą na ekranie?

- Tylko ode mnie zależy, co pójdzie na antenę. - Pławiąc się w zainteresowaniu tamtego, Howie zmyślał i upiększał. - Ode mnie zależy, który reporter będzie przygotowywał jakiś temat, kiedy pojawi się na ekranie i na jak długo. Każdego dnia muszę podejmować tego rodzaju decyzje.

- To bardzo odpowiedzialne stanowisko.

- Lubię żyć w napięciu - odparł Howie.

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie stołu był właśnie taki, jakiego codziennie rano Howie Fripp chciał oglądać w lustrze przy goleniu. Czasami oszukiwał się, że sam wywiera na ludziach takie wrażenie, jakie ten człowiek wywarł na nim. Jego nowy znajomy umiał ładnie mówić. Bez względu na sytuację zachowywał zimną krew. Nawet nie stracił równowagi, kiedy przegrał dotkliwie w trzech kolejnych rozgrywkach bilardowych. Taki człowiek wywoływał u kobiet pożądanie, a w mężczyznach pełen lęku szacunek.

- Musisz zawsze jako pierwszy wiedzieć, co się dzieje - zauważył tamten. - Pierwszy dostajesz informacje.

- Jasne.

- A co masz teraz na tapecie?

Howie szukał w głowie czegoś specjalnego, co by wywarło wrażenie na tym człowieku.

- Hmm, zobaczymy. Przedwczoraj mój reporter znalazł się na miejscu potrójnego zabójstwa parę minut po wydarzeniu. Sfilmował ciała, zanim je przykryli.

Tamten uśmiechnął się i zerknął na zegarek.

- Miło się grało. Chyba już pójdę.

- Największym materiałem, jaki ostatnio zrobiliśmy, był cykl o SIDS. Wiesz, śmierć niemowląt - mówił Howie z nadzieją, że odzyska zainteresowanie.

- Tak?

Trafiony!

- To był mój pomysł. Coś w rodzaju dodatkowego komentarza po śmierci dziecka prezydenta, wiesz.

- Tragiczne wydarzenie.

- Przeprowadziliśmy wywiad z Pierwszą Damą.

- Nie udziela zbyt wielu wywiadów, prawda?

- WVUE miała wyłączność.

- Jak to się wam udało?

- Wiesz, jak to jest. Wykonałem parę telefonów. Parę osób było mi winnych przysługę. - Howie wzruszył ramionami w sposób, który mówił, że załatwianie spraw z Białym Domem to nie taka wielka sprawa. - Chcesz następną kolejkę?

- Nie, dziękuję. Gdybym się upił, mógłbym się zgodzić pozwolić ci dołożyć sobie w jeszcze jednej rozgrywce - odparł tamten z szerokim uśmiechem.

Howie również się uśmiechnął. Nie miał przyjaciół, z którymi mógłby pogadać. Może właśnie zaczynała się przyjaźń? Na myśl o przyjaźni zakręciło mu się w głowie.

- Widziałem ten wywiad z Pierwszą Damą - przyznał tamten. - Bardzo ostry. Jak się nazywała dziennikarka?

- Barrie Travis. - Howie opowiedział nowemu przyjacielowi, jak to się stało, że ją zatrudnił. - Wtedy nawet nie mogłaby pracować za darmo. Pomyślałem: co tam, kurwa. Daj jej szansę, a zdobędziesz parę punktów u feministek. Całkiem niebrzydka.

Nowy przyjaciel zachichotał.

- Skoro musimy już z nimi pracować, to dlaczego nie zatrudniać najładniejszych, no nie?

Howie uśmiechnął się lubieżnie. Nowy przyjaciel mówił jego językiem.

- Masz słuszość, stary. - Mrugnął. - Nieźle się nam układało, Barrie i mnie, przez jakiś czas, ale sprawy się zaczęły komplikować. Praca i w ogóle, więc musiałem zerwać. Zachowała się w porządku. Nie czepiała się, jak to niektóre z nich potrafią. Okazało się, że nawet niezła z niej reporterka. Pcha się w górę. Może jest nawet trochę za ambitna.

- Naprawdę? Jak to?

- Ach, wiesz. Po sukcesie cyklu w głowie jej się przewróciło, choć to ja go właściwie wymyśliłem. Doprowadza mnie do szału tą swoją bombową historią, nad którą teraz pracuje.

- Rzeczywiście? - Jego towarzysz już nie zerkał na zegarek. Usiadł wygodnie na krześle i obracał kieliszkiem. - Jaka historią?

- Żebym to ja wiedział! Nie powie.

- Daj spokój. Komu miałbym o tym opowiedzieć?

- Przysięgam, że nic nie wiem. Ona twierdzi, że jeśli ta sprawa wyjdzie po jej myśli, to Watergate będzie przy tym wyglądało jak zabawa w przedszkolu.

Uśmiech tamtego stał się jeszcze szerszy.

- To musi być bomba.

- Chyba tak, skoro wzięła kilka dni wolnego, żeby zbierać materiały gdzieś w terenie.

- Gdzie?

Głos tamtego przybrał nagle taki ton, że ręka Howiego zamarła w połowie drogi między ustami a miską z orzeszkami stojącą na stole. Przyszło mu do głowy, że może nie powinien tyle paplać o materiale Barrie.

- Nie powiedziała mi.

Na wargi tamtego powrócił uśmiech.

- Nawet nie napomknęła?

- Nic.

- Twoja dziewczyna lubi tajemnice.

- To baba. Kto może przewidzieć, co baba wymyśli? - Howie sięgnął po piwo, żeby popić orzeszki.

- Zrobiło się późno, a musisz być przecież wcześniej w pracy. Dziękuję za drinka.

Gdy nowy przyjaciel wstał, Howie podźwignął się z krzesła.

- A ja dziękuję za grę. Podobało mi się.

- Powinno, chłopie. Pójdiesz do domu bogatszy o piętnaście papierów.

- Może zagrilibyśmy kiedyś jeszcze - powiedział Howie, mając nadzieję, że nie zabrzmiało to błagalnie.

Nie chciał, żeby tamten wziął go przez pomyłkę za pedała. - Bywam tu parę razy w tygodniu. Kiedy nie mam innych planów. Wiesz, popijam sobie z chłopakami.

- To pewnie się zobaczymy.

Uścisnęli sobie dłonie.

Howie odprowadzał go wzrokiem, podziwiając pewność siebie tamtego, przekonany, że nigdy go już nie zobaczy.

Z powodów, które pozostawały dla niego tajemnicą, Howie nie zaprzyjaźniał się łatwo.

Spencer Martin przejechał dwie przecznice, zanim zauważył swoje odbicie we wstecznym lusterku. Roześmiał się głośno i ściągnął czapkę baseballową z przyszytymi z tyłu długimi, kręconymi włosami. Oderwał sztuczne wąsy. Więcej wysiłku miało go kosztować pozbycie się odoru tytoniu i kiepskiego piwa, którym przesiąknął przebywając w towarzystwie Howiego Frippa.

Co za pluskwa, pomyślał, wracając do Białego Domu.

Jednak dowiedział się od niego wszystkiego, co było potrzebne Davidowi - Barrie Travis wciąż była na tropie historii, którą uważała za bombową. Czy ta historia miała związek z prezydentem, czy z panią Merritt? A może ze śmiercią Roberta Rushtona Merritta?

Był przekonany, że Fripp o niczym nie wiedział, w przeciwnym razie na pewno by się pochwalił. W tej chwili Spence też nic nie wiedział, ale jego najważniejszym zadaniem stało się poznanie tej historii.

- Cieszę, że jest pani zadowolona, pani Gaston... Nie, jestem pewien, że pani Merritt zaakceptuje mój wybór... Dobrze. Teraz, jeśli chodzi o plany na jutro, samochód przyjedzie po panią o szóstej trzydzieści. Wiem, że to bardzo wcześnie, ale... Dobrze. Bardzo dobrze. Zatem do zobaczenia. Dobranoc.

Doktor George Allan wciąż trzymał słuchawkę w ręce i przyglądał się jej zamyślony, gdy weszła żona, niosąc dwie filiżanki parującej kawy. Jedną postawiła na biurku, a drugą zaniósła do stojącego przed nim skórzanego fotela.

- Kto to był?

Gabinet doktora znajdował się na drugim piętrze stylowego, wygodnego domu tuż za odcinkiem Massachusetts Avenue znanej jako Embassy Row. George Allan spróbował kawy.

- Chłopcy już w łóżkach?

- W łóżkach, ale dałam im jeszcze dodatkowe dziesięć minut przed zgaszeniem światła. Kto to był? - spytała raz jeszcze Amanda, wskazując telefon.

- Prywatna pielęgniarka, którą zatrudniłem dla Vanessy, pani Gaston. Jest zachwycona swoją nową pacjentką. Nie może uwierzyć, że będzie się opiekowała Pierwszą Damą.

- Vanessa potrzebuje stałej opieki?

Allanowie znali Merrittów od czasu ich ślubu.

- Jedyne dla ostrożności - odparł George. - David uważa, że powinna mieć przy sobie cały czas wykwalifikowaną pielęgniarkę.

- Sądziłam, że tylko odpoczywa.

- Owszem, odpoczywa.

- Jeśli potrzebuje stałej opieki medycznej, to czy nie powinna być w szpitalu?

- Przestań mnie przesłuchiwać, Amando! - George tak gwałtownie wstał z fotela, że mebel odjechał do tyłu i uderzył o ścianę. Podeszedł do barku, wziął karafkę z brandy i wlał sobie trochę do kawy.

- Nie przesłuchiwałam cię - powiedziała łagodnie Amanda.

- Akurat! Ostatnio każda nasza rozmowa kończy się krzyżowym ogniem pytań.

- Tylko dlatego, że ciągle się bronisz - odcięła się Amanda. - Nawet najniewinniejsze pytanie wytrąca cię z równowagi.

- Twoje pytania nigdy nie są niewinne, Amando. Są pełne podejrzliwości i nieufności.

- Cierpisz na paranoję! - krzyknęła. - Co David ma na ciebie, że wszystkiego się boisz, nawet mnie?

- Nie wiesz, o czym mówisz.

- Wiem tylko, że odkąd przyjąłeś tę pracę, stałeś się kimś innym.

- Mylisz się, Amando!

- Tato?

George obrócił się gwałtownie i zobaczył dwóch małych chłopców stojących w drzwiach. W piżamkach wydawali się tacy słodcy i bezbronni. Lśniły świeżo umyte twarze. Gniew doktora znikł na ich widok.

- Hej, chłopaki. Wchodźcie.

Zawahali się na progu, aż wreszcie starszy postawił pierwszy odważny krok i wszedł na wrogi teren. Młodszy trzymał się z tyłu. George wrócił na fotel, posadził ich obu sobie na kolanach i mocno przytulił.

Pachnieli mydłem, pastą do zębów i szamponem. Pachnieli czystością. Już prawie zapomniał, jak pachnie czystość: U siebie nie czuł jej od dawna.

- Dostałem piątkę z klasówki z matematyki - powiedział starszy z dumą.

- A mnie nauczyciel wywołał dziś do głośnego czytania. Znałem wszystkie słowa - wtrącił młodszy.

- To świetnie! Obaj zasłużyliście na nagrodę. Na przykład w ten weekend. Kino? Wspólne zakupy? Coś specjalnego.

- Z mamą?

George zerknął na Amandę.

- Oczywiście, że z mamą. Jeśli zechce pójść z nami.

- Chcesz, mamó?

Uśmiechnęła się do synów.

- Teraz chcę, żebyście obaj zaraz znaleźli się w łóżkach.

Po jeszcze jednej rundce wzajemnych uścisków i kilku sztuczkach mających opóźnić wyjście wyprowadziła ich z gabinetu do sypialni.

Była w łazience, kiedy po półgodzinie przyszedł do niej George. Szczotkowała włosy, które nadal obcinała równo do wysokości podbródka tak jak wtedy, gdy pierwszy raz ją zobaczył. Jej włosy i oczy miały barwę mlecznej czekolady.

Zamierzała już iść spać, miała na sobie tylko majteczki i luźną górę na ramiączkach. George przystanął na chwilę w progu i zapatrzył się na nią. Kiedy przedstawiono ich sobie na przyjęciu z okazji Czwartego Lipca, natychmiast jej zapragnął. Zaczęli się spotykać, ale przez sześć miesięcy zbierał się na odwagę, żeby ją poprosić, by poszła z nim do łóżka. Powiedziała „tak” i chciała się dowiedzieć, dlaczego czekał tak długo. Pobrali się przed następnym Czwartym Lipca.

Nigdy nie narzekała na ograniczenia narzucane im przez jego zawód. Była znakomitością w swojej dziedzinie i miała własne zainteresowania. Stworzyła ciepły dom rodzinie i wykładała historię sztuki na Uniwersytecie Georgetown. Jako wolontariuszka pracowała również w schronisku dla maltretowanych kobiet. Doskonale dawała sobie radę i lubiła wygrywać na korcie tenisowym. Urządzała wytworne przyjęcia i mówiła biegle kilkoma językami. Wiedziała, jak się dobrze ubrać i zachować w każdej sytuacji.

Kochał ją bardzo. Boże, jak ją kochał.

Obserwował wdzięczne ruchy ramienia przy szczotkowaniu włosów. Sto pociągnięć wieczorem, jak została nauczona przez matkę z Wirginii. Rozczulał go ten nawyk. Oczarowało go unoszenie i opadanie jej piersi. Sutki odznaczały się na delikatnej bawełnie.

- Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą - zaczął cichym, pełnym skruchy głosem.

Ciemne oczy Amandy spotkały jego wzrok w lustrze.

- Nie chcę przeprosin, George. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - Chcę mojego męża.

Podszedł do niej, otoczył ramionami i przyciągnął do siebie.

- Masz mnie.

Przytuliła się do niego, ale pokręciła przecząco głową.

- To David cię ma. Zabrał cię chłopcom i mnie.

Odsunął żonę od siebie i przesunął palcami po jej lśniących włosach.

- To nieprawda, Amando.

- Prawda. Boję się, że nigdy nie dostanę cię z powrotem.

- Nigdzie się nie wybieram - wyszeptał, całując jej usta. - Ty i chłopcy jesteście mi drożsi nad życie.

Gdybym was utracił, nie zniósłbym tego.

Spojrzała mu badawczo w oczy.

- Tracisz nas, George. Każdego dnia odsuwasz się coraz dalej i dalej. Staram się ze wszystkich sił, ale już nie mogę cię osiągnąć. Masz swoje sekrety. Stajesz się obcy. - Głos jej się załamał, w oczach pojawiły się łzy.

- Proszę, nie płacz. Nie płacz. - Pocałował jej policzki, a potem drżące usta. - Wszystko jest w porządku.

Kłamał. Co więcej, wiedział, że ona wie, że kłamie. Zrozumiał to po tym, jak mocno do niego przywarła. Jej pocałunek był nie tylko namiętny, przepętniała go rozpacz.

Przeniosła tę rozpacz do łóżka, reagując na jego pieszczoty z nieokiełznaną żarliwością, jakby seks mógł pokonać wpływ Davida Merritta. Bez zahamowań rozsuwała uda dla jego pocałunków. Zanim w nią wszedł, oboje ogarnęło szaleńcze pożądanie.

Potem nasyceni miłością, nadzy i zadyszani, trzymali się mocno w ramionach i szeptali wyznania wiecznej miłości i oddania.

Jednak oboje wiedzieli, że George jest absolutnie oddany prezydentowi i zrobi dla niego wszystko.

Rozdział dziesiąty

Barrie ocknęła się z lufą karabinu wciśniętą pod lewą pierś.

Z trudem opanowując impuls zerwania się na równe nogi i ucieczki, przesunęła spojrzeniem wzdłuż karabinu aż do pary oczu - bardziej niebieskich, zimniej suchych i twardszych od stalowej lufy.

- Niech będzie dobry.

Próbowała przełknąć ślinę, ale ze strachu zaschło jej w ustach.

- Co?

- Powód do włamania się do mojego domu. - Mężczyzna pchnął lufą pierś Barrie, podnosząc ją lekko. - Słucham.

- Przyjechałam wczoraj wieczorem. Nie było pana, więc kilka godzin czekałam na ganku. Zrobiło się ciemno i zimno. Chciało mi się spać. Drzwi były otwarte. Nie sądziłam, że będzie pan miał coś przeciw temu.

- Mam.

- Nazywam się Barrie Travis. - Na ułamek sekundy zmrużył powieki. Przysięgłaby, że rozpoznał jej nazwisko, chociaż się do tego nie przyznał. - Przejechałam kawał drogi, żeby się z panem zobaczyć.

- Niepotrzebnie. - Zrzucił karabin na ramię. - Skoro już pani wie, gdzie są drzwi, sama znajdzie pani wyjście. - Odsunął się na bok, żeby mogła wstać.

Barrie wyprostowała się powoli i wstała. Potem szarpnęła się gwałtownie do tyłu i uderzyła go z całej siły w twarz.

- Jak pan śmie celować we mnie z broni! Oszalał pan? Mógłby mnie pan zabić.

Zacisnął szczęki.

- Proszę pani, gdybym chciał panią zabić, już byłaby pani martwa. I z pewnością nie zabrudziłbym przy tym kanapy.

Płynnym ruchem pochylił się, podniósł plecak z podłogi i rzucił w jej kierunku.

- Wynoś się i zabierz ze sobą swoje plugawe lektury.

Przed wyjazdem z Waszyngtonu zebrała wycinki z wszystkich brukowców, które na pierwszych stronach wielkimi literami zamieściły nagłówki o jego romansie z Pierwszą Damą. Były to prawdziwe śmieci, ale rozzłościło ją, że bez pytania przejrzał zawartość plecaka.

- Przeszukał mi pan plecak?

- Pani jest intruzem, nie ja.

- Nie czytałam tego z wyboru, panie Bondurant. To materiały. Jestem reporterką.

- Tym bardziej musi się pani wynieść.

Przekonany, że Barrie robi, co jej kazano, odwrócił się i poszedł do sypialni.

Barrie poczuła ulgę, że została na moment sama. Chciała pozbierać myśli. Przeżyła sporo wstrząsających chwil w swoim życiu, ale nigdy jeszcze nie znalazła się na muszce. Gray Bondurant był rzeczywiście tak przerażający, jak jej mówiono, chociaż nie sądziła, żeby do niej strzelił.

Chciał ją po prostu przestraszyć, nic więcej. Miał nadzieję, że w ten sposób zmusi ją do wyjazdu. Ale ona jeszcze nie była gotowa wywiesić białej flagi.

Przyglądała włosy, poprawiła ubranie i odchrząknęła.

- Panie Bondurant? - Nie zniechęcił jej brak odpowiedzi z jego strony. Weszła w otwarte drzwi sypialni.

- Ja... Och!

Zdjął już koszulę. Ani grama tłuszczu. Tors porośnięty włosami. Na żebrach paskudna, ale intrygująca blizna.

Wszystkie brukowce wydrukowały tę samą niewyraźną fotografię. Widocznie tylko taką mieli. Ciemne lotnicze okulary zakrywały większą część twarzy. Mocno zarysowany podbródek i szczeka, wąska kreska warg, włosy odgarnięte z czoła podmuchem wiatru. Tylko tyle.

Dwuwymiarowe rysy z fotografii w rzeczywistości wyglądały zupełnie inaczej. Starła się nie gapić na niego.

- Panie Bondurant, czekałam wiele godzin, żeby się z panem zobaczyć.

- To pani problem.

- Przynajmniej mógłby pan...

- Nic nie jestem pani winien.

Próbując przeciągnąć rozmowę, spytała:

- Która godzina?

- Około czwartej. - Ściągnął but i skarpetkę i upuścił je tam, gdzie stał.

- Czwarta rano?

- Czy przyjechała pani taki kawał drogi z Waszyngtonu, żeby spytać mnie o godzinę, panno Travis? - Spadł drugi but i skarpetka.

- Nie. Przyjechałam taki kawał drogi, żeby porozmawiać z panem o Vanessie Merritt.

Znieruchomiał. Utkwił w niej twarde jak gładz spojrzenie.

- Przebyła pani na próżno długą drogę.

- Przeprowadzenie tej rozmowy jest niezwykle ważne.

Rozpiął pasek, rozsunał zamek w dzinsach i kiedy je zrzucił, stanął nagi.

Wyraźnie oczekiwał, że krzyknie i ucieknie. Barrie nie zamierzała dać mu tej satysfakcji, chociaż z pewnością nie pozostała obojętna.

- Nie potrafi mnie pan zaszokować, panie Bondurant.

- Och, założę się, że potrafię - odparł cicho. Mijając ją, ruszył do łazienki. Nagle odwrócił się i przyciągnął ją do siebie.

Czy to nieoczekiwany kontakt z jego ciałem, czy całkowite zaskoczenie sprawiło, że zabrakło jej tchu, nie mogła się ruszyć ani odezwać. Jego spojrzenie ją paraliżowało, gdy wsunął dłonie pod sweter. Rękawy były dość szerokie, tak że mógł ściągnąć ramiączka koszulki. Nawet wtedy się nie poruszyła. Ale gdy poczuła na piersiach stwardniałe dłonie, zatoczyła się na ścianę, pociągając go za sobą.

Kiedy jego wargi osunęły się na jej pierś, wygięła się w łuk na ich spotkanie, bezwstydnie gotowa poczuć jego usta, jego język na skórze. Zdawało się, że jakby na wezwanie obudziła się każda komórka jej ciała. Barrie przeszył dreszcz namiętności, którego nie można było powstrzymać czy choćby opanować. Nigdy przedtem nie doświadczyła takiego ataku cielesności, takiego wszechogarniającego, pierwotnego, pozbawionego zahamowań instynktu zjednoczenia - zaraz, szybko, teraz!

Razem na ślepo, potykając się, dotarli do łóżka. Ściągnęła sweter przez głowę, zrywając ramiączko koszulki i odsłaniając pierś. Padli obok siebie na zgniecioną pościel, gdzie pieszczoty stały się zapasami bez zasad czy przepisów. Sięgnął pod spódnicę i zsunął majteczki.

Potem jej dotknął.

Głęboko. W środku.

Dotknięcie jak uderzenie pioruna, pałący żar. Jęcząc z rozkoszy podsunęła biodra, aby przedłużyć jego pieszczotę. Przemknął wargami po jej brzuchu, całując lekko. Łaskocząc skórę językiem, skubiąc wargami powrócił do jej piersi. Podłożyła dłoń pod jego policzek i wzruszyła ją jego szorstką powierzchnią.

Pieszczące ją palce były tak pewne drogi i miejsca, że orgazm ogarnął ją, zanim się zorientowała. Zbyt podniecona, aby się wstydzić, przycisnęła dłoń do jego palców, wciskając je głębiej w siebie, wgniatając z całej siły między uda.

Gdy odpłynęły fale skurczów, leżała niczym rozbitek ocalały z katastrofy - mokra, wycieńczona, z zamkniętymi oczami, z żołądkiem podchodzącym do gardła. Kiedy w końcu otworzyła oczy, napotkała jego spojrzenie. Wziął jej rękę i skierował do swojego podbrzusza.

- Powiedz mi - rzekł ochryple - czy jest coś, czego nie zrobisz?

- O co ci chodzi? - spytała przestraszona.

Położył ręce na jej kolanach i raz jeszcze powoli je rozsunał. Gdy pochylił się nad nią, początkowy okrzyk zdumienia Barrie przeobraził się w jęk niemal zwierzęcej rozkoszy. Nie był onieśmielony. Nie bał się wsunąć dłoni pod jej biodra i unieść jej ku sobie.

Opuszkami palców przesunęła wzdłuż jego twardej męskości. Kciukiem pogłaskała gładki czubek. Potem opuściła głowę i poszukała go wargami. Mruknął jakieś przekleństwo, gdy wzięła go w usta.

Jednak nawet te minuty ślepej namiętności nie przygotowały jej na pierwsze pchnięcie, na gniewne, brutalne razy. Nie był to powolny, wzbierający przypyły rozkoszy. Nie. Nieoczekiwany wybuch energii i żaru, który nagle ogarnął Barrie, zmiotł wszystko wokół, zostawiając ją w otchłani pozbawionej powietrza, dźwięku, czucia.

Kiedy wreszcie się ocknęła i otworzyła oczy, stał obok łóżka. Na jego skórze perlily się krople potu, skręcając wilgotne włosy na piersi. Twarz była napięta i gniewna. Bezwiednie zaciskał i otwierał pięści.

- Nie sądz, że zmieniłem zdanie. Gdy wyjdę spod prysznic, lepiej będzie dla ciebie, jak znikniesz. - Odwrócił się i wszedł do łazienki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Barrie zamknęła oczy i przez chwilę leżała zupełnie nieruchomo. Zdarzyła się jedna z tych sytuacji, kiedy wolała udawać, że wszystko jej się tylko śniło. Ta gra pochodziła z dzieciństwa. Gdy w domu nie dawało się już wytrzymać, kłótnie rodziców nie chciały się skończyć, wchodziła do łóżka, mocno zaciskała powieki i udawała, że świat z jawy to senny koszmar, a ona zaraz obudzi się w innym świecie, świecie radości, miłości, spokoju, w świecie, w którym wszystko jest miłe, a mieszkający w nim ludzie cieszą się swoją obecnością.

Kiedy była dzieckiem, sztuczka nigdy nie wyszła, teraz też się nie udała. Gdy otworzyła oczy, nadal leżała w sypialni Graya Bonduranta, na jego łóżku, a jej ubranie - to, co wciąż miała na sobie - było w nieładzie.

Jak wszystko.

Zmobilizowała się na tyle, by wstać i ubrać się. W łazience wciąż jeszcze szumiała woda, gdy wyszła z sypialni. Plecak leżał na sofie tam, gdzie go zostawiła. Wzięła go, wepchnęła do niego podartą koszulkę i ruszyła w stronę frontowych drzwi.

Po chwili przystanąła. Gdyby teraz wyszła, nic by nie zyskała poza niewyobrażalnym zawstydzeniem. Dla jej zachowania nie było usprawiedliwienia, dlatego nawet nie podjęła próby oszukania sumienia, znajdując powody czy wymówki.

Stało się. Dopuściła do tego, żeby się stało. Poprawka: aktywnie, bez skrupułów brała w tym udział. Czas przeszły dokonany. Nie mogła zmienić przeszłości. Zapłaciła wysoką cenę za to doświadczenie. Teraz mogła już tylko żyć z konsekwencjami swojego zachowania, próbować odwrócić tę okropną sytuację i odzyskać choć odrobinę godności. Po drodze może się czegoś nauczyć.

Kiedy dziesięć minut później wszedł do kuchni, czekała na niego w postawie obronnej, oparta plecami o blat.

- Tylko tak dla wyjaśnienia, panie Bondurant, nie wiem, co tam się stało.

- Tylko tak dla wyjaśnienia, panno Travis, ja wiem. - Wyjął kubek z szafki i nalał sobie z dzbanka kawy, którą zdecydowała się zaparzyć. - Wyciągnij notes. Może zechcesz to zapisać. - Odwrócił się do niej. - To się nazywa „pieprzenie”.

Barrie w środku aż się skuliła, na zewnątrz jednak zachowała kamienny spokój.

- Ma pan nadzieję, że jeśli będzie się pan okropnie zachowywał wobec mnie, to sobie pójdę? To nie wystarczy.

- A co wystarczy?

- Proszę ze mną porozmawiać.

- W żadnym razie - odparł ze złością. - Między innymi dlatego wyjechałem z Waszyngtonu, żeby nie rozmawiać z reporterami. Większość z was duszę by zaprzedała diabłu za informacje. Gdy nie ma informacji, to je wymyślacie. - Przyjrzał się jej uważnie. - Pani, panno Travis, stanowi klasę samą dla siebie. Niczego pani nie sprzedawała, lecz oddała za darmo.

Skinęła głową w kierunku sypialni.

- To był... wypadek.

- Nie sędzę. Mój ptak dobrze wiedział, co się dzieje.

Barrie zacisnęła wargi, żeby powstrzymać się od mówienia. Próbowwała również powstrzymać łzy. Przysięgła sobie, że się nie rozplacze.

- Proszę, panie Bondurant. Staram się ocalić resztkę etyki zawodowej.

- Nie sędzę, żeby ją w ogóle pani miała.

Rozłożyła ręce i spytała:

- Czy wyglądam tak, jakbym przyjechała tutaj planując uwiedzenie?

Obejrzał jej pogniecione ubranie.

- Chyba nie bardzo. Jednak gdy trafiła się okazja, nie słyszałem żadnych sprzeciwów z twojej strony łóżka.

Poczuła, że się rumieni na wspomnienie odgłosów, które słyszał po jej stronie łóżka.

- Przyjechałam tu tylko po to, aby zadać panu kilka pytań o Merrittów.

- Ile razy muszę to powtarzać? Nic ci do cholery nie powiem.

- Nawet tego, że artykuły w brukowcach to stek kłamstw?

- To kłamstwa.

- Nie miał pan romansu z Vanessą Merritt?

- Nie twój zasrany interes.

- Czy to przez pana jest taka nieszczęśliwa?

- Jeśli jest nieszczęśliwa, to może dlatego, że niedawno umarło jej dziecko?

- Jest pan pewien?

- Czy jestem pewien?

- Czy jest pan pewien, że umarło? Może Robert Rushton Merritt został zamordowany?

Rozdział jedenasty

Gray odwrócił się do niej plecami z cichym przekleństwem. Uderzyła w najsłabszy punkt. Przeprowadzała wywiady z takim samym dzikim zapamiętaniem, z jakim się kochała.

Jeszcze zanim ją obudził, rozpoznał ją. To ona przeprowadziła kilka tygodni temu wywiad z Vanessą. Widocznie z tamtej rozmowy nie dowiedziała się wszystkiego. Na pół świadomie oczekiwał, że się zjawi właśnie ona lub ktoś inny z tej samej paczki i znowu zaczną go wciągać w gówno. Od tygodni wzbierała w nim niechęć do oczekiwanego intruza.

Dlatego nie odczuwał wyrzutów sumienia z powodu tego, co się stało. Był wściekły i chciał się z kimś przespać. Okazała się chętna, łagodnie mówiąc.

Wątpił, że zaplanowała uwiedzenie go. Długa spódnica, sweter i wysokie buty nie mogły wywołać pożądania. Oczy wciąż miała spuchnięte od snu, resztki tuszu do rzęs rozmazały się na policzkach. Szminka starła się już dawno temu, a włosy były w okropnym nieładzie.

Ale miała niesamowity głos. Przywodził na myśl spełnienie najdzikszych pragnień. Nie tylko obiecywał fantastyczną rozkosz, był samą rozkoszą.

Jednak jeśli jej się wydawało, że dobry numerek osłabi jego postanowienie, to nie mogła się bardziej mylić. Nie cierpiał jej za najście w domu i pogwałcenie jego prywatności nawet bardziej niż przedtem. Zasłużyła sobie na jego niechęć.

Wypił kawę do końca, sięgnął po patelnię i rondel. Postawił je na kuchni. Ze spizarni wyjął puszkę fasoli z chili, otworzył, wrzucił zawartość do rondla. Potem zaczął rozbijać jajka do miski. Po rozkłóceniu ich na pianę nalał sobie jeszcze kawy i popijał, gdy fasola się odgrzewała.

- Mogę jeszcze? - Wyciągnęła przed siebie pusty kubek.

- Proszę bardzo. Sama ją parzyłaś. Nie chcę czuć się odpowiedzialny, gdy zaśniesz za kierownicą.

Gdy obejmowała wielki kubek, zauważył, jak drobne ma dłonie. Czując jego spojrzenie, podniosła wzrok.

- Przepraszam, że uderzyłam pana w twarz. Jeszcze nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam. Umie pan prowokować, panie Bondurant.

- Tak mi mówiono. - Zamieszał fasolę. - Jak mnie znalazłaś?

- Głównie przez źródła w Waszyngtonie. Niech się pan nie martwi. Byłam dyskretna.

- Nigdy się nie martwię, panno Travis. Jesteś panną? Czy właśnie popełniłaś cudzołóstwo?

Ta uwaga wyprowadziła ją z równowagi bardziej niż sam czyn czy jakakolwiek wcześniejsza obelga. W jej oczach zapłonął gniew.

- Nie, nie popełniłam cudzołóstwa. Podejrzewam, że masz w tej kwestii większe doświadczenie ode mnie. Samo imię wystarczy.

Gray odwrócił się z powrotem do kuchni, wrzucił na patelnię łyżeczkę masła i włączył palnik. Patrzył, jak topi się masło, i zastanawiał, jak się jej pozbyć, nie wyrzucając za drzwi. Bez specjalnego wysiłania pamięci mógł wymieniwać z tuzin sposobów zabicia człowieka cicho, bezboleśnie i szybko. Jednak na myśl

o wyrządzeniu fizycznej krzywdy kobiecie czuł się nieswojo.

- Bardzo piękna posiadłość - zauważyła, budząc go z zamyślenia.
- Dzięki.
- Ile akrów?
- Pięćdziesiąt, mniej więcej.
- Jest pan tu sam?
- Aż do dzisiejszego ranka.
- Jestem pewna, że wie pan, iż niedaleko stąd jest miasto Bondurant. Czy to...
- Nie. To zbieg okoliczności.
- Ma pan bydło? Poza koźmi w korralu?
- Mam małe stado krów.
- Ach, to stąd tyle wołowiny w pańskiej lodówce.

Gray odwrócił się i spojrzał na nią znacząco.

- Wypiłam szklanekę wody i wzięłam kilka kostek lodu - odparła, zadzierając brodę do góry.
- Czego jeszcze się dowiedziałaś, węsząc po całym domu?
- Nie węszyłam.

Odwrócił się do kuchenki, rozprowadził stopione masło po patelni i wlał jajka. Włożył dwie kromki chleba do testera, wyjął talerz z szafki, potem mieszał jajka łyżką, aż usmażyły się tak, jak lubił. Przełożył je z patelni na środek talerza. Na jajka wylał parującą fasolę i skropił obficie sosem Tabasco. Tosty wyskoczyły jakby na komendę. Położył na talerzu obie kromki, zaniósł do stołu i usiadł okrakiem na krześle.

Kątem oka zobaczył, że Barrie również podchodzi do stołu. Usiadła naprzeciwko. Ignorując jej obecność, zjadł kilka łyżek. Dopiero gdy przerwał jedzenie, żeby napić się kawy, zapytał:

- Głodna?
- Tak jakby.
- Chcesz trochę?

Popatrzyła z powątpiewaniem na jego talerz.

- Nie jestem pewna.

Wzruszył ramionami.

- Stoi na kuchni.

Wstała od stołu i wróciła po chwili z mniejszą porcją jego śniadania. Przyglądał się, jak smakuje niepewnie pierwszy kęs. Przeżuła, połknęła i zaczęła jeść z apetytem.

- To takie odległe okolice - stwierdziła między kęsami. - Nie czuje się pan samotny?
- Nie.
- Znudzony?
- Nigdy.

- Przed odejściem na... hmm... emeryturę prowadził pan życie pełne przygód. Nie tęskni pan za podnietami Waszyngtonu?

- Gdybym tęsknił, tobym wrócił.

- Co pan robi?

- Robię, co mi się żywnie podoba.

- Jak pan zarabia na życie?

- Pytanie o pieniądze to nietakt.

- Przecież pan już dawno ustalił, że reporterzy nie grzeszą taktem. - Uniosła pytająco brwi.

- Prowadzę ranczo.

Ta prosta odpowiedź chyba ją zaskoczyła.

- Bydło? - Skinął głową. - Naprawdę? Hmm. Zna się pan na tym?

- Nauczyłem się w dzieciństwie.

- Gdzie?

- U mojego ojca.

- Niewiele mi to mówi.

- Właśnie o to chodzi, panno Travis.

Westchnęła zrezygnowana.

- Dowiedział pan, że jest pan świetny w tajnych operacjach wojskowych, był pan doradcą prezydenta. W prowadzeniu hodowli bydła nie ma nic ekscytującego. Trudno mi zrozumieć, że uważa pan taki tryb życia za inspirujący i ambitny.

- Nie obchodzi mnie, co pani rozumie.

- Po prostu spędza pan całe dni na świeżym powietrzu, w siodle?

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

- Dogląda pan bydła jak dobry kowboj?

- Tak. Kiedy potrzebuje doglądania.

- Czy właśnie tym się pan wczoraj zajmował? Zajmował się pan bydłem?

- Nie. Wczoraj pojechałem do Jackson Hole.

- Przyjechałam stamtąd. Musieliśmy się minąć po drodze. - Odsunęła na bok pusty talerz. - Bardzo dobre śniadanie. Dziękuję.

Roześmiał się głośno.

- Gdyby to był krowi placek, zjadłabyś i powiedziała, że był pyszny.

- Dlaczego miałabym zrobić coś takiego?

- Bo coś ode mnie chcesz. Ponieważ seks ci tego nie załatwił, pomyślałaś, że spróbujesz wziąć mnie na uprzejmość. Czy ta sympatyczna pogawędka nie jest jeszcze jedną próbą rozbrojenia mnie? Szczerze mówiąc, panno Travis, bardziej podobała mi się pani pierwsza metoda.

- To nie była metoda. Już panu mówiłam, to...

- Wypadek. Powiedz mi, czy wskakujesz do łóżka z każdym facetem, którego poznasz?

- Posłuchaj...

- Czy twój tatuś cię nie kochał?

Spuściła wzrok, ale niemal natychmiast podniosła głowę.

- Chyba nie mogę cię winić za tak złe zdanie na mój temat.

- Aha, teraz przeszliśmy od serdeczności do pokory?

- Niech cię szlag! - krzyknęła, uderzając z całej siły pięścią w stół i zrywając na równe nogi. - Mówię uczciwie.

Wstał również.

- Nie, panno Travis, pani jest albo odważna, albo głupia. Nie potrafię dojść jaka. W każdym razie nie mam zamiaru rozmawiać z panią o sobie czy o Merrittach. Nie interesuje mnie też, co pani ma o nich do powiedzenia.

- Nie słyszał pan, co wcześniej mówiłam o śmierci ich dziecka?

- Słyszałem. Zlekceważyłem. I dalej będę to robił. - Postawił jej talerz na swoim, zaniósł do zlewu i odkręcił wodę.

- Dlaczego pan to lekceważy?

- Dlatego, że jest to taki typ komentarza, jaki wy, reporterzy, rzucacie z nadzieją, że jakiś biedak połknie przynętę.

- Sądzi pan, że rzuciłabym tak poważne oskarżenie tylko dla hecy?

Zakręcił wodę i stanął przed nią.

- Tak. Znamy się bardzo krótko, ale mam powody sądzić, że zrobiłaby pani wszystko, aby znaleźć się w wiadomościach o krajowym zasięgu. Zamiast pokładać się ze mną, dlaczego nie prześpi się pani od razu z producentem dużej sieci?

- Ponieważ żaden z producentów sieci, których znam, nie był kochankiem Vanessy Merritt.

Przeraziła go własna wściekłość. Zanim kierując się furją mógł coś zrobić, obszedł ją i ruszył w głąb domu. Słyszał, że idzie za nim. Poruszała się tak szybko, że nagle znalazła się przed nim i zatrzymała kładąc ręce na jego piersi.

Oddychała ciężko.

- Myśli pan, że przyjechałam tu, by dokonać wymiany - seks za pikantną historyjkę. To nieprawda. Jestem głę-boko zawstydzona, że skompromitowałam siebie i swój zawód. Pan mnie nie zna, więc musi mi pan uwierzyć na słowo, że rozpaczliwie chciałam uciec przez frontowe drzwi i trudno mi przychodzi nawet patrzeć panu w twarz.

Coś w jej głosie sprawiło, że zaczął słuchać.

Odsunęła ręce od jego piersi i przyglądała spódnicę na biodrach.

- Fakt, że wciąż tutaj jestem, powinien pana przekonać, jak bardzo ważna jest to sprawa, panie Bondurant. Nie tylko dla mnie i mojej kariery. Proszę mnie wysłuchać. Potem, jeśli każe mi się pan wynieść, wyniosę się. Bez dyskusji. Pięć minut, dobrze?

Bardzo dobre przedstawienie, pomyślał, ale nie dość dobre. Jego wrodzoną ostrożność wyostrzyło szkolenie w zwiadzie. Nauczył się nigdy nie przyjmować na wiarę pozorów. Doświadczenie utwierdziło w nim przekonanie, że dziennikarze to podłe ścierwojady. Ogryzą ci kości do czysta bez mrugnięcia powieką, a potem zostawią bezbronnego, by rzucić się na następną ofiarę.

Jednak wbrew głośnym oświadczeniom, że tak nie jest, rosło w nim zainteresowanie wszystkim, co Barrie Travis wiedziała lub domyślała się o śmierci dziecka Vanessy na SIDS. Wiedział, że to zły pomysł. Miał tylko nadzieję, że nie będzie tego później żałował, gdy zgodził się na pięć minut rozmowy.

- Porozmawiamy na zewnątrz - powiedział.

Usiadł w bujanym fotelu, a Barrie przycupnęła na najwyższym stopniu schodków, otaczając ramionami kolana. Było jej zimno, ale nie zaproponował niczego, co mogłoby ją ochronić przed porannym chłodem.

Teraz, kiedy był gotów jej wysłuchać, wyglądało na to, że nie ma zbyt wielkiej ochoty zaczynać, chociaż przygotowała notes.

- Jak tu pięknie.

Tego ranka dolinę otulała mgła. Zakryła szczyty gór, a wschodzące słońce sprawiło, że wyglądała jak cukrowa wata. Powietrze było chłodne i rześkie.

- Stodołę chyba zbudowano dawniej niż dom i garaż.

Bystra obserwatorka, pomyślał.

- Stała tu, kiedy kupiłem tę ziemię. Postawiono ją na miejscu poprzedniego domu. Wprowadziłem tylko kilka zmian.

W korralu konie bawiły się w berka.

- Jakie noszą imiona? - spytała.

- Nie mają imion.

Spostrzegł jej zdumienie.

- Pańskie konie nie mają imion? Jakże to smutne. Dlaczego?

- Czy to wywiad, panno Travis?

Potrząsnęła głową.

- Nigdy jeszcze nie spotkałam człowieka, który by nie nadawał imion swoim zwierzętom. Część osobowości Cronkite'a to jego imię. - Nagle zmienił się wyraz jej twarzy. Wydawała się ożywiona i łagodna. - To duże, kudłate, uczuciowe, rozpuszczone dziecko. Powinien mieć pan psa - stwierdziła. - Miałby pan dobre towarzystwo.

- Lubię swoją samotność.

- Nie pozostawił pan co do tego żadnych wątpliwości. - Czas się kończy.

Wówczas do niego strzeliła. Z obu luf.

- Uważam, że Vanessa Merritt zabiła swoje dziecko.

Gray zacisnął zęby, żeby nie wybuchnąć.

Mówiła bez przerwy przez kilkanaście minut. Nie zwrócił uwagi ile, ale na pewno dłużej niż pięć. Przedstawiła kilka motywów, dla których Pierwsza Dama mogłaby zabić swoje dziecko, potem wymieniła kroki, jakie podjęła, żeby się czegoś dowiedzieć, i przeszkody, jakie napotkała.

- Teraz pani Merritt udała się w „zaczysze domowe”. Nie sądzi pan, że to dziwne?

- Nie - skłamał.

- Kiedy wycofała się z życia publicznego po śmierci dziecka, było to zrozumiałe. Jackie Kennedy zrobiła to samo, gdy straciła Patricka. Jednak żałoba miała trwać określony czas i ten czas już dawno minął. Jeśli tylko odpoczywa, jak upierają się przedstawiciele Białego Domu, to dlaczego nie zatrzymała się u ojca? Albo nie pojechała do domu w Missisipi?

- Skąd pani wie, że tego nie zrobiła?

- Nie wiem - przyznała marszcząc brwi. - Jednak ogłoszono, że będzie się nią opiekował doktor Allan, a on wciąż jest w Waszyngtonie. Nie pojmuję, po co ta tajemnica.

- Nie ma żadnej tajemnicy.

- To czym pan wytłumaczy dziwne zachowanie Anny Chen? Była zawsze niezawodnym informatorem, godnym zaufania, gotowym do współpracy.

- Może ją rozzłościłaś?

- Nie znam jej aż tak dobrze, żeby ją rozzłościć.

- A ja wcale cię nie znam, ale mnie rozzłościłaś.

- Bała się - powiedziała Barrie. - Potrafię rozpoznać strach, kiedy go zobaczę.

- W porządku, może się bała - zgodził się zniecierpliwiony. - Może właśnie zobaczyła mysz. A zachowanie Vanessy może jest trochę niezwykle, ale czy Pierwsza Dama nie zasługuje na odrobinę prywatności? Chce być sama ze swoją rozpaczą bez cudzych spojrzeń.

Ta Barrie Travis, ta reporterka o pociągającym głosie, wskazywała na niejasności, które zwróciły również jego uwagę. Czując kulę w żołądku, wstał i podszedł do skraj ganku.

- Chryste, przez jakie piekło musi przechodzić.

Zanurzył palce we włosach, zacisnął mocno powieki i z trudem próbował zapanować nad własnymi demonami.

Po kilku minutach przypomniał sobie o obecności Barrie.

Obserwowała go z dziwnym wyrazem twarzy.

- To nie był tylko romans. Pan ją naprawdę kochał, prawda? - spytała cichym głosem. - Nadal ją pan kocha.

Przeklinając swoją głupotę, że zgodził się na rozmowę, pochylił się i po raz drugi tego ranka wziął jej wielki skórzany plecak i wepchnął jej w ramiona.

- Czas się skończył.

Złapał ją za ramię i szarpnął. Stała chwiejnie i aby utrzymać równowagę, chwyciła się kolumnienki wspierającej dach nad gankiem.

- Po tym wszystkim, co panu mówiłam, tylko tyle ma mi pan do powiedzenia?

- Znalazła się pani na drodze, która nigdzie nie prowadzi, panno Travis. Wszystkie sprzeczności to zwykłe przeinaczenia faktów, podsunięte przez pani chorą wyobraźnię i pyszałkowaty umysł, gotowy stworzyć brzydką, choć sensacyjną historyjkę. Radzę pani zrezygnować z całej sprawy, zanim zdenerwuje pani kogoś z administracji, kto mógłby naprawdę panią skrzywdzić. Niech pani zapomni o dziecku i o tym, jak umarło.

- Nie mogę tak po prostu zapomnieć. Coś się kryje w jego śmierci.

- Jak pani chce. Jednak bez względu na to, co pani zrobi, proszę zapomnieć o mnie.

Wszedł do środka i zamknął drzwi.

Rozdział dwunasty

Kiedy Howiego wezwano do gabinetu naczelnego dyrektora, zagotowało mu się w brzuchu. Wyszedł z męskiej toalety i ruszył prosto na wyłożone dywanami drugie piętro. Sekretarka powściągliwie powiedziała mu, że „oni” już na niego czekają i ma od razu wejść.

Jenkins siedział za biurkiem. Jakiś mężczyzna stał przy oknie, drugi zajmował fotel.

- Wejdz, Howie - polecił Jenkins.

Howie na miękkich nogach wszedł do środka. Zazwyczaj takie nieprzewidziane spotkania oznaczały złe wieści - jak drastyczny spadek oglądalności, większe cięcia w budżecie lub dłuższe kazanie.

- Dzień dobry, panie Jenkins - powiedział, próbując zachować spokój. Starał się patrzeć na swego szefa, nie na dwóch ponurych mężczyzn, którzy przypatrywali mu się, jakby stał na linii ognia. - W czym mogę pomóc?

- Panowie są z FBI.

Howie zacisnął zwieracz odbytu. Cholerny Urząd Skarbowy. Przez ostatnie trzy lata nie wypełniał formularzy podatkowych.

- Chcą ci zadać kilka pytań o Barrie Travis.

Zimny pot spłynął Howiemu spod pach i zebrał się na brzuchu.

- O co chodzi?

- Czy wysłałeś ją z jakimś zleceniem? - spytał Jenkins.

- Ach...

Było to ryzykowne pytanie. Howie potrzebował czasu, żeby odpowiednio wyważyć odpowiedź. Jeśli odpowie twierdząco, a Barrie wpadła w jakieś głębokie gówno, to on właśnie wskakiwał za nią. Jeśli zaprzeczy, a sprawdzi się jej przekonanie, że jest na tropie prawdziwej bomby, wówczas utraci swoją część chwały.

Zerknął na agenta FBI stojącego na tle okna. Wyglądało na to, że facet nie lubi żartować, tak jak jego partner.

- Nie - odparł Howie. - Poprosiła mnie o kilka dni, żeby poszukać materiałów do pewnego reportażu, ale jej tego nie zlecałem.

- Jakiego reportażu? - spytał agent stojący przy oknie.

- Nie wiem. Coś, co sama szykuje.

- Nie uzgadniała tego z panem? - zapytał drugi agent.

- Niedokładnie... w każdym razie nie temat. Powiedziała mi tylko, że to bombowy materiał.

- Nie ma pan choćby bladego pojęcia?

Nowy kumpel, którego poznał w barze poprzedniego wieczoru, stawiał te same pytania.

- Nie, proszę pana.

- Naprawdę, trudno mi w to uwierzyć.

- Kiedy to prawda - zaręczył Howie. - Próbowałem wyciągnąć od niej trochę informacji, ale powiedziała, że nie chce mi nic mówić, dopóki nie znajdzie czegoś konkretnego, co potwierdzi jej przeczucie.

- Jest pan jej bezpośrednim przełożonym, czy tak?

- Tak, proszę pana.

- I nie ma pan pojęcia, jaki reportaż przygotowuje pańska podwładna?

Howie poczuł, że robi mu się słabo, i natychmiast przeszedł do obrony.

- Powinni panowie zrozumieć moją metodę kierowania zespołem. Pozwalam ludziom na przejawianie odrobiny inicjatywy. Kiedy reporter uważa, że trafiła mu się jakaś gratka, daję mu trochę luzu. Jednak rozumie się samo przez się, że za moją wspaniałomyślność muszę dostać piekielnie dobry materiał.

Na Jenkinsie tyrada Howiego nie wywarła żadnego wrażenia. Prawie wszedł mu w słowo:

- Zatem pani Travis będzie nieobecna w tym tygodniu?

- Właśnie. Wyjechała chyba przedwczoraj. Powiedziała, że prawdopodobnie nie będzie jej do końca tygodnia.

Jeden z agentów zapytał:

- Dokąd pojechała?

- Nie powiedziała mi.

Agenci wymienili znaczące spojrzenia. Howie żałował, że nie wie, co to spojrzenie znaczy.

- Czy stacja pokrywa jej wydatki? - odezwał się Jenkins, którego zwykle niezadowolenie jeszcze się pogłębiło w ciągu ostatnich kilku minut.

- Tylko pod warunkiem, że przygotowuje reportaż. - Wyjaśnił zasady umowy, jaką zawarł z Barrie. - Nie chciałem, żeby trwonila fundusze firmy na szukanie wiatru w polu. - To stwierdzenie powinno mu przynieść parę punktów.

- Jakie są jej przekonania polityczne?

Howie odwrócił głowę w stronę agenta stojącego przy oknie.

- Przekonania polityczne?

- Przekonania polityczne. Czy skłania się na prawo, czy na lewo?

Howie zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba można powiedzieć, że jest liberałem. Wiecie, zawsze zajmuje się pokrzywdzonymi przez los. Kobiety, cioty, obcokrajowcy, ludzie tego typu. Głosowała na prezydenta Merritta. - Uśmiechnął się szeroko do trzech ponurych twarzy. - Niedawno prezydent przysłał jej kwiaty. Była wniebowzięta.

Ostatnie stwierdzenie też pozostało bez komentarza. Siedzący w fotelu agent spytał:

- Czy pani Travis należy do jakiejś organizacji? Grup aktywistów, kultów, sekt religijnych?

- Tak - odparł Howie, kiwając głową. - Należy do kościoła metodystów.

Jeden z agentów przewrócił oczami. Drugi się odezwał:

- Ale nie nazwałby jej pan religijną fanatyczką?

- Nie. Nie przeszkadza jej, jak się komuś wymknie jakieś słówko na cztery litery.
- Czy sympatyzuje z jakąś określoną grupą lub organizacją?
- Nic o tym nie wiem. Jednak uczestniczyła w jakichś protestach.
- Przeciw czemu?
- Niszczeniu lasów tropikalnych. Jedzeniu żółwi morskich zamiast tuńczyków. Coś w tym stylu.
- Nic wywrotowego?
- Nie.
- Jak wygląda jej życie osobiste?
- Niewiele o tym mówi.
- Narzeczony?
- Nikt na stałe.
- Mieszka z kimś?
- Sama.
- Bliscy przyjaciele?

Pokręcił głową.

- Nigdy nie słyszałem, żeby o kimś wspominała. Należy do tych kobiet, które poślubiły własną karierę.
- A jej rodzice?
- Nie żyją.
- Zna pan ich imiona? Gdzie mieszkali?
- Przykro mi. Umarli, zanim zaczęła tu pracować.

W swej gotowości dostarczenia informacji i chęci wydania się ważnym, Howie prawie zapomniał, że rozmawiają o Barrie, a nie o zatwardziałej kryminalistce. Poczul wyrzuty sumienia. Barrie mogła każdemu zaleźć za skórę, ale zrobiło mu się nieprzyjemnie, że tak swobodnie paple o niej z agentami.

- Czy ma jakieś kłopoty? Zrobiła coś złego?
- To tylko rutynowa kontrola. - Agent siedzący w fotelu wstał. - Dzwoniła kilka razy, aby się dowiedzieć o zdrowie Pierwszej Damy, wykazując niezwykle zainteresowanie miejscem jej pobytu.

Howie się uspokoił.

- Dzwoniła jako serdeczna znajoma. Bardzo się ze sobą zaprzyjaźniły po wywiadzie, jaki Barrie przeprowadziła z panią Merritt.

Drugi agent powiedział:

- Biały Dom na ogół staje się podejrzliwy, kiedy ktoś zaczyna zadawać wścibskie pytania dotyczące prezydenta czy członków jego rodziny.

Podziękowali Jenkinsowi i Howiemu za poświęcony im czas i wyszli.

Howiemu nie udało się wyjść za nimi. Gniewne spojrzenie Jenkinsa przykuło go do miejsca.

- Czy wiesz o czymś, czego nie powiedziałeś?
- Nie, proszę pana.

- Co to za bomba?

- Tak jak im powiedziałem, panie Jenkins, przysięgam na Boga, że nie wiem. Ale Barrie mówiła, że afera Watergate to przy tym dziecinna zabawa.

- Zatem chodzi o politykę?

- Nie mówiła. Tylko, że to coś ważnego.

Jenkins wycelował w Howiego palec.

- Nie chcę, żeby jakiś napalony radykał pracował w mojej stacji.

- Barrie nie jest wariatką, proszę pana. To dobra reporterka. Sam pan jej to przecież napisał w liście.

- Nie posyłałem jej żadnego listu. O czym ty do kurwy nędzy gadasz, Fripp?

- George?

Vanessa nie była pewna, czy ją usłyszał, ale doktor popatrzył na nią z góry z szerokim uśmiechem.

- Cieszę się, że się pani obudziła. Jak się pani czuje?

- Niedobrze. - Ogarnęły ją mdłości i nie mogła skupić wzroku na jego zwielokrotnionej, niewyraźnej twarzy. Z trudem przypomniała sobie przykrą scenę. George zrobił jej zastrzyk na uspokojenie. Wydawało się jej, że było to bardzo dawno temu. - Co mi jest? Gdzie David?

- Zgodziliśmy się z prezydentem, że potrzebny pani dłuższy odpoczynek w łóżku, więc przewieźliśmy panią tutaj. - Poklepał ją po ramieniu, ale prawdopodobnie nie poczułaby dotknięcia, gdyby nie spojrzała na swoją rękę. Wbito w nią igłę, przez którą sączył się przezroczysty płyn.

Ruch po przeciwnej stronie łóżka zwrócił uwagę Vanessy. Uśmiechała się do niej pielęgniarka.

- Jestem Jayne Gaston - przedstawiła się. Miała około czterdziestu pięciu lat, szeroką sympatyczną twarz i szpakowate włosy.

- Pani Gaston będzie przy pani przez cały czas - powiedział George. - Wspaniale się panią zaopiekowała, a pani do tej pory była idealną pacjentką.

Vanessę ogarnęło zakłopotanie i niepewność. Pokój wyglądał jakby znajomo, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie się znajdował.

- Dlaczego dostałam kroplówkę?

- Żeby nie dopuścić do odwodnienia organizmu - wyjaśnił lekarz. - Zwracała pani wszystkie płyny.

Pielęgniarka mierzyła jej ciśnienie.

- Czy jestem chora? - spytała nagle z przerażeniem. Czego jej nie chcieli powiedzieć? Czy przeżyła wypadek i straciła kończynę? Czy wykryto u niej złośliwy nowotwór? Czy ktoś do niej strzelał?

Wszystkie straszliwe możliwości w jednej chwili zastąpiła okropna rzeczywistość: David ją tu umieścił.

- Gdzie jest David? Chcę z nim pomówić.

- Prezydent pojechał na Zachodnie Wybrzeże - powiedział George z uprzejmym, jak zwykle, uśmiechem. - Jednak sądzę, że wróci dziś wieczorem. Może pomówi z nim pani później.

- Dlaczego potrzebna mi pielęgniarka? Umieram?

- Oczywiście, że nie, pani Merritt. Proszę się położyć - poprosił George, naciskając łagodnie jej ramiona, gdy próbowała usiąść. Spojrzał na Jayne Gaston. - Lepiej dodajmy jeszcze trochę.

- Ależ, doktorze Allan...

- Proszę, pani Gaston.

- Tak, doktorze. - Wyszła z pokoju.

- Gdzie mój ojciec? - spytała Vanessa. Jej głos brzmiał cicho i bezradnie. - Chcę zobaczyć się z moim tatą. Zadzwoń do niego. Powiedz mu, żeby przyjechał i zabrał mnie stąd.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić bez uzyskania najpierw zgody Davida.

Pielęgniarka wróciła ze strzykawką. Zrobiła Vanessie zastrzyk w pośladek.

- Szybciej wróci pani do zdrowia, jeśli się uspokoi i pozwoli sobą zająć - powiedział łagodnie George.

- Co mi jest? Czy dziecko już się urodziło?

Jayne Gaston popatrzyła na doktora Allana.

- Biedactwo. Myśli, że jeszcze jest w ciąży.

George pokiwał głową z ponurą miną.

- Moje dziecko! - zatkała Vanessa. - Czy macie moje dziecko?

- Wyjdźmy, żeby mogła odpocząć.

- Nie, proszę! - zawołała głosem ochryplym od łez. - Nie zostawiajcie mnie samej. Wszyscy mnie nienawidzicie. Wiem, że mnie nienawidzicie. Czego nie chcecie mi powiedzieć? Moje dziecko nie żyje, prawda?

Doktor Allan gestem nakazał pielęgniarkę, by wyszła za nim z pokoju. Pani Gaston cicho zamknęła za sobą drzwi.

Vanessa próbowała sobie coś przypomnieć. Było to coś ważnego, ale nie potrafiła tego uchwycić. Musiała pomyśleć, musiała sobie przypomnieć. Powinna pamiętać. Co to było?

Nagle jęk rozpaczony wydarł jej się z głębi piersi. Przypomniała sobie drobne ciało bez życia, które uniosła z łóżeczka. Usłyszała echo swoich krzyków, tak jak tamtej nocy, gdy odbijały się w korytarzach Białego Domu.

- Moje dziecko - szepnęła łkając. - Moje dziecko. Och, Boże. Przepraszam.

Cierpienie zamiast ją osłabić, dodało jej sił. Nie miała pewności, co właściwie powinna zrobić, ale wiedziała jedno: nie może tu dłużej leżeć. Nie czując bólu, zerwała plaster przytrzymujący igłę na wierzchu dłoni. Gdy już jej nie przeszkadzał, opanowała mdłości i wyciągnęła z żyły kateter.

Próbowała usiąść, czując się, jakby ktoś położył jej na piersi ogromny, przykuwający ją do łóżka ciężar. Zebrała resztki sił i w końcu podciągnęła się do pozycji siedzącej. Pokój się przechylił. Drzewa, które widziała za oknem, wydawały się wyrastać z ziemi pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Znowu ogarnęły ją mdłości.

Mózg nie był w stanie wydawać poleceń stopom. Przełożenia ich na bok łóżka zabrało jej pięć minut i kosztowało wiele wysiłku. Stopy zwisały nad podłogą. Walczyła z mdłościami i nieustannymi zawrotami głowy. Wreszcie zebrała dość odwagi i zsunęła się z brzegu materaca, aby postawić stopy na podłodze.

Ale nogi nie mogły jej utrzymać. Upadła na podłogę obok łóżka. Leżała tam, łkając i dysząc ciężko, za słaba, by wstać, za słaba, by zawołać o pomoc. Chciała umrzeć.

Nie. Nie ma zamiaru im tak wszystkiego ułatwić.

Z rozpaczliwą determinacją sunęła po podłodze centymetr za centymetrem niczym ameba, odpychając się ręką, stopą, ramieniem, piętą. Zbliżała się minuta po minucie do celu.

Kiedy wreszcie dotarła do drzwi, była cała skąpana w pocie. Włosy i koszula nocna lepiły się do ciała. Zwinęła się na podłodze i odpoczywała, drżąc z zimna.

Po dłuższej chwili uniosła głowę i popatrzyła na klamkę. Wydawała się równie daleka jak słońce. Próbowwała walić w drzwi, ale zdołała je tylko cicho poklepać. Przycisnęła dłonie do zimnego drewna i podciągnęła się w górę, napinając mięśnie ramion i piersi, aż udało jej się ustawić najpierw jedną nogę pod sobą, potem drugą. Uklęknęła.

Potem objęła klamkę obiema rękami i z trudem obróciła, jednocześnie padając na drzwi. Otworzyły się z trzaskiem. Wypadła na korytarz, przewróciła się na bark. Poczowała w ramieniu przeszywający ból.

- Pani Merritt! Och, mój Boże! Doktorze Allan!

Krzyki. Odgłos biegnących nóg. Dłonie chwytające ją pod pachami, podnoszące.

Bezwładna, wycieńczona chwiała się na nogach między dwoma agentami Tajnej Służby, którzy prowadzili ją z powrotem do łóżka.

Kiedy już leżała, George Allan odsunął agentów na bok.

- Dziękuję, panowie.

- Czy mam wezwać karetkę, doktorze Allan? - spytał jeden z nich.

- To nie będzie konieczne. - Słuchał pracy serca przez stetoskop. - Pani Gaston, proszę o przygotowanie następnej kroplówki, dobrze?

Drugi agent spytał, czy ma zawiadomić pana prezydenta lub pana Martina. Doktor odparł, że sam do nich zadzwoni, gdy tylko stan pani Merritt się ustabilizuje. Agenci wycofali się.

- Proszę zapiąć pasy - polecił George pielęgniarce. - Ręce i nogi.

- Czy to nie za dużo?

- Nie możemy ryzykować, że znowu wstanie z łóżka i upadnie, pani Gaston.

- Z największą przyjemnością pomogłabym pani Merritt, jeśli tylko zechce wstać, doktorze Allan. Wstanie z łóżka bardzo dobrze by jej zrobiło. Uważam, że dostała za dużo środków uspokajających.

- Doceniam pani troskę - odparł George, choć ton jego głosu przeczył słowom. - Jednak to ja wiem, co jest najlepsze dla mojej pacjentki. Proszę wykonywać moje polecenia, ponieważ działam z upoważnienia prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czy jasno się wyraziłem?

- Tak, doktorze Allan.

Vanessa leżała z zamkniętymi oczami, ale przysłuchiwała się ich rozmowie, chociaż znaczenie niektórych słów jej umknęło. Dlaczego nie może wstać, kiedy zechce?

Gdzie jest David?

Gdzie jest jej ojciec?

Gdzie jest ona sama?

Może w piekle.

Na pewno w piekle.

- Gdzie?

- Wyoming.

- Cholera!

Spence przekazał złą wieść prezydentowi i zamilkł. Nadal biegli obok siebie. Merritt kłął głośno. Posługiwał się językiem, którego nauczył się od ojca, robotnika stocznioowego z Biloxi.

Świat poznał korzenie Merritta, gdy po raz pierwszy ubiegał się o miejsce w Kongresie. Wyborcy dobrze wiedzieli, że do czasu rozpoczęcia kampanii prezydenckiej nie znał życia bogatych i uprzywilejowanych. Jego matka pracowała jako kucharka w państwowej szkole, ale choć zarabiali oboje z mężem, rzadko miewali gotówkę. Nigdy nie kupili domu na własność. David Merritt spędził dzieciństwo w wynajętej używanej przyczepie.

Zamiast ukrywać skromne początki kandydata, komitet wyborczy je podkreślał. Merritt był Abrahamem Lincolnem dwudziestego pierwszego wieku. Pokonał niewiarygodne przeszkody, aby zdobyć najwyższy urząd w państwie. Opieka senatora Armbrustera bardzo się przydała, ale to inteligencja i upór Merritta zwróciły na niego uwagę.

Nie upowszechniano wszystkich szczegółów o biedzie, w jakiej żył młody Merritt. Nie wspomniano, że ojciec i matka byli alkoholikami. Stał się samodzielny na długo przedtem, zanim rodzice zapili się na śmierć. On sam tylko jeden jedyny raz pozwolił sobie się upić. Było to w dniu pogrzebu ojca. Upił się, świętując uwolnienie od dwojga ludzi, których nienawidził i którymi pogardzał od niepamiętnych czasów.

Spence zerknął na prezydenta.

Jak zwykle, wybuch nie trwał zbyt długo. Spence wybrał tę właśnie chwilę na przekazanie niepokojących wieści, ponieważ chodziło o sprawy osobiste wymagające całkowitej tajemnicy. Przy porannym bieganiu nikt ich nie mógł podsłuchać, nawet agenci Tajnej Służby trzymający się jak cienie kilka kroków z tyłu. Wiedzieli, że lepiej za bardzo się nie zbliżać, kiedy prezydent rozmawia ze Spence'em.

- Skąd wiesz, że Barrie Travis pojechała do Wyoming? - spytał zadyszany prezydent.

- Nie ma jej w domu od dwóch dni. Pies znajduje się w schronisku.

- Nie pytałem, czy wyjechała z miasta - uciął Merritt. - Pytam, skąd wiesz, że jest w Wyoming?

Spence nie pozwolił, aby ta wymówka wyprowadziła go z równowagi. Uważał utratę panowania nad sobą za dowód słabości.

- Kiedy pojechałeś do Kalifornii, rozmawiałem z tym pajacem, z którym Travis pracuje. - Opowiedział Merrittowi o spotkaniu Howiego Frippa w barze. - Ten facet to prawdziwy kretyn. Nie sądzę, żeby wiedział, dokąd pojechała, ponieważ tę samą historyjkę podał dwóm agentom FBI wczoraj rano w stacji. Powiedzieli, że cuchnął strachem. Gdyby cokolwiek wiedział, toby się wygadał.

- Czy przeszukano jej dom?

- Oficjalnie nie - odparł Spence. - Nie mieliśmy nakazu ani dobrego pretekstu, żeby dostać nakaz.

- A nieoficjalnie?

- Nieoficjalnie przeczesał go najlepszy człowiek z branży - przyznał Spence z zimnym uśmiechem. - Jego zdaniem wszystko wskazuje na to, że próbowała zatrzeć ślady. Nie znalazł ani jednej notatki, skrawka papieru, rachunku, czegokolwiek, co potwierdzałoby, że wyjeżdża i dlaczego. Znalazł tylko nie zwrócone w terminie książki z biblioteki o zaburzeniach psychicznych kobiet i o SIDS.

Merritt otarł spocone czoło.

- Nadal węższy.

- Tak podejrzewam. Znaleźliśmy jej samochód na lotnisku krajowym, potem zaczęliśmy szukać jej nazwiska na listach pasażerów wszystkich linii z ostatnich kilku dni. Na żadnym z jej kont bankowych nie pojawiły się rachunki za opłaty kartą kredytową.

Prezydent przestał biec. Spence też się zatrzymał. Agenci Tajnej Służby przystanęli, ale nie podeszli bliżej.

- Okropnie ostrożna, to chyba paranoja - stwierdził Merritt.

- Chyba tak. Kiedy nie znaleźliśmy jej nazwiska na listach pasażerów, sprawdziliśmy biura podróży, aż znaleźliśmy urzędnika, który sprzedał jej bilet. Podróżowała pod przybranym nazwiskiem i zapłaciła za bilet do Jackson Hole gotówką. Pracownik linii lotniczej rozpoznał ją na zdjęciu.

- Pojechała zobaczyć się z Grayem.

- Pojechała zobaczyć się z Grayem - powtórzył Spence ponuro. - Przynajmniej tak musimy zakładać.

Merritt patrzył przed siebie z zamyślonym wyrazem twarzy.

- Gray nienawidzi reporterów. Nie sądzę, żeby z nią rozmawiał.

- Jesteś gotów zaryzykować?

- Cholera. - Merritt otarł kropelkę potu z czubka nosa. - A jeśli już się spóźniliśmy? Jeśli rozmawiała z Grayem, a on jej wszystko powiedział...

- To teoretycznie mamy problem - powiedział Spence.

- Na rok przed wyborami nie stać nas nawet na „teoretyczne” problemy.

- Zgadza się. - Spence utkwiał spojrzenie w oczach prezydenta. - Uważam, że musimy zagwarantować sobie milczenie tej reporterki.

Prezydent pokiwał głową i znów zaczął biec.

- Zrób, co uważasz za stosowne.

Spence ruszył obok niego.

- Natychmiast się tym zajmę.

Rozdział trzynasty

- Wpuszczasz mnie w maliny? FBI?

- Tak właśnie powiedział Howie. - Barrie rozmawiała z Dailym z pokoju motelu w Jackson Hole, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Czy to kiepskie oświetlenie pokoju, czy rosnące przerażenie sprawiło, że tak zbladła?

- Dwóch agentów przyszło do WVUE i wypytywało go o mnie. - Powtórzyła Daily'emu wszystko, co zapamiętała z relacji Howiego. - Tak go wystraszyli, że się zesrał. Dosłownie. Posunął się do opisywania takich szczegółów o zakłóceniach pracy jelit, że nie sposób powtórzyć.

- W tym nie ma nic śmiesznego, Barrie.

Jeszcze jeden mechanizm obronny wykształcony w dzieciństwie - sarkastyczne poczucie humoru. Tym razem nie pomógł jej. Miała nadzieję, że Daily rozwieje jej obawy, ale on tylko je powiększył.

- Jak sądzisz, co to oznacza?

- Uważam, że kogoś zdenerwowałaś.

- Kogo?

- Może Daltona Neely'ego. Twoje nieustanne telefony mogły go rozzłościć, sugerowały bowiem, że nie jest zbyt prawdopodobny, jeśli chodzi o samopoczucie Pierwszej Damy. Sposób na powiedzenie ci, żebyś się wycofała, to nasłanie na ciebie agentów FBI.

- Albo?

- Albo - westchnął - mogło to pochodzić prosto z Gabinetu Ovalnego. Czy Howie snuł jakieś domysły?

- Howiemu i Jenkinsowi oświadczono, że to zupełnie rutynowa kontrola, i wtedy Howie im powiedział, że interesuję się zdrowiem Vanessy wyłącznie jako przyjaciółka, bo zbliżyłyśmy się do siebie po ostatnim wywiadzie.

- Kupili to?

- Tak wyglądało. Prawdopodobnie to koniec tej sprawy.

- Prawdopodobnie.

Po chwili powiedziała:

- Daily, zgadzamy się w punkcie, w który żadne z nas nie wierzy.

Milczeli przez jakiś czas. Jedyнным dźwiękiem rozlegającym się w słuchawce był świszający oddech Daily'ego. W końcu się odezwał:

- Prawie zapomniałem. Jak poszło z Bondurantem?

Serce gwałtownie podeszło jej do gardła. Jak poszło z Bondurantem? W łóżku czy poza łóżkiem? W łóżku był cudowny. Poza...

- Tak jak się spodziewałam. Zachowywał się wrogo. Małomówny.

- Nie przywitał cię z otwartymi ramionami, co?

W pewnym sensie przywitał.

- Niezupełnie.
- Czy rzucił na tę sprawę jakieś światło?
- Ani smużki. Ale jestem przekonana, że łączyło ich silne uczucie. Przynajmniej z jego strony.
- Myślisz, że dopuścili się tej okropnej rzeczy?
- Bez względu na to, czy doszło do skonsumowania czy nie, pozostało głębokie przywiązanie. W pewnej chwili, kiedy się nie kontrolował, ubolewał nad nią, że musi przechodzić teraz piekło. Podejrzewam, że chodziło mu o rozpacz po śmierci dziecka.
- Nigdy niczego nie podejrzewaj, Barrie. Niczego się nie nauczyłaś? Szukaj faktów!
- W każdym razie nie wrócę do niego na następną rundę, Jeśli to właśnie mi proponujesz. Kazał mi zapomnieć o reportażu i o nim. Zamierzam tak zrobić. Skończę reportaż, ale bez Bonduranta.
- Co się z tobą dzieje?
- Nic. - Boże, umarłaby, gdyby Daily dowiedział się, że poświęciła dziennikarską etykę i obiektywizm dla kilku minut rozkoszy.
- W porządku - powiedział bez przekonania. - Po prostu wydajesz się strasznie przygnębiona.
- Martwię się o swój materiał.
- Chcesz to ciągnąć?
- Naturalnie. Od kiedy przelożonego nikomu nie znanej reporterki odwiedza FBI? Im więcej drzwi zamyka się przede mną, tym bardziej jestem przekonana, że ktoś chce coś zataić.
- Kiedy wracasz?
- Jutro. Podejmę trop w Waszyngtonie. Są jakieś wieści o Vanessie?
- To samo gównno.
- Zadzwoń do ciebie jutro, kiedy wrócę do domu. Dobrze się czujesz?
- Świetnie - odparł, choć jego głos temu przeczył. - Barrie? Jeśli wdepnęłaś w coś naprawdę brzydkiego... Uważaj na siebie. Dobrze?

Barrie wzruszyła jego troska, zatęskniła za nim. Nawet po zakończeniu rozmowy przytrzymała ręką słuchawkę, niechętnie myśląc o zerwaniu kontaktu. Daily stał się dla niej rodziną, kimś więcej niż przyjaciel, ojcem, którego tak naprawdę nie miała.

Znużona weszła do łazienki i zaczęła zdejmować ubranie. Lusterko nad umywalką nie było uprzejmiejsze niż wiszące nad toaletką w sypialni. Wyglądała okropnie. Resztki makijażu sprzed trzydziestu sześciu godzin podkreślały drobne zmarszczki wokół oczu, które przez to wydawały się głębsze niż zwykle. Skończyła trzydzieści trzy lata. Jak będzie wyglądać, gdy skończy czterdzieści trzy lata? Pięćdziesiąt trzy? Nie miała żadnego punktu odniesienia. Jej matka nie żyła od tak dawna.

Zaciągnęła zasłonkę przy prysznicu i odkręciła wodę. Gdy strumień wody spłynął na piersi, zapiekło. Spojrzała w dół i wokół sutek spostrzegła drobne różowe zadrapania. Ślady wąsów.

Boże, co ona zrobiła?

Wsadziła głowę pod prysznic, żalując, że ostry strumień wody nie może zmyć wspomnień o Grayu Bondurancie. Nagi. Smukły, sprężysty i mocny. Jego ciało nie miało gładkiej doskonałości młodości. Musiało wiele znieść. Jednak zagłębienia i szramy sprawiały, że tym bardziej ją pociągało, tak jak dzięki siwiejącym skroniom i zmarszczkom w kącikach oczu jego twarz była bardziej interesująca.

Potrzebuję odpoczynku, pomyślała, wcierając szampon we włosy. Zmęczenie i napięcie powodowały, że stawała się bezbronna. Pojawiały się niebezpieczne myśli. Najpierw o Dailym. Potem o rodzicach. Teraz o wysokim, długonogim mężczyźnie o ostrym spojrzeniu niebieskich oczu i okrutnych ustach.

„Czy twój tatuś cię nie kochał?”

„Nie, panie Bondurant, nie kochał. Mojej matki zresztą też nie”.

Bo jeśli ją kochał, to dlaczego oszukiwał? Dlaczego przez całe małżeństwo ją zdradzał? Dlaczego kłamał, zaprzeczał oskarżeniom matki i wykrzykiwał obelgi, które wypełniały noce Barrie strachem i cierpieniem? Dlaczego nie przestał torturować swojej rodziny romansami aż do śmierci na atak serca w hotelowym pokoju w Las Vegas, gdy jego kochanica namaszczała jego przyrodzenie podniecającą galaretką o smaku mleczka kokosowego? Nawet nie wykazał odrobiny troski o ich uczucia, umierając w miejscu bardziej godnym szacunku.

Co wówczas zrobiła głupia, po stokroć głupia matka Barrie? Czy kiedykolwiek miała do niego pretensje o niedotrzymanie ślubnej przysięgi? Czy kiedykolwiek upomniała go za to, że ignorował istnienie córki, że był zbyt zajęty pieprzeniem, by zauważyć, jak z dziecka staje się młodą dziewczyną? Czy kiedykolwiek powiedziała mu, że jest bezdusznym, najbardziej obojętnym ojcem w historii? Czy nawet już po jego śmierci powiedziała komukolwiek, jakim był potwornym sukinsynem?

Nie. Pochowała go w wielkim stylu, a potem, nie mogąc sobie wyobrazić życia bez niego, poszła do domu i połknęła całą butelkę proszków.

„Tak, panie Bondurant, celnie pan trafił”.

Barrie wyszła spod prysznicza i sięgnęła po ręcznik. Przeczytała wiele fachowych książek, oglądała wywiady. Wiedziała wszystko o psychologii. Dziewczęta odrzucone przez swoich ojców zazwyczaj wybierały jedną z dwóch dróg. Zostawały nimfomankami, szukającymi miłości i troski u mężczyzn w jakiegokolwiek formie - lub odrzucały ich, na ogół dla innych kobiet.

Barrie nie wybrała ani jednego, ani drugiego.

Nie stała się dziwką, złańcioną męskiej obecności i tylko od niej uzależniającą ocenę własnej osoby. Nie poszła też tamtą drugą drogą. Jej seksualne potrzeby zaspokajali mężczyźni. Jeśli była z kimś, kogo uważała za pociągającego fizycznie, czarującego, inteligentnego do pewnego stopnia, seks sprawiał jej ogromną przyjemność. Ale wyznawała jedną niezmienną zasadę: to ona ustalała czas trwania, miejsce i warunki związku.

Aż do epizodu tego ranka.

Nigdy w życiu nie straciła do tego stopnia kontroli nad sobą. Ten rodzaj bezmyślnego, nieostrożnego oddania się namiętności był niebezpieczny dla psychiki. Wystarczy przykład własnej matki. Barrie przysięgła sobie, że nie powtórzy jej fatalnego błędu - ślepej miłości i odtrącenia tej miłości.

Była gotowa ofiarować swoje ciało, kiedy pojawiała się pożądanie i sprzyjające okoliczności. Jednak przysięgła sobie, że nie dopuści, żeby ktoś zawrócił jej w głowie.

Gray obudził się właśnie w tym momencie, gdy poduszka zbliżała się do jego twarzy.

Instynktownie próbował sięgnąć po pistolet, ale ręce przygważdżała mu para ramion. Prześladowca usiadł mu okrakiem na piersi. Gray napiął się i walczył. Wygiął ciało w łuk. Chciał wciągnąć powietrze w płuca, ale nie mógł odetchnąć. Napastnik roześmiał się.

Gray rozpoznał ten śmiech na ułamek sekundy przedtem, zanim poduszkę odrzucono na bok. Pojawiła się nad nim twarz uśmiechniętego Spence'a Martina.

- Babiejesz na tej odległej placówce, stary.

Gray zrzucił go z siebie i zsunął się z łóżka.

- Cholerny wariacie! Mogłem cię zabić.

- Czy nie było dokładnie odwrotnie? - odrzekł Spence, wciąż się śmiejąc. - To ja mogłem cię zabić.

- Co u diabła robisz tutaj? Zakradasz się do mojego domu i napadasz mnie znienacka? Jezu, która godzina? Muszę się odlać.

- Cieszę się, że cię widzę. - Spence odprowadził go do drzwi łazienki. - Zrzuciłeś parę kilo.

Gray sięgnął po parę niebieskich dzinsów wiszącą z tyłu drzwi. Wciągnął je i obrzucił spojrzeniem dawnego kolegę.

- Za to tobie parę przybyło. Szef kuchni w Białym Domu musi znać się na rzeczy.

Spence nadal się uśmiechał, co mu się rzadko zdarzało.

- Wiesz, za czym najbardziej tęsknię, odkąd wyjechałeś?

- Za moim urokiem?

- Za twoim całkowitym brakiem uroku. Większość osób całuje ślady moich stóp. Jestem zaufanym doradcą prezydenta i jego najlepszym przyjacielem. Bez względu na to, jak chamsko się zachowuję, zawsze wyłazą ze skóry, żeby wleźć mi w tyłek. Tylko nie ty, Gray. Wszystkich traktujesz tak samo. Jak gównu - dodał po chwili.

- Po co tu przyjechałeś? Naprawdę tęskniłeś się za mną?

Gray poprowadził Spence'a przez dom do kuchni. Miał tylko jeden zegar w domu, właśnie nad kuchenką. Sprawdził godzinę. Prawie świt. Upłynęły dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy zabawiał się z Barrie Travis w tym pokoju. Nie umknęła jego uwagi ta niepokojąca symetria wydarzeń.

- Nigdy nie lubiłeś się śmiać, Gray. Jednak dobrze było mieć cię pod ręką. Zawsze wypełniałeś swoje zadania.

Gray rzucił Spence'owi wymowne spojrzenie.

- Tak, rzeczywiście. Byłem na miejscu, gdy najbardziej mnie potrzebowaliście. - Patrzył w oczy dawnego kolegi przez kilka pełnych napięcia sekund, a potem odwrócił głowę. - Kawy?

- Proszę. Masz coś do jedzenia?

Przygotował obfite śniadanie, bardzo podobne do tego, którym nakarmił Barrie poprzedniego dnia. Gdy jedli, ciszę przerywał tylko stukot sztućców o talerze. Po pewnym czasie Spence spytał:

- Czy zawsze tak tu jest?

- Jak?

- Tak cicho.

- Nie. - Gray upił łyk kawy. - Zwykle jest jeszcze ciszej. Nikt nie gada.

- Gray samotnik - powiedział Spence. - Silny i milczący, lojalny bohater bez uśmiechu, który wystrzega się reklamy i wybrał samotne życie. Cholera! Toż to materiał na legendę. Kto wie? Może za sto lat dzieci będą śpiewały o tobie pieśni.

Gray zachował milczenie.

Po powrocie z ekspedycji ratunkowej zwrócili się do niego producenci filmowi i wydawcy, gotowi zamienić jego pełne przygód życie w rozrywkę dla mas. Proponowali oszałamiające sumy, ale nigdy go nie skusiły. Dość zaoszczędził, żeby kupić sobie dom i żyć wygodnie przez resztę życia. Pragnął tylko uciec, i uciekł.

Zebrał talerze ze stołu, potem wrócił z dzbankiem kawy i dołał do kubków. W końcu zapytał o powód przyjazdu Spence'a do Wyoming.

- Powodem jesteś ty - odparł Spence. - David wysłał mnie ze zleceniem do Seattle. Pomyślałem, że skoro i tak muszę tu jechać, to wpadnę i zobaczę, jak sobie radzisz.

David być może wysłał go ze zleceniem, ale żadne z działań Spence'a nigdy nie było proste. Każdy ruch uzasadniał na kilka sposobów. W ten sposób zawsze był kryty. Przygotowywał sobie odwrót na wszelki wypadek, gdyby jakąś akcję zaczął sprawdzać jeden z licznych urzędników od kontroli wydatków osób pracujących dla rządu federalnego.

Był najlepszym z najlepszych w całej dywizji piechoty morskiej i rozpoznania. Osiągnął mistrzostwo we wszystkim - w posługiwaniu się bronią, w wywiadzie, przetrwaniu. Nie znał strachu. Był maszyną. Gray wcale by się nie zdziwił, gdyby Spence miał w czaszce komputer zamiast mózgu. Czy silnik w piersi tam, gdzie powinno być serce.

Wiedział jednak na pewno, że człowiek siedzący po drugiej stronie stołu nie ma duszy.

- Kłamiesz, Spence.

Spencer Martin nawet nie mrugnął.

- Jasne, że kłamię. Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak się cieszę, że to wyłapałeś, Gray. Bystry jak zawsze. Nic nie straciłeś ze swojej bystrości. - Pochylił się do przodu. - David chce, żebyś wrócił.

Gray zachował spokój, chociaż bardzo go to zaskoczyło.

- Potrzebuje cię z powrotem w Waszyngtonie - powtórzył z naleganiem w głosie Spence.

- Jak cholera.

- Posłuchaj... - Spence uniósł dłonie do góry. - To dumny człowiek. Do diabła, nie muszę ci tego mówić. Jest uparty i stanowczy. Trudno mu się wycofać czy przeprosić, przyznać, że się pomylił.

- Dlatego wysłał ciebie, żebyś to za niego zrobił.

- Nie chcę nic od ciebie, ale proszę w imieniu Davida, żebyś zabrał dupę w troki i wrócił do Waszyngtonu. Tam jest twoje miejsce.

- Nie tam, tylko tutaj.

Spence zerknął na wspaniały widok za oknem.

- Nie jesteś traperem, Gray.

- Lubię góry.

- Ja też. Świetnie się w nich jeździ na nartach, wspina i jodłuje. Zatrzymaj ten dom na wakacje, ale wracaj ze mną do Waszyngtonu. Marnujesz swój talent. Prezydent cię potrzebuje. Ja cię potrzebuję. Kraj cię potrzebuje.

- Co za wzruszające przemówienie. Kto ci je napisał? Neely?

- Mówię poważnie.

- Kraj mnie potrzebuje? - parsknął Gray. - Daj spokój. Kraju nie obchodzi, czy żyję, czy umarłem. Wykonałem robotę, do której mnie wyszkolono. Mój kraj o więcej mnie nie prosił i ja też o nic więcej nie prosiłem. Tak właśnie powinno być.

- Dobrze, zapomnij o patriotycznym obowiązku. Co z Davidem?

- Wcale nie jestem mu potrzebny. Jego notowania sięgnęły nieba. Tamta partia poświęci jakiegoś biedaka, żeby wystartował przeciw niemu w przyszłym roku, ale okaże się to bardzo kosztowną i daremną próbą, ponieważ David zostanie prezydentem na drugą kadencję. Potrzebuje mnie tak, jak zadry w zadku.

- Nieprawda.

Spence wstał, przeciągnął się i wyjrzał przez okno. Słońce już wzeszło i widok zapierał dech w piersi. Śnieg skrzył się złością na szczytach.

- Ta sprawa z Vanessą - powiedział Spence - może w każdej chwili wybuchnąć jak ręczny granat.

- Jaka sprawa?

Spence odwrócił się od okna.

- Śmierć dziecka. Zgłupiała na tym punkcie.

- Jak każda matka.

Spence potrząsnął głową.

- Jest coś jeszcze. Rozpacz pogorszyła tamten problem. Innymi słowy, nie może ani na chwilę zostać sama. - Powiedział Grayowi, że wywieźli ją do Highpoint i zostawili tam pod opieką George'a Allana i pielęgniarki. - David obawia się, że Vanessa popełni jakieś szaleństwo.

- Chodzi ci o to, że może wyrządzić sobie krzywdę?

- Właśnie. David sądził, że jeśli wrócisz, to wpłyniesz na nią i się uspokoi.

- Jeśli sam nie może uspokoić własnej żony, to czego oczekuje ode mnie?

- Rozproszysz nowe plotki o ich małżeństwie - odparł. otwarcie Spence. - Vanessa ostatnio dużo przebywała poza domem. Wiesz, co ludzie gadają. Gdybyś wrócił, plotki by się skończyły raz na zawsze. Wiadomo przecież, że David nie wciągnąłby ponownie na listę płac człowieka, który był kochankiem jego żony.

Gray tak mocno zaciskał zęby, że rozboleła go szczeka. Pod stołem zwinął dłonie w pięści.

- Sytuację komplikuje pewna reporterka - mówił dalej Spence. - Barrie Travis. Zadawała zbyt wiele pytań. Nie ma za dobrych referencji. - Położył palce na klawiaturze przenośnego komputera, z którym nigdy się nie rozstawał, i podsumował zawodowy życiorys Barrie Travis. - Od czasu gdy Vanessa udzieliła jej wywiadu, uważa się za przyjaciółkę i powierniczkę Pierwszej Damy. To nieudacznik, ale czasami nie nabita broń może wystrzelić w najmniej odpowiednim momencie. Jest niebezpieczna.

- Rzeczywiście. Była tutaj.

- Tutaj? Kiedy?

- Wczoraj.

Spence wrócił na krzesło i przesunął dłonią po twarzy.

- Myśleliśmy, że węszy po Waszyngtonie, ale skoro cię odszukała, to znaczy, że idzie na całego.

- Och, z pewnością. Miała przy sobie całą torbę pełną wycinków z brukowców na temat Vanessy i mnie. Odrobiła pracę domową i starała się bardzo, żeby coś wyciągnąć. Poinformowałem ją, że nie mam nic do powiedzenia o Merrittach i nie interesuje mnie nic, co ona może mi o nich powiedzieć.

- A czy coś powiedziała?

Gray zachichotał.

- Uważa, że Vanessa sama zabiła dziecko, a tylko twierdzi, że to śmierć we śnie.

- Mam nadzieję, że żartujesz.

- Czy kiedykolwiek żartowałem? Znasz mnie.

- Jezu Chryste - wyszeptał Spence. - Wiedzieliśmy, że ta Travis do wielu rzeczy jest zdolna, ale... Naprawdę wierzy, że Vanessa mogła to zrobić? To niedorzeczne.

- Oczywiście, że niedorzeczne.

- Jednak jeśli Travis rozgłosi taką plotkę, to chyba nie muszę ci mówić, jak by to zaszkodziło. Nie tylko Davidowi i przyszłorocznym wyborom, ale i Vanessie. Jest teraz bardzo przewrażliwiona. George musiał zwiększyć dawki leków, żeby utrzymać ją w równowadze. Ostatnio polubiła alkohol, co jeszcze dodatkowo pogarsza problem. Jeśli teoria Travis się rozejdzie, Vanessa zupełnie się rozsypie.

Gray z łatwością wyobrażał sobie, jak pracuje mózg Spencer: chronić i utrzymać prezydenturę dla Davida, a tym samym swoją funkcję.

- Gdzie jest teraz Travis?

Gray wzruszył ramionami.

- Chyba w powrotnej drodze do Waszyngtonu. Kazałem jej się wynieść.

Spence zerwał się na równe nogi.

- Lepiej będzie, jak natychmiast zadzwonię do Davida. Będzie chciał od razu o wszystkim usłyszeć.

- Telefon stoi w sypialni na stoliku przy łóżku.

- Dzięki. A tak przy okazji, doskonale śniadanie - rzucił Spence przez ramię, wychodząc z kuchni.

Gray włączył radio. Sprzątając w kuchni, słuchał wiadomości i prognozy pogody.

Otworzył szufladę, gdzie trzymał większe przybory kuchenne, i zamienił drewnianą łyżkę z długą rączką na berette.

Potem odkręcił krany i zaczął napełniać zlew gorącą wodą. Zanurzył brudne naczynia w wodzie. Zmywał, wpatrując się w toster. Gdy na chromowanej powierzchni odbił się ruch za jego plecami, wyszarpnął pistolet zza paska, obrócił się i strzelił.

Rozdział czternasty

Powrotny lot Barrie do Waszyngtonu był długi i niespokojny. Na lotnisku krajowym panował chaos jak na tureckim bazarze. Zanim odebrała samochód z parkingu i dojechała do stacji, była wykończona. Miała nadzieję, że wślizgnie się po cichu, sprawdzi korespondencję na biurku i pocztę elektroniczną, a potem wyjdzie. Nikt jej nie zauważy i z nikim nie będzie musiała rozmawiać.

W poczcie nie było dla niej żadnych wiadomości, natomiast cztery nagrano na telefonicznej sekretarce. Dwie były od znajomych, jedna z pralni z informacją, że nie udało się usunąć plamy z bluzki, a ostatnia od wariatki Charlene, która chciała wiedzieć, dlaczego Barrie nie odpowiedziała na żaden z jej telefonów.

Barrie zastanawiała się, jaką bombową informację Charlene ma jej do przekazania: terroryści w szeregach skautów, mafia eskimoska czy cyjanek w płatkach śniadaniowych?

- Biedactwo - wymruczała Barrie, kasując taśmę sekretarki. - Pewnie jest samotna i chce tylko z kimś pogadać.

- Kto?

- Do cholery, Howie! - krzyknęła obracając się na fotelu. - Czy podniecasz się niezdrowo, zakradając się tutaj i mnie straszając?

- Nie podskakiwałaś, gdybyś miała czyste sumienie.

- Nie zaczynaj. Jestem w podłym nastroju.

- Ty? - zawołał piskliwym głosem. - A co ze mną? To ja broniłem twojego tyłka, kiedy przyszli agenci FBI. To ja kłamałem i robiłem z siebie głupca przed Jenkinsem. List! Gówno, nie list!

- Bardzo mi z tego powodu przykro, Howie. Naprawdę. Nie skłamałabym, gdyby nie było to konieczne. Wstała, chcąc wyjść, ale zasłonił sobą drzwi.

- Barrie, na jaki temat zbierasz materiały? Powiedz mi.

- Nic nie powiem, dopóki nie zbiorę więcej.

- Dlaczego nie wzięłaś ze sobą kamerzysty?

Już wcześniej zastanawiała się, kiedy wreszcie dotrze do tego Einsteina dziennikarstwa, że nie poprosiła o kamerzystę, żeby jej towarzyszył w podróży do wielkiej bomby. Co to za informacja do dziennika bez obrazu?

- Zabranie kamerzysty byłoby przedwczesne. Dowiesz się pierwszy, gdy ktoś będzie już gotowy do nagrania oświadczenia.

Twarz Howiego przybrała nieprzyjemny wyraz. Bardzo nieprzyjemny.

- Do emerytury zostało mi jeszcze tylko parę lat. Jeśli ci się wydaje, że mam zamiar ją przez ciebie stracić, to chyba zwariowałaś. Od samego początku byłaś niepewna, ale postanowiłem zaryzykować.

- Za co ci jestem nieskończenie wdzięczna. Teraz posłuchaj, przebyłam kontynent i dwie strefy czasowe. Jestem zmęczona, obolała i niezbyt świeża. Mam zamiar zabrać psa ze schroniska, wrócić do domu i położyć się do łóżka. Dobrej nocy. - Przcisnęła się obok niego.

- W porządku, świetnie, sama się wkopuj. Ale nie spodziewaj się, że mnie też pociągniesz za sobą! Ostatni raz poszedłem za ciebie na dywanik! - Już prawie go nie słyszała, gdy strzelił na pożegnanie: - Wyglądasz okropnie.

Zastanawiała się nad zostawieniem Cronkite'a na jeszcze jedną noc w schronisku, ale doszła do wniosku, że potrzebuje towarzystwa. Poza tym nie chciała trzymać go w obcym miejscu dłużej, niż było to konieczne.

Dojechała do schroniska na kilka minut przed zamknięciem. Personel i Cronkite bardzo się ucieszyli na jej widok.

- Jest bardzo dobrze wychowany, chociaż okropnie rozpieszczony - powiedziała młoda kobieta, wypuszczając Cronkite'a.

- Tak, wiem. Ale to prawdziwy księżę wśród psów. - Barrie przykucnęła i drapała futro, gdy pies energicznie lizał ją po twarzy.

Jego entuzjazm nie osłabł w drodze powrotnej do domu.

- Obiecuję, że dostaniesz same smakołyki, gdy tylko wejdziemy do środka - powiedziała mu, kiedy wysiedli z samochodu. - Tylko uspokój się, proszę.

Ktoś zajął miejsce na parkingu tuż przed jej domem, więc musiała samochód zostawić gdzie indziej, pół przecznicy dalej.

- Cronkite, proszę! - Pies szarpał się na smyczy. Wiedział, że jest blisko domu, gdzie czekają na niego smakołyki, i ogarniało go coraz większe podniecenie.

- Dobrze, już dobrze. - Barrie odpięła smycz od obroży. Mogła albo ją odpiąć, albo dać się pociągnąć. Uwolniony Cronkite niemal uniósł się w powietrzu, a potem pognał ulicą, drapiąc pazurami o chodnik.

- Wejdz przez swoje drzwi! - zawołała za nim.

Schyliła się nad tylnym siedzeniem, by zabrać torebkę i bagaż.

Nagle uderzył w nią wstrząs gigantycznego wybuchu i pchnął na ziemię.

Ogromna kula ognia wzbijała się w nocne niebo, zalewając całą okolicę niesamowitą poświatą rozpalonej czerwieni.

- Och mój Boże mój Boże mój Boże. - Udało się jej stanąć na czworakach. Przez kilka sekund gapiała się na piekło szalejące pół przecznicy dalej, gdzie stał jej dom. Kłębił się tam czarny dym, zasłaniając księżyc.

Była zbyt przerażona, żeby się ruszyć. Potem zataczając się jak pijana zerwała się na równe nogi i zaczęła biec chodnikiem. Przynajmniej próbowała biec.

- Cronkite! - Jej krzyk przypominał skrzek. - Cronkite! Malutki!

Nie zdawała sobie sprawy z żaru, gdy chwiejnie wpadła na kamienną ścieżkę prowadzącą do drzwi frontowych.

- Hej, zwariowała pani?

Czyjeś ręce pochwyciły ją z tyłu i przytrzymały.

- Niech ktoś mi pomoże - zawołał mężczyzna. - Próbuje wejść do środka.

Kilka par rąk chwyciło ją, zatrzymało. Walczyła, ale nadaremnie. Zaciągnęli ją na drugą stronę ulicy, na podwórko sąsiada, daleko od niebezpieczeństwa. Próbowwała się z nimi porozumieć, ale mogła wydobyć z siebie tylko łkanie.

- Cronkite, Cronkite...

- Cronkite to chyba jej pies.

- Jeśli był w domu, to...

- Czy ktoś wie, co się stało?

- Czyj to był dom?

Barrie ledwie słyszała głosy otaczających ją ludzi. Sąsiedzi wychodzili z domów. Ulica i chodniki wypełniły się gapiami. Gdzieś z daleka dochodził ryk syren.

Kiedy sąsiedzi upewnili się, że Barrie nie ma zamiaru rzucić się w płomienie, puścili ją i odeszli, żeby przyrzeć się pożarowi. Ukryła się za dzielącym trawniki żywopłotem i ze zgrozą patrzyła, jak w płomieniach niknie cały jej dobytek. Nikt na nią nie zwracał uwagi. Gapie gawędzili między sobą, próbując odtworzyć wydarzenia.

- Nadjeżdżają wozy strażackie. Mogą przejechać?

- Mam nadzieję, że poleją trochę dachy.

- Był ktoś w środku?

- Tylko jakiś zwierzak. Ktoś mówił, że pies właściciela.

Barrie cicho jęknęła:

- Cronkite...

W tym momencie jakaś ogromna dłoń przykryła jej usta. Ktoś zaciągnął ją z powrotem za żywopłot.

Krzyczała, a raczej próbowała krzyżeć, bo przyciśnięto mocniej dłoń do jej ust. Wbiła obcas w trawę, ale jej prześladowca szarpnął gwałtownie i ruszyli dalej. Gdy dotarli do alejki za domem, kopnęła go z całej siły w goleń. Zwolnił uścisk, a ona upadła na chodnik i otarła skórę na kolanach. Krzyknęła, choć jej krzyku w zamieszaniu i hałasie tłumu ludzi i wyciu syren nikt nie mógł usłyszeć.

Z trudem wstała na nogi, jednak prześladowca raz jeszcze zamknął ją w niedźwiedzim uścisku.

- Siedź cicho albo cię skrzywdzę.

Uwierzyła mu i już dłużej nie stawiała oporu, gdy ciągnął ją przez następne podwórko, alejkę i jeszcze jedno podwórko. W końcu dotarli do samochodu zaparkowanego dwie ulice dalej przy krawężniku.

Kiedy jej porywacz sięgnął po klamkę, zatopiła zęby w wierzchu jego dłoni i z całej siły wbiła mu łokieć w brzuch. Skulił się i wymamrotał jakieś przekleństwo; Barrie rzuciła się biegiem przed siebie. Jej wolność trwała jednak bardzo krótko, bo porywacz chwycił ją za włosy i osadził na miejscu.

Okręcił ją twarzą do siebie i potrząsnął tak mocno, że przestraszyła się, że coś jej złamie.

- Przestań bić się ze mną, do cholery! Próbuję ocalić ci życie!

Kiedy wreszcie jej mózg zaczął pracować, uświadomiła sobie, że znalazła się w towarzystwie Graya Bonduranta.

- Masz przy sobie okulary?

Prowadził, kierując się ku przedmieściom w Maryland. Jechał wprawnie, choć bezpiecznie, nie przekraczając dozwolonej prędkości. Chciał uniknąć zatrzymania dla wlepiania mandatu. Patrzył w lusterko wsteczne, ale po przejechaniu kilku przecznic upewnił się, że nikt ich nie śledzi. Nikt go nie szukał. Jeszcze nie.

Po chwili zrozumiał, że pytanie nie dotarło do jego pasażerki. Zerknął na nią. Jak ogłuszona patrzyła prosto przez siebie,

- Masz przy sobie okulary? - powtórzył.

Odwróciła się do niego, patrzyła bez wyrazu kilka sekund, a potem skinęła głową. Nie wiadomo jak, ale udało się jej zachować plecak na ramieniu.

- Zdejmij szkła kontaktowe i załóż okulary - polecił.

Zwilżyła wargi, przełknęła ślinę.

- Skąd wiedziałeś...

- Wiem. Zrób to. I schowaj włosy pod czapkę. - Zabrał ją ze sobą. Leżała na siedzeniu.

- Co... Dlaczego...

- Bo nie chcę, żeby ktoś cię rozpoznał.

- Kto?

- Faceci, którzy rozwalili ci dom na kawałki, a jak myślisz, kto inny?

- Mój pies zginął...

Głos się jej załamał. Światła nadjeżdżającego z przeciwka samochodu odbiły się w jej łzach. Zaczęła cicho płakać. Gray stchórzył i nic nie powiedział. Nic nie przychodziło mu do głowy. Nie był dobry w pocieszaniu. Jednak wołał jej płacz od niemoty i znieruchomienia.

Jechał dalej, czekając, aż przestanie płakać. Gdy wreszcie łzy Barrie wyschły, wjechał na parking małej restauracji otwartej przez całą dobę.

- Musimy porozmawiać - powiedział. - Jednak nie mogę cię tam zabrać, jeśli się rozkleisz i zaczniesz zwracać na siebie uwagę.

Wyjęła szkła kontaktowe i założyła okulary. Kiedy zobaczył ją śpiącą u siebie w domu na sofie, przeszukał zawartość plecaka i zauważył futerał.

- Masz chusteczkę do nosa?

- Nie.

Otarła nos rękawem.

- Jestem gotowa. Daj spokój z tą czapką, nikt mnie nie rozpozna.

Zanim zdołał ją powstrzymać, otworzyła drzwi i wysiadła. Dogonił ją i razem weszli do środka, gdzie kelnerka z uśmiechem odprowadziła ich do stolika. Nie zamierzał oglądać błyszczącej karty dań.

- Proszę tylko o kawę.

Palilo się dużo światła, ale jedynie przy kilku stolikach siedzieli goście. Część jadalni odgrodzono linką; myto tam podłogę jakimś silnym środkiem, którego woń łączyła się z zapachem smażonej szynki i syropu klonowego.

- Panie Bondurant, jak to się stało, że udało się panu porwać mnie w kilka sekund po tym, jak mój dom wyleciał w powietrze?

Począł z odpowiedzią do chwili, gdy kelnerka nalała im kawy i odeszła.

- Nie zrobiłem tego, jeśli właśnie to podejrzewasz.

- Właśnie to podejrzewam.

- Mylisz się. - Spuścił głowę i dodał: - Przykro mi z powodu twojego psa.

- I to mówi człowiek, który nawet nie nadał imion swoim koniom - przypomniała mu.

- Słuchaj, zrobiłem ci przysługę, wyciągając cię stamtąd.

- Ale czemu musiałeś mnie wyciągać? Dlaczego po prostu mnie nie wyprowadziłeś?

- Bo byłaś w takim stanie, że nie posłuchałabyś rozsądnej rady. Musiałem cię stamtąd zabrać, a tak było najszybciej. Domyślałem się, że są na twoim tropie, i miałem rację. Jednak jeśli teraz chcesz ruszyć w swoją stronę, to nie ma sprawy.

- Nie wiem, o czym mówisz! - zawołała, ale na tyle ściszyła głos, że nie zwróciło to nikomu uwagi.

- Może więc zamkniesz się i pozwolisz sobie coś powiedzieć...

Oparła się wygodnie o winylową ściankę i skrzyżowała ramiona.

Upił kilka łyków kawy.

- Po pierwsze, chcę wiedzieć dokładnie, co się wydarzyło. Można założyć, że Brinkley...

- Cronkite.

- Cronkite wszedł do domu przed tobą.

- Jest... była specjalna klapka w drzwiach kuchennych.

- Czy właśnie tamtędy zwykle wchodziłaś do domu, przez kuchenne drzwi?

- Zwykle tak.

- Zatem prawdopodobnie umieścili samowyzwalacz w tych drzwiach.

Pochyliła się nad stołem.

- Kto? I w ogóle co ty tu robisz? Dlaczego przyjechałeś za mną do Waszyngtonu? Chyba mnie nie śledziłeś, co?

- Przyjechałem ostrzec panią, że zadaje pani niewłaściwym osobom niewłaściwe pytania. Znalazła się pani na tropie historii, której prezydent nikomu nie pozwoli opowiedzieć.

Zbladła jeszcze bardziej. Nerwowo zagryzła dolną wargę.

- Skąd pan wie?

- W niecałe dwadzieścia cztery godziny po pani wyjeździe odwiedził mnie Spencer Martin.
- Czy on nie jest przypadkiem jakoś związany z Białym Domem?
- Można tak powiedzieć. To drugi po Davidzie Merrittcie najpotężniejszy człowiek w kraju.
- Skoro tak, to dlaczego nie słyszymy ani nie widzimy go częściej?
- Ponieważ on tego nie chce. Snuje się po korytarzach Białego Domu jak duch i tak ma zostać, ponieważ jego anonimowość czyni go jeszcze potężniejszym. Nie wychyla się, ale to najważniejszy doradca Merritta.

- Pan nie jest dokładnie zorientowany, panie Bondurant. Głównym doradcą prezydenta jest...
- Proszę zapomnieć o Franku Montgomerym. To marionetka, lokaj. Dostał stanowisko, ładny gabinet i przywileje, ale to Spence ma władzę. David nie pójdzie się odlać, dopóki nie zasięgnie opinii Spence'a. To on stoi za każdą decyzją, ważną czy nieważną. Można by go nazwać „załatwiaczem”.

- A co załatwia?
- Przykre obowiązki.
Barrie uniosła brwi.
- Przykre obowiązki, które skompromitowałyby prezydenta, gdyby sam się nimi zajął.
Nie musiał tego mówić głośno.

- Innymi słowy, istnieje pewna szara strefa spraw, które Spencer Martin załatwia dla prezydenta. A pan o tym wie, bo był pan...
- Również byłem załatwiaczem.
- Rozumiem.

W oczach Barrie jak w lustrze przeglądało się jego sumienie. Patrzyły na niego przez okulary.
- Ale zrezygnowałem. Nie widziałem Spence'a ani nie miałem od niego żadnej wiadomości od ponad roku, odkąd wyjechałem z Waszyngtonu. Potem, dzień po pani przyjeździe, zjawił się nieoczekiwanie.

- Zbieg okoliczności.
- Nie. Przyjechał zobaczyć się ze mną, ponieważ albo odgadł, albo wiedział, że pani tam była, chcąc mnie zapytać o Vanesę.
- Co mu pan powiedział? To znaczy... o mnie?

Gray wiedział, dlaczego pyta. Chciała się dowiedzieć, czy pochwalił się kumplowi ostatnim seksualnym podbojem. Cholernie go bolała ręka, którą Barrie ugryzła. Kilka sekund po tym, jak się poznali, uderzyła go w twarz. Jednak teraz wydawała mu się bezbronna i przed chwilą zginał jej pies, więc chociaż była to idealna sytuacja, żeby znowu ją zawstydzić, nie skorzystał z niej.

- Powiedziałem Spence'owi, że przyjechała pani powęszyć, bo przyszedł pani do głowy niedorzeczny pomysł, iż Vanessa zabiła swoje dziecko, a wmówiła wszystkim, że to SIDS.
- Powiedział mu to pan? - zawołała. - Nic dziwnego, że podpalili mój dom.

- Gdybym zaprzeczył, że cokolwiek wiem na ten temat, przejrzałby moje kłamstwo, więc musiałem zagrać ostro. Ale natychmiast zrozumiałem, że musiała pani natrafić na coś ważnego. W przeciwnym razie Spence nie przyleciałby do Wyomingu.

- Jest pan całkowicie pewien, że to był powód jego wizyty?

- Owszem - odparł. - W kieszeni marynarki miał bilet zwykłej linii lotniczej, powrotny Waszyngton - Jackson Hole.

- I co z tego?

- Powiedział mi, że wyjechał z Waszyngtonu do Seattle ze zleceniem prezydenta. Przy jakimkolwiek zleceniu tego typu leciałby samolotem rządowym. Poza tym bilet wystawiono na zmyślane nazwisko. Potem w Jackson Hole wynajął samochód na następne fałszywe nazwisko. Nie miał zamiaru dotrzeć do Seattle. Nie, panno Travis, to nie była towarzyska wizyta. Pani reportaż stanowi najwyższe zagrożenie dla obecnej administracji i zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby nigdy nie ujrzał światła dziennego.

- Mój Boże - szepnęła Barrie, unosząc palce do warg. - Miałam rację. Dziecko nie umarło z powodu SIDS.

- Kiedy po raz pierwszy zaczęła pani to podejrzewać? - Oszołomiona patrzyła przed siebie. - Panno Travis...?

- Przepraszam - powiedziała, trąc skronie. - Usłyszałam swoją hipotezę wypowiedzianą przez kogoś innego i stała się rzeczywistością. Wnioski są wstrząsające i przerażające.

- Zwłaszcza dla człowieka mieszkającego w Białym Domu. Proszę mi o wszystkim opowiedzieć - zaproponował Gray. - Kiedy po raz pierwszy zaczęła pani podejrzewać, że coś jest nie w porządku?

- Niespodziewanie zadzwoniła do mnie Vanessa i poprosiła o spotkanie. Natychmiast zauważyłam, że panuje nad sobą wyłącznie siłą woli.

Słuchał uważnie, a Barrie opowiedziała mu szczegółowo, co się wydarzyło od pierwszego spotkania, i wyjaśniła, dlaczego zrealizowała cykl o SIDS.

- Widziałem ten odcinek z Vanessa.

- Vanessa Merritt, z którą przeprowadzałam wywiad przed kamerami, była zupełnie kim innym... w niczym nie przypominała tamtej straszliwie nieszczęśliwej kobiety spotkanej przed kilku tygodniami.

- Nie ma w tym nic dziwnego - odparł. - Vanessa cierpi na psychozę maniako-depresyjną.

Ze zdumienia otworzyła usta.

- Jest pan pewien? Kiedy postawiono diagnozę?

- Dawno temu. Chyba krótko po ślubie.

- Jak im się udało tak długo utrzymać to w tajemnicy?

- Ponieważ dobrze ją leczą i cały czas jest pod ścisłą kontrolą. W fazie maniakoalnej wspinała prowadziła kampanię. Zawsze gotowa. Zawsze do przodu. Oczywiście podają jej lit, żeby regulować zmiany nastroju, które może zauważyć tylko ktoś, kto ją bardzo dobrze zna. Bierze również leki przeciwdepresyjne i uspokajające. Gdy przyjmuje leki, nieźle sobie daje radę. Spence tylko raz nie

skłamał... kiedy powiedział, że śmierć dziecka kompletnie wytrąciła ją z równowagi. Gdy zobaczyłem ją na ekranie telewizora, wiedziałem, że dzieje się z nią coś bardzo niedobrego - stwierdził.

- Zatem zna ją pan bardzo dobrze.

- Davida znam jeszcze lepiej.

- Czy naprawdę pan wierzy, że prezydent i jego najbliższy współpracownik są odpowiedzialni za wysadzenie mojego domu w powietrze?

- Nie słuchała mnie pani? Do diabła, tak, wierzę. Spence musiał to zorganizować przed wyjazdem do Jackson Hole. Kiedy odkryją, że jedynym poszkodowanym był pani pies, postarają się pani pozbyć w jakiś inny sposób.

Barrie zbladła jak kreda i szybko wciągnęła powietrze. Głosem bardziej zachrypniętym niż zwykle powiedziała:

- Chce mi pan powiedzieć, że moje życie nie jest warte nawet złamanego grosza?

- Właściwie tak.

Oparła czoło na dłoni.

- Chyba się porzygam.

- Nie rób tego - zaprotestował ostro. - Nie możemy wywołać sceny. Oddychaj przez usta.

Siedział w napięciu, dopóki Barrie nie minął atak mdłości. Po chwili poprosiła o szklanekę wody. Gray dał znać kelnerce. Zauważyła, że jego towarzyszka źle się czuje.

- Co jej jest?

- Poranne nudności - odpowiedział Gray, wiedząc, jak idiotycznie musi wyglądać ze sztucznym uśmiechem na twarzy. - Ale ostatnio ma je także wieczorem.

- Och, to szybko minie, złotko. Który to już miesiąc?

- Trzeci - odparł zamiast Barrie Gray.

Kelnerka poklepała ją po ramieniu i zaproponowała, że przyniesie filiżankę gorącej herbaty.

- Nic jej nie będzie - zapewnił Gray. - W każdym razie dziękuję.

Uspokojona kelnerka odeszła. Barrie wypła kilka łyków wody.

- Bardzo dobrze pan kłamie.

- A pani bardzo źle.

- Wiem.

Gray zrozumiał, że Barrie ciągle jeszcze jest w szoku. Łzy były blisko.

- Wciągnęłam w to pana, prawda, panie Bondurant?

Wzruszył obojętnie ramionami.

- Zrobiłam to - upierała się drżącym głosem. - Ponieważ pojechałam do pana, pańskie życie również znalazło się w niebezpieczeństwie. Zna pan historię, której nie pozwolą nikomu opowiedzieć. - Stawała się coraz bardziej niespokojna. - Podjął pan okropne ryzyko, przyjeżdżając do Waszyngtonu. Powinien pan zostać w Wyoming. Jeśli wróci pan teraz do domu, może zapomną, że pan wie. Pomyślą, że mnie pan

przegonił.

Rozbawiła go jej naiwność, ale zachował kamienną twarz.

- Nie zapomną. Nie opuszczą żadnego szczegółu. Geografia nie ma tu znaczenia. Chcą, aby wszystko, co przydarzyło się dziecku i co dzieje się z Vanessą, znalazło się głęboko pod ziemią. Nasza ciekawość też.

- Jak udało się panu przyjechać tak szybko?

- Wdarłem się do komputera Spence'a i zwróciłem wynajęty samochód. Potem wrzuciłem kluczyki i papiery do skrzynki na lotnisku i wykorzystałem jego powrotny bilet lotniczy.

Barrie wiedziała, że z Jackson Hole wylatuje niewiele samolotów zwykłych linii lotniczych.

- Był pan w moim samolocie? - Skinął głową. - Nie widziałam pana.

- Nie miała mnie pani widzieć.

- Och... Dlaczego nie ostrzegł mnie pan gdzieś po drodze? Gdyby pan to zrobił, Cronkite żyłby nadal.

- Popęniłem błąd w obliczeniach. Nie sądziłem, że pierwsze ostrzeżenie będzie jednocześnie ostatnią posługą. Myślałem, że zaczną od zawołanych gróźb, jakie prawdopodobnie usłyszała pani informatorka ze szpitala. Ale oni nie zamierzali niczego przeoczyć. Nie chcą pani strachem zmusić do milczenia. Chcą pani śmierci.

- Już pan to mówił - Barrie gryzła policzek od środka. - Gdzie pan zostawił Spence'a?

- O co pani chodzi?

- Jak pan zdobył jego bilet lotniczy? Jak się panu udało uciec przed nim?

Wytrzymał jej spojrzenie przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, ile powinien jej powiedzieć. W końcu rzekł tylko:

- Nie udało mi się.

Rozdział piętnasty

- Daily, to jest Gray Bondurant. Gray, Daily Weish.

Barrie była wdzięczna Daily'emu, że nie urządził im awantury za pojawienie się na progu jego domu o drugiej nad ranem. Nie upomniął ich ani nie zasypał pytaniami. Mruknął tylko coś pod nosem, odsunął się na bok i machnął ręką, żeby weszli.

Nie ulegało wątpliwości, że wyciągnęli go z łóżka. Kosmyki przeredzonych szpakowatych włosów sterczały wokół jego głowy jak korona Statuy Wolności. Miał na sobie poprzecierany podkoszulek i spodenki sięgające prawie do guzowatych kolan. Para czarnych skarpetek nie dodawała uroku białym, bezwłosym nogom.

Przed wyjściem z restauracji uzgodnili, że potrzebne jest im miejsce, gdzie będą mogli odpocząć i zastanowić się, jakie powinni podjąć kroki. Gray pojechał zgodnie ze wskazówkami Barrie do domu Daily'ego. Była pewna, że wie, o czym teraz myśli: że jeśli to ma być najlepsza kryjówka, ich przyszłość nie wygląda zbyt różowo.

Trudno było uznać dom Daily'ego za fortecę, a on sam wyglądał na śmiertelnie chorego człowieka, którego życie zależy od aparatu do oddychania... co niestety było prawdą.

- Wiem, że to okropne najście, Daily - powiedziała Barrie, gdy obchodził salonik, zapalając lampy. - Ale nie mieliśmy dokąd iść... Zabili Cronkite'a.

Dłoń Daily'ego znieruchomiała na przełączniku.

- Zabili Cronkite'a? Kto to zrobił?

- To długa historia.

- Mam całą noc.

Na jego twarzy pojawił się wyraz bólu. Rozłożył szeroko ramiona. Barrie podbiegła do niego. Zazwyczaj to ona go obejmowała, a on zachowywał się grubiańsko i odrzucał wszelkie objawy uczucia.

Tym razem nie tylko pierwszy otworzył ramiona, ale przytulił ją mocno i klepał po plecach.

- Chore sukinsyny. Co oni zrobili, zatruli mu żarcie? Jak ja ich kiedyś złapię... Kto to zrobił?

Barrie puściła go i zdjęła okulary, chcąc otrzeć oczy.

- Długo by opowiadać.

Daily podszedł do kanapy, ciągnąc za sobą butlę z tlenem. Barrie zajęła swoje zwykłe miejsce na sofie. Gray stał. Do tej pory Daily nie wykazał zaciekawienia, dlaczego emerytowany bohater narodowy zrezygnował z samotności i w samym środku nocy znalazł się w jego salonie, teraz jednak skinął w stronę Gray a.

- Co on tu robi?

- Dziś w nocy mój dom wyleciał w powietrze.

- Wyleciał w powietrze? Chodzi ci o takie duże „bum”? - Spojrzał na nią, potem na Graya i ponownie na Barrie.

- Już nic nie mam, Daily. Cały dom zniszczony. Wszystko. Włącznie z moją taśmoteką - powiedziała z goryczą, myśląc o nagraniach, które zbierała od wielu lat, teraz już nie do odtworzenia. - Bondurant uważa, że w drzwiach kuchennych zamontowano pułapkę. Cronkite wszedł przede mną, przez klapkę.

Jej słowa wstrząsnęły Dailym.

- Kto mógł zrobić coś takiego?

- Prezydent.

- Słucham? Prezydent Stanów Zjednoczonych?

- Bondurant uważa, że eksplozja miała mnie zabić, ponieważ pytałam o zdrowie Vanessy i chciałam się czegoś dowiedzieć o śmierci jej dziecka - wyjaśniła Barrie.

- Jezu Chryste. - Daily spojrział na Graya. - Dlaczego myślisz, że... Usiądź, na miłość boską. Kark mnie boli od zadzierania głowy.

Po raz pierwszy od wielu godzin Barrie poczuła, że mogłaby się uśmiechnąć. Gray usiadł na jedynym dostępnym meblu - obok Barrie na sofie.

- Dlaczego uważasz, że Merritt posunąłby się tak daleko, by uciszyć Barrie? - ponowił pytanie Daily.

- Wysłał Spencera Martina, żeby mnie załatwił, tylko dlatego, że z nią rozmawiałem.

- Podaj definicję „załatwił”.

- Zabił.

- Myślałem, że jesteście przyjaciółmi.

- Byliśmy. Przyjechał do Wyoming, żeby mnie zabić, ponieważ obawiał się, że Barrie powiedziała mi o swojej teorii na temat śmierci dziecka. To chyba wyraźnie wskazuje, jak bardzo nie chcą dopuścić do wydobywania tej historii na światło dzienne.

Marszcząc brwi Daily przyglądał sterczące kosmyki.

- Jesteś pewny? - spytał sceptycznie.

- Jest pewny - odparła Barrie. - Powiedz mu, Bondurant.

Gdy Gray dzielił się z Dailym szczegółami wizyty Spencera Martina w Wyoming, zastanawiała się, jak mogła go nie rozpoznać wśród pasażerów powrotnego lotu do Waszyngtonu. Nie zwracała specjalnej uwagi na towarzyszy podróży, ale czy on się nie wyróżniał? Naturalnie postarał się o to, by nie rzucać się w oczy.

- Zatem, jak wszyscy wiedzą, Spencer Martin nigdy nie był w Wyoming - podsumował Daily.

- W moim domu nie dotknął niczego oprócz sztuców, którymi posługiwał się przy śniadaniu, ale je umyłem. Ostrzegło mnie właśnie to, że unikał dotykania sprzętów.

- Gdzie jest teraz Martin? - spytał Daily.

Gray zachował kamienną twarz. Niezręczna cisza zaczęła się przeciągać, więc Barrie poczuła, że sama musi odpowiedzieć.

- Pan Bondurant nie jest skłonny wyjaśnić, co zaszło w Wyoming.

Zerknęła na nieruchomy profil siedzącego obok mężczyzny. Nie wątpiła, że jest zdolny kogoś zabić, nawet byłego przyjaciela. Jego zimne oczy i wąska kreska ust to potwierdzały. Jeśli zabił Spencera Martina w samoobronie, był usprawiedliwiony. Jednak czy mogła uwierzyć mu na słowo?

Daily ubrał w słowa pytanie, które zadawała sobie w duchu od jakiegoś czasu:

- Czy do tej pory Spence Martin nie powinien skontaktować się z prezydentem?

- Naturalnie. Nawet wyszedł z kuchni pod pretekstem zatelefonowania do Białego Domu. Jednak na pewno nie dzwoniłby, gdyby nie mógł zdać sprawy ze swoich poczynań, włącznie z wyeliminowaniem mojej osoby. David prawdopodobnie krąży teraz po gabinecie, zastanawiając się, dlaczego jeszcze nie otrzymał żadnych wieści, ale nie może nikogo wysłać do Wyoming na poszukiwania, ponieważ oficjalnie Spence'a wcale tam nie było.

- Wcześniej czy później ktoś za nim zatęskni i zacznie go szukać - zauważyła Barrie.

- On nie ma rodziny ani bliskich przyjaciół - odparł Gray. - David i Biały Dom były całym jego życiem. Żeby to zrozumieć, trzeba znać pochodzenie Spence'a. Był słabym, drobnym dzieckiem, z którego w szkole często naśmiewano się. Jednak był znacznie bystrzejszy od innych. Wszystkie te lata, gdy był obiektem drwin, sprawiły, że postanowił zostać największym draniem. I osiągnął swój cel - stał się w Waszyngtonie człowiekiem, którego najbardziej się obawiano. Wiadomo powszechnie, że wejście w drogę Spence'owi to także narażenie się prezydentowi... Spence nikomu nie powiedziałby, dokąd jedzie. Odpowiadał tylko przed Davidem.

- Nawet najbliższy doradca prezydenta nie może być aż tak anonimowy - sprzeciwiła się Barrie. - Departament Sprawiedliwości, prokurator generalny Yancey, FBI... -przerwała, gdy Gray zaczął kręcić głową.

- Bill Yancey to dobry człowiek - powiedział. - Za dobry, żeby odpowiadał tej administracji. Od wyznaczenia Yanceya na to stanowisko starli się już parokrotnie z Davidem. Uwiercie w moje słowa. Sieć agentów Spencera Martina to formacja równie bezwzględna jak SS w Trzeciej Rzeszy. Są w każdej agencji rządowej, nawet w Tajnej Służbie. Czekają cały czas na rozkaz. Jeśli polecenie wydane przez Spence'a jest sprzeczne z rozkazami ich zwierzchników, wykonają polecenie Spence'a.

Barrie skuliła się.

- Przerażasz mnie.

- Niektórzy z nich to naprawdę przerażający osobnicy. To specjalnie szkoleni żołnierze, którzy odeszli na emeryturę.

Barrie zastanawiała się, czy przyszło mu do głowy, że opisał samego siebie.

- Jeśli sprawa jest naprawdę ważna - dodał Gray - Spence załatwia ją sam.

- Jak zabicie byłego kumpla z oddziału - wtrącił Daily.

Gray potwierdził tę uwagę ponurym uśmiechem.

- Właśnie. Chociaż roboty tego typu na ogół zleca innym. Wykonują je, kiedy Spence'a nie ma w mieście, więc ma alibi, gdyby zabójca został złapany lub zostawił wyraźny ślad. Jestem pewien, że zorganizował wysadzenie domu Barrie przed wyjazdem. Często podróżuje, więc jego nieobecność nie dziwi. Musi upłynąć trochę czasu, zanim ktoś zacznie stawiać pytania.

- Merritt będzie chciał wiedzieć.

- Gdy tylko David dowie się, że tu jestem - odparł Gray - będzie wiedział, że Spence'owi nie udało się wypełnić misji, z którą pojechał do Wyoming.

Po tym rzeczowym komentarzu zamilkli na dłuższą chwilę. W końcu Daily powiedział:

- Podziwiam pańską akcję na Środkowym Wschodzie...

- Ale...?

- Wybacz mi to, co powiem, ale mógłbyś nam wciskać straszliwą ciemnotę.

- Macie prawo być podejrzliwi. Dla nikogo chyba nie było tajemnicą, że przed moim wyjazdem z Waszyngtonu moje stosunki z Davidem bardzo się pogorszyły.

- Ze względu na jego żonę.

Barrie nie mogła uwierzyć własnym uszom. Daily miał odwagę mówienia rzeczy, zadawania pytań, których ona nie śmiała postawić.

- Przyznaję, że Vanessa to jeden z powodów naszego ostatecznego rozstania.

- Zatem z jakiej racji miałbym uwierzyć choćby w jedno twoje słowo?

- Sądzisz, że mógłbym to wszystko wymyślić z nadzieją zniszczenia prezydentury Davida Merritta?

- Rzeczywiście, taka myśl przyszła mi do głowy - przyznał Daily z charakterystyczną dla siebie otwartością.

Barrie nie spodziewała się, że Gray zachowa się aż tak powściągliwie.

- To nie ja zacząłem - odparł. - Nie szukałem panny Travis, żeby jej opowiedzieć pikantną historyjkę. Sama przyjechała do mnie, żeby zadać mi pytania o śmierć dziecka. Pytania, które potwierdzały moje własne podejrzenia.

Słowa Graya zaskoczyły ją i rozzłościły.

- Dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Dałeś mi do zrozumienia, że uważasz mnie za oportunistkę najgorszego typu. Ty...

- Pozwól mu mówić, Barrie - przerwał Daily. Spojrzał na Graya. - Co wzbudziło twoje podejrzenia?

Gray wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Vanessa potrafi być słodka i czarująca. Jednak umie też zmienić się w najbardziej egoistyczną, przebiegłą intrygantkę, jaką kiedykolwiek świat widział. Pozostaje pod bardzo silnym wpływem ojca i Davida, ale już nieraz widziałem, jak obraca ich machinacje na swoją korzyść, a oni tego nawet nie dostrzegają.

- Nie kreślisz zbyt pochlebnego obrazu. W gruncie rzeczy kobieta, którą właśnie opisałeś, pasuje do mojej wcześniejszej opinii na jej temat - przyznała Barrie.

- Wiem jednak na pewno, że Vanessa pragnęła dziecka bardziej niż cegokolwiek innego - powiedział Gray. - Była gotowa wszystko znieść, aby mieć dziecko, mimo iż lekarze zalecali zrezygnowanie z ciąży ze względu na jej chorobę.

- Chorobę...? - Daily spojrział na niego pytająco.

- Psychoza maniakalno-depresyjna - wyjaśniła Barrie i powtórzyła mu wszystko, co powiedział jej Gray.

- O, cholera - szepnął zdumiony Daily.

- Szkoda, że nie opowiedziała publicznie o swojej chorobie - zauważyła Barrie. - Tysiące ludzi mogłyby na tym skorzystać. Jej zdolność prowadzenia normalnego, spełnionego życia pomimo choroby podniosłaby na duchu innych chorych.

- Aż do tamtego momentu - wtrącił Gray.

- Racja - przyznała Barrie.

- Tamtej nocy nie powinna była zostać sama.

- Stwierdzono, że niania poprosiła wtedy o wolne, żeby załatwić jakąś pilną sprawę rodzinną - przypomniał im Daily.

- W dodatku zrobiła to z wyprzedzeniem. Trzeba postawić pytanie: dlaczego nie zadbano o zastępstwo?

- powiedział Gray. - Dlaczego zostawiono Vanesę samą z dzieckiem, tylko z Davidem i Spence'em do pomocy w razie potrzeby, kiedy wszyscy zainteresowani wiedzieli, że często nie daje sobie rady w trudnych sytuacjach?

- Przy psychozie maniakalno-depresyjnej musiała dużo mocniej odczuwać normalne skutki porodu. Uczucie odrzucenia, osaczenia, niemożności i tak dalej. - Barrie spojrzała na Graya. - Czy dlatego nikomu nie zdradziłaś swoich podejrzeń? Chciałaś ją chronić?

- Chroniła ją moje milczenie, jednak nie w ten sposób, jak ci się wydaje. Musisz to zrozumieć. Nie zgadzam się z tobą. Vanessa nie zadusiła własnego dziecka.

- Nic nie rozumiem - odparła z irytacją Barrie. - Zgadzasz się przecież, że nie umarło z powodu SIDS...

- Nie, oczywiście, że nie.

- To nie ma sensu - powiedziała cicho. - Jeśli Vanessa go nie udusiła, w takim razie kto...

Nagle zamarła. Zerknęła na Daily'ego, który przysłuchiwał się ich rozmowie. Ich spojrzenia się spotkały i zrozumiała, że oboje jednocześnie uświadomili sobie prawdę.

Odwróciła się gwałtownie do Graya.

- Merritt?

Kiwnął głową.

- Ale dlaczego?

- Zastanów się, z jakiego powodu mężczyzna mógł aż tak bardzo zniechęcić trzymiesięczne dziecko, żeby je zabić? Nie musiała się długo zastanawiać.

- Jeśli dziecko nie było jego.

Kiwnął szybko głową, odwrócił się do niej plecami i podszedł do okna.

Oczywiście. To wiele wyjaśniało. Rozpacz i bezradność Vanessy. Niedopuszczenie do sekcji. Brutalne próby zatuszowania całej sprawy. Udział Bonduranta. Zwłaszcza udział Bonduranta.

Powoli skierowała spojrzenie w jego stronę. Stał odwrócony do nich plecami. Wyglądał przez szparę w wypłowiałych zasłonach.

Daily wstał.

- Uważam, że oskarżenie prezydenta Stanów Zjednoczonych o zabicie dziecka to dość emocji jak na jedną noc. Przynajmniej dla takiego starego piernika jak ja. Wracam do łóżka. Oboje możecie tu zostać tak długo, jak trzeba.

Jedno z kółek wózka z aparatem tlenowym niemilosiernie zgrzytało. Słyszeli je, gdy Daily przechodził przez hol do sypialni. Zamknął drzwi za sobą i cały dom ogarnęła cisza.

- Prezydent bez wahania dał mi swoją zgodę na przeprowadzenie z nią wywiadu - powiedziała cicho Barrie.

- Żeby wszystkich zbić z tropu. Co jest bardziej podejrzane: publiczne rozważania o sprawie czy utrzymywanie jej w tajemnicy?

- Prawdopodobnie masz rację.

- Dałbym za to głowę.

- Boisz się o Vanesę, prawda?

Odwrócił się, popatrzył na Barrie, ale nic nie odpowiedział.

- Dopóki wyglądało na to, że daje sobie jakoś radę - zaczęła Barrie, porządkując na głos myśli - odsuwałaś podejrzenia co do śmierci dziecka. Jednak kiedy zobaczyłaś mój wywiad z nią, zrozumiałaś, że nie jest sobą, nawet biorąc pod uwagę częste zmiany nastroju i zachowania. Miałaś coraz więcej podejrzeń. Potem przyjechałam zobaczyć się z tobą i moja teoria potwierdziła twoje obawy, że śmierć dziecka nie była spowodowana SIDS. Odwiedziny Spencera Martina okazały się ostatecznym dowodem. Teraz uważasz, że życiu Vanessy grozi niebezpieczeństwo. Skoro David Merritt zabił niemowlę, co mogłoby go powstrzymać przed zabiciem żony dla zachowania pierwszej zbrodni w tajemnicy?

- Na pewno nic - odparł Gray. - Jeśli nie wierzysz we wszystko, o czym ci mówiłem, uwierz choćby w to: David robi wszystko, żeby ocalić prezydenturę i wygrać drugą kadencję. Wszystko.

Barrie potarła ramiona, żeby przepędzić nagły chłód.

- Zaraz się przewrócisz - powiedział. - Rano jeszcze o tym porozmawiamy. Prześpij się trochę.

- Chyba żartujesz. Nie będę mogła zasnąć.

- Połóż się i zamknij oczy. Zaśniesz. Była zbyt zmęczona, żeby się kłócić. Gestem wskazała korytarz.

- Pokój gościnny, powiedzmy tak z braku lepszego określenia, jest na końcu korytarza. Stoi tam łóżko polowe, ale go nie polecam. Cronkite spał na nim ostatnio.

Gray spojrział w kierunku zamkniętych drzwi do sypialni Daily'ego.

- Ufasz mu?

- Bezwzględnie.

- Prawdopodobnie więc będą wiedzieli, że można cię tu znaleźć.

- Nikt nie wie, że tu przychodzę.

- Zechcesz to wyjaśnić?

- Nie zechcę. - Nikomu nie opowiadała o przyjaźni z Dailym, dotyczyła tylko ich dwojga. Nie miała zamiaru tłumaczyć się Bondurantowi. - Nikt mnie nie będzie tu szukał. Na razie jesteśmy bezpieczni.

- W porządku - odparł z powątpiewaniem w głosie. - Ja prześpię się tutaj. Ty weźmiesz łóżko polowe.

Ruszyła korytarzem do sypialni. Czowała się tak zmęczona, że niemal nie mogła przebierać nogami. Nie pamiętała, czy była już kiedyś bardziej wyczerpana psychicznie i fizycznie.

W szafce w drugiej sypialni znalazła piżamę, wyjątkowo brzydką nawet jak na niewybredny gust Daily'ego. Zabrała ze sobą górę do łazienki i nalała wody do wanny.

Prawie dwadzieścia cztery godziny obywatela się bez snu. Palily ją oczy. Bolały stawy i mięśnie. Otarła kolana. Połknęła dwie aspiryny z apteczki Daily'ego i z ulgą zanurzyła się w gorącej wodzie. Namydliła się, umyła włosy i oparła głowę na brzegu wanny. Zamknęła oczy.

Kąpiel przyniosła ulgę, złagodziła fizyczne dolegliwości, za to bardziej bolało zranione serce. Tyle ludzkich istot zabierają katastrofy, wojny, choroby i morderstwa, że żałoba po psie wydawała się przesadą. Jednak ogarnęło ją przejmujące uczucie straty. Choć próbowała, nie mogła powstrzymać się od łez.

Krople wody spadały do wanny z przeciekającego kranu z cichym pluskiem przynoszącym dziwne ukojenie. Łzy spływały po policzkach, po brodzie, na piersi, na brzuch Barrie i do wody. Co jakiś czas wydawało jej się, że już się wyplakała, gdy nagle znów przypominała sobie Cronkite'a i wszystko zaczynało się od początku. Następne łzy odnajdywały drogę do wanny spod zamkniętych powiek.

Gdy nagle poczuła powiew zimnego powietrza, uświadomiła sobie, że nie jest sama. Otworzyła oczy. W drzwiach stał Bondurant z jedną ręką na klamce, drugą na framudze. Utkwił w niej uważne spojrzenie.

Barrie nawet się nie poruszyła. Nie ma sensu sięgać po coś do przykrycia. Już widział wszystko, co było do zobaczenia. Wszystkiego dotknął. Dokładnie. Jej ciało zareagowało na jego spojrzenie tak samo, jak tamtego ranka w jego sypialni. Ogarnęło ją gorąco.

- Dobrze się czujesz?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Skinęła głową.

- Płakałaś.

Nie przyszła jej do głowy żadna właściwa odpowiedź, więc nic nie powiedziała. Bez słowa patrzyła mu w oczy. Jego spojrzenie tylko raz uciekło przed jej wzrokiem, przesunęło się szybko po ciele i powróciło do jej twarzy.

Powiedział szorstkim tonem:

- Rakieta, Tramp i Doc.

Zdziwiona potrząsnęła głową.

- Moje konie. Mają imiona.

Cofnął się na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział szesnasty

Senator Clete Armbruster przybył do Białego Domu wcześniej rano następnego dnia, żądając natychmiast rozmowy z prezydentem. Poinformowano go, że prezydent już się obudził, ale jeszcze nie opuścił prywatnych apartamentów. Armbruster odparł, że poczeka. Zaprowadzono go do Gabinetu Ovalnego i zaproponowano kawę. Właśnie kończył drugą filiżankę, gdy wkroczył David Merritt.

- Przepraszam, że czekałeś, Clete. Co to za pilna sprawa? Dziękuję - powiedział do sekretarki, która podała mu filiżankę kawy. - Proszę nas zostawić samych.

Clete był z natury niecierpliwy. Wstał o czwartej. Ubrał się i przeczytał *Washington Post*, próbując zabić czymś czas, zanim będzie mógł złożyć wizytę prezydentowi w porze, którą uważał za rozsądną. Długie oczekiwanie sprawiło, że jego zniecierpliwienie sięgnęło zenitu.

Nie tracił czasu.

- Chcę się zobaczyć z moją córką. Dzisiaj.

- Powiedziano mi, że pojechałeś wczoraj do Highpoint.

- Jestem pewien, że powiedziano ci również, że ten konował, który uważa się za lekarza, nie pozwolił mi się z nią zobaczyć.

- Na jej prośbę, Clete. Czy bierzesz leki na nadciśnienie? Masz twarz czerwoną jak burak.

Spokój i beztroska zięcia jeszcze bardziej podniosły ciśnienie Armbrustera.

- Posłuchaj mnie, Davidzie. Chcę wiedzieć, co dolega Vanessie. Po co to odosobnienie? Po co całodobowy dyżur pielęgniarstwa? Jeśli jest poważnie chora, powinna znaleźć się w szpitalu.

- Uspokój się, Clete, bo inaczej będę musiał ciebie odwiedzić do szpitala. - Merritt zaprowadził senatora do sofy, potem usiadł obok niego. - Vanessa zaczęła pić. Alkohol i jej leki nie bardzo do siebie pasują. Rozmawialiśmy z nią z George'em i zgodziła się poddać leczeniu. Leczeniu uzależnienia.

- Uzależnienia? Czy jej picie zaszło aż tak daleko, że można to w ten sposób określić?

- W sensie klinicznym raczej nie. Takiego określenia użyła Vanessa. Zrozumiała, że kilka kieliszków wina dziennie może źle się skończyć, jeśli natychmiast z tym nie zerwie.

- Dlaczego mi się nie zwierzyła? Ani ty?

- Chciałem ci powiedzieć - odparł David. - Chciałem prosić cię o radę, ale Vanessa nalegała, żeby nic ci nie mówić.

- Dlaczego?

- Wstydziła się, Clete. - Merritt wstał i nalał sobie następną filiżankę kawy. - Nie chciała, żebyś uważał, że cię zawiodła. Dla niej dzięki tobie słońce wstaje i zachodzi.

- Zawsze przychodziła do mnie ze swoimi kłopotami, a ja je załatwiałem.

Vanessa miała zaledwie trzynaście lat, gdy umarła jej matka, ale Clete nie bał się samotnego wychowywania nastolatki. Zawsze była ukochaną córką swego taty. Uwielbiał ją od dnia narodzin i wywarł większy wpływ na jej dzieciństwo niż matka.

Być może trochę ją rozpieszczał, ale znajdował usprawiedliwienie dla swego zachowania. Już tak jest, że niektórym z natury wszystko się należy, tak właśnie jak Vanessie. Kiedy odkryto jej dolegliwość, Clete uznał, że to jeszcze jeden powód, aby ją chronić i psuć.

- Pewnie poczuła, że najwyższy czas zacząć samodzielnie rozwiązywać swoje problemy - powiedział David. - Może nie chciała cię martwić. W każdym razie błagała mnie, żebym nie mówił ci nic ponad to, co ogłoszono publicznie, co oczywiście jest zgodne z prawdą. Schroniła się w domowe zacisze ze względu na żalobę.

- Na jak długo?

- Na tak długo, jak długo zabierze George'owi ustabilizowanie jej stanu. To decyzja Vanessy. Chce być Pierwszą Damą, jaką była, zanim urodziła dziecko. Gdy już leczenie zostanie ustawione, nie będzie ku temu żadnych przeszkód. Poczekaj chwilę - powiedział, uprzedzając komentarz Clete'a.

Wziął pilota od dużego telewizora, który był włączony, ale z wyciszonym głosem. Już w trakcie rozmowy Clete spostrzegł, że David dzielił swoją uwagę między niego a ekran. Odwrócił się, chcąc zobaczyć, co zainteresowało prezydenta.

Reporter stojący na tle osmalonych drzew, dymiących zgliszcz i pracujących strażaków mówił:

- Szybka reakcja straży pożarnej zapobiegła rozszerzeniu się ognia na inne rezydencje przy Dupont Circle. Pożar pochłonął tylko jeden budynek. - Kamera pokazała na całym ekranie czarne, tłące się ruiny domu. - Miejscowa straż pożarna i agenci ATF przeszukują dymiące pogorzelisko, mając nadzieję, że odnajdą przyczynę wybuchu.

Zajrzał do notatek.

- Właścicielką domu była Barrie Travis, reporterka z WVUE, lokalnej niezależnej stacji telewizyjnej. Niedawno pani Travis zwróciła na siebie uwagę widzów cyklem dokumentalnym o SIDS. Panuje przekonanie, że pani Travis przeżyła eksplozję, ale jak na razie nie mogliśmy się z nią skontaktować.

Podał swoje nazwisko, a potem wszedł na wizję prowadzący dziennik. David znowu wyłączył głos, gdy tymczasem jego teść wstał.

- Zamierzam ją nachodzić, aż zgodzi się ze mną zobaczyć.

- Barrie Travis? - spytał ostro David.

- Po co do diabła miałbym się z nią widzieć? Przykro mi z powodu jej domu, ale to prawdziwa zhora. Molestowała moje biuro o oświadczenie w sprawie Vanessy. - Pstryknął palcami, dając do zrozumienia, że pozbył się reporterki. - Chcę zobaczyć się z Vanessą - powtórzył. - Powinna wiedzieć, że nie będę miał pretensji o parę kieliszków wina. Nic na to nie poradzi, że jest chora.

- Dokładnie tak samo uważam. Clete. Prosiłem ją, aby siebie nie winiła, ale sam przecież wiesz, jak bardzo Vanessie zależy na tym, żeby być zawsze w porządku. Nie cierpi ograniczeń narzucanych przez jej dolegliwość.

Merritt poklepał teścia po ramieniu i lekko popchnął w kierunku drzwi.

· ATF - Alcohol, Tobacco and Fire Arms - wydział do walki ze zorganizowaną przestępczością.

- Chciałbym móc porozmawiać z tobą dłużej, ale mam kilka pilnych spotkań dziś rano. Po południu będę rozmawiał z Vanessą przez telefon. Przekażę jej twoje pozdrowienia.

- Zrób to.

Senator pozwolił, aby poklepano go po plecach i odprowadzono jak dziecko do drzwi. Jednak jeśli David Merritt, prezydent Stanów Zjednoczonych, sądził, że mógł udobruchać go kilkoma okrągłymi zdankami, a potem wywalić z Gabinetu Ovalnego z klepnięciem w plecy i bezmyślnym uśmiechem, to się grubo mylił.

Gdy David Merritt otworzył drzwi. Clete Armbruster z powrotem je zamknął.

Merritt zaskoczony spojrział na niego i zapytał:

- O co chodzi, Clete?

- Ty i ja pokonaliśmy wspólnie długą drogę, Davidzie. Rozpoznam talent i możliwości, kiedy je zobaczę, a w tobie dostrzegłem sporo i jednego, i drugiego. Sam nie chciałem zostać prezydentem, ale pragnąłem stworzyć prezydenta. Byłeś właściwym surowcem. Uważnie słuchałeś rad. Szybko uczyłeś się polityki. Nie pomyliłem się co do ciebie i jestem z ciebie bardzo dumny.

- Dziękuję.

- Ale pamiętam pewną noc, osiemnaście lat temu, kiedy przyszedłeś do mnie, srając w portki ze strachu i piszcząc jak szczeniak, ponieważ cholernie coś spieprzyłeś. Pamiętasz tamtą noc, mój chłopcze?

- O co ci chodzi? - spytał Merritt przez zaciśnięte gardło.

- Chodzi mi o to - odparł Armbruster, podchodząc bliżej - że incydent, o którym wspominam, na tyle przypomina to, co się zdarzyło Vanessie, że jest mi cholernie nieprzyjemnie.

- Mój Boże, Clete, nie możesz porównywać...

Senator w ostatniej chwili powstrzymał się od uderzenia Merritta.

- Wiem, że małżeństwo z moją córką nie jest doskonałe. Żadne małżeństwo nie jest doskonałe. Wiem, że pieprzysz się na boku, do diabła, nawet sam cię kryłem, ponieważ uważam, że przede wszystkim jesteś mężczyzną, a dopiero w drugiej kolejności moim zięciem. Tolerowałem twoje skoki, bo w gruncie rzeczy Vanessa była z tobą szczęśliwa. - Ściszył głos, który teraz bardziej przypominał warczenie. - Jednak jeśli kiedykolwiek ją unieszczęśliwisz, bardzo się zdenerwuję, Davidzie. Słyszysz mnie, chłopcze?

- Ostrożnie, Clete. Zabrzmiało to jak groźba wobec prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Masz cholerną rację. To groźba - odparł ze złością Armbruster. - Lepiej sobie przypomnij, kto cię posadził na tym stołku. Ja cię posadziłem, ja cię mogę wysadzić. Nie boję się tego śliskiego gówna... Spence'a Martina ani jego tajnej armii rzezimieszków, czy kogokolwiek innego. Mam w tym mieście władzę, o jakiej nie masz pojęcia. Mam wielu wrogów, ale i tyle samo przyjaciół, a na każdego haka.

Przerwał, aby dać tamtemu czas na zrozumienie jego stów.

- A teraz, synu, chcę, żebyś mi obiecał, że Vanessa wyzdrowieje, gdy tylko doktor Allan dobrze się nią zajmie w Highpoint.

- Przysięgam.

Senator patrzył na niego dłuższą chwilę bez słowa.

- Lepiej mnie nie okłamuj, Davidzie, bo pożegnasz się ze swoją prezydenturą.

Merritt odprowadził teścia do drzwi, a potem nie tracąc czasu włączył komputer i wystukał wiadomość w tajnym kodzie, który mógł zostać odczytany wyłącznie na laptopie Spence'a.

Nic. Komputer Spence'a nie odpowiadał. Zaprogramowano w nim kilka zabezpieczeń przeciwwawaryjnych. Nic nie wyjaśniało całkowitego milczenia poza zniszczeniem. W takim przypadku ich prywatna korespondencja również została zniszczona, ponieważ taką ewentualność wprowadzono do programu.

Jednak awaria systemu komputerowego nie była największym zmartwieniem Merritta. Martwił się, że nie ma kontaktu ze Spence'em. Brak kontaktu oznaczał, że coś bardzo źle poszło. Spence nie dopuściłby do zerwania łączności, chyba że sam również wpadł w kłopoty. A przyczyną kłopotów Spence'a mógł być tylko Gray...

- Gray.

Merritt wymówił to imię jak obelgę. Święty Gray, jedyny błąd, jaki popełnił. Wprowadził Graya do drużyny, ponieważ pomylił jego rezerwę z bezwzględnością. Kto mógł przypuszczać, że człowiek wyszkolony do szybkiego zabijania gołymi rękami okaże się człowiekiem z niezłomnymi zasadami? Gray i jego kodeks etyczny stały się piaskiem w dobrze naoliwionym kole.

Gray Bondurant nie był jednak człowiekiem pozbawionym wad. Kochał żonę innego mężczyzny. Jego żonę.

Myśl, że to Gray ponosił odpowiedzialność za brak łączności ze Spence'em, przepelniła Merritta wściekłością i odrazą. Rozjuszony wystukał szyfrem wiadomość, która miała dotrzeć do pewnego biura na drugim końcu miasta. Kiedy wezwany się zgłosił, Merritt wystukał tylko jedno słowo: Bondurant.

Człowiek z tamtej strony kabla, jeden z najlepszych żołnierzy Spence'a, będzie wiedział, co zrobić. Wyruszy natychmiast, żeby sprawdzić sytuację w Wyoming. Merrittowi nie pozostało nic innego, jak czekać na wieści.

Nie, właściwie mógł jeszcze coś zrobić. Poprosił sekretarkę, żeby połączyła go z gabinetem dyrektora miejskiej straży pożarnej.

Po wymianie uprzejmości zapytał:

- Co pańscy chłopcy odkryli w sprawie wybuchu przy Dupont Circle wczorajszej nocy?

Dyrektora wyraźnie zdziwiło jego zainteresowanie, ale odpowiedział bez wahania:

- Dopiero zaczęliśmy dochodzenie, panie prezydencie. W tej chwili możemy tylko zgadywać.

- Barrie Travis jest bliską przyjaciółką pani Merritt. Ten wybuch bardzo zaniepokoił moją żonę, a szczerze mówiąc Pierwszej Damie nie potrzeba w tej chwili dodatkowych emocji. Obiecałem jej, że zadzwonię i czegoś się dowiem. Przykro mi, że pana trudzę, ale wie pan, jak to jest.

Dyrektor odpowiedział już z mniejszą rezerwą:

- Oczywiście, rozumiem, panie prezydencie. Proszę zapewnić panią Merritt, że sytuacja jest opanowana.

- Czy przyczyny wybuchu zostaną wkrótce wyjaśnione?

- Będzie to nasze najważniejsze zadanie, panie prezydencie.

- Pani Merritt i ja będziemy bardzo wdzięczni. Czy ktoś rozmawiał dziś rano z panną Travis? Jak się miewa?

- Przykro mi, proszę pana, ale nie wiem. Nikt jej nie widział od wybuchu. Świadkowie, którzy ją widzieli zaraz po eksplozji, mówili, że była bardzo zdenerwowana. Zginął jej pies.

- Hmm. To okropne. Dobrze. Proszę mnie informować na bieżąco.

- Oczywiście, panie prezydencie.

Merritt odłożył słuchawkę, ale był równie niespokojny jak przed rozmową. Spence na pewno wszystko zrobił, aby ślady nie doprowadziły do Białego Domu. Ale nawet wówczas byłoby lepiej, gdyby przeprowadzono pośpieszne, niedbałe śledztwo.

Co za okropny ranek.

Nie przejmował się groźbami teścia. Senator nie był aż tak groźny, jak mu się wydawało. Większość przyjaciół i wrogów, którymi tak się przechwalał, albo odeszła na emeryturę, zmarła, albo była zbyt ostrożna, by myśleć o usunięciu popularnego prezydenta.

Poza tym senator nie mógł wywołać burzy wokół prezydenta, jeśli nie chciał, by jemu samemu się dostało. Mieli zbyt wiele wspólnych wspomnień. Nie mógł dopuścić, aby wyszły na jaw.

Jednak z pewnością będzie nachodził go i pytał o Vanesę, dopóki go nie zapewni, że córka czuje się dobrze. Trzeba coś zrobić, by osłabić jego niepokój. Po południu poradzi się Spence'a...

Zaklął głośno. Tyle spraw czekało na decyzję Spence'a. Gdzie on jest, do diabła?

Chociaż w głębi duszy wiedział, nie potrafił pogodzić się z faktami.

Rozdział siedemnasty

- Nigdy mnie ten facet nie zachwycał, ale wciąż nie mogę uwierzyć, że potrafiłby zrobić coś takiego.
 - Potrafiłby. Bez trudu.
 - Kto potrafiłby coś zrobić bez trudu? - zapytała Barrie, wchodząc do kuchni, gdzie Daily i Gray Bondurant pili kawę. Nalała sobie filiżankę i usiadła przy stole. Unikała spojrzenia Bondurantowi prosto w oczy. Jak przewidział, dobrze spała.
 - Gray przekonywał mnie, że nasz prezydent jest zdolny do popełnienia zbrodni - wyjaśnił jej Daily po powitaniu.
 - Nie mam dowodów na potwierdzenie swoich słów - przyznał Gray. - Możecie pomyśleć, że mam urojenia, paranoję lub cały czas kłamię.
 - Możemy ci też uwierzyć - powiedziała Barrie. Odwrócił głowę w jej stronę i ich spojrzenia spotkały się po raz pierwszy tego ranka. Barrie poczuła skurcz w żołądku. Szybko skupiła się na mieszaniu kawy z mlekiem.
 - Zatem zamieniamy się w słuch - oznajmił Daily.
 - David wyznaczył mnie do zorganizowania i dowodzenia grupą żołnierzy, którzy ocalili zakładników. To właśnie dowód.
 - Byłeś chyba doskonale wyszkolony?
 - Tak jak wielu innych. Ale on posłał mnie tam na śmierć.
 - Z powodu plotek o twoim związku z Vanessą? - spytała Barrie.
 - Tak.
- Milczał przez chwilę, jakby chciał zebrać wspomnienia.
- Wybrałem trzydziestu ludzi. Najlepszych zwiadowców, jacy kiedykolwiek zaciągnęli się do piechoty morskiej. Młodzi faceci, ale potrafiliby wejść tu, wyrwać ci włos z głowy, a ty byś nigdy się nie domyślił, że tu byli.
- W Zatoce Perskiej helikopter zabrał nas z pokładu lotniskowca. Eskadra - 16 dokonała dywersji na tyłach wroga i ściągnęła ogień na siebie, żebyśmy mogli wyskoczyć. Przeszliśmy trzy mile i znaleźliśmy się w mieście. Nie potrafię opisać tego smrodu. Wszystko gniło i cuchnęło. Cały budżet tego kraju przeznaczano na prowadzenie wojny, a nie na higienę czy usługi.
- Więzienie znajdowało się w labiryncie starych budynków i ślepych uliczek, ale wywiad dostarczył nam dane o jego dokładnym położeniu. Wiedzieliśmy, jak tam się wślizgnąć. Mieliśmy też plany budynku i szczegółowy opis zabezpieczeń sporządzony przez byłego więźnia. Ochrona nie była zbyt dobrze zorganizowana, jednak strażnikami byli ciężko uzbrojeni żołnierze. Znaliśmy położenie cel, w których przetrzymywano zakładników. Nie muszę chyba mówić, że wielokrotnie przećwiczyliśmy i zgraliśmy w czasie każdy ruch.

Poszło jak w zegarku. Zdjęliśmy strażników, zanim się zorientowali, kto na nich uderzył. Kiedy dotarliśmy do zakładników, obawiałem się, że popsują akcję, ale zachowali spokój i bez wahania wykonywali nasze polecenia przekazywane tylko gestami. Dwóch z nich odniosło rany, których nikt nie opatrzył. Wszyscy osłabli z głodu i choroby, jednak mogli iść.

Gdy już mieliśmy stamtąd wychodzić, zaczęły się problemy. Kilku strażników wciągnęło chłopca-więźnia do wolnej celi i zabawiali się z nim po kolei. Ponieważ ta część więzienia miała być zamknięta, nie spodziewaliśmy się ich tam i weszliśmy w sam środek. Rozpętało się piekło. Wybuchła strzelanina. Zabiłem chłopca.

Zamilkł. Barrie i Daily nawet się nie poruszyli.

- On... nie mógł mieć więcej jak dziewięć, dziesięć lat. - Gray zamknął oczy i potarł powieki kciukiem. - Nogi miał czerwone od krwi. Podłoga była od niej śliska. Jestem pewien, że uszkodzili mu wnętrzności. Krzyczał... Przy takiej utracie krwi nie miał szans. Był w agonii. Zastrzeliłem go.

Barrie przez łzy zobaczyła, że sięgnął po filiżankę, ale nie pił, tylko trzymał ją w szerokich, mocnych dłoniach.

- Otworzyliśmy ogień do tych przeklętych zbrojców i oczywiście natychmiast się zdemaskowaliśmy. Mieliśmy... Boże... mieliśmy jeszcze tyle korytarzy przed sobą. Zakładnicy byli przerażeni.

Nie chcieliśmy umierać w tej kloace. Wydostaliśmy się jakimś cudem z więzienia, ale postawiono już w stan pogotowia wojsko. Otoczyły nas oddziały ludzi szaleńczo nienawidzących Amerykanów. Te pieprzone sukinsyny otwierały ogień do wszystkiego, co się rusza, nawet do własnych ludzi, jeśli im stali na drodze.

Mimo to udało nam się znaleźć jakąś tymczasową kryjówkę. Skontaktowałem się przez radio z naszymi lotnikami, prosząc ich o pomoc. Ruszyli nam na odsiecz, ale helikoptery nie mogły do nas dolecieć. Gdyby je zestrzelono, wszyscy i tak by zginęli.

Jeden z moich ludzi znalazł alejkę, która wydawała się pusta. Wbiegliśmy w nią, chociaż nie mieliśmy pojęcia, dokąd prowadzi. Wówczas zależało nam jedynie na jak najszybszym oddaleniu się od więzienia.

Jednak gdy tylko znaleźliśmy się w alejce, z dachów zaczęli strzelać do nas snajperzy. Moi ludzie zdejmowali ich jednego po drugim, ale przez pięć minut nie mogliśmy się ruszyć. Siedzieliśmy prawie bez żadnej osłony. Wtedy właśnie to się stało.

Podniósł głowę i spojrzał na Barrie i Daily'ego.

- Zauważyliśmy snajpera w otwartym oknie jakiegoś budynku mieszkalnego. Ktoś zaproponował, żeby go wysadzić razem z domem, ale David przykazał mi, żebym w miarę możliwości zapobiegał zabijaniu ludności cywilnej. Chciał, żeby to była akcja ratunkowa, a nie odwetowa, która z pewnością nie zostałaby dobrze przyjęta przez świat.

Siedzieliśmy jak przykuci, więc mieliśmy tylko jedno rozwiązanie. Ściągnięcie ognia snajpera na któregoś z nas tak, żeby jeden z naszych strzelców wyborowych mógł go zdjąć. Na ochotnika zgłosiłem się jako przynęta. Stałem się żywym celem. Moi chłopcy zaczęli strzelać do snajpera. W czasie tej

wymiany ognia jeden z moich ludzi zwrócił broń przeciwko mnie.

Nazywał się Ray Garrett. Duży, kościsty chłopak z Alabamy. Wychowałem się też na Południu, w Luizjanie, więc często ze sobą rozmawialiśmy. Wybrałem go i wyszkoliłem, a mimo to miał zamiar mnie zabić. Zrobiłby to, gdyby nasze oczy się nie spotkały.

Musiały go wtedy na ułamek sekundy ogarnąć wątpliwości i to ocaliło mi życie. Wahał się o sekundę za długo. Tamten snajper zdążył go zastrzelić.

Gray patrzył dłuższą chwilę przed siebie. Potem wziął głęboki oddech.

- Resztę znacie. Po sześciu potwornie ciężkich godzinach dotarliśmy do helikopterów. Nawet udało nam się zabrać ze sobą ciało Garretta. Pochowano go jak bohatera.

- Może się pomyliłeś - odważyła się wtrącić łagodnym tonem Barrie. - W takim zamieszaniu...

- Nie mogłem się pomylić co do jego zamiarów, był zbyt blisko mnie. Ale nikt poza mną tego nie widział.

- Czy pamiętasz, jaką gafę popełnił wtedy prezydent? - spytał Daily. - Kiedy ogłoszono, że podczas misji utracił życie jeden Amerykanin, Merritt wygłosił mowę pogrzebową na twoją cześć, Gray.

- Właśnie! - zawołała Barrie. - Zupełnie o tym zapomniano w podnieceniu wywołanym twoim zwycięskim powrotem, jednak pamiętam, jakiego wstydu narobił sobie Dalton Neely... Zwołał konferencję prasową, aby ogłosić powodzenie misji i bezpieczny powrót do domu zakładników. Potem odczytał krótkie oświadczenie prezydenta, wychwalające cię za poświęcenie życia dla ojczyzny. Powiedział, że nigdy nie było lepszego żołnierza i patrioty ani lepszego przyjaciela niż Gray Bondurant. Wszyscy mieli łzy w oczach.

- Kiedy David usłyszał o jednym zabitym, założył, że jego skrytobójcy się udało. Napisał oświadczenie nie sprawdzając faktów.

- Skąd wiedzieli, że można przekupić tego młodego człowieka? - spytał Daily.

- Nie wierzę, że go przekupili - odparł Gray. - Garretta nie można było skusić pieniędzmi. Jestem pewien, że Spence, działając w imieniu prezydenta, skontaktował się z nim i przekonał go, że jestem zdrajcą, szpiegiem, zagrożeniem dla demokracji czy coś w tym rodzaju. Garrett był doskonałym żołnierzem, ale nie należał do najbystrzejszych. Kiedy wycelował we mnie, wykonywał bezpośredni rozkaz naczelnego wodza. Nic innego nie mogłoby go zmusić do popełnienia wobec mnie zdrady, nawet groźba śmierci. Nie winie go. Był pionkiem Davida i Spencera.

- Czy rozmawiałeś o tym z Merritem? - spytała Barrie.

- Bóg jeden wie, jak bardzo chciałem to zrobić, ale nie mogłem ujawniać swojej wiedzy, bo znowu stałbym się celem.

- Zamiast tego prysnąłeś - mruknął Daily.

- Wyjechałem wcale nie z tchórzostwa - odparł z irytacją Gray.

Daily uniósł obie ręce do góry w geście poddania.

- Bez urazy. Nie miałem zamiaru cię obrazić.

- Zrezygnowałem z pracy w Białym Domu, ponieważ nie chciałem służyć takiemu człowiekowi jak David Merritt.

- Jednak nadal go drażnisz. Nagle okazało się, że Wyoming nie leży tak daleko od Białego Domu.

Gray pokiwał głową.

- David wie, że mam coś na niego. Przedtem miałem tylko Garretta, a teraz doszła jeszcze sprawa dziecka Vanessy. Stwarzam problem, którego nie rozwiązano do końca, więc wysłał Spence'a, żeby go wreszcie rozwiązał.

- Z mojej winy - powiedziała żalonym tonem Barrie.

- Zrobiłby to wcześniej czy później. Czekałem na taką wizytę od dawna. Nie mógł mnie usunąć, gdy uznany za bohatera narodowego stałem w świetle reflektorów. Udawał, że się cieszy i dzieli pochwałą, jakimi mnie obsypywano. Ale gdy tylko uwaga publiczna odwróciła się ode mnie, doszedł do wniosku, że może się mnie pozbyć. Była to tylko kwestia czasu.

- Skoro już znamy problem, to co robimy? - spytał Daily. - Nie pozostało mi zbyt wiele czasu, ale wolałbym nie kończyć życia w więzieniu federalnym za groźby wobec prezydenta.

- Kiedy prawda o śmierci dziecka wyjdzie na jaw, administracja Davida sama zniknie - zapewnił go Gray.

- Zgadzasz się - poparła go Barrie. - To samo się załatwi. Najbardziej martwi mnie teraz Vanessa. W tej chwili to ona stanowi największe zagrożenie dla Merritta.

- Nawet na sekundę nie uwierzyłem w tę bzdurę o „zaciszu domowym”. David gdzieś ją zamknął.

- W jakim celu, Gray? - spytał Daily.

- Żeby strachem wymusić na niej milczenie o tym, jak dziecko umarło. Według niego Vanessa dostała to, na co zasłużyła. Spróbuje ją przekonać, że sama jest winna, bo go oszukiwała. Vanessa przeżyje lub nie w zależności od tego, jaką metodę perswazji David wybierze.

- Metodę perswazji...?

- Właśnie.

- A co z Armbrusterem? Czy nic nie zrobi?

- Sam chciałbym to wiedzieć, Daily. Jednak dopóki nie wiem, nie będę go brał pod uwagę i chcę działać niezależnie.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała Barrie.

- Mam parę pomysłów.

Wyglądało na to, że nie ma zamiaru ich ujawniać.

- Możesz założyć w moim domu kwaterę główną - zaproponował Daily.

- Dzięki, ale nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo.

Daily roześmiał się głośno.

- Co mam do stracenia? Poza tym to bezpieczne miejsce. Nikt nie będzie cię tutaj szukał.

- Tak powiedziała wczoraj Barrie - mruknął bez przekonania Gray.

- Nikomu nie mówi, że jesteście przyjaciółmi - wyjaśnił Daily.

- Dlaczego?

- To nasza prywatna sprawa - burknęła Barrie.

- Możesz mi wierzyć, Gray. To najbezpieczniejsze miejsce dla ciebie - zapewnił Daily.

- A co z twoją pracą? - spytał Gray, zwracając się do Barrie.

- Już miała kłopoty w stacji - odpowiedział za nią Daily. - Przyszli agenci FBI i pytali o nią. Gray zmarszczył brwi.

- Założę się, że na pewno nie byli to zwykli agenci FBI, tylko ludzie Spence'a. Barrie, ile osób z twojej firmy wie coś o twoim reportażu?

- Z nikim o tym nie rozmawiałam.

- Przyjaciele?

- Tylko Daily.

- Kochankowie?

Wyczuwając kpinę w tym pytaniu, zdecydowanie zaprzeczyła.

- To dobrze - stwierdził Gray. - Im mniej ludzi o nim wie, tym lepiej.

- Po wydarzeniach wczorajszej nocy uważam, że powinna siedzieć cicho, przynajmniej do czasu, dopóki nie dowiemy się, co się dzieje z panią Merritt - powiedział Daily.

- Zgadza się. - Gray zwrócił się do niej: - Zostań tutaj z Dailym i zjedź wszystkim z oczu. Pozwól, że ja się zajmę resztą. Obiecuję, że pierwsza się dowiesz.

- Naprawdę? Dziękuję ci bardzo. - Rzuciła obu zirytowane spojrzenie. - Rozmawialiście o mnie, jakby mnie tu nie było. Posunęliście się nawet tak daleko, że robiliście różne plany za mnie. Dziękuję wam, ale nie skorzystam. Posłuchajcie, jak to się rozegra...

- Przepraszam, ale tu nie wolno wchodzić.

- Tutaj stał mój dom. Mieszkałam tu. Nazywam się Barrie Travis.

Tak jak przewidziała, te słowa zadziałały jak czarodziejska różdżka. W ciągu kilku sekund otoczył ją tłum reporterów, którzy wałęsali się po okolicy w towarzystwie kamerzystów, czekając na jakiegokolwiek urzędowe oświadczenie.

Wywiady z sąsiadami i naocznymi świadkami dostarczyły wielu szczegółów, ale wszyscy opowiadali to samo. Rozważono wydarzenia ze wszystkich możliwych punktów widzenia. Nie było nic nowego. Władze wyraźnie nie chciały jeszcze wypowiadać się na temat przyczyny wybuchu. Prowadzący dochodzenie agenci ATF zachowywali uporczywe milczenie. Nikt nie chciał mówić.

Kiedy więc pojawiła się nieosiągalna do tej pory Barrie Travis, wycelowano w nią wszystkie mikrofony i kamery.

- Jak państwo widzą, mój dom został całkowicie zniszczony. Zostało mi tylko to, co mam na sobie - powiedziała, rozkładając szeroko ramiona. - Jednak największą stratą dla mnie była śmierć mojego psa, Cronkite'a.

- Gdzie pani była po wybuchu?

- Dlaczego nie zjawiała się pani wcześniej?

- Czy pani wie, co było przyczyną wybuchu?

Podniosła rękę, by zatrzymać potok pytań.

- Jeśli chodzi o przyczynę, odpowiedź na to pytanie pozostawiam władzom.

- Czy to był wypadek?

Spojrzała na reportera z taką miną, jakby jego pytanie było zupełnie niedorzeczne.

- Oczywiście, że wypadek. A cóż by innego? Kiedy dochodzenie dobiegnie końca, jestem pewna, że poznamy jakieś logiczne wyjaśnienie.

Gray mówił, że Spencer Martin się o to postara, przypomniała sobie.

- Teraz proszę mi wybaczyć...

Odprowadzili ją do samochodu, który nadal stał tam, gdzie go zostawiła przed wybuchem. Kilku upartych reporterów pojechało za nią nawet do WVUE, ale odpędziła ich na parking, odmawiając dalszych odpowiedzi. Portier przy drzwiach nie dopuścił, by weszli za nią do środka.

Godzinę wcześniej odrzuciła radę Graya i Daily'ego, żeby siedzieć cicho.

- Nie mam zamiaru schodzić do podziemia - zapowiedziała im. - Po pierwsze dlatego, że to się na nic nie zda. Jeśli wywiad Spencera Martina jest tak dobry, jak mówisz, to i tak mnie znajdą. Po drugie, moim zawodem jest zbieranie wiadomości. W tej chwili sama stałam się tematem wzmianek w dziennikach i musiałabym zwariować, żeby nie wykorzystać swojej obecnej sławy. Po trzecie, im bardziej jestem „na widoku”, tym mniej prawdopodobny staje się następny fatalny „wypadek”. Jak powiedziałeś o sobie, Gray, Merritt nie uczyni kroku tak długo, dopóki stoję w świetle reflektorów.

- Ona ma rację, Bondurant - stwierdził z kwaśną miną Daily,

- Merritt na pewno nie jest głupcem - mówiła dalej Barrie. - Nie może zorganizować kolejnego zamachu na moje życie, jeśli nie chce wzbudzić podejrzeń nawet w najbardziej naiwnych. Nie, panowie - oświadczyła - tak długo, jak długo mnie widać, jestem bezpieczna.

Wiadomość, że przyjechała, rozeszła się po całym budynku stacji jak ogień. Howie dotarł do jej boks szybciej niż inni i nikogo już nie wpuścił. Pierwsze zdanie powitania brzmiało:

- Rany, Barrie, myśleliśmy, że spaliłaś się na węgiel.

- Przykro mi, że was rozczarowałam.

- Próbuję być miły.

Może rzeczywiście próbował, bo wyglądało na to, że jej uwaga go uraziła.

- Jak by ci się podobał wywiad na wyłączność w wieczornych wiadomościach? - spytała. - Wywiad ze mną, tak jak tu stoję. - Musiała ubrać się w te same rzeczy, które miała na sobie poprzedniego dnia. - Będę wyglądała żałośnie i osowiale. Mogłabym nawet wydusić z siebie jedną czy dwie łzy na zbliżeniu.

Malutkie oczki Howiego zapłonęły.

- Wspaniale!

- Jutro przygotuję dalszy ciąg, na przykład coś o „otarciu się o śmierć”, „odkryciu własnej śmiertelności” itepe. Poszukam i zbiore wypowiedzi osób duchownych i psychologów zajmujących się ofiarami takich wypadków. Może pod koniec tygodnia ATF odkryje przyczynę wybuchu.

- Tak szybko?

- Nie sądzę, aby śledztwo trwało zbyt długo - odparła z ironią, której nie wyczuł. - W każdym razie, kiedy już dostanę ich orzeczenie, przygotuję materiał o tym, jak szczegół po szczególe odtwarzają sytuację i znajdują przyczynę.

- Rany, ale jesteś teraz ważna. - Howie rzucił za siebie ostrożne spojrzenie i szepnął: - Czy to możliwe, żeby ktoś zrobił to celowo? Czy ktoś wywęszył, nad czym pracujesz? Czy istnieje związek między twoim bombowym reportażem i tym wybuchem?

- Naoglądałaś się za dużo filmów z Sylvestrem Stallone, Howie. Nie ma żadnego związku. Moja wielka bomba? - powiedziała z uśmiechem pełnym lekceważenia. - Nic nie da się porównać z widokiem własnego domu wylatującego w powietrze. Możecie się obaj z Jenkinsem uspokoić. Stałam twarz w twarz ze śmiercią. Uwierz mi, to zmienia spojrzenie na świat! - Pstryknęła palcami. - Od tej pory będziecie mieli do czynienia z zupełnie inną kobietą.

Gray powiedział, że ona, Barrie, nie umie kłamać. Miała nadzieję, że się mylił.

- Cieszę się, że to słyszę - odrzekł Howie, wypinając pierś. - Wiedziałem, że jeśli będę dość długo się starał, to czegoś cię wreszcie nauczę.

Uśmiechnęła się przymilnie, zgrzytając w duchu zębami.

Rozdział osiemnasty

Prezydent próbował wypocić zdenerwowanie w prywatnej siłowni w Białym Domu. Patrzył na urządzenia do ćwiczeń jak na wrogów, których musi pokonać. Pot skapywał mu z nosa, uszu, podbródka i palców. Mięśnie protestowały bólem, gdy zmuszał je do maksymalnego wysiłku.

Posłaniec, któremu polecił sprawdzić sytuację w Wyoming, skontaktował się z nim wcześniej rano przez komputer. Ale nie taki raport chciał Merritt usłyszeć. Wyglądało na to, że Spencer nigdy nie było w domu Graya Bonduranta. Kiedy spytał, co Bondurant miał do powiedzenia na ten temat, posłaniec rzucił następną bombę - nie znalazł również żadnych śladów Bonduranta.

Mimo to Merritt był przekonany, że Spence tam dotarł. Zachował jedynie ostrożność, zatarł ślady. A Bondurant nie zniknąłby bez ważnego powodu. Prezydent doszedł więc do wniosku, że Gray sprzątnął Spence'a, zanim Spence miał szansę sprzątnąć Graya.

Jeśli wniosek był słuszny, Gray Bondurant o wszystkim wiedział. Konsekwencje tego mogły być przerażające. Merritt szukał odosobnienia w siłowni, musiał być sam, żeby spokojnie pomyśleć, coś zaplanować.

Bondurant nie będzie się obawiał rzucić mu wyzwania. Nie da się zmusić do złożenia broni czy do wyjazdu. Kiedy Gray uważał, że ma rację, nic nie mogło go powstrzymać. Jego przekonania były niewzruszone jak skały Gibraltaru. Merritt nienawidził go za ten brak elastyczności. Gdy złożył przysięgę, miał wielkie plany wobec całej ich trójki. Był obdarowany wystarczającą charyzmą i politycznym instynktem, aby Kongres i naród namówić do wszystkiego. Spence był bezwzględny zwolennikiem rządów twardej ręki, a wszelkie polecenia wykonywał bez zbędnych pytań, fachowo i sprawnie. Gray natomiast był ekspertem od strategii. Rozważał każdą sytuację pod wszystkimi możliwymi kątami i zawsze wybierał najlepsze rozwiązanie. Razem mogli stworzyć triumwirat - trzech najpotężniejszych ludzi na świecie.

Gdyby tylko Gray nie zaczął romansować z Vanessą i nie miał tych swoich idiotycznych zasad.

- Cholerny głupiec - mruknął Merritt, siadając na ławce i sięgając po ręcznik. Otarł twarz i kark. Nagle ktoś zapukał do drzwi. - Proszę! - zawołał prezydent.

Agent Tajnej Służby otworzył drzwi. Za jego plecami stał Gray Bondurant.

- Panie prezydencie - powiedział agent z uśmiechem. - Mam dla pana niespodziankę.

Merritt zmusił się do uśmiechu.

- Gray! Boże, człowieku, co za zaskoczenie! - zawołał.

Gray również się uśmiechał, chociaż jak zwykle uśmiech nie dodawał ciepła jego oczom.

- Zaryzykowałem, że będzie pan wolny i będę mógł się przywitać. - Obrzucił Merritta spojrzeniem pełnym aprobaty. - Naród może spać spokojnie, panie prezydencie. Wygląda pan doskonale, mógłby pan własnoręcznie pokonać wszystkich wrogów Stanów Zjednoczonych, domowych i zagranicznych.

Odegrali tę scenę, ściskając sobie ręce i poklepując po plecach. Agent Tajnej Służby nie miał powodu wątpić w ich serdeczność. Oficjalnie zawsze zaprzeczano wszelkim pogłoskom o ich kłótni. Kiedy Gray opuszczał Biały Dom, ich przyjaźń była mocna jak przedtem, może nawet mocniejsza ze względu na niezwykle powodzenie misji Graya.

Merritt musiał wykorzystać wszystkie swe zdolności aktorskie, aby ukryć wściekłość. Dawny kolega zaskoczył go zupełnie nie przygotowanego. Czy nie myślał przed chwilą, jakim świetnym strategiem jest Gray? Co za doskonale zaplanowana pułapka. Chce udawać niewiniątko. Przyszedł prosto do niego, nikogo nie uprzedzając. Personel Białego Domu dobrze znał Graya i nie mógł go o nic podejrzewać. Jak to miło z jego strony, że przyszedł odwiedzić swojego kumpla prezydenta.

Najbardziej wyprowadzało Merritta z równowagi to, że musi prowadzić grę Graya. Przynajmniej do chwili, dopóki się nie domyśli, o co tamtemu chodzi. Kiedy zostali sami, podszedł do stolika z sokami.

- Czego ci nalać?

- Co tam masz.

Merritt nalał dwie szklanki soku pomarańczowego.

- Dobrze cię widzieć - powiedział, stukając szklanką o szklankę Graya.

- Nie chciałbym ci przeszkadzać w ćwiczeniach.

- Właśnie skończyłem. Już nie mogę tyle ćwiczyć co kiedyś - stwierdził ze skromną miną Merritt.

- Nie wierzę.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, że wejdę do basenu?

- W żadnym razie.

Merritt zrzucił spodenki i wszedł do basenu, w którym przelewała się i bulgotała woda. Unosiła się nad nią para.

- Wspaniałe uczucie. Chcesz się do mnie przyłączyć?

- Nie, dziękuję. - Gray przyciągnął krzesło na brzeg basenu i usiadł.

- Posiwiałeś.

- To dziedziczne - odparł Gray. - Czy nie mówiłem ci kiedyś, że mój ojciec też przedwcześnie osiwiał?

Właściwie Gray Bondurant w ogóle się nie zmienił. Miał wciąż sprężyste, wyćwiczone ciało i nieustraszone wyraz twarzy. Człowiek, który wyrwał się z przyczepy i dostał do Białego Domu, rzadko odczuwał zazdrość, lecz właśnie zazdrość stała się fundamentem jego nienawiści do Graya.

Był przystojniejszy od Graya. Być może bardziej inteligentny. I równie silny fizycznie. Gray miał za to niewzruszone zasady moralne, które pozwalały mu patrzeć innym ludziom prosto w oczy. Nawet w dawnych czasach, gdy jeszcze byli razem w korpusie piechoty morskiej, na długo przed ich sporem, Merritt zawsze pierwszy uciekał spojrzeniem od badawczego wzroku Graya. Oburzała go spokojna pewność siebie, z jaką Gray obnosił się ze swoim honorem i prawością, pogardzał nim za jego zasady - lecz w głębi ducha zazdrościł siły, jaką mu dawały.

- Jeszcze nie nabawiłeś się brzuszka - zauważył. - Cieszę się, że Wyoming nie zmienił cię w pasibrzucha.

- To twardy kraj. Gdybym nie odebrał paru lekcji w Waszyngtonie, nie dałbym sobie rady.

Merritt zachichotał.

- Brakowało mi twojego poczucia humoru. Jesteś oszczędny w słowach, ale zawsze mnie rozśmieszałeś.

- Rozpostarł ramiona na wyłożonym kafelkami brzegu basenu. Sądząc, że już zna odpowiedź, zapytał: - Co cię sprowadza do Waszyngtonu?

- Kobieta.

Tego Merritt nie przewidział. Śmiechem próbował zatrzeć zaskoczenie.

- Spódniczka? Kobieta, która wreszcie rzuciła na deski wielkiego Bonduranta? Aż trudno uwierzyć.

- Smutne, ale prawdziwe.

- Błagam - jęknął Merritt. - Nie niszczonego mojego wyobrażenia o sobie, mówiąc mi, że stałeś się odrobinę wrażliwszy. Mam nadzieję, że całkiem nie zniewieściałeś?

Gray skwitował jego słowa ponurym półuśmiechem.

- W żadnym razie. Właśnie dlatego ta dziewczyna tak bardzo mi odpowiada. Miło na nią popatrzeć, mówi głosem prosto z pornosa, a przede wszystkim nie jest zbyt bystra.

- Czy ten cud ma imię?

- Barrie Travis.

Merritt skrzywił się.

- Chyba żartujesz. To prawdziwa zhora. Owszem, głos ma seksowny. Twarz i figura również zasługują na najwyższe noty. Ale, stary, ta dziewczyna sprawia kłopoty. Jeśli uzna, że w waszym związku liczy się nie tylko seks, przyklei się do ciebie i nigdy się jej nie pozbędziesz. Jesteś pewien, że wiesz, w co się pakujesz?

- W tej chwili pakuję się w nią.

Obaj zachichotali.

- Więc nie może być aż tak źle - doszedł do wniosku Merritt.

- Jest tak dobrze, że wyciągnęło mnie to z rancza i zmusiło do przyjazdu tutaj.

- Na jak długo?

Gray wzruszył ramionami.

- Aż będę miał jej dość i wrócę.

Merritt dopił sok i odstawił szklanekę na kafelki. Potem wyszedł z basenu, owinął się ręcznikiem w pasie i usiadł na krześle obok Graya. Prowadzenie tej rozmowy mogło mu przysporzyć kłopotów, ale nie potrafił się oprzeć pokusie. Jeśli Gray mógł odgrywać tę parodię przyjacielskiego spotkania, to on też. Grał o wiele lepiej. Miał więcej praktyki.

- Gdzie się poznaliście? Chcę usłyszeć wszystkie pikantne szczegóły.

- Zupełnie zniecka zjawiała się w moim domu w zeszłym tygodniu.

- Po co?
- Chciała zrobić reportaż. Dawna historyjka pod nowym kątem. O misji uratowania zakładników.
- Nie powiedziałaś jej, żeby się zmywała? Nigdy nie lubiłeś reporterów.
- Nie kocham się z jej zawodem, Davidzie.

Merritt roześmiał się głośno.

- Znowu ten zgryźliwy humor! - zawołał, ale po chwili zmarszczył brwi i dodał: - Właśnie sobie przypomniałem. Zeszłej nocy jej dom spłonął do fundamentów.

- Tak, wiem.
- Widziałem ją w dzienniku dziś rano, jak rozmawiała z reporterami. Odważna dziewczyna.
- Właśnie dlatego jest taka pociągająca.
- Gdzie się zatrzymaliście? W hotelu?
- Nie. U przyjaciela.

Przyjacielem Barrie Travis był emerytowany dziennikarz Ted Welsh. Mimo nieobecności Spence'a jego siatka wywiadowcza dostarczyła Merrittowi zdjęcie Welsha w szlafroku, gdy podnosił poranną gazetę z zachwaszonego trawnika przed swoim domem. Podobno stary przyk chorował na płuca. Wyglądał równie groźnie jak mucha.

Co za para: Travis i Welsh. Mieszkają sobie w rozpadającym się domu i obmyślają zamach na jego prezydenturę. Można się tylko roześmiać.

Ale Gray stanowił problem. Razem z nim jako przywódcą już nie wydawali się tacy śmieszni.

- Skoro już mówimy o przyjaciółach - zaczął Gray - to jestem zdumiony, że jeszcze nie znasz wszystkich pikantnych szczegółów o Barrie i o mnie. Myślałem, że Spence zdążył ci wszystko opowiedzieć. Odwiedził mnie zaraz po niej na ranczo.

Uśmiech Merritta zamarł na ułamek sekundy. Nawet najgenialniejszy aktor nie potrafiłby się opanować.

- Spence pojechał na wakacje. Wreszcie go do tego zmusiłem. To pracoholik. Napomykał, że może do ciebie zajrzy, ale od wyjazdu nie miałem od niego wieści. Czy mówił ci, dokąd zamierza ruszyć z Wyoming?

- Nie wspominał o żadnych planach. Przecież znasz Spencer. Zjawia się, kiedy najmniej się go spodziewasz. Na pewno go nie szukałem, zanim pokazał się u mnie w domu.

Prezydent czepiał się cienia nadziei, że Spence może jeszcze żyje. Teraz upewnił się, że jest martwy, że Gray go zabił.

Ale nie mógł sobie pozwolić na sentymenty. Zresztą i tak nie potrzebował w tej chwili Spence'a, chociaż bardzo się przydawał. Rzadko zdarzali się ludzie z jego talentami, ślepą lojalnością i bezwzględny posłuszeństwem. Jeszcze rzadziej ludzie tak jak on zupełnie pozbawieni sumienia.

Gray zabrał mu cennego sprzymierzeńca i siedział sobie tutaj, opowiadając dowcipy z prostoduszną miną. Merritt miał ochotę zetrzeć mu tę minę z twarzy, ale powściągnął gniew. Okazanie gniewu byłoby przyznaniem się do winy.

Poza tym nie chciał tracić energii na walkę w sytuacji, kiedy nie da się już nic odwrócić. Spence pierwszy by się z nim zgodził, że żałoba nic nie daje i tylko słabi się jej oddają.

- Chciałem się dowiedzieć, czy Pierwsza Dama jest gdzieś w pobliżu?

Pytanie Graya obudziło Merritta z zamyślenia.

- Ach, nie, nie ma jej w mieście.

- Przebywa w „zacisku domowym”?

- Właśnie - przytaknął Merritt.

Gray pochylił się do przodu, oparł łokcie na udach i przyjął postawę, jaką często przybierał prezydent.

- Davidzie, martwię się o nią. Czy dobrze się czuje? Powiedz mi prawdę. Nie opowiadaj bzdur, którymi Neely karmi dziennikarzy. Jak naprawdę czuje się Vanessa?

- Próbujesz zebrać materiał dla nowej narzeczonej?

- Kiedy jesteśmy w łóżku, ma lepsze rzeczy do roboty, niż przeprowadzać ze mną wywiad.

- Trudno gadać z pełnymi ustami, co?

Zgodnie z oczekiwaniami Gray parsknął śmiechem, ale już po chwili jego szczupła, pobrużdżona twarz spoważniała.

- Vanessa od śmierci dziecka nie jest sobą. Czy choruje?

Gdyby Merritt mógł, rzuciłby się Grayowi do gardła. Ten człowiek zrobił z niego rozacza. Plotki o nim i Vanessie próbowano powstrzymać, ale za późno, już się rozeszły.

Ile osób domyślało się, że to Gray, a nie on, był ojcem bachora Vanessy? Jak ten skurwysyn śmie o nim wspominać!

Prezydent Stanów Zjednoczonych z trudem opanował roznoszącą go wściekłość. Jak by wytłumaczył utonięcie Graya w basenie w siłowni Białego Domu? Nawet Spence nie potrafiłby przekonać prokuratora generalnego i amerykańskiego społeczeństwa, że był to wypadek.

Tłumiąc mordercze pragnienia, pochylił głowę i zanurzył palce we włosach.

- Mogę ci powiedzieć, Gray, ale niełatwo mi to przychodzi. Vanessa wini siebie i swoją chorobę za to, że nie była dobrą matką i nie zapobiegła śmierci dziecka.

- Właśnie czegoś takiego się obawiałem. Rozumiem, że zajmuje się nią George Allan. Czy ma wystarczające kwalifikacje, żeby sobie z tym poradzić?

- Oczywiście. Od lat jest jej lekarzem. Dokładnie wie, czego jej potrzeba. Kiedy już opanuje ten kryzys, Vanessa będzie zupełnie zdrowa.

- Mam nadzieję.

Merritt spojrział na duży zegar na ścianie i wstał.

- Bardzo się cieszę, że mogliśmy porozmawiać, Gray. Przykro mi, że muszę wyjść, ale mam za pół godziny posiedzenie gabinetu.

- I tak poświęciłeś mi dużo czasu. - Gray wstał. Ucisnęli sobie ręce. - Proszę, powiedz Vanessie, że o nią pytałem. Czy mógłbym ją odwiedzić?

- Obawiam się, że nie. Z każdym dniem czuje się coraz lepiej, ale nie zgodziła się nawet na wizytę Clete'a. Przekaż wyrazy współczucia Barrie Travis z powodu pożaru jej domu.

- Dzięki. Przekażę na pewno.

Agenci Tajnej Służby stojący przed drzwiami do siłowni mieli towarzyszyć prezydentowi w drodze powrotnej do prywatnych apartamentów. Merritt zwrócił się do jednego z nich:

- Proszę odprowadzić pana Bonduranta do samochodu.

- Nie potrzeba - odparł swobodnie Gray. - Pracowałem tu kiedyś, pamiętasz? Znam drogę.

- To bez znaczenia - odpowiedział Merritt takim samym swobodnym tonem. - Lubimy, gdy starzy przyjaciele są traktowani z odpowiednim szacunkiem.

Rozdział dziewiętnasty

Kiedy Merritt telefonicznie powiadomił doktora George'a Allana o niespodziewanej wizycie Graya Bonduranta, zabrzmiało to tak, jakby wizyta starego przyjaciela uszczęśliwiła go, ale George domyślał się, że David nie ma zamiaru pozwolić, żeby Gray węszył po Waszyngtonie i odgrzebywał sprawę śmierci Roberta Rushtona Merritta.

Przekonywał siebie, tak jak przekonano naród, że dziecko zmarło na SIDS. Tamtej nocy, wezwany telefonicznie do pokoju dziecinnego w Białym Domu, uwierzył Davidowi na słowo, że znaleźli z Vanessa w kołysce martwe dziecko.

Nie chcąc wiedzieć nic więcej, nie zadawał wielu pytań. Ułatwił pogrzeb dziecka, tak jak mu polecił prezydent. Koniec historii.

Niestety okazało się, że wcale nie koniec. Vanessa wciągnęła w to wszystko wścibską reporterkę, która, jak twierdził David, pojechała do Graya Bonduranta. Widać celom Davida lepiej służyło nadanie odrobinę innej wymowy temu, co naprawdę wydarzyło się w dziecinnym pokoju, skoro nie chciał budzić ciekawości Graya Bonduranta. Jeśli ktokolwiek mógł zdemaskować Davida Merritta, tym kimś był Gray.

- Co z tą reporterką? - spytał George. - Słyszałem w dzienniku, że jej dom wyleciał w powietrze.

- Tak. Też o tym słyszałem. Bardzo smutna historia, ale przynajmniej osobiste kłopoty odwróciły jej uwagę od nas. - Po krótkim milczeniu prezydent dodał: - To wszystko wina Vanessy. Gdyby się z nią nie umówiła, Travis nie nękałaby nas teraz. - Potem zmieniając temat zapytał: - Jak się moja żona dziś czuje?

Kiedy George, z trudem panując nad ogarniającą go paniką, poinformował prezydenta o aktualnym stanie zdrowia Vanessy, David przekazał mu dalsze instrukcje.

Nie przedstawił ich wprost, bo nie musiał. Wiadomość była zrozumiała dla każdego, kto słuchał uważnie i czekał na polecenia tak jak George.

To miał być właśnie ten dzień. Prezydent zażądał zwrócenia starego długu.

George odłożył słuchawkę i zakrył rękami lepłą od potu twarz. Drżał. W uszach głośno szumiało. Było mu słabo i poczuł falę mdłości.

Przez chwilę zastanawiał się nad telefonem do Amandy. Oddana i pogodna, była oazą spokoju w chaosie, w jaki zamienił swoje życie. Czasami sam dźwięk głosu żony dawał mu nadzieję, choć jego przyszłość przypominała pole minowe. Ta myśl wystarczyła, by zrezygnował z dzwonienia. Po co obciążać ją konsekwencjami błędów, które sam popełnił?

Zamiast porozmawiać z żoną, wziął valium.

Brudną robotę David zazwyczaj zlecał Spence'owi. Tamten nie drżałby ze strachu, nie potrzebowałby valium. George nieraz zastanawiał się, jakiego haka David ma na swego doradcę, że uzyskał jego tak ślepe posłuszeństwo. A może było na odwrót? Może to Spence trzymał sznurki, a David był tylko podskakującą marionetką? Ale nie, Spence po prostu nie potrzebował wyjaśnień, żeby robić to, co robił.

Żył się okrucieństwem. Nigdy nie kochał kobiety ani nie zaznał miłości kobiety. Nigdy nie widział narodzin dziecka, które by począł z miłości. Nigdy nie trzymał w ramionach bezbronny nowego życia i nie spoglądał na nie ze łzami wzruszenia w oczach. Nigdy też nie doświadczył poczucia winy czy żalu.

George był może tchórzem, na pewno jednak był lepszym człowiekiem od Spence'a Martina.

Ale wyglądało na to, że Spence zniknął. W ostrożnie dobranych słowach David sugerował, że to Gray ponosi odpowiedzialność za nie wyjaśnioną nieobecność Spence'a. George miał nadzieję, że jeśli rzeczywiście Gray go zabił, to najpierw dał temu pozbawionemu uczuć draniowi nieźle pocierpieć.

Bondurant miał dość oleju w głowie, żeby odejść. Powiedział: „Wynoszę się stąd”, i tyle go widzieli. George żałował, że nie ma tyle odwagi. Ale tamten nie miał pętli na szyi.

A pętla George'a zaciskała się coraz bardziej.

Tarł nos, aż go rozboleła. Opuścił dłoń i spojrzął na zamknięte drzwi małego, wykładanego drewnem gabinetu. Mógł tu siedzieć jeszcze godzinę lub dwie, ale w końcu będzie musiał wstać i wykonać polecenie prezydenta. Im dłużej je odkładał, tym więcej o nim myślał, a im więcej o nim myślał, tym stawało się trudniejsze.

Wstał, poruszając się niemal jak stuletni starzec. Powolnym krokiem opuścił gabinet i przeszedł przez korytarz.

W pokoju chorej panowała cierpka duchota

Jayne Gaston była troskliwą pielęgniarką. Codziennie rano bardzo sumiennie kąpała swoją podopieczną i zmieniała pościel. Jednak pokój chorego pozostaje pokojem chorego, a choroba ma charakterystyczną woń. Doktor George Allan podszedł do łóżka.

- Jak się dzisiaj czuje?

- Zasnęła,

Pielęgniarka spojrzała ze współczuciem na pacjentkę.

George zbadał pobieżnie Vanessę. Posłuchał serca, sprawdził w karcie ciśnienie krwi i temperaturę, ani razu nie patrząc na twarz chorej. Dzięki Bogu, miała zamknięte oczy. Nie mógłby znieść jej spojrzenia. Zastanawiał się, czy potem będzie mógł patrzeć w oczy Amandzie lub sobie.

- Jakiś czas temu zdenerwowała się i zaczęła płakać - powiedziała pielęgniarka. - Błagała mnie, żebym pozwoliła jej wstać. Doktorze Allan, jeśli czuje się na tyle silna, nie rozumiem...

- Dziękuję, pani Gaston.

- Doktorze, jestem pewna, że pan wie najlepiej, ale...

- Ja też jestem pewny, że wiem. - Rzucił jej surowe spojrzenie. - Nie będę dłużej tolerował takich uwag, pani Gaston.

- Chodzi mi wyłącznie o dobro pacjentki.

- Nie sądzi pani, że mnie chodzi o to samo?

- Ależ oczywiście, panie doktorze. Nic takiego nie miałam na myśli. - Wyprostowała już i tak proste plecy. - Ale jestem wykwalifikowaną pielęgniarką o wieloletnim doświadczeniu...

- Właśnie dlatego została pani wyznaczona do tej pracy. Jednak przekracza pani swoje kompetencje.
- Pani Merritt otrzymuje za duże dawki środków uspokajających. Gdyby pan mnie zapytał...
- Nie pytałem! - krzyknął George.
- Poza tym uważam, że poziom litu jest niebezpiecznie wysoki.
- Widziała pani wyniki badań laboratoryjnych. Poziom litu we krwi jest dokładnie taki, jaki być powinien.
- W takim razie nie ufam laboratorium i nie wierzę w te wyniki badań.

Serce George'a waliło jak młotem. Kolana mu zmiękły, w skroniach pulsowało. Wiedział, że się zaczerwienił.

Zmusił się do zachowania spokoju i powiedział sztywno:

- Nie jest już nam pani dłużej potrzebna, pani Gaston. Proszę natychmiast spakować swoje rzeczy. Dziś wieczorem ktoś odwiezie panią do Waszyngtonu.

Położyła dłoń na piersi.

- Wyrzuca mnie pan?

- Nie realizuje pani programu leczenia pani Merritt. A teraz, jeśli pani...

Pokręciła przecząco głową i wzięła Vanesę za rękę.

- Nie odejdę. Jest również moją pacjentką. Odmawiam opuszczenia jej w takim stanie. Jeśli chce pan usłyszeć moje zdanie, to uważam, że grozi jej zapadnięcie w śpiączkę.

- Jeśli nie odejdzie pani dobrowolnie, będę musiał wydać polecenie wyrzucenia pani.

Przeszedł szybko przez pokój, otworzył drzwi i zawołał agentów Tajnej Służby.

Rozdział dwudziesty

- Barrie Travis?

- Przy telefonie. Kto mówi? - Barrie zatkała wolne ucho palcem, żeby lepiej słyszeć cichy kobiecy głos zagłuszany przez hałas pracującej redakcji wiadomości.

- Czy pani wie o Highpoint?

Barrie natychmiast skupiła uwagę.

- W jakim sensie?

- Coś się stało.

- Może pani powiedzieć coś więcej?

- Nie. Nie wiem... - Jej niepokój był wyraźny. - Ktoś musi sprawdzić, co tam się dzieje.

Potem odłożyła słuchawkę.

Barrie połączyła się z telefonistką w centrali.

- Czy ta kobieta, która poprosiła o połączenie, przedstawiła się? Może mówiła, skąd dzwoni?

- Nie, powiedziała tylko, że chce rozmawiać z tobą. Następna wariatka?

- Nie jestem pewna. Dziękuję.

Zerwała się z krzesła i chwyciła plecak. Skończyła już pracę na ten dzień. Materiał do wieczornego dziennika leżał u jej szefa na biurku. Nikt nie będzie za nią tęsknił, jeśli wyjdzie trochę wcześniej.

Przez kilka ostatnich dni starała się przekonać widzów, do których, jak miała nadzieję, należał również David Merritt, że nadal pracuje jak zwykle, mimo utraty domu.

Ekipa śledcza wciąż szukała przyczyny wybuchu, ale wszystko wskazywało na to, że nie połączyła tego wydarzenia z wścibianiem nosa przez Barrie w prywatne życie prezydenta i Pierwszej Damy.

Gdy Barrie śpieszyła do wyjścia z redakcji, zastanawiała się przez chwilę, czy nie zabrać ze sobą kamerzysty na wypadek, gdyby informacja okazała się coś warta. Ale po namyśle postanowiła z tym poczekać. Mogła zabrać do Highpoint małą kamerę wideo. Jeśli coś się tam naprawdę działo ciekawego, sama sfilmuje rozgrywające się wydarzenia.

Najpierw jednak musiała wymyślić sposób dostania się do Highpoint.

- Nie rozpoznałaś głosu?

- Czyż już tego nie mówiłam? - odparła z irytacją Barrie. - Nie, Gray, nie rozpoznałam jej głosu.

- Nie złość się na niego - wtrącił się Daily. - Nie chce po prostu, żebyś wpadła w jakieś tarapaty.

Barrie najbardziej rozzłościło to, że jej przyjaciel stanął po stronie Graya.

- Nikogo nie proszę, żeby razem ze mną wpadał w tarapaty. Możecie zostać tutaj. Sama sprawdzę tę wiadomość.

- Czy nie mogła to być ta wariatka Charlene? - spytał Daily.

- Nie - zaprzeczyła Barrie. - Nie wiem, kto zadzwonił, ale nie był to głos zwykłego wariata telefonicznego. Kulturalny głos kobiety wykształconej. I przestraszonej. Uwierzyłam jej.

Daily podchwycił jej ostatnie słowa.

- Nie masz żadnego potwierdzenia, że w Highpoint dzieje się coś szczególnego. To się może znowu skończyć jak z sędzią Greenem.

- A jak było z sędzią Greenem? - zainteresował się Gray.

- Nijak - warknęła Barrie. Popatrzyła wrogo na Daily'ego, potem machnęła ręką. - Dyskusja skończona. Jadę.

Nie wróciłyby do domu i nie opowiadałyby im o swoich planach, gdyby miała ze sobą sprzęt. Ale kamera, którą kupiła kilka dni temu, bo poprzednią straciła w wybuchu, leżała w pudełku w pokoju gościnnym Daily'ego. Barrie włożyła baterie, sprawdziła, czy kamera pracuje, wcisnęła ją do plecaka i odwróciła się do zatroskanych współników.

- Życie mi szczęścia.

Daily był tak zmartwiony, że miał kłopoty z oddychaniem. Popatrzył na Graya.

- Byłeś w piechocie morskiej. Masz jakiś pomysł?

- Poza skrępowaniem jej linami, nie. Pojadę z nią, ale ona prawdopodobnie doprowadzi do tego, że nas oboje zastrzela - powiedział, wpychając pistolet za pasek.

Nagle włączył się aparat przywoławczy Barrie.

- Twój informator? - spytał Daily.

- Tylko oni poza tobą mają ten numer.

Nie znała numeru, który pojawił się na wyświetlaczu, lecz natychmiast rozpoznała głos w słuchawce. Informator musiał dzwonić z budki, bo w tle słychać było hałas ulicy. Nie marnował czasu, szybko przekazał wiadomość i natychmiast się rozłączył.

Zamyślona Barrie powoli odłożyła słuchawkę i spojrzała na Graya.

- Chodźmy, skoro się namyśliłeś.

- Kto to był? - spytał Daily, odprowadzając ich do drzwi i ciągnąc za sobą skrzypiący wózek. - Czy to dotyczyło Highpoint?

- Nie. Nic ważnego - odparła Barrie, ale błakający się na ustach słaby uśmiech przeczył jej słowom. - Zadzwonimy do ciebie, gdy tylko czegoś się dowiemy. Spróbuj trochę odpocząć.

- Postarajcie się wrócić w jednym kawałku. Chciałbym móc was odwiedzić w więzieniu.

- Skąd w Luizjanie?

- Co? - spytał zaskoczony.

- Mówiłeś, że pochodzisz z Luizjany. Z miasta?

- Niezbyt dużego - odparł Gray. - Nigdy o nim nie słyszałaś.

- Miałam dobre stopnie z geografii.

- Grady.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

Gray prowadził uważnie, trzymając kierownicę obiema rękami. Jechali na południowy zachód, ku równinom Wirginii. Przed ich oczami rozciągała się panorama pastwisk, farm i lasów, ale jej nie dostrzegali.

To były pierwsze słowa, jakie zamienili od wyruszenia z domu Daily'ego. Barrie nie mogła już dłużej znieść wrogiej ciszy i własnych niewesołych myśli, więc poruszyła temat, który uważała za bezpieczny.

- Jak tam było?

- Nieźle.

- Miałaś dobre dzieciństwo?

- W porządku.

- Złe?

- Czy powiedziałem „złe”?

- Więc było dobre?

- W porządku. W porządku?

- Nie musisz od razu odgryzać mi głowy. Po prostu ciekawi mnie, skąd pochodzi taki człowiek jak ty.

- Człowiek jak ja? - powtórzył ironicznie. - A jakim człowiekiem jestem?

Dopiero po chwili przysła jej do głowy replika, która się jej spodobała.

- Wysokim - stwierdziła.

Uśmiechnął się.

- Rodzice? - spytała.

- Dwoje.

- Przestań, Bondurant...

Po chwili mruknął:

- Moja matka i ojciec zginęli, gdy tornado uderzyło w ich zakład.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Ile wtedy miałaś lat?

- Dziewięć. Coś koło tego.

Nie potrafiła go sobie wyobrazić jako małego, beztroskiego chłopca, bawiącego się z innymi dziećmi, biorącego udział w grach i konkursach na przyjęciach urodzinowych, rozdzierającego kolorowy papier prezentów, w towarzystwie członków rodziny zebranych przy bożonarodzeniowym drzewku.

- Tamtego ranka w Wyoming powiedziałaś, że nauczyłaś się hodowli bydła od ojca.

- Trzymał stado krów, ale prowadził również warsztat naprawczy w mieście. Nie było w całym stanie takiego silnika, którego nie umiałby naprawić. A mama radziła sobie z kombinerkami równie dobrze jak on.

Barrie spostrzegła nieoczekiwane złagodzenie twardej linii ust.

- Kochałaś ich.

Wzruszył ramionami.

- Byłem dzieckiem. Dzieci zawsze kochają rodziców.

Nawet jeśli nie ma ich za co kochać, pomyślała Barrie.

- Kto cię wychowywał po ich śmierci?

- Obie pary dziadków na przemian. Byli dobrymi ludźmi. Żadne z nich już nie żyje.

- Masz rodzeństwo?

- Siostrę. Nadal mieszka w Grady. Ma czworo dzieci, wyszła za mąż za księgowego, który jest przewodniczącym rady szkolnej i diakonem baptystów.

- Psucie siostrzenic i siostrzeńców musi być miłe.

- Nie widuję ich.

- Jak to?

- Mój szwagier uważa, że jestem niebezpieczny.

- A jesteś?

Odwrócił do niej głowę. Przeszyło ją ostre spojrzenie błękitnych oczu.

- Jeszcze się tego nie domyśliłaś?

- Tak. - Spuściła wzrok. - Chyba jesteś bardzo niebezpieczny.

Popatrzyła przed siebie i zobaczyła, że zmierzch niepostrzeżenie przeobraził się w noc. W lasach porastających obie strony dwupasmowej autostrady panował mrok. Po kilku minutach milczenia znowu się odezwała:

- Ten telefon przed naszym wyjściem z domu Daily'ego... Dzwonił mój informator z Departamentu Sprawiedliwości.

- Masz informatora w Departamencie Sprawiedliwości?

- Czy to takie zaskakujące?

- Kto? W którym dziale? Na jakim stanowisku?

- Wiesz przecież, że tego nie mogę powiedzieć.

- Miejmy nadzieję, że nie należy do kretów Spence'a.

Ignorując tę cierpką uwagę, Barrie mówiła dalej:

- Mój informator powiedział mi, że spotkałeś się dzisiaj z Merrittem za zamkniętymi drzwiami.

- Zgadza się.

- Dlaczego nie wspomniałeś o tym ani Daily'emu, ani mnie?

- To nic takiego, o czym powinno się wspominać.

- Spędziłeś piętnaście minut sam na sam z prezydentem Stanów Zjednoczonych i to nic takiego?

- Po prostu wpadłem...

- Wpadłem? Och, też bym to mogła zrobić, ale David Merritt nigdy by mi nie udzielił prywatnej audiencji.

- Mam przyjaciół w Tajnej Służbie. Pojawiłem się nie zapowiedziany, bo chciałem zobaczyć reakcję Merritta na mój widok.
 - No i jak zareagował?
 - Prawie zerznął się w szorty.
- Powtórzył jej treść rozmowy, a potem dodał:
- Powiadomiłem go w ten sposób, że Spence'owi nie udało się wykonać ostatniego zadania.
 - To wszystko?
 - Wszystko.
 - Na pewno?
- Zerknął na nią podejrzliwie.
- Czy twój informator skontaktował się z tobą, żeby ci opowiedzieć o mojej wizycie u Davida?
 - Tak. Z troski o moje bezpieczeństwo. Trochę go niepokoi towarzystwo, w jakim się obracam. Sugerował, że prezydent być może wykorzystuje cię do wciągnięcia w pułpkę pewnej niewygodnej dziennikarki, którą chciałby raz na zawsze uciszyć.
 - Już nie pracuję dla prezydenta.
 - Tak twierdzisz. Cały czas zastanawiam się, jak wyglądają twoje związki z Merrittami. Byłeś serdecznym kumplem Merritta, zanim zostałeś kochankiem jego żony.
- Gray mocniej zacisnął ręce na kierownicy.
- Czemu nie powiesz głośno, o czym naprawdę myślisz?
 - Myślę, że być może cierpisz na beznadziejny konflikt lojalności.
- Rzucił jej jeszcze jedno palące spojrzenie, ale ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził oskarżenia.
- Czy w czasie spotkania padło moje nazwisko? - spytała.
- Przytaknął.
- W jakim kontekście?
 - Powiedziałem mu, że cię bzykam.
- Barrie poczuła rumieniec na policzkach.
- Wolę to słowo od innych, chociaż też jest wulgarnie.
 - Właśnie takie miało być.
 - Czy przy okazji napomknął o stanie zdrowia Vanessy? - zapytała, ignorując jego uwagę.
 - Nie powiedział nic nowego.
 - Gdyby to zrobił, powtórzyłbyś mi?
 - Prawdopodobnie nie.
 - Dlaczego?
 - Już dość nabiłaś sobie głowę mrzonkami.
 - Jestem gotowa podjąć każde ryzyko dla materiału na wyłączność, który wstrząśnie całym światem.

- A ja nie - odparł krótko. - Nie mam zamiaru narażać swojego życia ani życia Vanessy czy nawet twojego po to tylko, żebyś mogła dopisać kilka zer na twojej nowej umowie o pracę. Jeśli mamy wyjść z tego żywi, to nie chcę, aby moje plany strategiczne zepsuła rozkojarzona amatorka.

Zabolało ją to.

- Jestem profesjonalistką.

- Może w telewizji - mruknął. - Ale w Highpoint nie czekają na nas kamery telewizyjne. Staniemy przed uzbrojonymi ludźmi. To nie dla ciebie.

- Jestem twardsza, niż sądzisz.

- Wiem, że nie brakuje ci odwagi. Nawet sobie przypominam, jak daleko potrafisz się posunąć, żeby zebrać materiał. A może ty już zapomniałaś?

Jeśli tak zależało mu na wywołaniu jej reakcji, to proszę bardzo. Ściszyła głos do namiętnego szeptu i powiedziała:

- Nie, nie zapomniałam. Nic nie zapomniałam. A co ważniejsze, Bondurant, ty też nie zapomniałeś.

Odwrócenie ról pomogło. Na policzku Graya zaczął nerwowo pulsować mięsień. Barrie z zadowoloną miną spojrzała na drogę.

- Uważaj! - krzyknęła.

Zareagował natychmiast, jak dobrze wyszkolony komandos. Gwałtownie skręcił w bok i uniknął zderzenia. Zza zakrętu wyjeżdżali parami policjanci na motocyklach. Tuż za nimi jechał wóz strażacki, potem limuzyna i ambulans. Wszystkie pojazdy poruszały się z dużą prędkością.

Gray zatrzymał się na poboczu, poczekał, aż przemkną obok, po czym zawrócił i ruszył za nimi.

- Masz zamiar ich śledzić?

- To chyba jasne, do cholery.

- Ale dlaczego...

- Patrz w górę - odparł Gray, odpowiadając na pytanie, zanim je dokończyła. Przytuliła policzek do okna i zobaczyła dwa helikoptery wylaniające się z za wierzchołków drzew. - Twój anonimowy informator miał rację. Coś się stało.

- Przecież Highpoint jest tam - powiedziała, wskazując przeciwny kierunek.

- Cała okolica nosi nazwę Highpoint, ale posiadłość prezydenta stoi po drugiej stronie jeziora. A dom letni doktora George'a Allana znajduje się za tamtym wzgórzem - wskazał brodą miejsce w lesie, skąd wystartowały helikoptery. - Właśnie tam przetrzymywali Vanessę.

- Skąd wiesz?

- Miałem przecucie, a teraz się potwierdziło. Samochód za wozem strażackim to limuzyna rządowa, prawdopodobnie siedzą w niej agenci Tajnej Służby.

Nadal mocno obiema rękami trzymał kierownicę i z całej siły wduszał pedał gazu, aby nie stracić z oczu świateł pozycyjnych ostatniego pojazdu w kolumnie.

- Jak sądzisz, co to oznacza?

- A jak myślisz? - spytał ze ściśniętym gardłem.

- Doktor Allan by jej nie skrzywdził - powiedziała niepewnie. - Nie naumyślnie. Nie w obecności agentów Tajnej Służby.

- Tamtej nocy, gdy umarło dziecko, w Białym Domu roіło się od Tajnej Służby. Nie powstrzymało to doktora od oświadczenia, że przyczyną śmierci było SIDS. Jeśli David ma George'a Allana w kieszeni, ten powie i zrobi wszystko.

Wjechali za kolumną do Shinlin, malowniczej, zadbanej osady, w której mieszkało około tysiąca pięciuset osób. Bliskość posiadłości prezydenta spowodowała, że przyzwyczaili się do kawalkad zakłócających spokój ich wysadzanych drzewami ulic.

Gray zwolnił. Znajdowali się jeszcze dwie przecznice od kolumny, gdy ambulans podjechał pod izbę przyjęć szpitala.

Barrie spojrzała na Graya.

- Jeśli Vanessa potrzebuje natychmiastowej interwencji lekarza, dlaczego nie zabrano jej helikopterem?

Zanim zdążył odpowiedzieć, tylne drzwi ambulansu otworzyły się z trzaskiem, wyrzucając George'a Allana. Doktor był wyczerpany, ubranie miał w nieładzie, rękawy podwinięte do łokci. Sterczące włosy wyglądały, jakby je bez przerwy przeczesywał palcami. Doktor, kierowca i sanitariusz wyciągnęli z ambulansu nosze.

Na noszach leżało dokładnie przykryte prześcieradłem ciało.

- Och, mój Boże, nie! - krzyknęła Barrie.

Sanitariusze popchnęli wózek w kierunku automatycznych szklanych drzwi. Z rządowej limuzyny wysiadło dwóch mężczyzn i z ponurymi minami podążyło za wjeżdżającym do szpitala wózkiem.

Doktor George Allan pochylił się do przodu i zwymiotował na chodnik.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Kiedy zadzwonił telefon Clete'a Armbrustera, budząc go z głębokiego snu, senator przekręcił się na bok i spojrzał na zegarek leżący na nocnym stoliku.

- Cholera. - Telefon o tej porze zwiastował na ogół jakieś przykre wydarzenia. - Tak? - rzucił w słuchawkę.

- Senator Armbruster?

Spodziewał się usłyszeć asystenta i nie był przygotowany na miękki, lekko schrypnięty kobiecy głos, bardziej pasujący do miłosnych, pełnych namiętności wyznań niż do złych wieści. Nieoczekiwanie ogarnęła go panika. Od dawna nie korzystał już z usług profesjonalistek, ale w pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że może właśnie jednej z nich polecono powiadomić wszystkich klientów o zakażeniu śmiertelnym wirusem.

- Kto mówi?

- Barrie Travis. Przyjaciółka Vanessy. Reporterka.

Senator z irytacją odsunął prześcieradła i przerzucił grube nogi przez brzeg łóżka. Postawił stopy na ziemi i usiadł. Barrie Travis przyjaciółką Vanessy! Tego już za wiele. Jeszcze na dodatek reporterka. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Vanessa udzieliła jej wywiadu.

- Czego pani chce?

- Muszę z panem porozmawiać. Chodzi o Vanesę.

- Czy pani wie, która jest godzina? Tak na marginesie, skąd pani ma mój prywatny numer? Czy pracownicy mojego biura nie wyjaśnili pani, że nie rozmawiam o mojej córce z prasą?

- To nie o taką rozmowę chodzi, proszę pana.

- Kogo chce pani oszukać? Dobranoc.

- Senatorze! Proszę, niech pan nie odkłada słuchawki!

Niepokój w jej głosie sprawił, że się zawahał. Zabrał telefon bezprzewodowy do łazienki, stanął przy sedesie i ulżył sobie.

- O co chodzi? Jeszcze jeden wybuch?

- Muszę się z panem koniecznie zobaczyć.

- Po co?

- Nie mogę tego panu powiedzieć, dopóki się nie spotkamy.

Zachichotał i spuścił wodę.

- Nie znoszę niepewności.

- Przysięgam panu, senatorze Armbruster, że to nie żadna dziennikarska sztuczka. Nie ma się z czego śmiać. Proszę mi uwierzyć, chodzi o sprawę najwyższej wagi. Zobaczy się pan ze mną?

Podrapał się w głowę.

- Chryste, pewnie będę przez całe życie tego żałował, ale niech pani zadzwoni jutro do mnie do biura i umówi się na spotkanie.

- Pan mnie nie zrozumiał. Muszę się z panem zobaczyć natychmiast. Zaraz.

- Zaraz? Jest środek nocy, do cholery!

- Proszę. Jestem w barze w Shinlin, na rogu Lincoln Street i Pauls Meadow Road. Będę czekała na pana. Rozłączyła się, a senator głośno zaklął. Rzucił z trzaskiem słuchawkę, usiadł na brzegu łóżka i energicznym gestem wlał trochę whisky Jack Daniel's do szklanki. Wypił jednym haustem. Miał zamiar zlekceważyć rozmowę i wrócić do łóżka, ale się zawahał. Cóż takiego ta reporterka wiedziała o Vanessie, co nie mogło poczekać do rana?

Z wściekłością spojrzął na telefon, jakby był jego śmiertelnym wrogiem. Nie mógłby teraz zasnąć. Poza tym niepokój w głosie dziewczyny wydawał się prawdziwy.

Wstał i ubrał się. Po dziesięciu minutach siedział w samochodzie i jechał do Shinlin. Znał osadę, ponieważ wielokrotnie odwiedzał Highpoint.

Myślami powrócił do pewnej nocy sprzed osiemnastu lat, gdy też go obudzono z głębokiego snu. Spędzał wtedy krótkie wakacje na swojej farmie w rolniczej części stanu Missisipi.

Obudziło go uporczywe dzwonienie. Gospodyni wyszła już ze swojego pokoju za kuchnią, obwiązując paskiem szlafrok, lecz Clete pierwszy dotarł do drzwi frontowych.

Na progu stał David Merritt. Ociekał deszczem jak zmoczony kot. Był ledwie żywy. W świetle błyskawicy ukazały się długie, czerwone zadrapania na policzku.

- Co ci się stało, do diabła?! - zawołał Clete.

- Przepraszam, że pana obudziłem, ale musiałem się z panem natychmiast zobaczyć.

- Coś nie w porządku? Miałeś wypadek?

David zerknął z obawą na gospodynię, więc Clete powiedział jej, żeby wracała do swojego pokoju.

Potem zaprowadził Davida do swego gabinetu, włączył lampę na biurku i nalał młodemu człowiekowi brandy. David usiadł przy oknie i trzymając kieliszek w obu dłoniach, wypił jego zawartość jednym haustem.

- Na ogół tak nie pijesz - zauważył senator, podając Davidowi chusteczkę do zatamowania krwi płynącej z zadrapań na twarzy. - Musiało ci się przytrafić coś rzeczywiście niedobrego. Miejmy to za sobą.

Wyciągnął się na skórzanej sofie i sięgnął po cygaro. Jego nocny gość wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Chodzi o dziewczynę - powiedział po dłuższej chwili.

- Domyśliłem się - mruknął Clete, gasząc zapalną, którą zapalał cygaro.

- Spotkałem ją, kiedy byliśmy tutaj latem zeszłego roku.

- Miejscowa dziewczyna? Gdzie ją poznałeś? Jak się nazywa? Kim są jej rodzice?

- Nazywa się Becky Sturgis, ale pan jej nie zna. To śmieć z przyczepy. Nikt. Poderwałem ją w knajpie przy autostradzie. Była już pijana, kiedy tam wszedłem. Popatrzyliśmy na siebie, zaczęliśmy tańczyć. Flirtowaliśmy, trochę pieszczot. Szybko zrobiło się gorąco. Przykleiła się do mnie. Musieliśmy wyjść na zewnątrz, bo stawało się to coraz bardziej krepujące. Ledwie zamknęliśmy drzwi za sobą, a już podciągnęła kieckę. Zrobiliśmy to na stojąco, przy ścianie budynku.

Senator pomyślał, że byłby hipokrytą, gdyby ganił swojego protegowanego za nieostrożność w przygodach miłosnych. Kiedy miał tyle samo lat co David, również popełnił parę szaleństw. Dopiero po osiągnięciu dojrzałości poznał zalety dyskrecji i właściwego wyboru. Uważał jednak, że trzeba młodemu awanturnikowi udzielić nagany.

- Paru wielkim mężom stanu odmówiono wstępu do Białego Domu, bo im się mózg pomylił z kutasem - powiedział. Pomieszało im się, czego mają używać do pieprzenia, a czego do myślenia.

- Wiem - wymamrotał David. - Ale sądziłem, że ona jest nieszkodliwa. Ładna, seksowna i bez zahamowań. Mieszka sama, pracuje w mleczarni jako dyspozytorka wozów dostawczych i nie ma rodziny.

Clete mruknął z powątpiewaniem:

- Skoro jest taka nieszkodliwa, to co cię przyniosło pod moje drzwi w środku nocy, zakrwawionego i z taką miną, jakbyś za chwilę miał wyrzygać kolację na cenny wschodni dywan mojej ukochanej, przedwcześnie zmarłej żony?

- Ja... zabiłem ją.

Clete'owi nagle zwiotczały wargi, zapalone cygaro niemal spadło mu na kolana. Wreszcie odzyskał spokój na tyle, że wstał z sofy i nalał jeszcze jeden kieliszek brandy, tym razem dla siebie. Wypił go równie łapczywie jak David swój. Zrozumiał, że jego plany wobec młodego człowieka rozplývają się niczym kostka lodu.

David Merritt tak bardzo się wyróżniał, gdy jako ochotnik pracował w czasie kampanii Armbrustera, że szybko zaproponowano mu stałą pracę. Kiedy Clete go spotkał po raz pierwszy, młody człowiek właśnie opuścił szeregi piechoty morskiej. Był zdyscyplinowany i miał intuicję. Nie wymagał specjalnego nadzoru. Wykonywał wszystkie polecenia dokładnie i skutecznie.

Gdy Clete Armbruster został senatorem, zaproponował Davidowi dołączenie do personelu swego biura w Waszyngtonie. Przez ostatnie dwa lata David dowiódł, że jest cennym nabytkiem i szybko się uczy. Clete miał wobec niego wielkie plany, odkąd spostrzegł, że młody człowiek ma wszystkie cechy polityka dużego formatu.

On sam musiał sobie dawać radę bez żadnej protekcji, nie dysponował też zbyt wielkimi środkami finansowymi. W wolnym czasie studiował prawo i procedury ustawodawcze. Miał za sobą służbę wojskową, gdzie zdobył doskonałą opinię. Był przystojny i dobrze mówił. Aż do tej nocy nie ciągnęły się za nim żadne skandale.

Potrzebował całej siły woli, aby nie podbiec do Davida i nie zatłuc go za głupotę.

- Podejrzewam, że miałeś dobry powód, żeby ją zabić - powiedział ostrym tonem.

- Przysięgam na Boga, że to był wypadek.

- Nie przysięgaj na Boga! - ryknął Clete. - Przysięgnij to mnie, chłopcze.

- Przysięgam, Clete.

Senator przez dłuższą chwilę przypatrywał się uważnie twarzy Davida. Nie dostrzegł w niej kłamstwa i obłudy. Siedział przed nim wystraszony młody człowiek.

- W porządku - mruknął. - Co się stało?

- Muszę zacząć od początku... Po tym pierwszym razie zacząłem się z nią spotykać zawsze, kiedy tu przyjeżdżaliśmy.

Clete przesunął językiem cygaro z jednego kącika ust w drugi.

- Na Boże Narodzenie?

- Tak, senatorze.

- Na Wielkanoc?

David przytaknął.

- Przecież zalecałeś się już wtedy do Vanessy! Oszukiwałeś nas oboje! - krzyknął Clete.

- To nie tak, senatorze - zaprzeczył David łamiącym się głosem. - Wie pan, co czuję do Vanessy. Kocham ją i chcę się z nią ożenić, ale...

- Ale poczułeś potrzebę wsadzenia kutasa jakiejś dziewczę z przyczepy, która się upija i pieprzy na stojaka koło piwiarni? Właśnie tak wyobrażasz sobie miłość?

Rozjuszony Clete wrócił na sofę i próbował opanować nerwy, gwałtownie zaciągając się cygarem. David rozsądnie pozwolił mu się uspokoić. W końcu senator warknął:

- Mów dalej.

- Gdy przyjechaliśmy tu ostatni raz, zadzwoniła do mnie, żebym przyszedł do niej do domu. Kiedy wszedłem... - David przerwał, otarł twarz ręką. - Nie mogłem w to uwierzyć. Miała brzuch jak beczka.

Clete dłuższą chwilę patrzył na niego bez słowa.

- Podaj mi brandy - burknął. David usłuchał, chociaż senator miał taką minę, jakby chciał go uderzyć z całej siły kryształową karafką. Clete pociągnął dwa solidne łyki. - Chcesz mi powiedzieć, że była w ciąży?

- Wtedy była. Urodziła dzieciaka kilka tygodni temu. Chłopca.

- Twojego?

- Skąd mam wiedzieć, do diabła? - zawołał David, po raz pierwszy podnosząc głos. - To możliwe, ale równie dobrze jego ojcem mógł być ktoś zupełnie inny. Ale ona twierdziła, że był mój.

- Był? Czas przeszły?

- Zaczęła się domagać, żebym przyszedł zobaczyć dziecko, upierała się, że jest moje. Bałem się, że jeśli do niej nie pójde, to zrobi coś szalonego. Dlatego poszedłem tam dziś wieczorem, żeby dać jej trochę pieniędzy. Pomyślałem, że przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić. Ale ta dziwka rzuciła mi pieniądze w

twarz i rozwrzeszczała się, że pieniądze nie uwolnią mnie od odpowiedzialności, że muszę się z nią ożenić... że nic innego jej nie zadowoli.

Każde słowo było jak kolejne uderzenie młotka wbijającego gwóźdź w trumnę politycznej przyszłości Davida Merritta. Clete zaczął się obawiać, że za chwilę sam wyrzyga kolację na cenny dywan zmarłej żony.

- Powiedziałem jej od razu, że małżeństwo nie wchodzi w rachubę - mówił dalej David. - Że jestem z kimś zaręczony, z kobietą, którą kocham...

Przerwał i spojrzał na Clete'a.

- Wiem, że formalnie jeszcze nie oświadczyłem się Vanessie. Postanowiłem tego nie robić, dopóki nie skończy szkoły, ale ona wie, jak bardzo ją kocham. Było wiadomo, że...

- Daj sobie z tym spokój - przerwał mu niegrzecznie Clete. - Co się wydarzyło, kiedy powiedziałeś tej wywłoce, że nici z małżeństwa?

- Dostała szału. - David usiadł i zakrył twarz rękami. Po chwili opuścił dłonie i splótł je między kolanami. - Chłopiec leżał w szufladzie komody. Chyba jej krzyk go wystraszył. W każdym razie rozplakał się i to właśnie ostatecznie wyprowadziło ją z równowagi. Powiedziała, że nie ma zamiaru samotnie wychowywać dzieciaka, a potem... złapała go rękami za szyjkę i zaczęła dusić. Próbowałem ją odciągnąć, ale mi się nie udało. Zadusiła go.

- Jezu Chryste! - wykrztusił Clete. - Zabiła go?

David skinął głową.

- Nie mogłem w to uwierzyć. Przed chwilą jeszcze płakał i nagle ucichł.

- Dlaczego nie wezwałeś policji?

- Nie dała mi szansy - wymamrotał. - Zaatakowała mnie, suka. Stąd mam te zadrapania. Rzuciła się na mnie jak dziki kot. Musiałem się bronić. Walczyliśmy. Straciła równo wagę i upadła na róg stołu umocowanego do ściany. Musiała pęknąć czaszka. Wszędzie jest pełno krwi. Nie żyje.

Zacisnął powieki, ale nie potrafił powstrzymać łez. Zaczął łkać. Trzęsły mu się ramiona. Płakał jak dziecko.

- Jeden błąd... Jeden błąd, a teraz wszystko, co pan dla mnie zrobił, wszystko, nad czym razem pracowaliśmy, legło w gruzach. I Vanessa. Jezu - pochlipywał. - Co Vanessa o mnie pomyśli? Jaki to będzie miało wpływ na naszą przyszłość?

Clete poświęcił zbyt dużo czasu i troski przygotowując Davida Merritta do prezydentury, by zrezygnować z tych planów z powodu dziewczyny, za którą nikt nie będzie tęsknił, i dziecka, które nie powinno było się urodzić. Musi posprzątać ten bałagan, aby ochronić swoją inwestycję.

Musi to zrobić także ze względu na Vanesę. Nie może pozwolić, aby jego ukochanej córce złamała serce informacja, że człowiek, za którego miała wyjść za mąż, zapłodnił jakąś dziwkę z przyczepy, a potem przypadkiem ją zabił.

W planach senatora Becky Sturgis i jej dziecko nie mieli żadnego znaczenia, natomiast Davida Malcomba Merritta czekała wielka przyszłość. Dlaczego jeden głupi błąd miałby zaprzepaścić jego szansę? Dlaczego nadzieje i marzenia Vanessy miały obrócić się w popiół, skoro nie ponosiła żadnej winy? Nie uczyniła nic złego, a będzie najwięcej cierpiała.

Clete za żadne skarby nie mógł do tego dopuścić.

- Dobrze, już dobrze, chłopcze, uspokój się. - Podeszedł do Davida i mocno klepnął go w plecy. - Weź prysznic. Napij się brandy. Idź spać. I nic nikomu o tym nie mów. Nigdy.

Tamten spojrział na niego z ponurą miną.

- To znaczy...

- Zajmę się tym - zapewnił go Clete.

David wstał niepewnie.

- Nie mogę pana o to prosić, senatorze. Dwie osoby nie żyją. Jak ma pan zamiar...

- Pozwól, że to ja będę się martwił szczegółami. - Clete stuknął Davida grubym palcem w pierś. - Moja robota to likwidowanie problemów. A ty masz poprawić swoje postępowanie. Rozumiesz, chłopcze?

- Tak, proszę pana.

- Nigdy więcej pieprzenia się z kim popadnie. Kiedy cię przycisnie, pójdziesz na miłe dmuchanie do profesjonalistki, a mnie prześlesz rachunek.

- Tak, proszę pana.

- Nie możemy przecież dopuścić, żeby po wybraniu cię na prezydenta wyczołgały się skądś zastępy dziwek i wytoczyły ci procesy o ojcostwo, prawda? - spytał Clete z uśmiechem.

David także uśmiechnął się nieśmiało.

- Nie, proszę pana.

- A teraz powiedz mi, gdzie stoi przyczepa tej dziewczyny.

Tamtej nocy Clete wszystkim się zajął. Nie była to łatwa sprawa, ale słowo „niemożliwe” nie istniało w słowniku senatora. W niecałe czterdzieści osiem godzin incydent z Becky Sturgis należał do przeszłości.

David nigdy nie zainteresował się, jak Clete sprawił, że zniknęły dwa ciała, a nikt nie zadawał żadnych pytań. Nigdy nie chciał wiedzieć, jak udało mu się wymazać istnienie Becky Sturgis. Zachowywał się, jakby tamto ponure wydarzenie nigdy nie miało miejsca. Clete również nigdy o nim nie wspominał. Aż do chwili, gdy kilka dni temu w Gabinetce Owalnym dał Davidowi do zrozumienia, że pamięta.

Śmierć własnego wnuka przypominała Clete'owi tamtą historię. Oba wydarzenia nie we wszystkim były podobne, ale tych podobieństw było wystarczająco wiele, by się niepokoić. Wciąż dręczyła senatora myśl: a jeśli to David Merritt, a nie matka, zabił tamto dziecko przed osiemnastu laty? Jeśli tak, może znowu zabił?

Rozdział dwudziesty drugi

Barrie nie odrywała spojrzenia od drzwi baru, niecierpliwie wyczekując przybycia senatora Armbrustera.

W okolicy, gdzie większość domów zbudowana była w stylu króla Jerzego, z czerwonej cegły i z białymi okiennicami, ten bar stanowił wyraźny dysonans. Dominował w nim błyszczący chrom i kolorowy winyl, a jego podłogę wyłożono czarnymi i białymi kafelkami. O tej porze liczba gości ograniczała się do kilkorga pracowników szpitala i pary nastolatków, którzy siorbiąc popijali mleczne koktajle i całowali się hałaśliwie.

Barrie i Gray zajmowali stolik przy szerokim oknie, z którego mieli widok na wejście do izby przyjęć. Po ataku mdłości doktor Allan zebrał siły i ruszył za smutnym orszakiem do szpitala. Nie wyszedł z niego od tamtej pory.

Gray rzadko się odzywał. Spojrzenie utkwiał w drzwiach, przez które wwieziono ciało Vanessy, ramiona oparł na jaskraworóżowym blacie stołu. Od czasu do czasu zaciskał palce w pięści, potem prostował je sztywno. Wyglądał tak, jakby znalazł się u kresu wytrzymałości.

Barrie odchrząknęła.

- Prawdopodobnie będą chcieli doprowadzić do uznania jej śmierci za samobójstwo - powiedziała cicho.
- Jeśli tylko będę mógł temu zapobiec, nie pozwolę na to. Vanessa nie zabiłaby swojego dziecka i nie odebrałaby sobie życia.

Barrie bezwiednie wyciągnęła rękę przez stół i położyła na Jego ramieniu. Zaskoczony dotknięciem, spojrzał na jej dłoń, a potem w twarz.

- Tak mi przykro, Gray - powiedziała. - Wiem, że kochałeś Vanesę. Dziecko... - zawahała się. - Było twoje, prawda?

- Jakże to ma teraz znaczenie? - burknął, zrzucając jej rękę z ramienia. - Nie żyje, tak jak ona.

Barrie dotknęła jego gwałtowna reakcja. Nawet jej ojciec, przy tych rzadkich okazjach, gdy bywał w domu, nigdy jej tak brutalnie nie odtrącił.

- Idź do diabła, Bondurant - syknęła.

Wstała od stolika. Chciała wyjść i zostawić go, niech siedzi sam i rozpacza, ł zrobiłaby to, gdyby nie czekali na senatora Armbrustera. Poszła więc do toalety. Położyła dłonie po obu stronach umywalki. Stała pochylona tak długo, aż zebrała dość odwagi, by podnieść głowę i spojrzeć sobie w oczy w lustrze. Była zła nie tyle na Graya, co na siebie samą. Jego ból był czysty, uczucia uczciwe, czego nie mogła powiedzieć o sobie. Konflikt między zawodowym zainteresowaniem a sumieniem wywoływał moralne rozterki.

Była naocznym świadkiem wydarzenia, które mogło znaleźć się na pierwszych stronach gazet i pomóc jej w zrobieniu kariery. Gdyby tylko to wykorzystała...

Jednak przedwczesną śmierć młodej kobiety trudno uznać za okazję do zrobienia kariery, zwłaszcza jeśli znało się tę kobietę osobiście. Może gdyby przestała interesować się śmiercią dziecka, nie zabito by Vanessy? Czy nie posunęła się za daleko w pogoni za bombowym materiałem? Czy nie ponosiła w pewnym sensie odpowiedzialności za przebieg wydarzeń? Może jednak los Vanessy przypieczętowano na długo przedtem, nim zaprosiła Barrie na kawę?

Najgorsze było to, że nigdy nie dowie się prawdy. Te pytania będą prześladowały ją do końca życia.

Dokładnie umyła ręce, a potem przycisnęła mokry papierowy ręcznik do twarzy. Kiedy opuszczała toaletę, zobaczyła Clete'a Armbrustera stojącego w drzwiach baru. Podeszła do niego szybko.

- Panie senatorze... - zaczęła i nagle uświadomiła sobie, że zupełnie nie jest przygotowana do tej rozmowy. Senator z pewnością nie powita serdecznie osoby przynoszącej mu wieść o śmierci jedynej córki. - Dziękuję, że pan przyjechał - powiedziała niepewnie.

- Młoda damo, musisz mieć cholernie dobry powód, żeby mnie zrywać w środku nocy - odparł, idąc za nią do stolika. - Nie byłoby mnie tutaj, gdyby... - Zatrzymał się gwałtownie na widok Graya Bonduranta.

Gray wstał.

- Dawnośmy się nie widzieli. Clete - powiedział.

Senator wyraźnie nie był zadowolony z jego obecności. Widać było, że go nie lubi, i nietrudno było odgadnąć dlaczego. Żaden ojciec nie przepada za człowiekiem, który obrzucił błotem cześć jego córki, zwłaszcza gdy ta córka jest Pierwszą Damą Stanów Zjednoczonych.

Zignorował wyciągniętą dłoń Graya i odwrócił się do Barrie.

- Czy to jest ta wielka niespodzianka, o której pani wspominała, ta „sprawa niezwyklej wagi”? - zapytał.

- Proszę usiąść, panie senatorze. Niech pan da nam szansę, a wszystko wyjaśnimy. Napije się pan kawy?

- Nie. - Usiadł po jednej stronie stolika, a Barrie i Gray zajęli ławkę naprzeciwko. Spoglądając ponuro na Graya, zauważył: - Co tutaj robisz? Znalazłeś się dość daleko od Montany.

- Mieszkam w Wyoming, nie w Montanie. I nie znalazłem się tutaj z własnego wyboru.

- Nigdy nie pomyślałbym, że zrobiłbyś coś nie z własnego wyboru.

- Jest tutaj, bo wierzy, że czyjeś życie znalazło się w niebezpieczeństwie - wtrąciła Barrie. - Tak jak ja.

Armbruster uniósł brwi z ironicznym uśmiechem.

- Doprawdy? Czyje? Sędziego Greena?

Jego żart zabolął Barrie, zachowała jednak spokój.

- Może pan nie mieć zbyt wielkiego zaufania do mnie - odparła - ale to, co mam panu do powiedzenia, to rzetelna prawda. Pan sam wyciągnie wnioski. Zgoda?

- Interesuje mnie jedynie to, co dotyczy mojej córki.

Barrie milczała przez chwilę, chcąc uporządkować myśli.

- Panie senatorze, uważam, że śmierć pańskiego wnuka nie była przypadkowa - powiedziała. - Jestem przekonana, że został zamordowany... prawdopodobnie przyduszony tak, by zatrzymać oddychanie i by śmierć uznano za spowodowaną SIDS.

Armbruster patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Co pani sugeruje, młoda damo? Czy daje mi pani do zrozumienia, że Vanessa...

- David go zabił - przerwał mu Gray, nie bawiąc się w żadne wstępy.

Senator nawet się nie poruszył, tylko jego spojrzenie przeskakiwało od Barrie do Graya. Po dłuższej chwili pochylił się nad stołem i syknął:

- Zwariowaliście?

- Nie - odparł spokojnie Gray. - David zabił dziecko Vanessy, bo nie był jego ojcem.

- To cholerne kłamstwo, kłamstwo! - zaprotestował Armbruster, ale nie podniósł głosu. - Jesteś ostatnim człowiekiem, który ma prawo oceniać moralność mojej córki, Bondurant. To oszczerstwo, sukinsynu. Powinienem cię tu na miejscu zastrzelić!

Gray zacisnął szczękę.

- David nie był ojcem dziecka Vanessy - powiedział cicho. - Nie mógł nim być. Przeszedł wazektomię. Wiele lat temu.

Barrie była równie zaskoczona tą wiadomością jak i senator. Gray mówił dalej:

- Nikt o tym nie wiedział. Clete. Nawet Vanessa. Zwłaszcza Vanessa. Od lat próbowała zajść w ciążę, gotowa zrobić wszystko, a ten drań pozwalał jej na to, wiedząc, że to niemożliwe. Z perwersyjną przyjemnością patrzył co miesiąc na jej rozpacz, gdy dostawała krwawienia menstruacyjnego.

Barrie wpatrywała się w profil Graya. Wiedziała, że ten człowiek to niezwykle złożona osobowość, ale właśnie zaczęła się zastanawiać, ile właściwie ma twarzy. Już jej się wydawało, że widziała wszystkie, gdy nagle objawiała się nowa.

- David Merritt nigdy nie poddał się wazektomii. Wiedziałbym o tym - oświadczył senator. - Kłamiesz.

- Nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz, czy nie, Clete. Mówię ci tylko, jak jest. David nie mógł zostać ojcem dziecka, ale Vanessa o tym nie wiedziała, dopóki nie zaszła w ciążę i nie poinformowała go o tym.

Clete nadal patrzył na Bonduranta z niedowierzaniem, jednak Barrie dostrzegła, że jego wrogość słabnie.

- Skąd o tym wiesz? - spytał.

- Vanessa zadzwoniła do mnie i powiedziała mi.

Informacja ta zaskoczyła Barrie. Sądziła, że od wyjazdu z Waszyngtonu Gray nie miał kontaktu z Vanessa. Senator widocznie też tak myślał, bo miał zdumioną minę.

- Zadzwoniła do mnie z płaczem - ciągnął Gray - i pytała, co ma zrobić.

- Więc dziecko było twoje - mruknął Armbruster.

- To nie należy do sprawy.

- Diabła tam nie należy!

Patrzyli na siebie bez słowa, Armbruster oskarżycielsko, a Gray buntowniczo. W końcu Gray zapytał:

- Chcesz usłyszeć resztę czy nie?

Armbruster machnął niecierpliwie ręką.

- Nie wierz temu, co zobaczyłeś w telewizji - powiedział Gray, rzucając spojrzenie w stronę Barrie. - David szalał z wściekłości, gdy żona powiedziała mu, że jest w ciąży, ponieważ to potwierdzało plotki o romansie ze mną. Wiesz, jak szybko David wybuchł z byle powodu, więc możesz sobie wyobrazić, co musiała przeżyć Vanessa. Urządzał jej piekło codziennie przez dziewięć miesięcy. Musiał oficjalnie przyłączyć się do zachwyków, ale tylko czekał na okazję do zemsty.

Senator przygarbił szerokie ramiona. Widocznie zaczął wierzyć w opowieść Graya.

Barrie przerwała pełną napięcia ciszę pytając:

- Dlaczego prezydent nie nakłonił Vanessy do aborcji?

- Też się nad tym zastanawiam - wtrącił Armbruster.

- Bo uważał, że sam zabieg nie byłby dla niej wystarczającą karą - odparł Gray. - Pozwolił jej więc donosić dziecko, urodzić i pokochać, a potem, kiedy jej czujność osłabła, wymierzył cios. Ponieważ Vanessa była świadkiem morderstwa...

Barrie zdała sobie sprawę, że Gray nie potrafi zmusić się do wyjaśnienia senatorowi prawdy. Zwróciła się do Armbrustera:

- Pani Merritt właśnie dlatego skontaktowała się ze mną. Sądzę, że próbowała zasygnalizować mi grożące jej niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo?

- Tak, ponieważ wie o zbrodni prezydenta. - Barrie spojrzała ze współczuciem na Armbrustera. - Zadzwoniłam do pana dziś w nocy, panie senatorze, bo podejrzewamy, że prezydent... uniemożliwił jej złożenie zeznań o zamordowaniu dziecka.

- Uniemożliwił? - powtórzył Armbruster. - Co to ma znaczyć?

Barrie skinęła głową w kierunku szpitala. Senator wyjrzał przez okno. W szybie odbijało się wnętrze baru i ich profile.

- Mniej więcej dwie godziny temu przywieziono ją tutaj karetką - powiedziała.

- Z domu George'a Allana?

Przytaknęła.

- Przyjechaliśmy tu za nimi - dodała.

Armbruster już nie wyglądał jak wszechwładny, arogancki mąż stanu. Był w tej chwili po prostu ojcem, który właśnie usłyszał straszne wieści o swoim jedynym dziecku. Jego twarz postarzała się nagle. Odezwał się słabym, niepewnym głosem:

- Byłem w domu George'a zaledwie kilka dni temu.

- Widziałeś Vanesę? - spytał Gray.

Senator pokręcił przecząco głową.

- Doktor powiedział mi, że Vanessa odpoczywa i nie chce, żeby jej przeszkadzano, nawet ja. Zapewnił mnie, że potrzeba jej tylko odpoczynku.

- Clete - zaczął Gray spokojnie - wiesz dobrze, że George zrobi wszystko, co mu każe David. Tak jak

tamtej nocy, gdy umarło dziecko.

- Ale Tajna Służba ma ją chronić...

- Nie ochronili twojego wnuka. Uwierz mi, David dokładnie wszystko zaplanował, prawdopodobnie przy pomocy Spencer. Vanessa przyjmuje bardzo dużo leków. Mógł to wykorzystać. Jeśli nie wytrzymała...

- Wytrzymała? - powtórzył Armbruster. - Czy chcesz mi powiedzieć, że... - Jego spojrzenie pobiegło ku Barrie.

Później Barrie nie mogła sobie przypomnieć, kiedy wyszli z baru i dotarli do izby przyjęć. Nigdzie nie było widać agentów Tajnej Służby. Pielęgniarka dyżurna w recepcji spytała ich uprzejmie, w czym może pomóc.

Senator nawet nie spojrzał w jej kierunku. Minął automatyczne drzwi, a Barrie i Gray podążyli za nim. Na końcu korytarza stał doktor George Allan. Kiedy podniósł głowę i zobaczył Armbrustera, Barrie i Graya, zbladł jak ściana.

- Senatorze, co... co pan tu robi?

- Gdzie jest moja córka? - Armbruster popatrzył na drzwi za plecami doktora. - Tam?

- Nie.

- Kłamiesz, draniu.

Senator odepchnął George'a Allana na bok, ale doktor chwycił go za rękaw.

- Proszę, nie mogę pozwolić panu tam wejść. Najpierw musi zobaczyć ją lekarz dyżurny.

Armbruster nagle jakby się zakrztusił. Gray złapał lekarza za kłapy i pchnął na ścianę.

- Ty skurwielu! Powieszają cię za to, jeśli ja nie zabiję cię pierwszy.

Na korytarzu zebrał się zaalarmowany krzykami personel szpitala, jednak nawet szef ochrony nie miał dość odwagi, by interweniować.

Armbruster otworzył drzwi, których strzegł doktor Allan, ale zatrzymał się nagle na progu, oparł o framugę i przytrzymał, by nie stracić równowagi. Przy ścianie po drugiej stronie pomieszczenia stał wózek z nieruchomym ciałem przykrytym niebieskim prześcieradłem.

- Och, Chryste - zaszlochał rozdierająco senator.

Odepchnął się od drzwi i powłócząc nogami ruszył przez wykładaną kafelkami podłogę. Barrie i Gray trzymali się tuż za jego plecami, gotowi nieść pomoc w razie potrzeby. George Allan wszedł za nimi, wciąż gwałtownie protestując.

Kiedy doszli do wózka, Armbruster stanął i bez słowa wpatrywał się w niebieskie prześcieradło. Jego wielkie ręce zwisały ciężko, nieruchomo.

- Clete? - odezwał się pytająco Gray.

Senator skinął w milczeniu głową. Gray chwycił za dwa rogi prześcieradła i szybko je odciągnął.

Gwałtownie wciągnęli powietrze, gdy spojrzeli na twarz trupa - twarz dyplomowanej pielęgniarki Jayne Gaston.

Rozdział dwudziesty trzeci

- Jayne Gaston była prywatną pielęgniarką wynajętą przez George'a Allana do opieki nad Vanessą w czasie jej pobytu w Highpoint. - Barrie leżała na plecach na połówym łóżku, na którym kiedyś sypiał Cronkite, gdy przyprawiała go do domu Daily'ego. Relacjonowała przyjacielowi wydarzenia ostatniej nocy. - Przy okazji chciałam ci podziękować, że mnie nie wyrzuciłeś za drzwi.

- Dokąd miałybyś pójść?

- Nie wiem. Jestem pariasem. Gdybym była trędowata, nie unikaliby mnie aż tak zawzięcie jak teraz. Może powinnam przywiązać sobie do szyi dzwonek, by ostrzegać ludzi, że nadchodzę.

- To wcale nie jest śmieszne - stwierdził z kwaśną miną Daily.

- Też mi się tak wydawało. - W jej głosie było słycać nie wypłakane łzy. - Ale wracajmy do zeszłej nocy. Wszystko wskazuje na to, że Jayne Gaston dostała ataku serca wczoraj po południu w domu doktora Allana w Highpoint. Próbował ją reanimować, jednak bez skutku...

Przez chwilę jedynym dźwiękiem rozlegającym się w małym, zagraconym pokoju był świszczący oddech Daily'ego, który usadowił się na końcu połówki. Barrie położyła mu na udach stopy, a on próbował je masować. Wokół nich były porozkładane zakupy, które Barrie zrobiła po zniszczeniu domu. Większość ubrań znajdowała się jeszcze w firmowych torbach.

- Skoro pielęgniarka umarła po południu, dlaczego czekali z usunięciem ciała, aż zapadnie zmrok? - spytał Daily.

- Doktor Allan musiał najpierw zorganizować przewiezienie Vanessy z powrotem do Waszyngtonu. Chciał ją uchronić przed wstrząsem, jaki mogła wywołać wiadomość o śmierci pani Gaston. Wysłano helikopter, którym miała polecieć do Białego Domu, ale zanim odleciała, dowiedziała się o pani Gaston. Była niepokieszona. Według doktora bardzo się do siebie przywiązały. Potem nie można było odnaleźć najbliższego krewnego pani Gaston, syna, a doktor nie chciał przewieźć jej ciała do szpitala przed powiadomieniem rodziny.

- To się przecież zdarza.

- Nie wtedy, gdy zmarła jest prywatną pielęgniarką Pierwszej Damy. Doktor Allan obawiał się, że wiadomość przedostanie się do prasy i telewizji, zanim skontaktują się z synem. Bardzo się nie pomylił...

- Być może - mruknął Daily. - Jednak jeśli chcesz znać moje zdanie, to kiepska wymówka.

- W każdym razie doktor zwlekał z wezwaniem karetki. Przez przypadek zauważyliśmy kolumnę samochodów na drodze. Pojechaliśmy za nimi. Kiedy zobaczyliśmy ciało... - Barrie westchnęła.

- Wyciągnęliście wnioski oparte na podejrzeniu, nie na fakcie.

- Nie wypominaj mi tego do końca życia, dobrze?

- Nie mogę uwierzyć, że wezwałaś Armbrustera.

- Armbrustera i kamerzystę z WVUE, który przyjechał dokładnie na czas. Zjawił się w kilka sekund po tym, jak moja pomyłka wyszła na jaw. Nakręcił dla potomności zdumienie moje i Graya, Armbrustera, który niemal padł trupem na miejscu, i pojawienie się Ralpha Gastona juniora, syna zmarłej. Gaston nie tylko musiał poradzić sobie ze śmiercią matki, ale i z konsekwencjami mojej klęski. Jakiś sadysta z personelu szpitala powiadomił lokalną prasę, która z kolei... Dalszy ciąg znasz. Znaleźliśmy się na pierwszych stronach. Dzięki Bogu cała sprawa została zamknięta, zanim dojechali reporterzy z innych sieci. Uciekłam z jedyną kasetą, na której zarejestrowano przebieg wydarzeń.

Przerwała, otarła oczy i wydmuchała nos. Chciało jej się płakać, kiedy słuchała wymówek rozwścieczonego Armbrustera. Nic go nie obchodziło, że ktoś może ich usłyszeć, krzyczał, że się cholernie wygłupiła, a co gorsza również z niego zrobiła głupca. Powinno się ją poćwiartować za straszenie ludzi w ten sposób. Ostrzegł ją, że słono zapłaci za swoje niewybaczalne i nieprofesjonalne zachowanie. Barrie nie miała wątpliwości, że nie żartuje, i wzięła sobie do serca jego ostrzeżenie.

Jego groźby zawisły nad nią niczym ostrze gilotyny. Wiedziała, że jej los jest przesądzony - była to tylko kwestia czasu.

- Boże, Daily - jęknęła, zasłaniając oczy ramieniem - jak mogłam się tak strasznie pomylić? Wszystko wskazywało na to, że mam rację... Ale może w moim rozumowaniu tkwił gdzieś błąd, jakaś nielogiczność, której nie spostrzegłam?

- Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby zawinił tu brak logiki - powiedział ze współczuciem. - Jeśli przyjrzeć się dokładniej historii ludzkości, to trudno byłoby znaleźć choćby jeden wielki umysł, który nigdy się nie potknął.

- Przestań podnosić mnie na duchu. Zasłużyłam sobie na karę, jaka mnie spotkała.

- Wszystko ślicznie spięprzyłaś - mruknął, masując jej śródstopie. - To prawda. Chyba ta wpadka jest jeszcze gorsza od historii z sędzią Greenem.

- Nie mogłam w to uwierzyć - powiedziała, zniżając głos do szeptu. - Kiedy Gray odciągnął prześcieradło, spodziewałam się zobaczyć cudowne kasztanowate włosy Vanessy... Ale tam leżał ktoś obcy. Wszyscy osłupieliliśmy. Armbruster oczywiście wybuchł jak wulkan. A Gray...

- Co Gray? - ponaglił ją Daily.

- Zniknął ze sceny niczym magik.

Choć wszystko to mogło mieć bardzo przykre konsekwencje dla Barrie, najtrudniej przyszło jej się pogodzić ze zniknięciem Graya. Z rezygnacją oczekiwała zemsty Armbrustera. Senator zrobi wszystko, by solidnie zapłaciła za każdą minutę, podczas której wierzył, że jego córka nie żyje. Barrie przez wiele lat będzie obiektem żartów korpusu prasowego w Waszyngtonie. W jednej chwili zniknęła odrobina wiarygodności odzyskana po wpadce z sędzią Greenem.

Nawet gdyby nie zawiadomiła o wydarzeniach własnej stacji, informacje szybko by się rozeszły. Pennsylvania Avenue jest taka sama jak każda główna ulica w małym amerykańskim miasteczku. Plotki i złe wieści przekazywane są tu z prędkością światła. Nigdy nie dałoby się ukryć klęski z udziałem tak

znanych osobistości.

Wiedziała, że musi przygotować się na drwiny i szyderstwa. Będzie bolało. Jednak nie tak bardzo jak dezercja Graya.

Kiedy oderwała wzrok od naznaczonych śmiercią rysów Jayne Gaston, spojrzała na niego. Jego twarz w swym bezruchu przypominała śmiertelną maskę. Bardziej przejęła się reakcją Graya niż wybuchem senatora Armbrustera. Ale jego tyrada odwróciła jej uwagę, a gdy skończył obrzucać ją obelgami, Gray wyparował.

- Szukałam go w szpitalu, potem na parkingu - powiedziała Daily'emu. - Nikt go nie pamiętał ani nie widział, jak wychodził. Mój samochód stał w tym samym miejscu, gdzie go zostawiliśmy, więc nie wiem, z jakiego środka transportu skorzystał. Po prostu zniknął.

Szarpnęła naderwaną skórę przy paznokciu.

- Prawdopodobnie poczuł się upokorzony, że przy całym swoim doświadczeniu dał się przekonać takiej idiotce jak ja.

- Proszę... - jęknął Daily. - Litowanie się nad sobą przyprawia mnie o mdłości.

- Nie lituję się, ale...

- Nie musiałaś wcale przekonywać Bonduranta. Pochlebiasz sobie, jeśli sądzisz, że mogłoby ci się to udać. Pamiętasz? Potwierdziłaś tylko jego podejrzenia.

- Jednak Spencera Martina zabił właśnie dlatego, że mi uwierzył.

- Zrobił to w samoobronie.

- Czy jesteś tego pewien?

- Jasne.

- No dobrze, ale skoro Merritt nie miał nic do ukrycia, to po co wysyłał Spencera Martina do Wyoming, żeby się pozbył Bonduranta? Ponieważ opowiedziałam mu swoją wariacką teorię, Gray musiał źle zrozumieć powód odwiedzin doradcy prezydenta. Być może zbieżność dwóch wizyt w czasie była przypadkowa. Jednak Merritt nie dopuści, aby jego najbliższy współpracownik zniknął bez śledztwa i dokładnych poszukiwań. Oskarżą Graya o morderstwo.

- Na pewno zatarł ślady Martina i pozbył się ciała tak dobrze, że nigdy go nie znajdą - mruknął Daily. - Nie ma ciała, nie ma zbrodni.

- To dla niego drobiazg, co?

- Nie wydawał się szczególnie zmartwiony.

- Nie, bardziej przejmował się Vanessą. Kiedy myślał, że nie żyje, sam wyglądał jak trup.

Gray Bondurant kochał Yanessę Merritt. Nie pożądał, ale kochał. Kochał ją tak bardzo, że poświęcił dla niej karierę. Zrezygnował, aby ją ochronić przed złymi językami. Kochał tak bardzo, że zaniechał wszelkich roszczeń do syna. Jak bardzo musiało go boleć, że nie mógł być przy narodzinach dziecka. A potem samotnie opłakiwał jego śmierć na wygnaniu.

Barrie nigdy nie zaznała takiej miłości. Złościła ją, że takie oddanie zostało zmarnowane na kobietę tak płytką i egoistyczną jak Vanessa Armbruster Merritt. Ta kobieta była chora, to prawda. Jednak czy to wystarczyło jako usprawiedliwienie jej intryg? Po co wmieszała ją w tę sprawę? Dlaczego zarzuciła przynętę?

- Niezły z niego kawał chłopca - zauważył Daily.

- Hmm... Co? Kto? Bondurant? - Barrie szybko zabrała nogi z kolan Daily'ego i usiadła. - Sama nie wiem.

- Wy dwoje nie... - Daily uniósł brwi.

- Oczywiście, że nie.

- Ale pewnie miałabyś ochotę.

- Daj spokój. Nasz pan Bondurant ma kilka sympatycznych cech, jednak daleko mu do mojego ideału mężczyzny. Zabił przyjaciela, jak twierdzi, w obronie własnej, ale mamy na to tylko jego słowo. Przyczepił się do kobiety, której nigdy nie mógł mieć, a potem zaszył się w głuszy. A jeśli chodzi o mnie, to od początku uważał, że jestem głupia i przynoszę pecha. W każdym razie cała ta dyskusja nie ma sensu, ponieważ on mnie nie interesuje, a poza tym zniknął. W porządku?

- Ile czasu upłynęło od poznania do wylądowania wspólnie w łóżku?

- Około dziewięćdziesięciu sekund.

- Chryste, Barrie.

- Tak. Prawdziwie profesjonalne podejście, pod warunkiem że jest się dziwką. - Westchnęła. - Skoro moja kariera dziennikarki już się skończyła, może powinnam zastanowić się nad dostarczaniem innym przyjemności.

- Ty, dziwką? - zachichotał Daily. - Chciałbym to zobaczyć.

- Za patrzanie policzę ekstra. - Przerzuciła nogi przez brzeg łóżka. - Tę rozmowę zaczęłam z nadzieją poprawienia sobie nastroju, ale czuję się jeszcze bardziej przygnębiona. Wezmę prysznic.

- Prysznic cię nie wyleczy.

- Trudno, i tak wezmę prysznic. - Sięgnęła do torby po nowy komplet bielizny i oderwała metki. - Gdyby jedno moje życzenie mogło się spełnić, Daily, chciałabym cofnąć czas do dnia, w którym Vanessa Merritt zadzwoniła do mnie z zaproszeniem na kawę. Odmówiłabym.

- Czy to znaczy, że wycofujesz się ze wszystkiego? Uważasz, że dziecko Merrittów zmarło na SIDS, a reszta była jedynie wytworem twojej bujnej wyobraźni?

Spojrzała na niego ostro.

- A ty tak nie uważasz?

- Wyglądasz wspaniale! - Senator Armbruster zgniótł córkę w niedźwiedzim uścisku. - Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak się cieszę, że cię widzę.

- Ja też się cieszę, tato. - Uścisnęła go również, ale wyczuła jej zdenerwowanie i puścił ją szybko. Vanessa uśmiechnęła się blado i dodała: - Widziałam się dzisiaj w lustrze. Chyba nie użyłabym słowa „wspaniale”.

- Dopiero wstałaś po kilku tygodniach spędzonych w łóżku. Czego się spodziewałaś? Niedługo odzyskasz kolory na policzkach.

- Uważam, że wygląda bardzo dobrze - wtrącił David Merritt, smarując masłem jagodziankę.

We trójkę jedli śniadanie w apartamencie Vanessy. Zdaniem Clete'a jego córka piła zbyt dużo kawy - właśnie kończyła drugą filiżankę.

- Może powinnaś spędzić kilka tygodni w domu - zaproponował. - Poleżałabyś w słońcu, spała do późna, jadła tuczące dania południowej kuchni. Co o tym sądzisz, Davidzie? Powinniśmy ją wysłać do Missisipi?

- Dopiero mam ją z powrotem. Clete - odparł Merritt z szerokim uśmiechem. - Byłoby mi przykro, gdyby od razu wyjechała. Poza tym zdecydowanie lepiej się czuje. George zdziałał cuda.

Senator nie podzielał opinii swego zięcia o doktorze Allanie.

- Przedwczoraj w nocy tak wyglądał, jakby miał się za chwilę przewrócić.

Vanessa siedziała przy toalecie, przymierzając kolczyki.

- Co powinnam założyć? - spytała, odwracając się do nich i trzymając przy uszach kolczyki od dwóch różnych par. - Chyba perły będą najlepsze, prawda, tato?

- Perły pasują.

- Należały do mamy.

- Tak, wiem.

- W przedmaturalnej klasie pozwoliłeś mi je założyć na zabawę, pamiętasz? Zgubiłam jedną i było ci przykro. Następnego dnia poszłam do sali gimnastycznej i szukałam tak długo, aż znalazłam. Miałam na tej zabawie różową sukienkę. Nie podobała ci się, bo uważałeś, że krawcowa za bardzo ją skróciła. Umówiłam się wtedy z tym chłopakiem Smithów, który poszedł do Princeton, a potem zrezygnował. Zapomniałam, co się z nim później stało.

Zanim postawiono diagnozę, że Vanessa cierpi na psychozę maniakalno- depresyjną, Clete'a przygnębiały i zaskakiwały gwałtowne zmiany jej nastroju. Często popadała w głęboką depresję, bywała rozdrażniona lub zniecierpliwiona, jednak rzadko kiedy widział, żeby nie potrafiła usiedzieć w miejscu jak dziś. Albo zaczynała się u niej faza maniakalna, albo podano jej za dużo środków przeciwdepresyjnych. W każdym razie jej stan nie został ustabilizowany, a więc nie osiągnięto celu leczenia.

David również zauważył podekscytowanie Vanessy, ale starał się je ignorować.

- George nie był przedwczoraj w najlepszej formie, Clete - powiedział. - Czy można mieć o to do niego pretensję? Najpierw umarła przy nim pielęgniarka, a potem nie mógł znaleźć jej najbliższego krewnego. Na domiar złego zjawiała się w szpitalu ta Barrie Travis z tobą i Grayem za plecami. Wywołała piekielne zamieszanie, bez którego moglibyśmy się doskonale obejść. - Chichocząc, pokręcił głową. - Powiedz mi, czy ona naprawdę wierzyła, że tam leżą zwłoki Vanessy?

- Natarłem tej babie uszu - warknął Clete, dziobiąc powietrze krótkim palcem. - I jeszcze z nią nie skończyłem, daję słowo.

- Przestańcie już o tym mówić - zażądała Vanessa, wstając sprzed lustra. - Spójrz na moje ręce, Davidzie: mam gęsią skórę. To okropne usłyszeć plotki na temat własnej śmierci.

- Nigdy nie wybaczę tej kobiecie tego, co przez nią przeżyłem - oświadczył Clete. - Znałem paru nieodpowiedzialnych reporterów, ale ona wszystkich bije na głowę. Skąd do diabła jej to przyszło do głowy? Jaka jest twoja wersja tej historii, kochanie?

- Jakiej historii? Och, chodzi ci o wydarzenia w Highpoint? Pamiętam wszystko jak przez mgłę. Nawet nie przypominam sobie wyjazdu. Kiedy się obudziłam, leżałam w swoim łóżku, a George zapewniał mnie, że już wkrótce poczuję się lepiej.

- Na pewno. - David podszedł do niej, wziął ją za rękę i pocałował w policzek. Clete spostrzegł, że Vanessa szybko się odsunęła od męża.

- George mówił mi, że pielęgniarka dostała ataku serca. Zrobiło mi się jej żal, chociaż nigdy jej nie widziałam. - Szarpnęła ciężką bransoletkę na szczupłym przegubie. - Denerwuje mnie to.

- Jak to? Nigdy nie widziałaś pani Gaston? - spytał Clete.

- Tak jak powiedziałam, tato. Przypominam sobie jej głos, ale w ogóle nie pamiętam, jak wyglądała. Chyba to zdejmę. - Zsunęła bransoletkę z ręki i upuściła z cichym grzechotem na stolik.

- George Allan dał mi do zrozumienia, że bardzo się ze sobą zaprzyjaźniłyście - powiedział Clete.

- Tak było - potwierdził David. - Po prostu nie pamiętasz, kochanie.

- Nigdy jej nie widziałam, Davidzie - z uporem powtórzyła Vanessa. - Chyba powinnam wiedzieć, widziałam czy nie widziałam. Nie widziałam. Dlaczego zawsze mnie poprawiasz? Zawsze to robisz, a ja tego nie znoszę. Przez ciebie czuję się głupia.

- Nie jesteś głupia.

- Ale traktujesz mnie, jakbym była głupia.

- Brałaś leki, kochanie - powiedział z naciskiem David. - Bardzo się przywiązałaś do pani Gaston, ale nic nie pamiętasz, bo brałaś leki uspokajające.

- Dobrze, już dobrze, wszystko jedno. - Machnęła ręką. - Chryste, nie mogę uwierzyć, że umarła tuż przy moim łóżku. Robi mi się niedobrze. - Założyła bransoletkę z powrotem i poruszyła ręką. - Uwielbiam ją nosić. Lubię pobrzękiwanie tych amuletów. Dzwonią jak dzwoneczki na Boże Narodzenie.

- Ani się obejrzymy, jak będzie Boże Narodzenie - powiedział David z uśmiechem. - Potem usłyszymy dzwony na Nowy Rok. Rok wyborów. Zapomnijmy o Barrie Travis, pielęgniarce i innych smutnych wydarzeniach tego roku i skupmy się na przyszłym. - Energicznie zatarł ręce. - Musimy przygotować plan kampanii.

- Nie chcę jeszcze o tym myśleć.

Clete rozumiał niechęć córki.

- Zgadzam się z Vanessą, Davidzie. Chyba za bardzo ją naciskasz. Pozwólmy jej najpierw wydobrzeć. Na planowanie kampanii będzie jeszcze mnóstwo czasu.

- Na planowanie nigdy nie jest za wcześnie.

Vanessa załamała ręce.

- Sama myśl o tym... Posłuchaj, Davidzie, dawno już się tak dobrze nie czułam, ale chyba nie jestem na tyle zdrowa, żeby pójść na dzisiejszą konferencję prasową.

Clete ze zdumieniem dowiedział się, że na jedenastą rano wyznaczono konferencję prasową w Sali Wschodniej. Vanessa miała wziąć w niej udział. Do Białego Domu wezwano kosmetyczkę i fryzjera. Dokonali cudów z włosami Vanessy i jej makijażem, ale nawet ich kunszt nie mógł ukryć ciemnych kręgów pod oczami i wychudzenia twarzy.

- Dlaczego muszę tam iść? - spytała niespokojnie.

- To potrwa tylko kilka minut - odparł David.

- To nie jest odpowiedź - stwierdził Clete. - Dlaczego jej obecność jest konieczna?

David odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

- Bo to Vanessa wciągnęła Barrie Travis do naszego życia. Właśnie dlatego. Właśnie wtedy to wszystko się zaczęło. Rozeszło się mnóstwo plotek. Tylko w ten sposób możemy je uciszyć. Musimy opowiedzieć o śmierci pani Gaston i dokładnie wyjaśnić, co się wydarzyło. Poza tym ludzie tęsknią za swoją Pierwszą Damą. Dostałaś tysiące kartek i listów z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Nie można ich zostawić bez odpowiedzi, Vanesso.

- Oczywiście, że za nie podziękuję. Natychmiast każę się do tego zabrać personelowi mojego biura. Ale czy nie moglibyśmy przełożyć tej konferencji prasowej choćby o kilka dni?

- Termin już wyznaczono - uciał David. - Dalton by się wściekł. Poza tym, gdybyśmy teraz odwołali konferencję, zaczęłyby się domysły, czemu siedziałas w Highpoint pod opieką prywatnej pielęgniarki. Nie mogę sobie pozwolić na negatywne komentarze prasowe. Czy nie naraziłaś mnie już na zbyt wiele?

- Davidzie! - wykrzyknął Clete. - Na miłość boską!

David westchnął.

- Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić. Nie chciałem. - Podeszedł do żony. Tym razem położył jej ręce na ramionach. Clete był gotów przysiąc, że Vanessa się wzdrygnęła. - Wszyscy żyliśmy ostatnio w okropnym napięciu, ale ty w najgorszym - powiedział łagodnie. - Nie idź na tę konferencję prasową, jeśli nie chcesz. Nie jest aż taka ważna. Nie powinienem był nalegać, skoro nie czujesz się na siłach.

Vanessa spojrzała szybko na ojca. Clete dostrzegł w jej oczach przerażenie i bezradność.

- Nie, Davidzie, pójdę - powiedziała. - To mój obowiązek Pierwszej Damy.

Merritt zacisnął ręce na jej ramionach.

- Moja kochana dziewczynka. Nie wyznaczałbym na dziś konferencji, gdybym sądził, że to ci w jakiś sposób zaszkodzi, ale George zapewniał mnie, że masz dość siły. Nawet mi powiedział, że jeśli się czymś zajmiesz, to od razu poczujesz się lepiej.

- Co będę musiała zrobić?

- Nic. Dalton wygłosi krótkie pożegnanie pani Gaston. Powie, że ty je napisałaś. Będziesz musiała tylko tam stać i ładnie wyglądać. Dasz sobie z tym radę, prawda?

- Oczywiście, że da sobie radę - wtrącił senator. - O której musi być na dole?

- Tuż przed jedenastą. Gdybyś mógł przy niej zostać, Clete... Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. - Mówiąc to, David wyszedł z pokoju.

- Powinnaś coś zjeść, Vanesso.

- Nie jestem głodna. Wypiłam trochę soku pomarańczowego. - Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. - Tato, nie chciałam o tym rozmawiać przy Davidzie, ale czy dobrze słyszałam, że wspominał coś o Grayu?

- Niestety - mruknął. Postanowił wcześniej, że nic jej nie powie o powrocie Bonduranta na scenę, i był bardzo niezadowolony, że David o tym napomknął. - Miałem nadzieję, że już go nie zobaczymy.

- Jest w Waszyngtonie?

- Był. W tej chwili prawdopodobnie podkulił ogon pod siebie i uciekł chyłkiem do Wyoming.

- Zawsze go nienawidziłeś. Nie powinieneś. Był dla mnie miły. Chciałabym go zobaczyć.

- Nie kłóćmy się o niego, Vanesso.

- Co tu robił? Dlaczego wrócił?

- To długa historia.

- Chciałabym ją usłyszeć.

- Może poczekać na inną okazję.

- Chcę usłyszeć o Grayu - zażądała piskliwym głosem.

Z takim trudem panowała nad sobą, że Clete musiał jej ulec.

- Nie wiem, dlaczego wrócił - skłamał. - Wiem tylko, że towarzyszyła mu Barrie Travis. Nie potrafiłbym wymyślić bardziej niebezpiecznego połączenia. Ale z drugiej strony naprawdę do siebie pasują.

- Jak Gray się z nią związał?

- Kto wie? Zresztą co to za różnica? Brakuje jej etyki tak jak i jemu. Bondurant jest... Ale po co o tym mówić, Vanesso? Wiesz, że nie mam o nim zbyt dobrego mniemania.

- Nie jest taki, jak myślisz, tato. On...

Clete położył jej palec na wargach.

- Nie chcę nic wiedzieć, córeczko.
- Ale musisz wiedzieć. Muszę ci o tym powiedzieć. - Piękną twarz Vanessy wykrzywił grymas bólu, a w jej błękitnych oczach pojawił się wyraz zagubienia.
- Nie teraz - szepnął Clete. - Później.
- Wszystko tak się poplątało. David tylko udaje, że jestem zdrowa, ale nie jestem. Wiesz o tym, prawda? Ja... rozpadam się od środka. Czuję to.
- Szszsz - uciszył ją, przytulając mocno do siebie. Przycisnął jej twarz do klapy swojej marynarki, pochylił głowę i przysunął wargi blisko jej ucha. - Posłuchaj mnie, Vanesso - wyszeptał. - Zawsze wiedziałaś, że możesz na mnie liczyć, prawda? Nadal tak jest. Musisz mi zaufać. Zajmę się tym. Wszystkim. Obiecuję. Dobrze?
- Odsunęła się od niego. Zajrzał jej głęboko w oczy z nadzieją, że jego słowa dotarły do jej otumanionej lekami głowy. W końcu skinęła głową.
- Wspaniale. A teraz idź przypudrować noskę - powiedział wesołym tonem. - Pierwsza Dama Stanów Zjednoczonych nie może się pokazać w telewizji z błyszczącym kinolem!
- Ruszyła w stronę łazienki, ale przed drzwiami odwróciła się do ojca.
- Czy Spence będzie na konferencji?
- Tak sędzę. Dlaczego pytasz?
- Bez specjalnego powodu. Nie widziałam go od powrotu, to wszystko. Senator ściągnął krzaczaste brwi.
- A wiesz, że ja go również już od dłuższego czasu nie widziałem...

Rozdział dwudziesty czwarty

- Jesteś sucha jak pieprz.

David pchał i szturchał, ale chociaż było to nieprzyjemne, Vanessa nie protestowała. Czerpała z tych daremnych prób mściwą satysfakcję.

- Moje soki wyschły, Davidzie. Wsuszyłeś je.

- Nie, zużyłaś je do smarowania Bonduranta.

Wcisnął rękę pod siebie, rozsunął delikatne fałdy skóry i z całej siły wbił się w nią. Zagryzła wargi, powstrzymując krzyk. Nie chciała, by się zorientował, że zadał jej ból. Ta parodia małżeńskiego zbliżenia nie miała nic wspólnego z seksem. Była to walka o dominację. David chciał jej w ten sposób uświadomić swoją władzę, swoją przewagę nad nią.

Jego obelgi straciły wcześniejszą moc. Częste powtarzanie osłabiło ich działanie. Po kolejnej zdyszanej litanii wulgarnych słów osiągnął szczyt. Zsunął się z niej z uśmiechem triumfu.

- Zanim sobie pogratulujesz, Davidzie, przypomnę ci, że nie ma w tobie życia. - Wyciągnęła chusteczkę jednorazową z pudełka stojącego na nocnym stoliku i wytarła spernę z wnętrza ud. - Jesteś bezpłodny, pamiętasz?

- Zamknij się.

- Nawet gdybym wcześniej wiedziała o twojej wazektomii, i tak prawdopodobnie wzięłabym sobie kochanka, żeby sprawdzić, jak wygląda uprawianie miłości z mężczyzną, który może dać życie.

- Jeśli to powtórzysz, to ja...

- Co wtedy zrobisz, Davidzie?

- Nie sądzę, żebyś chciała to wiedzieć.

- Grozisz mi? Chcesz grózb? Dobrze. Pamiętasz noc, kiedy umarł Robert Rushton?

- Po co to bez przerwy wyciągasz, Vanesso? Byłoby lepiej, gdybyśmy zagrzebali to w pamięci.

Usiadła na brzegu łóżka i spojrzała mu w twarz. Była naga. Fizyczne skutki jej ostatnich przeżyć były wyraźnie widoczne: kości miednicy wystawały groteskowo nad zapadłym brzuchem, a skóra utraciła elastyczność i zwisała luźnymi fałdami tam, gdzie jeszcze niedawno były napięte mięśnie.

Przedtem takie zmiany w figurze wyprowadziłyby ją z równowagi, teraz jednak nie obchodziło jej nic poza gorącą nienawiścią do mężczyzny leżącego na wznak na łóżku.

Kiedy przewożono ją z Highpoint do Waszyngtonu, była półprzytomna. Rano czuła się napięta jak struna. Manipulacja dawkami leków. Oto, co robił dla Davida George. Ile jeszcze wytrzyma jej organizm?

Mogła teraz dokładniej ocenić swoją sytuację i wcale nie była pewna, czy woli tę jasność umysłu. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że właśnie śmierć siostry Gaston powstrzymała plany Davida co do jej osoby.

Przetrwiała konferencję prasową jak wytrawny polityk. Stała między mężem a ojcem, oświetlona blaskiem reflektorów, wpatrzona w kamery i mikrofony, które stanowiły część jej życia od niepamiętnych czasów, i zastanawiała się, czy ktokolwiek patrząc na nią dostrzeżeł przepelniający ją strach. Czy ktoś zauważył jej biżuterię, czy spostrzegł brak pewnej ozdoby, którą zawsze nosiła?

David niczego nie zauważył. Ośmielona tym małym sukcesem powiedziała do niego:

- Wydaje ci się, że jesteś taki sprytny, bo wszystkim wmówiłeś, iż mały Robert umarł na SIDS.
- Chyba tak jest lepiej. Jesteś przecież Pierwszą Damą. Co by się z tobą stało, gdyby świat poznał prawdę?

- Wcale nie myślisz o tym, co by się stało ze mną - odparła z pogardą. - Myślisz tylko o tym, co by się stało z tobą. I żebyś miał absolutną, cholerną pewność, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw, doktor Allan miał mnie zabić lekami, tak?

- Cierpisz na urojenia, Vanesso.

- Nie, właśnie teraz widzę wszystko z przerażającą jasnością. - Zaśmiała się niewesoło. - Nie udało ci się, Davidzie. Wciąż tu jestem. Być może słabsza, ale gotowa uczynić z twojego życia prawdziwe piekło, tak jak ty to zrobiłeś z moim.

- Tak, każdy widzi, że żyjesz w piekle. - Usiadł i rozejrzał się po luksusowym otoczeniu. - Mieszkasz w najważniejszym domu w kraju. Poślubiłaś najważniejszego mężczyznę na świecie. Otacza cię tyłu ludzi gotowych spełnić każdą twoją zachciankę, że straciłaś już pewnie rachubę. Nawet nie znasz nazwisk osób, dzięki którym twoje życie jest takie wygodne i beztrudne. Projektanci ubrań ustawiają się w kolejce, błagając o pozwolenie uszycia dla ciebie stroju. Podróżujesz odrzutowcem Air Force One i możesz pływać na kilku jachtach. Na twoje skinienie czeka armada limuzyn z szoferami. Cały naród cię uwielbia. - Wyciągnął rękę i pogładził ją po udzie. - Nic dziwnego, że jesteś przygnębiona, Vanesso.

Odepchnęła go.

- Dlaczego dawno temu po prostu mnie nie odrzuciłeś, Davidzie? Kiedy byłam młoda i beznadziejnie zakochana, dlaczego wtedy nie zniszczyłeś mojej miłości i nie skończyłeś wszystkiego?

- Ponieważ sprawiała mi przyjemność świadomość, że jestem potworem w twoim bajkowym życiu. Wydaje ci się, że jesteś nieszczęśliwa, Vanesso, ale tak naprawdę to nie wiesz, czym jest nieszczęście. Nieszczęście to bieda i niemożność zmiany sytuacji. Nieszczęście to mieszkanie pod dachem z dwojgiem śmierdzących pijaków, którzy nie ukrywają swej pogardy do ciebie i lubią cię kopać tylko dla rozrywki. Wzrastałaś w bogactwie. Każdą cholerną rzecz, jakiej zapragnęłaś, podawano ci na srebrnej tacy. Nigdy nie musiałaś prosić ani oszczędzać, ani choćby marzyć o czymkolwiek w całym swoim zabranym życiu.

- Czy właśnie za to mnie karzesz? - zapytała z niedowierzaniem. - Bo jako dziecko miałam więcej od ciebie?

- Nie - odparł obojętnie. - Karzę cię, ponieważ rozłożyłaś nogi dla mężczyzny, któremu ufałem i którego uważałem za przyjaciela. A to - powiedział, z pogardą wskazując jej uda - spowodowało, że mnie zdradził.

- Ty pierwszy mnie zdradziłeś! - zawołała. - Zdradzałeś mnie z dziesiątkami kobiet. Może setkami. Bóg jeden wie z iloma. - Z gniewu i rozpaczycy zacisnęła dłonie w pięści. - Uwielbiałam cię, Davidzie. Miałam szesnaście lat, gdy wziąłeś udział w kampanii taty. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie będę dorosła i będę mogła wyjść za ciebie za męża. Zawsze cię kochałam. Jedynym powodem złamania przysięgi małżeńskiej była zazdrość. Pomimo innych kobiet chciałam, by nasze małżeństwo nadal trwało. Nawet wtedy, gdy dowiedziałam się o wazektomii i uświadomiłam sobie, że dziecko nie jest twoje, byłam gotowa zacząć wszystko od nowa. Pragnęłam, byśmy znowu się kochali.

David zaczął się śmiać.

- Vanesso, nigdy cię nie kochałem. Czy naprawdę sądzisz, że gdybyś nie nazywała się Armbruster, przykułbym się na całe życie do takiej głupiej, chorej suki jak ty?

Wciągnęła szybko powietrze i wydała z siebie urwany szloch. Widziała jego zimną, zacieklą bezwzględność i zastanawiała się, jak to się stało, że go pokochała. Miał zadziwiający talent oczarowywania ludzi - oczarował ją, jej ojca, cały naród.

- Jesteś wcielonym złem - powiedziała.

- Ty za to jesteś obłąkana. Każdy, kto cię zna, wie o tym. - Odsunął ją na bok, wstał z łóżka i sięgnął po szlafrok.

Vanessa uchwyciła się oparcia krzesła.

- Nie jestem aż taka głupia, jak ci się zdaje. Nie pozwolę, by próba zamordowania mnie uszła ci na sucho.

- Ostrożnie, Vanesso - syknął. - Grożenie prezydentowi Stanów Zjednoczonych to poważne przestępstwo.

- Nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie. Zniszczę cię.

- Czyżby?

Kiedy ruszył w jej kierunku, z trudem opanowała chęć ucieczki.

Z całej siły uderzył ją wierzchem dłoni w twarz.

Upadła na ścianę, trzymając się za policzek. Wydawało jej się, że kość rozpada się pod skórą.

- Nigdy mi więcej nie groź, Vanesso. Nic nie zrobisz. Będziesz nadal nudnym, posłusznym zerem, jakim zawsze byłeś, najpierw dla swojego ojca, potem dla mnie. A skoro już mówimy o twoim ojcu, to nie wyobrażaj sobie, że możesz mnie pograżyć, nie pograżając jego. Brał udział w każdym podejrzanym interesie w Waszyngtonie od czasów administracji Johnsona. Nie zniszczysz mnie, nie likwidując jednocześnie swojego ukochanego tatusia. Możesz więc zadzwonić do wszystkich cholernych reporterów, do jakich chcesz, i rzucać aluzje o draniu w Białym Domu, ale wtedy przygotuj się na oglądanie końca senatora Clete'a Armbrustera.

Podszedł do drzwi i stamtąd zadał ostatni cios:

- Kiedyś byłeś ładnym kawałkiem dupy. Teraz już nawet to ci nie zostało.

Przemierzył szybko korytarz, kierując się do własnej sypialni. Po drodze kiwnął głową agentom Tajnej Służby, którzy życzyli mu dobrej nocy. Nawet gdyby nie wygrał tej rundy z Vanessą, i tak by wyszedł zły. Nadal nie rozwiązał problemu, co z nią zrobić.

Niech to wszystko szlag trafi!

W sypialni zastał rozesełane łóżko. Światło lampki na nocnym stoliku było przygaszone, dając poczucie przytulności i zachęcając do snu. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wezwać regularnie ostatnio odwiedzającej go seksownej dziennikarki, która w swoim życiu zawodowym zaciekle broniła niezależności kobiet, ale w łóżku była całkiem uległa. Uważała przemycanie się ukradkiem do Białego Domu za niezły środek podniecający. Jednak skomlenie Vanessy zupełnie wypaliło w nim pożądanie, dając mu jeszcze jeden powód do gniewu.

Nalał sobie trochę whisky i zaniósł do łazienki. Umył zęby, wypłukał i wypłuł wodę do umywalki. Kiedy sięgnął po szklankę whisky, dostrzegł w lustrze za plecami jakiś ruch.

Gdy odwrócił się gwałtownie, szklanka wysunęła mu się z dłoni i roztrzaskała na podłodze. Chwyił się za pierś i oparł o umywalkę.

- Panie prezydencie, ma pan taką minę, jakby zobaczył pan ducha.

- Jezu. - David opadł na szafkę. Drżał na całym ciele. - Myślałem, że nie żyjesz.

Spencer Martin oparł się niedbale o framugę. Mimo nonszalancji nie wyglądał najlepiej. W nowym ubraniu, ale nie ogolony, sprawiał wrażenie, jakby nie kąpał się ani nie mył głowy od tygodni.

David otrząsnął się z szoku i spytał:

- Gdzie do diabła byłeś? Paskudnie wyglądasz. I cuchniesz.

- Zanim uciekłem, przez kilka dni leżałem we własnych odchodach.

- Skąd uciekłeś?

- Z piwnicy pod stodołą naszego przyjaciela, Graya Bonduranta. - Spence uśmiechnął się szyderczo. - Czy możesz w to uwierzyć? Ten sukinsyn strzelił do mnie.

David wysłuchał jego szczegółowej opowieści o przebiegu wizyty u Bonduranta.

- Przyznał, że Barrie Travis go odwiedziła, ale widocznie pilnował mnie od początku. Strzelił, zanim zdążyłem wycelować. - Spence ściągnął wargi w cienką kreskę. - Jeszcze pożałuje, że mnie wówczas nie zabił. Taki z niego harcerzyk, że celował tak, by nie zabić.

- Co potem zrobił?

- Opatrzył mi ranę, rozebrał do naga, związał jak indyka na Święto Dziękczynienia i wrzucił do piwnicy. Miałem związane ręce, ale ustami mogłem dosięgnąć wody i jedzenia. Gdybym wydzielał sobie porcję, wystarczyłoby na kilka tygodni. Jeszcze zanim zatrzasnął kłapę, przypomniał mi, że byłem najlepszy w ćwiczeniach z przetrwania. „Więc przetrwaj, sukinsynu”, powiedział. Bolała mnie rana od kuli, ale wiedziałem, że jeśli nie dostanę zakażenia, to nie będzie zagrożenia życia. Dwadzieścia cztery godziny uwalniałem ręce. Wiedział, że mi się w końcu uda, ale wiedział też, że trochę potrwa, zanim się stamtąd wydostanę. Piwnica miała niecałe osiem metrów kwadratowych powierzchni. Sufit dziesięć

centymetrów nad głową, a od sufitu do podłogi w stodole dzieliło mnie trzydzieści centymetrów twardej ubitej ziemi, na której ułożono grube deski. Oczywiście dowiedziałem się o tym już po wyjściu.

- A wejście?

- Drewno. Ale zabezpieczył je dwiema stalowymi belkami. Chyba jakieś pozostałości z budowy domu. Wywiercił w klapie trzy otwory wentylacyjne. Belki położył równoległe obok siebie, wzdłuż klapy, w odległości trzech centymetrów od siebie. Taka była mniej więcej średnica otworów. Potem przykrył wszystko sianem. Z zewnątrz nikt by nic nie zauważył.

- Wysłałem tam człowieka.

- Jednego z moich? - Kiedy David przytaknął, Spence zdecydował: - To już trup. Inaczej by mnie znalazł.

- Jak się wydostałeś?

- Wygrzebałem się pazurami. Jedzenie - suchy makaron, chleb i płatki śniadaniowe - nie dało się do tego wykorzystać.

- A pojemniki na wodę?

- Styropian. Żadnej pokrywki czy słomki. Miałem tylko to - powiedział, wyciągając przed siebie ręce. - W końcu udało mi się w pewnej odległości od klapy i desek wyrwać na tyle dużą dziurę, żeby się stamtąd wyczołgać. Gdyby sufit był trochę wyżej, nie mógłbym go dosięgnąć. Nie było na czym stanąć.

- Miałeś szczęście, że w stodole nie wylali podłogi betonem.

- Stała tam kiedyś pionierska chata. Pewnie Gray chciał zachować pierwotny charakter tego miejsca. - Spence uśmiechnął się, ale brakowało w tym uśmiechu ciepła. - Zawsze był beznadziejnie sentymentalny.

- Przyjechał tu, wiesz?

- Domyśliłem się.

David opowiedział Spence'owi o nie zapowiedzianej wizycie Graya Bonduranta i zrelacjonował ostatnie wydarzenia.

- Parszywy pech - skomentował śmierć Jayne Gaston. - George stopniowo zwiększał dawkę litu, ale notował w karcie właściwą. Kiedy zaordynował mocniejszy środek uspokajający, pielęgniarka się zbuntowała. Próbował usunąć ją stamtąd siłą i wtedy dostała ataku serca i zmarła. A twoja i moja ulubiona reporterka...

- Wiem - przerwał mu Spence. - Czytałem artykuł w *Post* i nie mogłem uwierzyć, że ona jeszcze chodzi po ziemi. Nikt nie miał prawa uratować się z tego wybuchu, Davidzie.

- Jej pies wlaźł do domu przed nią.

- Cholera.

- Po tej historii w Shinlin Clete się nią zajął. Została publicznie ośmieszona i jest teraz zerem w branży. Mam nadzieję, że dostała solidną nauczkę.

- Być może, ale ona nie uczy się zbyt szybko.

- Masz rację - David pokiwał głową z posępną miną. - Co robimy z Grayem?

- Uważam, że na razie powinniśmy mój powrót zachować w tajemnicy.

- Przecież widziano cię dzisiaj.

- Strażnikom się powie, że utrzymanie w sekrecie mojego powrotu to kwestia bezpieczeństwa kraju. A moi ludzie rozpuszczą plotki, że grożono życiu Pierwszej Damy.

- Bardzo dobrze. To się da potem wykorzystać do naszych celów.

Spence zerknął na niego.

- Nadal jesteś zdecydowany to zrobić?

David przypomniał sobie kłótnię z Vanessą i odparł:

- Bardziej niż kiedykolwiek. Byłem u niej dzisiaj. Wciąż ma obsesję na punkcie dziecka. To jeszcze nie koniec kłopotów.

Spence popatrzył na swoje odbicie w lustrze nad umywalką.

- Wobec tego czeka nas mnóstwo roboty.

- Trzeba się do niej od razu zabrać. - David wstał. - Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo mi cię brakowało ani jak się cieszę, że wróciłeś. A teraz wykąp się, na miłość boską.

Rozdział dwudziesty piąty

- Panno Travis, pani zachowanie jest niewybaczalne.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z ogromu mojego błędu, panie Jenkins. Było to dla mnie bardzo upokarzające przeżycie.

Dyrektor naczelny WVUE zignorował odpowiedź Barrie i mówił dalej z groźnym wyrazem twarzy:

- Senator Armbruster zadzwonił osobiście, aby przedstawić mi własną wersję wydarzeń. Jego relacja była bardziej szczegółowa od tych, które ukazały się w prasie i dziennikach telewizyjnych. Wprost nie chce mi się wierzyć, że pracownik naszej stacji mógł się zachować w ten sposób.

- Żałuję, że sprawiłam panu i WVUE kłopoty. Gdybym mogła to naprawić, zrobiłabym to z pewnością.

W jej interesie leżało okazywanie pokory. Była pokorna, bo wiedziała, że popełniła błąd. Jednak pogardzała Armbrusterem, że poskarżył się za jej plecami. Jeśli miał jej coś do powiedzenia, powinien powiedzieć to wprost.

- W porównaniu z tym, co pani narobiła, konsekwencje były minimalne. Dzięki Bogu. Konferencja prasowa prezydenta pomogła ukazać ten incydent w odpowiedniej perspektywie.

- Tak, proszę pana, istotnie.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Tę radosną uwagę wygłosił Howie Fripp, wezwany razem z Barrie na dywanik. Do tej pory obgryzał paznokcie. Pot pozostawił ciemne kręgi pod pachami przybrudzonej białej koszuli. Barrie wiedziała, że niepokój Howiego nie dotyczy jej osoby. Obchodził go wyłącznie własny stółek. Martwił się, czy nadal będzie go zajmował, gdy dyrektor naczelny skończy przemowę.

Jenkins natychmiast go zaatakował:

- Czy to nie pan wysłał kamerzystę, panie Fripp?

- Tak, ale tylko dlatego, że Barrie zadzwoniła i poprosiła o to. Powiedziała, że to będzie bomba stulecia.

- Dobry Boże - jęknął dyrektor.

Skwapliwość Howiego w składaniu obciążających ją zeznań uraziła Barrie do żywego, ale czuła, że powinna go bronić.

- Howie nie ponosi za to odpowiedzialności, panie Jenkins. Rzeczywiście zadzwoniłam do niego do domu i poprosiłam o przysłanie kamerzysty. - Pod złowrogim spojrzeniem dyrektora naczelnego zrobiło jej się gorąco. - To jeszcze jedna z decyzji, których bardzo żałuję.

I naprawdę żałowała, ponieważ obecność fotografa zamieniła złą sytuację w całkowitą klęskę. W dodatku ten telefon obciążał jej sumienie, bo zadzwoniła ze złości, sprowokowana zachowaniem Graya. Nigdy nie lubiła Clete'a Armbrustera, a na jego córkę patrzyła do tej pory z ledwie ukrywanym politowaniem. W szczerzej rozmowie z samą sobą przyznała się do zazdrości o Vanesę, ponieważ Gray wciąż ją kochał.

Dlatego kiedy tamtej nocy wystukała numer Howiego i przekazała mu swoją prośbę, zniknął obiektywizm.

Och, naturalnie telefon był uzasadniony. Być może dzwoniła ze złośliwości, ale miała wytłumaczenie. Biorąc pod uwagę okoliczności, żaden reporter w historii dziennikarstwa nie oparłby się pokusie wezwania fotografa. To mógł być reportaż, po którym Barrie stałaby się prawdziwą gwiazdą telewizji.

Jednak gdy teraz o tym myślała, sama sobie wydawała się ohydny padlinożercą. Uważała, że zasłużyła na nauczkę.

- Armbruster mógł nas pozwać do sądu i szczerze mówiąc, chyba nie miałbym o to do niego pretensji - stwierdził Jenkins.

- Senator Armbruster miał powody do zmartwienia - przyznała potulnie Barrie. - Przeze mnie przeżył piekło, za co go gorąco przeprosiłam. Kilkakrotnie dzwoniłam też do Białego Domu, mając nadzieję, że będę mogła osobiście przeprosić prezydenta i Pierwszą Damę, ale nie chcą przyjąć telefonu.

- Dlaczego? - wyrwał się Howie.

Jenkins rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie.

Barrie mówiła dalej:

- Chciałam, by prezydent i pani Merritt dowiedzieli się, jak ogromnie żałuję popełnionego przeze mnie błędu.

- Bardzo to szlachetnie z pani strony, panno Travis. Jednak gdyby zechcieli z panią rozmawiać, proszę nie przedstawiać się jako pracownica WVUE. - Jenkins położył ręce płasko na biurku i spojrzał na Barrie.

- Od tej chwili wszelkie pani związki z tą stacją telewizyjną są zerwane.

Właśnie tego najbardziej się obawiała. Tak bardzo, że w ogóle nie dopuszczała do siebie myśli, że to się może stać. Teraz musiała się z tym zmierzyć.

- Wyrzuca mnie pan?

- Ma pani godzinę na sprzątnięcie biurka i opuszczenie budynku.

- Proszę, niech pan się jeszcze zastanowi, panie Jenkins. Dostałam nauczkę. Od tej pory będę bardzo ostrożna. Sprawdzę każdy fakt.

- Za późno, panno Travis. Cokolwiek pani powie, i tak nie zmienię zdania.

Odwołała się do jego uczuć:

- Wie pan o moim domu...

- Tak. Fatalny moment.

- Muszę mieć pracę.

- Przykro mi. Podjąłem już decyzję.

W głowie Barrie panował chaos. Gorączkowo szukała ostatniej deski ratunku.

- Będę przepisująca. Redagowała teksty. Odbierała telefony. Będę obsługiwała czytnik, przynosiła pocztę, chodziła po kanapki. Jak w okresie próbnym. Po kilku miesiącach jeszcze raz mnie pan oceni.

- Proszę, niech się pani nie poniza - powiedział stanowczym, ale uprzejmym tonem Jenkins. - Nie pasuje pani do naszego programu.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nie odpowiadają nam pani standardy. To znaczy, że nie spełniła pani pokładanych w niej naszych nadziei. I oznacza, że wypowiadam umowę za całość przewinień, a nie tylko to ostatnie.

- Gówno prawda.

Howie jęknął.

Jenkins popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Słucham?

- Dlaczego nie potrafisz się zachować jak mężczyzna w tej sprawie, Jenkins? Przyznaj, że tak naprawdę wyrzucasz mnie, bo Armbruster zażądał mojej głowy na srebrnej tacy.

Jenkins gwałtownie się zaczerwienił. Zrozumiała, że trafiła w sedno. Wstała i wyprostowała się.

- Wszystko ci się pomieszało, Jenkins. Ta kiepska stacja z drugorzędną reputacją i gównianym kierownictwem nie pasują do mojego programu.

- Frytki do tego?

Barrie uważała, że zawartość tłuszczu i liczba kalorii we frytkach wyklucza je z jadłospisu.

- Jasne. Dlaczego nie? Dużą porcję.

Zapłaciła za kanapkę z serem i frytki i wróciła do samochodu. Dziś wieczorem jadła kolację sama. Po miesiącach namawiania Daily'ego, żeby ruszył się z domu, wybrał właśnie ten dzień, żeby posłuchać jej rady, i przyjął zaproszenie starego kumpla z redakcji. Poszli na festiwal filmów z Brigitte Bardot.

- Odwiezie cię do domu? - upewniła się Barrie. Martwiła się o niego za każdym razem, kiedy szedł gdzieś sam, zwłaszcza po zmroku.

- Tak, mamusi. Zabierze mnie z domu, a potem odwiezie. Zanim zapytasz o to, obiecuję, że sprawdzę butlę z tlenem, upewnię się, czy jest pełna, chociaż jeśli będę dyszał na widok młodej Bardotki tak bardzo, jak mam nadzieję, to może mi zabraknąć powietrza przed powrotem do domu. A jeśli mi zabraknie, to umrę dusząc się, ale umrę szczęśliwy.

Ostatnie zdanie dodał tylko po to, żeby ją zirytować. Nie powiedziała mu, że ją wyrzucono z pracy, bo wiedziała, że chciałby z nią zostać i pocieszać. Nie było sensu, żeby oboje siedzieli nieszczęśliwi w domu.

Po spotkaniu w gabinecie Jenkinsa jeden ze strażników odprowadził ją do boksu i pilnował, kiedy opróżniała biurko. Tak ją to rozzłościło, że spytała szyderczo:

- Czy ten palant Jenkins powiedział ci, co mogłabym ukraść?

- Bez urazy, panno Travis. On taki już jest.

- Tak, tak.

Przegrała wszystko z twardego dysku na dyskietki, opróżniła szuflady z teczek, notatek i zapisków prowadzonych od dnia, w którym została zatrudniona. Poupychała papiery w kartonach dostarczonych wspaniałomyślnie przez firmę. Potem strażnik pomógł jej wynieść pudła do samochodu i wstawić do bagażnika.

Nie miała ochoty siedzieć przez cały wieczór samotnie w przygnębiającym domu Daily'ego. Przez chwilę zastanawiała się, dokąd się wybrać ze swoją kanapką i frytkami. Pomnik Lincolna? Jeffersona? Oba nocą pięknie wyglądały. Niezdecydowana, włączyła się do ruchu.

- Barrie?

Krzyknęła ze strachu i z całej siły nadepnęła hamulec.

- Nie oglądaj się i nie zatrzymuj.

Samochód za nią zahamował z piskiem opon tuż przed jej tylnym zderzakiem. Wściekły kierowca hondy civic nacisnął klakson, wyminął gwałtownie Barrie i przejeżdżając obok strzelił do niej z palca.

- Skręć w prawo na następnym skrzyżowaniu - polecił jej Gray z kąta na tylnym siedzeniu. Tak się skulił, że nie widziała jego głowy we wstecznym lusterku.

- Okropnie mnie wystraszyłeś - burknęła gniewnie, ale wykonała polecenie.

- To głupota ze strony samotnej kobiety wsiadać do samochodu, nie sprawdzając tylnego siedzenia.

- Zamknęłam samochód.

- Mimo to wsiadłem.

Odpowiedź Graya rozzłościła ją jeszcze bardziej.

- Sądziłam, że wróciłeś już do Wyoming i znowu bawisz się w kowboja. Dlaczego przedwczoraj zostawiłeś mnie samą? Cholerny z ciebie tchórz. A w ogóle to co robisz w moim samochodzie? Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

- Skręć szybko w lewo, potem natychmiast zjedź na prawy pas i wjedź w pierwszą przecznicę. Czy trzy samochody za nami jedzie zielony sedan?

- Śledzą mnie?

- Sprawdź we wstecznym lusterku, ale dyskretnie.

- Ach, nie... tak. Jedzie za nami jakiś zielony samochód, ale dość daleko.

- Zgub ich, Barrie.

- Skąd wiesz, że ten samochód jedzie właśnie za mną?

- Cały dzień ciągnie się za tobą ogon.

- Skąd wiesz?

- Bo ja ciągnę się za ogonem.

- Może mi powiesz, znikający facecie, dlaczego miałabym ci wierzyć?

- Zgub ich i przestań tak do mnie mówić, dobrze? Postaraj się, żeby się nie zorientowali, że o nich wiesz.

Miała ochotę zadać mu setki pytań, musiała jednak skupić się na jeździe.

- Ale ubaw! - zawołała, kiedy udało jej się przemknąć na pomarańczowym świetle, które zatrzymało zielonego sedana.

- Owszem, ubaw po pachy - mruknął z tylnego siedzenia.

Po dziesięciu minutach ciągłego zmieniania kierunku jazdy stwierdziła, że nigdzie nie widzi zielonego samochodu.

- Jedź prosto. Poza miasto - polecił jej Gray. - Upewnij się, że żaden inny samochód cię nie przejął.

Spoglądała uważnie w lusterko. Po chwili uznała, że nikt za nimi nie jedzie.

- W porządku. Przy pierwszej okazji zawróć i pojedź z powrotem tą samą trasą.

- Po co?

- Jedziemy do mojej kwatery.

W pokoju wynajętym w motelu pod fałszywym nazwiskiem Barrie podzieliła się z Grayem kanapką i frytkami. Pod oknem stał mały stolik i jedno krzesło, ale zjedli siedząc po turecku na środku podwójnego łóżka.

- Wyrzucili mnie - powiedziała Barrie, wpychając zużyte serwetki do torebki po frytkach. - Moje szczere, gorące przeprosiny nie wystarczyły senatorowi Armbrusterowi. Zadzwoił do dyrektora stacji i zażądał usunięcia mnie. I Jenkins mnie wywalił.

- Chyba nie spodziewałaś się niczego innego?

- Chyba nie. Armbruster nie utrzymałby się tak długo na swoim stanowisku, gdyby zawsze grał uczciwie, a lizanie różnych dup wchodzi w zakres obowiązków Jenkinsa. Nie, wcale nie jestem zaskoczona. Na domiar złego dowiedziałam się, że Cronkite zginął tylko przez moje niedbalstwo.

- Jak to?

- ATF wydało orzeczenie w sprawie wybuchu. Mój pies potknął się o kabel elektryczny, kiedy wszedł do kuchni przez kłapkę w drzwiach. Wtyczka zaiskrzyła i zapaliła gaz z pieca, który zostawiłam otwarty przed wyjazdem do Wyoming. A ponieważ wentylacja była wyłączona... Na szczęście ubezpieczenie w całości pokryje straty. - I dodała ze smutnym uśmiechem: - Ale oczywiście nie da się odzyskać Cronkite'a.

- Spłonął pani dom i zginął pies, ale proszę się nie martwić, madame, wszystko pokryje ubezpieczenie - mruknął do siebie Gray.

- Nie słuchałaś mnie? To był wypadek.

- Jak cholera. Kiedy ostatni raz korzystałaś z pieca?

- Nie pamiętam.

- Czy kiedykolwiek gasiłaś płomyk w zapalaczu?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek przeciągałaś kabel elektryczny na wprost drzwi kuchennych?

Wypowiadał głośno pytania, które sama sobie zadawała. Słyszała je, ale tym bardziej pragnęła zaprzeczyć oczywistym odpowiedziom.

- Ale dochodzenie...

- Dochodzenie to właśnie wykazało. Tak się dokładnie wydarzyło, ponieważ ktoś tak wszystko przygotował, aby tak się stało. Spence nie dopuściłby, żeby jego człowiek podłożył jakąś skomplikowaną bombę. Zorganizował to przed wyjazdem do Wyoming i wybrał prostotę. Mieszkałaś sama, więc ani kochanek, ani rodzina nie mogli im przeszkodzić. Wyjechałaś, zatem gaz mógł się zgromadzić. Wybuch zaplanowano i wykonano tak, żeby wyglądało to na wypadek z powodu twojej nieostrożności. Pech, że Cronkite wszedł przed tobą. Nie mogli tego przewidzieć.

- Oni?

- Zlecił to David Merritt, a wykonali agenci Spence'a.

Barrie pokręciła głową.

- Bzdura. Opierasz się na założeniu, że Merritt coś ukrywa, a ja znalazłam się zbyt blisko odkrycia prawdy - powiedziała. - Ale przecież teraz wiemy więcej. Myliłam się co do Vanessy, śmierci dziecka i... wszystkiego. Tak jak ty. Pomyliliśmy się, prawda?

- To dlaczego ktoś cię dzisiaj przez cały dzień śledził? Nawet jeśli nie ma to nic wspólnego z twoją pracą - a nadal jestem przekonany, że ma - to wiedz, że David nigdy nie przebacza urazy. Bez względu na to, czy twoje oskarżenia są prawdziwe, tak go rozwścieczyłaś, że kazał cię zabić.

- Myślisz, że znowu spróbuje?

- Można przyjąć takie założenie.

- Dobrze, że już zjadłam - mruknęła. - Straciłam apetyt.

- Została jeszcze jedna frytka.

- Podzielę się z tobą. - Przełamała zimną frytkę na pół, wsunęła jedną połowę w usta, a drugą mu podała. Ale on zjadł frytkę prosto z jej palców.

Gdy wargi Graya dotknęły skóry Barrie, jej ciało przeszył rozkoszny dreszcz. Poczowała nagłą ocieźność i gorąco.

Wstała raptownie.

- Nie będę z tobą spała, Bondurant. Mówię to na wszelki wypadek, gdyby właśnie o to ci chodziło. Chcę ci zaoszczędzić zakłopotania, że się na próżno starałeś.

- Nie czuję zakłopotania, ale dziękuję. Czy mam rozumieć, że użyłaś słowa „spać” jako eufemizmu?

- Wiesz, o co mi chodziło.

Patrzył na nią przez chwilę bez słowa.

- Wiem, o co ci chodziło, ale nie przypominam sobie, żebym o coś prosił.

- To prawda, nie prosiłeś. Za pierwszym razem też nie prosiłeś.

- Nie musiałem.

Dalsza rozmowa nie miała sensu. Nie musiał jej uwodzić tamtego ranka w Wyoming, dlaczego więc sądziła, że zamierzał to zrobić teraz?

- Idę pod prysznic - burknęła. Wzięła plecak i zaniósła go wraz ze swoją zranioną dumą do ciasnej łazienki. Zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział dwudziesty szósty

- Aman mnie raz malował, wiesz?

- Pomalował cię...?

Wyszła z łazienki tylko w swetrze i majteczkach. Pachniała mydłem i wilgotną skórą. Pośpiesznie ściągnęła sweter przez głowę i wsunęła się między prześcieradła. Gray podjął się roli strażnika i siedział na krześle przy oknie. Od czasu do czasu wyglądał przez żaluzje i robił co mógł, żeby nie myśleć o pachnącej czystości półnagiej Barrie Travis.

- Nie pomalował, ale malował - wyjaśniła. - Malował mnie na płótnie. Pozowałam mu nago.

- Po co? Potrzebowałaś pieniędzy?

- Nie, to nie tak. Byłam w college'u, czułam się pewna siebie, wyzwolona i zbuntowana. Chciałam zrobić coś niesłychanego, coś, czego na pewno nie pochwaliliby moi rodzice. Aman poprosił, żebym mu pozowała, więc pomyślałam sobie: a tam, do diabła, czemu nie. Ale postawiłam warunek: że w pracowni będzie ciepło.

- I jak poszło? - spytał Gray.

- Pracownia okazała się zagraconym mieszkaniem na poddaszu, śmierdzącym terpentyną i nie mytym artystą. Aman palił trawkę, pił wiadrami tanie wino, był ponury i kapryśny.

- A co z obrazem?

- Nieporozumienie. Kilka części mojego ciała zgubiło się w trakcie przenoszenia na płótno. Aman czuł się zdradzony przez własne dzieło. Właśnie wygłaszał artystyczną tyradę, gdy pozbierałam rzeczy i wymknęłam się stamtąd. Muszę jednak przyznać, że dotrzymał obietnicy: było tam ciepło.

Gray parsknął śmiechem.

- Czy to on cię nauczył obciążania? - Po chwili ciszy, kiedy zrozumiał, że Barrie nie ma zamiaru mu odpowiedzieć, odwrócił się w jej stronę.

Leżała na boku z podciągniętymi kolanami. Włosy okalały jej twarz i opadały na nagie ramiona, swoją kruchością przypominające ramiona dziecka. Właśnie to niezwykle połączenie kobiecych powabów i dziecięcej bezbronności tak bardzo go pociągało.

W jej wyrazistych oczach pojawiła się uraza i zakłopotanie,

- Dlaczego to robisz, Bondurant?

- Co? - spytał.

- Dlaczego mówisz rzeczy celowo wulgarne i obraźliwe?

- Nie miałem takiego zamiaru. Po prostu próbowałem się z tobą droczyć. Ale chyba nie jestem w tym najlepszy.

- Rzeczywiście, kiepsko ci to wyszło.

- Trudno.

Po dłuższej chwili Barrie powiedziała cicho:

- Aman nie nauczył mnie niczego poza tym, żebym trzymała się z daleka od artystów. A co do tego... to hmmm... można powiedzieć, że doskonałam swą technikę po drodze... tamtego ranka w twoim domu na ranczu.

Jego ciało nieoczekiwanie zareagowało na wspomnienie tamtego dnia i niewygodne krzesło stało się jeszcze bardziej niewygodne. Nie potrafił spokojnie spojrzeć Barrie w oczy. Nie chciał być jej przewodnikiem w jakiejś przygodzie seksualnej. Nie chciał stać się dla niej kimś ważnym. Łączyła się z tym odpowiedzialność, na którą nie był przygotowany. Zmieniając temat spytał:

- Dlaczego opowiedziałaś mi tę historię o malarzu?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Chyba po prostu myślałam, że muszę coś powiedzieć.

- Zawsze tak z tobą jest.

- Co?

- Zawsze myślisz, że musisz coś powiedzieć.

- To nieprawda!

- A teraz co to było?

Skrzywiła się.

- Bardzo śmieszne.

- Tak, jestem prawdziwym komediantem. Wszyscy mi to mówią. Że jestem komediantem i kpiarzem.

Barrie głośno się roześmiała. Chichocząc, przewróciła się na plecy i zarzuciła ramiona za głowę. Dawno nie słyszał śmiechu. Od czasu, gdy przestał być dzieckiem. Śmiech Barrie był równie zniewalający jak jej głos, spontaniczny i serdeczny.

- Dziękuję, Bondurant - powiedziała. - Po takim okropnym dniu potrzebowałam odrobiny śmiechu. Chociaż właściwie powinnam się już do tego przyzwyczaić.

- Do czego? - zapytał.

- Do wyrzucania z pracy. To nie był pierwszy raz.

- Czy pierwszy cię wyrzucił Daily?

Uniosła głowę zaskoczona.

- Powiedział mi - wyjaśnił.

- Jak to miło z jego strony. A czy gdy ci streszczał moją burzliwą zawodową przeszłość, nie wspomniał przypadkiem, dlaczego mnie zwolnił?

Gray pokręcił przecząco głową, choć nie było to prawdą. Daily opowiedział mu tę historię ze wszystkimi szczegółami. Ale chciał słuchać jej głosu, nawet jeśli zagrażało to jego postanowieniu trzymania się od niej z daleka.

- Więc opowiem ci o tym - zaczęła, uśmiechając się do swoich wspomnień. - Moja znajomość z Dailym na początku nie zapowiadała przyjaźni. Dał mi moją pierwszą pracę w telewizyjnych wiadomościach. Oczywiście uważałam, że wiem już wszystko, co trzeba wiedzieć o dziennikarstwie telewizyjnym, i nie

przyjmowałam nawet konstruktywnej krytyki. Daily uważał, że mam pusto w głowie i nie potrafię nic z siebie dać. Miał ochotę mnie wylać, ale nie pozwalały mu na to przepisy przyjmowania i zwalniania pracowników FCC, EEOC i całej reszty alfabetu. W końcu jednak udało mu się coś na mnie znaleźć. Sama się podłożyłam.

Znalazła się pierwsza na miejscu, gdy w gmachu sądu okręgowego jakiś szalowiec zaczął strzelać na sali rozpraw. Opierając się na słowach kobiety, która cudem umknęła spod gradu kul, Barrie powiedziała później, że strzelec zranił dziesiątki osób.

W „krwawej walce wręcz”. Chyba tak właśnie się wyraziłam.

Potem już na żywo na antenie oświadczyła, że strzelanina miała miejsce w sądzie sędziego Greena.

- Zrobiła się z tego ważna sprawa, ponieważ krążyły plotki, że brano pod uwagę jego kandydaturę do Sądu Najwyższego. Snułam przed kamerą domysły, czy strzały nie miały motywu politycznego. Czy sędzia Green był celem sprzeciwiającego się jego wyborowi radykała, czy też była to zemsta za niekorzystne orzeczenie? Czy przeżył, czy jest ranny?

Jak się potem okazało, sędzia Green grał właśnie w golfa, gdy człowiek noszący za nim kije przyszedł, by mu opowiedzieć o informacji w dzienniku. Incydent miał miejsce w innym sądzie i ucierpiał jedynie żyrandol, odstrzelony w czasie szamotaniny woźnego z człowiekiem, który przyniósł do sądu sztucer na jelenie jako dowód w sprawie cywilnej o kłusownictwo.

- Później u kobiety, która była moim naocznym świadkiem, stwierdzono zaburzenia psychiczne. Nic nie wiedziała. Podawała mrożoną herbatę i inne napoje w kafejce znajdującej się w suterenie i nigdy nie była wyżej niż parter w tym budynku... Mój los przypieczętował fakt, że przygotowany przeze mnie specjalny reportaż nadano zamiast serialu „Moda na sukces”. Żona sędziego Greena nigdy nie opuściła ani jednego odcinka. Kiedy usłyszała wiadomości, wybiegła z domu, przewróciła się o spryskiwacz na trawniku i złamała prawą rękę w przegubie. Innych rozwścieczyła zmiana w programie, zwłaszcza gdy się dowiedzieli, że w sądzie nie rozegrał się żaden dramat, nie stało się nic takiego, co byłoby ciekawsze od kolejnego odcinka mydlanej opery. Od telefonów zirytowanej widowni zagrzała się centrala. Moja wiarygodność poszła w diabły. Wiarygodność stacji też. Redakcji wiadomości porządnie dostało się od naszych konkurentów. Na wypadek gdyby ktoś o tym nie słyszał, jeszcze przez wiele dni dziennikarze lokalnych gazet używali sobie na mnie. Daily’ego wezwano na dywanik i obito za zatrudnienie mnie. Cud, że w ogóle zachował stanowisko. Wyrzucił mnie w jednej chwili. Skorzystał na tym tylko sędzia Green, który został członkiem Sądu Najwyższego.

- Bardzo nie lubianym.

- Jeszcze jedna pozycja na mojej liście strat. Później jakiś mądrala napisał, że gdyby nie sympatia, jaką zyskał – sobie sędzia Green w rezultacie mojej wpadki, jego kandydatura nigdy by nie przeszła. Naród amerykański musi mi podziękować za wepchnięcie do Sądu Najwyższego nieudolnego sędziego. Daily też tak uważa.

· FCC - Federal Communications Commission - Federalny Urząd Łączności.

* EEOC - Equal Employment Opportunities Commission - Komisja do Walki z Dyskryminacją Pracowników.

- Jak to się stało, że po tym wszystkim zostaliście przyjaciółmi?
- Kilka lat temu dotarło do mnie pocztą pantoflową, że zmuszono go do odejścia z powodu rozedmy płuc. Czułam się zobowiązana do złożenia kurtuazyjnej wizyty. Kiedy do niego poszłam, Daily przyznał, że był dla mnie wyjątkowo surowy, ponieważ nie talentu mi brakowało, lecz dojrzałości i zdrowego rozsądku. Był gotów mi pomóc, pod warunkiem że się zamknę i będę go słuchać. Od tamtej pory jest moim najlepszym przyjacielem.
- Dlaczego utrzymywałaś waszą przyjaźń w tajemnicy?
- Głównie dlatego, że to moja sprawa osobista, a ja zawsze starałam się oddzielać życie prywatne od zawodowego. Poza tym dlatego...
- Dlatego, że gdyby wyszło na jaw, że pogodziłaś się ze swoim wrogiem, straciłabyś szacunek kolegów.
- Jest pan bardzo domyślny, panie Bondurant. Kiedy w dziennikarstwie palisz mosty, jest to na ogół porządny pożar i na zawsze. Gdyby ktokolwiek wiedział, że przyjaźnię się z Dailym, uznano by mnie za mięczaka znów próbującego się zaczepić w branży.
- Twój sekret się wydał, Barrie. Śledziłem tych, co śledzili ciebie. Wiedzą, gdzie się zatrzymałaś. - Słyszając jej jęk, dodał szybko: - Nie sądzę, żeby zawracali sobie głowę Dailym. Jednak powinniśmy go uprzedzić.
- Dlaczego mnie śledzą?
- Większość agentów Tajnej Służby przydzielonych Davidowi, Vanessie i do Białego Domu to ludzie Spence'a. Słuchają tylko jego rozkazów.
- Jak mogą łamać przepisy?
- Nie łamią przepisów, ale je obchodzą. Zawsze mogą odpowiedzieć, że podpasz pod kategorię osób z zaburzeniami emocjonalnymi, które należy obserwować.
- Cholera - mruknęła.
- Spróbuj się trochę przespać.
- Wstał i zgasił lampę, a potem wrócił do okna i wyjrzał przez żaluzje. Po pięciu minutach obserwowania parkingu zerknął na łóżko. Spojrzenie otwartych oczu Barrie wprawiło go w zakłopotanie.
- Myślałem, że śpisz.
- Znowu leżała na boku, ale teraz ręce wsunęła pod policzek.
- Kim jesteś, Grayu Bondurancie?
- Ja? Nikim.
- Nieprawda - zaprzeczyła sennym głosem.
- Śpij.
- Ty też potrzebujesz wypoczynku. Łóżko jest dość szerokie dla nas obojga.
- Nie mógłby wsunąć się do łóżka nie dotykając jej.
- Posiedzę tu przez chwilę.
- Po co?

- Śpij już, Barrie.
- Jeszcze jedno pytanie...
- Dobrze - zgodził się z westchnieniem.
- Tamtego ranka, u ciebie w domu to był seks bez zobowiązań, prawda?
- Tak.

Zamknęła oczy na kilka sekund, a potem znowu spojrzała na niego.

- I tak było całkiem przyjemnie.

Uśmiechnął się w ciemności.

- Całkiem przyjemnie.
- Ale mnie nie pocałowałeś. Nie w usta. Masz coś przeciw całowaniu w usta?
- To już było drugie pytanie. Dobranoc.

- George?

Głos żony wydawał się dochodzić z dalekiego brzegu oceanu. Doktor Allan uniósł głowę i zobaczył sylwetkę Amandy w otwartych drzwiach gabinetu. Była taka piękna i silna. Nie mógł znieść jej widoku. Jej siła podkreślała jego słabość.

Weszła do pokoju, stanęła przy biurku, podniosła butelkę whisky i sprawdziła jej zawartość. Chociaż był pijany, nie umknęła jego uwagi ta milcząca nagana.

- O co chodzi, Amando? - spytał schrypniętym głosem.
- Więc pamiętasz mnie jeszcze? Cieszę się. Może przypomniałeś sobie też, że masz dwóch synów?
- Czy to zagadka?
- Twój starszy syn coraz bardziej zamyka się w sobie. Błagałam go, żeby mi powiedział, co go dręczy, ale milczy. Nauczyciele w szkole też to zauważyli. Dusi w sobie swoje problemy, i nikt nie potrafi ich z niego wyciągnąć. Jest taki podobny do ciebie, że aż mnie to przeraża. A twój młodszy syn... Właśnie wracam z jego sypialni. Słuchałam jego modlitwy. Prosił Boga, żeby pomógł tatusiowi, a potem zaczął płakać. Musiałam go utulić do snu.

George potarł zmęczone, zaczerwienione oczy.

- Pójdę do nich i pocałuję ich na dobranoc.
- Nic do ciebie nie dociera. Nie chcę, żebyś chodził do nich i całował ich na dobranoc. Nie w tym stanie. Wiesz, że nie są głupi. Domyślili się, że coś jest z tobą nie w porządku i nie chodzi tylko o picie.

- „Picie”? Czy to właściwe określenie?

- Właściwe. Co się z tobą dzieje?

- Nic.

- Na pewno? Wróciłeś wczoraj do domu, wyglądając jak bohater filmu grozy. Bóg jeden wie, kiedy ostatnio spałeś. Nie wyjaśniłeś ani swojej długiej nieobecności, ani swojego wyglądu. Nie spytałeś o moje samopoczucie ani o dzieci. Poszedłeś prosto do tego pokoju, zamknąłeś się i nie wyszedłeś już stąd.

Walnęła z całej siły butelką w biurko.

- Jesteś pijany jak bela i słyszałam twój płacz. Twoje picie mnie gniewa, a płacz rozdziera serce. George – powiedziała błagalnym tonem - jak mogę ci pomóc, jeśli nie chcesz mi powiedzieć, co się stało?

- Nic się nie stało.

- Do cholery, George, od kiedy zmieniła się twoja definicja małżeństwa?

- O co ci chodzi?

- Jeśli mi nie powiesz, co cię gnębi, to nasze małżeństwo przestanie istnieć. Ale przynajmniej na papierze jestem jeszcze twoją żoną i chcę wiedzieć, co się do diabła stało.

- Chryste, ogłuchłaś?! - krzyknął. - Nic się nie stało.

- Nie okłamuj mnie. Widzę przecież, że się rozpadasz.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Nie, nie zostawię - odparła, potrząsając energicznie głową. - Jesteś moim mężem. Kocham cię. Będę cię bronić aż do śmierci. Jednak najpierw muszę wiedzieć, dlaczego z dobrego lekarza, męża i ojca zmieniłeś się w bełkoczącego pijaka.

Wpatrywał się w nią z wściekłością, ale nie odeszła. Potrafiła być bezlitośnie uparta.

- Twoje kłopoty mają związek z Davidem, prawda? Nie zaprzeczaj. Wiem, że to on jest przyczyną twojego kryzysu. Jak do tego doszło?

- Zostaw to, Amando.

- Czego od ciebie zażądał?

- Powiedziałem, zostaw to.

- Jaką ma nad tobą kontrolę?

- Nie ma nade mną żadnej kontroli!

- Ma! - odkrzyknęła. - Jeśli jej nie przełamiesz, David cię zniszczy.

Zerwał się gwałtownie i zaczął bębnić pięściami w biurko.

- Jayne Gaston umarła, wiesz?

- Co?

- Powiedziałem ci, co mnie gnębi. Jesteś szczęśliwa? Zadowolona?

- Mówisz o tej pielęgniarce?

- Tak, o pielęgniarce. Tej, która umarła w naszym domu nad jeziorem trzy dni temu. Zawał. - Pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. - Próbowałem ją ratować, ale mi się nie udało. Nie udało mi się i umarła.

- Zaszlochał i skulił ramiona.

- Byłeś pijany?

- Wziąłem pastylkę valium, to wszystko.

- Zrobiłeś wszystko, co było można?

Skinał głowę.

- Przez pół godziny próbowałem ją reanimować. W końcu agenci Tajnej Służby odciągnęli mnie od niej i powiedzieli, że to nie ma sensu i tylko tracę czas.

Amanda westchnęła i położyła dłoń na ramieniu męża.

- Tak mi przykro, George - powiedziała łagodnie.

Tęsknił za jej współczuciem. Wiedział, że jej ramiona otworzą się dla niego pomimo gniewnych słów. Jej piersi będą ciepłe, głos przyniesie pociechę, a jej uścisk stanie się kryjówką, w której będzie mógł schować się na chwilę przed dręczącymi go demonami.

Jednak on nie zasłużył na pociechę ani przebaczenie. Czuł się niegodny miłości i dlatego rósł w nim gniew. Zepchnął z ramienia rękę żony.

- Co ty takiego mogłeś zrobić? - spytała. - I co mogłoby sprawić, żeby twój problem zniknął?

Odwrócił się do żony plecami i szarpnął drzwiczki barku. Otwarcie kolejnej butelki szkockiej sprawiło mu większą trudność niż zazwyczaj, ale jakoś sobie poradził. Nalał następną porcję.

- Potrafisz rozwiązać każdy problem, prawda? - powiedział, odwracając się do Amandy. - Potrafisz zrobić wszystko, co postanowisz. Sukces to twoje imię. Nie, „Doskonałość”.

Wiedział, że te uszczypliwe słowa głęboko ją zranią, ale nie potrafił się powstrzymać. Chciał, żeby ktoś czuł się równie . podle jak on sam, a tylko Amanda była w pobliżu. Jednak nie dała się sprowokować. Zachowała spokój.

-Nie potrafię rozwiązać twojego problemu za ciebie, George, ale mogłabym cię wesprzeć.

- Bardzo by mi to pomogło.

- Traciłeś pacjentów już wcześniej. Jesteś lekarzem, twoim powołaniem jest uzdrawianie ludzi, nic więc dziwnego, że ciężko przeżywasz każdy przypadek, gdy nie możesz kogoś uratować. Nigdy jednak nie cierpiałeś tak długo.

Pochyliła głowę i zajrzała mu w oczy. Był pijany, lecz nie aż tak, by nie obawiał się, że dojrzy w jego spojrzeniu więcej, niż chciał. Odwrócił wzrok, ale zrobił to zbyt późno.

- Usłyszałam okrojoną wersję wydarzeń, prawda? - spytała. - Co jeszcze zaszło w domu nad jeziorem?

- Kto mówi, że coś jeszcze zaszło?

Spojrzała na niego ze znużeniem.

- Znam cię, George. Pomijasz jakiś bardzo ważny fragment tej historii.

- Umarła pielęgniarka. To wszystko.

- Chodzi o Vanessę?

- Nie.

- Więc dlaczego śmierć tamtej kobiety...

- Czego ty chcesz ode mnie?! - ryknął. - Pytałaś, co mnie dręczy, więc ci powiedziałem. A teraz spierdalaj stąd i zostaw mnie w spokoju!

Nigdy nie używał wulgarnych słów w jej obecności. Nie mógł uwierzyć, że zrobił to teraz. Czy znalazł się już na takim dniu, by zachowywać się jak zwierzę wobec żony? Ta myśl była jak kamień wciągający go jeszcze głębiej w otchłań rozpacz i nienawiści do samego siebie. Jednym haustem wypił whisky.

Amanda spojrzała na męża z odrazą i ruszyła do wyjścia. Jednak przy drzwiach przystanęła i odwróciła się.

- Wrzeszcz i przeklinaj mnie, George, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej. Jestem twarda. Zniosę to.

Podniosła lewą dłoń, żeby zobaczył jej obrączkę.

- David Merritt składał przysięgę, gdy obejmował swój urząd, ale i ja też. Przy ołtarzu, w dniu naszego ślubu. Przysięgałam, że nic prócz śmierci nas nie rozdzieli, i wierzyłam w to. Jesteś moim mężem i kocham cię. Nie poddam się bez walki. Zrobię wszystko co w mojej mocy, aby nie dopuścić, by ten człowiek cię zniszczył, nawet jeśli przez przypadek został prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Rozdział dwudziesty siódmy

Barrie nastawiła telewizor na pierwszy program. Ryknęły głośniki.

- Nie, tylko nie to - jęknął Daily.

- Gray uważa, że dom jest pod obserwacją.

- Założyli podsłuch?

- Teraz nie muszą zakładać podsłuchu - wyjaśnił Gray. - Mają taki sprzęt, że słyszą rozmowę z odległości kilku przecznic.

- Co to za jedni, ci „oni”?

- Ludzie Spence’a.

- Dranie - mruknął Daily. Pokazał głową w kierunku Graya i powiedział do Barrie: - Myślałem, że prysnął.

- Ja też tak myślałam. Ale wczoraj wieczorem zrobił mi niespodziankę.

- Wróciłem późno do domu z przeglądu filmów Bardotki, a ciebie nie było - poskarżył się Daily. - Martwiłem się całą noc.

- Zapomniałam zadzwonić - przyznała z pokorną miną.

Daily wskazał im ręką zwykle miejsca na sofie.

- Czy mam rozumieć, że ta historia jeszcze się nie skończyła? Nadal uważasz, że dziecko nie umarło na SIDS?

- To pewnik - odparł Gray. - Cała sprawa od tego się zaczęła, ale teraz znacznie się rozrosła. David próbuje wszystko zatuszować, jednak ciężko mu to idzie. Spence mnie nie usunął. Nie powiódł się też plan zamknięcia ust Vanessie w domu George’a Allana nad jeziorem, bo umarła pielęgniarka. Jej śmierć spowodowała, że zwrócono uwagę na doktora Allana wtedy, gdy ani on, ani David nie chcieli znaleźć się na widoku. To zmusiło ich do zaniechania diabelskich praktyk wobec Vanessy.

- Ponieważ śmierć pielęgniarki skierowała uwagę na Vanessę, obaj uznali, że trzeba ją przywrócić do zdrowia i pośpiesznie przewieźć do Waszyngtonu - dodała Barrie.

- Rano na konferencji prasowej pokazali ją całemu światu - powiedział Gray. - Dla każdego, kto jej dobrze nie zna, wyglądała normalnie. Uważam, że nadal grozi jej niebezpieczeństwo.

- Dlaczego tak sądzisz? - zdziwił się Daily. - Moim zdaniem wszystko było jak zwykle. Neely odczytał epitafium zmarłej pielęgniarki. Myśli i modlitwy Merrittów pozostają z rodziną. Bła, bła, bła.

- Vanessa podczas konferencji wysłała sygnał SOS - oświadczył Gray. - Nie założyła pierścionka matki - wyjaśnił. - Nosiła go na palcu serdecznym prawej ręki od dnia jej śmierci, a tego ranka go nie miała. Cały czas starała się, żeby prawa ręka była widoczna, zwłaszcza gdy kierowano na nią kamery. Chciała, żeby ktoś zauważył, że go nie włożyła.

- Naprawdę sądzisz, że wzywała pomocy? - spytał Daily.

- Tak.

- Może spadał jej z palca, bo tak bardzo straciła na wadze - zaprotestowała Barrie. - Albo po prostu jej się znudził. Albo oddała pierścionek do jubilera do oczyszczenia lub zmniejszenia. Istnieje wiele prawdopodobnych powodów, dla których go nie założyła.

- To prawda - przyznał Gray. - Gdybym siedział w Wyoming i oglądając ją w telewizji spostrzegł, że nie ma tego pierścionka, trochę by mnie to zaintrygowało, ale nie zaniepokoiło. Jednak ponieważ wysłano Spence'a, żeby mnie uziemił, widziałem na własne oczy, jak twój dom wylatuje w powietrze, i wiem, że za tobą chodzą, zaczynam się martwić.

- Chyba masz rację - przyznała niechętnie Barrie. - Od czasu udania się „w zacisze” Vanessa pojawiła się publicznie tylko na tej konferencji prasowej. Jeśli rzeczywiście jest taka zdrowa, jak twierdzi Biały Dom, to znaczy, że wróci teraz do swych obowiązków, prawda? - Bez zastanowienia podniosła słuchawkę i wykręciła zapamiętany numer.

- Dokąd dzwonicz? - spytał Gray.

- Do biura Vanessy.

- Pamiętaj, że wszystko, co powiesz, zostanie nagrane.

- Nie szkodzi. Dojdą do wniosku, że po prostu stosuję swoje stare sztuczki. Ścis� telewizor.

Zapadła cisza. Drażniła tak samo, jak przedtem ryk głośników.

- Dzień dobry - powiedziała Barrie, kiedy odebrano telefon. - Nazywam się Sally May Henderson. Reprezentuję organizację Córki Rewolucji Amerykańskiej. Chciałybyśmy wręczyć Pierwszej Damie nagrodę w uznaniu jej ofiarnej działalności na rzecz bezdomnych.

Podkreśliła, że organizacja ma nadzieję wręczyć nagrodę osobiście.

- Zwróciłybyśmy w ten sposób uwagę narodu na konieczność finansowania schronisk i rozdzielania darmowych posiłków - mówiła.

Uprzejmie, lecz stanowczo wyjaśniono jej, że w najbliższej przyszłości nie ma mowy o spotkaniu. Pierwsza Dama jeszcze nie skończyła rekonwalescencji po niedawnej niedyspozycji.

- Rozumiem. Proszę zatem o przekazanie najserdeczniejszych pozdrowień. Niedługo ponownie się skontaktujemy. - Barrie odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Daily'ego i Graya. - Jej personelowi polecono nie wyznaczać żadnych spotkań, dopóki nie dostaną zgody doktora Allana - wyjaśniła.

Gray rozkręcił telewizor na cały regulator, a potem powiedział:

- David pójdzie na całość.

- Na to wygląda.

Daily z zatroskaną miną potarł szczękę.

- Czy podejrzewasz to, co ja myślę, że podejrzewasz?

- Tak. Vanessa przestała pomagać Davidowi w karierze. Zaczęła mu przeszkadzać - odparł Gray. - Więc eliminuje przeszkody.

- Zgadujesz - mruknął Daily.

- Wiem. - Gray wrócił do kanapy i usiadł. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

Wreszcie Barrie przerwała milczenie.

- Moja kariera zawodowa była śmiechu warta - powiedziała. - Częściej wszystko partoliłam, niż robiłam porządnie. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam polegać na swoim instynkcie. Jednak tym razem wiem, że mam rację. Nasz prezydent to kryminalista. - Spojrzała na Graya. - Mogę nie ufać własnemu instynktowi, ale ufam twojemu.

- Dziękuję. - Gray zerknął na Daily'ego, a potem na Barrie. - Posłuchajcie, powinniście wyjechać we dwoje na długie wakacje, najlepiej gdzieś daleko od kraju. Jeśli David przekona się, że zrezygnowaliście i już mu dłużej nie zagrażacie, osłabi czujność. Tymczasem ja się tu wszystkim zajmę i może mi się uda ocalić Vanesę, zanim David zastosuje plan B.

- W żadnym razie - zaprotestowała gorąco Barrie. - Rozmawiamy o próbie zamordowania Pierwszej Damy. Jako dobra obywatelka nie mogę tego tak zostawić. Zresztą nie tylko dlatego. Vanessa do mnie pierwszej zwróciła się z prośbą o pomoc. Gdybym nie przeoczyła jej sygnałów, byłaby bezpieczna w domu ojca. A teraz znajduje się pod władzą męża tyrana, ponieważ ją zawiodłam. Ja też wszystko przez niego straciłam, wszystko, co było dla mnie ważne. Cronkite'a, dom, pracę. Chcę się zemścić na tym sukinsynie. Jestem jego najgorszym wrogiem, najgorszym, jakiego można sobie wyobrazić... bo nie mam nic do stracenia.

- Poza własną skórą - sapnął Daily.

- Nie - odparła cicho - poza tobą.

- Nie spoglądaj na mnie tymi oczami pełnymi łez, panienko. Co ty masz w głowie zamiast mózgu? Gówno. Oboje je macie - stwierdził Daily, obrzucając ich ostrym spojrzeniem.

- Przecież nie możemy nie pokazać światu, jaki Merritt jest naprawdę - powiedziała Barrie.

- Mówisz głupstwa. Ten maniak to prezydent Stanów Zjednoczonych - oświadczył Gray. - Zajmuje najwyższe stanowisko w państwie i jest najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Jeśli z nim zadrzecie, to już po was.

Barrie spojrzała na niego i zobaczyła w jego oczach zdecydowanie, takie samo jak jej.

Odwróciła się do Daily'ego.

- Jeśli Merritt zamierza mnie zabić, to chcę przynajmniej trochę powalczyć. Jednak nie mogę narażać ciebie na niebezpieczeństwo. Pojedź na długie wakacje.

- Powinieneś wyjechać dzisiaj po południu, kiedy tylko skończymy przygotowania - poparł ją Gray.

- Dokąd chciałbyś pojechać, Daily? Do Meksyku?

- Żeby dostał sraczki? Do diabła, nie.

- Wyspy Bahama?

- Na Karaibach huragan. Nie oglądałaś dziennika?

- Australia?

- Nigdzie nie jadę - powiedział stanowczo. - Dlaczego miałbym wyjechać i zostawić wam całą zabawę?

- To nie będzie zabawa, Daily - odparł Gray z grobową miną. - Tych facetów nie da się nabrać. Kiedy mają wykonać zlecenie, traktują to jak interes. My też tak musimy to traktować. Nie chcę, żeby zabrzmiało to zbyt melodramatycznie, ale możemy się znaleźć w sytuacji, w której trzeba będzie walczyć o życie.

- Już znalazłem się w takiej sytuacji - odciął się Daily. Rozłożył ramiona, jakby chciał objąć nimi zagrożony pokój. - Mam do stracenia jeszcze mniej niż Barrie. Jestem nieuleczalnie chory. Nie mam żony, dzieci, nic nie mam. Doszedłem do wniosku, że jeśli mogę wam jakoś pomóc, to nie umrę na próżno.

Barrie przeszła przez pokój, pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy.

- Jesteś okropnymi niedołągą, ale bardzo cię kocham.

- Przestań. Nie cierpię takich cikliwości. - Odepchnął ją od siebie. - W porządku, Bondurant, od czego zaczynamy?

Rozdział dwudziesty ósmy

Barrie uśmiechnęła się do syna Jayne Gaston, stojąc na progu jego domu.

- Dzień dobry, panie Gaston. Nazywam się Barrie Travis. Pamięta mnie pan?

- Aż za dobrze. Czego pani chce?

- Proszę, to dla pana - powiedziała, podając mu niebieską hortensję w doniczce. - Mogę wejść?

Zawahał się, nie wiedząc, czy chciałby z nią rozmawiać. Wreszcie otworzył drzwi szerzej.

- Ale tylko kilka minut.

Ralph Gaston junior był łagodnym człowiekiem po trzydziestce z zaokrąglonym brzuszkiem. Mieszkał w schludnym domku z cegły w samym środku przedmieścia średniej klasy w Waszyngtonie. Barrie znalazła jego adres w książce telefonicznej.

Poprowadził ją przez pokoje, w których było czysto, ale na podłodze poniewierały się zabawki.

- Żona zabrała dzieci na zakupy - wyjaśnił, gdy potknął się o dziecinną kosiarkę do trawy.

- Tak mi przykro, że ich nie zastałam. Chciałam wszystkim przekazać kondolencje - powiedziała Barrie.

Poszła za nim na werandę z tyłu domu, gdzie oglądał mecz NCAA na przenośnym telewizorze. Ściszył głos i wypił łyk piwa stojącego na małym stoliku, ale jej nie zaproponował nic do picia. Usiadła na aluminiowym turystycznym krześle, które Jej wskazał.

Zaczęła od wyjaśnienia, że cokolwiek powie, zostanie to między nimi.

- Nie jestem tu jako reporter. Być może poczuje się pan lepiej, gdy dowie się pan, że wyrzucono mnie z WVUE.

- Rzeczywiście poczułem się lepiej - przyznał otwarcie. - Dostała pani dokładnie to, na co pani zasłużyła, pani Travis. Moja matka była damą. Miała swoją godność, a pani jej śmierć zamieniła w komedię. Po tym telewizyjnym cyrku, jaki urządziła pani w szpitalu, naprawdę trudno mi być wobec pani uprzejmym.

- Nie mogę mieć do pana o to pretensji. Bardzo żałuję, że pańska tragedia zyskała niepotrzebny rozgłos.

- Czy to próba przeprosin?

- Jak najbardziej.

- Przyjmuję pani przeprosiny. Ale teraz, jeśli mi pani wybaczy...

- Pana matka musiała być podekscytowana, kiedy doktor Allan ją zatrudnił - przerwała mu Barrie.

- Dlaczego pani to powiedziała? - głos mu się nagle załamał, co zaskoczyło Barrie.

- Ponieważ tak bardzo jej zaufał.

- Och - wyraźnie odetchnął. - Tak, rzeczywiście czuła się szczęśliwa. Mówiła, że opiekowanie się taką ważną pacjentką daje szczególne zadowolenie.

Dziennikarski instynkt Barrie rozdzwonił się jak oszalały. W co wdepnęła? Przyszła tu w uczciwym zamiarze. Chciała przeprosić za swoją gafę i jej przykre skutki.

Spotkanie z Ralphem Gastonem miało stanowić również część planu ochrony Vanessy wymyślonego przez Graya i Barrie. Nie mogli przecież pójść na posterunek policji i opowiedzieć o domniemanych zbrodniach prezydenta. Nie mieli żadnego konkretnego dowodu, który mogliby przedstawić Departamentowi Sprawiedliwości. Nie mogli uderzyć na Biały Dom z bronią w ręku. Atak musiał być subtelniejszy.

Gray uważał, a Barrie i Daily zgadzali się z jego opinią, że administrację Merritta należy zniszczyć od środka.

Mieli tylko jedną broń - informację. Musieli dowiedzieć się wszystkiego o wydarzeniach w domu nad jeziorem należącym do George'a Allana. Barrie zaproponowała, żeby zacząć od syna Jayne Gaston. Nie oczekiwała, że usłyszy coś istotnego, ale być może nie doceniała możliwości kryjących się w tej rozmowie.

Ralph użył słów „szczęśliwa” i „zadowolenie”, aby opisać uczucia matki wywołane zatrudnieniem jej jako prywatnej pielęgniarki Pierwszej Damy. Oznaczało to, że Jayne Gaston uważała się za niegodną tego stanowiska. Dlaczego? - zastanawiała się Barrie.

- Czy pana matka od dawna chorowała na serce? - zapytała.

- Dopiero od dwóch lat - odparł Ralph, przyjmując dziwnie obronną postawę. - Ale doskonale sobie dawała radę. Regularnie poddawała się badaniom, skrupulatnie brała leki. Nawet nie próbowaliśmy ograniczyć jej zajęć. Kochała swoją pracę. Była doskonałą pielęgniarką.

- Tak właśnie słyszałam. Doktor Allan wypowiadał się z entuzjazmem o jej pracy. Prezydent również.

- Przysłał kwiaty na jej pogrzeb.

- Doprawdy? Mnie też raz przysłał kwiaty. - W innym życiu. Zanim się dowiedziała, że jest zabójcą. - Czy pana matka miała już kiedyś atak serca?

- Bardzo lekki - odparł, znowu przyjmując obronną postawę. - Szybko wyzdrowiała. Nigdy nie miało to wpływu na pracę.

- Nikt nie kwestionował jej kwalifikacji czy wykonywania obowiązków, panie Gaston.

Ralph potarł rękami o uda. Barrie rozpoznała ten nerwowy gest. Mieszkaniec przedmieścia z krągłym brzuszkiem tracił maniery.

- Skoro mama była tak dobra, żeby opiekować się Pierwszą Damą, to mogła opiekować się każdym - powiedział.

- Oczywiście.

- Miała bardzo wysokie kwalifikacje.

- Jestem tego pewna. Jak jej się układała współpraca z doktorem Allanem?

- O co pani chodzi?

Barrie posłała mu olśniewający uśmiech.

- Jestem tylko ciekawa. Wie pan przecież, że lekarze bywają okropnie zapatrzeni w siebie. Czasami im się wydaje, że chodzą po wodzie. Zastanawiałam się tylko, jak jej się pracowało z doktorem Allanem.

- Nigdy nic nam nie mówiła.

Barrie natychmiast zorientowała się, że kłamie.

- Jestem przekonana, że pańska matka była zadowolona ze współpracy z doktorem Allanem. Na pewno właściwie leczył Pierwszą Damę.

- Pani Merritt nie była chora. Potrzebowała tylko dłuższego wypoczynku.

- Oczywiście, właśnie o to mi chodziło.

- Nie - zaprzeczył potrząsając głową. - Chciała mi pani dać do zrozumienia, że moja matka świadomie nie zwróciłaby uwagi na to, że pacjentkę leczono nieprawidłowo.

- Ależ wcale nie to miałam na myśli, panie Gaston. Prezydent pod niebiosa wychwalał pańską matkę.

- Więc o co pani chodzi?

O co jej chodziło?

- Po prostu szkoda, że Allan nie mógł uratować życia pańskiej matce.

- Powiedział, że zrobił wszystko, co mógł.

- Wierzy mu pan?

- Dlaczego miałbym mu nie wierzyć? To świetny lekarz i porządny człowiek. Dał mamie szansę, czego nikt inny by nie zrobił.

- Szansę?

- Pracy. - Ralph nagle zerwał się na równe nogi. - Nie chcę już o tym mówić. Moja matka umarła zaledwie kilka dni temu. Nie doszedłem jeszcze do siebie.

- Oczywiście. Przepraszam.

Barrie go nie naciskała. Zyskała więcej, niż oczekiwała. Co prawda pojawiło się więcej pytań niż odpowiedzi, ale była gotowa tych odpowiedzi poszukać.

- Naprawdę to bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że zechciał pan ze mną porozmawiać. - W drzwiach serdecznie uściśliła Gastonowi rękę. Wierzyła, że oszukali go, tak jak i resztę narodu. Dlatego, choć nie zachowywał się grzecznie, czuła dla niego tylko litość. - Proszę przekazać wyrazy współczucia całej pańskiej rodzinie i raz jeszcze przepraszam za przykrość, jaką państwu sprawiłam.

Ralph Gaston junior odprowadził Barrie Travis spojrzeniem. Poszła chodnikiem do zaparkowanego przy krawężniku samochodu. Począł, aż odjechała, i pośpiesznie ruszył do telefonu.

Podniesiono słuchawkę już po drugim sygnale.

Ralph rozmawiał z agentem federalnym tylko dwa razy w życiu: przedwczoraj, gdy jeden z nich pojawił się na stypie i chciał zamienić z nim kilka słów sam na sam, i teraz. Za każdym razem wilgotniały mu dłonie i zasychały w ustach.

- Powiedział pan, że mam zadzwonić, gdyby pokazała się ta reporterka. Właśnie wyszła ode mnie z domu.

- Rozmawiał pan z nią?

- Tak, proszę pana. Chciałem zatrzęsnać jej drzwi przed nosem, ale zrobiłem tak, jak mi pan kazał i próbowałem zachowywać się normalnie.

- Czego chciała?

- Przeprosić. - Opisał przebieg rozmowy, a potem odpowiedział na wszystkie pytania tamtego z gorliwością i dokładnością rekruta. - Najwięcej pytała o stan zdrowia mojej matki i sposób leczenia pani Merritt przez doktora Allana.

Po chwili pełnej napięcia ciszy agent federalny rządu powiedział:

- Bardzo dobrze się pan zachował, panie Gaston. Prezydent Merritt będzie wdzięczny za pańską pomoc.

Ralph przełknął ślinę. Rozkazy wydawał mu bezpośrednio sam naczelny wódz. Powiedziano mu, że Barrie Travis chce oczernić administrację Merritta, ponieważ jest chorobliwie zazdrosna o Pierwszą Damę.

Barrie Travis była zaciekłą przeciwniczką Białego Domu, tym samym więc stawała się wrogiem narodu. Jeszcze nie ustalono, jak daleko się posunie, ale od incydentu w Shinlin starano się zapobiec jej działaniom. Dlatego prezydent prosił, aby powiadomiono go natychmiast, gdyby zwróciła się do rodziny Gastonów w poszukiwaniu informacji, których potem mogłaby użyć do swych niszczycielskich celów.

- Natychmiast przekażę prezydentowi wiadomość - powiedziano Ralphowi Gastonowi. - Bardzo dobrze spełnił pan swój obowiązek.

- Dziękuję panu. Cieszę się, że się na coś przydałem. Czy mógłbym jeszcze w czymś pomóc?

- Proszę o zawiadomienie mnie, gdyby się jeszcze raz zjawiała.

- Chyba już nie przyjdzie - odparł Gaston. - Zwolniono ją ze stacji telewizyjnej. Nie odwiedziła mnie jako reporterka, tylko jako zwykły gość.

Spence odłożył słuchawkę i odwrócił się do prezydenta.

- Dzwonił Gaston. Ciągłe mu się wydaje, że rozmawia z agentem FBI. Zgadnij, kto mu właśnie złożył kurtuazyjną wizytę?

- Cholera! - zaklął David.

Kiedy ten problem zniknie? Miał inne ważne sprawy na głowie. Właśnie wychodził na spotkanie szefów połączonych sztabów. Wywiad przekazywał niepokojące informacje z Libii. Za kilka tygodni dostanie projekt ustawy budżetowej na następny rok. Cięcia zaproponowane przez obie izby Kongresu wywołają gniew niektórych grup nacisku i na niego spadnie łagodzenie sytuacji. W dodatku każdą decyzję musi podejmować, biorąc pod uwagę jej wpływ na przyszłoroczne wybory.

Sprawy administracji wymagały jego uwagi, ale dręczący go problem z konieczności usuwał je na dalszy plan.

- Jest uparta jak kozioł - poskarżył się. - Nie odpuści.
- Odpuści. Tak jak Gray. Możemy ich usunąć.
- To zbyt ryzykowne, Spence. Za często mówiono o nich w telewizji.
- Najczęściej mówił o nich Clete. Pobił chyba rekord wygłaszania obraźliwych tyrad na ich temat.

Gdyby spotkał ich gwałtowny koniec, to podejrzania spadłyby najpierw na niego.

Merritt zastanowił się przez chwilę. Kuszący pomysł. Jeden kamień, dwa ptaki. Trzy, jeśli doliczy się Clete'a. Agenci Spencer dostarczali im szczegółowych informacji o każdym ruchu Graya, Barrie Travis i starego człowieka, u którego się zamelinowali. Może uwolnić się od nich celnym ruchem? Bardzo pociągający pomysł, ale... Nie, to zbyt ryzykowne.

- Nie, Spence.
- Mam ludzi, którzy mogą się tym zająć. Stałoby się to tak daleko od Białego Domu, że...

Merritt podniósł rękę.

- Bill Yancey to wielka niewiadoma - stwierdził. - Nie mogę zbyt ryzykować. Poza tym - dodał - masz na uwadze głównie własne cele. Chcesz załatwić Bonduranta.

- To prawda. Jednak rozwiązałyby to również i twój problem.

- Chciałbym rozwiązać swój problem, ale musimy to mądrze rozegrać. Gray i Travis nie narobią szkód, dopóki nie skontaktują się z Vanessą.

- Bądź rozsądny, Davidzie. Nie możemy jej więzić w Białym Domu w nieskończoność.

Prezydent spojrział na swego doradcę.

- Nie, nie możemy. Nie wtedy, gdy stan jej zdrowia znowu się pogarsza - wycodził.

Jak zwykle, porozumieli się bez słów. Spence pokiwał głową i sięgnął po słuchawkę.

- Natychmiast wezwę doktora Allana.

Merritt wyjął mu słuchawkę z ręki.

- Chcesz mieć następną ofiarę ataku serca? George sądzi, że nie żyjesz. Lepiej będzie, jeśli ja z nim porozmawiam.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

- Gdzie do diabła byłaś? - spytał zniecierpliwiony Gray, gdy Barrie stanęła w drzwiach. - Miałaś wrócić dwie godziny temu.

- Odkopywałam pewne interesujące informacje - odparła. - Spokojnie. Nic mi się nie stało. Przez całe popołudnie miałam towarzystwo. Odkleili się dopiero na ostatnim rogu. Umieram z głodu. - Rzuciła mu kluczyki od samochodu. - Pojedź po kolację, a ja tymczasem wezmę prysznic. Potem pogadamy.

W godzinę później siedzieli przy stoliku w kuchni. Resztki jedzenia na wynos stygły w białych kartonowych pojemnikach. Radio ryczało w kącie.

Barrie przeprosiła, że nie uprzedziła ich, że się spóźni.

- Nie dzwoniłam, ponieważ nie miałam do powiedzenia nic ważnego - powiedziała. - Ale wybaczycie mi, gdy opowiem wam, czego się w końcu dowiedziałam.

- Od Ralpha Gastona juniora?

- Pośrednio. - Starając się nie przekrzykiwać radia, opowiedziała im o spotkaniu z synem zmarłej pielęgniarki. - Zdziwiło mnie, że z uporem powtarzał, iż jego matka była doskonałą pielęgniarką.

- Co z tego?

- Nikt nawet nie sugerował czegoś innego. Dlaczego więc to podkreślał? Tak mnie to zaskoczyło, że po wyjściu od niego pogrzebałam trochę w różnych miejscach. Zadzwoiłam do mojego informatora w wydziale spraw kryminalnych, który sprawdził jej nazwisko w centralnym rejestrze przestępców. Okazało się, że była kiedyś aresztowana, ale pod innym nazwiskiem.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie.

- Przez wiele lat po ślubie z Ralphem Gastonem używała w pracy panieńskiego nazwiska. Jayne Heisellman - mówiła dalej Barrie.

- Brzmi znajomo - wtrącił Daily.

- Kilka lat temu umarł nieuleczalnie chory, którym opiekowała się Heisellman. Podejrzewano eutanazję. Pielęgniarka uparcie zaprzeczała oskarżeniom, ale ortodoksyjna katolicka rodzina pacjenta zwróciła się do prokuratora okręgowego z żądaniem przeprowadzenia śledztwa. Jednak sąd nie skazał pielęgniarki z braku dowodów. Orzeczono, że śmierć pacjenta spowodował rak trzustki, a Heisellman oczyszczono z wszelkich zarzutów.

- Już sobie przypomniałem - mruknął Daily.

- Ja też powinnam pamiętać tę sprawę - powiedziała Barrie z rozgoryczeniem. - Był to jeden z pierwszych materiałów, jakie przygotowywałam dla WVUE. Nie rozpoznałam jej w kostnicy. Postarzała się, to prawda, a sytuacja nie sprzyjała wspomnieniom. Chociaż oczyszczono ją wtedy z zarzutów, tak bardzo przejęła się oskarżeniem, że dostała ataku serca. Prasa donosiła również i o tym. Powróciła do zdrowia i po sześciu miesiącach mogła znów pracować, jednak śledztwo pozostawiło plamę na jej dotychczas nieskazitelnej opinii. Zmuszono ją do opuszczenia ośrodka opieki społecznej, gdzie wydarzył

się tamten wypadek. Zaczęła używać nazwiska męża, ale i tak nie chciano jej nigdzie zatrudnić.

- Aż zatrudnił ją doktor Allan - zauważył Gray.

Barrie wycelowwała w niego dwa palce i strzeliła.

- Utrafiłeś w samo sedno, stary.

- Wynajęli pielęgniarkę, którą kiedyś podejrzewano o zabicie pacjenta z litości...

- Na wypadek, gdyby Vanessa umarła. Albo gdyby umarła, a pielęgniarka miała ochotę paplać, mogłaby nie przeżyć następnego ataku serca.

- Co nie wywołałoby podejrzeń ze względu na wcześniejsze kłopoty z sercem.

Ich myśli biegły jednym torem, mogli kończyć rozpoczęte zdania za siebie nawzajem.

- Bez względu to, jak by im poszło, mieli idealnego kozła ofiarnego - dokończyła Barrie.

- Dobra robota - pochwalił ją Daily.

- Dziękuję - mruknęła. Ucieszyła ją ta pochwała.

- Jak sądzisz, czy doktor Allan zabił pielęgniarkę i upozorował jej śmierć na kolejny atak serca? - spytał Daily.

Gray z roztargnieniem podrapał się w brodę.

- To możliwe, ale chyba nie. George jest... sam nie wiem... słaby. Nie sprawia wrażenia człowieka bezwzględnie gotowego sprzątnąć kogoś z zimną krwią. Nie jest podobny do Spence'a. Ani do Davida. Sądzę, że zaskoczył ich ten atak serca. W szpitalu doktor nie zachowywał się jak ktoś winny, lecz był zdenerwowany. - Gray zwrócił się do Barrie: - A co z Gastonem? Czy to gracz?

- Nie. Przejmował się wyłącznie reputacją zawodową matki.

- Więc gdzie jesteśmy? - chciał wiedzieć Daily.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparła Barrie.

Po kilku minutach milczenia Daily powiedział:

- Mam dość. A to cholerstwo doprowadza mnie do szału. - Rzucił mordercze spojrzenie nastawionemu na pełny regulator odbiornikowi.

- Nie pozwól, żeby frustracja odebrała ci rozum.

Daily spojrzął na Barrie ze złością.

- O co chodzi? - spytał Gray.

- Widzisz, Bondurant - zaczął Daily - to mój dom i robię w nim, co mi się podoba. Gray spojrzął na niego posepnie.

- Jeśli stało się coś, o czym powinienem wiedzieć...

- Och, na miłość boską - przerwała im Barrie. - Nie róbmy z tego zbrodni stanu. Daily zdenerwował się trochę dziś rano. Kiedy wyszedłeś, ich samochód jeździł bez przerwy pod domem. Daily stracił panowanie nad sobą, wyszedł na ganek i pomachał im pięścią. To wszystko.

- Tyle, że teraz wiedzą, iż ich namierzylśmy - stwierdził Gray z widocznym niezadowoleniem.

- Daily nie miał zamiaru...

- Dziękuję ci za obronę - przerwał jej szorstko Daily i zwrócił się do Graya wojowniczym tonem: - Za kogo ty się uważasz, żeby mi wydawać rozkazy w moim własnym domu?

- Nie ścigamy się ze sobą, Daily. - Głos Graya był łagodniejszy, niż Barrie się spodziewała. - Jeśli udzielam ci rad, to mam na uwadze twoje własne bezpieczeństwo. I bezpieczeństwo Barrie. Nie potrafię cię przekonać, jak bardzo ci faceci są groźni. Szukają tylko pretekstu. Nie prowokujcie ich. Nie chcę mieć waszej śmierci na sumieniu.

Daily miał minę dziecka, które niesprawiedliwie skarcono.

- Do diabła - jęknął wstając. - Idę do łóżka.

Barrie zgłosiła się na ochotnika do zmywania. Gray wyszedł za Dailym z kuchni. Skończyli rozmowy spiskowców na ten wieczór, więc Barrie wyłączyła radio i rozkoszowała się ciszą. Kiedy kuchnia lśniła już czystością, zgasiła światła i poszła do saloniku.

Gray rozsiadł się wygodnie w rogu sofy, głowę położył na oparciu, nogi wyciągnął daleko przed siebie. Barrie widziała w ciemności tylko jego profil, podkreślony rozproszonym światłem ulicznej latarni przebijającym przez zasłony.

Wychowywało ją dwoje ludzi bardziej skupionych na wzajemnym unieszczęśliwianiu się niż na szczęściu dziecka spłodzonego w rzadkiej chwili małżeńskiej harmonii. Być może właśnie dlatego wybrała sobie zawód, w którym ciągle na nią patrzono. Dziennikarstwo telewizyjne nie jest dla osób, które starają się nie zwracać na siebie uwagi. Niegdyś zaniedbywane dziecko, teraz znalazła się w centrum zainteresowania. Wyśmiewano ją, karcono, ale rzadko ignorowano.

Jednak Gray Bondurant wyraźnie ją lekceważył. I nie chodziło tylko o to, że ignoruje jej osobę, lekceważył bliskość, jaką przeżyli. Od tamtego ranka, kiedy się poznali, prawie nie rozmawiali o sobie.

Wiedziała oczywiście, że tamten ranek w Wyoming był efektem jakiejś niesamowitej reakcji chemicznej między nimi. Na pewno nie był to akt miłości czy choćby serdeczności. Nie oczekiwała, że Gray będzie śpiewał hymny na jej cześć za każdym razem, gdy wejdzie do pokoju, ale czy nie było potrzebne jakieś potwierdzenie? Zachowywał się tak, jakby między nimi nic nie zaszło. Kiedy miał okazję pójścia z nią do łóżka w motelu, nawet nie spróbował. Była to najgorsza obelga.

Tej nocy wydawał się szczególnie pochłonięty własnymi myślami, zamknięty w sobie. Wchodzenie prosto w paszczę lwa nie było rozsądne. Jednak w przeszłości rzadko wybierała rozsądne rozwiązania.

Przeszła przez pokój i usiadła na wprost Graya.

- Nie możesz się zachowywać tak, jakby nic nie zdarzyło - zaczęła bez wstępu.

- Dlaczego nie? - Przynajmniej nie udawał, że nie wie, o czym Barrie mówi. - Przecież uzgodniliśmy, że to był seks bez zobowiązań.

- Owszem.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „więc nie ma sprawy”.

- Ale nawet jeśli była to tylko przygoda - powiedziała - czy nie możemy pamiętać, że to się wydarzyło?

- W jakim celu?

- Cóż... to by... to by... - Westchnęła. - Nie wiem. Czuję po prostu, że nie powinniśmy tego ignorować.
- Ze względu na twojego ojca?
- Gdyby zaczął nagle mówić po chińsku, nie zaskoczyłby jej bardziej.
- Co o nim wiesz?
- Że nigdy nie było go w domu. Nie interesował się ani twoją matką, ani tobą. Zdradzał twoją matkę bez przerwy i umarł na ałtuszowym prześcieradle, gdy był z kochanką, a twoja matka zabiła się z tego powodu.
- To Daily ci wszystko opowiedział, co? - zapytała z rozgoryczeniem. - Nie miał prawa omawiać z tobą moich osobistych spraw.
- Trzymałem pistolet przy jego skroni. W przenośni oczywiście.
- Dlaczego tak cię to interesowało, Bondurant?
- A dlaczego ciebie tak to irytuje?
- Nie widziała jego oczu w ciemności, ale czuła ich uporczywe, szacujące spojrzenie.
- Jesteś pełna sprzeczności, Barrie, a mnie wyszkolono do wyszukiwania i analizowania sprzeczności, ponieważ na ogół są bardzo ważne.
- Dlaczego jestem uosobieniem sprzeczności?
- Na przykład, im bardziej ponura sytuacja, tym chętniej żartujesz. W obecności mężczyzn wysyłasz różne sygnały jednocześnie. W jednej chwili bronisz się przed wszystkim, co ma choćby daleki związek z seksem, a w następnej... - Pozwolił, żeby zdanie zawisło w powietrzu.
- Prawdziwy z ciebie dżentelmen.
- Chciałbym wiedzieć, dlaczego raz jesteś taka zimna, raz gorąca. Po tym, co Daily mi powiedział, lepiej cię rozumiem. Odrzucenie przez ojca sprawiło, że stałaś się taka ambitna.
- Wysunęła biodro do przodu i położyła na nim rękę.
- Co ty powiesz?
- Pracujesz tak ciężko, żeby zasłużyć na pochwałę tatusia. Szukasz uczucia, ale się go boisz. Stroisz się w piórka feministki, odrzucasz mężczyznę, zanim zdąży odrzucić ciebie, ale ta postawa twardego klóci się z twoimi naturalnymi skłonnościami. Przez ojca nie ufasz mężczyznom.
- To nie brak zaufania, Bondurant. To rozsądek. Poza tym nie ufam tylko niektórym, a nie wszystkim mężczyznom.
- Większości.
- Większości nie można zaufać. Nie pozwolę, aby mężczyzna traktował mnie tak, jakbym była niewidzialna. Nie oczekuję od ciebie róż i bombonierek, ale nie patrz przeze mnie i nie udawaj, że nie istnieję.
- Uczciwie postawiona sprawa.
- Świetnie. Wobec tego dobranoc.
- Dobranoc.

Potem, samotnie leżąc na wąskiej połówce w zagrożonym pokoju, Barrie uświadomiła sobie, że dopięła celu. Ale było to pyrrusowe zwycięstwo.

Rozdział trzydziesty

Vanessa Merritt jadła śniadanie w łóżku. Od trzech dni nie opuszczała sypialni, od tamtego wieczoru, gdy David ją uderzył. On też jej nie odwiedził.

Oparta na poduszkach oglądała wywiad Kalie Couric z sekretarzem obrony, który właśnie wrócił z Afryki Północnej. Dochodziły stamtąd informacje o przegrupowaniach wojsk w Libii i atakach lotniczych na Izrael. Rząd libijski kategorycznie zaprzeczał, jakoby ponosił odpowiedzialność za bombardowania. Sekretarz doradził prezydentowi Merrittowi, żeby nie podejmował żadnych drastycznych kroków, ani politycznych, ani wojskowych, dopóki wywiad nie dostarczy dokładniejszych informacji.

David byłby wściekły, gdyby musiał zdecydować się na otwarty atak. Tego typu decyzje prowokowały reakcje obu partii i publiczny protest. Zaangażowanie się choćby w niewielką utarczkę mogło go kosztować głosy wyborców.

Vanessa uśmiechnęła się na myśl o kłopotach, jakich mogło mu to przysporzyć.

Ale jej uśmiech znikł, gdy asystentka zastukała do drzwi i oświadczyła, że chce ją zobaczyć doktor Allan.

- Czego chcesz, George? - spytała nieuprzejmie, gdy doktor podszedł do jej łóżka.

- Co to za powitanie? - zdziwił się. - Przyszedłem cię zbadać.

- Czy to David ci kazał mnie zbadać?

Udawał, że nie widzi brzydkiego siniaka i opuchlizny pod okiem.

- Nie. Wyjechał dziś rano nad Morze Karaibskie obejrzeć straty spowodowane przez huragan - powiedział.

Skinęła głową w stronę telewizora.

- Pokazywali w wiadomościach, jak machał na pożegnanie przed wejściem na pokład samolotu w Andrews. Co za zdecydowana mina! Jestem pewna, że jedną ręką pokona huragan niczym smoka. Sir David Nieustraszony.

- Nie do twarzy d z sarkazmem, Vanesso - stwierdził doktor i wsunął na jej ramię rękaw aparatu do mierzenia ciśnienia.

- Tak jak z siniakiem na moim policzku, którego z takim wdziękiem starasz się nie zauważać. Czy David się obawiał, że potrzebna będzie operacja plastyczna? Czy przysłał cię tutaj, abys ocenił straty i zaproponował naprawę?

- Przyszedłem, ponieważ przypadła pora kolejnego pomiaru ciśnienia krwi. - Zsunął rękaw aparatu z ramienia Vanessy i na jego miejsce założył gumową rurkę, zaciskając ją mocno. - David doszedł do wniosku, że być może potrzebujesz jeszcze odpoczynku, nim całkowicie wrócisz do sił.

- Znowu odosobnienie?

Dobry Boże, nie! - zawołała w myślach. Nie mogłaby krzyknąć głośno, bo zaraz wbiegliby agenci Tajnej Służby. Strażnicy i asystentka, która wyglądała na najsympatyczniejszą z wszystkich babć na świecie, ale z pewnością była szpiegiem Davida - wszyscy spojrzeliby na nią ze współczuciem, że jej choroba aż tak się posunęła. Nafaszerowano by ją proszkami i wywieziono.

Nikt nie mógł jej pomóc. Znalazła się w pułapce. W czasie konferencji prasowej starała się wysłać sygnał. Czy nikt, kto dobrze ją znał, nie zauważył, że nie założyła pierścionka matki?

Widocznie nie. Gray też nie zauważył. A Spence zniknął, ale i tak był lojalny wyłącznie wobec Davida. Pamiętała obietnicę ojca wyszeptaną jej do ucha, że trzyma wszystko pod kontrolą. Gdzie więc jest teraz?

- Chcę zadzwonić do mojego ojca - wymamrotała, gdy George zwilżył jej ramię wacikiem.

- Zadzwoń do niego później. Zaciśnij pięść, żebym mógł pobrać krew.

- Chcę teraz do niego zadzwonić - zażądała głosem piskliwym ze strachu.

Odrzuciła przykrycie i opuściła nogi przez krawędź łóżka. Nie zważając na swoją nagość sięgnęła po telefon stojący na nocnym stoliku. Nerwowo złapała słuchawkę, ale wyslizgnęła jej się z ręki i upadła na podłogę. Vanessa osunęła się na czworaki.

- Vanesso, na miłość boską! - George objął ją w pasie i próbował postawić na nogi.

- Puść mnie, ty sukinsynu!

Walczyła z nim, ale wytrącił jej słuchawkę z ręki i szarpnięciem pociągnął do góry. Machała ramionami i próbowała podrapać mu twarz paznokciami.

- Nie pozwolę, żebyś znowu mi to zrobił!

- Próbuję ci tylko pomóc.

- Kłamiesz, hipokryto! - syknęła. - Przestań udawać. Oboje wiemy, po co tu jesteś. Kazano ci mnie usunąć z widoku, prawda? Przynajmniej do czasu, dopóki nie zniknie ślad po uderzeniu. Źle by wyszedł na zdjęciach siniak pod okiem Pierwszej Damy po rodzinnej kłótni, co?

Znowu próbowała się wyrwać, ale George mocno ją przytrzymał.

- Nie próbuj się wyrwać, bo będę ci musiał podać środek na uspokojenie.

- Gdyby David ci kazał, zabiłbyś mnie, prawda?

- Chryste, nie!

- Kłamiesz. Próbowałeś już to zrobić w Highpoint. Co on ma na ciebie?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Zatajasz dla niego morderstwo, więc musi znać jakiś twój sekret. Co to jest, George?

- Nic nie wiem o żadnym morderstwie.

Ależ wiesz, choć nikomu nic nie powiesz, bo David ma cię w ręku. Jaki miecz trzyma ci nad głową? Chodzi o Amandę? To by cię zabolalo najbardziej, prawda? A może groził śmiercią twoim dzieciom? Też jest w tym dobry. Wierz mi, on... Auuu!

Zanim się zorientowała, sięgnął po przygotowaną strzykawkę i wbił jej igłę w udo.

- Przepraszam, Vanesso. Nie dałaś mi wyboru.

- Miałeś wybór, George. Wszyscy możemy wybierać. Niech cię szlag trafi! - krzyknęła łamiącym się głosem. - Idźcie do diabła, ty i David!

Doktor Allan zahamował na podjeździe przed domem, ale nie zdobył się na wysiłek, aby wysiąść. Siedział w samochodzie i patrzył przed siebie, nic nie widząc. Jego dłonie leżały bezwładnie na kolanach. Był tak wyczerpany, że zabrakło mu sił do otwarcia drzwiczek.

W domu paliło się światło i ten widok niósł mu pociechę. Za każdym razem, gdy wracał do domu, obawiał się, że zastanie ciemne okna, opustoszałe pokoje, opróżnione szafy i szuflady. Żył w ciągłym strachu, że Amanda się wyprowadzi i zabierze chłopców ze sobą.

Przysięgła, że będzie o niego walczyć, ale co będzie, gdy zrezygnuje z walki? Gdy zda sobie sprawę, że nie jest wart ocalenia? Każdego ranka dostrzegał niesmak w jej spojrzeniu, kiedy zjawiał się na śniadaniu z przekrwionymi oczyma, z kacem poczucia winy i po wypitym alkoholu.

Kochał Amandę, bo wciąż zależało jej na nim na tyle, że ciągle jeszcze pytała, gdzie był i co robił, lecz jednocześnie razila go jej wnikliwość. Miała wewnętrzny wykrywacz kłamstw dokładniejszy niż jakiegokolwiek urządzenie stosowane przez stróżów prawa. Coraz trudniej było jej uwierzyć w najbardziej wymyślne wymówki.

Poczucie winy sprawiało, że przyjmował postawę obronną i często ranił żonę ostrymi słowami. Po kilku przykrych scenach przestała go o cokolwiek pytać, bo miała już dość jego kłamstw i chciała oszczędzić synom przeżywania okropnych klótni.

W jej oczach widział potępienie i pogardę. Czuł, że kończy się jej cierpliwość, zmniejsza tolerancja, słabnie miłość. Mogła go opuścić w każdej chwili, a on umarłby wówczas z rozpacz i wstydu.

Wypił długi haust szkockiej z butelki, którą w drodze do domu trzymał między udami. Niemal żałował, że nie zatrzymała go policja drogowa i nie aresztowała za prowadzenie po pijanemu. Kara więzienia za pijaństwo byłaby znacznie lżejsza od dożywocia, które odbywał służąc Davidowi. A gdyby znalazł się w więzieniu, David musiałby poszukać innego lekarza do rozwiązania swojego problemu. George z największą radością pozbyłby się tego obowiązku.

Czekał dziś w Gabinetcie Ovalnym na powrót Davida z krótkiej podróży na Karaiby, skąd telewizja dokładnie relacjonowała przebieg misji dobrej woli prezydenta. Sfilmowano młodego, przystojnego prezydenta Merritta, jak przedziera się przez zniszczoną huraganem okolicę i pociesza mieszkańców wysp, którym bezwzględne siły natury zabrały dobytek i rodziny.

Gdyby tylko wiedzieli, myślał George, jak bezwzględny jest ten wygłaszający pocieszające słowa człowiek.

Pomimo długiego, męczącego dnia David był pełen energii. Wkroczył sprężystym krokiem do Gabinetu Ovalnego.

- George? O co chodzi?

Jakby nie wiedział.

- Z ogromnym żalem muszę cię poinformować, że twoja żona znowu się rozchorowała. Dziś rano musiałem przewieźć ją do prywatnej kliniki, gdzie znajdzie odpowiednią opiekę.

David udawał, że bardzo przejął się wieściami. Czy powiadomiono jego teścia?

- Sądziłem, że może życzyłbyś sobie osobiście powiedzieć o tym senatorowi Armbrusterowi.

Merritt poprosił, by George pomówił z Daltonem Neelym o sformułowaniu odpowiedniego oświadczenia dla prasy. George zgodził się i powiedział, że zrobi to nazajutrz.

Jeśli nawet David zauważył udrękę na twarzy doktora Allana ?” i jego widoczny brak entuzjazmu do nowego pomysłu, nie dał tego po sobie poznać. Był przekonany, że jego polecenia zostaną wykonane co do joty - bez względu na to, co o nich’ sądził George.

„Jaki miecz trzyma ci nad głową?”

George przeklinał dzień, w którym poznał Davida Merritta. To, co mogło wydawać się pomyślnym wydarzeniem, okazało się najbardziej feralnym epizodem w jego życiu. Przez przypadek - czy może było to zrządzenie losu, jak to przedstawiał David - obiecujący młody stażysta spotkał wybijającego się młodego kongresmana na korcie tenisowym. Kiedy uścisnęli sobie dłonie, George poczuł moc płynącą z ręki tamtego. Zupełnie jakby dostał zastrzyk charyzmy i energii Davida. To zauroczenie było początkiem ich przyjaźni.

Zaczęli się spotykać, żeby pograć w tenisa, napić się czegoś wspólnie lub zjeść lunch. Allanowie, niedawno poślubieni i o ograniczonych środkach, nie mogli wystawnie przyjmować gości, ale wyglądało na to, że Davidowi sprawia przyjemność zjedzenie choćby kanapki w ich skromnym mieszkanku. Jednak Vanessa i Amanda nie zaprzyjaźniły się ze sobą tak jak ich mężowie. George domyślał się, że przyczyną tego była wyższość intelektualna Amandy. Różniły się też temperamentem i osobowością. Ale ich obojętność względem siebie nie przeszkadzała przyjaźni między George’em i Davidem.

Wkrótce George zaczął uważać Davida za swego najlepszego przyjaciela. Dlatego też, gdy jego kariera zawodowa znalazła się na skraju katastrofy, właśnie do niego zwrócił się o pomoc.

Na izbę przyjęć przywieziono młodego Murzyna, który zemdlął w czasie gry w koszykówkę. George na podstawie wieku oraz wyglądu pacjenta - i wyglądu jego kolegów - zaczął podejrzewać przedawkowanie narkotyków. Spytał młodych koszykarzy, jakie narkotyki zażywał ich przyjaciel w ciągu dnia.

- On chce grać w tej zaszranj NBA - poinformował go jeden z chłopców. - Nic mocnego nie bierze.

George’a to nie przekonało. Wszystkie objawy wskazywały na przedawkowanie barbituranów i połączenie ich z alkoholem. Zalecił płukanie żołądka i środek wymiotny - ipekakuanę.

Kiedy do szpitala przyjechała matka chłopca, powiedziała, że w dzieciństwie chorował na gorączkę reumatyczną, po której zostało mu zwyrodnienie zastawki aorty. Cierpiał też na niewydolność mięśnia sercowego spowodowaną intensywną grą w koszykówkę.

Zanim George podjął konieczne kroki, by naprawić swój błąd, zadziałała ipekakuaną. Chłopiec wciągnął do płuc wymiociny i udusił się nimi.

Ogarnięty paniką i wyrzutami sumienia George pobiegł do Davida.

- Był półprzytomny i nie mógł mnie uprzedzić - bełkotał w panice. - Przeżyłby, gdybym nie wyciągnął błędnego wniosku. Dokładniejsze badanie wskazałoby...

- Czy któryś z tych dzieciaków powiedział ci, że miał słabe serce?

- Matka mówiła, że nie chciał, by jego koledzy dowiedzieli się o tym. Myśleliby, że się pieści. Chryste - zaczął łkać, kryjąc twarz w dłoniach - ona może podać do sądu szpital i mnie za błąd w sztuce lekarskiej.

Już widział koniec swojej kariery, nim na dobre się zaczęła. Jeszcze tylko kilka miesięcy brakowało mu do dopełnienia stażu. Marzenia jego i Amandy legły w gruzach.

- Nie osądzaj się zbyt surowo - powiedział spokojnie David. - Co miałeś myśleć? To czarny dzieciak z ulicy, więc przyczyna wydawała się oczywista.

- Nie przyszło mi do głowy, że chodzi o serce.

- Oczywiście, że nie.

- A powinno - upierał się George. - Nie powinienem wykluczać innych możliwości tylko dlatego, że pierwsza diagnoza wydawała się oczywista.

- Posłuchaj - powiedział David - jeśli sądzisz, że pozwolę ci cierpieć z powodu zwykłej pomyłki przez resztę życia, to chyba zwariowałeś. Jesteś moim przyjacielem. Ufasz mi?

Zahipnotyzowany opanowaniem Davida, George pokiwał głową.

- Czy ktokolwiek słyszał, jak matka chłopca mówiła ci o jego wadzie serca?

- Nie sądzę. Byliśmy sami.

- To dobrze.

- Ale jest to zapisane w jego karcie zdrowia. Matka przyniosła wyniki do szpitala.

- Gdzie są te wyniki? - spytał spokojnie David.

George wyciągnął obciążającą go teczkę i podał Davidowi.

- Nigdy tego nie widziałeś, rozumiesz? - powiedział David, zamykając teczkę w sejfie. Odwrócił się do George'a i roześmiał na widok jego miny. - Uspokój się. To tylko dla ciebie jest wielka sprawa. Pacjenci cały czas umierają na izbie przyjęć. Obiecuję, że nikt nie będzie się temu przypadkowi zbyt dokładnie przyglądał.

- A co z jego matką?

- Prawdopodobnie wiedziała, że syn w każdej chwili może umrzeć. Pewnie dojdzie do wniosku, że wcześniej czy później musiało do tego dojść, i uwierzy, że zrobiłeś wszystko, aby go ocalić. A ponieważ umarł na izbie przyjęć, nie będzie sekcji.

Jak David przewidział, nikt nie kwestionował przyczyny śmierci, którą George wpisał do świadectwa zgonu. Gdy przedsiębiorstwo pogrzebowe zgłosiło się po ciało chłopca, matka już więcej nie pokazała się w szpitalu.

Nieczysty sekret jeszcze wzmocnił ich więź. David przedstawił George'a swoim kolegom z Kongresu oraz innym wpływowym ludziom. Nazywał go najlepszym lekarzem w Waszyngtonie, a ponieważ robił to w ten sam szczery, przekonujący sposób, w jaki przedstawiał projekty ustaw Izbie Reprezentantów,

uwierzono mu.

Do czasu otwarcia prywatnej praktyki George był doskonale znany wszystkim ważnym osobistościom w Waszyngtonie. Wiele lat później, gdy powołano go na stanowisko osobistego lekarza w Białym Domu, sprzedał lukratywną praktykę za niewiarygodną sumę i kupił dom obok rezydencji wiceprezydenta.

Nie mogło być lepiej.

A potem wezwano go do Białego Domu w środku nocy, aby stwierdził śmierć trzymiesięcznego Roberta Rushtona Merritta, i skończyło się bajkowe życie doktora George'a Allana,

David prosił go o pomoc w zamian za przysługę sprzed lat. George nigdy o to nie pytał, ale przypuszczał, że David zatrzymał teczkę z wynikami badań tamtego chłopca. Postawienie złej diagnozy przy określonych objawach było zwykłą, często zdarzającą się pomyłką i George jakoś by to przeżył, gdyby wówczas się do tego przyznał. Ale teraz, po latach, społeczność lekarska nie wybaczyłaby mu tego kłamstwa i zatuszowania wypadku. Rozwiązanie Davida, które wydawało się początkowo ocaleniem, przyniosło mu zgubę.

Był obecnie znaną osobistością i dochodzenie w sprawie dawno zapomnianego wydarzenia na izbie przyjęć z pewnością znalazłoby się na pierwszych stronach gazet. Nie miałyby znaczenia, ilu innych pacjentów zmarło z powodu źle postawionej diagnozy. Uwagę wszystkich zwróciłaby śmierć tamtego chłopca, jego nieszczęsna matka i lekarz, który dopuścił się tak fatalnego w skutkach przeoczenia.

Musiał chronić rodzinę przed skandalem. Oszczędności ze sprzedaży praktyki pozwolą Amandzie i chłopcom na wygodne życie. Nie zostawi jej z marną polisą na życie czy ogromnym długiem do spłacenia.

Nagle George zdał sobie sprawę, że myśli o swoim życiu w czasie przeszłym. Gdyby wykonał ostatni rozkaz Davida, byłby już martwy.

Rozdział trzydziesty pierwszy

- Myślisz, że on kłamie? - spytała Barrie z wyraźnym rozdrażnieniem w głosie.

- Dalton Neely jest rzecznikiem prasowym Białego Domu - odparł Gray. - Kłamstwo należy do jego obowiązków.

- Tym razem się z tobą nie zgadzam.

Znów siedzieli w kuchni, jedząc ciasto i pijąc kawę. Prawie tydzień upłynął od dnia, gdy Neely ponownie oświadczył, że Pierwsza Dama na pewien czas usunęła się z życia publicznego. Niezbyt wyraźnie mówił o stanie jej zdrowia i nie podał miejsca pobytu.

Nie potrzebowali już radia do zagłuszania rozmów. Gray zainstalował akustyczny generator zakłóceń i umieścił kilka przetworników w różnych kątach w domu. Ta elektroniczna zabawka wytwarzała barierę, która osłabiała skuteczność urządzeń podsłuchowych.

- Wierzę Daltonowi, kiedy mówi, że Vanessa choruje - oświadczyła Barrie.

- Dlaczego go bronisz?

- Bronię nie jego, lecz swojej racji. Vanessa jest chora. Kropka. Śmierć dziecka pogłębiła jej psychozę maniakalno-depresyjną. Jej leczenie trzeba inaczej ustawić. Dopóki nie osiągnie poprawy, musi pozostawać pod stałą opieką lekarzy. W odosobnieniu szybciej wróci do zdrowia. Przedtem też tak było. Wszystko bym na to postawiła.

- Nic ci nie zostało - zauważył Daily.

- Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś. Co pięć minut mi o tym przypominasz.

- Co cię ugryzło?

- Nic. Wszystko. Nie wiem - odparła z irytacją. - Nie, wiem, co mnie ugryzło. Tęsknię za życiem, jakie prowadziłam, zanim wszystko tak się pochrzało.

- A dokładniej mówiąc, zanim je sama pochrzaniłaś - wtrącił Daily. - Nikt ci nie kazał dostawać kręcka na punkcie SIDS, dziecka prezydenta czy zdrowia psychicznego Pierwszej Damy. Sama sobie to załatwiłaś.

- A kto mnie uczył wszystkich sztuczek w tej branży, co? Ty.

- Uczyłem cię budowania materiału na faktach, nie na przeczuciach. Tego cię właśnie uczyłem. Ale się nie nauczyłaś. - Chwilę potrwało, zanim odzyskał oddech. - Chcesz mieć swoje życie z powrotem? W każdej chwili możesz opuścić mój dom, panienko.

- Może rzeczywiście opuszczę. Mam już powyżej uszu koczowania w twoim zagraconym pokoju gościnnym. Tak jak mam dość dzielenia łazienki z dwoma flejtuchowatymi facetami, którym nie chce się odwiesić mokrych ręczników ani opuścić deski. - Odsunięte gwałtownie krzesło skrzypnęło o linoleum. Wstała od stołu. - Mam już dość was obu i odgrywanej przez was gry - mówiła dalej rozgorączkowana. - To głupia, niebezpieczna gra. Kompletna strata czasu. Właśnie podjęłam ważną decyzję. Chcę odzyskać moje życie. A wy możecie robić, co się wam żywnie podoba.

Przeszła przez kuchnię i trzasnęła drzwiami.

Po chwili pełnej napięcia ciszy Gray powiedział:

- Naprawdę ją rozzłościłeś.

Westchnienie Daily'ego zachrząściło gdzieś głęboko w piersi.

- Tak, byłem dla niej niemiły. Po tym wszystkim, co ostatnio przeszła, powinienem trochę jej odpuścić.

Chyba pójdę i porozmawiam z nią.

- Nie zwracaj sobie głowy. Niech się dąsa. Pewnie niedługo dostanie miesięczki, więc się wścieka.

Zaraz jej przejdzie. Ułagodzę ją.

- Śpisz z nią, prawda?

- Raz się zdarzyło.

- Tylko raz?

- Prowadzisz rejestr?

- Jakie masz wobec niej plany?

- Nie mam planów wobec kobiet.

Daily nie dał się zastraszyć ponurym spojrzeniem niebieskich oczu Graya.

- Czasami mam ochotę ją udusić, ale kocham tę dziewczynę. Traktuję ją jak własną rodzinę. Nie chcę, by stała jej się krzywda. Ani przez ciebie, ani przez tę historię. Może przyszedł czas, żebyśmy sobie dali spokój z tymi bzdurami.

- Tydzień temu nie uważałeś tej historii za bzdury.

- Mam prawo zmienić zdanie. Wszystko się zaczęło, gdy Barrie zachciało się szukać bombowego materiału. Jej ambicje były chyba zaraźliwe, bo i mnie się udzieliły, choć powinienem być mądrzejszy. Potem pojechała do Wyoming i ciebie też wzięło. Nie musiała się za bardzo starać, co, Bondurant? Wystarczyło hasło, że Vanessa ma kłopoty, i już jej rycerz biegnie na pomoc. Do diabła, miałeś rację mówiąc, że jesteśmy żalosi.

- Dobrze się czujesz?

- A jak wyglądam? - sapnął Daily. - Jestem za stary i zbyt chory na takie gówno. Chciałbym, by moje ostatnie chwile były trochę spokojniejsze. Przyznać się do błędu może osoba silna. Chciałbym wierzyć, że choć tyle siły mi zostało.

Wstał i szurając podszedł do drzwi, ciągnąc za sobą skrzypiący wózek z aparatem tlenowym.

- Nie zapomnij zgasić światła, Gray. Nie płacicie czynszu, a elektryczności, jak wiesz, nie dają za darmo.

Gray umył filiżanki po kawie, podszedł do drzwi i wyłączył światło w kuchni. Potem on, Barrie i Daily przystanąli obok siebie w ciemności. Stali tak kilka minut.

Barrie złapała Graya za ucho i ściągnęła jego głowę w dół.

- Co to był za dowcip z miesięczką? - szepnęła mu prosto do ucha.

- Przepraszam - mruknął.

Daily starał się oddychać jak najciszej.

- Jesteś pewien, że to podziała? - spytał.

- Nie - odparł Gray uczciwie. - Wiesz już, jak tego używać? - Wcześniej udzielił mu pobieżnej lekcji, jak posługiwać się wykrywaczem podczerwieni.

- Zmiatajcie - wydyszał Daily ledwo słyszalnym głosem. - Jeśli ktoś czai się w ciemności i obserwuje dom, ten przyrząd mnie ostrzeże.

- Dobrze - mruknął Gray. - Gdy coś zobaczysz, daj znać. - Włożył w ucho słuchawkę bezprzewodową, wspólnie pracującą z małym radiotelefonem schowanym w kieszeni marynarki.

- Fajne zabawki - szepnął Daily. Nawet w mroku Barrie dostrzegła błysk w jego oku.

- Kłopot polega na tym - stwierdził Gray - że zawodowcy mają fajniejsze. Chodźmy.

Daily pożegnał ich podniesieniem kciuków w górę. Wysunęli się przez kuchenne drzwi. Księżyc nie świecił, więc niełatwo było zauważyć ich ucieczkę, chyba że śledzący ich ludzie używali noktowizorów i detektorów podczerwieni. Samochody agentów były coraz to inne - dzisiaj była to furgonetka, wczoraj wóz dostawczy, przedwczoraj samochód z przyczepą. Parkowali przecnicę od domu Daily'ego. Nie wykazywali specjalnej aktywności, ale wciąż tkwili na posterunku.

Samochody Daily'ego i Barrie stały przed domem, więc Gray miał nadzieję, że nikt nie nadzoruje tyłów. Liczył też na to, że upozorowana kłótnia w kuchni wprowadzi podsłuchujących w błąd i uwierzą, że w ich zwarte szeregi wkradła się niezgoda. Ale nie ufał w pełni generatorowi zakłóceń. Musieli zachować ostrożność, by tamci usłyszeli tylko to, co było przeznaczone dla ich uszu.

Bezszelestnie ominęli małe kwadrat popękane betonowe, który służył Daily'emu za werandę, i pochyleni przebiegli niewielkie podwórko. Gray poprowadził Barrie przez kilka przecnic bocznych alejkami i podwórkami. Zawarczały na nich dwa psy, ale nic się nie wydarzyło. Nie wyłoniła się z ciemności brygada antyterrorystyczna z karabinami automatycznymi w rękach.

Ich samochód stał za jednopiętrowym budynkiem biurowym. Gdy do niego dotarli, Gray szepnął do mikrofonu:

- Jak wygląda sytuacja, Daily?

- Nikt nawet nie puścił bąka. Powodzenia.

- Dzięki.

Barrie zabrakło tchu z wysiłku i napięcia. Kiedy wsiedli do samochodu i ruszyli, spytała:

- Jak myślisz, namierzyli nas?

- Dowiemy się tego za kilka minut.

Coraz bardziej oddalali się od domu Daily'ego. Gray od czasu do czasu przyśpieszał, potem zwalniał. W pewnym momencie stwierdził:

- Jeśli za chwilę nie pojawi się helikopter, to uznam, że nikt za nami nie jedzie.

Położył radiotelefon na siedzeniu obok.

- Byliście wyjątkowo przekonujący z Dailym - powiedziała z urazą w głosie Barrie. - Każdy, kto tego wysłuchał, będzie uważał mnie za kopniętą, napaloną wariatkę z miesiączką.

- Naprawdę?

Rzuciła mu zirytowane spojrzenie.

- Skąd masz ten samochód?

- Z parkingu przy domu towarowym.

- Ukradłeś go?

- Nie, przedstawiłem się właścicielowi jako organizator zamachu stanu i spytałem, czy byłby uprzejmy pożyczyć mi swój pojazd.

- To wcale nie jest śmieszne. Na pewno już zgłoszono tę kradzież. Mogą nas zatrzymać.

- Zamieniłem jego tablice rejestracyjne z chevroletem. Po mieście jeździ mnóstwo wozów tej marki. Poza tym jutro się go pozbędę i poszukam czegoś innego.

- Pewnie uważasz, że przestępstwo to cecha rycerza.

- W porównaniu z przestępstwami, które być może będziemy musieli popełnić, zanim ta historia się skończy, kradzież samochodu to pestka. Teraz powiedz mi, gdzie on mieszka?

Howie Fripp mieszkał samotnie w czteropokojowym mieszkaniu na trzecim piętrze bez windy. Z każdym rokiem schody skrzypiały coraz głośniejsze, jak jego kolana. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Włączył światła i ruszył do maleńkiej kuchni, gdzie na stole postawił torbę z chińskim jedzeniem na wynos.

- Cześć, Howie.

- Jezu Chryste! - Odwrócił się gwałtownie do tyłu w chwili, gdy Barrie wychodziła z mrocznej sypialni.

- Przestraszyłam cię, Howie? Och, przepraszam. Wiem, jakie to irytujące, kiedy ktoś tak się na ciebie zaczyna.

- Przeraziłaś mnie piekielnie! Co ty...

Dostrzegł za plecami Barrie stojącego w ciemnościach wysokiego, szczupłego mężczyznę.

- Kto to?

- Gray Bondurant. Gray, poznaj Howiego Frippa. - Stała z boku, by Howie mógł dokładniej obejrzeć sobie komandosa o lodowatym spojrzeniu niebieskich oczu, z siwiejącymi skroniami i ponurym wyrazem ust.

- Pan jest Gray Bondurant?

- Zdaje się, że o nim słyszałeś - wtrąciła Barrie.

Howie przełknął ślinę.

- Miło mi, panie Bondurant.

- Chciałbym móc powiedzieć to samo.

Nawet jego głos wydawał się twardy. Przypomniał Howiemu tamtego mężczyznę, z którym kiedyś grał w bilard - tego, z którym miał nadzieję się zaprzyjaźnić. Ale on nigdy więcej nie przyszedł do baru.

Howie nerwowo przesuwiał wzrok od jednego do drugiego nieproszonego gościa. Nie podobał mu się wyraz twarzy Bonduranta. Wyglądał na pewnego siebie, bezwzględneho drapieznika, który właśnie dostrzegł następną ofiarę i wie, że zabije ją bez trudu.

- Czego ode mnie chcecie?

- Przyszliśmy po informację. - Czubkiem buta Bondurant wyciągnął krzesło spod stołu. - Siadaj, Howie. Nie chcemy ci przeszkadzać w kolacji. Możemy rozmawiać, kiedy będziesz jadł.

Howie opadł na krzesło, ale pokręcił przecząco głową, gdy Bondurant popchnął przez stół torbę z jedzeniem. Sama myśl o wieprzowinie w sosie słodko- kwaśnym i potrawce z krewetek sprawiła, że poczuł kulę w żołądku. Barrie od razu to zauważyła.

- Co się stało, Howie? - spytała. - Zzieleniałeś. Nie cieszysz się, że nas widzisz?

- Nie wolno mi z tobą rozmawiać, Barrie. Pod żadnym pozorem. Jenkins zagroził mi, że mnie wyleje, jeśli ci powiem, która jest godzina.

- No to masz szczęście, Howie, bo już to wiemy - powiedział Gray.

- Nie o to chodzi, że nie chcę z tobą rozmawiać, Barrie, tylko sama wiesz, jak to jest, muszę pilnować swoich spraw. Nie ma w tym nic osobistego, przysięgam. Rozstaliśmy się jak przyjaciele, prawda? Bez urazy. Przynajmniej z mojej strony.

Na jego koszuli pod pachami pokazały się mokre plamy.

- Mam dla ciebie wiadomość... Zanotowałem ją na kartce. - Przeszukał kieszenie. Proszę - wyciągnął rękę z kartką w jej stronę. - Właśnie wychodziłem do domu, gdy ktoś zadzwonił. Kobieta. Powiedziała, że jest twoją znajomą. Chciała z tobą rozmawiać, ale telefonistka połączyła ją ze mną.

- Charlene Walters - przeczytała Barrie.

- Właśnie. Powiedziała, że to pilne, i podała swój numer telefonu. Zapisałem go na dole.

- To nie jest moja znajoma, tylko wariatka, która ciągle do mnie wydzwaniała.

- Och. - Howie miał nadzieję, że ta Charlene jest jakąś ważną osobą. Starał się pomóc, ale chyba nie wywarł najlepszego wrażenia.

Patrzył ze strachem, jak Bondurant wyciąga spod stołu krzesło i siada na nim okrakiem, kładąc dłonie na oparciu. Poruszał się cicho jak wąż. Jego spojrzenie wywoływało gęsią skórę. Howie czuł się tak, jakby tamten oczami przewiercał się prosto przez czaszkę do samego mózgu.

Barrie oparła się o blat szafek i skrzyżowała ramiona.

- Pocisz się jak świnia, Howie.

- Chcę wiedzieć, po co tu przyszliście.

- Wpadliśmy z Grayem na przyjacielską pogawędkę.

- O czym?

- Na przykład o pogodzie. O meczach Redskinów. Czy mają szansę na dostanie się do dogrywek? O nowym filmie z Harrisonem Fordem. O wydarzeniach w Białym Domu.

- Nic nie wiem o wydarzeniach w Białym Domu.

- Oczywiście, że wiesz, Howie. Pracujesz w redakcji wiadomości.

- Barrie, proszę, daj spokój. Wpadniesz w jeszcze większe kłopoty.

- Twoja troska jest naprawdę wzruszająca. Jednak bardziej interesuje mnie, co słyszałeś ostatnio o Pierwszej Damie.

- Nic.

- Musiałeś coś słyszeć.

- Przysięgam na Boga, że nie.

- Skoro mnie tam już nie ma, kto przygotowuje materiały do dziennika?

- Grant. Ale tak się tam teraz zabezpieczają, że nie sposób z kogoś coś wycisnąć. Żadnych przecieków.

- Zawsze są jakieś przecieki. Plotki. Pogłoski. Podobno pani Merritt znowu wyjechała. Dlaczego? I dokąd? Czy ktoś ją widział? W jakim jest stanie? Czy istnieje zagrożenie życia?

- Przysięgam, nic nie wiem - zaskomlał. - Jezu, ty chyba dostałaś obsesji, wiesz? Kompletnie zbzikowałaś na jej punkcie. Masz w głowie tylko panią Merritt. To nie jest normalne, Barrie. Chyba ci odbiło.

Barrie wzięła głęboki oddech i westchnęła. Spojrzała na Graya i pokręciła głową.

- Mówiłam ci, że nie będzie chciał współpracować. Możemy już iść.

Ruszyła w stronę drzwi, ale Gray ją zatrzymał.

- Nie możemy go tak zostawić. Wygada federalnym, że przyszedliśmy do niego i chcieliśmy się czegoś dowiedzieć.

- Hmm, chyba masz rację. - Spojrzała na Howiego z niechęcią.

Ton, jaki przybrała ich rozmowa, wyraźnie mu się nie podobał.

- Nikomu nie powiem, że tu byliście - obiecał skwapliwie.

- Nie możemy ryzykować - mruknął Bondurant. Sięgnął pod marynarkę i zza paska spodni wyciągnął pistolet.

Howie zaczął błagać:

- Och, kurwa, och, cholera, Jezu, Boże... Nie chcę umierać. Nie chcę. Nie chcę. Nie zabijaj mnie.

Proszę.

Gray z głośnym trzaskiem odbezpieczył broń.

Howie zacisnął powieki.

- Bb... Barrie, pp... proszę, nie możesz mi pozwolić, żeby mnie zabił. Byliśmy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? Przyjaciółmi, Howie? Chyba żartujesz. - Barrie roześmiała się głośno. - Przyjaciele się nie sprzedają, a ty właśnie to mi zrobiłeś. Sprzedałeś mnie Jenkinsowi. I codziennie, każdego dnia pracy, traktowałeś mnie jak śmiecia. Poza tym nie podejmuję decyzji za Graya. Jeśli postanowi nie dać ci szansy

na wydanie nas, to naprawdę nic nie będę mogła na to poradzić. Ale wolałabym na to nie patrzeć. Już nigdy więcej nie mogłabym wziąć chińskiego zarcia do ust. Gray, mógłbyś poczekać, aż wyjdę do innego pokoju?

- Prooooozę! - zawołał Howie ze szlochem. - Na miłość boską, Barrie!

- Przykro mi. To naprawdę nie ode mnie zależy. - Wychodząc, zatrzymała się na chwilę przy Howiem i uściśliła mu ramię w pożegnalnym geście.

Bondurant wyciągnął rękę i przycisnął lufę pistoletu do czoła Howiego.

- Coś rzeczywiście słyszałem, ale nie wiem, czy to prawda - wybełkotał Howie.

Barrie zatrzymała się i odwróciła.

- Teraz powiedziałbyś nam wszystko - stwierdziła. - Wymyślisz byle co, żeby tylko Gray cię nie zastrzelił.

- Nie, nie, przysięgam. Przysięgam, panie Bondurant. - Howie nakreślił ręką krzyż na piersi.

- Co słyszałeś?

- Plotki, że panią Merritt przewieziono do szpitala z powodu nadużywania alkoholu.

- Stara historia - odparła Barrie. - Plotkowano na ten temat już wcześniej.

- Tym razem to na serio - zapewnił nerwowo Howie.

- Do którego szpitala?

- Nie wiem. Nikt nie wie. Może to tylko plotka. Bondurant spojrział na Barrie, ale ona pokręciła głową.

Bondurant wzruszył ramionami i znowu dźgnął czoło Howiego lufą pistoletu.

- Ddd... doktor Allan codziennie wsiada do helikoptera na trawniku przed Białym Domem - powiedział Howie z pośpiechem. - I po godzinie, po półtorej wraca. Jednak nikt nie wie, dokąd leci. Ale gadają, że ma kłopoty w domu.

- Małżeństwo Allanów jest bardzo udane - wtrącił Bondurant.

- Nie. Wiem, że nie układa się doktorowi z jego panią. Może lata do jakiejś innej babki?

Howie odwrócił głowę i spojrział z nadzieją na Barrie, a potem na Bonduranta.

- Przysięgam na Boga. Tylko tyle słyszałem. Jenkins powiedział, że mnie wykopie, jeśli zamienię z tobą słowo. Jeśli więc wykorzystasz tę informację, nie pozwól, żeby się dowiedział, że wiesz to ode mnie.

Dobrze, Barrie?

- Jak myślisz? - spytał Bondurant Barrie. - Kłamie?

- Nie kłamie! - krzyknął Howie.

- Nie jestem pewna - odparła zagryzając od środka policzek. - Mógłby skłamać, żeby się uratować. Ale przecież wie, że jeśli wciśnie nam ciemnotę, to wrócisz i załatwisz go.

- Nie kłamie. Nie musisz wracać - wtrącił pośpiesznie Howie.

Bondurant utkwił w nim swoje lodowate niebieskie spojrzenie. Całe życie Howiego co najmniej trzy razy przeleciało mu przed oczami, nim wreszcie Bondurant odsunął pistolet i cofnął się.

- Powiem ci coś, Howie. Dziś cię nie zabiję, ale przyjdę tu jutro.

- Po co?

- Po nazwę szpitala. Nie proszę o zbyt wiele, prawda? Nazwa szpitala w zamian za ciepły, smaczny chiński posiłek i szansę zjedzenia go.

- Ja nie... Jak mam się dowiedzieć...

- To już twój problem, ale myślę, że sobie poradzisz.

- Nie licz na to - powiedziała Barrie. - Zgodzi się na wszystko, by uratować swoją żalostną dupę. Na pewno nas oszuka.

- Nie, nie oszukam! - zakwiczał Howie. - Przysięgam na Boga, że nie oszukam, panie Bondurant!

- Rób, co chcesz, Gray - rzuciła Barrie. - Ale ja nie ufam mu. To gnida.

- Dzięki za przypomnienie - mruknął Gray, a Howiemu na dźwięk jego głosu mróz przeleciał po spoconych plecach. - Barrie mówiła mi, że pastwiłeś się nad nią w pracy, Howie.

- To nieprawda.

- Jest nie tylko wredną męską szowinistyczną świnią, ale na dodatek kłamie.

Niebezpieczne niebieskie oczy Graya zmrużyły się jeszcze bardziej.

Howie skulił się na krześle.

- Może... może rzeczywiście czasami z niej żartowałem, ale nic złego nie miałem na myśli.

- Wyglądasz mi na faceta, który potrafi robić świńskie żarty kobiecie tylko dlatego, że nie umie w inny sposób zwrócić jej uwagi.

- Tak właśnie się zachowywał - potwierdziła Barrie.

- Zgadza się, tak się zachowywałem. - Howie tak entuzjastycznie przytaknął, że aż mu się głowa zatrzęsała. - Cokolwiek Barrie powie, to święta prawda.

- Czy wygłaszałeś złośliwe komentarze o jej życiu miłosnym, o jej figurze i jej potrzebach seksualnych?

- Czasami.

- Gapiłeś się na jej nogi i piersi, mówiłeś i robiłeś rzeczy uwłaczające jej kobiecej godności?

- Tak. Tak. Ale bardzo mi przykro z tego powodu.

- Naprawdę? - spytał ironicznie Gray.

- Naprawdę. Tak, proszę pana. Niech oślepnę, jeśli tego nie żałuję.

Bondurant postukał lufą pistoletu w oparcie krzesła.

- Jeśli kiedyś usłyszę, że jej ubliżasz lub ją źle traktujesz, to bardzo się zdenerwuję, Howie. Będziesz się wtedy modlił, żeby raczej oślepnąć, niż mieć ze mną do czynienia.

- Ro... rozumiem.

- A co z jutrem?

- Postaram się dowiedzieć wszystkiego, czego chcecie.

- Mam nadzieję, że się postarasz.

Howie, już spokojny, uśmiechnął się.

- Nie chciałby pan mnie zabijać, prawda?

- Nie. Nie chciałbym marnować dobrej kuli na zrobienie ci dziury w mózgu.

Bondurant wstał, wsunął broń za pasek i zniknął w sypialni. Barrie bez słowa poszła za nim.

- Dokąd idziecie? - zawołał za nimi Howie. - Hej! O której jutro? Gdzie?

Odpowiedziała mu złowieszcza cisza. Kiedy zebrał dość odwagi, by wyjść z kuchni i zajrzeć do sypialni, była już pusta. Jego goście wyparowali. Gdyby nie mokra plama na spodniach, pomyślałby, że wydarzyło się to jedynie w jego wyobraźni.

Rozdział trzydziesty drugi

- Współczułam mu - powiedziała Barrie.

- Nie współczuj. Kiedy porównałaś go do gnidy, obraziłaś wszystkie gnidy świata.

Opuścili mieszkanie Howiego przez okno w sypialni i zeszli po schodach przeciwpożarowych. Jechali do domu Daily'ego. Barrie spoglądała zamyślona przez przednią szybę samochodu ukradzionego przez Graya.

- Przeróżający z ciebie facet, Bondurant. Naprawdę go wystraszyłeś.

- Strach to dobry środek perswazji.

Barrie wyłowiła z kieszeni kartkę, którą dostała od Howiego.

- Kochana stara Charlene - powiedziała ze śmiechem. - Widocznie jeszcze się nie dowiedziała, że już nie pracuję w WVUE. Nigdy z nią nie rozmawiałam, ale tak wiernie dzwoniła...

Poprosiła Graya, żeby zahamował i zaparkował przed apteką.

Zatrzymał samochód i wysiadł za nią.

- Apteka jest zamknięta - zauważył.

- Nie potrzebuję apteki. Chcę zadzwonić z automatu.

Rozejrzał się dookoła.

- Niezbyt sympatyczna okolica do wałęsania się po ulicy.

- Czuję się bezpiecznie, gdy w sklepie palą się światła i ty tu stoisz z armatą w spodniach. Masz drobne?

Nie знаła kierunkowego zapisanego przez Howiego numeru. Chcąc uniknąć zarejestrowania nie użyła swojej karty magnetycznej, lecz wrzuciła monety do automatu. Po wielokrotnym stukaniu i waleniu pięścią w ściankę doszło do połączenia.

- Tak?

- Halo? - Barrie podniosła rękę, dając znak Grayowi, że ktoś się zgłosił.

- Kto dał pani ten numer? - zapytano.

- Charlene Walters - odparła. - Czy mogłabym ją poprosić do telefonu?

Jedyną odpowiedzią na jej prośbę był flegmatyczny śmiech.

- Czy jest pani Walters? - ponownie zapytała Barrie.

- Tak, jest tutaj. Ale ten telefon jest niedostępny po gaszeniu światel.

- Po gaszeniu światel? - Barrie spojrzała ze zdumieniem na Graya. - A gdzie to jest? - spytała.

- Centralne więzienie w Pearl. Missisipi.

- Czy pani Walters jest więźniarką?

- Tak, i to od bardzo dawna. Dlaczego pani do niej dzwoni?

- Aż kim rozmawiam?

Mężczyzna odpowiedział, że jest strażnikiem, który przypadkiem przechodził obok automatu. Wtedy spytała, czy mogłaby pomówić z naczelnikiem więzienia.

- O tej porze? Jest pani prawniczką czy co?

Wykręciła się od odpowiedzi i przekonała go, że ta sprawa nie może czekać do rana.

- Dobrze - mruknął z niechęcią strażnik. - Niech mi pani poda swój numer. Jak naczelnik uzna, że trzeba, to może do pani zadzwoni.

Barrie wolałaby dostać telefon naczelnika, ale zdecydowała się podać strażnikowi numer automatu. Kiedy odłożyła słuchawkę, Gray spytał, jak więźniarka z zakładu w Missisipi dowiedziała się o jej istnieniu.

- Cykl o SIDS nadano przez satelitę - powiedziała. - Pewnie puszczano go we wszystkich stacjach telewizyjnych w kraju i widocznie pokazała ten program również stacja odbierana w więzieniu. Więźniowie dość często dostają fioła na punkcie ważnych osobistości.

- Dlaczego rozmowa z nią dziś w nocy to taka „niezwykle ważna kwestia”?

- To chyba nic ważnego - przyznała. - Zazwyczaj prosiła tylko o przekazanie, że jestem idiotką. Jestem ciekawa, dlaczego tak uważa. - Zobaczyła, że Gray zmrużył oczy i zamyślił się. - O co chodzi? - spytała.

- Właśnie coś mi przyszło do głowy. David i Vanessa pochodzą z Missisipi...

- Rzeczywiście - powiedziała i chwyciła słuchawkę, bo telefon właśnie zadzwonił. - Halo, tu Barrie Travis.

- Zastępca naczelnika, Foote Graham.

- Bardzo dziękuję, że zechciał pan do mnie zadzwonić, panie naczelniku.

- To żaden kłopot, proszę pani. W czym mogę pomóc?

Powiedziała, że jest dziennikarką telewizyjną z Waszyngtonu i zawiadomiła go o wielokrotnych telefonach od Charlene Walters.

- Czy Walters narzuca się pani? - zapytał.

- Nie, nie o to chodzi. Zastanawiałam się tylko, dlaczego do mnie wydzwaniała.

- Trudno przewidzieć, co zrobi Szalona Charlene.

Barrie spojrzała na Graya. Zmarszczyła brwi, pokręciła głową i przewróciła oczami.

- Szalona Charlene? - powtórzyła.

- Tak, proszę pani. Ma siedemdziesiąt siedem lat, ale ciągle w niej pełno żółci i octu.

- Siedemdziesiąt siedem lat? Dobry Boże! Od jak dawna siedzi w więzieniu?

- Ma dożywocie. Bez możliwości zwolnienia warunkowego. Była tu już, kiedy tu przyszedłem, a od tego czasu minęło osiemnaście lat. Chyba siedzi najdłużej. Nikt nie pamięta czasów, kiedy jej tu nie było. Jest kimś w rodzaju... jak to określić? Maskotki. Przywódczyni. Inne więźniarki ją lubią. Ma niezły charakter. I własne zdanie na każdy temat.

- W takim razie nic dziwnego, że obejrzawszy mój cykl programów w telewizji, postanowiła do mnie zadzwonić.

- O czym był ten program?

- O zespole nagłej śmierci niemowląt.

- Hmm... Sądziłem, że poruszyła pani temat bliższy jej sercu. Przeważnie wypowiada się o korupcji w rządzie, brutalności policji i legalizacji narkotyków.

- Za co dostała dożywocie?

- Napadli z mężem na sklep z alkoholem. Dla niecałych pięćdziesięciu dolarów jej mąż zastrzelił szesnastoletniego sprzedawcę i trzech klientów. Dostał karę śmierci i egzekucję wykonano. Charlene przysięgała, że mąż ją zmusił do udziału w napadzie, więc nie otrzymała tak wysokiego wyroku.

- Dziękuję panu bardzo, że poświęcił mi pan swój czas. Przepraszam, że zadzwoniłam o tak późnej porze, panie Foote.

- Graham, Foote Graham. Nic się nie stało. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Barrie już miała się pożegnać, gdy Gray ją szturchnął, pomagając w ten sposób jej pamięci.

- Och, panie naczelniku, jeszcze jedno pytanie. Czy Charlene Walters nie ma żadnych powiązań, nawet bardzo odległych, z senatorem Armbrusterem lub prezydentem Merrittem?

- Z prezydentem? Dlaczego nie spytała pani o to od razu?

Nagle cały wszechświat skupił się na brudnej słuchawce telefonicznej, którą ścisnęła w zbiegających palcach.

- Co powiedział? - spytał Gray, pochylając się nad nią.

Machnęła ręką, żeby zamilkł.

- Zupełnie możliwe, że Charlene miała coś wspólnego zarówno z senatorem, jak i z prezydentem Merrittem - powiedział naczelnik.

- Jak to? - spytała Barrie ochryple.

- Widzi pani, Charlene to kobieta światowa.

- Wydawało mi się, że mówił pan o dożywociu...

- To prawda. Ale jeśli wierzyć Charlene, przed pójściem do więzienia prowadziła niezwykle barwne życie. Najpierw była ukochaną ze szkolnej ławki Roberta Redforda. Zaraz potem miała romans z Richardem Nixonem. Gdzieś po drodze urodziła dziecko Elvisowi i dołączyła do Marilyn Monroe i Joe DiMaggio, kiedy byli małżeństwem. Stworzyli udany trójkąt.

Zrezygnowana Barrie oparła się o ścianę budki telefonicznej.

- Już pojęłam. Po prostu brak jej piątej klepki.

- Nie da się ukryć - powiedział i roześmiał się. - Przepraszam, że bawię się pani kosztem, panno Travis. Czy to było dla pani bardzo ważne?

- Tak.

- Okropnie mi przykro. Chyba zmarnowała pani tylko czas.

- Nie do końca - odparła z rozgoryczeniem. - Jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo o imieniu Foote.

Kiedy wsiedli do samochodu, podała kartkę z nazwiskiem Charlene i numerem telefonu na malutkie kawałeczki, a potem wyrzuciła je przez otwarte okno.

- Odpowiedziałam na telefon wariatki - mruknęła z drwiną pod własnym adresem. - To chyba dowód, jak bardzo jestem zdesperowana. Wolałabym, żeby Howie czy Jenkins nigdy się nie dowiedzieli, jak nisko upadłam.

- To mogło się skończyć zupełnie inaczej.

- Nie pouczaj mnie - odparła z irytacją. - To był głupi odruch i wstydzę się, że go nie opanowałam. Kłopot polega na tym, że brakuje mi już pomysłów. Jeśli Howie nam nie pomoże, co wtedy?

- A co z twoimi informatorami?

- Nie słyszałeś brzęczenia mojego pagera, prawda?

- Sprawdziłaś baterie?

Rzuciła mu pochmurne spojrzenie.

- To nie pager źle działa, ale ja. Jeśli chodzi o branżę dziennikarską, w Waszyngtonie już nie istnieję.

- Nadal umiesz gadać.

- Nie. Nawet najbardziej tajny informator nie będzie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Nie dostałabym pracy nawet przy myciu kibli w jakiegokolwiek redakcji w tym mieście.

Barrie z westchnieniem położyła głowę na oparciu fotela. Po chwili dodała:

- Chciałabym cofnąć czas. Brakuje mi Cronkite'a. Tęsknię za swoim domem. Nie był to pałac, ale był mój. Tęsknię za pracą, za zadowoleniem, gdy udało mi się przygotować dobry kawałek. Dobry Boże, chyba nawet tęsknię za Howiem, bo dzisiejsze spotkanie z nim było prawie miłe.

Gray popatrzył na nią z ukosa.

- Czy ty przypadkiem nie użalasz się nad sobą?

- A ty nie tęsknisz za ranczem, za końmi, za swoją bezcenną samotnością? Nie żałujesz, że przyjechałam do ciebie?

- Jakie to ma teraz znaczenie? Przez ostatni rok odpoczywałem, ale wiedziałem, że coś zacznie się dziać. Podświadomie czekałem na to. Tym wydarzeniem okazała się śmierć Roberta Rushtona Merritta. Kto mógł to przewidzieć? Nikt. Nigdy nie wiemy, co się z nami stanie za chwilę. - Wzruszył ramionami.

- Biorę rzeczy takimi, jakimi są, i staram się nie oglądać za siebie.

- Czy ty się nigdy nie załamujesz? Czy nigdy nie pozwalasz przedrzeć się przez tę twoją cholerną zbroję ani jednej ludzkiej reakcji? Nie umiesz sobie odpuścić i czuć?

Kiedy głos jej się załamał, zamilkła, bojąc się, że za chwilę się rozplacze. Czuła się jak ostatnia idiotka. Nie udało im się pokonać muru tajemnicy otaczającego Vanesę, ale wierzyła mocniej niż przedtem, że Merritt chce zostać wdowcem.

Martwiła się też o Daily'ego, bo oddychał coraz gorzej. Udawał, że wszystko jest w porządku, wiedziała jednak, że słabnie. Lekarz powiedział, że już nic nie można zrobić. Choroba rozwinęła się do tego stopnia, że nawet najnowsze metody leczenia by mu nie pomogły.

Ale głównym powodem łez był siedzący obok mężczyzna, Gray Bondurant. Nadal pozostał zagadką. Choć spędzili ze sobą tyle czasu, wydawał jej się bardziej obcy niż tamtego ranka, kiedy się kochali.

Chciało jej się płakać.

- Jak możesz tak nie dbać o nic i o nikogo? - spytała. - Co uczyniło z ciebie takiego bezdusznego drania?

Upłynęła minuta wrogiej ciszy, zanim się odezwał.

- Moi rodzice zginęli jednego dnia. Zniknęli. Odeszli. Byłem wtedy dzieciakiem. Wzięli mnie do siebie dziadkowie, ale wkrótce umarli, jedno po drugim. Byliśmy bardzo przywiązani do siebie z siostrą, jednak jej mąż mnie nie lubił. Mąż i dzieci stały się dla niej ważniejsze, więc wyłączyła mnie ze swojego życia. Zaprzyjaźniłem się z dwoma mężczyznami, którym ufałem. Potrafiłem odgadnąć ich myśli. Byliśmy ze sobą tak mocno związani, jak mocno mogą być związani trzej heteroseksualni mężczyźni. Ale oni mnie zdradzili i dwukrotnie próbowali zabić. - Wzruszył ramionami. - Chyba nie widzę korzyści w związkach z innymi ludźmi.

Nigdy przedtem nie opowiadał jej o sobie. Jednak czegoś wyraźnie brakowało w tym monologu odsłaniającym duszę.

- Opuściłeś fragment o Vanessie i dziecku - powiedziała Barrie. - Nie wspomniałeś, że miłością twego życia była żona innego mężczyzny.

- Tak. Opuściłem ten fragment - odparł lakonicznie.

Rozdział trzydziesty trzeci

- Panie senatorze...

Clete pochylił się nad głośnikiem przy biurku.

- O co chodzi, Carol? - zapytał.

- Gray Bondurant chciałby z panem porozmawiać.

Clete zamyślony podrapał się po brodzie.

- Powiedz mu, że mnie nie ma.

- Dzwoni już trzeci raz.

- Nie obchodzi mnie, ile razy dzwonił. Nie będę z nim rozmawiał. Co z doktorem Allanem?

- Nadal próbuję się z nim skontaktować, ale powtarzają mi, że to niemożliwe.

- Co to do diabła ma znaczyć?

- Nie wiem, proszę pana.

George powiadomił go, że Vanessa nie reaguje zbyt dobrze na wprowadzone przez niego zmiany w terapii. Dał również do zrozumienia, że znowu zaczęła pić. Powiedział mu, że umieścił ją w prywatnej klinice. Dopóki jej stan się nie ustabilizuje, wskazane jest, aby jej nikt nie odwiedzał.

Powtarzał się cholerny Highpoint. Znowu wywieziono gdzieś jego córkę i nie wolno było jej odwiedzać. Allan skończył rozmowę zapewnieniem, iż spodziewa się, że jej odosobnienie potrwa tylko kilka dni.

Clete przewodniczył senackiej komisji finansów, lecz z trudem koncentrował się nad ustawą budżetową, bo martwił się o córkę. Doktor Allan nie odpowiadał na jego telefony, a David nie zniżył się nawet do tego, by zadzwonić i porozmawiać z nim osobiście. Clete'owi przestało się to podobać.

- Czy wiedzą, że to ja dzwonię?

- Oczywiście, panie senatorze.

- W takim razie życzę sobie natychmiast rozmawiać z prezydentem.

Kiedy asystentka go łączyła. Clete wstał zza biurka i podszedł do dużego okna. Od trzydziestu lat oglądał ten sam widok, ale nigdy mu się nie znudził. Zmieniały się samochody na szerokich alejach Waszyngtonu, mody przychodziły i odchodziły, mijały pory roku, jednak budynki rządu Stanów Zjednoczonych przetrwały.

Nie nazwałby patriotyzmem emocji, których doznawał, gdy na nie patrzył. Było to coś znacznie prymitywniejszego: raczej namiętność do władzy kryjącej się wewnątrz tych budynków, namiętność i podniecenie przypominające erekcję. Wierzył, że władza jest najsilniejszym afrodyzjakiem. Nic się z tym nie równało.

Każdy mężczyzna, który był coś wart, walczył o władzę. A kiedy już ją zdobył, robił wszystko, by ją utrzymać. Było nieuniknione, że pewnego dnia ktoś młodszy odbierze mu jego władzę. Ale jeszcze nie dzisiaj, nie jutro. Sam wybierze moment przekazania pałeczki.

Nie dostanie jej David Merritt.

Znowu odezwała się sekretarka:

- Przepraszam, panie senatorze. Kalendarz prezydenta na dziś jest już wypełniony, a wieczorem prezydent leci do Atlanty. Powrót zaplanowano na jutro późnym popołudniem.

- Dziękuję, Carol - odparł Clete. - Dalej próbuj skontaktować się z tym konowalem Allanem. I pozbadź się Bonduranta.

- Tak, proszę pana.

Senator wrócił do biurka, położył stopy na blacie i zaczął się kręcić w obrotowym skórzanym fotelu. Zastanawiał się nad następnym posunięciem. David zadziałał szybciej, niż Clete się spodziewał. Sądził, że prezydent poczeka, aż ucichną plotki, zanim znowu spróbuje usunąć jedynego świadka zabicia przez niego dziecka.

Uwierzył we wszystko, co Bondurant i Barrie Travis opowiedzieli mu tamtej nocy w barze. Wyśmiewał wiarygodność Barrie, jednak musiał tak zareagować po jej gafie w szpitalu, inaczej sam wyszedłby na cholernego durnia. Obrzucał ją obelgami, ale swą wściekłość kierował na zdradzieckiego zięcia.

Barrie Travis była głuptasem, jednak na pewno nie był nim Bondurant. Mógłby wątpić w jej rewelacje, lecz wierzył Bondurantowi.

Nigdy nie przyłapał go na kłamstwie. Unikał pytań o romans z Vanessą. Bondurant milczał, ale Clete traktował to jako rycerską próbę uchronienia Vanessy przed skandalem, a nie osłanianie własnej osoby.

Pamiętał incydent z Becky Sturgis i znał Davida na tyle dobrze, iż nie miał wątpliwości, że byłby on zdolny udusić nie swoje dziecko.

Przeklinał siebie, że nie domyślił się tego wcześniej. Ten sukinsyn oszukiwał i jego, i Vanesę, że pragnie dzieci. Przez lata Vanessa próbowała wszystkich środków na niepłodność. David odmawiał poddania się badaniom. Teraz Clete znał powód. Drań strzelał ślepakami i nie chciał, żeby ktoś o tym wiedział. W dodatku dawał do zrozumienia, że ich bezdzietność to wina Vanessy, pogłębiając jej poczucie niższości.

Oczywiście on sam również nie miał czystego sumienia. Musiał przyjąć na swoje barki odpowiedzialność za nieudane małżeństwo swojej córki. Gdzie był przez te wszystkie lata? Dlaczego nie dostrzegał tego, co aż rzucało się w oczy? Zbyt był zajęty wpychaniem swego protegowanego do Białego Domu, aby zauważyć, że David odrzuca miłość Vanessy.

Tak długo, jak długo wypełniała jego polecenia, nie sprzeciwiała mu się i wyglądała tak jak powinna, David był zadowolony. Miał anielsko cierpliwą, piękną żonę, która znosiła jego liczne romanse. Ale kiedy odpłaciła mu pięknym za nadobne i zaszła w ciążę z innym mężczyzną, uznał, że to usprawiedliwia karę śmierci.

Tak, Barrie Travis i Gray Bondurant mówili prawdę. Zmusili go do otwarcia oczu na to, czego nie chciał widzieć. Przez Davida Merritta jego córka przeszła piekło. David Merritt zamordował jego wnuka; David Merritt go zdradził.

Jednak rzucanie niczym nie podpartych oskarżeń w wieczornym dzienniku nie było najlepszym rozwiązaniem. Musi pokonać Davida potajemnie. Tylko atak z ukrycia może skończyć się powodzeniem.

Bondurant miałby szansę to zrobić i zniknąć bez śladu, gdyby nie wdał się w kłótnie z tą dziennikarką. Clete rozumiał, że musi działać niezależnie od nich i musi działać szybko, bo David nie będzie zwlekał.

Po pierwsze, musi odnaleźć Vanessę. Po drugie, musi wywieźć ją gdzieś daleko od Davida. Po trzecie, musi zniszczyć drania.

Ale istniały liczne przeszkody. Musiał zachować szczególną ostrożność. Chciał ujawnić sprawki Davida, lecz nie mógł narażać samego siebie. Zniszczenie administracji Merritta bez strat własnych wymagało sprytnych manewrów.

Jednak takie manewry niestety wymagały czasu, a właśnie czasu brakowało Clete'owi najbardziej.

- Cześć, Howie.

Howie niemal zakrztusił się solonym piwem. Otarł wargi wierzchem dłoni i wyciągnął ją w stronę wąsatego mężczyzny z kucykiem pod czapką baseballową.

- Cześć! Już myślałem, że nigdy więcej tu nie przyjdiesz.

Tamten uśmiechnął się oszczędnie.

- Miałem dużo roboty.

- Dobrze cię widzieć. Mogę postawić ci piwo?

Howie ucieszył się z powrotu mężczyzny, z którym miał nadzieję się zaprzyjaźnić, ale zaprosił go na piwo bez przekonania. Ten wieczór nie bardzo mu odpowiadał. Wpadł do baru na szybkiego drinka, nie na dłuższe posiedzenie. Przez cały dzień siedział jak na szpilkach, zastanawiając się, skąd i gdzie wyskoczy Bondurant, żądając informacji o miejscu pobytu Pierwszej Damy. Obawiał się, że on albo Barrie zjawią się w studiu.

Jednak minęła siódma, godzina, o której przekazywał dyżur redaktorowi przychodzącemu na noc, i żadne z nich się nie zjawilo. Próbował sam siebie oszukiwać, że zapomnieli o nim lub dowiedzieli się wszystkiego od innego informatora, ale nawet to nie pomogło.

Wątpił, czy mu uwierzą, że niczego nie wydusił z personelu Białego Domu, chociaż starał się, jak mógł. Albo wszyscy w tym mieście kłamali, albo nikt, naprawdę nikt nie wiedział, w którym szpitalu przebywa pani Merritt. Nie to chcieli usłyszeć Barrie i Bondurant.

Howie postanowił, że wymyśli nazwę kliniki. Był przekonany, że Bondurant dotrzyma słowa. Jeśli mu czegoś nie powie, na pewno go zabije.

- Dzięki, chętnie wypiję piwo - powiedział mężczyzna z kucykiem.

- Co? - spytał Howie, wytrącony z ponurych rozmyślań.

Odzyskany przyjaciel spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Och, oczywiście. To był ciężki dzień - usprawiedliwił swoje roztargnienie Howie. - Zaraz wracam.

Kiedy przyniósł piwo, tamten przecierał kredą czubek bilardowego kija.

- Zagramy? Trenowałem.

Jego uśmiech przypominał Howiemu jakieś drapieżne zwierzę.

- Ach, właściwie to nie mam dzisiaj czasu. - Mężczyzna skrzywił się, więc Howie szybko zmienił zdanie. - Dobrze, może jedną szybką partyjkę.

- Świetnie. Będę miał szansę się odegrać.

Howie grał kiepsko. Nie mógł się skoncentrować, myślał tylko o tym, co będzie na niego czekało, gdy wróci do domu. Czy Bondurant już teraz go śledzi? Może obserwuje go z automatycznej pralni po drugiej stronie ulicy?

- ...co z twoją przyjaciółką?

- Słucham?

- Pytałem o twoją współpracownicę. Chyba coś cię gnębi. Jeśli masz coś innego do roboty...

- Nie, nie - pośpiesznie zaprzeczył Howie. - Przepraszam.

Co ty robisz, idioto, rozżłościł się na siebie. Co się z nim dzieje? Gra w bilard ze świetnym facetem, który wyraźnie chce zostać jego kumplem, a on co? Zachowuje się jak ostatni pacan.

Wszystko to wina Barrie. Jej i Bonduranta. Za kogo się mają, żeby włamywać się do jego mieszkania i tak nim pomiatać? Nie mieli prawa. Barrie to idiotka, a Bonduranta wypędzono z miasta, ponieważ nie mógł się odkleić od majtek Pierwszej Damy. Pieprzyć ich. Jeśli się zjawią i zaczną mu grozić, napuści na nich gliny.

Pokrzepiony odzyskaną pewnością siebie, podciągnął opadające spodnie i upił łyk piwa.

- Wywaliłem ją - wyjaśnił.

- Niech to szlag.

- Było mi jej żal - powiedział Howie, wykrzywiając usta - ale wszystko pieprzyła. Nie zostawiła mi wyboru.

- Nie miałeś innego wyjścia.

- Nie. - Howie wykonał najlepsze uderzenie wieczoru. Przyjaciół uniósł piwo, wznosząc toast za jego sukces. - Ale dałem jej jeszcze szansę.

- Och? - Tamten popsuł następne uderzenie. Bile zderzyły się ze sobą, jednak żadna nie wpadła do luzu.

- Napisałeś jej list polecający?

- Nie, pomagam jej przy pewnej tajnej robocie.

Mężczyzna z kucykiem uniósł brwi. Słowa Howiego zrobiły „na nim wrażenie.

- Przy jakiej tajnej robocie?

- Pracuje teraz jako wolny strzelec. Ciągłe kopie w tej dużej sprawie, o której ci wspominałem. Ale kiedy natknęła się na przeszkodę, do kogo przybiegła z prośbą o informacje? Do nizej podpisanego.

- Jakie informacje?

Howie mrugnął.

- Z samego środka Białego Domu.
- I co? Zdobyłeś je dla niej?
- Nie myśl, że poszło łatwo - odparł Howie, wypinając pierś. - Musiałem sam się zabrać do kopania, ponaciskać moich najgłębiej zakamuflowanych informatorów, ale znalazłem ziarnko, którego tak szukała Barrie.
- Musiała się bardzo ucieszyć.
- Ucieszy się.
- Jeszcze jej nie powiedziałaś? - zdziwił się tamten, ale zaraz jego wąsy uniosły się w uśmiechu. Klepnął Howiego po ramieniu. - Ach, kapuję. Trzymasz to w tajemnicy, dopóki nie da ci czegoś w zamian, co? Howie zachichotał. Jego nowy kumpel uwierzył w to, w co on sam chciał wierzyć. W jego oczach stał się pożeraczem damskich serc.
- Mam się z nią dzisiaj spotkać - powiedział. - Sądzę, że za to, co mam jej do powiedzenia, będzie gotowa oddać mi przysługę.

Barrie prowadziła volvo ukradzione po południu z parkingu przy szpitalu. Kiedy dojeżdżali do budynku, w którym mieszkał Howie, zwolniła.

- Gdzie mam zaparkować? - zapytała Graya.
- Za skrzyżowaniem. Zatrzymaj się i wypuść mnie. Wejść pierwszy.
- Od frontu?
- Wczorajsze przedstawienie wystraszyło go, więc sądzę, że dziś będzie lepiej wejść normalnie.
- A jeśli niczego się nie dowiedział?
- Zorientuję się, że kłamie. Do zobaczenia na górze - powiedział, wysiadając i zamykając drzwi.
- Nie bądź dla niego zbyt ostry! - zawołała, ale albo jej nie usłyszał, albo postanowił zignorować jej prośbę.

Odwaga Howiego miała krótki żywot. Niepokój powrócił wkrótce po rozstaniu z nowym przyjacielem i wyjściu z baru. W czasie jazdy do domu dłonie mu tak spotniały, że z trudem utrzymywał je na kierownicy.

Bondurant da mu popalić, jeśli nie będzie miał nic do przekazania. A jeśli coś zmyśli i Bondurant to odkryje, a na pewno odkryje w ciągu kilku godzin, to jasne jak słońce, że wróci i go zastrzeli. Tak czy owak, był ugotowany. Chyba że poprosi Barrie o zmiłowanie. Poprzedniego wieczoru nie była miła, ale przecież nie będzie stała i patrzyła, jak Bondurant zabija go z zimną krwią.

- Nie, pójdzie do drugiego pokoju, żeby nie stracić apetytu - wymruczał do siebie.

Zaparkował z tyłu budynku i ruszył w górę po schodach. Drżącymi palcami otworzył drzwi i pchnął szeroko. Zatrzymał się w progu i natężył słuch. W końcu wszedł do saloniku i zamknął za sobą drzwi.

Wiedział, że jest sam w mieszkaniu i że nikt tu nie wchodził od jego wyjścia rano, mimo to pośpiesznie obszedł mniejsze pokoje. Włączył wszystkie lampy, zalewając mieszkanie potokiem jasnego światła. W sypialni wyjrzał przez okno na schody przeciwpożarowe. Wczoraj dopiero po ich wyjściu zorientował się, że właśnie tędy weszli. Ale na metalowych schodach biegnących w górę bocznej ściany budynku nikogo nie było.

Poszedł do kuchni. Zdenerwowanie spowodowało, że wypite piwo skwaśniało mu w brzuchu. Odbiło mu się, gdy otwierał lodówkę, szukając czegoś do zlikwidowania zgagi.

- Czysta głupota - wymamrotał z ustami pełnymi starego spaghetti.

Skradał się w swoim własnym mieszkaniu, lękając się własnego cienia. Odkąd Barrie zwariowała na punkcie Pierwszej Damy, jego życie stało się gównem. Miał kłopoty w pracy i kłopoty w czasie wolnym od pracy. Jak możesz się z kimś zaprzyjaźnić, kiedy bez przerwy myślisz o komandosie, który gotów ci odstrzelić głowę?

Nie miał zamiaru dłużej tego znosić!

Kiedy tylko Barrie się zjawi, to on...

Ktoś zapukał do drzwi.

Howie poczuł skurcz w żołądku, ale nagle wróciła mu odwaga i pomaszerował z wojowniczą miną do drzwi. Otworzył je szeroko, gotów wygłosić przemowę do Barrie i Bonduranta. Jednak to nie oni złożyli mu wizytę.

- Cześć, Howie. Czy mogę wejść? - zapytał jego gość, uśmiechając się szeroko.

Barrie wysiadła i starannie zamknęła drzwi samochodu. Uśmiechnęła się do siebie, bo rozbawiła ją myśl o zabezpieczeniu przed kradzieżą ukradzionego samochodu. Popatrzyła na okna na trzecim piętrze narożnej kamienicy. Żaluzje w mieszkaniu Howiego były spuszczone, ale wszędzie paliły się światła. Pomyślała, że gdyby Gray chciał zrobić mu coś złego, na pewno zrobiłby to po ciemku.

Weszła do budynku i ruszyła w górę schodami. Wszędzie unosiła się woń stęchlizny, jak w sklepach ze starzyzną. Zastukała do drzwi mieszkania Howiego, ale nikt jej nie otwierał. Przycisnęła ucho do drewna, a potem przekreśliła klamkę. Drzwi nie były zamknięte.

- Howie? Gray?

Weszła do przedpokoju.

Nagle zgasły wszystkie światła.

Barrie chciała krzyknąć, ale była tak przerażona, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Poczła drżenie podłogi, jakby ktoś szybko zbliżał się w jej stronę. Wymacała w ciemności klamkę, jednak zanim zdążyła ją obrócić, czyjaś dłoń ścisnęła jej palce.

- Cicho.

Rozpoznała głos Graya i niemal zemdląca z ulgi. Odwróciła się do niego.

- Co się dzieje?

- Wynosimy się stąd. Już.
- Poczekaj - zaprotestowała. - Gdzie jest Howie? Jest w domu?
- Tak, jest.
- Gdzie?

Gray nie odpowiedział. Nie widziała go, ale wyczuła, że stoi nieruchomo i patrzy na nią z góry tym swoim bezlitosnym spojrzeniem.

- Gdzie jest Howie? - powtórzyła.
- Szszsz...

Barrie ogarnęła panika.

- Co mu zrobiłeś? - krzyknęła.
- Uspokój się!

Odepchnęła go i potykając się ruszyła przed siebie.

- Barrie, nie! - zawołał.

Poczuła podmuch powietrza, gdy wyciągnął rękę w jej kierunku, lecz w ciemności nie trafił. W kuchni uderzyła boleśnie biodrem w róg stołu. Odnalazła wyłącznik światła. Nacisnęła go kilka razy, ale nic się nie stało. Widać ktoś majstrował przy głównym wyłączniku w skrzynce z bezpiecznikami.

Gray złapał ją za ramię.

- Chodź, Barrie.
- Puść mnie! - krzyknęła, próbując uwolnić rękę z jego uścisku.

Nie miała szans na pokonanie go w tych zapasach, zwłaszcza w ciemności, ale wiedziała o kuchni Howiego tyle samo co Gray. Pamiętała jej rozkład i gdy walczyli ze sobą, posuwała się krok po kroku do okna. Kiedy znalazła się dość blisko, chwyciła dół rolety i z całej siły szarpnęła. Roleta z trzaskiem poleciała do góry. Kuchnię zalało światło lamp ulicznych.

- Cholera! - warknął Gray.

Barrie odepchnęła go na bok.

- Howie? - zawołała.

Nagle go dostrzegła. Leżał w drzwiach między kuchnią a sypialnią i wpatrywał się prosto w nią. Zobaczyła szeroko otwarte usta z obwisłymi wargami i długie cięcie na szyi. W bladoniebieskim świetle plama krwi obok jego głowy wydawała się czarna.

Zanim zdołała krzyknąć, Gray zakrył jej usta dłonią. Potem pochylił się i wyszeptał:

- To Spence.

Rozdział trzydziesty czwarty

- Spence? - Daily nic nie rozumiał. - Powiedziałaś przecież, że go zabiłeś.

- Nie, to ona powiedziała, że go zabiłem. - Gray zerknął na Barrie.

Barrie tuliła w dłoniach filiżankę wrzącej herbaty i bezmyślnie kołysała się w tył i w przód na brzegu kanapy Daily'ego. W domu było ciemno. Udało im się wślizgnąć niepostrzeżenie do środka. Przynajmniej Gray miał taką nadzieję. Jeśli Spence włączył się do gry, ryzyko wzrosło.

- Tylko go na jakiś czas wyłączyłem - wyjaśnił Gray. - Ale powinienem go zabić.

Opowiedział im o zranieniu Spence'a i uwięzieniu go w piwnicy pod stodołą.

- Chciałem, żeby przeżył i nie uciekł. Sądziłem, że przyjadę do Waszyngtonu i z pomocą Clete'a wywiozę Vanesę.

Spojrzał na Barrie, patrzącą nieobecny spojrzeniem przed siebie.

- Nie wyszło tak, jak chciałem - dodał. - Powinienem przewidzieć, że się uwolni, chociaż nie mam zielonego pojęcia, jak mu się udało.

- Jesteś pewien, że to on zabił Frippa? - spytał Daily.

- Tak. To jego robota.

- Gdyby Howie kiedykolwiek spotkał Spencera Martina, natychmiast zaczęłby się tym przechwalać - wtrąciła Barrie.

- Mogli się spotkać po raz pierwszy na pięć sekund przedtem, zanim Spence poderżnął mu gardło.

Potrząsnęła głową.

- Policja powiedziała, że nie było żadnych śladów walki. Howie znał mordercę.

Daily pochylił się do przodu.

- Co ty mówisz, Barrie? - zapytał z niedowierzaniem.

Gray odpowiedział za nią:

- Mówi, że Howie spodziewał się mnie i że to ja go zabiłem.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy.

- Czy nie tak właśnie myślisz? - zapytał.

- Nie wiem, co mam myśleć! - krzyknęła, odstawiając na bok filiżankę. - Nie mogę myśleć. - Wstała i zaczęła rozcierać ramiona. - Nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o śmierci Howiego. Nie był moim ulubieńcem - powiedziała załamującym się głosem - i nie będę udawała, że go lubiłam. Ale był istotą ludzką i nic nie zawinił w tej sprawie. Wciągnęłam go w to. Zginął przeze mnie. Będzie mi to ciążyło na sumieniu do końca życia.

- Co powiedziała policja? - spytał po chwili Daily.

Gray chciał jak najszybciej zniknąć ze sceny w obawie, że Spence wróci i będzie się chciał z nimi rozprawić. Jednak Barrie uparła się, że musi zadzwonić na policję. Gray mógł jednym ciosem pozbawić ją przytomności i wyciągnąć z mieszkania, ale został i cierpliwie odpowiadał na pytania detektywów.

Przyznali, że umówili się z Howiem na wieczór. Kiedy przyszli, w jego mieszkaniu było ciemno, ale drzwi stały otworem. Znaleźli jego zwłoki. Dotykali tylko klamki u drzwi, kilku wyłączników światła i brzegu rolety w oknie. Gray pamiętał, by przed przybyciem pierwszego radiowozu wytrzeć odciski palców ze skrzynki z bezpiecznikami. Nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego chciał w ciemnościach uciekać z mieszkania.

- Policjanci snuli domysły, że Howie został napadnięty na zewnątrz i wepchnięty do mieszkania. Opróżniono mu kieszenie, więc stwierdzono rabunkowy motyw zbrodni.

- A was nie podejrzewali? - spytał Daily.

- Może by i podejrzewali, gdyby nie to, że w plamie krwi został odcisk męskiego buta sportowego. Widocznie zabójca też go spostrzegł, bo zostawił tylko ten jeden ślad. Detektywi doszli do wniosku, że zdjął but, żeby nie zostawiać krwawych tropów po wyjściu z mieszkania. Ale ja uważam, że Spence zostawił ten ślad specjalnie, żeby policja podejrzewała, że ktoś zauważył Howiego, gdy ten wchodził do budynku, poszedł za nim po schodach i wykończył go dla paru nędznych dolców. W tej okolicy zdarza się to kilka razy w tygodniu. Policjanci wykonują parę rutynowych posunięć, potem napiszą raport, wypełnią papierki, schowają je do kartoteki i nigdy nie znajdą mordercy.

- Jak możesz być tak cholernie obojętny? - zawołała Barrie i zerwała się na równe nogi. Spojrzała na Graya z taką złością, że stracił panowanie nad sobą.

- A czego ode mnie oczekujesz? Spowiedzi? - spytał gniewnie, spoglądając na nią z góry.

- Chcę, żebyś wyjaśnił, dlaczego wszedłeś do mieszkania Howiego przede mną.

- Chciałem, żeby się przestraszył, ale to nie oznacza, że go zabiłem.

- A dlaczego wyłączyłeś światła, kiedy weszłam?

- By ci oszczędzić widoku.

- No dobrze, a jak już go zobaczyłam, dlaczego mnie uciszałeś?

- Bałem się, że Spence gdzieś się czai w pobliżu.

- Spence. Spence, który cudem powstał z martwych. - Barrie zamachała ramionami. - Chwała niech będzie Panu.

Gray zacisnął zęby.

- Czy poczułabyś się lepiej, gdybym powiedział: „W porządku. Przyznaję się. To ja poderzynałem mu gardło”?

- Jesteś wstrętny.

- O co się tak ciskasz? Powinnaś skakać do góry z radości. Jestem zdumiony, że nie zadzwoniłaś po kamerzystę natychmiast po skończeniu rozmowy z policją. Byłaś pierwszą reporterką na miejscu zbrodni. To przecież twoja specjalność. Czy to cię nie podnieca? To i wskakiwanie do łóżka z każdym facetem, który mógłby dać ci w zamian bombowy materiał.

- Dość, Bondurant - warknął Daily.

Gray nie zwrócił na niego uwagi.

- Nie muszę się tłumaczyć ani przed tobą, ani przed nikim innym. Wierz, w co chcesz. Gównu mnie to obchodzi.

Odwrócił się do Barrie plecami, ale ona ruszyła za nim.

- Jeśli nawet Spence żyje, to w jaki sposób odnalazł Howiego?

- Nie wiem, do diabła - odparł. - Może wiedział, że Howie ma nam przekazać informację, i nie chciał do tego dopuścić.

- Jak się o tym dowiedział?

Gray roześmiał się.

- Musisz przestać zakładać, że ci ludzie grają według jakichś ustalonych reguł. Nie znają żadnych ograniczeń. Ani moralnych, ani politycznych, ani emocjonalnych. Jeśli coś mają zrobić, robią to. Nie obchodzi ich, w jaki sposób osiągną cel. Dopóki tego nie pojmiesz, zawsze cię pokonają, ponieważ ty grasz zgodnie z zasadami.

Spojrzał na Daily'ego.

- Jeśli chcesz, żebym się wyniósł, to się wyniosę - powiedział.

Daily wstał i westchnął ciężko.

- Za każdym razem, gdy wyciągacie mnie z łóżka w środku nocy, przynosicie złe wieści - mruknął i szurając nogami ruszył do sypialni.

Gray rzucił Barrie wyzywające spojrzenie, ale nie odezwała się ani słowem. Odwróciła się i poszła korytarzem za Dailym.

Klnąc w duchu, zrzucił buty i koszulę. Położył się na kanapie, ale była dla niego za krótka, musiał położyć nogi na poręczu. Mógł zasnąć wszędzie, w każdych warunkach, jednak tego wieczoru trening go zawiódł. Był zbyt wściekły, żeby zasnąć. Wściekły i urażony. Zakrył oczy przedramieniem. Urażony? Z powodu jej idiotycznego oskarżenia? Podejrzenia, że jest mordercą? Co za niedorzeczne uczucie.

„Wierz, w co chcesz. Gównu mnie to obchodzi”. Najgorsze było to, że go obchodziło. Jeszcze nie wiedział, co chciał, żeby myślała o nim Barrie, ale na pewno nie to, że potrafi zabijać z zimną krwią. Nie umiał wymyślić ani jednego powodu, dla którego jej opinia powinna mieć dla niego znaczenie, ale miała.

Była bystra i impulsywna. Miała kąśliwe poczucie humoru, które ujawniała, gdy chciała ukryć lęk i rozczarowanie. Ale nie była tchórzem, a Gray podziwiał odwagę. Być może miała trochę za dużo wyobraźni jak na obiektywną dziennikarkę. Przeżyła odrzucenie, więc mógł jej współczuć.

Oskarżenie jej o gotowość oddania się każdemu za informacje było ciosem poniżej pasa. Nawet mu to do głowy nie przyszło tamtego ranka w Jackson Hole, teraz zresztą też nie uważał, by była do tego zdolna.

Prawdopodobnie tak jak i on nie potrafiłaby wyjaśnić tej orgii w jego domu. Bezpieczniej nie analizować tak gorących seksualnych przeżyć. Najlepiej zrzucić winę na zwierzęcy popęd i zapomnieć o wszystkim. Lub przynajmniej spróbować zapomnieć.

Tamtego ranka zorientował się natychmiast, że Barrie nie jest rozpustnicą. Jej reakcje były zbyt uczciwe, zbyt spontaniczne.

Nie chciał jednak teraz o tym myśleć. Nie tego wieczoru, gdy był na nią taki wściekły. Ale wspomnienia wyczołgiwały się z kryjówek i zaczynały go prześladować. Wspomnienie jej piersi - małych, lecz pełnych, jej napiętych sutków, szeptów w ciemności.

- Gray?

Nie słyszał jej kroków, więc zaskoczył go jej widok. Odchrząknął.

- Tak?

- Spałeś?

- Prawie - skłamał.

- Wymyśliłam, co powinniśmy teraz zrobić.

- Co? - spytał, mając nadzieję, że powie: „pokochać się”. Jednak nie o to jej chodziło.

Barrie wiedziała o istnieniu tego osiedla, choć w Waszyngtonie utrzymywano to w tajemnicy. Znajdowało się w zasięgu głosu od uczęszczanej Massachusetts Avenue, ale jeśli się go nie szukało, można było go nie zauważyć. Nie istniało na powszechnie dostępnych mapach.

Domy stały w sporej odległości od ulicy, ukryte za gęstymi żywopłotami lub murami z cegły. W wielu z nich dla dodatkowego bezpieczeństwa zamontowano elektrycznie uruchamiane bramy. Barrie była przerażona, gdy Gray zatrzymał samochód na podjeździe posiadłości na sprzedaż.

- Mogli do nas strzelać - powiedziała.

- Mogli.

- Jak myślisz, co ona robi, kiedy wdrzemy się po kryjomu przez podwórko za domem?

- Nie dowiemy się, jeśli nie spróbujemy.

To był pomysł Barrie. Zeszłej nocy wydawał jej się dobry, ale teraz już nie była tego taka pewna.

- Mówiłeś, że spotkałeś ją już wcześniej.

- Kilka razy przy oficjalnych okazjach. Jednak nigdy nie rozmawiałem z nią prywatnie. Może mnie nawet nie pamiętać.

- Nie sądzę. - Spoglądali na siebie wrogo przez kilka chwil, a potem Barrie dodała już łagodniej: - Naprawdę robisz wrażenie na ludziach, Bondurant.

- Tak. Na tobie też zrobiłem wrażenie.

Spuściła wzrok na zaciśnięte dłonie.

- Przepraszam za wczorajszy wieczór. Nigdy tak naprawdę nie wierzyłam, że mógłbyś... - Zagryzła dolną wargę. - Byłam przerażona.

- Daj spokój. - Otworzył drzwi samochodu.

- Nie, proszę. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Nie chcę, żeby to się za nami wlokło.

- W porządku. Powiedz, o co ci chodzi.

- Rozmyślałam o tym całą noc. Jeśli Spence rzeczywiście uciekł i wrócił do Waszyngtonu, jeśli w jakiś sposób dotarł do Howiego i dowiedział się, że Howie ma dla nas ważne informacje, jeśli znalazł się w jego mieszkaniu na kilka minut przed nami i go zabił, to dlaczego zostawił ślad, który odwracał od nas podejrzania i kierował śledztwo w inną stronę? Mógł przecież tak wszystko upozorować, żeby wyglądało, że to my zabiliśmy Howiego, na przykład z zemsty za wyrzucenie mnie z pracy. Za kratami przestalibyśmy sprawiać kłopot jemu i Merrittowi. Więc dlaczego celowo uniewinnił nas w oczach policji?

- Bo przygotował dla nas coś większego - odpowiedział Gray.

- Na przykład co?

- Jeszcze nie wiem. Ale właśnie dlatego musimy bardzo ostrożnie postępować. - Popatrzył na zagajnik rosnący za opustoszałym domem. - Chodźmy.

Barrie wysiadła z samochodu. Miała ze sobą ogłoszenie o sprzedaży domu. Ogłoszenie było wymówką, gdyby ktoś ich zatrzymał i chciał się dowiedzieć, czego tu szukają.

Ruszyła za Grayem, który szedł wzdłuż otaczającego posiadłość wysokiego kutego ogrodzenia. Po pięciu minutach dotarli do jego krańca.

- To należy do nich - powiedział, wskazując przed siebie.

Na skraju pasa zieleni między dwoma posiadłościami Barrie dostrzegła dach domu.

Klony już zaczęły zmieniać kolor, tworząc bogatą paletę barw na tle wiecznie zielonych drzew. Opadłe liście szeleściły pod stopami, gdy szukali drogi przez zagajnik. W innych okolicznościach byłaby to bardzo przyjemna wyprawa.

Dotarli do szerokiego, starannie skoszonego trawnika tworzącego półkole za domem z czerwonej cegły w stylu króla Jerzego. W ogrodzie kwitły kolorowe chryzantemy, a żywopłoty starannie przystrzyżono.

- Odkąd cię poznałam, Bondurant, oglądałam wiele podwórek. Jednak to jest najładniejsze - stwierdziła Barrie.

W tym momencie przez kuchenne drzwi wyszła kobieta. Trzymała naręczę czegoś, co wyglądało na zrolowane plakaty zabezpieczone gumką.

- To ona - powiedział Gray i ruszył przez trawnik. Barrie poszła za nim.

Kobieta położyła plakaty na tylne siedzenie jeepa cheerokee i wyprostowała się. I wtedy ich spostrzegła.

Gdy podeszli bliżej, Barrie zauważyła, że jej ciemne, pełne wyrazu oczu są zatroskane. Kobieta przesunęła spojrzeniem od Barrie do Graya i z powrotem do Barrie. Zanim którekolwiek z nich zdążyło się odezwać i usprawiedliwić swą obecność, powiedziała:

- Dzięki Bogu, że przyszliście.

Rozdział trzydziesty piąty

Amanda Allan poprowadziła Barrie i Graya przez dużą, wygodną kuchnię do przytulnego salonu. Na kominku płonął ogień. W pokoju unosiła się delikatna woń jabłek i cynamonu. W różnych miejscach stały oprawione w ramki zdjęcia dwóch małych chłopców, doktora George'a Allana i Amandy, dokumentujące historię rodziny i dorastanie dzieci. Wygodne, eleganckie meble dobrano ze smakiem. Wszystko zapraszało do odpoczynku.

Barrie zazdrościła tej kobiecie pięknego pokoju, dzieci i domu, jaki stworzyła. Ale widziała też napięcie w twarzy i postaci Amandy Allan, zwiastujące nadchodzącą zgubę.

Poprzedniej nocy przyszło jej do głowy, że być może pani Allan zgodzi się porozmawiać z nimi o mężu, zwłaszcza jeśli, jak twierdził Howie, w ich małżeństwie pojawiły się nieporozumienia. Uważała, że warto spróbować, choć nie oczekiwała rewelacji. Nie spodziewała się też, że Amanda poczuje taką ulgę na ich widok. Nie przyszło jej do głowy, że kobieta, która z pozoru miała wszystko, czego tylko można zapragnąć, będzie wyglądała na tak nieszczęśliwą i zdenerwowaną.

Kiedy usiedli, Amanda najpierw zwróciła się do Graya:

- Jak się masz? Wiele wydarzyło się od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. - Pokiwał głową, a potem przedstawił Barrie. - Wiem, kim pani jest, panno Travis - powiedziała.

- A ja wiem, kim pani jest - odparta Barrie. - Zadzwoń pani do mnie do WVUE i poinformowała o Highpoint.

- Przepraszam, że zachowywałam się tak tajemniczo. Czułam, że muszę coś zrobić. Pani pierwsza przyszła mi do głowy, ponieważ przeprowadziła pani wywiad z Vanessą.

- Wiedziała pani, że coś niedobrego dzieje się w państwa domu nad jeziorem?

- Wyczuwałam, że coś jest nie w porządku, ale nie wiedziałam co. George... - Zagryzła wargi. Nie była kobietą, która płakałaby przy obcych. Odezwała się dopiero, gdy odzyskała panowanie nad sobą. - George już mi się nie zwierza. Jednak jestem przekonana, że gdyby pielęgniarka nie dostała ataku serca w odpowiedniej chwili, Vanessa również by nie żyła.

- Obawiam się, że masz rację - potwierdził Gray.

Amanda spojrzała na Barrie z ledwie skrywaną rozpaczą.

- Odkąd pani odeszła z telewizji, nie wiedziałam, jak się z panią skontaktować.

- Dlaczego próbowała się pani ze mną porozumieć?

- By powiedzieć pani coś, co zresztą chyba już pani wie. David Merritt nie jest człowiekiem, za jakiego wszyscy go uważają. To zbrodniarz bez sumienia. Trzeba go powstrzymać. - Utkwiła w Barrie intensywne spojrzenie ciemnych oczu. - Czy mogę o coś zapytać? - Barrie przytaknęła. - Wdarła się pani do kostnicy w szpitalu w Shinlin, bo wierzyła pani, że mój mąż przywiózł tam ciało Vanessy, prawda?

- Tak.

- Wierzyła pani, że to George spowodował jej śmierć?

Barrie popatrzyła na nią ze smutkiem.

- Tak mi przykro. Właśnie tak myślałam. Gray też.

Amanda złożyła ręce na kolanach.

- Rozumiem.

- Psychoza maniakalno-depresyjna, na którą cierpi Vanessa, powoduje, że musi przyjmować leki pozwalające kontrolować zmiany nastroju. Daje to lekarzowi sporą możliwość manewru. Zgodzisz się z nami?

- Tak - przytaknęła Amanda ochryple. - Teraz rozumiem.

- Nadal mamy powody sądzić, że Vanessie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo - powiedział Gray.

- Ze strony George'a?

- Ze strony Davida.

- Ale za pośrednictwem George'a?

Nie musiał odpowiadać. Wystarczyło spojrzenie.

Barrie wiedziała, że nie powiedzieli Amandzie nic nowego, nic, czego by się nie domyślała. Jednak choć potwierdzenie najgorszych obaw nie było łatwe do przyjęcia, zachowała godność, zdobywając podziw i szacunek Barrie.

- Zdaję sobie sprawę, jakie to musi być dla pani trudne, pani Allan - powiedziała. - Nie znam pani męża, ale opierając się na tym, co wiem o nim, nie mogę uwierzyć, że działa w złej wierze.

- Sądzę, że tak jak Vanessa jest ofiarą Davida - dodał Gray.

- Nie przyszliśmy tu, by oskarżać doktora Allana - oświadczyła Barrie. - Szukamy jedynie informacji.

- Nie musicie się przede mną tłumaczyć - odrzekła Amanda. - Odkąd David objął stanowisko i wyznaczył George'a na lekarza Białego Domu, mój mąż przeszedł prawdziwe piekło.

- David to potrafi - zauważył Gray.

Amanda spojrzała na niedawno zrobiony portret rodzinny stojący na małym stoliku.

- George jest wplątany w coś strasznego, ale brak mu sił, by się wyzwolić. Nasze życie legło w gruzach. Ma to fatalny wpływ na nasze dzieci. George rozpada się na moich oczach, a ja nie mogę do niego dotrzeć ani prośbą, ani groźbą. - Spojrzała na Barrie. - Czy ma pani jakieś podejrzenia?

- David Merritt zabił dziecko Vanessy. To nie był SIDS.

Amanda przycisnęła szczupłe, blade palce do drżących warg.

- Pani mąż wpadł w pułapkę, ponieważ pogodził się z czymś, co jest wbrew jego naturze i wbrew jego osobistemu kodeksowi moralnemu - dodała łagodnie Barrie. - Właśnie dlatego tak się zadrecza.

Nie potrafiła zmusić się do powiedzenia, że doktor Allan zatuszował morderstwo popełnione przez prezydenta, a teraz pomagał mu w usunięciu jedyne go świadka zbrodni.

Ale Amanda była inteligentna. Nie musiała tego usłyszeć wprost. Opuściła dłoń. Jej wargi, choć wciąż blade, już nie drżały.

- Czuję odrazę do tego człowieka za to, co zrobił z moim mężem. Nawet jeśli będzie to oznaczało wmieszenie George'a w przestępstwo, zrobię wszystko co w mojej mocy, by pokazać światu, kim naprawdę jest David Merritt. Wolę, by George odsiadywał wyrok, niż umarł. Bo jeśli ten koszmar nie skończy się wkrótce, zabije go.

- Mieliliśmy z Barrie nadzieję, że zgodzisz się nam pomóc - powiedział Gray.

Amanda odwróciła się do niego.

- Mówmy otwarcie. Czy wierzysz, że David polecił George'owi usunąć Vanesę?

- Tak, wierzę.

- A co z jej ojcem? Clete Armbruster zabije każdego, nawet swojego zięcia, jeśli spadnie jej choć włos z głowy. Prosilicie go o pomoc?

- Próbowaliśmy - odparła Barrie. - Jednak od wpadki w Shinlin nie chce z nami rozmawiać.

- Prawdopodobnie unika was z innego powodu - powiedziała Amanda. - Senator nie jest całkiem niewinny. Gra o wysokie stawki. George wspominał kilka razy o różnych kantach.

- Tak myślałem - mruknął Gray. - Gdy zacznie oskarżać Biały Dom, może się okazać, że oskarża sam siebie. David zbiera wszelkie dane o ludziach z własnego kręgu. Brudne sekrety umacniają lojalność. Dla nikogo nie robi wyjątków. Nawet dla teścia, dzięki któremu go wybrano.

- Ale ja nie muszę być lojalna wobec Davida Merritta - odrzekła Amanda. - W czym mogę wam pomóc?

- Chcielibyśmy się dowiedzieć, gdzie George przetrzymuje Vanesę.

- Nie wiem. Nie powiedział mi, ale sądzę, że w Tabor House.

Barrie zerknęła na Graya. Był zaskoczony tak jak ona.

- To prywatny szpital odwykowy - dodała Amanda.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Istnienie Tabor House to tajemnica - wyjaśniła Amanda. - Jest dostępny tylko dla urzędników państwowych i ich najbliższych. Nadużywanie narkotyków i alkoholu wśród waszyngtońskiej administracji zdarza się znacznie częściej, niż się powszechnie sądzi. Szpital powstał mniej więcej dwadzieścia lat temu.

- Gdzie to jest?

- W Wirginii. Jakies półtorej godziny jazdy samochodem.

- To by wyjaśniało codzienne wycieczki George'a helikopterem z trawnika przed Białym Domem - stwierdził Gray. - Możesz nam podać adres?

Amanda z zakłopotaniem zmarszczyła brwi.

- Nigdy tam nie byłam. W Tabor House nie wolno nikogo odwiedzać. Ale znam nazwę najbliższego miasta.

Poszli za nią do kuchni, gdzie usiadła przy stole i zanotowała wszystko, co wiedziała. Gray schował kartkę do kieszeni.

- To nawet więcej, niż oczekiwaliśmy - powiedział. - Dziękujemy, Amando.

- Gray - położyła mu rękę na ramieniu - wierzę, że będziesz ostrożny. Chodzi mi o George'a. Robię to, by ocalić nasze życie. Jednak czuję się tak, jakbym go zdradzała.

- Potrafię zrozumieć, co czujesz. Przeżywałem to samo. Przecież wiesz, że byłem podwładnym Davida, służyłem mu pomocą jako doradca i przyjaciel... - przerwał. - Nie wyrządę George'owi krzywdy. Masz moje słowo - obiecał.

Zacisnęła palce na jego ramieniu.

- To jest dla ciebie bardzo niebezpieczne. Zdziwiłam się, że zaryzykowałeś przyjście tutaj.

Barrie powiedziała jej, że od czasu incydentu w Shinlin są pod stałą obserwacją.

- Śledzono nas od wyjścia z domu, ale udało nam się ich zgubić. Jednak muszę panią ostrzec, że ktoś, z kim rozmawialiśmy o tej sprawie, został zeszłej nocy zamordowany.

- Mój Boże.

- Może zabierzesz dzieci i wyjedziesz stąd na jakiś czas? - zaproponował Gray.

- Gdybym zabrała dzieci i zniknęła, stalibyśmy się tym bardziej podejrzani. Poza tym nie zostawię George'a.

- Staraliśmy się podjąć wszystkie środki ostrożności, by cię osłonić, ale nikomu nie ufaj - ostrzegł Amandę Gray. - Nawet komuś, komu byś normalnie zaufała. Na przykład Spence'owi Martinowi.

Amanda raptownie uniosła głowę.

- Przecież... załatwiłeś już tego gada. Nie zrobiłeś tego? Myślałam...

- O co ci chodzi?

Wskazała głową mały telewizor wbudowany w szafkę kuchenną.

- Mówili o tym w dzienniku.

- Co było w dzienniku? - spytała Barrie.

- Gray. Gray Bondurant.

Rozdział trzydziesty szósty

Gray Bonduranta, bohatera akcji odbicia zakładników, szukało FBI, by zadać mu kilka pytań w sprawie zaginięcia Spencera Martina, doradcy prezydenta.

David Merritt usłyszał wiadomości w tym samym czasie, co reszta kraju.

Siedzieli w prywatnym apartamencie i omawiali właśnie ze Spence'em poufne kwestie. Tylko garstka ludzi w Białym Domu wiedziała, że Spence tu zamieszkał. Przeniósł się do nie używanej sypialni na trzecim piętrze. Tutaj mogli swobodnie rozmawiać. Pokój był dźwiękoszczelny i nie można było założyć w nim podsłuchu.

- Ten facet to kretyn - powiedział Spence o Howiem Frippie. - Ucieszył się na mój widok. Zaprosił mnie do środka. Nawet się nie zdziwił, że znam jego adres.

- Jesteś pewien, że nie miał czasu skontaktować się z tą Travis i Grayem między wyjściem z baru i otwarciem ci drzwi?

- Cały czas miałem go na oku. - Spence upił łyk pepsi. - Ale nawet gdyby się skontaktował, nie miałyby to żadnego znaczenia. Nic nie wiedział. Przechwalał się tylko, żeby zrobić na mnie wrażenie. Nie mógł...

- Co to, do diabła?

Spence odwrócił się, żeby zobaczyć, co przykuło uwagę Davida, i z niepokojem zobaczył na ekranie telewizora własną twarz. Było to stare zdjęcie, prawdopodobnie jedyna fotografia w kartotece. Jednak na jej podstawie można było go rozpoznać. Chwycił pilota i włączył głos.

- ...zgłoszono jego zaginięcie.

Popatrzyli na siebie z zaskoczeniem.

- Uważa się, że Gray Bondurant, który zyskał sobie szacunek całego kraju za przeprowadzenie śmiałej misji odbicia zakładników, jako ostatni widział Spencera Martina, gdy doradca prezydenta odwiedził go na ranczo w Wyoming - mówił korespondent sieci Capitol Hill. - W całym kraju trwają poszukiwania pana Martina.

- Chryste! - Spence zerwał się na równe nogi. - Kto jest za to odpowiedzialny?

- Nie wiem. Ale się dowiem. - David wziął słuchawkę i zażądał połączenia z prokuratorem generalnym.

- Przez głośnik - podpowiedział mu Spence.

Prokurator generalny William Yancey gdzieś wyszedł, więc jeden z jego podwładnych musiał przeżyć próbkę prezydenckiej wściekłości.

- Co się tam do kurwy nędzy dzieje? Gdzie jest pan Yancey? Chcę z nim natychmiast rozmawiać!

- Poszedł z panią Yancey na kolację, panie prezydencie.

- No to go poszukajcie. Zaraz. A tymczasem chcę się dowiedzieć, kto zlecił poszukiwania Spencera Martina.

- Pan Yancey osobiście, proszę pana. O ile dobrze zrozumiałem, otrzymał poufną informację.

- Informację? Otrzymał poufną informację? I tylko na tej podstawie zarządził poszukiwania w całym kraju?

- Informacja pochodziła z bardzo wiarygodnego źródła, panie prezydencie.

- Od kogo?

- Od senatora Armbrustera.

David spojrzął na Spence'a, który zaczął cicho przeklinać.

- Rozumiem. Senator Armbruster widocznie zapomniał to ze mną wcześniej uzgodnić.

- Pan senator mówił, że pana Martina nie ma już prawie od dwóch tygodni. A pan Yancey sądził, że senator Armbruster działa z pańskiego polecenia.

- Oczywiście, że tak - odparł bez zająknięcia David. - Mnie również coraz bardziej niepokoiła przedłużająca się nieobecność pana Martina. Nie rozumiem tylko, dlaczego pan Yancey szuka Bonduranta.

- Pan Bondurant mówił niedawno senatorowi Armbrusterowi, że pan Martin odwiedził go na ranczo w Wyoming. O ile wiadomo, była to ostatnia informacja o miejscu pobytu pana Martina.

- Czy odnaleziono już Bonduranta?

- Jeszcze nie.

- Proszę mnie informować na bieżąco.

- Oczywiście, panie prezydencie.

- I odszukajcie pana Yanceya. Chcę z nim natychmiast pomówić.

- Tak, proszę pana. Od razu przekażę mu wiadomość.

David się rozłączył.

- Czy chcesz nagle wrócić i położyć kres tej bzdurze?

Spence przez chwilę krążył po pokoju bez słowa.

- Nie. Łatwiej mi będzie działać z ukrycia. Ale każę moim ludziom, by na widok Bonduranta odwracali głowy. Nie chcemy przecież, by go wypytywało FBI lub Yancey.

- Yancey - powtórzył David z odrazą.

William Yancey sprawiał wrażenie idealnego kandydata na stanowisko prokuratora generalnego. Był energiczny i młodzieńczy jak Robert Kennedy, gdy starszy brat wyznaczył go do tej pracy. Jak Kennedy wyróżnił się w walce z przestępczością w sądach stanowych i federalnych. Miał charyzmę, był przystojny i dobrze przemawiał. Dlatego David poprosił go o przyjęcie stanowiska i od pierwszego dnia żałował swojej decyzji. Yancey był za bystry, za pracowity, za uczciwy. Yancey i Bondurant - to niebezpieczne połączenie podobnie myślących głów.

- Gdy tylko Gray zobaczy wiadomości, nic go nie powstrzyma przed wkroczeniem do gabinetu Yanceya i wyznaniem, że siedzisz u niego w piwnicy.

- Nic takiego nie zrobi.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze, straciłby swobodę ruchów. Przynajmniej tymczasowo. Musiałby powiedzieć, dlaczego do mnie strzelał i uwięził. Zanim wszystko by wyjaśnił, upłynęłoby sporo czasu, a właśnie na czasie Grayowi najbardziej zależy. Po drugie, widział zwłoki Howiego Frippa. To tak, jakbym zostawił wizytówkę. Gray wie, że już nie siedzę u niego w piwnicy.

David zmarszczył brwi.

- Nagle najważniejszy staje się czas.

- Owszem.

- Cholera, wcale nie było to nam potrzebne - stwierdził prezydent ze złością. - Co u diabła Clete sobie wyobrażał?

Spence wskazał aparat telefoniczny.

- Proponuję, żebyś go zapytał.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się przejmujesz, Davidzie - powiedział Clete, strząsając popiół z cygara do chińskiej popielniczki z pieczęcią prezydencką na dnie.

Senator natychmiast zgłosił się na wezwanie prezydenta. Podszedł do całej sprawy ze spokojem ducha, choć wiedział, jak bardzo zagniewany jest na niego David Merritt. Prowadzenie ryzykownej gry na dwa fronty zawsze wprawiało go w dobry humor.

Sprawa z Grayem i Spence'em dręczyła Davida tak, jak Clete to przewidział. Prezydent na pewno nie chciał, żeby Bondurant zeznał, iż to on wysłał Spence'a, by go zamordował. Naturalnie odrzuciłby wszystkie oskarżenia i odwróciwszy role nazwałby właśnie Bonduranta zdrajcą i mordercą.

Wówczas jednak szkoda już by się stała i byłaby nie do naprawienia. Zakiełkowałyby ziarno zwątpienia zasiane w umysłach społeczeństwa. Na rok przed wyborami byłoby to dla Merritta zbyt ryzykowne. Partia opozycyjna z największą przyjemnością wskazałaby łatwowiernym wyborcom, jakimi podejrzanymi osobnikami otacza się prezydent.

Armbruster zdradził Graya Bonduranta i uczynił sobie z niego wroga, ale ten człowiek nie był mu potrzebny. Tak samo jak Barrie Travis. Clete po scenie w szpitalnej kostnicy rozerwał na kawałki jej dziennikarską wiarygodność. Nawet jeśli mieli rację co do Davida Merritta, senator nie miał zamiaru pomagać im w odkryciu prawdy. Nie mógł dopuścić, żeby tacy detektywi od siedmiu boleści zagrozili jego własnym planom zniszczenia Davida.

Poza tym zawsze istniała możliwość, że przez przypadek natkną się na aferę z Becky Sturgis. Bez żadnych wątpliwości doprowadziłoby to do upadku prezydenta, ale zniszczyłoby także Clete'a Armbrustera. Na liście najważniejszych dla senatora spraw samoobrona znajdowała się na drugim miejscu tuż za władzą.

Dlatego też, chcąc znaleźć dla Bonduranta i reporterki dodatkowe zajęcie, przekazał prokuratorowi generalnemu Yanceyowi, że ostatnią osobą, która widziała Spencera Martina żywego, jest były zwiadowca piechoty morskiej. Teraz, kiedy już ich usunął na bok, jego cel był prosty. Musiał odzyskać

Vanesę zdrową i trzymać ją z dala od Davida, a potem go zniszczyć.

Tymczasem David zaczął gniewną przemowę:

- Bez porozumienia ze mną...

- Od wielu dni próbowałem porozumieć się z tobą - przerwał Clete. - Nie odbierałeś moich telefonów.

Wczoraj pojechałeś do Georgii. Dziś po południu przewodniczyłeś spotkaniu...

- Znam swój rozkład zajęć. Clete. Mogłeś poczekać z telefonem do Yanceya, aż będę wolny.

- Wprost przeciwnie, Davidzie. Sądziłem, że ta sprawa nie może dłużej czekać. Zaczęto pytać o Spence'a.

- Kto?

- Twój własny personel. Ludzie zauważyli jego nieobecność. Byłeś zajęty, więc przyszli do mnie.

- Dlaczego do ciebie?

- Ponieważ ty i ja jesteśmy sobie bardzo bliscy. - Clete rzucił te słowa jak wyzwanie i patrzył, czy David je podejmie. - Wszyscy zakładają, że troski i zmartwienia dzielisz ze mną, więc właśnie ze mną rozważałbyś przyczyny nie wyjaśnionej nieobecności Spence'a. - Z zadowoleniem wydmuchnął dym z cygara.

- Gray ci powiedział, że Spence go odwiedził?

- Właśnie. Tamtej nocy, gdy spotkałem go wraz z tą kretynką Travis w Shinlin.

- Tyle się działo tamtej nocy... Jak to się stało, że w ogóle padło imię Spence'a?

Clete zmarszczył brwi, jakby próbował sobie przypomnieć.

- Dokładnie nie pamiętam, chyba była to jakaś wzmianka bez znaczenia. Pewnie bym o wszystkim zapomniał, gdyby Spence się pojawił. Ale się nie pojawił i nic nie wskazuje na to, że się pojawi. Trochę powęszyłem na własną rękę. Nikt nie odbiera jego poczty. Nikt z sąsiadów go nie widział od kilku tygodni. Nie odpowiada na telefony. Wygląda na to, że pojechał do Wyoming i zgubił się w górach, a ostatnią osobą, która go widziała, był Gray Bondurant.

David roześmiał się głośno.

- Co za złowieszczy ton, Clete. Podejrzewasz, że Gray zabił Spence'a?

- A widzisz inną możliwość?

- To śmieszne.

- Czyżby?

- Oczywiście - odparł David z irytacją.

- Zdaje się, że Yancey ma inne zdanie na ten temat.

- Yancey! Miałem zastrzeżenia do jego kandydatury. Żałuję teraz, że nie wziąłem ich pod uwagę.

Clete zachichotał.

- Za bardzo przypomina Bonduranta, co? Zawsze ci „się sprzeciwia. Nie płaszczy się przed tobą jak reszta. Już rozmawiał z kimś z działu kryminalnego w FBI, kto zgodził się, że nie zaszkodzi krótka pogawędka z panem Bondurantem.

Clete przesunął cygaro w kąt ust, podszedł do barku i nalał sobie czystej szkockiej. Podstawił szklanę z rżniętego kryształu pod lampę i przez chwilę przyglądał się grze światła na szlifowanej ścianie.

- Jestem ciekaw, co im Bondurant opowie o wizycie Spencer w Wyoming, kiedy go będą przesłuchiwać
- dodał, po czym odwrócił się i spojrzał znacząco na zięcia.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. David pierwszy się uśmiechnął z niechętnym podziwem dla złośliwego mentora.

- Więc wiesz. Gray ci powiedział.

- Że posłałeś Spence'a, by go zabił? Tak, powiedział mi. Zastanawiam się, co on jeszcze wie z tego, co chciałbyś ukryć.

David usiadł na kanapie i położył stopę na kolanie. Clete nie dał się oszukać tą udawaną bez troską. Prezydent nie był aż tak rozluźniony i spokojny, jak z pozoru wyglądał.

- Czego chcesz, Clete? Zbyt dobrze cię znam. Nie zorganizowałaś tych idiotycznych poszukiwań dla kaprysu. I z pewnością nie zrobiłaś tego z troski o Spence'a. Więc dlaczego? Czego chcesz?

- Mojej córki.

- Mówisz o mojej żonie.

- Rujnujesz życie Vanessie. Nie pozwolę na to.

- Jeśli chodzi o Vanesę, moje życzenia są ważniejsze od twoich, bo jestem jej mężem, Clete. Jednak chciałbym cię zapewnić, że jest w dobrych rękach.

- Gdzie? Znowu w domu Allana nad jeziorem?

- Jej stan zbyt się pogorszył, by można ją było tam leczyć. Przewróciła się pewnego ranka. George nie miał wyboru. Musiał ją przewieźć do szpitala.

- Dokąd?

- Tabor House.

- Szpital odwykowy?

- Wiedział, że tam można zagwarantować jej anonimowość. - David wstał, podszedł do biurka i ze środkowej szuflady wyciągnął kartkę papieru. - Tu jest numer. Zadzwoń, jeśli mi nie wierzysz.

Clete wziął od niego kartkę i poprosił telefonistkę z centrali w Białym Domu o połączenie. W końcu w słuchawce odezwał się ciepły głos.

- Tabor House.

- Mówi senator Clete Armbruster. Chcę rozmawiać z kimś z dyrekcji.

- Proszę chwilę poczekać.

Czekając na połączenie. Clete słuchał cichej muzyki i zastanawiał się, czy to rzeczywiście telefon do ekskluzywnego szpitala odwykowego, czy też kolejna sztuczka Davida.

- Clete? Czekałem na twój telefon. Prezydent uprzedzał mnie, że będziesz dzwonił

Senator rozpoznał ten głos. Doktor Dexter Leopold, były główny chirurg kraju, obecnie administrator Tabor House.

- Witaj, Dex. Jak się czuje moja córka?

- Powiem otwarcie. Clete. Była w bardzo kiepskiej formie, kiedy doktor Allan przywiózł ją do nas. Leki nie działały, ponieważ za dużo piła. Ale już doprowadziliśmy ją do normy i czuje się znacznie lepiej.

- Daj jej wszystkie najlepsze środki, Dex.

- Oczywiście.

- Chcę, żeby zajęli się nią inni lekarze, nie Allan.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła na chwilę cisza.

- Byłoby to niezręczne, Clete.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Doktor Allan jest jej lekarzem prowadzącym. Dopóki pani Merritt lub prezydent - gdyby ona sama była niezdolna do podjęcia decyzji - z niego nie zrezygnuje, muszę go uznawać za osobę odpowiedzialną za jej stan zdrowia.

Dex Leopold miał opinię człowieka honoru, ale David mógł coś na niego znaleźć. Czy gdyby George Allan powoli zabijał Vanesę lekami, doktor Leopold by milczał?

- Gdzie znajduje się Tabor House? - spytał Clete. - Chciałbym jutro zobaczyć się z córką.

- Przykro mi, ale nie mogę się na to zgodzić - odparł łagodnym tonem lekarz. - Znasz nasz regulamin. Na terenie kliniki może znajdować się tylko personel i chorzy. Tylko w ten sposób możemy chronić anonimowość naszych pacjentów i zagwarantować skuteczność naszych metod. Często wizyta rodziny powoduje nawrót, zwłaszcza wtedy, gdy pacjent ozdrowiał pod względem fizycznym, ale jeszcze pracujemy nad rekonwalescencją psychiczną.

- Ależ, Dex...

- Przykro mi, Clete, żadnych wyjątków. Nawet prezydentowi nie wolno odwiedzać pani Merritt, chociaż prosi o to za każdym razem, gdy do nas dzwoni. Skoro jemu odmówiłem, to i tobie muszę odmówić. Tak będzie najlepiej dla pani Merritt, zapewniam cię.

Senator powędrował spojrzeniem do Davida, który przyglądał mu się ze spokojnym wyrazem twarzy.

- W porządku - poddał się Clete. - Chcę, żeby Vanessa wyzdrowiała. Ciężko przeżyła śmierć dziecka.

- Mówił nam o tym prezydent. Żałuje, że nie nakłonił jej do psychoterapii wcześniej, zaraz po tym smutnym wydarzeniu. Gdyby wówczas poddała się leczeniu, być może udałoby się uniknąć kryzysu. Ale nie martw się, Clete. Zwrócimy ci ją zupełnie zdrową.

- Lepiej postarajcie się o to, jeśli wiecie, co jest dla was dobre - powiedział senator i odłożył słuchawkę.

- Zadowolony? - spytał David.

- Nie na długo. Uważaj, Davidzie. Nie wiem, ile osób zmusiłeś do brudnej roboty i kłamania dla ciebie, ale odzyskam moją córkę. Jeszcze raz przypominam ci, że to ja cię tu wsadziłem i ja mogę wysadzić. - Clete pstryknął palcami tuż przed prezydenckim nosem. - O tak.

Rozdział trzydziesty siódmy

Na długo przed świtem Clete zszedł na dół, by wypić pierwszą filiżankę kawy. Co wieczór przed pójściem spać ustawiał zegar w ekspresie do kawy.

Pierwsza parująca filiżanka zawsze przywoływała wspomnienia dzieciństwa, czasów, kiedy jeszcze nie wiedział nawet, jak wymówić słowo „polityka” i nie rozumiał, że niektórzy mężczyźni pragnienie władzy i ambicję stawiają wyżej od honoru.

Jego ojciec był wysokim, silnym i spokojnym mężczyzną. Nie przyszłoby mu do głowy, że można jedno przestępstwo tuszować innym. Miał tylko podstawowe wykształcenie, ale rozpoznawał wszystkie gwiazdozbiory i w mgnieniu oka potrafił zsumować wszystkie oczka na ułożonych dopiero co kostkach domina. Rzadko się gniewał, jednak natychmiast stawał w obronie słabszego.

Służył pod rozkazami generała Pattona w Niemczech. Tam też zginął i został pochowany. Przed wojną mieszkał i pracował jako poganiacz bydła na ranchu w południowym Teksasie. W czasie wiosennych spędów pozwalał czasami małemu Clete’owi jechać ze sobą i innymi kowbojami.

Na popasach najbardziej niebezpieczne były grzechotniki, przestraszone konie i spłoszone długorogi. Całe dni spędzali w siodle, w kurzu i na ciężkiej pracy. Noce były pełne gwiazd. Codziennie przed świtem, przed rozpoczęciem zajęć kowboje zbierali się przy ognisku i wypijali po kubku wrzącej, mocnej kawy.

Po wojnie owdowiała matka Clete’a przeniosła się do Missisipi, by zamieszkać ze swoją rodziną, toteż spędził resztę młodości z dala od rancha, a większą część dorosłego życia w Waszyngtonie. Jednak nawet po sześćdziesięciu latach pamiętał woń smażonego boczku, końskich odchodów, skóry i skręcanych ręcznie papierosów ojca, gdy przygotowywał śniadanie pod jaśniejącym niebem. Żadna kawa na świecie nie była taka podła, jak tamta zaparzona na ognisku. I żadna od tamtej pory tak nie smakowała.

Clete kochał tamte poranki. Kochał swego ojca. Pamiętał, jaki był szczęśliwy, gdy jechał konno przy jego boku. Inni mężczyźni, nawet najwięksi twardziele, traktowali jego ojca z szacunkiem. Był dumny, że jest synem takiego człowieka.

Ale tego ranka, jak i wielu poprzednich. Clete nie chciał myśleć, czy jego ojciec byłby dumny z syna.

Włączył światło w kuchni.

Przy stole siedział Gray Bondurant z filiżanką kawy przed sobą.

- Dzień dobry, Clete - powiedział.

Rozsiadł się wygodnie, jakby wcale nie szykował się do walki. Jednak Clete wiedział, że dla Bonduranta zdrada jest największą zbrodnią. A Bondurant był niebezpieczny.

Senator zastanawiał się, czy wspomnienia ojca, ognisk i spędów nie były zwiastunem śmierci z rąk człowieka, którego tak bezmyślnie skrzywdził. Zawstydział się strachu, który go ogarnął.

Oczywiście nie pozwolił, by nieproszony gość dostrzegł jego lęk. Nalał sobie kawy i usiadł przy kuchennym stole. Nie warto było pytać Bonduranta, jak się dostał do środka. Nawet najnowocześniejszy system alarmowy nie powstrzymałby komandosa, który potrafił wślizgnąć się do więzienia na Bliskim Wschodzie.

Clete wytrzymał zimne, nieprzejednane spojrzenie Bonduranta. Upił łyk kawy.

- Podejrzewam, że powiedzenie „przepraszam” nic nie da.
- Nie, Clete. Odwołaj psy.
- Nie mogę. Za daleko wszystko zaszło. To już poza moim zasięgiem.
- Gówno prawda. Ty spuściłeś lawinę i ty możesz ją zatrzymać. Chyba że twoje przechwałki o władzy to sama para.

Bondurant był godnym przeciwnikiem. Nie dawał się zbyć słowami. Clete postanowił przejść do rzeczy.

- Czego chcesz? - zapytał.
- Chcę znaleźć Vanessę i oddać ci ją. Ale nie mogę mieć FBI na karku, kiedy będę jej szukał.
- Vanessie już nic nie grozi.
- Wierzysz w to?
- Jest w Tabor House.
- Wiem, gdzie jest.

Clete był ciekaw, skąd Bondurant się tego dowiedział, ale nie było sensu pytać.

-Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Dexem Leopoldom. Jest tam teraz szefem. Dałem mu do zrozumienia, że lepiej będzie, jak wróci do mnie cała i zdrowa.

Bondurant parsknął z irytacją, a potem pochylił się nad stołem.

- Czy uwierzyłeś w to wszystko, co opowiedzieliśmy ci z Barrie o ciąży Vanessy i domniemanym SIDS?

Clete, wytrawny polityk, zachował milczenie.

- Jeśli nam uwierzyłeś, czy naprawdę myślisz, że David to odpuści? Znasz go lepiej niż ktokolwiek inny, Clete. Jeśli rzeczywiście udusił dziecko Vanessy, sądzisz, że pozwoli jej żyć, by mogła o tym komuś powiedzieć?

Senator przez chwilę rozważał pytanie, chociaż odpowiedź była przerażająco prosta.

- Czego chcesz? - spytał szorstko.
- Swobody ruchów bez obawy zatrzymania. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale musisz wyciągnąć mnie z sieci FBI.
- W jaki sposób?
- Na pewno coś wymyślisz i będziesz bardzo przekonujący. Powiesz na przykład, że cię źle zrozumiano, nie dosłyszano albo że zostałeś wprowadzony w błąd. Wykombinuj coś, żeby mi zeszli z ogona. W zamian dostaniesz Vanessę.
- I tak ją dostanę.

- Tylko pytanie, czy żywą.

- David nie ośmieliłby się posunąć tak daleko. Jego też ostrzegłem.

- Tym bardziej musimy działać szybko.

- Sam się zajmę działaniem, bardzo ci dziękuję.

- Dobrze, rób to na swój sposób. Jednak o jednym powinieneś wiedzieć: Spence nie zniknął tajemniczo. Żyje, ma się dobrze i jest w Waszyngtonie.

- Co ty powiesz! Myślałem, że go zabiłeś.

- Nie zabiłem, choć niewykluczone, że pożyję jeszcze na tyle długo, by tego pożałować. Wrócił. Widziałem jego ostatnią robotę. Jak sądzisz, czy Spence i David dopuszczają do przesłuchania mnie przez FBI? Nigdy. Będą próbowali mnie zabić.

- Więc walczysz o własną skórę, nie Vanessy.

Ten strzał wywołał błysk gniewu w oczach Bonduranta. Mimo to zachował spokój.

- Spence nie będzie się bez końca ukrywał. Zmaterializuje się pewnego dnia. A kiedy to zrobi, wszyscy ubawią się twoim kosztem. Wyjdiesz na dzieciinniałego starego durnia, który podniósł fałszywy alarm, a Yancey i FBI oskarżą cię o mieszanie się w nie swoje sprawy. Kto ci uwierzy, gdy potem oskarżysz Davida o spowodowanie śmierci Vanessy? Nikt. Zlekceważą cię, uznają, że masz starcze urojenia. David wygra na wszystkich frontach.

- Kłamiesz - warknął senator. Bondurant nawet nie zaprzeczył, tylko patrzył na niego lodowatymi niebieskimi oczami. - Powiedziałem Davidowi wczoraj wieczorem, dlaczego zadzwoniłem do Yanceya i uruchomiłem FBI. Gdyby Spence żył, toby mi David o tym powiedział.

- Rzeczywiście? A może wciąga cię w pułapkę? - Bondurant znowu pochylił się lekko do przodu. - Jesteś sprytny, Clete, i na pewno wypichciłeś niezły plan zniszczenia Davida za zabicie wnuka, ale realizacja twojego planu trochę potrwa, a właśnie czasu nam najbardziej brakuje.

Senator wiedział, że Gray mówi rozsądnie, ale jeszcze nie był gotów się poddać.

- Co będzie, jeśli nie zrobię tego, o co prosisz?

- W takim razie powodzenia. Zostajesz sam.

- Od dość dawna sam zajmuję się swoimi sprawami. Mam całkiem niezłe wyniki.

- Dlaczego więc Vanessa nie jest pod twoją opieką, tylko siedzi zamknięta w jakimś szpitalu pod strażą i opieką pieska Davida, niejakiego George'a Allana, i nie można się z nią porozumieć?

Było to dobre pytanie. Clete nie znalazł na nie odpowiedzi. Jednak wciąż trudno mu było się poddać. Rezygnacja nie leżała w jego naturze.

- Błefujesz. Tak samo jak ja chcesz, żeby Vanessa wróciła bezpiecznie do domu. Czy ci pomogę, czy nie, będziesz walczył, by ją uratować.

- Może kiedyś tak by było. Teraz już nie.

- Znalazłeś sobie inną dziewczynę, co? Barrie Travis?

Clete wcale się nie spodziewał, że Bondurant połknie haczyk, i nie pomylił się.

- Vanessa to wspaniała kobieta. Tyle że egoistka.

- Nikomu, nawet tobie, nie pozwolę krytykować mojej córki - powiedział Clete, machając palcem wskazującym przed nosem Bonduranta.

Tamten jednak zignorował go i mówił dalej:

- Bardzo wcześnie nauczyła się troszczyć o własny tyłek. Miała w tobie cholernie dobrego nauczyciela. Zawsze uważała samą siebie za najważniejszą istotę pod słońcem, nikt inny jej nie obchodził. Pozwoliła, by plotkowano na nasz temat, nigdy nie powiedziała ani jednego słowa w mojej obronie, nigdy nie wstawiła się za mną u Davida.

- Dlaczego więc chcesz jej teraz pomóc?

- Z patriotyzmu.

Clete prychnął.

- Raczej chodzi ci o własną osobę. Jesteś bohaterem. Ocalenie Pierwszej Damy to takie romantyczne...

- Nie ma w tym nic romantycznego. Clete. Niewinne dziecko nie żyje. Czy jego zabójca nie powinien zostać ukarany? Chcę również zakończyć moje związki z prezydenturą Davida. Chcę mieć to za sobą na zawsze i na dobre, a to się nigdy nie stanie, jeśli nie przewróci się jego administracji i świat nie ujrzy ohydneho dna. Nawet jeśli nie darzę już Vanessy uczuciem, z pewnością nie zasłużyła na śmierć.

- Święty Gray - złośliwie wtrącił Clete.

Bondurant wstał. Biła od niego siła, która wzbudziła zazdrość senatora - poczuł się stary, słaby i bezbronny.

- Więc co zamierzasz. Clete? Czy mam ją ratować?

- Pomyślę o tym.

- To nie wystarczy. Zadzwoń do Billa Yanceya - albo znikam i życie Vanessy znajdzie się tylko w twoich rękach. Jesteś wystarczająco przebiegły, by pokonać Davida i przetrwać. Ona nie.

Clete nigdy się nie poddawał. Nigdy. Ale pamiętał z dawnych dni, że czasem roztropniej było cofnąć się i zaczekać.

Barrie wracała od świeżo wykopanego grobu do samochodu, gdy podeszło do niej dwóch mężczyzn.

- Panna Travis?

- Tak. O co chodzi?

Pokazali jej odznaki FBI.

- Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

- Teraz? - spytała z niedowierzaniem. - Czy panowie nie zauważyli, że to pogrzeb?

- Zauważyliśmy - odparł jeden z nich. - Przykro nam z powodu śmierci pana Frippa, ale mieliśmy kłopoty z odnalezieniem pani i doszliśmy do wniosku, że być może tu pani będzie.

- Nie macie za grosz poczucia przyzwoitości - powiedziała.

W krótkiej świeckiej uroczystości pogrzebowej wzięła udział żałośnie nieliczna grupka żałobników. Był to smutny komentarz do życia Howiego Frippa. Niemal wszyscy obecni pracowali w WVUE. Większość z nich wykorzystwała pogrzeb jako okazję do wzięcia dodatkowej godziny wolnego. Rozgadane grupki śpieszyły do samochodów. Spełniwszy moralny obowiązek, teraz mogli się trochę zabawić na koszt firmy.

Barrie płakała naprawdę szczerze. Przepelniał ją smutek nie tylko z powodu okropnej śmierci Howiego, ale też dlatego, że nie miało być zadośćuczynienia za tę zbrodnię i nikogo to nie obchodziło.

Jeden z agentów wyrwał ją z posepnego zamyślenia.

- Chociaż to nieodpowiedni moment, chcielibyśmy z panią porozmawiać, panno Travis.
- Dopadliście mnie, więc nie mam wyboru. Ale czy moglibyśmy odejść trochę dalej od grobu?
- Oczywiście.

Kiedy doszli do jej samochodu, otarła oczy i odwróciła się do nich.

- Powiedziałam policji wszystko, co wiem. Na miejscu spisali moje zeznanie.
- Nie dlatego tu jesteśmy - odrzekł jeden z agentów.
- Nie? - spytała, udając zaskoczoną i zdezorientowaną. - To o co chodzi?
- O Graya Bonduranta.
- Och, o niego - powiedziała znudzonym głosem. Skrzyżowała ramiona na piersi, na jej twarzy pojawił się wyraz niesmaku i rozczarowania. - Czego panowie pragną się dowiedzieć o naszym byłym bohaterze narodowym?

- Na początek może, gdzie jest?
- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. To palant.

Agenci wymienili spojrzenia.

- O ile się orientujemy, panno Travis, ostatnio spędzają państwo we dwójkę dużo czasu.
- To prawda, spędzamy. A raczej spędzaliśmy. Do wczoraj, gdy nagle okazał się najbardziej poszukiwanym obywatelem Ameryki. Jakbym nie miała dość innych kłopotów - powiedziała przewracając oczami. - Najpierw mój dom wyleciał w powietrze i zginął mój pies. Potem ten zatarg z senatorem Armbrusterem... Przez ten incydent wyleciałam z pracy. Potem rzeczywiście zaangażowałam się z tym facetem - dodała ze skromną minką. - Ale czy jakaś kobieta mogłaby mu się oprzeć? Przecież to bohater narodowy. Bardzo podniecający. A te jego oczy to po prostu... - urwała. - W każdym razie było nam ze sobą całkiem nieźle, aż tu wczoraj jego gęba pojawiła się w wiadomościach. Piekielnie się wystraszyłam. Kazałam mu spadać, więc się wyniósł. - Westchnęła z żalem. - Powinnam wiedzieć, że to było za piękne, by mogło być prawdziwe.
- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?
- Tak jak powiedziałam, wczoraj.
- O której?
- Hmm... kiedy to było? Jakoś tak po południu.

- Mogłaby pani określić czas dokładniej?
- Nie. Dopóki nie obejrzałam wiadomości, nie patrzyłam na zegarek.
- Co państwo robili?

Rzuciła mu znaczące spojrzenie.

- Rozumiem. Mieli państwo... spotkanie?

Zachichotała.

- Trafnie pan to ujął.
- Gdzie się spotkaliście?
- W jakimś motelu. Nie pamiętam nazwy.
- Okolica?
- Gdzieś przy drodze szybkiego ruchu, tyle pamiętam. Nie zwracałam uwagi, dokąd jedziemy.
- Nie ma pani pojęcia, w jakiej dzielnicy pani była?

Pochyliła głowę, zagryzła dolną wargę z zakłopotaniem.

- Ja, ach... jakie to krępujące. Gray, to znaczy pan Bondurant, prowadził. A ja... no cóż, wydaje mi się, że po drodze do motelu nie siedziałam prosto i miałam głowę pod deską rozdzielczą.

Agenci znowu wymienili spojrzenia. Uniesione brwi jednego z nich sięgnęły linii włosów.

- Nie jestem nawet pewna, czy ten motel miał jakąś nazwę - mówiła dalej Barrie. - Gray sam wybrał miejsce. Tak mówiąc między nami, to była melina. Znacie takie motele. Pokoje wynajmowane na godziny. Czyste prześcieradła za dodatkową opłatą. A potem okazało się, że szukają go psy. Przepraszam, chłopcy. Nie chciałam nikogo urazić. W każdym razie Bondurant to skąpiec. Na pierwszej randce zabrał mnie do jakiejś garkuchni. Możecie w to uwierzyć? Gdyby nie był taki dobry w łóżku i nie miał niebieskich oczu, chyba od razu bym z nim zerwała.

Jeden z agentów odchrząknął.

- Czy pan Bondurant kiedykolwiek rozmawiał z panią o Spencerze Martinie?
- Jasne. Cały czas. Byli kumplami. Ich dwóch i prezydent.
- A czy wspominał, że pan Martin wybierał się do niego z wizytą do Wyoming?
- Tak. Zresztą zdaje się, że byłam tam na dzień lub dwa przed panem Martinem. Pojechałam do Bonduranta mając nadzieję, że przygotuję o nim reportaż. Wiecie, coś w stylu:

„Co nasz bohater robi po latach?” Wyglądało na to, że od razu przypadliśmy sobie do serca. Przyjechał za mną do Waszyngtonu. Ale zanim zdążyłam zmontować reportaż, wyrzucili mnie ze stacji. A teraz się okazało, że Bondurant być może jest bardziej niebezpieczny, niż myślałam.

- Myślała pani, że jest niebezpieczny?

Obdarzyła ich świętoszkowatym uśmiechem.

- Tak. Dla mojego życia płciowego.
- Och... A czy kiedykolwiek okazywał wrogość w stosunku do pana Martina lub prezydenta?

- Nie. Nawet niedawno spotkał się z prezydentem. - Mrugnęła do nich. - Ale założę się, że to już wiecie, chłopaki, co?

- I od wczorajszego popołudnia nie kontaktował się z panią?

- Nie. Przykro mi. Czy mogę już iść? Pogrzeby nie należą do moich ulubionych zajęć. - Ujęła klamkę przy drzwiach samochodu. - Poza tym nie mam nic więcej do powiedzenia. Związanie się z panem Bondurantem, nawet w ograniczonym zakresie, uznałam za jeszcze jedną niewłaściwą decyzję, jaką ostatnio podjęłam. Jestem pewna, że doskonale wiecie o niektórych moich szerzej znanych wpadkach. Ale o tej najbardziej chciałabym zapomnieć. Im szybciej, tym lepiej.

- Jeśli się do pani odezwie...

- Nie da znaku życia. Kiedy mu kazałam spadać, zachował się jak typowy facet. Wiecie, coś w stylu: „Jak śmiesz mnie tak traktować? Powinnaś się cieszyć, że w ogóle zechciałem zwrócić na ciebie uwagę”.

- Jednak jeśli się z panią skontaktuje, proszę do nas zadzwonić.

- Na pewno zadzwonię. - Barrie wzięła od agenta wizytówkę i włożyła do torebki. - Nie chcę wpaść w kłopoty z jego powodu. Jeśli się do mnie odezwie, dam wam znać.

Podziękowali jej, że zechciała im poświęcić tyle czasu, i poszli do swojego samochodu. Barrie odprowadziła ich spojrzeniem. Nie czuła do nich wrogości. Należeli do dobrych agentów. Wykonywali robotę zleconą przez przełożonych i postępowali zgodnie z przepisami.

Inaczej było z zespołem obserwacyjnym czuwającym na ulicy Daily'ego. Agenci nie wdarli się do jego domu w poszukiwaniu Graya, co potwierdzało podejrzenia, że są członkami osobistej armii Merritta, kryjącej się w szeregach FBI, a rozkazy wydawał im Spencer Martin, który nie chciał, by odnaleziono i przesłuchano Graya.

Prezydent lub jego doradca w każdej chwili mogli polecić tym ludziom wyeliminowanie spiskowców kryjących się w do- ,mu Daily'ego. Dlaczego tego nie zrobili?

Zdaniem Graya planowali coś większego, jakąś paskudną pułapkę, do której mieli wpaść Daily, Barrie i on.

Obawiała się, że Gray ma rację.

Rozdział trzydziesty ósmy

Daily przywołał gestem obrośniętego hipisa sprzedającego róże przy zatłoczonym skrzyżowaniu. Po niecałych pięciu sekundach hipis leżał na podłodze przy tylnym siedzeniu, a Daily przejeżdżał skrzyżowanie przy zielonym świetle.

- Dobra robota, Daily - powiedział Gray, zsuwając z głowy opaskę i perukę. - Są trzy samochody z tyłu. Dzieli was autobus.

- Coraz lepiej mi idzie - mruknął Daily zza kierownicy. - Jak tam handel kwiatami?

- Kokosowy interes. Z żalem go porzucam. A to kto? - spytał, wskazując pasażerkę Daily'ego.

- Dałem jej na imię Dolly.

Dolly była ogromną dmuchaną lalką o wielkich oczach. Miała na sobie żakiet należący do Barrie i rudawą perukę, jeszcze bardziej skołtunioną niż fryzura hipisa, którą przed chwilą nosił Gray. W pozycji wyprostowanej przytrzymał ją pas bezpieczeństwa.

- To niby mam być ja - powiedziała Barrie, skulona w drugim kącie tylnego siedzenia.

Gray, nie unosząc zbyt wysoko głowy, dokładniej przyjrzał się lalce.

- Duże podobieństwo.

- Cieszę się, że to zauważyłeś - odparła ze spokojem Barrie. - Nie mam wyrzutów sumienia, że tak cię obsmarowałam przed FBI - dodała i opowiedziała mu o wypytywaniu przez agentów po pogrzebie Howiego. - Było to, zanim Armbruster przyznał się do błędu i skreślili cię z listy poszukiwanych. Cokolwiek mu powiedziałeś, wystarczyło. Znalazł się we wszystkich dziennikach wieczornych i oświadczył, że przyczyną są jakieś straszliwe zakłócenia na łączach. Dał do zrozumienia, że całkowitą winę za błąd ponosi personel jego biura, którego przydatność będzie musiał dokładniej ocenić. A potem w imieniu prezydenta oświadczył, że przyczyną nieobecności Spencera Martina są „ważne sprawy osobiste”.

- To może oznaczać wszystko, od usunięcia hemoroidów do zamachu stanu.

- Właśnie. A potem dodał, że po załatwieniu tych ważnych spraw Spencer Martin podejmie od nowa obowiązki w Białym Domu. Koledzy senatora łagodnie go skrytykowali, ale przyjął to dzielnie i zachował dobry humor.

- Powiedz mu o telefonie z Departamentu Sprawiedliwości. - Daily jechał przed siebie, próbując pozbyć się śledzących ich ludzi, i jednocześnie przysłuchiwał się rozmowie.

- Od twojego informatora?

Przytaknęła.

- Odezwał się pager, więc zadzwoniłam, ale niczego się nie dowiedziałam. Tym razem mój informator ode mnie zażądał informacji.

- Na jaki temat?

- „Co jest do diabła grane?” Koniec cytatu. Nie dziwię mu się, bo po tym wygłupie z Armbrusterem, Yanceyem i działem kryminalnym FBI wszyscy są dziś trochę rozdrażnieni. - Uśmiechnęła się do Graya.
- To by było wszystko. A tobie jak minął dzień?
- Znalazłem Tabor House.

Barrie i Daily byli przygotowani na tę ewentualność.

- Jak myślisz, Daily, zgubiliśmy ogon? - spytała Barrie.

- Jakieś pięć minut temu.

- W samochodzie może być elektroniczny nadajnik - ostrzegł Gray. - Nie znalazłem przekaźnika, ale to wcale nie oznacza, że wóz jest czysty. Musimy przesiaść się szybko.

Słuchając wskazówek Graya, Daily pojechał do wielopiętrowego garażu, gdzie na drugim poziomie Bondurant zostawił samochód. Barrie i Gray wysiedli. Daily też to zrobił, nie wyłączając silnika.

- Uważajcie na siebie - przykazał.

- Martwię się bardziej o ciebie - powiedziała Barrie. - Jesteś pewien, że masz pełną butlę tlenu?

- Tak.

- Pokraź trochę, zjedz kolację, staraj się zachowywać normalnie - polecił mu Gray. - Daj im zajęcie na kilka godzin, ale nie ryzykuj.

- Wiem, wiem - odparł Daily zrzędlwym tonem. - Przerabialiśmy to z dziesięć razy. Wiem, co mam robić.

- Na pewno pójdzie ci świetnie - pocieszył go Gray. - Chodźmy, Barrie.

Ale ona ociągała się, bo Daily wydawał się taki bezbronny. Tego rodzaju manewry i butla z tlenem wyraźnie nie pasowały do siebie.

- Cokolwiek się stanie, wrócimy przed świtem - powiedziała. - Skontaktuję się z tobą, gdy tylko mi się uda. Obiecuj mi, że będziesz ostrożny.

- Będę ostrożny.

- Nie będziesz się kłócił z Dolly?

- To miła dziewczyna. Nie sprawia kłopotów.

- Jeśli tylko źle się poczujesz, natychmiast wróć do domu.

- Obiecuję.

- Obiecujesz, ale nie wrócisz - mruknęła z rosnącą obawą. - Wiem, że nie wrócisz.

- Barrie! - zawołał Gray, sadowiąc się na przednim siedzeniu drugiego samochodu. - Ruszaj się!

- Idź, bo inaczej zepsujesz cały plan - ponaglił ją Daily.

Próbował wsiąść z powrotem, ale otoczyła go ramionami i mocno uścisnęła.

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem - szepnęła. - Na całe życie.

- Tak, tak - przytaknął zniecierpliwiony.

Pozwoliła mu się odepchnąć, ale nie zmyliło jej szorstkie zachowanie Daily'ego. Tak samo jak i on nie lubiła pożegnań. Ogarnęły ją złe przeczucia.

- Daily...

- Wszystko będzie dobrze. - Wsunął się za kierownicę.

Kiwnęła głową i zatrzasnęła drzwi. Próbowwała jeszcze zajrzeć mu w twarz, ale nie spojrział już na nią i wrzucił bieg. Odeszła na bok, gdy ruszył do przodu. Odprowadzała spojrzeniem tylne światła, aż zniknęły za ostrym zakrętem na końcu rzędu samochodów.

- Barrie?

- Już idę. - Wsiadła do samochodu Graya. Na przednim siedzeniu leżała torba z zakupami. - Co to jest?

- Zaopatrzenie. A co to jest? - spytał wskazując wypchany skórzany plecak.

- Kamera wideo - odparła z roztargnieniem. - Czy naprawdę myślisz, że Daily'emu nic się nie stanie, czy tylko powiedziałaś nam, co chcieliśmy usłyszeć?

Zahamował i odwrócił się do niej.

- Nie musisz jechać ze mną - oświadczył. - Może to nawet lepsze rozwiązanie. Zostaniesz z Dailym i będziesz go pilnować, a ja to sam załatwię.

Rozzłościła ją łatwość, z jaką się jej pozbywał.

- Idź do diabła, Bondurant.

- Sądziłem, że właśnie tam się wybieramy.

Kiedy dojechali do ładnego, zadbanego przedmieścia zamieszkiwanego przez klasę średnią, Gray zaparkował samochód przy krawężniku.

- Teraz uważaj - powiedział. Wysiadł i otworzył tylne drzwi. - Muszę zmienić.

- Co zmienić?

- Ubranie.

Usiadł z tyłu i ściągnawszy sprane dzinsy i farbowany podkoszulek hipisa, włożył ciemnoszary garnitur, białą koszulę i ciemny krawat.

- Powinieneś być mnie uprzedzić - zauważyła. - Jestem niewłaściwie ubrana.

- Czy mama ci nie mówiła, że trzeba być przygotowanym na każdą okazję?

- Może. Nie słuchałam zbyt uważnie, co do mnie mówi.

- Więc teraz mnie posłuchaj - powiedział, otwierając drzwi. - Bądź cicho i rób dokładnie to, co ci każę.

Kryjąc się w mroku, ruszyli w kierunku narożnego budynku. Światła paliły się prawie w każdym oknie. W saloniku od frontu grał telewizor, rzucając niebieskawą poświatę na ścianę, widoczną przez podciągnięte żaluzje.

Na podjeździe stał zwykły samochód osobowy i furgonetka przerobiona na wóz kempingowy. Gray gestem kazał Barrie poczekać za żywopłotem, oddzielającym teren od sąsiedniej działki. Zostawił jej torbę z zakupami i od tyłu podkradł się do wozu kempingowego. Drzwi były zamknięte, ale poradził

sobie z zamkiem w ciągu kilku sekund. Przywołał Barrie machnięciem ręki. Przemknęła z kryjówki prosto do wozu. Kiedy oboje znaleźli się w środku, Gray zatrzasnął drzwi i zamknął zamek od wewnątrz.

- Usiądź - powiedział i wskazał jej gestem zamocowaną wzdłuż jednej ściany wyściełaną ławkę. Zdjął marynarkę i złożył, po czym również usiadł.

- Co robimy? - zapytała.

- Czekamy.

- Przykro mi, Supermanie, ale to nie jest Tabor House.

- Facet, który tu mieszka, pracuje w Tabor House. Odnalazłem szpital wcześniej rano, gdy schodziła nocna zmiana, i pojechałem za nim.

- Skąd wiesz, że nie ma dziś wolnego?

- Nie wiem.

- Skąd wiesz, że pojedzie tym samochodem?

- Nie wiem.

- Co będzie, jeśli się nie uda?

- Wtedy wymyślę coś innego. Może teraz dasz odpocząć językowi? Ktoś może nas usłyszeć.

Barrie zamilkła. Wkrótce wyściełana ławka już nie wydawała się wygodna. Po godzinie stwierdziła:

- Życie komandosa wcale nie jest tak interesujące, jak wszyscy sądzą. To nuda.

- Szszsz - uciszył ją gwałtownie.

Przez ścianę usłyszała odgłos zatrzaskiwanych drzwi domu. Potem rozróżniła dwa głosy: kobiecy i męski.

- Jedź ostrożnie - powiedziała kobieta.

- Dobrze.

- Pracujesz na dwie zmiany?

- Nie. Będę w domu koło ósmej.

- Przygotuję śniadanie.

Mężczyzna podszedł do wozu.

- Śpij smacznie. Pa.

Usłyszeli szuranie kroków po betonie, a potem metaliczne szczęknięcie drzwi od strony kierowcy. Wóz zakołysał się lekko, gdy mężczyzna usiadł za kierownicą. Gray spostrzegł, że Barrie chce coś powiedzieć, i położył palec na ustach.

Silnik kilka razy parsknął, lecz w końcu zadziałał. Poczuli słabe szarpnięcie, gdy kierowca zwołał hamulec ręczny. Kiedy znaleźli się na drodze, z głośników ryknęła muzyka country.

- Muzyka to dodatkowa korzyść - mruknął Gray. - Możemy swobodnie rozmawiać, nikt nas nie usłyszy.

- On pracuje w Tabor House?

- Kombinezon wskazuje, że albo sprząta, albo coś naprawia.

- Jak to wygląda?

- Szpital? To bardzo duża willa w stylu króla Jerzego. Duża, zadbana posiadłość otoczona wysokim murem. Stoi na prawdziwym pustkowiu. Przynajmniej dziesięć mil do autostrady. Trzeba się dobrze naszukać, żeby ją znaleźć. Przy wjeździe stoi uzbrojony strażnik.

- On nas wwiezie - powiedziała Barrie, pojmując plan Graya.

- Właśnie.

- A jeśli strażnik zajrzy do środka?

- Na przedniej szybie samochodu każdego pracownika jest identyfikator.

- Pomysłowe.

- Poczekaj z pochwałami. Musimy się jeszcze stamtąd cało wydostać.

Zmieniła temat.

- Co się stało Armbrusterowi?

Gdy Gray opowiedział jej o rozmowie z senatorem, zapytała:

- Ufasz mu?

- Ani trochę, chociaż do tej pory dotrzymywał warunków umowy, więc i ja też muszę.

- Nie wierzę, że kupili tę historyjkę o niekompetencji jego personelu.

- Clete umie przekonywać.

- Nawet w takich...

- Kiedy samo przekonywanie nie pomaga, sięga po mocniejsze środki. Chce, by córka do niego wróciła, bez względu na okoliczności. Dlatego był gotów zawrzeć pakt z diabłem - czyli ze mną - jeśli ocale Vanesę.

Walczył o nią z miłości, pomyślała Barrie, ale nie pozwoliła sobie na zbyt długie rozważanie tej kwestii. Nie chciała również rozmyślać o wdzięczności Vanessy, gdy już będzie po wszystkim.

Jeśli Vanessa przeżyje, skończy się jej małżeństwo z Davidem Merritem. Będzie nareszcie wolna i będzie mogła żyć u boku bohatera, który uratował ją przed zbrodnymi zamiarami męża.

Ona, Barrie, również dostanie wszystko, czego pragnęła - długo oczekiwany wywiad na wyłączność ostatecznie ustali jej reputację i sławę, wyniesie ją na takie szczyty, o jakich przedtem nawet nie marzyła. Przecież tego pragnęła najbardziej, prawda?

Zirytowały ją te rozmyślenia, więc powiedziała nadąsana:

- Nie podejrzewam cię o zabranie kart, żebyśmy mogli jakoś zabić czas.

- Jeśli się nudzisz, to się przebierz już teraz. - Gray skinął głową w kierunku torby. - Oto twój kostium na dziś wieczór.

W środku był strój pielęgniarki - spodnie i tunika w tym samym kolorze pastelowego koralu wraz z parą białych sportowych pantofli i granatowym kombinezonem.

- Pielęgniarki nie noszą jednakowych strojów, więc nie będziesz się wyróżniać - wyjaśnił Gray.

Barrie rozłożyła zawartość torby na podłodze.

- Co mam zrobić z tym kombinezonem?

- To mój kostium.

- Wyjątkowo elegancki. - Wstała i rozpięła klamrę paska. - Nie odwrócisz się?

- Nie, ale ty możesz się odwrócić.

Skoro dla niego nie było to nic ważnego, to dla niej też nie. Mogę się zachowywać równie nonszalancko jak on, powiedziała sobie. Zdjęła buty, wyciągnęła bluzkę ze spodni. W samochodzie było ciemno. Zza firanek zasłaniających okna wpadała jedynie odrobina światła.

Barrie rozpięła spodnie i zsunęła w dół. Złożyła je i schowała na dno torby. Potem rozpięła bluzkę i zdjęła. Została w samych majteczkach i staniku. Była zadowolona, że ma na sobie nowy komplet, prosto ze sklepu Victoria's Secret.

Szkoda, że nie miała figury modelki reklamującej bieliznę. Nie była też Vanessa Merritt. Ale może w półmroku porównanie nie będzie dla niej zbyt krzywdzące.

Niemal w tym samym momencie zorientowali się, że samochód zwalnia. Barrie spojrzała na Graya. Zerknął na zegarek.

- Nie mogliśmy już dojechać. Za mało czasu. Dlaczego się zatrzymuje? - zastanawiał się.

- Chce zatankować?

- Nie wiem - odparł, wyglądając przez szparę w firance. - Nic nie widzę.

Samochód coraz bardziej zwalniał, wreszcie stanął. Radio ucichło, gdy kierowca zgasił silnik. Zaskrzypiały otwierane drzwi. Podłoga się zakołysała, kiedy wysiadł.

- Cześć, dziecinko - usłyszeli jego głos. - Długo czekałaś?

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Daily poważnie potraktował zleczone mu zadanie.

Wkrótce po rozstaniu z Barrie i Grayem spostrzegł szary samochód, który przez parę przecznic zachowywał bezpieczną odległość. Jednak po kilku nieoczekiwanych zmianach kierunku jazdy Daily nabral pewności, że znowu go śledzą.

Może Gray miał rację i przyczepili mu pod maską elektroniczny nadajnik? A może dranie po prostu mieli szczęście i znowu udało im się go przyłapać. Albo tajna policja Merritta była sprytniejsza, niż przypuszczali. Ta możliwość trochę Daily'ego wystraszyła. Uznał jednak za mało prawdopodobne, by zbiry prezydenta napadły starego chorego człowieka na zatłoczonej ulicy.

Przez pierwszą godzinę pościg sprawiał mu przyjemność, ale potem zmęczyła go monotonia jazdy. Po trzecim ziewnięciu w ciągu trzech minut nastawił radio na stację nadającą wyłącznie rap. Nienawidził z całej duszy tej muzyki. Jeśli to wulgarne wycie go nie obudzi i nie rozzłości, to już nic mu nie pomoże.

Kiedy poczuł ssanie w żołądku, skręcił do McDonalda dla zmotoryzowanych i zamówił big maca dla siebie i dla Dolly. Chłopak obsługujący kierowców zauważył, że pasażerką Daily'ego jest duża nadmuchiwana lalka, ale nic nie powiedział, a i Daily nie śpieszył się z wyjaśnieniami. Lepiej będzie, jeśli dzieciak uzna go za zbrojeńca niż za wywrotowca.

Jedząc frytki i hamburgera przyglądał się z roztargnieniem klientom wchodzącym i wychodzącym ze środka. Nie miał apetytu, więc zjadł tylko połowę porcji. Przysiadłby, że dostrzegł w spojrzeniu Dolly nagane, gdy wyrzucał do kosza resztki posiłku.

Nie miał ochoty dalej jeździć, więc siedział z rękami złożonymi na kolanach i obserwował klientelę McDonalda. Szczególnie interesowały go pary z małymi dziećmi. Te z pozoru szczęśliwe rodziny wydawały mu się żywym dowodem, że ideał da się osiągnąć. Mimo to widok dzieci z balonikami napawał go smutkiem.

Nie po raz pierwszy doszedł do wniosku, że ominęły go najważniejsze sprawy w życiu. Powinien był ożenić się z tamtą uroczą nauczycielką, która tak za nim szalała. On też za nią szalał. Już na pierwszym spotkaniu zawróciły mu w głowie jej łagodne, brązowe oczy i pełen ciepła uśmiech. Kiedy się do niego uśmiechała, czuł się jak w niebie.

Ale uważał jej miłość za należyty mu hołd i źle ją traktował. Zbyt często wybierał pracę w godzinach nadliczbowych. Zawsze znajdowała się daleko w tyle za dobrym materiałem.

Była naprawdę wspaniałą dziewczyną. Wytrzymała z nim dłużej, niż powinna, ale wreszcie rzuciła go i wyszła za męża za kogoś innego, za mężczyznę dobrego i czułego, dla którego była ważniejsza od jego pracy i wolności.

Wolność młodości zamienia się na starość w samotność, pomyślał Daily.

Ostatnio coraz częściej wspominał tamtą dziewczynę i zastanawiał się, co by było, gdyby...

Przyłapał się na wzruszeniu i rozzłościł się. Gdzieś po drodze stałem się żalonym starym durniem - skarcił sam siebie.

Zapalił silnik i wycofał samochód z parkingu. Szara limuzyna stała po drugiej stronie ulicy przy barze Taco Beli. Natychmiast ruszyła za nim. Wjechał na drogę 66 prowadzącą poza miasto, potem skręcił na skrzyżowaniu w 495, potem jeszcze dwa razy zawrócił i skierował się na północny zachód. Bawiło go obserwowanie we wstecznym lusterku, jak agenci Merritta starają się nie zgubić go w ruchu, chociaż nie był aż tak naiwny, by sądzić, że szara limuzyna to jedyny ciągnący się za nim ogon.

Wrócił do Waszyngtonu przez Chevy Chase w Marylandzie i pojechał do centrum miasta. Przesuwał się powoli w korku na Wisconsin Avenue, gdzie tłumy amatorów nocnego życia w Georgetown szukały stolików w zatłoczonych barach i restauracjach.

Przejechał prosto przez miasto i dotarł do rogatek z drugiej strony. Godziny spędzone za kierownicą znudziły go i zmęczyły. Chciało mu się spać.

Wrócił myślami do nauczycielki. Postąpił cholernie głupio, że pozwolił jej odejść. Byłaby z niej wspaniała, kochająca żona. Mieliby dzieci, a teraz pewnie już i wnuki. Nie byłby skazany na samotność, którą rozpraszała wyłącznie obecność Barrie. Wprawdzie kochał ją jak córkę, ale nie była jego żoną.

Może gdyby ożenił się z tamtą słodką dziewczyną, teraz nie obawiałby się aż tak bardzo umierania.

- Ale miałyby życie - mruknął. - Opieka nad zdychającym starym przykiem...

Własny głos wytrącił go z zamyślenia. Gdzie do diabła dotarł? Nieświadomie wjechał na tereny przemysłowe. Stały tu rzędami magazyny, niczym nie różniące się od siebie. O tej porze były już zamknięte. Przy rampach przeładunkowych stały puste ciężarówki z otwartymi drzwiami, jak gotowe go pożreć potwory.

Samochód Daily'ego i śledzący go wóz były jedynymi pojazdami poruszającymi się na opustoszałym terenie. Z każdym zakrętem Daily coraz bardziej tracił orientację. Wjeżdżał coraz dalej w betonowy labirynt, aż trafił na ślepą uliczkę.

- Cholera! - zaklął i zerknął szybko we wsteczne lusterko. Limuzyna była tuż za nim, blokowała mu częściowo drogę.

Daily zawrócił ostro i już miał się zrównać z limuzyną, gdy jej kierowca mocno skręcił kierownicą w lewo. Daily musiał z całej siły wcisnąć pedał hamulca, by nie uderzyć z dużą szybkością w bok tamtego samochodu.

Może byłoby lepiej, gdyby uderzył, bo wtedy miałby szansę ucieczki z tego miejsca. Ale teraz już nie umknie trójce mężczyzn, którzy wysiedli z limuzyny i szli w jego kierunku.

- Spóźniłeś się dziesięć minut - usłyszeli przez ściany samochodu jęśliwą skargę kobiety.

- Cholera! - syknął Gray.

- Co się dzieje?

- Wybrałem casanowę z sypialnią na kółkach. Szybko!

Wepchnął buty, ubranie i skórzaną torbę na koję znajdującą się nad kabiną kempingową i sięgającą w głąb aż do kabiny kierowcy.

- Właż tu. Pośpiesz się!

- Przenigdy. To trumna.

Nie mając czasu na kłótnie, Gray chwycił jedną z bosych kostek Barrie, drugą rękę podłożył pod pośladki i dźwignął ją do góry na koję, gdzie odległość między materacem a sufitem wynosiła zaledwie trzydzieści centymetrów. Gdy nikt tu nie spał, służyła za składzik dodatkowej pościeli. Gray podciągnął się i ukrył między poduszkami, kocami i śpiworami.

- Właż głębiej - szepnął do Barrie, która choć raz zrobiła, co jej kazano, bez zadawania pytań. Skuliła się w odległym kącie.

Usłyszeli, że para kochanków podchodzi do wozu.

- Już mi się znudził ten gruchot - poskarżyła się kobieta. - Dlaczego nie możemy pojechać do motelu?

- Bo tu mamy zapewnioną dyskrecję.

- I to za darmo - mruknęła z przekąsem.

- Nie chodzi o pieniądze, złotko. Uczciwie mówię, kochanie. W motelu trzeba się zarejestrować. Chyba nie chcesz, żeby moja stara dowiedziała się o nas, co?

W czasie tej sprzeczki Gray gorączkowo układał zwinięte śpiwory i poduszki, tak by osłoniły ich, gdy para wejdzie do środka. Potem wepchnął Barrie jeszcze głębiej w kąt, przyczołgał się do niej i nakrył ich oboje kocem.

- Jeśli tu do nas dołączą, zrobi się okropnie ciasno - szepnęła.

- Masz lepszy pomysł?

Nawet jeśli miała, nie zdążyła się nim podzielić. Szczęknęły tylne drzwi i pod sufitem zapaliło się światło. Wóz zakołysał się, gdy mężczyzna wszedł do środka.

- Proszę bardzo, dziecinko. - Nagle głośno zagwizdał. - Szałowo dziś wyglądasz. Czy to nowa bluzka?

- Podoba ci się?

- Bardzo. Jak szybko możemy się jej pozbyć?

- Ale z ciebie hultaj!

Drzwi się zamknęły, światło zgasło. Śmiech. Westchnienia. Lepkie odgłosy namiętnych pocałunków. Szelest ściąganego ubrania. Zgrzyt suwaka. Cichy jęk.

- Ale jesteś wielki - powiedziała kobieta.

- Pewnie, dziecinko. Mocniej.

Dłuższe westchnienia i odgłosy mlaskania.

- Zaraz wybuchnę... - wydyszał mężczyzna. - Dalej, chodźmy...

- Czy musimy się tam wspinać? - wyjęczała kobieta przez nos. - Nie cierpię tego łóżka. Ostatnim razem walnęłam się w głowę.

- Już dobrze, dobrze, tylko...

- Chwileczkę! - krzyknęła. - Nie drzyj. Zdejmę, jeśli poczekaś sekundę.

Widocznie biedny drań już nie wytrzymał. Z dołu dochodziły odgłosy ciał uderzających o ścianę lub podłogę. Gray nie chciał sprawdzać, co się dzieje na dole, bo nie potrafiłby wtedy powstrzymać napływu wspomnień, których nie mógłby teraz spokojnie znieść. Próbował myśleć o czymś innym, o czymkolwiek, by zagłuszyć jednoznaczne odgłosy miłości. Zacisnął powieki żałując, że nie może zamknąć uszu, żałując, że nie potrafi opanować odruchów bezwarunkowych - a zwłaszcza jednego.

Barrie leżała nieruchomo, ledwie oddychała, tak samo napięta jak Gray. Wiedział o tym, ponieważ czuł jej bezruch, brak tchu i napięcie. Czuł ją całą od włosów po czubki palców opartych o jego kolana.

Na podłodze rozgrywała się scena z filmu porno, jaki kumple oglądają razem wypijając przy okazji skrzynkę piwa. Seks w wydaniu najohydniejszego ze świerszczyków, pomyślał Gray. Fantazja bez żadnej artystycznej wartości. Tym erotycznym zapasom brakowało choćby odrobiny elegancji. Prymitywne, prostackie i...

Do cholery, cały płonął.

Nie tak bardzo podniecała go scena na podłodze samochodu, jak bliskość Barrie. Była półnaga, a on całkowicie ubrany. Już to wystarczyło, żeby go rozpalić. Niebezpieczeństwo odkrycia było równie podniecające jak wtedy, kiedy miał sześć lat i wymknął się z ośmioletnią córką pastora do brzoskwiniowego sadu jej taty, żeby pobawić się w Adama i Ewę. Jedną z najzłośliwszych sztuczek, jakie Natura wypróbowała na Człowieku, polegała na tym, że im trudniej mu było zaspokoić pożądanie, tym bardziej pożywał.

Mężczyzna na dole zaryczał jak zarzynana świnia. W chwilę później odchrząknął.

- Było ci dobrze, dziecinko?

- Nie i nie zamierzam udawać, że było.

- Nie martw się, zaraz się tobą zajmę. Mam pełno gumek i czterdzieści pięć minut, nim będę musiał pojechać do pracy.

Czterdzieści pięć minut!

Gray nie mógł wytrzymać tak długo. A co z Barrie? Czy na nią też to tak podziałało? Czuł jej szybki i gorący oddech na szyi. Strach czy podniecenie?

Jakby czytając w jego myślach, poruszyła się nieznacznie. Jej kolana przyciągnięte prawie do piersi zaczęły się prostować, ale tak powoli, że w pierwszej chwili pomyślał, że mu się zdawało. Wreszcie znalazły się na wysokości paska od jego spodni, a potem ruszyły w dół. Wstrzymał oddech, gdy powolutku przesuwiała kolana obok jego męskości. W końcu wyciągnęła nogi wzdłuż jego nóg. Leżeli teraz obok siebie, brzuch przytulony do brzucha, kobieta i mężczyzna.

Lekko przechyliła głowę. Już nie czuł jej oddechu na szyi, lecz na wargach. Chociaż pod kocem było ciemno, wiedział, że patrzy na niego, na jego usta.

Będziesz głupcem, jeśli to zrobisz, pomyślał i zaraz potem pochylił głowę i pocałował ją.

Rozchyliła wargi pod naporem jego ust, tylko trochę, lecz wystarczyło, by dał się ogarnąć żądzę.

Nie rób tego, Bondurant, nakazał sobie surowo.

Jednak ledwie to pomyślał, już jego język znalazł się we wnętrzu jej ust, słodkich i jedwabistych. Powoli przesunął dłonią po jej plecach, dotarł do pośladków i przyciągnął mocno do siebie. Tylko jedna warstwa jedwabiu dzieliła ją teraz od spęczniałego rozporaka jego spodni. Nie wykonała żadnego gwałtownego ruchu, tylko łagodnie pokręciwszy biodrami otarła się o niego.

Niski gardłowy dźwięk, bardziej drzenie niż dźwięk, wydobył się z jego ust. Zamarła, a on znieruchomiał. Przytulił policzek do jej twarzy i starał się bezgłośnie oddychać, chociaż było to niemal niewykonalne, bo serce waliło mu jak młot.

Ale nikt ich nie usłyszał ani nie zauważył. Para na dole prowadziła głupiutką grę słowną, przerywaną piskliwym chichotem kobiety. Nic to nie obchodziło Graya. Skupił się wyłącznie na całowaniu Barrie, żarliwie, namiętnie. Stracił rachubę pocałunków, nie liczył, ile razy jego język zawędrował do wnętrza jej ust. Nie odrywał się od jej warg, nawet gdy musieli przestać, by zaczerpnąć powietrza, bo w przeciwnym razie groziło im uduszenie. Ona również nawet wówczas podnosiła głowę i koniuszkiem języka pieściła górną wargę Graya. Pozwalał jej bawić się, drażnić i uciekać, aż wreszcie już dłużej nie mógł wytrzymać.

Wsunął język głęboko w jej usta. Trzymał ją mocno przy sobie, ułożył się między jej udami i kochał się z nią w wyobraźni. Nigdy nie doświadczył tak intensywnego, rozdzierającego doznania, nic nie dałoby mu większej satysfakcji. Na przemian chciał skończyć lub ciągnąć bez przerwy.

Ale ani jemu, ani Barrie nie było dane spełnienie, które stało się udziałem pary na podłodze.

Dopiero gdy otworzyły się drzwi samochodu i zapalono światło, Gray wrócił do rzeczywistości. Potem drzwi zatrzaśnięto i zamknięto od zewnątrz. Para kochanków stała tuż przy wozie i planowała następną randkę. Kobieta postawiła na swoim: mężczyzna, choć niechętnie, zgodził się zawieźć ją do motelu.

Barrie i Gray leżeli nieruchomo, czekając cierpliwie, aż tamci się pożegnają. Wreszcie mężczyzna wszedł do samochodu i ruszył.

Kiedy wóz już jechał i radio znowu ryczało na cały regulator, Gray ściągnął koc. Unikał spojrzenia Barrie. Chwila bliskości już się skończyła i czuł się dokładnie tak samo jak wtedy, gdy pastor przyłapał go ze swoją córką w brzoskwińowym sadzie.

Zsunął się z koi.

- Zejdź i ubierz się.

Zdawał sobie sprawę ze swojego szorstkiego tonu, ale uważał, że nie może zachować się inaczej. Przez Barrie zapomniał o swoim wyszkoleniu. Wiedział, jak przetrzymać tortury wroga, jak uodpornić umysł na fizyczny ból. Jednak nie nauczono go, jak uodpornić się na Barrie Travis.

Udało jej się zeskoczyć z koi bez jego pomocy. Garth Brooks śpiewał w radiu o popijawach z przyjaciółmi i Gray z wdzięcznością słuchał tego hałasu. Pomagał przetrwać niezręczną ciszę, jaka zapadła między nimi, gdy Barrie wkładała strój pielęgniarki. Gray zapiął marynarkę, a potem naciągnął kombinezon, zasunął suwak i włożył czapkę.

Barrie skończyła się ubierać i usiadła na ławce. Podał jej plecak, który wyjął z koi. Dostrzegł w półmroku szeroko otwarte, czujne oczy.

- Pocałowałaś mnie pierwszy raz.

- No to co?

- Nie porozmawiamy o tym?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ za chwilę spróbujemy porwać Pierwszą Damę Stanów Zjednoczonych. Powinniśmy myśleć o akcji.

- O akcji? Jestem kobietą, a nie jednym z twoich zwiadowców.

- Sama chciałaś jechać ze mną. Jeśli nie podoba ci się sposób, w jaki dowodzę akcją, możesz się wycofać. Ja muszę się skoncentrować, tak że...

- Jedno pytanie. Proszę.

- O co chodzi?

- Było ci dobrze, dziecinko?

Próbował ukryć uśmiech, ale mu się to nie udało.

- Zamknij się, Barrie.

- Tak myślałam.

Uśmiechnęła się do niego łagodnym, wyrozumiałym uśmiechem, jakim kobieta obdarza mężczyznę, kiedy wie, że znalazł się tam, gdzie chciała.

Potem nie padło już ani jedno słowo aż do chwili, gdy wóz zwolnił. Kierowca wyłączył radio i zatrzymał się przed bramą.

Gray spojrział na Barrie i szepnął:

- No to jesteśmy na miejscu.

Rozdział czterdziesty

Dwóch mężczyzn podeszło do drzwi samochodu Daily'ego od strony kierowcy, trzeci znalazł się przy drzwiach pasażera. Otworzyli je jednocześnie.

- Pan Welsh?

- A kto pyta?

Złapano go za ramię i wywleczono zza kierownicy. Usłyszał huk i syk powietrza. Uświadomił sobie, że Dolly przeszła do historii, ugodzona w pierś szczyrzykiem.

- Hej! - krzyknął Daily. - Czy to było konieczne? Do diabła, za kogo się macie?! - Ale trudno udawać twardziela, gdy samo oddychanie to wysiłek ponad siły. Miał tak słaby głos, że chciało mu się śmiać.

Jednak tamci się nie śmieli. Było to najbardziej ponure trio, jakie Daily kiedykolwiek spotkał. Gdyby doszedł jeszcze jeden, wzięłyby ich za tę bandę wesołków, czterech jeźdźców Apokalipsy.

- Jesteśmy z FBI - powiedzieli i błysnęli mu w oczy odznakami.

- Tak, oczywiście - odparł z ironią, doskonale wiedząc, że są sługusami Spencera Martina.

- Jeździliśmy za panem cały wieczór, panie Welsh - odezwał się jeden z nich, ten, który widocznie dowodził. - Czy naprawdę pan sądził, że damy się oszukać tą idiotyczną lalką? Nie jesteśmy kretykami, jak pan może wie. Kobieta, która nic nie mówi i w ogóle się nie rusza...

- Czy to pytanie, czy ocena pańskiego życia seksualnego?

Ten żart nie rozbawił agenta. Odwrócił Daily'ego plecami do siebie, rozpląszczył na błotniku, a potem ściągnął mu ramiona na plecy i związał plastikowym przewodem.

- Za co jestem aresztowany? Nic nie zrobiłem. Chyba że wprowadzono zakaz wożenia dmuchanych lalek. Czego ode mnie chcecie?

- Chcemy porozmawiać o pańskich gościach.

- Jakich gościach?

- Założę się, że będzie chętniej współpracował, jeśli wyciągniesz mu tę rurkę z nosa - zaproponował dowódca jeden z tamtych dwóch.

Daily opanował atak strachu. Jeśli go rozłączą z butlą tlenową, umrze w ciągu paru minut.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne - odparł przywódca. - Jeszcze nie. - Daily poczuł taką ulgę, że aż kolana mu zmiękły, lecz następne słowa dowiodły, że wyrok tylko mu odroczone, i to na krótko: - Nasz szef naprawdę się wściekł na ciebie i tamtych dwoje.

- Co mnie to obchodzi. Czyżby Spencerowi Martinowi zabrakło odwagi, żeby samemu ze mną pogadać? Przestraszył się Bonduranta?

- Spencer Martin? - powtórzył tamten, udając, że o niczym nie wie. - Nie oglądasz telewizji? Pan Martin wziął sobie wolne od obowiązków w Białym Domu.

- Tak, tak. Naprawdę musi być z nim niewesoło, skoro udało mu się zwerbować do tej swojej ohydnej tajnej armii tylko takich jak wy.

Mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia.

Daily roześmiał się głośno.

- Co? Jesteście zdziwieni, że wiem? Myśleliście, że to tajemnica?

- Staruszk, znalazłeś się daleko od swoich - odezwał się przywódca. - Okażesz odrobinę rozsądku, gdy będziesz z nami współpracował. Gdzie są teraz Barrie Travis i Gray Bondurant? Co zamierzają?

- Pocałujcie mnie w dupę, patałachy.

Agent ruszył z wściekłością do przodu, lecz pozostali powstrzymali go.

- Gdzie oni są, Welsh? - krzyknął.

Daily wiedział, że nie ma szans. Nawet jeśli powie im wszystko, co chcą wiedzieć, nie obejrzy już następnego wschodu słońca. Ci faceci mieli go przesłuchać, a potem wykończyć.

Ale jego zadanie polegało na zajęciu tych facetów swoją osobą tyle czasu, by Gray i Barrie zdążyli uwolnić Vanesę Merritt z Tabor House. Zatem będzie to robił tak długo, jak długo starczy mu sił. Choć może nie będzie to zwycięstwo w pełnym blasku chwały, wystarczy i ta iskierka.

Opór nie przynosił zbyt dobrych wyników, więc przyjął inną taktykę: zaczął udawać, że zrobiło mu się słabo.

- Źle się czuję.

- Powiedz nam, gdzie oni są, a dopilnujemy, żebyś odpoczął.

Aha, już na wieki, pomyślał Daily.

- W jakimś motelu - wymamrotał.

- W jakim motelu? Gdzie?

- Nie wiem.

- Gdzie?

- Takim z Waszyngtonem w nazwie.

- Czy wiesz, ile moteli w okolicy ma Waszyngton w nazwie?

- Nie - odparł niewinnie Daily. - Ile?

Agent chwycił go za kłapy i dźwignął do góry tak, że Daily dotykał chodnika czubkami palców.

- Niech ci lepiej szybko wróci pamięć, jeśli chcesz zobaczyć pannę Travis i pana Bonduranta żywych.

- To... to jest gdzieś w kierunku na Andrews - wyjąkał Daily. - Raz tam z nimi byłem. Nie pamiętam dokładnie, gdzie to jest, ale poznam, jak zobaczę.

- W porządku, jedziemy.

Agent popchnął Daily'ego tak mocno, że biedakowi wypadła rurka z nosa.

- Mój tlen! - krzyknął Daily. - Muszę go mieć! - Gorączkowo, lecz bezskutecznie szarpał związane ręce.

- Spokojnie, panie Welsh. Nie mamy zamiaru pana udusić. Przynajmniej dopóki się nie dowiemy, co pańscy przyjaciele zaplanowali na dzisiejszy wieczór.

Ponownie wetknięto mu rurkę do nosa. Wyjęto z samochodu butlę z tlenem i przeniesiono do szarej limuzyny. Wepchnięto Daily'ego na tylne siedzenie. Pocięchę przyniósł mu widok szczątków Dolly, które również zabrano.

Przynajmniej nie będzie umierał samotnie.

- Jeśli ktoś cię zatrzyma i będzie o coś pytał, zastępujesz chorą koleżankę.

Gray od dziesięciu minut udzielał Barrie wskazówek, czyli od chwili, gdy ich kierowca-cudzołożnik zostawił samochód i odszedł do swoich obowiązków. Jak przewidział, strażnik przy bramie przepuścił wóz, nie sprawdzając części kempingowej. Znaleźli się na terenie Tabor House, ale jeszcze nie wewnątrz szpitala.

Gray wyciągnął identyfikatory z fotografiami i fałszywymi nazwiskami.

- Przy dokładnej kontroli nie przejdą, ale z daleka wyglądają na autentyczne.

- Dolly Madison? - przeczytała. - Skoro już mówimy o Dolly, to mam nadzieję, że jej i Daily'emu nic się nie stało.

- Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, korytarze prawdopodobnie są cały czas kontrolowane przez kamery wideo, więc nawet jak nikogo nie ma w pobliżu, to ktoś może patrzeć. Idź spokojnie, ale...

- Ale szybkim, zdecydowanym krokiem. Wiem, wiem. Mówiłeś mi to chyba z dziesięć razy.

- Po prostu nie chcę, żeby nas zdemaskowali, zanim znajdziemy Vanesę.

- Czy wewnątrz będą strażnicy?

- Nie wiem.

- A jeśli będą, to czy uzbrojeni?

- Możliwe. Agenci Tajnej Służby na pewno będą mieli broń. Zajmę się nimi.

- Jeszcze jedno: kiedy już znajdziemy Vanesę, jak zamierzasz nas stąd wydostać?

- Plan A, uruchomię furgonetkę. Ty i Vanessa możecie jechać z tyłu.

- A jak wygląda plan B?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem.

- Świetnie - mruknęła Barrie.

Jednak to ona pierwsza otworzyła drzwi i wysiadła.

Tabor House wydawał się rozleglejszy, niż wynikało z opisu Graya. Trzypiętrowy budynek szpitala zbudowano w kształcie litery U, pośrodku której znajdował się ogród. Barrie i Gray ominęli pretensjonalne drzwi od frontu i skierowali się do bocznego wejścia służbowego, odkrytego poprzedniego dnia przez Graya w czasie rekonesansu. Zmieniała się właśnie obsługa. Wchodzili lekarze, pielęgniarki i personel pomocniczy pełniący nocny dyżur.

- Idę pierwszy - powiedział Gray, gdy podeszli bliżej. - Poczekaj kilka minut, a potem idź za mną.

- Za tobą? Jak?

Wzruszył ramionami.

- Nie martw się. Znajdę cię. - Ruszył, ale nagle zatrzymał się i odwrócił. - Barrie, jeśli coś mi się stanie, pryskaj stąd, rozumiesz? Ukryj się w jakimś samochodzie i wyjedź w ten sam sposób, w jaki się tu dostaliśmy. Dobrze?

Kiwnęła głową, a on przyjrzał się jej uważnie.

- Nie masz zamiaru uciekać, prawda?

- Nie.

Zmarszczył brwi z niezadowoleniem, odwrócił się i zniknął za drzwiami. Barrie, starając się zachowywać swobodnie, otworzyła plecak i nie wyjmując kamery sprawdziła, czy wszystko działa. Sprawdziła też, czy w kamerze jest kasetka. Byłoby to bardzo do niej podobne: zmieniać historię świata, ale zapomnieć o taśmie.

Gdy zbliżała się do wejścia, ogarnęły ją złe przeczucia. Ale była pewna, że jeśli tego nie zrobi, Vanessa Merritt umrze w tym budynku. Skupiła spojrzenie na lampie nad wejściem, by prowadziła ją tak, jak latarnia morska prowadzi żeglarzy wśród niebezpiecznych raf.

Znalazła się w pomieszczeniu, które prawdopodobnie służyło za sień w czasach, gdy Tabor House był prywatną rezydencją. Z przedpokoju weszła do rozległej, dobrze oświetlonej i wyposażonej kantyny, gdzie personel spędzał przerwy. Stały tam różne automaty z jedzeniem i napojami, duży ekspres do kawy, maszyna do lodu, kilka kuchenek mikrofalowych, stoły i krzesła. Dwoje drzwi prowadziło do toalet. Przy ścianie stały szeregiem metalowe szafki. Numery wewnętrzne wypisane na zawieszonej na ścianie tablicy były na tyle duże, że można je było przeczytać z każdego miejsca w kantynie.

Zmiana obsługi już prawie dobiegała końca, tak że tłum się przeredził. Jakiś mężczyzna w stroju sanitariusza czekał przy kuchni mikrofalowej na odgrzanie posiłku. Jedna z pielęgniarek rozmawiała z automatu telefonicznego, inna szukała czegoś w szafce. Dwóch mężczyzn w kombinezonach podobnych do tego, który włożył Gray, siedziało przy stole i rozmawiało o silnikach turbinowych.

Nikt nie zwrócił na Barrie uwagi. Przeszła przez kantynę, jakby robiła to codziennie o jedenastej wieczorem.

Za drzwiami kantyny szpital przechodził zaskakującą metamorfozę. Znajdował się tam korytarz, który swoim wystrojem narzucał przyciszenie głosu do szeptu i sztywne zachowanie. Ściany wyłożono drewnianą boazerią i pastelową tłoczoną tapetą, mrok rozpraszały mosiężne kinkiety, a podłogę przykrywał dywan. Barrie poszła prosto, aż doszła do następnego korytarza.

W lewo czy w prawo? „Nie rozglądaj się niepewnie, idź zdecydowanie”. Ene, due, rabe. W porządku, w prawo!

Wybrany przez Barrie korytarz prowadził do głównego wejścia. Widziała pokoje urzędników, w których teraz było ciemno; dość konwencjonalną poczekalnię z rejestracją i stojącym pod oknem pianinem; werandę z tropikalnymi roślinami i paprociami ustawionymi między meblami z rattanu. Wszystko bardzo luksusowe, w niczym nie przypominające zwykłego szpitala.

Wejście ze szklanym dachem dwadzieścia metrów nad marmurową podłogą i szerokimi schodami wywierało wielkie wrażenie. Pośrodku rotundy stał okrągły stół, a na nim olbrzymia kompozycja kwiatowa z mieczyków ponadmetrowej długości.

W zasięgu wzroku nie było nikogo poza elektrykiem, który klęczał przy ścianie i grzebał śrubokrętem w kontakcie. Barrie podeszła do niego.

- W głowie by mi się przewróciło, gdybym miała prawo przebywać tu jako pacjentka - mruknęła.

- Nie byłoby cię na to stać - odparł elektryk wstając. - Na pierwszym piętrze są tylko biura i gabinety - dodał.

- Centralna kartoteka?

- Bez wątplenia. Ale jestem pewien, że dobrze ją zamknęli, a ja nie zabrałem narzędzi do wylamywania zamków. Poza tym zajęłoby to za dużo czasu.

- Więc co proponujesz?

- Końcówka komputera - odparł. - Musi tam być lista pacjentów, którą cały czas uaktualniają.

- Dobry pomysł. Naprzód i w górę?

- Pojedź windą, a ja wejdę schodami.

- Do zobaczenia na drugim piętrze.

Barrie wsiadła do żelaznej klatki, sprawiającej znacznie przyjemniejsze wrażenie niż inne mechaniczne windy. Dziękowała losowi, że udało jej się wjechać na górę za jednym zamachem, że nikt po drodze nie wsiadł. Zamknęła za sobą kute żelazne drzwi, skręciła w lewo i stanęła twarzą w twarz z pielęgniarką, która była równie zaskoczona jej widokiem.

- Co tam robiłaś? Ta winda to śmiertelna pułapka!

- Ach, jestem nowa - odparła Barrie z nerwowym śmiechem. - Następnym razem wsiądę do ekspresu. Dolly Madison - powiedziała wyciągając rękę. - Proszę, nie żartuj z mojego imienia - dodała. - Uwierź mi, chyba słyszałam już wszystkie dowcipy na ten temat.

- Linda Arnold.

- Miło mi cię poznać.

Kątem oka dostrzegła Graya wchodzącego na szczyt schodów. Skorzystał z zamieszania, jakie wywołała, i wślizgnął się za biurko dyżurnej pielęgniarki. Nikogo innego nie było w zasięgu wzroku.

- Kiedy zaczęłaś tu pracować? - spytała Linda Arnold.

- Dzisiaj jest moja pierwsza noc. Moim przełożonym jest doktor Hadley - powiedziała, przypominając sobie jedno z nazwisk na liście numerów wewnętrznych w kantine.

- Myślałam, że doktor Hadley jest na półrocznym urlopie naukowym.

- Rzeczywiście go dostał.

- Dostała.

- Właśnie tak powiedziałam. - Barrie położyła rękę na ramieniu pielęgniarki i nachyliła się do niej. - Tak mówiąc między nami, nie wszystko idzie tak, jak sobie pani doktor zaplanowała. Miała pracować nad książką, ale wątpię, czy kiedykolwiek ją skończy.

- Doprawdy? To dziwne. Już tyle opublikowała.

- Tak, wiem - potwierdziła Barrie, żałując, że wena pisarska nie opuściła doktor Hadley wcześniej. - Jednak tym razem nie idzie jej najlepiej.

- Przykro mi to słyszeć. Ma tyle do powiedzenia i jest taką zdolną lekarką.

- Jest kochana, prawda? - rozplynęła się w uśmiechu Barrie. Widziała plecy Graya. Pochylił się nad biurkiem. Czy znalazł końcówkę komputera?

- Co to jest? - Pielęgniarka wskazała ciężką torbę Barrie.

- Materiały, które zbieram dla doktor Hadley.

- Tyle tego?

- No... niezupełnie. Nie ruszam się bez mojego... hmm, mojego preparatu do odchudzania. Nigdy nie wychodzę z domu bez co najmniej dwóch puszek. Tak na wszelki wypadek. No i dodatkowa para butów. Mam okropne halluksy. Czasopisma. Wiesz, różne rzeczy. Mój mąż cały czas żartuje z mojego plecaka.

- Nie dali ci szafki na dole?

- Tak, ale te techniczne sztuczki... - Pokazała w powietrzu próby uruchomienia szyfrowego zamka. - Nie umiałam sobie z tym poradzić. Pomyślałam, że będzie lepiej, jak wezmę wszystko ze sobą.

Siostra Linda Arnold przechyliła głowę na bok.

- Twoja twarz wydaje mi się znajoma, ale nie potrafię powiedzieć skąd.

Widziała mnie w telewizji! - pomyślała w panice Barrie.

- Gdzie pracowałeś przedtem, zanim zostałeś asystentką doktor Hadley?

- Och, w różnych miejscach. Szybko nudzi mnie jedno miejsce, więc sama rozumiesz... - Za plecami pielęgniarki Gray uniósł kciuki w górę. - Teraz wybac mi, ale muszę się rozejrzeć i zorientować w tym wszystkim.

- Czy mogę ci pomóc?

- Nie, nie, dziękuję, sama sobie poradzę. - Roześmiała się. - Już wiem, żeby nie wsiadać do tej trzeszczącej starej windy.

- Przepraszam...

Gray dotknął ramienia Lindy Arnold. Odwróciła się do niego.

- Czy to pani dzwoniła w sprawie wymiany żarówki?

- Nie. To nie ja.

- Chyba chodziło o trzecie piętro. Myślałem, że kazano mi iść na drugie. Przepraszam. - Założył czapkę i poszedł w kierunku schodów.

Zanim siostra Linda Arnold znów odwróciła się do nowej pielęgniarki, Barrie zniknęła z pola widzenia.

- Nie ma ich tutaj - zameldował swemu dowódcy jeden z agentów.

Był to ten, który tak bez skrępowań zakończył krótkie życie Dolly. Prawie półtorej godziny zabrało im „znalezienie” motelu.

- To jest tu - powiedział Daily, oddychając z trudem. - Jestem pewien. „Oberża Waszyngton”. Pokój sto dwadzieścia jeden.

- W tym pokoju jest tylko kierowca TIR-a. Wściekły, bo go obudziłem - oświadczył agent, wpatrując się z niechęcią w Daily'ego.

- Nic nie rozumiem - mruknął Daily, spoglądając bezradnie to na jednego, to na drugiego. - Barrie mówiła mi, że dziś wieczorem właśnie tutaj spotka się z Bondurantem.

- Podwiozłeś ją do garażu, prawda?

- Skąd to wiecie?

- Dokąd stamtąd jechała?

- Tutaj! Tak mi przynajmniej powiedziała. Przysięgam na Boga. Potem miałem jeździć z lalką i kryć ją w ten sposób.

- Gówno prawda - warknął jeden z nich. - Cały czas nas wpuszcza w maliny.

Daily, chcąc zyskać na czasie, zmienił taktykę i zaczął błagać:

- Nie róbcie mi krzywdy. Proszę. Musiałem to zrobić. Strasznie się go boję...

- Kogo?

- Bonduranta. Powiedział, że jeśli coś spieprzę, to mnie zabije. Zrobi to i tak. Patrzyliście mu kiedyś w oczy? Są przerażające. Ten człowiek to urodzony zabójca. Jeśli się dowie, że was tu przywiozłem, to mnie zabije.

- Zamknij się! - wrzasnął przywódca.

- Proszę, zawieźcie mnie do domu - żebrał Daily. - Jeśli ich tu nie ma, to nie wiem, gdzie są. Bondurant pewnie mnie okłamał. Może okłamał też Barrie. Albo zastawił na nią pułapkę. Pomyśleliście o tym? Ale co ja wiem? Jestem tylko starym człowiekiem. Nic nie wiem.

- Kłamie - stwierdził jeden z agentów.

- Do diabła, jasne, że kłamie - zgodził się z nim przywódca. - Jedźmy.

W samochodzie przywódca skorzystał z telefonu komórkowego.

- Welsh kłamał o motelu. Nie było ich tutaj - poinformował. Słuchał przez chwilę, a potem odparł: - Tak jest. Jestem pewien, że panu uda się więcej z niego wyciągnąć.

Daily'emu nie spodobały się te słowa. Jeszcze mniej mu się podobał wskaźnik na jego butli tlenowej.

- Zostało mi mato powietrza - powiedział, gdy tylko tamten się rozłączył.

- Wydaje mi się, że to pański problem.

Pozostali dwaj w ogóle nie zareagowali. Dolly wpatrywała się w Daily'ego z podłogi wielkimi, martwymi oczami.

Droga powrotna do miasta trwała dość długo. Okazało się, że ich celem był niewinnie wyglądający biurowiec. Doprowadzili Daily'ego do wyjścia awaryjnego z tyłu budynku. Daily ostatni raz spojrzął w niebo. Oczywiście nie dostrzegł żadnych gwiazd, zbyt jasno świeciły światła miasta. Ale był bardzo ładny księżyc.

Jakie to miłe, pomyślał.

Pojechali windą towarową na siódme piętro. Stukot butów odbijał się echem w opustoszałym korytarzu. Doszli wreszcie do drzwi na samym końcu. Kółko w wózku Daily'ego skrzypiało. Jakoś nigdy nie mógł się zmusić do naoliwienia tego cholerstwa.

Jeden z agentów wysunął się do przodu i zapukał do drzwi. Głos ze środka kazał mu wejść. Mężczyzna otworzył drzwi i stanął z boku. Gdy Daily przeszedł przez próg, przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób będą go torturować i jak będzie wyglądała jego śmierć.

Plecy gospodarza oświetlała pojedyncza lampa, ale Daily natychmiast rozpoznał jego sylwetkę.

- Pan Welsh - odezwał się tamten prawie przyjacielskim tonem. - Był pan dziś wieczorem bardzo zajęty. Czy nie zaczyna panu brakować tlenu?

Daily pomyślał: „O kurwa”.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Pęknięta rura kanalizacyjna w magazynku na trzecim piętrze Tabor House wywołała porządne zamieszanie. Pielęgniarki i salowe zebrały się jak najbliżej drzwi, spod których ciekła woda. Ile było obecnych osób, tyle zaproponowano rozwiązań problemu. Jedna z pielęgniarek powiedziała, że widziała gdzieś konserwatora, ale nie można było go znaleźć.

Barrie nie wiedziała, co Gray zamierza, gdy zostawił ją na klatce schodowej z poleceniem zaczekania na niego i sprawiania wrażenia, że coś robi. Kiedy w kilka minut później wrócił, zobaczyła, że kombinezon i czapka gdzieś zniknęły i Gray znowu jest w garniturze i krawacie. Nietrudno było się domyślić, co przedtem robił.

- Chodź - powiedział tylko. Ruszyła za nim przez drzwi prowadzące na trzecie piętro.

Zamieszanie w skrzydle południowym sprawiło, że nikt ich nie zauważył. Ale gdy tylko skręcili za róg, kierując się do skrzydła północnego, spostrzegli dwóch agentów Tajnej Służby stojących na straży przed pokojem nr 300.

Właśnie tu nas zastrzelą, pomyślała Barrie.

Gray zachował zimną krew.

- Dobry wieczór, panowie - powiedział rzeczowym tonem i podszedł prosto do nich.

Natychmiast go poznali.

- Pan Bondurant?

- Jak się macie? - Gray rzucił im posepny uśmiech.

- Myśleliśmy, że pan odszedł. Kiedy pan...

- Z przyjemnością opowiem o tym później. Teraz jednak natychmiast musimy przenieść panią Merritt. W drugim skrzydle wydarzył się jakiś wypadek. Nie sądzę, by to było coś poważnego, ale musimy zachować wszelkie środki ostrożności. Prezydent nie chce podejmować żadnego ryzyka.

Uniósł dłonie nakazując agentom ciszę i przycisnął palce do słuchawki w uchu.

- Na dole są gotowi - powiedział. - Siostrzo? - Gestem wskazał Barrie drzwi pokoju.

- Tak, proszę pana - odpowiedziała i prześlizgnęła się obok agentów.

- Bardzo mi przykro, ale nikt poza doktorem Allanem... - zaczął jeden z agentów.

Krawędź dłoni Graya zderzyła się z krtanią tamtego. Jeszcze jeden szybki cios i mężczyzna upadł. Drugi odwrócił się, żeby zastąpić drogę Barrie. Gray uderzył go w kark. Agent upadł. Barrie przytrzymała drzwi, gdy Gray wciągał ich do środka.

Cała akcja nie trwała dłużej niż kilka sekund. Gray pośpiesznie zamienił fałszywą słuchawkę na prawdziwą, wyciągniętą z ucha agenta Tajnej Służby.

Słuchał przez kilka sekund, a potem pochylił się i powiedział do niewielkiego mikrofonu w klapie marynarki nieprzytomnego strażnika.

- Trochę zamieszania w innym skrzydle, to wszystko. - Przerwał, kaszlnął i odchrząknął. - Przepięka rura kanalizacyjna.

Znowu słuchał.

- Nie, wszystko jest pod kontrolą - oświadczył po chwili.

Wyłączył przełącznik.

- Na dachu jest jeszcze jeden agent - powiedział do Barrie.

- Nie zauważyli zmiany głosu?

- Mam nadzieję, że nie.

Szybko pozbawił jednego ze strażników oprzyrządowania radiowego - musiał wiedzieć, co robi agent na dachu oraz inni, którzy być może krążyli po terenie. Potem zakleił nieprzytomnym mężczyznom usta i związał im ręce i nogi. Na jakiś czas zostali wyłączeni z akcji. Ile minut upłynie, zanim ktoś spostrzeże, że nie ma ich na stanowiskach i przyjdzie sprawdzić, co się dzieje? - pomyślała Barrie.

Ale nie miała czasu na rozważanie tej kwestii. Gray ruszył w głąb mrocznego pokoju, w którym na szpitalnym łóżku leżała bez ruchu Vanessa. Jej szczupłe ciało ledwo zaznaczało się pod prześcieradłem.

Barrie podeszła do łóżka.

- Pani Merritt?

- Yaneso? Słyszysz nas? - powiedział głośniejsz Gray, szarpiąc ją za ramię. - Yaneso?

Powieki chorej zatrzepotały. Otworzyła oczy. Kiedy zobaczyła Graya, w jej słabym głosie dało się słyszeć zdziwienie.

- Przyjechałeś?

- Zabieram cię stąd.

- Gray... - Kiedy znowu zamknęła oczy, uśmiechnęła się blado, pewna teraz, że nic jej nie grozi. Dostała tyle środków uspokajających, że nawet nie drgnęła, gdy Gray zdarł jej plaster z ramienia i usunął igłę z żyły.

Barrie nie musiała się zbyt dokładnie przyglądać, by spostrzec, że Vanessa jest poważnie chora. Oczodoły przypominały ciemne kratery w czaszce, wargi były sine. Gray wsunął ramiona pod jej kolana i barki, dźwignął z łóżka. W jego objęciach wyglądała jak dziecko.

- Barrie, weź pistolet - rozkazał.

Położył go na łóżku. Barrie przez chwilę wpatrywała się w broń. Mierzyła ją myśl o dotknięciu metalu. Długi tłumik zamocowany na lufie sprawiał, że pistolet wyglądał złowieszczo, ale wyraz twarzy Graya wydawał się groźniejszy od broni, więc postąpiła, jak jej kazał. Pistolet leżał ciężko i nieporęcznie w jej dłoni.

- Ostrożnie z tym. Jest odbezpieczony - powiedział Gray. - Winda towarowa jest na końcu korytarza. Zjedziemy na parter. - Zerknął na dwóch nieprzytomnych agentów. - Jeśli jesteście prawomyślni, to przepraszam - wymruczał. - Ale jeśli jesteście ludźmi Spence'a, to niech was szlag trafi.

Gdy podeszli do drzwi, Barrie spytała:

- Co z kamerami?

- Nie widziałem żadnej, a ty?

Pokręciła przecząco głową.

- A jeśli ktoś będzie próbował nas zatrzymać?

- Zastrzelisz go - odparł spokojnie. Ponaglił ją ruchem głowy. - Sprawdź korytarz.

Otworzyła drzwi i rozejrzała się ostrożnie. Korytarz był pusty, chociaż zza rogu dobiegał śmiech i żarty. Widocznie jeszcze nie zauważono nieobecności agentów Tajnej Służby.

- Pusto - powiedziała.

- Przywołaj windę.

Wyszła na korytarz i nacisnęła guzik w ścianie. Podświetlone cyfry na tabliczce wskazywały, że winda jest na pierwszym piętrze. Barrie była pewna, że jeszcze nigdy kabina nie pokonywała dwóch pięter tak długo. Obserwowała róg korytarza, ale nikt się nie zjawił.

Wreszcie winda przyjechała. Pusta. Barrie weszła do środka i nacisnęła guzik blokujący drzwi. Kiedy Gray przeniósł Vanessę przez korytarz i wszedł do kabiny, Barrie wcisnęła guzik zamykający drzwi.

Przez kilka nie kończących się sekund nic się nie działo.

W końcu drzwi się zamknęły i zaczęły zjeżdżać.

Barrie wpatrywała się czujnie w drzwi windy. Zjechali na pierwsze piętro. Czy gdyby na korytarzu przed windą ktoś stał i zażądał wyjaśnień, co tu robią, ma go zastrzelić?

Była wdzięczna losowi, że nie musiała poddawać próbie celności swojego oka. Nikt nie czekał przed drzwiami windy, gdy dotarli na parter. Wyszła i sprawdziła cały korytarz.

- Sporo osób siedzi w kantynie - powiedziała Grayowi. Dochodziły ich z tamtej strony odgłosy rozmów.

- Chyba mają przerwę.

- Chodźmy w drugą stronę - mruknął. - Niemożliwe, by było tylko jedno wyjście. Wyjdziemy przez inne drzwi i zatoczmy koło.

- Zauważyłam drzwi balkonowe na werandzie.

Ruszyli z powrotem korytarzami. Drzwi balkonowe były zamknięte, ale zamek znajdował się od wewnątrz. Barrie zawahała się.

- Może być podłączony do systemu alarmowego - powiedziała.

- Musimy zaryzykować.

Odsunęła zasuwkę i pchnęła szeroko drzwi. Natychmiast rozległ się rozdzierający uszy skrzek. Barrie odwróciła się w kierunku źródła dźwięku i odruchowo strzeliła.

W wysokiej białej klatce siedział jakiś egzotyczny ptak z czubem i wielobarwnymi skrzydłami. To on narobił tego strasznego hałasu. Strzał uszkodził jedynie paprotkę. Ptak najeżył czub, machał skrzydłami i wciąż skrzeczał.

- Cholera! - szepnęła Barrie.

Wybiegli na oślep ze szpitala, chociaż personel musiał być przyzwyczajony do ataków złego humoru ptaka, bo nikt ich nie gonił. Trzymając się nie oświetlonych miejsc, przemknęli przez zadbane ogród i dotarli do parkingu.

- Stań - nakazał Gray.

Zatrzymała się i odwróciła, ciężko dysząc. Gray wydawał się ledwie zgrzany. Przez chwilę słuchał głosu w słuchawce. Włączył nadajnik.

- Czy coś się dzieje na parkingu dla personelu? - rzucił do mikrofonu.

Tamten agent Tajnej Służby! Barrie zupełnie o nim zapomniała.

Bezwiednie pobiegła spojrzeniem na dach, ale go nie dostrzegła. Gray ruchem głowy przynaglił ją do pośpiechu. Odwróciła się i znowu zaczęła biec. Gray był tuż za nią, ale słyszała, jak mówi z udawanym zaskoczeniem:

- Nie, nie. Nikt jej nie przeszkadzał. - Potem krzyknął: - Cholera! Namierzył nas, Barrie.

Przebiegła sprintem całą resztę drogi do furgonetki. Kiedy do niej dotarli, szarpnięciem otworzyła tylne drzwi kabiny, wgramoliła się do środka, a potem pomogła wsiąść Grayowi. Położył Vanesę na wyscielanej ławce przy ścianie i wyskoczył, by przejść do kabiny kierowcy.

- Trzymaj się! - krzyknął i zatrasnął za sobą drzwi.

Kilka chwil później furgonetka ożyła i zaczęli jechać. Niedługo potem Tabor House przeszło wycie alarmu.

- Pyszne ciasto, Amando - powiedział David. - Dziękuję.

Uśmiechnął się do niej, gdy zabrała mu pusty talerzyk i odstawiła na tacę.

- Cieszę się, że ci smakowało, Davidzie. A może zjadłbyś jeszcze kawałek?

- Nie, dziękuję. - Poklepał się znacząco po brzuchu. - Każda kaloria więcej...

Bez uśmiechu spytała, czy napiłby się jeszcze kawy. Poprosił i przyglądał jej się uważnie, gdy dolewała mu do filiżanki. Potem przeprosiła ich, zabrała tacę i wyszła, zostawiając Davida i George'a samych w wygodnym salonie.

- Amanda nigdy mnie nie lubiła, prawda? - mruknął David.

- Dolać ci czegoś do kawy? - George stał przy barku. Do swojej filiżanki wlał sporą porcję B & B.

- Nie, dzięki.

Kiedy prezydent wprosił się na kolację, dwaj synowie George^ byli bardzo podekscytowani. Merritt poprosił, żeby pokazali mu swoje zeszyty i każdemu napisał dedykację, którą następnego dnia mogli zanieść do szkoły i pokazać kolegom w klasie.

Po kolacji Amanda zaprowadziła synów do łóżka i zaproponowała, że poda Davidowi i George'owi kawę z ciastem w salonie.

Jej zachowanie było niemal wrogie, ale David przyzwyczał się przez lata do jej niechęci. Współczuł biednemu George'owi, że ożenił się z taką bryłą lodu.

Doktor wrócił na kanapę z filiżanką. David spostrzegł, że tak bardzo trzęsą mu się ręce, że brzęczy delikatna porcelana.

- Dlaczego tak się denerwujesz, George? Gdybym cię dobrze nie znał, sądziłbym, że to wyrzuty sumienia.

George zapytał zdesperowanym szeptem:

- Dlaczego przyszedłeś tu dziś wieczorem?

- Czy nie jestem zawsze serdecznie witany gościem w domu jednego z moich najlepszych przyjaciół?

- Nie o to mi chodziło.

- Miło mi to słyszeć. - David leniwym ruchem zamieszał kawę. - Teraz, kiedy zostaliśmy sami, przejdę do interesów.

- To znaczy...?

- Chciałbym poznać twoje zdanie na temat projektu ustawy o opiece zdrowotnej przedstawionej przez Kongres. Twoja opinia jako lekarza będzie dla mnie bardzo cenna.

Zaskoczony George wybełkotał:

- Znam tylko główne punkty.

- To w zupełności wystarczy. Co o tym sądzisz?

Zadzwoił telefon. Doktor wstał z kanapy, by podnieść słuchawkę.

- Halo? Przy telefonie George Allan. - Wysłuchał odpowiedzi. - Tak, jest tutaj.

Odwrócił się i podał aparat Davidowi.

- To coś ważnego - szepnął.

- Włącz głośnik.

Doktor rzucił mu zdziwione spojrzenie, ale wykonał polecenie.

- Prezydent, słucham - powiedział David.

Poinformowano go, że Pierwsza Dama została zabrana z Tabor House.

- Co to znaczy „zabrana”?

- Porwana, panie prezydencie. Urowadzona.

David powoli wstał.

- Co? - syknął przez zaciśnięte zęby.

Jego rozmówca powtórzył wiadomość.

- Gdzie do cholery była Tajna Służba? - warknął David.

- Porywaczy było znacznie więcej, panie prezydencie. Panią Merritt wyniesiono z jej pokoju, ulokowano w furgonetce i wywieziono. Wszystko szczegółowo zaplanowano i przygotowano. Ochrona szpitala i agenci Tajnej Służby próbowali zatrzymać porywaczy przy bramie, ale nie mogli ryzykować zranienia Pierwszej Damy. Mimo strzałów ostrzegawczych furgonetka nie zatrzymała się. Wyłamała barierę i odjechała.

Głośna rozmowa przyciągnęła z głębi domu Amandę. David zauważył, że wiadomość o porwaniu wcale jej nie zaskoczyła.

- Czy wiadomo już, kto ponosi za to odpowiedzialność? Jakaś grupa terrorystyczna?

- Wśród porywaczy zidentyfikowano Graya Bonduranta i Barrie Travis, panie prezydencie.

- Chryste Panie! - David przeczesał włosy palcami. - Czy ten Bondurant kompletnie zwariował?

- Agentom Tajnej Służby pilnującym pokoju pani Merritt powiedział, że działa z pańskiego polecenia, panie prezydencie.

- Nie dawałem mu żadnych poleceń! - krzyknął David z oburzeniem. - Kiedy go złapiecie, musi być potraktowany jak kryminalista. Zrozumiano?

- Oczywiście, panie prezydencie. Już powiadomiono FBI. Miejscowe siły porządkowe zlokalizowały pojazd. Zostawili go kilka mil od szpitala. Ale nie było w nim Pierwszej Damy ani porywaczy. Widocznie zmienili samochód.

Merritt odzyskał panowanie nad sobą.

- Natychmiast wracam do Białego Domu. Można się ze mną porozumieć w samochodzie.

- Tak jest, panie prezydencie.

Po skończonej rozmowie David odwrócił się do George'a.

- Jak mogłeś do tego dopuścić?

- To nie moja wina! - krzyknął doktor. - Nawet mnie tam nie było! To niekompetencja ochrony.

- Czyżby? - zapytał jadownicie prezydent. - Za każdym razem, gdy oddaję Vanesę pod twoją opiekę, wydarza się coś paskudnego.

Stojąca w drzwiach Amanda odezwała się:

- Jeśli kogoś można za to winić, to tylko ciebie, Davidzie.

- Amando! - wykrzyknął George.

Merritt miał ochotę zadusić ją za te słowa, ale podziwiał jej odwagę.

- Daj spokój, George - powiedział szorstko. - Muszę natychmiast wracać do Białego Domu. Jedziesz ze mną?

- Oczywiście.

Kiedy wyszli, zostali otoczeni przez agentów Tajnej Służby, najwyraźniej zaalarmowanych ostatnimi wydarzeniami. Przy krawężniku parkowała limuzyna, przed nią stał jeden samochód, drugi z tyłu, a czterech policjantów na motocyklach czekało na przedzie, by poprowadzić kolumnę.

Gdy pędzili w kierunku Pennsylvania Avenue, David sprawdził, czy przyciemniona szyba dzieląca ich od kierowcy została podniesiona, a potem odwrócił się do George'a i głośno roześmiał.

- Powiedziałem ci, że Bondurant to zrobi. Czyż nie mówiłem, że jest wystarczająco szlachetny i wystarczająco szalony, aby zorganizować dramatyczną akcję ratunkową?

George Allan patrzył przed siebie.

- Tak, Davidzie. Mówiłeś.

- Byłem pewien, że spróbuje ją stamtąd wyciągnąć. Kiedy ludzie Spence'a donieśli mi, że tamten piernik, Welsh, dzisiejszej nocy służył im jako parawan, domyśliłem się, że ucieczka jest w toku.

- Wygląda na to, że miałaś rację.

- Czy zrobiłeś swoje, George?

- Tak. Tuż przed wyjściem od niej dziś wieczorem.

- Zadziała?

- Zadziała. Umrze z powodu zbyt wysokiego poziomu litu w organizmie.

Oczywiście wyszłoby to na jaw w czasie sekcji, ale nikt nie będzie podejrzewał prezydenta ani jego lekarza, ponieważ jedli ciasto i popijali kawę, gdy Vanessa wpadła w łapy Graya Bonduranta i jego współpracownicy, Barrie Travis. Tamci zostaną oskarżeni nie tylko o porwanie, ale i o morderstwo.

Jako bliski przyjaciel Gray wiedział, że Vanessa musi się znajdować pod ścisłą kontrolą lekarską. Zbyt niska dawka litu powodowała, że nie można było opanować zaburzeń jej nastroju. Zbyt wysoka natomiast mogłaby wywołać atak padaczki, śpiączkę lub śmierć, zwłaszcza w połączeniu ze środkami uspokajającymi, które podawano Vanessie w szpitalu.

- Będą chcieli wiedzieć, skąd Gray miał ten lek - zauważył George.

- On? - prychnął David, lekceważąc problem. - Dobry oskarżyciel bez trudu przekona ławę przysięgłych, że potrafił go zdobyć i zatarł ślady.

- A motyw? Wydają mi się niejasne - powiedział George. - Skoro tyle wysiłku kosztowało ich uwolnienie Vanessy, to po co mieliby ją potem zabijać?

George był taki tępy, że David czasami zastanawiał się, w jaki sposób skończył studia medyczne. Miał również irytującą skłonność do gmatwania prostych rzeczy.

- Gray był odrzuconym kochankiem Vanessy. Cierpiał z tego powodu, widział to cały kraj. Opuścił Waszyngton i w samotności leczył zranioną dumę. Ale niechęć rosła, aż w końcu doszedł do wniosku, że jego potrzebę zemsty może zaspokoić jedynie śmierć Vanessy.

- A Barrie Travis?

- Kocha się w Grayu i z radością wyeliminowała rywalkę. Po incydencie w Shinlin stali się wrogami publicznymi, więc ludzie łatwo uwierzą w ich winę.

Prezydent odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

- To doskonały plan, George - dodał po chwili. - Spence zawsze mówił, że lepiej nie niszczyć swoich wrogów, lecz pozwolić im, by sami się zniszczyli. Szkoda, że go tu nie ma. Bardzo by mu się to spodobało.

Rozdział czterdziesty drugi

Senator Armbruster czekał na Barrie i Graya w umówionym miejscu. Wirniki helikoptera już pracowały.

- Dzięki Bogu, udało się wam - powiedział z ulgą, gdy Gray wyskoczył z samochodu. - Jak ona się czuje?

- Żyje.

Senator sam wybierał zespół medyczny, przygotowany do wykonania każdego koniecznego zabiegu potrzebnego w trakcie lotu do Waszyngtonu. Gdy Vanessę wyniesiono z samochodu i położono na noszach, lekarz prowadzący zaczął wydawać polecenia asystentom.

- Dziecinko, co oni ci zrobili? - Clete chwycił lodowatą dłoń córki, biegnąc obok noszy do helikoptera.

Gray zatrzymał na chwilę lekarza i powiedział mu:

- Cholernie łatwo było ją stamtąd wyciągnąć. Zbyt łatwo. Może najgorsze już się stało.

Lekarz kiwnął głową, że zrozumiał. Nie czekał dłużej, by usłyszeć więcej. Wskoczył do helikoptera, który po kilku sekundach znalazł się w powietrzu. Barrie i Gray zostali na pustym parkingu przed domem towarowym.

Barrie nakręciła przekazanie Vanessy senatorowi. Choć jakoś filmu ustępowała normalnym nagraniom telewizyjnym, taśma i tak była bezcenna. Odprowadzili helikopter spojrzzeniami, gdy wzbił się wysoko i ruszył w kierunku Waszyngtonu.

- Co powiedziałaś lekarzowi? - spytała Barrie, chowając kamerę do plecaka.

- Podejrzewam, że ludzie w Tabor House spodziewali się naszego przyjścia.

Spojrzała na niego uważnie.

- Sama pomyśl - dodał - poza tą farsą oporu przy drzwiach pokoju, właściwie weszliśmy i wyszliśmy stamtąd bez przeszkód. - Z nieruchomą, napiętą twarzą patrzył w kierunku, w którym odleciał helikopter.

- Być może spóźniliśmy się...

- Stój! FBI! - rozległo się w ciemności za ich plecami.

Odwrócili się gwałtownie. W ich stronę biegło czterech mężczyzn z wycelowaną bronią. Zapaliły się reflektory. Na parking z rykiem silników wjechały dwa samochody i z piskiem opon zatrzymały się kilka metrów od Barrie i Graya.

- Ręce na głowę, Bondurant.

Gray bez słowa protestu spełnił to polecenie. Jeden z agentów podszedł do niego, znalazł pistolet za paskiem i zabrał go. Inny przejrzał plecak Barrie i obmacał ją od góry do dołu.

- Nie mam broni - zaprotestowała.

- Nic nie mów - poradził jej Gray, któremu już założono kajdanki i odczytano jego prawa.

Idąc jego śladem, Barrie również dała się aresztować bez oporu. Była przekonana, że jej relacja z „porwania” wraz z taśmą wideo usprawiedliwi wszystkie ich przestępstwa popełnione w czasie ratowania Pierwszej Damy. Mówienie czegokolwiek w tej chwili było czystą stratą czasu. Woląла poczekać, aż senator Armbruster i Vanessa będą mogli potwierdzić zarzut, że prezydent zabił syna i zamierzał spowodować śmierć żony.

Barrie doprowadzono do jednego z samochodów, a Graya do drugiego. Agent przytrzymał drzwi i pomógł jej wsiąść do tyłu.

Ujrzała tam na siedzeniu coś, co napełniło ją taką grozą, że krzyknęła i próbowała cofnąć się z otwartych drzwi, ale agent przytrzymał ją i pchnął do środka.

Przez szybę zobaczyła Graya. Usłyszał jej krzyk, wyczuł jej przerażenie i walczył teraz z agentami, próbującymi wepchnąć go do drugiego samochodu. Nie mógł ich jednak pokonać z rękami skutymi na plecach i wkrótce znalazł się w środku. Zatrzaśnięto drzwi. Samochody ruszyły z piskiem opon.

Barrie łkając spoglądała na pasażerkę szarej limuzyny, która patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, z nieobecnyim wyrazem twarzy i przekrzywioną peruką na głowie. Dolly.

George Allan patrzył na śpiących synów. Ich głowy ledwie wystawały spod kołder. Młodszy, leżący na dolnym łóżku, był prawdziwym łobuziakiem. W przyszłości na pewno zostanie pożeraczem damskich serc. Dzięki urokowi osobistemu gładko przejdzie przez życie.

Starszy odziedziczył powagę Amandy. Nawet we śnie wydawał się rozwiązywać jakiś problem. Był bystrzejszy od brata, ambitniejszy. Intelpekt i samodyscyplina zapewnią mu sukces w każdej dziedzinie, którą wybierze. George miał nadzieję, że będzie to medycyna.

Pocałował synów delikatnie i wyszedł na palcach z ich pokoju.

Drzwi do małżeńskiej sypialni były szeroko otwarte. Amanda zostawiła dla niego włączoną lampkę nocną. Bez względu na to, jak gorzkie były ich kłótnie, jak bardzo czuli się sobie obcy, każdej nocy dzieliła z nim łóżko i zawsze zostawiała zapaloną lampkę. Jakby myślała, że gdy zostawi światło, on zawsze odnajdzie do niej drogę.

Spojrzał na jej twarz. Pasma jedwabistych ciemnych włosów rozsypały się na poduszce. Oddychała wolno i równomiernie. Pragnął ją pocałować, ale lękał się obudzić.

Wycofał się z sypialni, poszedł korytarzem do swojego gabinetu i cicho zamknął drzwi za sobą. Rozpaczliwie chciało mu się czegoś napić. Nalał sobie szkockiej i z ulgą opadł na fotel.

Była to długa noc. Czekał z Davidem dotąd, aż otrzymali wiadomość, że Vanessa znalazła się bezpieczna w szpitalu i jest przy niej Clete.

Teraz był już bardzo zmęczony. Smakował szkocką, popijając ją drobnymi, wolnymi łykami i czując ciepło rozchodzące się po całym ciele. Dobroczynne alkoholowe oszołomienie rozproszyła jednak natarczywa, trzeźwa myśl: nie wypełnił polecenia Davida i musi ponieść konsekwencje.

Skończył szkocką, otworzył dolną szufladę biurka i wyciągnął rewolwer. Nie była to broń dużego kalibru, ale kiedy wystrzeliło się w usta, wystarczała do osiągnięcia celu. Sprawdził magazynek: w każdej komorze znajdowała się kula. Z głuchym trzaskiem przesunął magazynek na miejsce i położył rewolwer na blacie biurka.

Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął małą plastikową buteleczkę. Specjalnie zabezpieczone zamknięcie pozostało nietknięte. Lit wciąż znajdował się wewnątrz, nie stał się trucizną w żyłach Vanessy, jak wierzył David.

Tak więc mimo wszystko pokonał Davida. Nie dopuścił się morderstwa z zimną krwią. Miał nadzieję, że żona uzna jego postępek za zwycięstwo. Może w ten sposób naprawi lata słabości. Może Amanda go nawet za to pokocha. Choć trochę.

Postawił buteleczkę na biurku, wziął rewolwer i włożył lufę do ust.

W trakcie długiej jazdy Barrie próbowała się czegoś dowiedzieć o Dailym od mężczyzn, którzy ją arestowali, lecz jej błagania, łkania i groźby pozostały bez odpowiedzi. Gdy dotarli do celu - biurowca w śródmieściu - pośpiesznie wepchnięto ich do towarowej windy, a potem poprowadzono do gabinetu na końcu korytarza na siódmym piętrze.

Gray cały czas szarpał się z agentami, więc jako pierwszy znalazł się w środku. Jego bluźnierczy okrzyk wcale nie przygotował Barrie na to, co ją tam czekało.

Spodziewała się zobaczyć skatowane, posiniaczone, a nawet zakrwawione zwłoki Daily'ego. Tymczasem siedział wygodnie na sofie ze znużonym wyrazem twarzy. Poczula taką ulgę, że potykając się przeszła przez słabo oświetlony pokój i ukłękła obok jego nóg. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Daily, dobrze się czujesz? - zapytała.

- Teraz tak - sapnął. - Kiedy widzę, że nic wam się nie przytrafiło i nikt was nie zastrzelił.

- Mieli Dolly w samochodzie. Bałam się, że...

- Przywieźli mi nową butlę z tlenem, więc na razie żyję. Mną się nie przejmuj. Wyciągnęliście stamtąd panią Merritt?

- Tak. Jest teraz w dobrych rękach, chociaż chyba bardzo chora. Nie mamy pewności, czy przeżyje.

Agent pomógł Barrie wstać i zdjął jej kajdanki. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z gospodarzem. W gniewnym geście wyciągnęła przed siebie ręce, by pokazać mu czerwone obtarcia na przegubach.

- Czy taka brutalność była konieczna. Bill?

Prokurator generalny William Yancey patrzył na nią ze speszoną miną.

- Cześć, Barrie.

Gray spojrział na nich niedowierzająco.

- Znacie się?

- Ze studiów - odparł Yancey. - Barrie pracowała w akademickiej rozgłośni radiowej jako reporterka. Ja byłem przewodniczącym studenckiej koalicji politycznej, więc w sezonie ogórkowym przychodziła do mnie po materiał.

- Nadal czasem to robię. To mój informator z Departamentu Sprawiedliwości, Gray.

- Jest twoim informatorem?

- Nie przekazuję jej nic poufnego - wyjaśnił Yancey. - Na ogół potwierdzam tylko lub dementuję informacje zdobyte z innych źródeł. Próbuję nie pozwolić jej zejść na manowce, co jest czasem bardzo trudne - dodał patrząc na Barrie z irytacją.

- Bill, czy to było konieczne? - powtórzyła.

- Musieliśmy dokonać formalnego aresztowania. Ty i Bondurant jesteście poszukiwani za porwanie. - Zerknął na Daily'ego. - A pan Welsh zeznał, że był waszym współnikiem.

- Daily tylko trochę nam pomógł, poza tym to nie było porwanie. Ocaliliśmy Vanesę Merritt.

- Przed czym, przed kim?

- Przed jej mężem.

Yancey spojrzał ponuro na Barrie, a potem na Graya.

- Obawiałem się, że to właśnie powiesz.

- Zdaje się, że ta rewelacja zbytnio cię nie zdziwiła - zauważyła.

- Ostatnio odbierałem bardzo dziwne telefony. Od Armbrustera. Od Merritta. Wyglądało na to, że powrót pana Bonduranta do Waszyngtonu mocno wszystkich zdenerwował. Najpierw kazano mi go aresztować, potem odwołano polecenie. Następnie wyszło na jaw, że Bondurant stale dotrzymuje towarzystwa... zgadnij komu? Tobie. A tak przy okazji - dodał surowym tonem - nieźle nagadałaś moim ludziom na pogrzebie Howiego Frippa. Nie wiedziałem, gdzie oczy podziać, kiedy mi powtarzali twoje słowa o obciąganiu na autostradzie.

- O czym? - spytał Gray.

- To długa historia - wymamrotała Barrie. Odwróciła się do Yanceya. - Wymyślałam bzdury, ponieważ nie byłam pewna, czy to dobrzy faceci...

- To byli agenci FBI.

- Wiem, wiem, ale myślałam, że może są... - spojrzała niepewnie na Graya, zastanawiając się, ile powinna powiedzieć.

Decyzję podjął za nią Daily, odzywając się z sofy:

- Myślała, że pracują dla Spencera Martina.

- Spencera Martina...? - powtórzył Yancey powoli. - Zauważyliśmy, że ktoś jeszcze was śledził. Mój zespół kilkakrotnie natknął się na jakichś pętających się za wami ludzi. Zastanawialiśmy się, kim oni są.

- To byli ludzie Spence'a - odparł Gray przez zaciśnięte zęby.

Yancey odwrócił się do niego.

- Mam uwierzyć panu na słowo?

- Ma pan być pierwszym przedstawicielem prawa w tym kraju. A to oznacza ściganie przestępców.

- Oznacza również chronienie praw tych, którym inni zarzucają, że są przestępcami.

Barrie, wyczuwając rosnącą między nimi wrogość, powiedziała szybko:

- Bill, jestem pewna, że gdy poznasz fakty, zgodzisz się z nami, iż Spencer Martin to niebezpieczna postać.

- Zamieniam się w słuch. Jakie są te fakty, Barrie? Twoje nazwisko łączono z Pierwszą Damą od czasu nagrania przez ciebie cyklu programów o SIDS. Potem Pierwsza Dama zniknęła nagle tajemniczo z życia publicznego. Bełkot Daltona Neely'ego obraża moją inteligencję, a Tajna Służba zachowuje pełne szacunku milczenie. Wiedzieliśmy, że coś dzisiaj w nocy planujecie, kiedy zmieniliście samochody w garażu. Przejęliśmy starszego pana...

- Tylko nie starszego pana - burknął z urazą Daily.

- ...po to, żeby go nie skrzywdzili albo nie zabili ludzie pracujący waszym zdaniem dla Spencera Martina. - Yancey rozpiął marynarkę i wziął się pod boki. - Chcę wiedzieć, co się do diabła dzieje, i chcę usłyszeć wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Właśnie dlatego przywieźliśmy was tutaj zamiast prosto do więzienia.

- Doceniam twoje zaufanie, Bill - powiedziała Barrie. - Jednak czy zanim zacznę opowiadać, mogłabym wezwać adwokata?

- Mogłabyś, jeśli koniecznie chcesz. Ale możesz po prostu być ze mną szczerą.

- Nieoficjalnie?

- Nieoficjalnie.

Barrie знаła go od lat i wiedziała, że jest człowiekiem honoru. Niejeden raz jego prawość przeszkodziła jej w zdobyciu dobrego materiału. Często złościła się na niego za odmowę udzielenia informacji, jednak nigdy celowo nie wprowadził jej w błąd.

- W porządku - odparła. - Ale tyle jest do opowiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć.

- Zacznijmy od Spencera Martina.

- Dużo o nim wiesz? Jest...

- Ostrożnie, Barrie. - Gray wskazał głową Yanceya. - Być może on jest twoim dawnym kolegą szkolnym, być może przydawał się jako niezawodne źródło informacji, ale zanim mu wszystko wyjawisz, przypomnij sobie, kto go mianował na to stanowisko i dla kogo teraz pracuje.

Urażony Yancey odpowiedział:

- Pamiętam, kto mnie mianował, panie Bondurant. Ale pracuję dla społeczeństwa Stanów Zjednoczonych i bardzo poważnie traktuję swoją pracę i związane z nią obowiązki. To prawda, że zawdzięczam stanowisko Davidowi Merrittowi, jednak to wcale nie oznacza, że uszedł mojej uwagi smród bijący ostatnio z Białego Domu. A co do Spencera Martina, to wiem o jego prywatnej armii. Jego informatorzy i pomocnicy weszli do prawie wszystkich departamentów rządu federalnego, wliczając w to również, co ze wstydem przyznaję, Departament Sprawiedliwości. Jednak bardziej niebezpieczny jest

wpływ, jaki Martin wywiera na prezydenta. Chcę wiedzieć, dlaczego Merritt jest tak od niego zależny. Szczerze mówiąc, Bondurant, nie podobało mi się, że Barrie spędza z tobą tyle czasu. Dlatego wspomniałem jej o twojej ostatniej wizycie w Białym Domu. Przypuszczałem, że jesteś jednym z ludzi Martina.

- To źle przypuszczałeś.

- Prawdopodobnie. Wyjechałeś z powodu pani Merritt, jak sądzę.

Gray przytaknął.

- I również z jej powodu niechętnie wróciłem - dodał.

Prokurator generalny przez dłuższą chwilę przyglądał się bacznie Grayowi, a potem odwrócił do Barrie.

- Zaczęłaś od cyklu o SIDS, prawda?

- Właściwie to zaczęła Vanessa, zapraszając mnie na kawę. To bardzo długa opowieść. Oskarżę w niej prezydenta o odrażające zbrodnie.

- Właśnie dlatego przywiozłem was tutaj - powiedział Yancey. - Bez względu na długość tej opowieści i zamieszane w nią osoby, bez względu na konsekwencje, chcę ją usłyszeć.

Rozdział czterdziesty trzeci

- Kurwa! Wszystko się wali! Jeszcze nie złapano Graya i Travis, a Vanessa jest w cholernym szpitalu. W szpitalu! Miałem usłyszeć wieści o jej śmierci, a zamiast tego radośnie powiadomiono mnie, że ją leczą w szpitali GWU!

- Uspokój się, Davidzie.

Prezydent odwrócił się gwałtownie do Spence'a. Jego spojrzenie było twarde jak kamień.

- Nie pouczaj mnie, Spence. Jeśli mnie stąd wypieprzą, to ciebie też. Pamiętaj o tym, zanim znów zaczniesz wygłaszać te swoje głupie uwagi. Nie pouczaj mnie, ty zadowolony z siebie sukinsynie!

- Nie próbowałem cię pouczać ani nie jestem zadowolony z siebie. Przejmuję się tak samo jak ty. Ale twój brak opanowania może tylko pogorszyć naszą sytuację.

- Nie sądzę, żeby mogło być gorzej.

- Oczywiście, że może być gorzej.

David uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Jak to się mogło stać?

- Nie wiem. Wszystko w Tabor House poszło zgodnie z planem. Moi ludzie zdusili w sobie dumę i pozwolili się Bondurantowi pokonać. Skąd mogliśmy wiedzieć, że Clete wysłał helikopter, który na nich czekał kilka mil od szpitala?

- Powinieneś być wiedzieć. Właśnie za to ci płacę. Gdzie do diabła jest George? Wymknął się stąd po kryjomu i musiał pojechać do domu. Wezwij go i spytaj, czy lekarze w szpitalu mogą odkręcić jego robotę.

- Wielokrotnie dzwoniłem do niego do domu. Linia jest wciąż zajęta. A na wezwania przez pager nie odpowiada.

- Jest lekarzem prowadzącym Vanessy. Może wezwali go do szpitala - powiedział David z nadzieją w głosie.

- To mało prawdopodobne, Davidzie. Po tym wszystkim Clete nie pozwoli się mu zbliżyć do Vanessy na kilometr.

- Chryste, jak to nie zadziała...

- Wtedy pomyślimy o czymś innym - oświadczył spokojnie Spence. - Nie wolno nam zapomnieć, że Vanessa stanowi groźbę dla twojej administracji. Tylko ona, ty i ja wiemy, co wydarzyło się w dzieciennym pokoju tamtej nocy. George coś podejrzewa, ale nie jest pewny. Tak czy inaczej, musimy sobie zagwarantować milczenie Vanessy. Potem już nikt nic nie będzie wiedział.

- Poza tobą i mną - powiedział David, obracając zamyślane spojrzenie na Spence'a.

Właśnie wstawalo słońce, kiedy prezydent Merritt przybył do szpitala, by zobaczyć się z żoną. Zamiast noszonego na co dzień garnituru postanowił włożyć sportowe ubranie i wiatrówkę, ufając, że taki niedbały strój uwiarygodni jego zaniepokojenie.

Tuż przed jego przybyciem zjawili się agenci Tajnej Służby. W szpitalu panował stan kontrolowanego chaosu. Przedstawiciele prasy i telewizji przyjechali w pełnym składzie, rywalizując ze sobą o ostatnie wiadomości na temat stanu zdrowia Pierwszej Damy.

Prezydent wszedł do szpitala przez kuchnię i wjechał na górę służbową windą. Zaprowadzono go do pokoju żony.

Kiedy tam wszedł, zobaczył przy łóżku Vanessy swego teścia.

- Jak ona się czuje. Clete? - spytał zmartwionym głosem.

- Dlaczego jej samej o to nie zapytasz?

Wyglądało na to, że Vanessa śpi, ale kiedy David wziął ją za rękę, natychmiast otworzyła oczy. David uśmiechnął się promiennie.

- Witaj, najdroższa. Dzięki Bogu, nic ci nie jest.

- Witaj, Davidzie. Jak to miło z twojej strony, że przyszedłeś - odparła ironicznie.

- Panie prezydencie, to jest doktor Murphy.

Merritt z roztargnieniem skinął głową, gdy Clete przedstawił mu lekarza.

- Co jest mojej żonie, panie doktorze? - zapytał.

- Moim zdaniem, panie prezydencie, otrzymywała niewłaściwe, zbyt wysokie dawki litu, zwłaszcza że łączono je z haldolem i innymi środkami uspokajającymi.

- Sądziłem, że stale badano jej krew. Lekarz wzruszył ramionami.

- Doktor Leopold przesłał mi faksem kartę pańskiej żony z Tabor House. Zanotowane wyniki badań są takie, jakie być powinny, ale nie zgadzają się z wynikami uzyskanymi w naszym laboratorium.

- Jak personel Dexa Leopolda mógł popełnić taki błąd? - Nikt się nie odważył odpowiedzieć. Doktor Murphy milczał z zażenowaniem. - Jakże są rokowania? - spytał szybko David.

- Poziom litu jest toksyczny. Zastosowaliśmy kroplówkę, by wypłukać go z organizmu. To potrwa kilka dni. Potem ustalę dawkowanie leków w ilości skutecznej i bezpiecznej zarazem.

- Ale czy wyzdrowieje?

- Tak, panie prezydencie.

- Dzięki Bogu. - David ścisnął rękę Vanessie, a potem pochylił się i delikatnie pocałował żonę. Miała wargi zimne i nieruchome jak wargi manekina.

Doktor Murphy przeprosił i wyszedł, zostawiając ich samych. Zanim Clete zdążył cośkolwiek powiedzieć, David ruszył do ofensywy.

- Dex Leopold mi za to zapłaci - warknął. - Własnym stołkiem.

Clete odparł spokojnie:

- Zanim się za bardzo zaangażujesz w wykopywanie komuś stolka spod tyłka, proponuję, żebyś zaczął myśleć o własnym.

David udał zdziwienie.

- O co ci chodzi?

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Spencer Martin.

Vanessa gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Proszę, proszę, zjawiała się czarna owca - powiedział Clete.

Spence nie zareagował na tę uwagę. Nie patrząc na Clete'a, odezwał się do Vanessy:

- Cieszę się, że czujesz się lepiej. - Potem odwrócił się do Davida. - Dalton Neely z trudem przekonuje media, że rokowania pani Merritt są pomyślne. Sądzę, że lepiej by było, gdyby pan zwrócił się do nich osobiście i zapewnił naród, że Pierwsza Dama już wkrótce będzie zdrowa.

- To dobry pomysł - zgodził się David. - Clete, a może pójdziesz ze mną? Twoja obecność potwierdzi dobre wieści.

Clete zerknął na Vanesę.

- Co o tym sądzisz, dziecinko? Zostaniesz sama?

- Już nie jestem sama, tato - odparła cicho.

- Na pewno nie. - Senator pochylił się i pocałował ją w czoło, a potem wyprostował się i ręką wskazał drzwi. - Idziemy, panie prezydencie.

Davidowi nie podobała się uległość senatora. Wcale. Jeszcze mniej podobało mu się pełne nienawiści spojrzenie, jakim obrzuciła go żona. Mimo to pożegnał się z nią, obiecał, że wróci i zajrzy do niej jeszcze tego samego dnia, i czule ucałował jej dłoń.

Od samego początku David Merritt był prezydentem gotowym ścisnąć dłonie wszystkim, którzy go wybrali. Jego przyjacielskie nastawienie do ludzi sprawiało wiele kłopotów jego ochronie. Dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem.

Ku niezadowoleniu agentów Tajnej Służby zaimprovizowana konferencja prasowa zaczęła się na parterze szpitala. Dziennikarze i personel kłębili się za nylonową linką, która była raczej marnym zabezpieczeniem.

Znękany Dalton Neely z ulgą stanął u boku prezydenta. Pojawienie się Merritta wywołało wśród zebranych falę podniecenia. Natychmiast zasypano go pytaniami. Prosząc o ciszę, uniósł ręce w górę. Kiedy gwar ucichł, oświadczył, że właśnie wraz z senatorem Armbrusterem wyszedł z pokoju pani Merritt.

- Obaj z nią rozmawialiśmy. Jest przytomna, w dobrym nastroju i czuje się coraz lepiej. Senator Armbruster i ja mamy pełne zaufanie do opieki, jaką sprawują nad nią lekarze, pielęgniarki i pozostały personel.

Clete ze zdumieniem i niechętnym podziwem przysłuchiwał się Davidowi: ten człowiek potrafił zachować zimną krew w każdej sytuacji. Sam go stworzył - ale jednocześnie stworzył też potwora. Jak w klasycznej powieści Mary Shelley, twórca musiał zniszczyć własne dzieło.

Prezydent skwitował pytania o doktora George'a Allana oświadczeniem, iż chwilowo nie można się z nim skontaktować. Nie chciał też odpowiadać na pytania o domniemane porwanie pani Merritt z Tabor House, dopóki, jak stwierdził, nie uzyska na ten temat wyczerpującego raportu.

- Otrzymałem sprzeczne doniesienia - wyjaśnił.

Potem poprosił o wybaczenie, że musi już zakończyć konferencję, podziękował gorąco za troskę o Pierwszą Damę i ruszył do wyjścia. Clete od początku odmawiał odpowiedzi na rzucane w jego stronę pytania, a kiedy David skończył, poprosił go o odwiezienie do domu.

Davidą zaskoczyła ta prośba, ale wyraził zgodę i uprzedził szofera, że przed powrotem do Białego Domu pojedą w kierunku, którego nie było w planie.

- Pojedź czym innym - burknął Clete do Spence'a, gdy ten próbował dołączyć do nich w prezydenckiej limuzynie.

Spence zerknął na Davida pytająco.

- Proszę, Spence - powiedział Merritt. Clete wyraźnie widział, że to się Spence'owi nie spodobało, ale usłuchał, by ocalić twarz.

- Kiedy się zjawił? - spytał Clete, gdy kolumna wyjechała z przyszpitalnego parkingu.

- Właśnie wtedy, gdy wymyśliłeś tę idiotyczną historyjkę o... Co to było? „Ważna sprawa osobista”?

- Coś w tym rodzaju - zachichotał Clete. - Szczerze żałuję, że Bondurant nie zabił sukinsyna, kiedy miał okazję.

- Czy dlatego wprosiłeś się na przejażdżkę? Żeby jeszcze raz powiedzieć, co myślisz o moim doradcy?

- Nie. Mam ci do powiedzenia coś ważniejszego.

- Dalej, Clete. Już dawałeś mi do zrozumienia, że znalazłem się na skraju przepaści i tylko ty możesz mnie uratować.

- Bo właśnie tak jest, Davidzie. Tylko ja stoję między tobą a bagnem tak głębokim, że nigdy nie znajdziesz dna.

David gwizdnął.

- Brzmi to poważnie.

- Kpisz ze mnie, Davidzie? Posłuchaj więc... - Clete wbił w zięcia skupione spojrzenie. - Dziecko Vanessy nie było twoje, więc je zabiłeś i co najmniej dwukrotnie próbowałeś zabić Vanesę.

Słowa senatora starły uśmiech z twarzy Davida.

- Jeśli Vanessa tak ci powiedziała, to jest bardziej chora, niż myśleliśmy, a obaj dobrze wiemy, że to wariatka.

Clete opanował gniew, nie chcąc dawać Davidowi przewagi.

- Nie mam zamiaru tracić czasu, Davidzie. Na każde moje oskarżenie wymyślisz dziesięć kłamliwych wyjaśnień, usprawiedliwień i zaprzeczeń. Wiem, jak umiesz działać, ponieważ to ja cię wszystkiego nauczyłem. Zatem ułatwmy sobie sprawę. Mogę ci zagwarantować coś, czego chcesz i czego ci potrzeba.

- Co?

- Moje milczenie. I Vanessy.

- W zamian za co?

- Za rozwód bez orzekania o winie.

- Chyba cierpisz już na uwiąd starczy, Clete - warknął David.

- Zapewniam cię, że nie.

- Proponujesz szybki rozwód z Vanessa?

- Nie proponuję. Żądam. Albo przyjmujemy inne rozwiązanie...

David Merritt znowu uśmiechał się szyderczo.

- Inne?

Clete otworzył aktówkę i wyciągnął zaklejoną kopertę.

- Odwiedzę Billa Yanceya i oddam mu to.

Podał zięciowi kopertę. David otworzył ją i wyjął kilka kolorowych fotografii. Odrzucił je natychmiast, jakby to były żywe kobry.

- Robi się niedobrze, co? Piekielnie krwawiła. Jedno jest pewne. Becky Sturgis nie zginęła przypadkiem. Nie przewróciła się w czasie szamotaniny i nie uderzyła głową o róg stołu, jak powiedziałeś mi tamtej nocy. Zatlukłeś ją na śmierć, Davidzie. Zaświadczą o tym te fotografie.

David szybko otrząsnął się z szoku.

- To zwykły bluff, Clete. Niegodny ciebie. Nie ma mnie na tych fotografiach. Pewnie to zdjęcia zwłok kogo innego. Prawdę mówiąc, ty sam mogłeś ją zakatować na śmierć.

- Mogłem, lecz tego nie zrobiłem. W kopercie jest coś jeszcze... - David potrząsnął nią i na kolana wypadła mu kasetka. - Zabiłeś ją, Davidzie. Przyznałeś się do tego, tonąc we łzach. Pamiętasz? Jeśli nie, to przypomni ci o tym ta taśma. Wszystko nagrywam, Davidzie - dodał Clete cicho. - Później kasuję fragmenty bez znaczenia, lecz zachowuję każdy skrawek, który kiedyś może się przydać. Gdy zobaczyłem, co zrobiłeś tej biednej, bezbronnej dziewczynie i jej dziecku, postanowiłem zatrzymać zwłaszcza tę kasetę.

Z zadowoleniem zauważył kropelki potu pojawiające się na czole Davida.

- Nigdy tego nie wykorzystasz. Clete, ponieważ ponosisz taką samą winę jak ja.

- Nie chciałbym tego robić - przyznał senator. - Całe moje życie skończyłoby się hańbą. Znacznie bardziej wolałbym zostawić cię diabłu i przeżyć ostatnie dni jako szanowany mąż stanu, z córką u boku. Ten ohydny incydent z twojej przeszłości - powiedział, wskazując fotografie - może zniknąć, puff, o tak. Musisz tylko pozwolić Vanessie odejść bez zbytejnego hałasu i niepotrzebnych tłumaczeń w prasie.

- Jak mam to twoim zdaniem zrobić?

Clete wzruszył ramionami.

- Pojawiły się między wami różnice nie do przewyciężenia. Kropka. Śmierć dziecka położyła się cieniem na wasze małżeństwo. Będą wam współczuły miliony par w całych Stanach Zjednoczonych. Dzięki szczerości, z jaką do tego podejdziesz, być może zdobędziesz nawet kilka głosów.

David zacisnął szczęki.

- Czy ty naprawdę myślisz, że jestem idiotą? Rozwód na rok przed wyborami to polityczne samobójstwo. Partia w ogóle nie będzie rozważała mojej kandydatury.

- Tego nie wiesz. Rozwód to nie zbrodnia. Natomiast podwójne morderstwo jest zbrodnią i nie podlega przedawnieniu. - Clete zamilkł na chwilę, dając zięciowi czas na zastanowienie się nad tym, co powiedział, a potem stwierdził: - Moja propozycja jest bardzo wspaniałomyślna, Davidzie. Nawet gdybym sam nie był tym zainteresowany, radziłbym ci ją przyjąć.

- Ani zdjęcia, ani taśma niczego nie dowodzą.

- Nie ma znaczenia, czy czegoś dowodzą - odparł Clete obojętnie. - Ciężki skandal tej wielkości natychmiast kasuje wszelkie twoje szanse na drugą kadencję. Stałbyś się pariasem. Czegokolwiek byś próbował, ta sprawa prześladowałaby cię przez całe życie.

David patrzył na niego z taką miną, jakby miał za chwilę wybuchnąć, ale Clete był już pewien, że wygrał pierwszą rundę. I wygra wszystkie następne. Ten skandal należał do najstarszych, lecz było ich jeszcze wiele, cały wór. Będzie wyciągał je jeden za drugim i ujawniał. Wystarczy na lata, nawet gdy on sam będzie już gnął w grobie. Umrze szczęśliwy, że David Merritt nigdy nie zazna spokoju.

Na razie jednak wystarczy.

- Możesz zatrzymać zdjęcia i taśmę. Mam odbitki. A tak przy okazji, gdyby ci przyszło do głowy nasłanie na mnie Spence'a lub któregoś z jego zbirów, mój adwokat ma kopie zdjęć i kasety. Poleciałem mu przekazać je dziennikarzom na wypadek mojej śmierci nie spowodowanej przyczynami naturalnymi.

Szofer zatrzymał limuzynę przy krawężniku przed domem senatora.

- Poczekaj chwilę - wymamrotał David, chwytając Clete'a za ramię. - Zagwarantowałeś mi swoje milczenie, a co z Barrie Travis i Grayem Bondurantem? Czy nie jesteś z nimi?

Clete spojrzał na zięcia z urazą.

- Z pustogłową dziennikarką i człowiekiem, który uwiódł moją córkę? W żadnym razie. Ale poradzę sobie z nimi. - Poklepał Davida po kolanie. - Przemyśl wszystko, co ci powiedziałem, i daj mi znać. Jestem pewien, że spodoba ci się mój pomysł.

Rozdział czterdziesty czwarty

Prokurator generalny stał przy oknie i prostował kręgosłup przyciskając pięści do dołu pleców. Barrie żałowała, że nie wie, o czym Yancey myśli. Czy jej uwierzył? Gdy mu opowiadała tę historię, od czasu do czasu przerywał, pytał o coś lub prosił o wyjaśnienia, a kiedy skończyła, wstał i w milczeniu zaczął krążyć po gabinecie.

Gray odłączył od nich i oglądał telewizję. Pokazywano właśnie prezydenta. Zaklął po cichu, gdy Merritt wygłosił w szpitalu krótkie oświadczenie dla prasy, ale kiedy lekarz zapewnił, że Pierwsza Dama wróci do zdrowia, nie potrafił ukryć głębokiej ulgi.

Naturalnie Barrie też ją odczuwała. Nie byłaby jednak człowiekiem, gdyby uldze nie towarzyszyła odrobina zazdrości.

Daily w pewnym momencie jej monologu spokojnie zasnął. Cieszyła się, że może trochę wypocząć. Był tak bardzo zmęczony.

- Jednego nie rozumiem - powiedział prokurator generalny, odwracając się do Barrie. - Dlaczego pani Merritt sama go nie zdemaskowała?

Barrie odpowiedziała bez namysłu:

- Ze strachu. Bała się go, Bill. Tamtego dnia, kiedy spotkałyśmy się przy kawie, miałam wrażenie, że za chwilę wyskoczy ze skóry. Nie sądzę, by wszystkie zmiany jej nastroju wiązały się z psychozą maniackalno-depresyjną. Właśnie wtedy zaczęła podejrzewać, że mąż chce ją załatwić. Pierwszym wołaniem o pomoc było spotkanie ze mną.

Yancey spojrzał na Graya.

- A co z George'em Allanem?

- To piesek Davida. Nie odważy się mu sprzeciwić. David trzyma go na smyczy. Jego żona nam to powiedziała.

- Właśnie, Bill - wtrąciła Barrie. - Jestem pewna, że pani Allan złoży zeznania w tej sprawie.

- Sprawie? - powtórzył z przekąsem. - Nie ma żadnej sprawy, tylko słowa dwojga uciekinierów poszukiwanych za porwanie.

- Przecież wierzysz nam - odparła. - Gdybyś nie wierzył, nie sprowadziłbyś nas tutaj. - Podeszła do Yanceya, wciąż stojącego przy oknie. - Czy tak trudno ci uwierzyć, że człowiek zajmujący najwyższe stanowisko w państwie jest zdolny do popełnienia morderstwa? Popatrz. - W pierwszych promieniach słońca zobaczyli wylaniający się z mroku Pomnik Waszyngtoński. - Pomnik prezydentów. Niektórzy z nich byli szubrawcami, inni dobrymi i szlachetnymi ludźmi. Byli wśród nich wysocy i niscy, żołnierze i mężowie stanu. Wybrano ich na najważniejszy urząd w tym kraju, ale przecież byli tylko ludźmi. Historia ich uwzniośliła, nadała ich dokonaniom ponadczasowy wymiar, na pewno jednak nie byli półbogami. Byli zwykłymi śmiertelnikami z różnymi ułomnościami i słabostkami. Śmiali się, płakali, złościли się, miewali zatwardzenie. Nie byli odporni na ból, nieobca im była próżność czy... - Spojrzała na Graya -

...zazdrość. David Merritt wiedział, że żona go oszukała. Urodziła dziecko innego mężczyzny. Nie potrafił tego znieść. Musiał coś zrobić.

„Już kiedyś to zrobił”.

Słowa te zabrzmiały w głowie Barrie tak wyraźnie, że w pierwszej chwili sądziła, iż ktoś wypowiedział je głośno.

- Co? - zapytała zdezorientowana.

Yancey popatrzył na nią.

- Nic nie mówiłem.

- Powiedziałaś, że... - zaczął Gray.

- Czekaj. - Uniosła rękę, uciszając go.

Niespodziewane olśnienie miało siłę fizycznego ciosu. Ugięły się pod nią kolana i osunęła się na podłogę.

- Barrie! - Gray odtrącił Yanceya i przykląkł obok niej. Chwycił ją za ramiona i zajrzał z troską w oczy.

- Barrie, o co chodzi? - Jego głos dochodził z dużej odległości, ledwie go słyszała, bo w głowie huczało:

„Już kiedyś to zrobił”.

Gdzie usłyszała czy może przeczytała te słowa? Dlaczego właśnie teraz pojawiły się jej w głowie? Dlaczego wydały się takie ważne?

Nagle z osłepiającą jasnością przypomniała sobie, gdzie je przeczytała. Znała już odpowiedzi na wiele pytań.

- Barrie, dobrze się czujesz? - wyraźnie zatroskany Bill Yancey przykucnął obok Graya.

- Powiedz coś, do cholery! - zażądał Gray.

- Co się dzieje? - Daily usiadł i podrapał się w potarganą głowę. - Co się stało? Co z nią?

Daily. Niech go Bóg błogosławi. Czyż nie powtarzał jej tysiące razy, że dobry reporter kopie bardzo głęboko, ponieważ zawsze trzeba jeszcze odsłonić następną warstwę, że nie należy lekceważyć żadnej informacji, nawet takiej, która wydaje się nam kompletnie pozbawiona wartości.

Najlepsze tropy, te, dzięki którym materiał stawał się sensacją, zawsze znajdowano w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, takich, w których nigdy nikomu nie przyszłoby do głowy ich szukać.

A ten trop był tam cały czas. Cały czas, do cholery! Wśród notatek i zapisków zabranych z biurka w WVUE. Sprawdziła go, ale tylko powierzchownie. Nie kopała głęboko.

Ostrzegła samą siebie przed popadaniem w nadmierny entuzjazm. Mogła się mylić. Mogło się okazać, że znów zawędrowała w ślepą uliczkę, choć instynkt przekonywał ją, że nie. W każdym razie musi to sprawdzić.

Odepchnęła mężczyznę i zerwała się na równe nogi.

- Muszę wyjść.

- Dokąd?

- Wolalabym... nie mówić. Nie teraz, dopóki się nie dowiem.

- Chcesz wyjść, ale nie wiesz, dokąd idziesz?

- Oczywiście, że wiem, dokąd idę - zaprzeczyła niecierpliwie. - Choć nie wiem, co tam znajdę. Może nic. Może coś.

Ale muszę wyjść.

- Nie mogę ci pozwolić stąd wyjść - oświadczył Bill Yancey.

- Proszę, Bill... Poślij kogoś ze mną. Policjanta. Może mnie skuć, nie dbam o to. Tylko proszę, pozwól mi wyjść. To mogłoby wszystko wyjaśnić.

- Co?

- Tego właśnie nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego nie możesz?

- Bo nie chcę wyjść na idiotkę, jeśli się pomyliłam!

Po jej krzyku zapadła długa cisza.

- Pozwól jej iść - odezwał się nagle Gray.

Zaskoczona, Barrie odwróciła się w jego stronę, ich spojrzenia się spotkały. Bez słów powiedzieli sobie tysiące rzeczy, a ona zrozumiała, że Gray ma do niej absolutne zaufanie.

W tym momencie zrozumiała, że go kocha. Bardzo go kocha.

- Pozwól jej iść - powtórzył Gray, wciąż nie odrywając od niej wzroku. - Ona wie, co robi.

- Kiedy pokazała mi pani list polecający od prokuratora generalnego, niewiele brakowało, a bym się przewrócił.

Zastępca naczelnika Foote Graham był równie rozbijający jak jego imię. Był całkowitym przeciwieństwem stereotypu okrutnika przedstawianego w licznych filmach o więzieniach. Miał łagodny uśmiech, był chudy jak szczapa i nosił okulary w złotej oprawce. Zachował się taktownie, nie zwracając uwagi na przybrudzony uniform pielęgniarki, w którym Barrie się zjawiała. Nie miała czasu się przebrać.

Podziękowała mu, że ją przyjął, choć nie była umówiona.

- Wyjechałam z Waszyngtonu w takim pośpiechu, że zabrakło czasu na uprzedzenie pana, że jadę.

Bill Yancey przetaił dla niej szlak. Wyraził zgodę na jej wyjazd do Missisipi i oddał do dyspozycji prywatny odrzutowiec. Na lotnisku w Jackson czekał na nią samochód i eskorta, która miała jej towarzyszyć do więzienia w Pearl. Foote Graham, choć nieco przestraszony koneksjami swego gościa, zachowywał się miło i zwyczajnie.

- Rozumiem, że pani wywiad z Charlene Walters to raczej nagląca kwestia? - spytał.

- Przykro mi, panie naczelniku, ale to informacja zastrzeżona.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić - pokręcił z niedowierzaniem głową. - Jednak skoro pani i prokurator generalny Yancey twierdzą, że to sprawa wagi państwowej, nie śmiem w to wątpić.

Poprowadził ją do drzwi, które otworzyła strażniczka w mundurze.

- Czeka na panią - powiedziała strażniczka. - Okropnie wściekła, że przerwano jej odpoczynek.

Więźniarka piła właśnie z puszki Dr. Peppera i rzeczywiście miała kwaśną minę, gdy Barrie i naczelnik do niej podeszli. Charlene Walters była drobną kobietą o kościstej, zapadniętej piersi i pałakowatych nogach. Białe włosy po trwałej tworzyły aureolę loczków wokół jej twarzy. Bystre czarne oczy i szybkie, gwałtowne ruchy przypominały Barrie wróbla.

Charlene obejrzała Barrie od stóp do głów i prychnęła szyderczo:

- Dużo czasu ci to zabrało.

Barrie wyciągnęła prawą rękę.

- Miło mi panią poznać, pani Walters.

Szalona Charlene uścisnęła jej dłoń, a potem zwróciła się do naczelnika protekcjonalnym tonem:

- Wybacz pan, ale mamy prywatne sprawy do omówienia.

Chociaż był to wyraźny zamach na jego autorytet, Foote Graham uśmiechnął się szeroko.

- Naturalnie, już mnie nie ma.

Podszedł do strażniczki stojącej w pewnej odległości. Barrie i Charlene zajęły krzesła po przeciwnych stronach małego stolika.

- Jak się dowiedziałam, przerwałam pani wypoczynek. Przepraszam.

- Masz papierosy?

Barrie pogrzebała w plecaku i wyciągnęła tę samą paczkę, którą kilka tygodni temu proponowała Vanessie Merritt. Charlene wyjęła jednego papierosa i włożyła między wąskie wargi. Barrie podała jej ogień, a potem spytała, czy Charlene będzie miała coś przeciw nagraniu wywiadu.

- Nie, jeśli zostawisz mi papierosy.

Barrie uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Kiedy sprawdziła magnetofon, zaczęła:

- Zostawiła pani kilka intrygujących wiadomości na mojej sekretarce automatycznej w WVUE.

- Myślałaś, że mam nierówno pod sufitem.

- Cóż, ja...

- Myślałaś, myślałaś. W przeciwnym razie zadzwoniłabyś do mnie.

Charlene była wymagającą partnerką, nie miała zamiaru tolerować ani jednego fałszywego kroku. Barrie zmieniła taktykę.

- Ma pani rację, pani Walters. Myślałam, że ma pani nierówno pod sufitem. Właściwie to jeszcze nie jestem pewna, czy się nie myliłam.

Charlene pochyliła się do przodu i mrugnęła filuternie.

- Tak zrobiłam, że uwierzyli. Że jestem kopnięta. Odnalazłam Jezusa zaraz po przybyciu tutaj, ale prawdziwe cuda zaczęły się, jak zwariowałam. Szalonym zawsze wszystko uchodzi na sucho. Zdziwiłabyś się co.

Charlene była szalona i bardzo sprytna.

- Pierwszym razem, gdy pani do mnie zadzwoniła - powiedziała Barrie - zostawiła pani wiadomość: „Już to kiedyś zrobił”. O kim pani mówiła?

- A jak myślisz, durna pało? O prezydencie, oczywiście. O Davidzie Malcombie Merrittcie. - Postukała w blat stołu połamanym, poźółkłym paznokciem. - Zabił tego chłopczyka, małego Roberta Rushtona, to jasne jak słońce.

- Dlaczego pani tak myśli?

- Jesteś głucha czy co? Nie słyszysz? Przecież ci mówiłam, że już to kiedyś zrobił. Zabił inne dziecko. Wiele lat temu.

Właśnie tę informację Barrie chciała usłyszeć. Po to przyjechała do Missisipi.

- Obawiam się, że musi mi pani podać więcej szczegółów.

Charlene wydmuchnęła chmurę dymu.

- David Merritt pracował dla senatora Armbrustera. Przystojny pistolet. Miał dziesiątki kobiet. Jedna z nich zaskoczyła. Nazywała się Becky Sturgis. Urodziła chłopaka, jak Merritt pojechał do Waszyngtonu. Kiedy wrócił, pokazała mu dzieciaka. Nie ucieszyło go to. Nie miał ochoty zostać tatusiem i mężusiem. Ale Becky postanowiła się za niego wydać i ciągle mu wierciła dziurę w brzuchu. Pewnej nocy, kiedy dziecko miało zaledwie kilka tygodni, przyszedł do jej przyczepy, żeby z nią skończyć. Zaczęli na siebie piekielnie wrzeszczeć. Wtedy dzieciak się rozbeczał i Merritt go zadusił. Może nie miał zamiaru go zabijać. Może tylko chciał uciszyć jego płacz. Ale gdy go zabił, to myślę, że sobie wykombinował, że musi zamknąć gębę świadkowi. Więc pobił Becky Sturgis tak, żeby ją śmiertelnie wystraszyć.

Charlene przeczyściła zatoki i pomachała papierosem jak miniaturową pałką.

- Nie ma usprawiedliwienia dla takiego traktowania kobiet. W żadnym razie. Nawet gdyby mi nie odebrali prawa głosowania, tylko z tego powodu nigdy bym nie oddała na niego głosu.

Opowieść była zbyt zadziwiająca, by ją od razu ogarnąć, więc Barrie zajęła się rozważaniem, jak nieprzewidywalne jest życie. Ta śmieszna, przypominająca ptaka siedemdziesięciosiedmioletnia kobieta, odsiadująca dożywocie za napad z bronią w rękę i morderstwo, mogłaby zmienić historię całego kraju...

Ale czy ktoś jej uwierzy? Czy ona, Barrie, sama w to uwierzyła? Charlene nie była wiarygodnym świadkiem. Mogła wymyślić całą tę historię dla zabicia więziennej nudy. Śmierć Roberta Rushtona Merritta zwróciła jej uwagę. Cykl Barrie o SIDS rozpałił wyobraźnię. Znalazła frajerkę gotową jej wysłuchać, reporterkę, która przejechała taki kawał drogi do Missisipi tylko po to, by z nią porozmawiać. Wymyślenie tej historii mogło być najlepszą rozrywką, jaką Charlene miała od lat.

A jeśli to prawda?

Barrie postanowiła postępować bardzo ostrożnie. Mogła to być bomba stulecia. Gdyby coś zepsuła, nie tylko poświęci własną przyszłość, ale również przyszłość kraju.

- To brzmi bardzo...

- Niewiarygodnie - dokończyła Charlene, gdy Barrie się zawahała. - Nie musisz mi wierzyć. Spytaj starego Clete'a Armbrustera.

- Senatora?

Charlene skrzywiła się z niechęcią.

- To największy kanciarz w historii świata, a to ci chyba coś mówi.

- Wie o Becky Sturgis?

- Czy wie? Do diabła, dziewczyno, a jak myślisz, kto ten problem załatwił? - zapytała Charlene. - Merritt poszedł do niego tej samej nocy. Senator wszystkim się zajął.

- Senator Armbruster jest człowiekiem wpływowym, ale nawet on nie mógłby tego załatwić - stwierdziła Barrie. - Nie było żadnego śledztwa?

- W kieszeni Armbrustera siedzieli wszyscy wyżsi urzędnicy z miasta i stanu - odrzekła Charlene, machając pogardliwie papierosem. - Poprosił o przysługę, i tyle. Becky i jej dzieciaczek nie mieli żadnego znaczenia dla starych kumpli z sądu.

Barrie z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Armbruster nie mógł być w to zamieszany. Nie pozwoliby Vanessie poślubić Davida Merritta, wiedząc, do czego ten człowiek jest zdolny...

- Na jakim ty świecie żyjesz? Oczywiście, że pozwolił jej go poślubić. Podobało mu się, że jego córka będzie Pierwszą Damą. - Charlene odchrząknęła i splunęła flegmą na podłogę. - To wszystko cholerne skurwysyny. Myślą, że mogą robić, co chcą, i ujdzie im to na sucho. Tacy jak ja i mój stary musieli zapłacić za swoje zbrodnie. Ale nie tacy jak Merritt czy Armbruster.

- Obawiam się, że ma pani rację - przyznała Barrie. - Jeśli ta historia jest prawdą, to chyba miała miejsce jakieś dwadzieścia lat temu, prawda? Armbruster z pewnością dobrze zatarł wszystkie ślady, także te, które mogłyby prowadzić do niego. Nie da się niczego udowodnić.

Charlene z całej siły uderzyła w stół. Barrie prawie podskoczyła z przestraszenia.

- Jesteś najgłupszą dziewczuchą, jaką kiedykolwiek Bóg stworzył. Czy myślisz, że wydawałabym tyle forsy na telefony do Waszyngtonu i narażała swój kark, gdybym nie miała dowodu?

Rozdział czterdziesty piąty

- Nie zasługujesz na to. - Bill Yancey pochylał się nad stołem i położył na gładkiej powierzchni dłonie. - Dostarcz nam dowodów, że prezydent udusił dziecko Vanessy i ją także próbował zabić, a sam unikniesz osądzenia.

Spencer Martin milczał jednak. Podczas przesłuchania cały czas zachowywał stoicki spokój i patrzył prosto przed siebie, jakby to wszystko w żaden sposób go nie dotyczyło.

Biuro zaśmiecały opakowania po posiłkach na wynos i plastikowe kubki po kawie. Po długiej nocy i dniu panowała atmosfera napięcia. Daily'ego mimo jego protestów odwieziono do hotelu. Towarzyszyło mu dwóch agentów FBI. Kazano im zostać i dbać o jego potrzeby aż do odwołania. William Yancey i Gray Bondurant spędzili cały dzień w biurze, z niepokojem oczekując wieści od Barrie.

Kiedy wreszcie zadzwoniła z więzienia w Missisipi i zrelacjonowała rozmowę z Charlene Walters, Yancey stwierdził:

- Nie posuniemy się dalej bez pomocy. Spencer Martin jest najbliżej.

Wydał polecenie sprowadzenia doradcy prezydenta na przesłuchanie. Spence wprawdzie przyjechał, ale nie chciał odpowiadać na pytania.

Jego uporczywe milczenie potwierdziło obawy Graya. Uprzedzał prokuratora generalnego, że miałyby więcej szczęścia, próbując wyciągnąć zeznania z główki kapusty. Okazało się, że miał rację.

- Mówiłem ci, że to się na nic nie zda - powiedział. - Właśnie dlatego Spence odrzucił propozycję sprowadzenia adwokata. Choćbyś go torturował, nie piśnie ani słówka na Davida Merritta.

Ale Yancey nie chciał się jeszcze poddać.

- Panie Martin, niektórzy z pańskich byłych podwładnych są gotowi zeznawać przeciw panu, by uniknąć sądu. Był pan zamieszany w kilka poważnych przestępstw, za które można spędzić wiele lat w więzieniu federalnym.

Nic.

- Howard Fripp. Czy to nazwisko niczego panu nie przypomina, panie Martin? Powinno. Jest pan podejrzany o zamordowanie tego człowieka.

Spence nawet nie drgnął.

- Nic ci nie powie - powtórzył Gray. - Nawet nie przyzna się, że strzelałem do niego i zamknąłem go w piwnicy. Gdyby to zrobił, musiałby ci wyjaśnić, po co przyjechał. Marnujesz tylko czas.

Yancey przesunął dłonią po łysiejącej głowie.

- Bardzo dobrze, panie Martin. Moja oferta będzie ważną jeszcze trzydzieści sekund. Jeśli pan ją odrzuci, stanie pan przed komisją Kongresu. Takiego śledztwa jeszcze nie było w historii Ameryki.

Spencer Martin wstał.

- Gdybyś miał jakikolwiek dowód, że popełniłem przestępstwo, już dawno zostałbym aresztowany. Nie próbuj więcej stosować wobec mnie takiej taktyki, Bill. Nie jest godna żadnego z nas.

Yancey wymamrotał jakieś przekleństwo.

Spence rzucił mu szyderczy uśmiech, a potem ruszył w kierunku drzwi.

- Yancey, nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zamienię z nim słówko na osobności? - spytał Gray.

Prokuratorowi generalnemu wyraźnie nie spodobał się ten pomysł, ale się zgodził. Gray wyszedł za Spence'em na korytarz.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, zniknęła nonszalancja Martina. Chwył Gray za gardło i pchnął go na ścianę. Jego twarz poczerwieniała i wykrzywiła się z wściekłości.

- Mam ochotę cię zabić za zamknięcie mnie w tej parszywej piwnicy.

Gray uwolnił się z uścisku rąk Spence'a i odepchnął go od siebie.

- Ale tego nie zrobisz. Byłoby to cholernie głupie, a nikt jeszcze nie podejrzewał cię o głupotę, Spence.

Przynajmniej do tej pory.

W spojrzeniu Spence'a pojawił się na moment błysk ciekawości, zaraz jednak powrócił jego zwykły cynizm.

- Kim jesteś? Dobrym gliną?

Gray wzruszył ramionami.

- Myśl sobie, co chcesz. Ale uważam, że powinieneś przyjąć propozycję Yanceya.

- Naprawdę sądzisz, że on czy ktokolwiek inny może doprowadzić do upadku administrację Davida? - Spence zachichotał. - To się nigdy nie stanie, Gray. Wyjdziecie wszyscy na głupców. Stałeś po niewłaściwej stronie, stary. Byliśmy wyjątkowo ostrożni. Na Davida nie ma haka. Wiesz o tym.

- Czy jego administracja upadnie, czy nie, to dla ciebie nie ma żadnego znaczenia, Spence. I tak się tego nie dowiesz, bo od dawna będziesz trupem. - Szyderczy uśmiech Spence'a znikł. - Wreszcie zaczynasz pojmować, Spence? Brałeś udział w realizacji zbrodniczych planów Davida wobec Vanessy, a pewnie i wobec dziecka. Dlatego póki ty żyjesz, można znaleźć na niego haka. Kiedy przyjdzie mu to do głowy, już po tobie. Znajdzie sobie następnego Raya Garretta. Pamiętasz go? Taki młody, sympatyczny komandos z piechoty morskiej, któremu wydano rozkaz zabicia mnie, gdy zacząłem sprawiać kłopoty. Jesteś za bardzo pewny siebie. Nie widzisz, w jak groźnym znalazłeś się położeniu? Propozycja Yanceya dawała ci jakąś szansę.

- Odpieprz się.

- Doskonale, Spence. Tak właśnie zachowuje się każdy durny palant, który nie wie, jak się bronić. -

Gray otworzył drzwi do biura i rzucił jeszcze przez ramię: - Oglądaj się za siebie, stary.

Barrie wróciła do Waszyngtonu następnego dnia po południu. Dużo wydarzyło się w czasie jej nieobecności. Na pierwszej stronie *Washington Post* był artykuł na temat próby popełnienia samobójstwa przez doktora George'a Allana. Zapadł w śpiączkę, żona czuwała przy jego łóżku.

- Czemu ukrywano to przez dwa dni? - spytała Barrie.

- Z szacunku dla jego rodziny - powiedział Gray. - Tak przynajmniej twierdził Neely.

Na koszt rządu federalnego zamieszkali w wygodnym hotelowym apartamencie. Przed drzwiami stali policjanci. Bill Yancey rozmawiał przez telefon w przyległym pokoju. Co jakiś czas docierały do nich fragmenty rozmów.

- Biedna Amanda. Jakie to musiało być dla niej straszne. Znaleźć go w takim stanie...

- Obudził ją strzał, więc wbiegła do jego gabinetu. Gdyby tego nie zrobiła, umarłby na biurku.

- Ze względu na nią mam nadzieję, że Allan wyjdzie z tego, a jeśli wyjdzie, to nie jako roślina.

- W każdym razie to bardzo trudne chwile dla niej i chłopców - stwierdził Gray. - Co ten sukinsyn sobie myślał?

- Chyba był w rozpacz i nie wiedział, co robić.

- Zawsze jest jakieś inne wyjście, na miłość boską - odparł gniewnie. - Yancey zapewniłby mu nietykalność, gdyby zgodził się zeznawać.

- Jeśli doktor przeżyje, to jestem pewna, że Bill właśnie tak postąpi - powiedziała Barrie.

Dostrzegła smutek w oczach Graya i przypomniała sobie, że stracił oboje rodziców, kiedy był niewiele starszy od synów Allana. Wyglądał blado i mizernie. Zmęczony, nie ogolony i zirytowany. Zresztą wszyscy byli wykończeni. Ostatnie czterdzieści osiem godzin obfitowało w dramatyczne wydarzenia.

Ale przynajmniej Daily'emu nic nie groziło i nikt mu nie przeszkadzał. Zamieszkał w luksusowym apartamencie w tym samym hotelu. Kiedy Barrie poszła go odwiedzić, narzekał, że nie pozwalają mu wrócić do domu, ale sprawiało mu przyjemność oglądanie telewizji kablowej, obsługa przynosząca posiłki do pokoju i towarzystwo dwóch młodych agentów FBI, wyznaczonych do jego ochrony, którzy cierpliwie wysłuchiwali jego opowieści o latach spędzonych w redakcji wiadomości.

Barrie zerknęła na egzemplarz *Washington Post* leżący na stoliczku do kawy i zapytała:

- Czy Spence nie obraziłby się, gdyby wiedział, że tak mało o nim napisano?

- Raczej byłby zadowolony - odparł Gray. - Zawsze chciał uchodzić za osobę bardzo tajemniczą. Im mniej o nim wiadano, tym bardziej mu się to podobało.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Barrie raz jeszcze przebiegła wzrokiem krótką notatkę.

- Próbowałem go ostrzec, ale nie chciał słuchać. Wiadomo było, że David prędzej czy później postanowi się go pozbyć. Zdziwiał mnie tylko szybkość i celność uderzenia.

- Naprawdę myślisz, że to Merritt zorganizował ten napad?

- Napad? - Gray rzucił jej szydercze spojrzenie. - Spencer zaatakowało przed jego mieszkaniem dwóch facetów, którym brakowało tylko tatuażu FBI na czole. Jaki bandyta wybiera sobie ofiarę ze świecznika? Spence zawsze nosił przy sobie broń. Poza nożem miał pistolet w kaburze przy kostce. Napastnicy świetnie o tym wiedzieli. Nie mieli żadnego kłopotu z rozbrojeniem Spence'a.

Barrie nie wątpiła w bezwzględność Davida Merritta po tym wszystkim, czego dowiedziała się w Missisipi. Bez mrugnięcia powieką mógł kazać zabić najbardziej lojalnego przyjaciela. Odruchowo skuliła ramiona.

- My też jesteśmy na jego czarnej liście, prawda?

- Mamy to jak w banku.

- A co myślisz o tym?

Wskazała trzeci tekst na pierwszej stronie. Był to wywiad z Vanessą. Pierwsza Dama oznajmiała w nim, że to właśnie ona sama namówiła swoich przyjaciół, Barrie Travis i Graya Bonduranta, by zabrali ją z Tabor House. Musieli to zrobić po kryjomu ze względu na ściśle przestrzegany w szpitalu zakaz odwiedzin. Tak więc oskarżanie ich o porwanie jest absolutnie bezpodstawne. Travis i Bondurant zawieźli ją do ojca, który czekał w helikopterze. Czy to przypomina porwanie?

- Autorem oświadczenia Vanessy jest na pewno Clete.

Wyobrażam sobie minę Davida - powiedział Gray. - Najbardziej by mu odpowiadało, gdyby nas zastrzelono w trakcie ucieczki. Ale teraz nie ma wyboru, musi poprzeć wersję Vanessy i Clete'a.

- Na miejscu czytelników *Washington Post* nie uwierzyłabym w ani jedno pochlebne słowo na nasz temat. Nie po incydencie w Shinlin.

Gray wzruszył ramionami.

- To nie twój kłopot.

W tym momencie do pokoju wszedł prokurator generalny.

- Senator Armbruster chce się z tobą zobaczyć - zwrócił się do Barrie.

- Ze mną? - zdziwiła się.

- Po co? - spytał Gray podejrzliwie.

- Chce udzielić wywiadu. Tylko jej. Powiedział, że jej się to należy.

- Wywiad? Na jaki temat? - zainteresowała się Barrie. - Co to może być?

- Nie podniecaj się! - mruknął Gray. - Nigdzie nie pójdziesz.

- Oczywiście, że pójde! Nie mogę przepuścić takiej okazji. Wywiad na wyłączność!

- Już jeden masz.

- To nie znaczy, że nie mogę mieć następnego.

Gray odwrócił się do Yanceya.

- Odkąd Barrie wróciła, tylko rozmawiasz przez telefon, a my tu siedzimy i puszczamy wiatry w stołek. Dlaczego nic nie robimy? Z tym, co masz, można już wszystko skończyć. Wkroczyć do Gabinetu Ovalnego, zakuj drania w kajdany, przeczytaj mu jego prawa i załatw to wreszcie, do diabła.

- To nie takie proste. Mówimy o prezydencie Stanów Zjednoczonych.

- Wiem, o kim mówimy - warknął Gray. - O mordercy.

- Uspokój się! - krzyknął w odpowiedzi Yancey. Po chwili odezwał się już spokojniejszym tonem: - Wszyscy rozumiemy, że pragniesz pomścić Vanessę i jej dziecko. Jeśli prezydent jest winny zarzucanych mu zbrodni... a wszystko na to wskazuje - dodał, gdy spostrzegł, że Gray chce mu przerwać - powinniśmy postępować niezwykle ostrożnie. Jeśli popełnimy choćby jeden błąd, wszystko ujdzie mu na sucho. Musimy poczekać na wyniki badań laboratoryjnych - powiedział i dodał: - Nie widzę nic złego w rozmowie Barrie z Armbrusterem.

- A ja widzę - oświadczył ze złością Gray. - Przecież on jest takim samym zbrodniarzem jak David. Słyszałeś, co powiedziała ta Walters. Lista zarzutów wobec Clete'a jest bardzo długa. Barrie może znaleźć się w pułapce.

Prokurator generalny pokręcił głową.

- Armbruster powiedział, że dziś po południu pani Merritt wychodzi ze szpitala i będzie razem z nim, więc chyba nie planuje nic strasznego. - Zwrócił się do Barrie: - Rozumiem, że idziesz?

- Naturalnie.

- Gdzie i kiedy to ma być? - spytał Gray.

- W domu senatora. O ósmej.

Rozdział czterdziesty szósty

Punktualnie o ósmej zadzwoniła do drzwi domu Armbrustera. Otworzył jej agent Tajnej Służby, który uprzejmie poprosił o pokazanie plecaka. Przeszukał go, zwrócił i przesunął wzdłuż ciała Barrie wykrywaczem metali.

Senator Armbruster przyszedł ją powitać. Ujął jej rękę w obie dłonie i powiedział wylewnie:

- Mam nadzieję, że dziś wieczorem wyjaśnimy sobie wszystkie nieporozumienia, panno Travis. Już rozmawiałem z pani byłym pracodawcą w WVUE. Spełniając moją osobistą prośbę, zgodził się panią ponownie zatrudnić. Może pani odzyskać swoje stanowisko.

- Dziękuję panu, senatorze, ale już nie chcę pracować w WVUE.

Uśmiechnął się domyślnie.

- Szczerze mówiąc, wcale się pani nie dziwię. Po dzisiejszym wieczorze będzie pani mogła sprzedać swój materiał temu, kto da najwięcej.

- Bardzo mnie ciekawi temat wywiadu, który mi pan obiecał.

- Zatem nie będę trzymał pani dłużej w niepewności.

Zaprowadził ją do dużego, umeblowanego ze smakiem salonu. Na marmurowym kominku płonął wesoły ogień. Vanessa w koronkowej sukni spoczywała na sofie. Nadal była podłączona do kroplówki.

Przy ogniu, opierając ramię na gzymsie kominka, stał prezydent Stanów Zjednoczonych.

Nikt nie wspominał Barrie, że tu będzie. Przed domem nie czekała kolumna samochodów ani motocykliści. Spozobregła przy wejściu tylko dwóch agentów Tajnej Służby. Sądziła, że strzegą Vanessy. Z trudem udało jej się ukryć przerażenie.

- Witam, panno Travis.

- Dobry wieczór, panie prezydencie - odpowiedziała, ledwie słysząc własne słowa, zagłuszone łomotem serca.

- Witaj, Barrie.

Spojrzała na Vanesę.

- Pani Merritt...

Vanessa uśmiechnęła się blado.

- Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, możesz mi mówić po imieniu.

- Dziękuję.

Zajęła wskazane przez senatora miejsce. Tkwiła przed nimi trojgiem jak świadek przed sądem lub człowiek stojący przed plutonem egzekucyjnym.

- Wydaje mi się, że czujesz się dużo lepiej niż wtedy, gdy widziałam cię ostatnim razem - zauważyła, zwracając się do Vanessy.

- Rzeczywiście czuję się lepiej. Jak się ma Gray?

Barrie zerknęła na Merritta, ale nie zmienił wyrazu twarzy.

- Wstrząsnęło nim to, co się przytrafiło zeszłej nocy Spencerowi Martinowi - wyjaśniła Vanessa.
- Tak jak nami wszystkimi - wtrącił Armbruster z nieszczerym żalem.
- Gray przesyła pozdrowienia - powiedziała Barrie do Vanessy.
- Nie wiem, jak wam dziękować za zabranie mnie z Tabor House. Na pewno bym tam umarła pod opieką George'a.

Barrie poczuła zawrót głowy. Co tu się działo? Czyżby była Alicją, która przeszła na drugą stronę lustra? Od przekroczenia progu domu senatora Armbrustera miała wrażenie, że znalazła się w jakimś nierealnym świecie. Chociaż dialog tych trojga pozornie miał sens, brzmiał jak szyfr. Vanessa z pewnością nie wierzyła, że George Allan sam postanowił ją zabić.

Trzeba było jednak dalej prowadzić tę dziwną rozmowę.

- Dziękuję ci za wyjaśnienie sprawy porwania.
- Było to nieporozumienie, które należało wytłumaczyć.

Po tych słowach Vanessy zapadła cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwał senator.

- Co mogę pani podać? - zapytał.
- Dziękuję, nie będę nic piła. Tak naprawdę to chciałabym wrócić do interesów. Dlaczego mnie tu pan zaprosił?

- Wszyscy troje sądziliśmy, że jesteśmy to pani winni, panno Travis...

Widocznie to on miał mówić. Merritt poza powitaniem nie powiedział ani słowa, chociaż Barrie czuła jego uporczywe, nieprzyjazne spojrzenie.

- Jak już wcześniej powiedziałem - ciągnął Armbruster - chcemy wyjaśnić to nieszczęsne nieporozumienie. Ze względu na różne niechęci po obu stronach przynosimy gałązkę oliwną w postaci wywiadu na wyłączność.

- Na jaki temat?

Armbruster spojrzał na Davida, który z kolei popatrzył na Vanesę, a potem na Barrie.

- Vanessa i ja... rozwodzimy się.

Barrie była tak zdumiona, że nie wiedziała, co powiedzieć. Po chwili David dodał:

- Dalton Neely jutro w południe przekaże prasie moje oświadczenie, chociaż jeszcze nic o tym nie wie. Przeczyta mój list do obywateli amerykańskich. Dam pani jego kopię.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął kopertę i podał ją Barrie.

- Mogę przeczytać? - zapytała.

Skinął głową. Barrie otworzyła kopertę i wyjęła dwie kartki papieru z prezydencką pieczęcią. Pominęła cukierkowy początek, dotarła do najważniejszej części i zaczęła czytać na głos:

- „Śmierć naszego syna odcisnęła na nas straszliwe piętno. Obowiązki związane ze sprawowaniem tego urzędu przyczyniły się do pogłębienia kryzysu. Nie obwiniamy się nawzajem za rozpad małżeństwa, chociaż muszę przyjąć na swoje barki większą część odpowiedzialności. Wielokrotnie moje obowiązki publiczne kolidowały z powinnościami wobec rodziny. Moja żona jest niewiarygodnie cierpliwą i

wyrozumiała kobietą. Nikt inny nie wytrzymałby tak wiele i tak długo jak ona. Mam dla Vanessy Armbruster Merritt głęboki podziw i szacunek”.

Barrie przestała czytać i podniosła głowę. Zdawało się jej, że patrzy na trzy maski, zastygłe w doskonałym, wiecznym uśmiechu.

Wróciła do listu:

- „Vanessa i ja jesteśmy świadomi, że naród amerykański może czuć się rozczarowany i przygnębiony przebiegiem wypadków, ale nikt nie jest wolny od podobnych dylematów - doświadczają ich miliony rodzin na całym świecie. Prosimy jednak, by nie osądzano nas zbyt surowo i doceniono uczciwość, z jaką podchodzimy do naszych problemów. Idąc za przykładem mojego teścia, senatora Armbrustera, poświęciliśmy z Vanessą całe życie służbie publicznej. Zamierzamy nadal służyć wam na każdym polu, jakie nam wyznaczycie. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję teraz wsparcia jako wasz prezydent. Dziękuję. Podpisano: David Malcomb Merritt, prezydent Stanów Zjednoczonych”.

Barrie złożyła list i wsunęła go z powrotem do urzędowej koperty.

- Bardzo wymowny, panie prezydencie - powiedziała. A po chwili dodała: - I bardzo oszukańczy.

- Słucham...?

Wzięła głęboki oddech i skoczyła na głęboką wodę.

- Wcale nie przejmuję się pan tym rozwodem, panie prezydencie. Czuje pan ulgę. Jestem pewna, że to część układu, prawda? Układu zawartego między panem a senatorem Armbrusterem i Vanessą.

- To oburzające! - wybuchnął Armbruster. - Przeszła pani nawet samą siebie, młoda damo. Zaprosiliśmy tu panią...

- W nadziei, że kupicie moje milczenie za wywiad o rozwodzie w rodzinie. Przykro mi, senatorze, żadnego handlu. Ani układu, panie prezydencie. - Wstała i podeszła do sofy, na której leżała Vanessa. - Jak mogłaś się na to zgodzić - powiedziała, uderzając kopertą w otwartą dłoń - skoro on zabił twoje dziecko?

- Wezwę Tajną Służbę! - warknął senator.

- Nie, Clete - powiedział David, zatrzymując teścia przy drzwiach salonu. - Wyjaśnijmy to. Panna Travis od tygodni obrzuca mnie błotem, bez wątplenia pod wpływem Graya. Najwyższy czas, żeby usłyszała moją wersję tej historii. - Odwrócił się do Barrie i oświadczył: - Nie zabiłem Roberta Rushtona Merritta. Nie wiem, w jaki sposób doszła pani do tego śmiesznego i oszczerczego wniosku, ale myli się pani.

- Powiedziała mi o tym Vanessa. A po wypadkach ostatnich dni nie mam powodu jej nie wierzyć.

- Musiała pani błędnie wytłumaczyć sobie coś, co powiedziała w czasie, gdy była tak zrozpaczona, że nie mogła myśleć.

Barrie uklękła, tak by Vanessa spojrzała jej w oczy.

- Gdy skontaktowałaś się ze mną po raz pierwszy, czy byłaś w stanie depresji? A może się bałaś? Czy twój mąż udusił dziecko, kiedy byłaś w tym samym pokoju? Czy zobaczyłaś go przy łóżeczku, stojącego nad zwłokami z poduszką w ręku?

- Dziecko zmarło na SIDS - powiedział z naciskiem prezydent.

Ignorując tę uwagę, Barrie chwyciła Vanesę za rękę.

- Czy pozwolisz mu odejść wolno po tym, jak zamordował twoje dziecko i próbował również zamordować ciebie?

- Ostrzegam panią, panno Travis, jeszcze jedno słowo i...

- To twój ojciec namówił cię do tego układu, prawda? Czy to nie on zaproponował, żebyś zachowała milczenie w zamian za spokojny rozwód? Dlaczego cię do tego nakłaniał?

- Bo wie, że się boję - odparła cicho Vanessa. - Mam dość małżeństwa z Davidem.

- Zamilknij, Vanesso! - krzyknął David. - Nic jej nie mów, do cholery!

Barrie znowu zwróciła się do Vanessy:

- Jak sądzisz, dlaczego prezydent zgodził się na rozwód, który może zniweczyć jego szansę na drugą kadencję? Co go do tego zmusiło?

Spojrzenie wielkich niebieskich oczu Vanessy zawisło na twarzy Barrie.

- Nie... nie wiem.

- Ponieważ twój ojciec zagroził mu, że wyjawia jego straszny sekret, gdyby powiedział „nie”.

- Ostrzegam po raz ostatni...

- David, pozwól mi zawołać Tajną Służbę - nalegał Clete.

Barrie mówiła dalej:

- Twój ojciec wie, że zabito także inne dziecko, urodzone wiele lat temu przez dziewczynę, która się nazywała Becky Sturgis. Tamtego dziecka też nie chciano, więc twój mąż je zabił. A senator pomógł wszystko zatuszować.

Vanessa spojrzała na ojca.

- Tato? Czy to prawda?

- Oczywiście, że nie! Ta kobieta to wariatka, Vanesso. Wszyscy o tym wiedzą. Nie wolno ci wierzyć w ani jedno jej słowo.

- Nie możecie się z tego wyłgać, panowie - oświadczyła Barrie. - Nie pomoże uciszanie mnie. Wie o tym zbyt wiele osób.

- Akurat!

Reagując na gniewny okrzyk prezydenta, agenci Tajnej Służby otworzyli drzwi.

- Panie prezydencie...

Merritt niecierpliwym gestem kazał im wyjść.

- Wynoście się! - wrzasnął. - To prywatna sprawa!

- Kto tym razem wykona za pana brudną robotę, panie prezydencie? - spytała Barrie. - Doktor Allan próbował popełnić samobójstwo z powodu udziału w pańskiej zbrodni.

- Próbował popełnić samobójstwo z powodu własnej nieudolności. George to Barrie Travis medycyny, kompletny nieudacznik. Nawet nie udało mu się zastrzelić.

- A co ze Spencerem Martinem? - zapytała Barrie. - Kazał go pan zeszłej nocy zabić, ponieważ wiedział o zbyt wielu tajemnicach. Czy był w tym samym pokoju, gdy zadusił pan dziecko?

- Kazałeś zabić Spence'a? - krzyknęła z niedowierzaniem Vanessa.

David rzucił jej jadowite spojrzenie, a potem zwrócił się do Barrie:

- Nie zabiłem dziecka. Ile razy mam to powtarzać? Gdyby Spence tu był, powiedziałby to samo. Nie zabiłem go. To ona! - zawołał, wskazując palcem żonę.

Vanessa rozplakała się z oburzenia.

- Pani Merritt nie zabiła swojego dziecka - zaprotestowała Barrie. - Tak jak Becky Sturgis nie zabiła swojego synka. To pan go udusił.

- Och, mój Boże. Mój Boże! - łkała Vanessa.

- To prawda - zapewniła ją Barrie. - A kiedy to zrobił, bezlitośnie pobił tę młodą kobietę. Teraz jednak zastosował znacznie subtelniejszą taktykę.

Vanessa ponownie zwróciła się do ojca:

- Czy to prawda, tato? Wiedziałeś o tym?

Senator, nagle postarzały o wiele lat, cofnął się i osunął ciężko na fotel. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że Barrie mówi prawdę.

Vanessie wydarł się z piersi krzyk rozpaczny.

- To prawda! Och, Boże! Dlaczego pozwoliłeś mi za niego wyjść? Dlaczego zachęcałeś, żebym urodziła mu dziecko? - Złkała. - Tak bardzo chciałam mieć dziecko. - Spojrzała na męża z odrazą. - Jak mogłeś go zabić? Był taki bezbronny, taki słodki...

Merritt roześmiał się chrapliwie.

- Jesteś sentymentalną idiotką, Vanesso. Zakłamaną idiotką. Dziecko doprowadzało cię do szału. Nie mogłaś znieść jego płaczu. Nie potrafiłaś się nim zająć, bo niczym nie potrafisz się zająć. Nie kochałaś tego dziecka. Jesteś śmieszna, gdy teraz tak się zachowujesz. Gray spuścił się obrzydliwym świństwem, które trzeba było usunąć. Oszczędziłoby to nam obojgu mnóstwa kłopotów.

Ohyda słów prezydenta oburzyła Barrie. Armbruster wstrząśnięty zaniemówił.

Tylko Vanessa zareagowała. Z płonącymi oczami zerwała się na równe nogi. Zachwiała się lekko, ale przytrzymała się oparcia sofy.

- Skurwysynu, to nie był Gray, lecz Spence - powiedziała.

- Spence?! - krzyknął Merritt.

Spence? Barrie zakręciło się w głowie.

Zapominając o igle kroplówki wbitej w ramię, Vanessa ruszyła w kierunku męża, ciągnąc stojak za sobą.

- Tak, Spence! Spence! - Wymawiała to imię, jakby nim spluwała. - Myślałeś, że to Gray jest moim kochankiem, ponieważ chciałeś tak myśleć. Człowiek o takim poczuciu obowiązku i takiej moralności sypiający z żoną najlepszego przyjaciela! - Roześmiała się szyderczo. - Wracaj do rzeczywistości, Davidzie. Gray był dla mnie miły, bo wiedział o twoich romansach. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że to Spence pieprzył twoją żonę - mówiła dalej triumfalnym tonem, szczęśliwa, że pozbawia męża złudzeń co do człowieka, któremu tak ufał. - Ale naprawdę tak było. Chciałam, żeby mnie pieprzył. Tyle że zapłaciłam za to. Nie był lepszy od ciebie. Zimny sukinsyn bez serca, tak i jak ty. Ucieszył się, że dziecko umarło. - Głos jej się załamał. - Spence go nie chciał i to doprowadziło mnie do ostatecznej rozpaczy. Ale przynajmniej mój syn nie miał z tobą nic wspólnego.

Merritt uderzył ją w twarz.

Armbruster zerwał się z fotela i rycząc jak lew rzucił się na swego zięcia. Prezydent bez zbyteńnego wysiłku odsunął go na bok.

- Jesteś śmieszny. Clete - powiedział i roześmiał się głośno. - Nie masz nade mną żadnej władzy. Nie masz dość siły, by mnie do czegokolwiek zmusić.

Potem popatrzył na żonę.

- Zmieniłem zdanie co do rozwodu, Vanesso. Nie co do samego rozstania, ale co do powodu. Najwyższy czas, żeby naród amerykański się dowiedział, jaką suką jest jego ulubienica... A co do ciebie - zwrócił się do Barrie - jeśli wiesz, co naprawdę dla ciebie dobre, to się ode mnie odpieprzysz.

Podszedł do drzwi i otworzył je, zamierzając wyjść.

Za drzwiami stał Gray Bondurant z prokuratorem generalnym Yanceyem i falangą agentów federalnych.

- Panie prezydencie, ma pan prawo odmówić...

- Co ty tu do diabła robisz, Bill?

Gray odepchnął Yanceya i Merritta i pochylił się nad dwiema kobietami.

- Dobrze się czujesz?

Barrie tuliła szlochającą Vanessę do piersi. Pokiwała głową.

- Nic jej nie będzie.

- Co z tobą?

- W porządku. Tylko jestem trochę roztrzęsiona. Merritt miał taką minę, jakby chciał mnie zabić gołymi rękami.

- Pierwszy bym go zabił - syknął Gray. Patrzył przez chwilę na Barrie, a potem odwrócił się w stronę pozostałych.

Prezydent nie zamierzał dać się aresztować. Rzucił się jak szalony i wykrzykiwał obelgi pod adresem Yanceya, który z kamienną twarzą odczytywał mu jego prawa.

Potem zaczął wrzeszczeć, że to Vanessa zabiła ich syna, a on tylko próbował ją ochronić.

- Uduśiła go. To ona, nie ja. To ona jest szalona.

- Ostrzegam pana, żeby już nic pan nie mówił, panie prezydencie - przerwał mu Yancey. - Jest pan zamieszany w inną zbrodnię popełnioną w Missisipi.

- Nie wiem, o czym mówisz. Clete! Clete! Powiedz im, że Vanessa jest chora.

Armbruster otworzył usta, ale zawiódł go głos. Próbował wypowiedzieć jakieś słowa, jednak bezskutecznie.

- Senator Armbruster otrzyma szansę złożenia zeznań - zapewnił Merritta Yancey. - Jego zeznanie będzie bardzo cenne, ponieważ był naocznym świadkiem.

- Nikogo nie było w dzieciennym pokoju oprócz Spence'a, Vanessy i mnie. Spence nie żyje, a ona kłamie.

- Nie mówię o śmierci Roberta Rushtona Merritta - wyjaśnił Yancey. - Chodzi o morderstwo w Missisipi.

W końcu słowa prokuratora generalnego dotarły do otumanionego wściekłością mózgu Davida Merritta. Dłuższą chwilę mierzył się wzrokiem z Yanceyem, a potem odwrócił się do Clete'a.

Clete patrzył na człowieka, którego stworzył i zniszczył, płacąc przy tym straszliwą cenę.

Merritt przymrużył oczy.

- Ty wredny skurwysynu - wysyczał.

Wywiad na wyłączność

- Senator Ambruster stał tam, kiedy odzyskałam przytomność.

Ciche studio telewizyjne wypełniał łagodny głos Becky Sturgis. Ludzie z obsługi technicznej otoczyli kamery. Byli pochłonięci opowieścią kobiety tak samo jak miliony ludzi na całym świecie oglądających ten program. Becky wpatrywała się we własne dłonie leżące na kolanach i zaciśnięte w pięści.

- Pamiętam, że kiedy się ocknęłam, miałam nadzieję, że budzę się z koszmarne snu, ale była to rzeczywistość. Moje dziecko nie żyło. Jego ciało wciąż leżało na podłodze tam, gdzie rzucił je David. Wszędzie była krew. Chyba moja. David bił mnie bardzo mocno.

- David Merritt? Prezydent?

- Tak, proszę pani. Tylko że wtedy nie był jeszcze prezydentem - odparła.

Na głowie miała szal, zakrywający trwale uszkodzenie czaszki i bliznę po niestarannym zszyciu skóry. Wstydziła się swego oszpececia. Kiedy Barrie spotkała ją po raz pierwszy, była ubrana w więzienny kombinezon. Dziś wieczorem włożyła prostą suknię.

- Nie pamiętam, co było po pierwszym uderzeniu. Kiedy się ocknęłam, senator Ambruster klęczał obok mnie i szukał pulsu na szyi. Zdziwił się, że jeszcze żyję, bo David powiedział mu, że umarłam.

- Powiedział również senatorowi Ambrusterowi, że to pani zabiła dziecko.

- Nie zabiłam - zaprzeczyła spokojnie. - Zrobił to David. Powiedziałam senatorowi prawdę. Był bardzo serdeczny. Mówił mi, żebym się nie martwiła, bo on się wszystkim zajmie.

- Co zrobił?

- Wezwał lekarza, który przyjechał do przyczepy, zszyl mi głowę i dał zastrzyk przeciwbólowy.

- Zabrano panią do szpitala?

- Nie, proszę pani.

- Czy wezwano policję?

- Senator Ambruster zadzwonił do biura szeryfa. Kiedy przyjechali policjanci... - Becky zaczęła płakać, więc Barrie nie naciskała. Dała jej czas na zapanowanie nad sobą. Po chwili kobieta podjęła: - Senator Ambruster ich okłamał. Powiedział, że zabiłam swoje dziecko i kazał im mnie aresztować. Zabrali mnie do miasta i zaczęli przesłuchiwać. Chcieli, żebym podpisała zeznanie, w którym napisali, że dopuściłam się nieumyślnego zabójstwa. Odmówiłam.

- A potem pani podpisała.

- Tak, proszę pani. Tylko po to, żeby zostawili mnie w spokoju. Cały czas okropnie bolała mnie głowa. Ciągłe wymiotowałam. Byłam bardzo chora. Dlatego podpisałam dokument, że zabiłam moje dziecko. Ale nie zrobiłam tego. Zabił je David Merritt i wyszedł myśląc, że mnie również zabił.

Z niewielką pomocą Barrie Becky Sturgis przedstawiła publiczności ciąg dalszy swojej tragicznej historii. Po kilku dniach sędzia skazał Becky na dożywotnie więzienie. Przewieziono ją z więzienia lokalnego do stanowego i tam pozostawała aż do czasu, gdy przed dwoma dniami Barrie dowiedziała się

o jej istnieniu od Charlene Walters. Prokurator generalny Yancey zwrócił się do władz Missisipi o przewiezienie jej do Waszyngtonu.

- Jak pani myśli - spytała Barrie - czy senator uwierzył Davidowi Merrittowi? Czy pani zdaniem senator naprawdę był przekonany, że służy sprawiedliwości, posyłając panią do więzienia?

- Nie wiem - odparła uśmiechem Becky. - Jednak podejrzewam, że wystawił mnie, żeby David nie wpadł w kłopoty.

- Czy wiedziała pani, że David Merritt przez te wszystkie lata wierzył, że pani nie żyje?

- Dowiedziałam się o tym dopiero wczoraj. Widocznie senator jego też oszukał.

Barrie z trudem powstrzymała się, by nie powiedzieć głośno, że senator trzymał tę kobietę w rezerwie na wypadek, gdyby musiał użyć jej kiedyś jako środka perswazji przeciw zięciowi. Ale ona odkryła Becky wcześniej, nim Armbruster uświadomił sobie, że jej potrzebuje.

- Przez cały czas siedziała pani w więzieniu, panno Sturgis?

- Tak, proszę pani. Dwukrotnie odmówiono mi zwolnienia warunkowego.

- Dlaczego? W raportach napisano, że jest pani wyjątkowo zdyscyplinowaną więźniarką.

- Nie wiem dlaczego.

Barrie przeciągnęła ciszę, by widownia sama doszła do oczywistego wniosku: Armbruster dopilnował, żeby Becky Sturgis nigdy nie zwolniono z więzienia.

- Kilka lat temu mieszkała pani w jednej celi z Charlene Walters. Opowiedziała jej pani wszystko.

Becky Sturgis skinęła głową.

- To było już wtedy, gdy David został prezydentem. Początkowo Charlene mi nie wierzyła, myślała, że bujam. Ale kiedy dziecko Davida umarło w Białym Domu, zaczęła sądzić, że być może powiedziałam jej prawdę. A całkiem uwierzyła, gdy obejrzała pani cykl o SIDS. Doszła do wniosku, że Robert Rushton Merritt był jednym z tych zamordowanych dzieci, których śmierć zrzucano na SIDS.

- Panno Sturgis, będzie to najtrudniejsze pytanie, jakie dziś pani zadam... Jestem pewna, że wszyscy chcą się dowiedzieć, dlaczego pani nie ujawniła prawdy. Przez tyle lat siedziała pani w więzieniu i nie powiedziała nikomu, że została niewinnie osądzona i zmuszona do podpisania fałszywych zeznań?

Becky wzruszyła ramionami, jakby godząc się z niesprawiedliwością życia.

- Nikogo to nie obeszło, kiedy zniknęłam. Nikt mnie nigdy nie szukał. Nie mieszkałam zbyt długo w tym mieście. Chyba ludzie pomyśleli, że wyjechałam tak, jak przyjechałam. Nie mam rodziny. Komu miałam o wszystkim opowiedzieć?

- Nie miała pani prawnika?

- Miałam, proszę pani. Wyznaczyli mi kogoś tamtej nocy w biurze szeryfa, ale to właśnie on mnie namawiał, żebym podpisała zeznanie. Mówił, że zmienię zarzut na morderstwo, jeśli nie przyznam się do nieumyślnego zabójstwa. Powtarzał, że w procesie o morderstwo mogę przegrać i dostanę karę śmierci. Poza tym byłam bardzo długo chora. Miewałam takie bóle głowy, że wielokrotnie przez dłuższy czas leżałam w więziennym szpitalu. Czasem traciłam pamięć i nie mogłam sobie przypomnieć, co robiłam.

Dopiero parę lat temu poczułam, że to mija. Wtedy zaczęłam pisać listy do tego prawnika, ale odpowiedział tylko na kilka, a potem w ogóle przestał odpowiadać. Kiedy próbowałam porozumieć się z nim przez telefon, mówili mi, że go nie ma. Ani razu nie odzwoił. Pewnego dnia przyjechał do więzienia na widzenie inny prawnik. Powiedział, że tamten umarł i mam im więcej nie zawracać głowy. Gdybym nie przestała, to Armbruster już się postara, żeby mi się odechciało. Wtedy David był już w Kongresie. Ciągnięcie tego nie miało sensu. Czy ktoś by mi uwierzył?

- To dobre pytanie, panno Sturgis. Dlaczego mielibyśmy pani wierzyć? Jaki ma pani dowód, że David Merritt udusił pani dziecko, pobił panią i zostawił bez pomocy?

- Żadnego. Ale mogę dowieść, że był ojcem mojego dziecka - odparła Becky z dumą. - W dniu, w którym umarło, obciąłam mu loczek i wyrównałam paznokietki. Trzymałam je przez te wszystkie lata w małym tekturowym pudełku. Dostał je pan Yancey. Powiedział, że wystarczą do przeprowadzenia testów, które dowiodą, czy David był ojcem dziecka. Nie chciałam ich dać, bo to wszystko, co mi pozostało po moim dziecku, ale pan Yancey obiecał, że zaraz mi je odda, gdy tylko skończą testy w laboratorium. Ludzie mogą myśleć, że kłamie, ale moje dziecko powie im prawdę.

Barrie nie potrafiłaby sobie wyobrazić odpowiedniejszego zakończenia wywiadu.

- Dziękuję pani, panno Sturgis - powiedziała.

Odwróciła się do kamery, który podjechała do zbliżenia twarzy.

- Według prokuratora generalnego Yanceya wstępne testy DNA włosów i paznokci wykazały, że ojcem syna Becky Sturgis był David Merritt. Ten fakt powinien stać się punktem wyjścia rewizji wyroku sprzed lat. Wiadomo już, że zostanie przeprowadzone ponowne śledztwo. Jeszcze nie ustalono, czy David Merritt będzie sądzony za morderstwo, chociaż jemu i senatorowi Armbrusterowi już zarzuca się utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Senator znajduje się w areszcie domowym. Dzisiejszego popołudnia złożył oficjalną rezygnację. Prezydent Pietsch, zaprzysiężony po tym, jak Kongres postawił w stan oskarżenia Davida Merritta, zażądał jego odejścia. Były prezydent również znajduje się w areszcie w Blair House, gdzie pozostanie do czasu, aż prokurator generalny Yancey zorganizuje przeprowadzenie dwóch dochodzeń: jednego w sprawie przestępstw popełnionych w stanie Missisipi i drugiego, wyjaśniającego okoliczności śmierci Roberta Rushtona Merritta. Jeszcze zbyt wcześnie na domysły, jak zakończy się ta niewiarygodna historia. W przeszłości naszego narodu zdarzało się, że prezydenci wywoływali skandale, ale żaden nie był podobny do obecnego. Nie ma znaczenia, czy Davidowi Merrittowi udowodni się popełnienie zarzucanych mu czynów. Wiadomo na pewno, że uciekł z miejsca przestępstwa w Missisipi, by uniknąć złożenia zeznań i osądzenia. Jest to przestępstwo federalne i wystarczy, żeby zakończyć jego rządy jako prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mówiła Barrie Travis. Dobranoc.

- Cześć. Wejdz. - Barrie odsunęła się na bok i wpuściła Graya do środka hotelowego apartamentu, w którym się na jakiś czas zatrzymała.

- Dziękuję. Jestem zaszczycony, że mogę przebywać z tobą w jednym pokoju. Zdobyłaś rozgłos.

- Moja sława nie zrobiła wrażenia na obsłudze hotelowej. Niosą mi kanapkę już całe wieki. - Zerknęła na zegarek. - Czterdzieści minut i nic. A ja umieram z głodu.

- Światło się popsulo?

- Nie. Po prostu tak jest przytulniej.

W apartamencie panował mrok, rozświetlany tylko przez lampę przy oknie. Rozsunięte zasłony ukazywały widok stolicy nocą.

Barrie właśnie wyszła spod gorącego prysznica. Otułiła się od stóp do głów w gruby biały frotowy szlafrok. Wisiał w łazience z pozdrowieniami od dyrekcji hotelu. Miała jeszcze mokre włosy, założone za uszy.

- Obejrzałem twój wywiad - rzucił Gray od niechcienia.

Spojrzała na niego pytająco, wstrzymując oddech,

- Był dobry, Barrie.

Od pochwalnego uśmiechu Graya zrobiło się jej ciepło na sercu, ale zbagatelizowała swój sukces:

- To nie moja zasługa. Opowieść Becky mówiła sama za siebie.

- Gdyby nie ty, nie byłoby tej opowieści.

- Nie byłoby jej, gdyby nie Merritt i Armbruster. Nie sprawiało mi przyjemności słuchanie tego, co Becky Sturgis miała światu do opowiedzenia.

- Gdzie ona jest teraz?

- W hotelu. Bill wyznaczył jej dwie opiekunki. Jutro wraca do więzienia i będzie musiała tam zostać do rewizji wyroku.

- Wywiad był tak wzruszający, że społeczeństwo z pewnością zażąda jej uwolnienia.

- W najgorszym razie będzie miała proces z udziałem ławy przysięgłych. Będę zdumiona, jeśli ją skazaą. A jeśli skazaą, to na okres, który już i tak odsiedziała w więzieniu.

Po chwili milczenia Gray zapytał:

- Co zrobiło CNN, żeby cię zdobyć?

- Przebili wszystkie oferty. Co mogę jeszcze dodać? - powiedziała uśmiechając się łobuzersko. - Można mnie kupić.

- Oto twoja kanapka - zauważył, otwierając drzwi. Podpisał rachunek i postawił tacę na stoliku obok sofy.

- Dzwoniła Amanda Allan - poinformowała go Barrie. - George zaczął reagować, więc lekarze są dobrej myśli. Amanda z optymizmem patrzy w przyszłość. Bardzo go kocha i jest gotowa wszystko mu przebaczyć, jeśli przeżyje.

- Tego się można było po niej spodziewać. A jak Daily?

- Na razie oplacam mu hotel. Nie chcę, żeby wrócił do tamtego okropnego domu. Nie powinien umierać w takich warunkach. Poza tym chyba żadne z nas nie mogłoby tam wrócić. Tyle strasznych dni tam przeżyliśmy...

- Gdzie będzie mieszkał?

Barrie urwała kawałek skórki od chleba.

- Myślę o kupieniu domu. Czegoś na przedmieściu. Z oddzielną częścią dla Daily'ego. Kwota z ubezpieczenia za moją kamienicę była dość spora, więc mogę kupić wszystko, co mi się spodoba. Może nawet wezmę szczeniaka, żeby dotrzymywał mu towarzystwa, kiedy mnie nie będzie. Chyba już jestem gotowa pokochać innego psa, chociaż nic mi nie zastąpi Cronkite'a.

- Rozmawiałaś już o tym z Dailym?

- Marudził, że nie będzie „pieprzonym utrzymankiem z litości”, ale da się go przekonać - powiedziała z uśmiechem.

Zjadła jedną czwartą kanapki i odsunęła talerz.

- Myślałem, że umierasz z głodu.

- Chyba nie umierałam.

- Co się dzieje, Barrie?

- Nic - odparła niecierpliwie. Potem przyznała niechętnie: - Sama nie wiem.

- Spełniły się twoje najskrytsze marzenia. Znalazłaś się na samym szczycie w branży. Każda sieć w kraju błaga o podpisanie z tobą kontraktu. Możesz tylko wymienić cenę. Przeprowadziłaś wywiad stulecia. Myślałem, że zastanę cię przy otwartej butelce szampana.

- Mnie też się wydawało, że będę świętować - odparła smutno. - Zdziwisz się, jak przygnębia odpowiedzialność za obalenie prezydenta.

- To nie ty jesteś za to odpowiedzialna. David sam siebie doprowadził do upadku.

- Masz rację, oczywiście. Tu, w środku - powiedziała stukając się w głowę - wiem, że masz rację. Być może gryzą mnie wyrzuty sumienia z powodu Howiego. Stał się ofiarą, a nie powinien. Czuję, że pośrednio ponoszę za to winę.

- Winny jest Spence.

Westchnęła.

- Chyba to coś w rodzaju połogu, ciężkiego i bolesnego. Urodziłam dziecko, ale nie jestem pewna, czy je pokocham. - Odwróciła wzrok. - Vanessa zadzwoniła do mnie dziś po południu.

Gray spojrzał na nią pytająco.

- Podziękowała mi za tak powściągliwe przeprowadzenie wywiadu z Becky Sturgis... bo przecież mogłam rozgrzebać tę historię. - Przerwała i zastanawiała się przez chwilę. - Chyba ten mój umiar dowodzi, że dojrzewam. Osobiście i zawodowo.

- Bez wątplenia.

- W każdym razie - mówiła dalej Barrie, porzucając melancholijny ton - Vanessa wyprowadza się dziś wieczorem z Białego Domu, ale nie martwi się tym wcale. Wiąza się z nim takie okropne wspomnienia. Opowieść Becky Sturgis wstrząsnęła nią. Ciągłe powtarzała, że nie może zrozumieć, jak jej ojciec mógł przyłożyć rękę do czegoś tak nikczemnego - to moje określenie, nie Vanessy. Nie tylko zatuszował zbrodnię, ale jeszcze pozwolił jej poślubić Davida. Zachęcał ją nawet. Czuje się oszukana i twierdzi, że nigdy mu nie wybaczy.

- Clete zasłużył na odtrącenie, ale to go zabije.

Barrie skinęła głową.

- Obiecała Billowi Yanceyowi całkowitą współpracę w śledztwie w sprawie śmierci Roberta Rushtona. Teraz, kiedy już nie musi lękać się o swoje życie, może powiedzieć całą prawdę. David zabił dziecko, ale to Spence poddał myśl, żeby upozorować śmierć z powodu SIDS.

- To do niego bardzo podobne. Zawsze proste rozwiązania.

- Czy Vanessa go kochała?

- Spence'a? Nie. Chciała od niego tego samego, co i od innych mężczyzn: czułości i ochrony. Zemściła się na Davidzie, sypiając z człowiekiem, w którego lojalność nigdy nie wątpił. Jednak kiedy Spence ją porzucił, bardzo to przeżyła.

- I zwróciła się do ciebie.

- Po przyjaźń.

Barrie wstała i niespokojnie okrążyła stolik.

- Nie jestem pewna, czy tylko tego chciała.

- Tylko tyle dostała.

- Mogłeś mi powiedzieć.

- Nie było nic do powiedzenia.

- Właśnie dlatego mogłeś mi powiedzieć.

- Nie pragnąłem Vanessy i nigdy jej nie miałem. Kropka. Zadowolona?

- Tak. Czy to było takie trudne?

Gray złączył dłonie, położył na ustach czubki palców i popatrzył na Barrie. Przyglądał jej się tak badawczo, że aż skuliła się pod jego spojrzeniem.

- O co chodzi? - spytała gniewnie.

- Mam wrażenie, że przygnębia cię fakt, iż nie przysiągłem ci wiecznej miłości.

Parsknęła głośnym śmiechem.

- Cały ty, znowu sobie pochlebiasz. To zły obyczaj, Bondurant.

- Jestem przy tobie, a to powinno być najważniejsze - odparł spokojnie. Potem wyciągnął rękę, pochwycił końcówkę paska od szlafroka i powoli przyciągnął Barrie do siebie. - Czy ten dom, który zamierzasz kupić, będzie duży?

- Dlaczego pytasz?

- Zaproponowano mi pracę w Departamencie Sprawiedliwości. W charakterze wolnego strzelca. Wygląda to interesująco. Będę spędzał dużo czasu w Waszyngtonie. Muszę mieć gdzie się zatrzymać.

- Rozumiem. - Serce Barrie zaczęło bić szybciej. Powrócił jej apetyt. Znowu umierała z głodu. - A co z Rakietą, Trampem i Dokiem?

- Wynajmę kogoś do opieki nad nimi i domem podczas mojej nieobecności. Przy tej robocie będzie dużo wolnego. Będę często wracał do Wyoming.

- Wszystko zaplanowałeś.

- Prawie...

Rozwiązał pasek od szlafroka, rozchylił poły, wsunął pod nie dłonie i oparł je na talii Barrie. Nie odrywał spojrzenia od jej oczu.

- Kiedyś powiedziałaś mi, żebym nie patrzył przez ciebie, jakbyś nie istniała. Istniejesz, Barrie. Odrzuć ten emocjonalny garb, pozostawiony ci w spadku przez rodziców. Twój ojciec oszukiwał samego siebie. Jesteś piekielnie ważna.

Posadził sobie Barrie okrakiem na kolanach, położył dłoń na jej karku, przyciągnął do siebie i pocałował. Wsunął język tak głęboko, że aż zakręciło jej się w głowie.

Czubkami palców poszukał jej sutek, już twardych i drażliwych. Naciskał je i rozgrzewał oddechem, gdy mocowała się z jego ubraniem. Zamknął wargi na sutku, kiedy wzięła go w siebie. Unosiła się i opadała z niepohamowaną gwałtownością. Gdzie się nauczyła tak poruszać? Kto ją nauczył dawania takiej rozkoszy? Po jakim pogańskim przodku odziedziczyła tę tajemną wiedzę?

Nigdy jej ciało nie reagowało tak silnie, nigdy nie pragnęła tak bardzo kogoś zaspokoić. Kilka sekund przedtem, nim osiągnęła szczyt, wyczuł jej gotowość.

- Będiesz wrzeszczeć jak ostatnim razem?

- Jeśli mnie nie powstrzymasz.

- Na pewno nie - wymamrotał. Pochwycił jej biodra i przytrzymał.

Głośno wciągnęła powietrze.

- Jeśli... jeśli mnie nie powstrzymasz... będę... wrzeszczeć.

Zamknął jej wargi w następnym pocałunku, który rozpląnął się, gdy razem osiągnęli szczyt. Ukrył twarz w zagłębieniu między jej piersiami. W mroku rozbrzmiewały jej ciche, szybkie westchnienia.

Opadła w jego ramiona, oparła głowę o jego szyję. Trzymał ją mocno przy sobie. Po dłuższej chwili ją odsunął, odgarnął mokre włosy z twarzy i potarł kciukiem jej wilgotne wargi.

Nigdy nie okazywał takiej czułości. Barrie łzy stanęły w oczach. Wyszeptała jedno słowo:

- Bondurant...

- Wiesz - powiedział - sam twój głos mnie podnieca. To krepujące.

Roześmiała się cicho i pochyliła do przodu, by całować jego szyję.

- Bardzo mnie pragniesz?

Kiedy nie zareagował, odchyliła się i zajrzała mu w twarz. Skrzywił się.

- Kochasz...? - spytała cicho.

Ale on tylko na nią patrzył, odpowiadając samym spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu.

- Naprawdę? - szepnęła.

- Nie popadaj w zbyt dużą euforię. Nigdy nie będę pamiętał o twoich urodzinach ani o rocznicach - mruknął. - Nie jestem typem mężczyzny, który przynosi kwiatki.

Ujęła jego twarz w dłonie.

- Będziesz oszukiwał?

- Nie. - Jego ton nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości. - Nigdy.

- No to nie potrzebuję kwiatków.

- A co z seksem?

- Seksu potrzebuję.

Później leżeli na szerokim łóżku, mocno przytuleni do siebie. Chłodne, gładkie pośladki Barrie wtulone były w miękkie ciepło jego brzucha. Oparł brodę na czubku jej głowy i otoczył ją ramionami, przykrywając dłonią pierś. Od czasu do czasu przesuwał kciukiem po sutku, a ona podnosiła jego dłoń do ust i całowała miejsce, w którym kilka tygodni temu zostawiła ślady zębów.

Ogarniała ją senność. Tuż przed zaśnięciem wyszeptała jego imię.

- Hmm...?

- Chcesz usłyszeć coś śmiesznego? - Nie odpowiedział nic na to, ale wiedziała, że słucha. - Kochałam mojego ojca. Rozpaczliwie.

Łagodnie wyszeptał jej prosto do ucha:

- Wiem.

Epilog

Na biurku Barrie zadzwonił telefon. Zerknęła na zegar. Za pięć minut musi być na planie. Wystarczy czasu na krótką rozmowę. Może to Gray? Niekiedy dzwonił, gdy Barrie wychodziła do studia, żeby jej życzyć połamania nóg - najlepiej jego własnych po powrocie do domu.

Uśmiechając się, podniosła słuchawkę.

- Barrie Travis.

- Widziałam cię wczoraj w telewizji. Ufarbowałaś włosy?

Charlene Walters.

- Rozjaśniłam. Podoba ci się?

- Nie. Powinnaś zostawić tak, jak było.

Barrie znowu się uśmiechnęła. Charlene również stała się sławna. Jej nazwisko pojawiało się w każdym reportażu o upadku administracji Merritta i więźniarka uważała się teraz za koleżankę Barrie.

- Jak się miewasz, Charlene?

- Mam wiatry. Dali nam fasolę na obiad.

- Przykro mi to słyszeć. Posłuchaj, już muszę wychodzić do...

- Pewnie jesteś bardzo zadowolona z tego, co zaczęłaś.

Od powrotu Becky Sturgis do świata minęło sześć miesięcy. Trwały procesy Merritta i Armbrustera. Oskarżyciele wciąż przedstawiali nowe dowody. Adwokaci usiłowali znaleźć coś na obronę obwinionych, ale zeznania świadków gotowych do współpracy za obietnicę nietykalności lub łagodnego wyroku były przytłaczające.

- Nie czerpię przyjemności z niszczenia komuś życia - odparła Barrie. - Mam tylko nadzieję, że w przyszłości zapobiegnie to podobnym nadużyciom władzy.

- Nie liczyłabym na to. Ludzie już tacy są.

Barrie znowu zerknęła na zegar. Trzy minuty. Położyła słuchawkę na ramieniu, z szuflady biurka wyciągnęła lusterko i puszek do pudru. Nie będzie czasu na makijaż.

- Wspaniale, że zadzwoniłaś, Charlene, ale...

- Moim zdaniem powinni tych drani powiesić. Za to, co zrobili Becky, nie powinni im pozwolić żyć ani jednego dnia dłużej.

- Jeśli zostaną osądzeni, będą sprawiedliwie ukarani.

Charlene parsknęła pogardliwie.

- Ty przynajmniej, kiedy ci opowiedziałam o Becky, coś zrobiłaś. Trochę ci to zabrało czasu, ale wzięłaś się do roboty.

- Tak, cóż...

- Nie tak jak ona. Nie kiwnęła nawet palcem.

- Przecież była w więzieniu. A jak mówiła, nie było zbyt wiele...

- Nie Becky, głupia. Pani Merritt.

Barrie odłożyła lusterko i wzięła słuchawkę do ręki.

- Pani Merritt...?

- Przecież mówiłam. Vanessa Armbruster Merritt.

Barrie pomyślała, że z pewnością czegoś nie dosłyszała. Patrzyła jednym okiem na zegarek, a drugim w lusterko. Coś jej musiało umknąć.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że rozmawiałaś z Vanessą Merritt o Becky Sturgis?

- Jasne!

- Kiedy, Charlene?

- Co kiedy?

- Kiedy z nią rozmawiałaś? Kiedy opowiedziałaś jej o Becky Sturgis i jej dziecku?

- Chwileczkę... Zaraz jak Becky opowiedziała to mnie, oczywiście. Musiało to być krótko po tym, jak pani Merritt została Pierwszą Damą.

- Charlene, jeśli to jedna z twoich historyjek...

- Jesteś moją przyjaciółką. Nie opowiadam głupot przyjaciołom.

Barrie zakręciło się w głowie.

- Pozwól, że się upewnię, czy dobrze cię rozumiałam. Powiedziałaś pani Merritt, Pierwszej Damie, o Becky Sturgis, jej związku sprzed lat z Davidem Merritem?

- Wszysciutko. Tak jak tobie. Mówiłam, że David Merritt zabił dzieciaka Becky, a senator to zatuszował.

Barrie podparła głowę ramieniem. Pokój kręcił się wokół niej.

- Pisałam do niej list za listem - ciągnęła Charlene. - Ostrzegałam, że poślubiła zabójcę, ale mnie ignorowała. Przynajmniej tak mi się wydawało. Aż tu pewnego dnia dzwoni do mnie do więzienia. Podała oczywiście fałszywe nazwisko, ale zostawiła numer, pod którym mogłam ją złapać. Rozmawialiśmy pół godziny. Bardzo wkurzyło to kobitki czekające w kolejce do telefonu, ale powiedziałam im, żeby spadały.

Na biurku Barrie głośno tykał zegar, nie tak głośno jednak, jak waliło jej serce. Opanowała ogarniające ją mdłości.

Asystent wydawcy wsunął głowę w drzwi jej gabinetu.

- Barrie? Dziewięćdziesiąt sekund.

Dała mu gestem do zrozumienia, że usłyszała.

- Charlene, czy powiedziałaś komuś, że Pierwsza Dama do ciebie dzwoniła?

- Oczywiście, że powiedziałam! - zawołała więźniarka. - Jak myślisz, uwierzyli mi?

Ukochana ze szkolnej ławy Roberta Redforda i matka dziecka Elvisa? Kto by jej uwierzył?

- A potem... - Barrie nie mogła się skupić. - Potem...

- Barrie? - W drzwiach znowu pojawiła się głowa asystenta. - Nic ci nie jest? Wchodzimy za minutę.

- Zaraz tam będę - syknęła Barrie i zwróciła się do Charlene. - Potem... Jak zareagowała, gdy opowiedziałas jej historię Becky Sturgis?

- Oświadczyła, że to musi zostać między nami i żebym przestała pisać do niej listy, bo napuści na mnie FBI. No to jej powiedziałam, że mogłaby tu przyjechać, poznać Becky i sama z nią porozmawiać, ale odparła, że nie może tego zrobić. Powiedziała, że to wydarzyło się dawno temu i pewnie nie jest prawdą. Strasznie mnie rozwścieczyła. Tyle sobie zadałam trudu, żeby się z nią skontaktować, a ona miała za nic moje ostrzeżenia. W niecałe dwa lata później zaszła w ciążę. Po tym wszystkim, co jej powiedziałam, zaskoczyła z tym człowiekiem! Musi być kompletną wariatką.

Nie, Vanessa Armbruster Merritt na pewno nie była wariatką.

„Barrie, proszę, pomóż mi. Czy nie rozumiesz, co ci próbuję powiedzieć?”

A jeśli jej motywem była zwykła żądza zemsty?

„Nie zabiłem Roberta Rushtona. Ona to zrobiła!”

Tym razem David Merritt mówił prawdę.

Jednak Vanessa Armbruster Merritt jest wariatką.

Charlene Walters, filozofka więzienna, ujęła to tak: „Szaleńcom wszystko uchodzi na sucho. Byłabyś zdumiona co”.

Ledwie słyszalnym głosem Barrie spytała:

- Czy Vanessa Merritt kiedykolwiek jeszcze się do ciebie odezwała, Charlene?

- Tylko raz. Zadzwoiła i zaproponowała, żebym skontaktowała się z tobą.